CHŁOPKI

OPOWIEŚĆ O NASZYCH BABKACH



JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK

MARGINESY

JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK

CHŁOPKI

OPOWIEŚĆ O NASZYCH BABKACH

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Rozdział 1. Zbędne

Rozdział 2. Pasionka

Rozdział 3. Paniom nie będziesz

Rozdział 4. Nie zadawaj się z plewami, bo cię świnie zjedzą

Rozdział 5. Tam lepi w nocy, jak tu w dzień

Rozdział 6. Cnoty niewieście

Rozdział 7. Kogo Pan stworzy, tego nie umorzy

Rozdział 8. Aź się skóra podrze

Rozdział 9. Fusier, paciórka, przecieraki

Rozdział 10. „Na pał skie”. Zaciąźnice i bandoski

Rozdział 11. Uciekinierki

Rozdział 12. Ja nie likorz, Pan Bóg likorz

Rozdział 13. Radio i inne diabelstwa

Rozdział 14. Czy tutaj nie ma wcale polskich ludzi?

Rozdział 15. Szatan na Gackiej Górce

Rozdział 16. Brzuch i inne dziedzictwa

Podziękowania

Bibliografia podstawowa

Źródła zdjęą

Przypisy

Wydawca ADAM PLUSZKA
Redaktorka prowadząca KAROLINA WĆSOWSKA
Redakcja BEATA KĘCZKOWSKA
Konsultacja historyczna dr MONIKA PIOTROWSKA-MARCHEWA
Konsultacja historyczna rozdziału 13 prof. dr hab. ANNA LANDAU-CZAJKA
Korekta AURELIA HOŁUBOWSKA
Projekt okładki i stron tytułowych, opracowanie typograficzne i graficzne ANNA POL
Łamanie i korekta ANNA HEGMAN
Zdjęcie na okładce ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK

Książka powstała dzięki stypendium artystycznemu prezydenta Wrocławia
Wrocław miasto spotkań

Copyright © by Joanna Kuciel-Frydryszak
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Warszawa 2023
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67674-86-7

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Dźwiga na plecach
dom, ogród, pole,
krowy, świnie, cielęta, dzieci.

Jej grzbiet dziwi się,
że nie pęknie.
Jej ręce dziwią się,
że nie odpadną.
Ona się nie dziwi.

Podpiera ją jak krwawy kij
umarła harowaczka
jej umarłej matki.
Prababkę
bili batem.

Ten bat
błyszczy nad nią w chmurze
zamiast słoł ca.

Anna Świrszczył ska, *Chłopka*

Ja Antonina Jasczak pisze pare słów do Wielmozny Pani.

Przepraszam Wielmoznom Paniom chciałabem sie zapytaą i poradzią Wielmozny Pani. Mam Myza w Polscze i jedno dzieczko, chłopiec ma 8 lat i to bem chciała ik sciongnoą do siebie, bo w Polscze tam mąź ni ma pracy, bieda, tylko na komornem mieszka, ta ja proszę bardzo serdecznie Wielmoznom Paniom, zeby Wielmozna Pani była tak łaskawa mi jako doradzią i dopomóc, jeźeli by nie szło dzieczku sciognoą, to chocias samygo myza, a jeźeli by moźna dzieczko tes, to chętnie bem chciała, bo jo bem chciała zapoczebowanie posłaą, ale nie wiem jak sie nazywa zapoczebowanie po francusku, to sie ni moge zmówią na to. [...] Ja jus Pani zapłace co pani bydze rządaą, azeby Pani Wielmozna mogła sie wystaraą o miejsce mego myza i dzieczko, azeli by było trudno o dziecko, to myza i proszę, zeby Pani Wielmozna była łaskawa mi napisaą jak się nazywa zapoczebowanie i serdecznie proszę odpis i zasełam niskie ukłony dla Wielmozny Pani. Takźe Julja Czubata zaseła niskie ukłony dla Wielmozny Pani[1].

Antonina Jasczak

ROZDZIAŁ 1

ZBĘDNE

Kiedy wiejska dziewczyna się przedstawia, podaje imię, nazwisko, nazwę wsi, z której pochodzi, oraz mówi, jak duże są jej rodzina i gospodarstwo jej ojca. Te dwie ostatnie informacje powiedzą nam o jej sytuacji najwięcej. Gdy poznajemy córkę gospodarza z sześciorgiem dzieci i trzema morgami[2], to już wiemy: cierpią głód. Ich gospodarstwo nazywane jest przez specjalistów od ekonomii karłowatym, co oznacza: niewydajne, niewystarczające, by wyżywić rodzinę.

Co miałaby tutaj robić dorastająca dziewczyna? Jako dziecko pasie gęsi lub krowę. Gdy dorośnie, nie jest do niczego potrzebna. Przeciwnie: obciąża gospodarkę, bo trzeba ją wykarmić, a nie ma czym.

Czy tak się narodziło słowo darmozjad? Nie. Dla takich jak ona ekonomiści zarezerwowali bardziej elegancki termin, ale wciąż brutalny: zbędna. Nie ma dla niej pracy, więc nie ma dla niej jedzenia. Jest zbędna. Trzeba ją jak najszybciej wydać za mąż. Chyba że ucieknie do miasta, najczęściej na służącą. Albo na saksy do Francji, Belgii, Niemiec.

W Polsce międzywojennej 64 procent gospodarstw na wsi uznawano za niewystarczające[3], a 40 procent wiejskich kobiet za zbędne.



Mieszkanki małopolskiego Borzęcina na saksach w Niemczech, u bauera

W 1936 roku w Dzikowcu pojawia się ankieter. Interesują go małe gospodarstwa, właśnie te nazywane karłowatymi. Gospodarzom, którzy przyjmują go pod swój dach, zadaje te same, drobiazgowe pytania: Co jedzą? Co sieją? Jak mieszkają? Jakie sprzęty posiadają? Jakie zwierzęta hodują? W co się ubierają?

Czyli po prostu: jak sobie radzą z życiem.

Dzięki temu zajrzymy do chłopskich chałup na południu Polski sprzed niemal stu laty. Będzie to przykra wizyta.

Dzikowiec to spora wieś na Podkarpaciu: około dwustu chłopskich gospodarstw, z których ponad połowa to gospodarstwa małe i bardzo małe. Najbliższe miasto – Kolbuszowa – oddalone jest o sześć kilometrów, w pobliżu nie ma żadnych fabryk, a więc możliwości zarobkowania. Dorobić można, idąc „na pańskie” do pobliskiego dworu lub powożąc furmanką. Kobiety wyplatają kosze.

Ankietera przyjmuje rodzina gospodarza T.W. On ma trzydzieści cztery lata, ona trzydzieści jeden. Oboje skończyli cztery klasy szkoły powszechnej, wychowują dwójkę dzieci: siedmioletnie i pięcioletnie. Na swoich trzech morgach uprawiają żyto i ziemniaki, hodują krowę, cielę i sześć kur. Mieszkają w drewnianym domu krytym słomą, ale to właściwie jeden dwudziestopięciometrowy pokój. Drugie pomieszczenie to obora.

Na jedną osobę – notuje ankieter – wypada 5,1 metra kwadratowego, izba nie ma podłogi (glina), dwa okna o wymiarach 102 na 80 centymetrów nigdy nie są otwierane.

Siedząc na jednym z dwóch krzeseł, które należą do rodziny, ankieter spisuje pozostałe sprzęty w tym domu:

dwa łóżka
jeden stół
cztery ławy
jeden stołek
półka
zegarek
osiem obrazów religijnych w marnym stanie

To wszystko.

Następnie pyta rodzinę o higienę:

– Czy w mieszkaniu znajdują się pasożyty (pluskwy, karaluchy itp.)?
– Czy praktykuje się spanie grupowe, np. dzieci?
– Ile osób sypia razem?
– Czy praktykuje się spanie na ziemi itp.?
– Czy praktykuje się spanie w budynkach gospodarskich latem, zimą?
– Ile razy każdy z członków bierze kąpiel w porze letniej? A w porze zimowej?

W domu rodziny W. nikt na ziemi nie sypia. Za to na piecu śpi tak zwana komornica. Tak nazywa się te, które nie mają swojego domu. Dziewięćdziesięcioletnia kobieta jako zbędna tuła się po obcych. Pomaga

przy dzieciach w zamian za kąt do spania. W Dzikowcu rzeczywiście dostała kąt, na piecu.

Ale dom rodziny W. to nie tylko sypialnia i kuchnia, to też zakład szewski, bo mężczyzna dorabia, robiąc buty. Tutaj również trzymane są kury. Nie powinni jednak narzekać: dwa łóżka na czteroosobową rodzinę to jest coś.

Córka wdowca spod Krakowa, urodzona w 1917 roku, jako nastolatka śpi w jednym łóżku z dwoma braćmi. „Ja w głowach, a bracia w nogach – wspomina. – Ale po czym wiedzieli, gdzie głowy, gdzie nogi, to nie wiem, bo na żadnym końcu poduszki nie było, tylko stare szmaty". Kolejny jej brat śpi w łóżku z ojcem, a pozostali dwaj na pryczach w stajni.

Jadwiga Szkraba, urodzona w kurnej chacie w beskidzkim Odernem, jeszcze w 1923 roku jako dziecko ucieka nocą z domu przed gryzącym dymem. „Nie mieliśmy komina, a tylko z płaskich kamieni ułożone palenisko. Tak nam ten dym dokuczał, że spać chodziłam z siostrą do stajni, gdzie pod powałą były zrobione prycze z desek, no i mama mówiła, że tam cieplej jak w izbie, bo się składało nawóz od jednej krowy którąśmy mieli".

Społecznicy łapią się za głowy.

„Rodzina mieszka na wsi przeważnie w jednej izbie, w której przebywa od 6 do 12 osób – w czym znajdują się i chorzy i dziadkowie, którzy załatwiają swoje potrzeby w wiaderko i na siennik. Łóżek – 2–3, kołyska, ławy koło pieca, kuferki – to zastępuje łóżka. Dziadkowie śpią na jednym z łóżek biorąc które z wnucząt do siebie w nogi, w poprzek łóżka, a więc trzy osoby na jednym łóżku – i, dziecko ma przez całą noc tuż przy twarzy nogi ludzi starszych, często nie bardzo czyste! Drugie łóżko zajmują rodzice; też nierzadko z jednym dzieckiem. Jakaż wygoda? Gdy na to zwracam uwagę, słyszę zawsze jedną odpowiedź: «my już tak nawykli». Trzecie łóżko zajmują dzieci różnego wieku i często różnej płci. Śpią siostry z braćmi w różnych latach – tutaj już nie o wygodę

chodzi, ale o coś daleko ważniejszego!” – pisze Zofia Kaczyńska w 1929 roku w czasopiśmie „Przodownica”.

A doktor Władysław Chodecki zaleca: „Ludność wiejska powinna się oduczyć sypiania po kilkoro w jednym łóżku, sypiania w ubraniu, rzadkiego zmieniania bielizny na sobie i w łóżku, i mycia się wodą puszczaną z ust na ręce”.

Tymczasem ankieter w Dzikowcu przygląda się garderobie badanej rodziny. Kobieta wymienia wszystko, co posiada:

trzy koszule
jedną parę majtek
jedną parę pończoch
dwie bluzki (od święta)
jedną spódnicę (na co dzień i od święta)
jeden płaszcz (od święta)
jedną parę trzewików
chustę do okrycia w stanie znoszonym
trzy chustki na głowę

Odzież kobiety jest warta 21,30 złotych.

Średni zarobek miesięczny w Polsce w 1936 roku to 250 złotych. Wyrobnica w folwarku pracuje za niecałą złotówkę dziennie.

Jeśli chodzi o męża, to ankieter ustala, że posiada on:

koszulę i parę kalesonów własnego wyrobu
jeden „garnitur” własnej roboty na co dzień oraz jeden od święta (ankieter nie zdradza, co oznacza cudzysłów, ale domyślią się można, że szyty na wzór pańskiego, wciąż jednak pozostający chłopskim)
kożuch znoszony
dwie pary trzewików (na co dzień i od święta)
czapkę na co dzień
kapelusz od święta

Ubrania mężczyzny są warte 25,50 złotych, czyli o ponad 4 złote więcej niż kobiety. Mężczyzna ma dwie pary butów. Ponieważ załatwia

sprawy, reprezentuje, politykuje, jego wyjścia są istotniejsze. Kobiecie wystarczy jedna para. Ona potrzebuje butów przede wszystkim po to, by pójść do kościoła i na targ.

Dobrze byłoby wiedzieć, jak dzisiaj, po ponad osiemdziesięciu latach, żyje się potomkom rodziny W. Bardzo prawdopodobne, że ich wnuki wciąż mieszkają w Dzikowcu, a może nawet dzieci? Kim są? Czym się trudnią? Czy i w jaki sposób bieda ich dziadków odcisnęła piętno na dalszych losach rodziny? Korzystając z podpowiedzi, że T.W. był szewcem, próbuję ich odszukać. Być może ludzie skojarzą, w podkarpackich wsiach mieszkają przecież z dziada pradziada. Marian Piórek, historyk i były dyrektor tamtejszej szkoły, przegląda dla mnie księgi chrztu i akta ślubu, jednak T.W. nie znajduje. A czy nie da się ustalić, kto w Dzikowcu był szewcem? „W Dzikowcu przed drugą wojną światową tj. przed 1939 we wsi dzieci chodziły boso długi czas roku, mimo że szewców było ok. 20 dorabiających rolników” – odpisuje Marian Piórek.

Dwudziestu? Trzy pary butów w rodzinie, a szewców w jednej wsi dwudziestu? Po co?

Kustoszka Agnieszka Grabowska w potężnych, dusznych magazynach warszawskiego Muzeum Etnograficznego otwiera ogromną szufladę. Stajemy na drabinkach, bo szuflada z napisem „Buty” znajduje się na górze, i szperamy.



Wielu chłopskich rodzin nie staą na buty dla dzieci, a gdy przychodzi jesieł , nie da się już dłużej chodzią boso. Policja w Stanisławowie rozdaje buty biednym dzieciom, rok 1937

Wyciągam na chybił trafił, licząc, że znajdę damskie, i faktycznie: trzewiczki, czółenka, prawie same czarne. Nigdy nie widziałam tak mocno połatanych butów, nie spodziewałam się, że w ogóle możliwa jest tak zawzięta walka o przedłużenie życia obuwiu. A jednak starych, zniszczonych butów było tak dużo, że miały swoją nazwę: charboły. Prawdopodobnie wszyscy szewcy w Dzikowcu przynajmniej raz naprawiali ten sam but. Tymczasem we wspomnieniu Grzegorza Zelka o rodzinnym gospodarstwie w okolicach Nowego Sącza można znaleźć taką informację: „Dziadek wspominał, że wraz z braćmi mieli tylko jeden komplet ładnego ubioru i jedną parę butów, w których chodzili na zmianę. Ksiądz Władysław Piątek podaje na podstawie ksiąg parafialnych, że jedna para butów służyła mieszkańcom domu przeciętnie przez 10 lat”. Dla chłopów buty to symbol godności. Ale dla wielu naszych bohaterek to jeszcze inna sprawa. Dla nich buty oznaczają wolność.

ROZDZIAŁ 2

PASIONKA

Dziecko wiejskie krótko jest darmozjadem. Pasanie bydła jest wszędzie zawodową pracą dziecka. Pasają zresztą wszystko, co się daje pasaą: konie, krowy, kozy, trzodę, gęsi, pilnują kaczek nad wodą i spędzają je z wody nad wieczorem. Tak czy inaczej, dziecko od szóstego roku życia jest pracownikiem domowym.

Maria Librachowa, *Dziecko wsi polskiej*, 1934 rok

W 1929 roku czasopismo „Głos do Kobiet Wiejskich” na pierwszej stronie publikuje relację instruktorki, która prowadzi na wsi kurs gospodarstwa domowego: „Któregoś dnia jesiennego córeczka siedmioletnia gospodyni, u której mieszkałam, przyszła z pastwiska spłakana, przestraszona, chora. Przy rozbieraniu się jej do snu matka patrzy, a tu koszula dziecka jest od dołu cała zakrwawiona i cały dół brzuszka też krwią zastygłą zwalany, okazało się przy bliższym zbadaniu, że nad dziewczynką dokonano gwałtu. Dziecko długo chodziło senne, jakby otumanione, ale na trzeci dzień, pomimo płaczu dziewczynki, matka wygnała je znów z krowami na ugór”.

Pasionka to zwykły los chłopskiego dziecka. Budzone o świcie, prowadzi zwierzęta na pastwisko, zwykle krowę, czasami przez całą wieś. Tam pilnuje, aby nie wchodziła na sąsiednią miedzę i nie uciekła, a późnym wieczorem spędza ją z powrotem do gospodarstwa. „Bywają wsie, gdzie dzieci wszystkie są niewolnikami krów, cielaków, owiec, koni, świń” – pisze w 1928 roku w czasopiśmie „Głos do Kobiet Wiejskich” Pelagia Restorffowa, działaczka społeczna, która zawzięcie zwalcza pasionkę dzieci.

Wszyscy wiedzą, że część dzieciaków chodzi na pastwisko zamiast do szkoły. Kilkuletnie dziewczynki najczęściej zaczynają od pasania

drobnych zwierząt, gęsi, kaczek, aby z wiekiem zastąpić starsze rodzeństwo przy wypasie krów. Kazimiera Długołęcka, która swoją rodzinę wspomina jako dosyć bogatą („mieliśmy podłogi i podwójne okna”), pasała gęsi od piątego roku życia: „Pasło się na wspólnym pastwisku około półtora kilometra od domu. Ukroili pajdę chleba, wydrążyła mama dołek, nałożyła tam masła, nakryła tym kawałkiem, co wydrążyła, zawinęła w czystą, lnianą ściereczkę i to było pożywienie na cały dzień”.



Dziecko pasące krowy na rżysku, rok 1933

Pelagia Restorffowa pomstuje: „Co robią te gromady dzieci, włócząc się po lasach? Jaką szkołę zepsucia, łajdactwa, jakim ogłupieniem jest dla nich to bezmyślne łażenie w próżnowaniu, i ciągłe obcowanie dziewcząt z chłopcami bez oka starszych, bez opieki i kontroli niczyjej – domyślić się łatwo. Czy ta krowa lub świnia nie może być inaczej

żywiona tylko koniecznie kosztem zdrowia duszy dziecka? Kosztem niepowetowanej straty najlepszych, najpiękniejszych lat życia człowieka?”. Daje do zrozumienia, że to na pastwisku dzieci przechodzą inicjację seksualną. „Nauką wszelkiej rozpusty jest pasionka” – stwierdza i wzywa: „Pasionka to przeżytek stary, który musi być wytępiony i wraz z kołowrotkiem, sochą i innemi staremi sprawami iść w zapomnienie czem prędzej”.



Częśą dzieciaków chodzi na pastwisko zamiast do szkoły. Kilkuletnie dziewczynki najczęściej zaczynają od pasania drobnych zwierząt, gęsi, kaczek, aby z wiekiem zastąpią starsze rodzeł stwo przy wypasie krów

Ale nie idzie. W najbiedniejszych rodzinach oddają dzieci do bogatych gospodarzy, w ten sposób mogą one zarobić, przynajmniej na jedzenie.

Dzieci ze wsi spotykają się na wspólnym pastwisku, ale dziewczynki zwykle trzymają się osobno. „W ciągu całego lata między pastuchami z różnych wsi trwały ciągłe wojny. Napadaliśmy na siebie bez żadnego

powodu i wywiązywała się walka. Jako narzędzia w tej walce używane były kije, baty, przyniesione z pola kamienie, a w ostateczności darnie. Dziewczyny rzadziej dopuszczaliśmy do zabaw, ze względu na to, że uważaliśmy je jako gorszy gatunek człowieka, dlatego że o byle co beczały, nie potrafiły dosiadać konia itd. To ostatnie napawało nas szczególną dumą" – wspomina autor pamiętnika z powiatu opoczyńskiego w zbiorze *Młode pokolenie chłopów*. Inny opisuje „hece" i „harce" bez udziału dziewcząt, bo „się ich odpędzało patykiem od siebie daleko, uważając za coś gorszego, że się nie nadają nawet do zabawy. Zresztą to taki panował zwyczaj".

Matki załamują ręce, pasionka zmienia ich dzieci. „Jak zaczęły krowy pasać, to się tak kląć nauczyły, że wprost rozpacz brała słuchać przekleństw. Nie pomagała rózga, bo uciekały w pole, jak dzikie zwierzęta" – wspomina gospodyni spod Miechowa, która w końcu znalazła na to sposób: za każde przekleństwo dzieci musiały zmówić dziesięć paciorków. I podziałało.

Wielu mężczyzn w swoich wspomnieniach romantyzuje pasionkę, jednak część z nich realistycznie opisuje, co naprawdę się działo na pastwiskach: „Samogwałt, gwałcenie dziewczyn i tym podobne rzeczy były na porządku dziennym. Życie na pastwisku to jedno wielkie bagno moralne, w którym nurza się dusza dziecka zatracając wszelkie cechy człowieka, obraca się w małe zwierzątko, które stara się zaimponować drugiemu podobnemu stworzeniu ilością i sumą tych rzeczy, które w ich pojęciu świadczą o dojrzałości czy wyższości. Na pastwisku rodzą się myśli, gdzie by co ukraść, co zrobić komu na złość" – wspomina mężczyzna, który spędził dzieciństwo pod Puławami.

Inny, z wioski pod Jarosławiem, przypomina sobie, że jako siedmiolatek musiał zastąpić starszą siostrę, gdy ta została pobita na pastwisku: „W niedzielę często któryś z pasących przynosił ustną harmonijkę, albo nawet rozciąganą i grał, a reszta pochwytywała się w pary i tańczyła. Starsza ode mnie siostra, nie chcąc z jednym z pasterzy

tworzyć pary, została przez niego pobita, przy czym rzucił ją o ziemię na wystający korzeń tak silnie, że jakiś czas chorowała i pluła krwią”.

To może – proponuje Pelagia Restorffowa – nająć jakiegoś inwalidę czy starszego człowieka na pastucha, żeby pasł bydło całej wsi. Po co marnować dzieci i odrywać je od nauki? „Po co przywiązywać je do tych ogonów krowich?” – pyta. To wołanie również na nic. Dziecko wiejskie musi być robotnikiem.

Gdy małorolni chłopi w latach trzydziestych oszczędzają na zapałkach, płacenie za wynajęcie pastucha nie mieści się im w głowach. Wysyłanie dzieci do bogatszych gospodarzy to dla najuboższych rodzin wielodzietnych ratunek przed głodem. Kmiecie korzystają z okazji – po co płacić pastuchowi, jeżeli można nająć dziecko za kawałek chleba?

Wieś międzywojenna dramatycznie się rozrasta. Gospodarstwa są dzielone pomiędzy wychodzące z domu dzieci. Z całkiem sporej ojcowizny w ciągu dwóch pokoleń zostają marne poletka, karłowate. Nigdy dotąd tak wiele wiejskich dzieci nie zaczynało tak wcześnie pracy zarobkowej.



Wysyłanie dzieci na służbę do bogatszych gospodarzy to dla najuboższych rodzin wielodzietnych ratunek przed głodem

Na pastwiskach cierpią też z innego powodu. Biegają po trawie boso, więc ich stopy krwawią. Matki mają na to swoje rady. „Mama często mi myła, a potem trzeba było nogi obsiusiać i na drugi dzień nie było śladu okaleczeń”. Kazimiera Długołęcka zapamiętała też sposoby, jakimi jej matka radziła sobie z pęcherzami na jej stopach, najczęściej na piętach. „Najpierw zgrubienie skóry, potem stan zapalny, no i ropień. Dobrze, jak mama zauważyła, że dziecko kulawe. Przykładano świńską kupę, dobrze nogę zawinięto i to przerywało chorobę”.

Społecznicy szukają sposobu, jak rozwiązać problem pasionki. Można by było – podpowiadają – wzorem Czechów i Duńczyków przywiązać krowę do palika co dzień w innym miejscu, niech się pasie sama. To dla

chłopów niewyobrażalne, krowa ma zbyt wielką wartość, żeby puszczać ją samopas.



Wieś międzywojenna dramatycznie się rozrasta. Bieda dotyczy szczególnie wschodnich, zaniedbanych terenów. Mieszkał cy ze wsi Morocz (dziś na terenie Białorusi), rok 1929

Córka małorolnych chłopów spod Włocławka, jedno z dwanaściorga ich potomstwa, z twarzą spaloną od słońca, spękanymi nogami, w jednej sukience, bez majtek, biega cały dzień z jednej strony łąki na drugą, by upilnować stado gęsi. Ma pięć lat. W porze obiadu rodzeństwo przynosi jej zupę. „Dwa kartofelki, trochę kaszy zalanej mlekiem. Dostawałam też kawałek placka z ziemniaków. I o tym aż do zachodu słońca. Latem, gdy przyszły upały, brałam butelkę wody do picia, a gdy i tej mi zabrakło – piłam wodę z mętnej sadzawki, w której kąpały się gęsi”. Wkrótce jej sytuacja ma się poprawić. Bogatsi krewni zabierają ją do siebie „do pomocy przy dzieciach”, jak twierdzą. To częsta praktyka na wsiach. Kilkuletnie dziewczynki pomagają bogatszej rodzinie, pilnując maluchów w zamian za wikt i opierunek. Szybko się jednak okazuje, że ma być „dziewką”, jak nazywano na wsi służące pracujące w gospodarstwie.

„Dzieci trzeba było bawić, paść krowę na łące nad Wisłą, rąbać drzewo, sprzątać w mieszkaniu, karmić świnie, drób, prać pieluchy i nosić wodę. A do szkoły tylko czasami” – wspomina. Niedługo potem przyjeżdża w odwiedziny brat matki z Ameryki i ogląda jej pokaleczone od rąbania sosnowych pieńków dłonie, przygląda się też jej nogom – całym w strupach od ostrej trawy, po której goni za krową.

– U nas w Ameryce o dzieci się dba. Takich dzieci tam nie widziałem – mówi wstrząśnięty, zabiera ją promem do Włocławka i tam kupuje jej buty.

Do Rady Szkolnej Powiatowej w Przeworsku

Prośba

Niżej podpisany Jan Wywrota zamieszkały w Hucisku Jawornickim podaje, że jego dom został doszczętnie spalony, zostało mu dwoje dzieci, niemając dla siebie i dla dzieci schronienia ani utrzymania, jest zmuszony iśą pomiędzy ludzi i prosią o wsparcie, wymieniony niemając przy kim zostawią małych dzieci, ostatnio przyjął od swego krewnego Pawła Pilawy sługę Katarzynę Pilawę, córkę Pawła i Anny, która liczy 14 lat, a uczęszcza do 4 klasy szkoły powszechnej w Hucisku. Wymieniony prosi Świetną Radę Szkolną w Przeworsku o zwolnienie ze szkoły Katarzyny Pilawa, córki Anny i Pawła, ponieważ nie jest on w stanie posyłaą jej do szkoły, a do tego jest ona nam koniecznie potrzebna do usługi i pielęgnacji małych dzieci.

Jan Wywrota

Hucisko, dnia 20. II. 1930

Podpis Jana Wywroty – pochyłe, nierówne litery – wskazuje, że autor prośby to analfabeta, który poprosił urzędnika gminnego o napisanie podania. Niecałe dwa tygodnie później inspektor szkolny w Przeworsku uwzględnił prośbę i Katarzyna Pilawa mogła nadal usługiwać jego rodzinie. Nie wiemy, czy ta dziewczynka, która mając czternaście lat, wciąż nie skończyła czwartej klasy, uczyła się jeszcze kiedykolwiek. I czy u krewnego miała co jeść, skoro dom spalony, a on, aby wyżywić swoje dzieci, chodził po prośbie.

Wiejska dziewczyna musi być przede wszystkim robotna, by okazać się przydatną. Inaczej stanie się zbędna i tak też się będzie czuła. Gdy tylko zaczyna chodzić, uczy się swojej roli harowaczki. W popularnej broszurze *Przy kądzieli. Pogadanki dla kobiet o ważnych sprawach* napisanej przez Antoszkę, ludową nauczycielkę, w drugiej połowie XIX wieku, ale wciąż popularnej w międzywojniu, kobiety wiejskie znajdują takie rady: „Skoro tylko cokolwiek podrosną trzyletnie i czteroletnie dzieweczki, trzeba, aby sprzątały swoje ubranka, zabawki, ojca i matki obuwie, podawały kawałki drewien, kartofle i t.p. usługi spełniały. Jeszcze starsze, czteroletnie i pięcioletnie powinny już pomagać przy domowych porządkach. Niech zamiecie izbę, zetrze stół, ławę, umyje miskę, naniesie drewek, rzuci kurom jeść, zapędzi prosiaka do chlewika, aby przywykała powoli do zajęcia”.



Wiejska dziewczyna musi być przede wszystkim „robotna”, gdy tylko zaczyna chodzią, uczy się swojej roli harowaczki.
Fot. Leopold Węgrzynowicz

Przez pierwsze lata, zanim stanie się „istotne gospodarczo”, dzieckiem nikt się właściwie nie zajmuje, a w najlepszym wypadku opiekuje się nim rodzeństwo, starsze zaledwie o kilka lat. Gorzej, jeśli dziecko rodzeństwa jeszcze nie ma.

Kiedy w 1925 roku ojciec Marianny Sekiety ze wsi Anielin pod Łodzią wyjeżdża do Francji do pracy w kopalni, jej matka musi przejąć wszystkie prace w gospodarstwie. Zabiera więc kilkumiesięczną córkę

w pole, kleci prowizoryczną kołyskę z płachetki i kijów, dziecko leży w niej całymi dniami. Widok takiego bujanego wiatrem łóżeczka w polu to nic nadzwyczajnego, kobiety nazywają je bujką.

– Była jesień, niemowlę zachorowało na zapalenie płuc, ale nikt nie pomyślał, aby sprowadzić lekarza. Uznano: cóż, taki los. Niemowlę przykryto płócienkiem, bo wydawało się, że nic już się nie da zrobić – relacjonuje jedna z dwóch córek Marianny Wujak (z domu Sekieta), lekarka.

Rzeczywiście, śmierć dzieci zdarza się niemal w każdej rodzinie i tak często, że trzeba sobie powiedzieć po prostu: Bóg dał i Bóg wziął.

– Jednak, ku zaskoczeniu wszystkich, wkrótce spod całunu wydobył się płacz i oznajmił światu, że życie zwyciężyło – kontynuuje córka Marianny.

Odtąd jej matka rośnie zdrowo, a kiedy kończy pięć lat, przejmuje opiekę nad swoim półtorarocznym bratem. Całe życie wspomina moment, gdy braciszek wybiegł z nieogrodzonego podwórka prosto pod rozpędzone konie. Miała szczęście: w ostatniej chwili zdążyła go złapać. W 1933 roku okaże się, że jej dotychczasowe dzieciństwo było jednak beztroskie. Teraz kończy osiem lat i rodzice decydują, że oddadzą ją na służbę do bogatego gospodarza. Musi sobie zapracować na jedzenie.



Kobieta łemkowska, rok 1935

– Mama była posłuszna, grzeczna, pracowita i odpowiedzialna, więc nadawała się, by ją posłać na służbę do innego chłopskiego gospodarstwa. Głównym jej obowiązkiem było pasanie krów, ale także sprzątanie, zamiatanie, karmienie drobiu i pomoc przy opiece nad dziećmi. Babcia dostawała jakieś grosze, a mama strawę. Karmiono ją marnie. Gospodyni sama piekła chleb na cały tydzień. Niestety, nie było to pyszne, ekologiczne pieczywo, ale rodzaj gliniastej buły, którą trudno było po tygodniu ugryźć. Na pajdę chleba kładziono pokrojonego gotowanego buraka – relacjonuje córka Marianny Wujak.

W ciągu następnych czterech lat dziewczynka będzie służyć u trzech gospodarzy. Skończyła już dwanaście lat i wciąż nie może mieszkać w domu swoich rodziców. Służąca potrzebna jest od rana do wieczora. Ale zapada na jaglicę, rozpowszechnioną na polskich wsiach chorobę oczu – tak zwane egipskie zapalenie spojówek i rogówek, które nieleczone kończy się ślepotą. Jej mama dowie się o tym od sąsiadki

gospodarzy, u których służy dziewczynka, i wtedy zabierze Mariannę do domu. Zaniedbana fizycznie, niedożywiona, po kryjomu spija śmietankę z mleka. Długo nie dojdzie do siebie. Zacznie miesiączkować, dopiero gdy skończy siedemnaście lat. – Do szkoły zaczęła chodzić, gdy miała jedenaście lat, ale po trzech latach rozpoczęła się okupacja i na tym się jej edukacja skończyła. Droga awansu społecznego została zamknięta – ubolewa córka.

O losie służących w wiejskich gospodarstwach pisze ze zgrozą Zofia Lipina w „Kobiecie Wiejskiej" w 1939 roku, stwierdzając, że fatalne warunki służby to „ukryta, jątrząca się rana w życiu społecznym wsi".

Bogaci chłopi w charakterze służby zatrudniają zwykle dziewkę, parobka i pastucha, mniej zamożni – tylko dziewkę lub pastucha. „Przeważnie służba przesiaduje po chlewach, stajniach i strychach i nie ma dla niej miejsca w domu mieszkalnym. Odżywia się służbę byle czym i byle jak. Dla siebie gotuje się grymaśne frykasy, a służbie rzuca się byle ochłap, nie bacząc na jej ciężką pracę". Lipina opisuje, że spotkała dom, w którym, gdy gospodyni i gospodarz jedli ciepły obiad, służąca w tym czasie sprzątała koło świń i krów. „Mówili mi, że ona nigdy z nimi nie je, bo nie lubi ciepłego jedzenia, tylko zimne".

Służący chłopów pracują za byle co, bo rodzice pastuszków i dziewek boją się upomnieć o więcej, a wielu z nich to sieroty. Służba wiejska nie jest ubezpieczona, nie ma opłacanej Kasy Chorych, jak służący w miastach. „Wyzyskiwani, nie liczący się wprost ludzie, ogłupieni pracą nad siły, pchają swoje smutne życie, nie zdolni nawet do sprzeciwu gdy im się dzieje krzywda. Ledwo taki z kołyski wylezie, a już hajda ze służby na służbę od gospodarza do gospodarza" – pisze Zofia Lipina i nawołuje kobiety, aby zaczęły troszczyć się o swoich służących: „Opłaci nam się to stokrotnie, bo zdobędziemy sobie z niej przyjaciół, a nie wrogów, którzy skrycie całą duszą nas nienawidzą, jak często dzieje się teraz".



Gdy się jest biednym, rodzina musi pracowaą więcej. Dzieci bardzo się do tego przydają. Okolice Bochni, rok 1932

Wiejskie dziewczyny, jeśli nie pracują zarobkowo, stopniowo obarczane są coraz poważniejszymi obowiązkami, a wiele z tych prac przerasta ich siły fizyczne. Jeżeli dziewczyna wygląda na krzepką, nikt jej nie oszczędza.

– Miałam dwanaście lat, jak zaczęłam prać. Brało się pościel, ubrania, szło się do rowu, kładło deskę, stawało się na tej desce i kijankami[4] prało. Byłam bardzo drobna, więc nie musiałam prać tak dużo jak moja silniejsza siostra, która musiała po mnie poprawiać, bo była większa –

opowiada Janina Krasucka ze wsi Białki na Mazowszu. Wkrótce stanie przed nowymi zadaniami, między innymi razem z rodzeństwem zacznie w polu „odrabiać konia”. To sformułowanie, dziwne i niejasne dla tych, którzy niewiele wiedzą o pracy rolników, pojawia się bardzo często w rodzinnych opowieściach ludzi ze wsi. Dotyczy uboższych rodzin, które nie mając swojego konia, pożyczają go od bogatszego gospodarza, a następnie rodzina w rewanżu pracuje na jego polu, by odpracować pożyczkę. Zwykle odbywa się to tak: kiedy ojciec Janiny Krasuckiej potrzebuje zwieźć kartofle z pola, dzieci idą pielić na polu gospodarza, który pożyczył konia. Wymiana usług i wspólne zależności należą do zasad wiejskiej wspólnoty, bez tego trudno przeżyć. A gdy się jest biednym, trzeba pracować więcej. Dzieci bardzo się do tego przydają.

Wiele lat potrzebowała Sophia Turkiewicz[5], australijska reżyserka, aby dotrzeć do Oleszowa, pagórkowatej wioseczki na zachodniej Ukrainie, która przed drugą wojną światową należała do Polski. Pierwszą taką próbę podjęła w 1976 roku jako absolwentka szkoły filmowej w Sydney. „Gdy byłam młoda, na historii twojego życia uczyłam się sztuki opowiadania” – powie po latach, w poruszającym filmie dokumentalnym o swojej matce *Once My Mother*. Ponieważ wykorzystała w nim stare taśmy, widzimy je obie: trzydziestoletnia Sophia kręci sceny z udziałem wciąż jeszcze młodej Heleny Skwarek. Szczupła, w dżinsach i w podkoszulku w paski kieruje kamerę na matkę, która miesza w garnku stojącym na gazówce.



Wiejskie dziewczyny, jeśli nie pracują zarobkowo, stopniowo obarczane są coraz poważniejszymi obowiązkami, a wiele z tych prac przerasta ich siły fizyczne

„Czy myślisz, że twoje życie było niezwykłe?” – pyta Sophia. Helena się uśmiecha. „Ja też cię kocham” – odpowiada.

Niedługo potem Sophia zarzuca dokumentowanie losu matki. „Twoje opowieści stały się dla mnie ciężarem” – wyjaśnia.

Decyduje się do nich wrócić po niemal trzydziestu latach, gdy odwiedza matkę w wiosce dla seniorów im. Jana Pawła II pod Adelajdą i dociera do niej, że ją traci. Znów filmuje matkę, ale teraz ich dialog

okazuje się trudniejszy. Na fotografii, którą pokazuje mamie, widać dwie uśmiechnięte młode kobiety, obie w mocno rozkloszowanych spódnicach, jakie nosiło się w latach pięćdziesiątych.

– *Do you remember who is in this picture?* – pyta.

– Ty – odpowiada Helena.

Rozmowy matki i córki toczą się w dwóch językach. Niezauważenie obie przechodzą z polskiego na angielski i odwrotnie, czasem w połowie zdania.

– Nie. *It's you, when you were twenty.*

– Ach, *when I was young*... Ale niepodobna. – Zamyśla się. Po chwili, wzdychając, dodaje: – Jakie to było życie, prawda?... Rozrzucone.

Niedługo potem Sophia jedzie filmować sierociniec Goodwood w Adelajdzie. Dla niej wszystko zaczęło się właściwie tutaj.

– Tu się dowiedziałam, że mogę cię w równym stopniu kochać, co nienawidzić. Przez lata grałam rolę sumiennej córki. Dobrze ją grałam. Ale jakaś część mnie nigdy nie zapomniała, że mnie opuściłaś. Moja głowa walczyła z moim sercem. Zdaniem serca twoja zbrodnia nie miała sensu. Matki przecież tak nie postępują. Teraz zadaję sobie pytanie: czy nie za ostro cię oceniałam? I czy w ogóle cię znałam? Może odpowiedzi znajdę w opowieści, którą kiedyś porzuciłam.

Wtedy właśnie wyrusza w podróż do Oleszowa, ukraińskiej wioski leżącej trzydzieści kilometrów od Iwano-Frankiwska.

Gdy przyjeżdża razem z mężem, Stephenem Schedingiem, który zostanie jednym z operatorów filmu, jest 2007 rok. Na polnej ścieżce witają ich zgarbiona stara kobieta w chustce, podpierająca się kijem, i piejący kogut. Australijczycy wzbudzają sensację, schodzi się coraz więcej mieszkańców i wkrótce przyjezdnym udaje się odnaleźć dom rodzinny Heleny. Drewniana chałupa, opustoszała i ponura, wydaje się domem z tamtych czasów: niski sufit, zielone ściany, niebieski kredens, drewniane łóżko, a na ścianach makatka i kilka świętych obrazów.

Sophia w skupieniu chodzi po ciemnej izbie, niczym po muzeum. „Dziwnie się czuję w tym domu. Wiem, że dla ciebie pełen jest jedynie smutku” – mówi do kamery, a po chwili, tym razem siedząc przy stole z ceratowym obrusem, dodaje: „Zastanawiam się, czy urodziłaś się w tym właśnie domu, gdzie twoja matka zmarła kilka tygodni po urodzeniu cię, a twój ojciec, zanim skończyłaś sześć lat”.

Gdy wróci do Australii, pokaże mamie jej dom, a ona powie: „Moi rodzice... Nic nie pamiętam, bo ja jeszcze byłam małe *baby*, kiedy moi rodzice zmarli. Chciałam zobaczyć moją mamę. Ale nigdy jej nie zobaczyłam”. Z filmu córki dowie się też, że jej siostra Katarzyna została zabita przez Sowietów, przekażą to Sophii mieszkańcy Oleszowa, wyjaśniając, że gdy Sowieci tu przyszli, próbowała uciekać. Ale ją dogonili. Podczas rozmowy z mieszkańcami Sophia wymienia też nazwisko: Nahirna. To nazwisko wuja Heleny.

Sophia: – Pamiętam opowieść o twoim wujku. Kazał ci pracować w swoim gospodarstwie.

Helena: – Nie chciał mnie. Miał pięcioro dzieci. Wszystkie posłał do szkoły. Tylko nie mnie. Chyba go za to znienawidziłam. Myślę, że dobrze by mi szło w szkole. Gdyby mi dali szansę. Gdy byłam starsza, myślałam: jestem nikim. Bo wszyscy inni chodzili do szkoły, a ja nie. Nie mogłam nawet napisać własnego nazwiska. Bardzo się wstydziłam. Nie wiem dlaczego. Dalej się wstydzę, bo nie chodziłam do szkoły. Nie chcę, żeby na mnie patrzyli, jak piszę własne nazwisko.

Kamera córki zwrócona jest na dokumenty matki. W miejscu podpisu widzimy odciski jej trzech palców. Nieco wyżej: Skwarek, jakby pisało dziecko, które stawia dopiero pierwsze litery.

Helena: – Miałam dziewięć albo dziesięć lat, jak wujek mnie wyrzucił. Powiedział, że nie ma dla mnie czasu. Nie wiedziałam, co robić, dokąd pójść. Gdy byłam głodna, kradłam trochę chleba. Nie miałam gdzie spać. Czekałam na noc i chowałam się do jakiejś szopy, bo się bałam. Wychowałam się na ulicach. Bez ludzi, bez nikogo... Tak.

– I co się stało? – pyta córka.

– Nic się nie stało. Wyjechałam, opuściłam wioskę.

Sophia z offu: „Opuściłaś i nigdy nie wróciłaś. Nie wzięłaś ze sobą żadnego dokumentu, żadnego dowodu na swoje istnienie”.

Helena tuła się przez pięć lat po Stanisławowie. Dziecko ulicy, jak wiele podobnych do niej, idzie na służbę, to daje jej dach nad głową i wikt. Gdy we wrześniu 1939 roku Rosjanie zajmują tę część Polski, pracuje w piekarni, głównie myje naczynia, ale budzi niechęć żony piekarza, która z byle powodu ją strofuje, a któregoś dnia uderza w twarz tak silnie, że z nosa Heleny tryska krew. Dziewczyna potrzebuje, aby ktoś ją obronił. Powiadamia rosyjskich żołnierzy. Przychodzą i po żonę piekarza, i po Helenę. Po dwóch miesiącach aresztu wraz z innymi Polakami zostaje deportowana i zesłana do gułagu. Tak rozpoczyna się jej trwająca ponad pięć lat podróż przez Uzbekistan, Persję, Rodezję aż do Adelajdy.

Przeżywa wielką grozę, ale też wspaniałą miłość i ogromną zdradę. A także potężne szczęście: w obozie dla uchodźców w Rodezji rodzi Sophię. Jako cel swojej emigracji wybiera Australię, chociaż planowała się dostać do Wielkiej Brytanii. Jest jednak matką z nieślubnym dzieckiem, a wobec takich kobiet ówczesny świat jest bezwzględny. Nie chcą jej tam. Z tych samych powodów nie może w Australii znaleźć pracy, ale bez zajęcia zarobkowego nie jest w stanie utrzymać dziecka. Postawiona przed dramatycznym wyborem decyduje się oddać Sophię do sierocińca. Aby móc ją odzyskać, wyjdzie za mąż za mężczyznę, który domyśla się, dlaczego zdecydowała się go poślubić.

Droga Sophii do szczerego, uwolnionego od żalu kontaktu z matką prowadziła przez bunt i ucieczki, którym towarzyszył też wstyd. „Byłaś niewykształcona, nie mówiłaś po angielsku. Nie chciałam, aby moi znajomi widzieli mnie z tobą” – wyznaje w filmie.



Sophia Turkiewicz, australijska reżyserka, o swojej polskiej matce opowiedziała w poruszającym filmie dokumentalnym *Once My Mother*. Rok 1985

Właściwie dopiero gdy komunizujący przyjaciele z uniwersytetu uzmysłowili Sophii, że życiorys jej matki jest zupełnie niezwykły, spojrzała na nią jak na potencjalną bohaterkę swoich filmów. Wykorzystywała więc motywy z życia matki w fabułach, ale wciąż czuła, że nie jest to szczera i pełna opowieść. Aż wreszcie wyruszyła do Oleszowa, a potem zbadała kolejne etapy losów Heleny i mogła wreszcie spuentować jej życie w ten sposób: „Przeżyłaś piekło, ale wyszłaś z niego z miłością w sercu”.

Podróż do Oleszowa wiele zmieniła, nie tylko obraz ich powikłanej relacji. „Przedtem moje poczucie tego, kim jestem, rozgrywało się jakoś w próżni. Nie miałam żadnego związku rodzinnego z poprzednim pokoleniem poza moją matką. Miałam ojczyma i dwóch braci w Australii, ale nie istniały żadne połączenia poza to jedno pokolenie. Nie było ocalałych ciotek ani wujków, żadnych siostrzenic ani siostrzeńców,

żadnych dziadków w naszej rodzinie. Kiedy moja matka mówiła o swojej matce, to nigdy nie przyszło mi do głowy, że mówiła o kobiecie, która była moją babcią. Nigdy nawet nie nazywałam jej babcią, kiedy rozmawiałyśmy, zawsze używałam sformułowania «twoja matka». Teraz, gdy byłam w wiosce, włócząc się po polach i polnych drogach, nagle te relacje stały się rzeczywistością. Mogłam je sobie wyobrazić. Moi przodkowie nie byli już abstrakcyjnymi ideami. Po raz pierwszy zrozumiałam, jak to jest mieć przeszłość pokoleń" – pisze w postscriptum do filmu *Once My Mother*.

Do Inspektoratu Szkolnego w Przeworsku

Podpisana Sierota Stefania Jamróz prosi najłaskawiej o zwolnienie mię [wyraz nieczytelny] Szkoły zpowodu źe jestem sierotą bez ojca i bez Matki jak ojciec i matka pomarli było mi 6 miesięcy ojciec i matka pomarli w jednym miesiącu na tyfus plamisty nieznałam ojca ani matki moi. Obcy ludzie mnie chowali, chodziełam tylko do 2gi klasy ateras musze służyą nie mogę chodzią do Szkoły bo kto mi da okrycie obócie i wyżywienie.

Przeto, źe jestem całom sierotom bez Ojca i Matki bez uczymania i jest mi lat 15, proszę Najłaskawiej zwolnic mie ze Szkoły.

3.09.1931, Hucisko Jawornickie

Gruźlica, dyzenteria, tyfus i brak możliwości leczenia dziesiątkują rodziny. Dzieci pozostają zdane tylko na siebie i najczęściej ratują się, służąc w zamian za utrzymanie. Stefania od lat już żyje w ten sposób, ale inspektor oświatowy upomina się o nią, mimo że nie ma najmniejszych szans, aby mogła się uczyć, choćby bardzo chciała. Wraz z podaniem Stefanii zachowało się oświadczenie kierownika szkoły w Hucisku Jawornickim, który potwierdza, że uczyła się w szkole zaledwie rok, ponieważ „jako sierota przebywa stale na służbie", i przychyla się do prośby dziewczyny, rozumiejąc, że ta nie może się uczyć, skoro musi służyć, żeby przeżyć.



Dzieckiem nikt się właściwie nie zajmuje, w najlepszym wypadku opiekuje się nim rodzeł stwo, starsze zaledwie o kilka lat.
Fot. Leopold Węgrzynowicz

Niewiele lepsza okazuje się sytuacja półsierot. Wdowiec lub wdowa zwykle bardzo szybko zakładają nowe rodziny. Dla dzieci oznacza to zwykle jeszcze większe osamotnienie, a czasem głód. Często każdy z małżonków ma już swoje potomstwo, czasem liczne, a wkrótce pojawiają się ich wspólne dzieci, mawiają więc: „Mamy dzieci moje, twoje i nasze". Gdy układ nie jest symetryczny i tylko jedno z nich ma dzieci, są one traktowane po macoszemu. W sensie dosłownym.

Rodzice Heleny Rabendy, urodzonej w 1923 roku w Woli Skrzynno (dziś Wola Rudlicka) pod Wieluniem, kupują kawałek ziemi z parcelacji[6], ale okazuje się, że na grunt nałożona jest hipoteka i ma on niewielką wartość. Ojciec zakłada wtedy sklepik. I pije. Ale potem umiera matka Heleny. „Trudno zrozumieć śmierć gdy się ma 10 a nawet i więcej lat. Gdy leżała w trumnie zdawało mi się że tak zostanie, ale gdy

Ją wynosili poznałam że to prawda i że więcej Jej nie ujrzę. A matkę miałam b. dobrą i mądrą" – pisze Helena po latach. „Po roku ojciec ożenił się po raz drugi. Wziął żonę trzynaście lat młodszą od siebie. [...] Często ją bił. Często uciekała. Potem znów przychodziła. No i naturalnie ja byłam wszystkiemu winna. Bo to przeze mnie. Gdy dostałam swoją pierwszą miesiączkę w ogóle nie wiedziałam co to jest. Wstydziłam się o tym powiedzieć macosze, napisałam jej kartkę. Powoli robiłam się skryta, nieufna, a nawet zła. Ojciec pił coraz bardziej" – wspomina.



Helena Rabenda

Ze świadectwa nauki w trzyletniej szkole powszechnej w Radoszewicach wynika, że Helena uczy się pilnie, stopnie dostaje bardzo dobre (sprawowanie, religia, robótki kobiece, ćwiczenia cielesne) lub dobre (matematyka z geometrią, przyroda, geografia).

Jednak o dalszej nauce nie ma mowy, musi zarabiać. Skończyła już piętnaście lat. W sam raz na służącą do mieszczańskiego domu. Co czwarta służąca ma piętnaście lat i mniej. Posadę Helena znajdzie bez problemu. Macocha wysyła ją do Częstochowy. „Pamiętam dokładnie ciemny pokój, nas kandydatek na służące z 15 i panie, które przychodziły wybierać swe pomoce domowe. Mnie też jakaś wybrała. Dom, gdzie mnie przyjęto, był duży, rozległy. Państwo mieli jakąś fabrykę figurek św. Oboje chorowali na żołądek i byli na diecie. Codziennie jedli niesolony krupnik. Mnie kazano gotować, sprzątać, robić zakupy. Jasne, że tego nie umiałam. Po miesiącu mnie zwolniono. Dostałam drugie miejsce, podobne. Pani miała sklep przy Jasnej Górze z dewocjonaliami".

To trudna praca, no i tułanie się po obcych domach. Ojciec postanawia wysłać Helenę do krewnych. Ma pomagać, ale to przecież rodzina, powinno się jej poprawić.

Z pamiętnika, który Helena zaczyna prowadzić u ciotki, dowiadujemy się jednak, że: „Ciocia w bardzo kwaśnym humorze [...]. Jeszcze ani słowa nie przemówiłyśmy do siebie. Potem ja odezwałam się, ale cóż ciocia kwaśna, że rozmowa się stała dla nas męczącą. I po raz setny pomyślałam sobie kiedyż będę miała swój własny dach nad głową. Och, jak to ciężko korzystać z cudzej łaski".

Helena Skwarek, Stefania Jamróz, Helena Rabenda, najzbędniejsze ze zbędnych. O takich dziewczynkach jak one nie pisze się w ówczesnych gazetach, ich losy są zbyt powszechne i trywialne. Ich życie to walka o przetrwanie. Im szybciej to zrozumieją, tym lepiej dla nich.

ROZDZIAŁ 3

PANIOM NIE BĘDZIESZ

Wystarczy obserwowaą, gdy idą, a raczej suną do szkoły, odziane zimą w kożuch ojca i „siedmiomilowe buty" będące własnością całej rodziny, by zrozumieą, że nie mogły przyzwyczaią się do ruchów lekkich i zgrabnych.

Wilhelm Kalita, nauczyciel z Pokucia

W 1921 roku 40 procent mieszkańców polskiej wsi to analfabeci[7]. Najgorzej jest na wschodzie; dotychczas – w zaborze rosyjskim – obowiązek szkolny nie istniał, posyłanie dziecka do szkoły uznawano tam za zbytek lub zawracanie głowy. Zresztą, czy każdy jest na tyle zdolny, by uczyć się w szkole? „Pewien procent młodzieży nie da się nauczyć czytać. Ile wśród niej jest kretynów, ile zaniedbanych sierot, a ile lekkomyślnych leniów, trudno odgadnąć. Młodsze kobiety i dziewczęta odznaczają się na ogół większą pilnością, bo więcej z nich umie czytać w porównaniu z mężczyznami" – pisze Franciszek Dziedzic, ekonomista, profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Po części ma rację – o ile wśród starszych więcej mężczyzn niż kobiet potrafi czytać, w młodszej grupie przeważają czytające dziewczyny.

W nowo powstałej Polsce od 1919 roku wszystkie dzieci od siedmiu do czternastu lat muszą chodzić do szkoły. Ale są i wyjątki: jeśli uczeń musiałby przejść więcej niż trzy kilometry albo gdy rodzice poproszą o zwolnienie ze szkolnego obowiązku z powodu choroby lub biedy. Podania w tej sprawie słane są z różnych stron Polski każdego dnia.

Do Pana Inspektora R. Sz. P. w Przeworsku

Ja niżej podpisany Józef Tadla, zam. w Hucisku Jawornickim, powiat Przeworsk upraszam łaskawie o zwolnienie ze szkoły mojej córki urodzonej 16. 1. 1917 roku, a uczęszczającej do 4 klasy, ponieważ jestem biedny, a i tak posyłam oprócz niej dwoje dzieci do szkoły, które jest mi ciężko troje dzieci do szkoły posyłaą, z powodu

tego, że na wsi taka bieda wskutek tanich produktów rolnych, że nie można tych dzieci w żaden sposób okryą i obuą.

Józef Tadla
Hucisko 19/7/1931

Inspektor z pewnością zna sytuację rodzin chłopskich. Wie, że wielu z nich naprawdę nie stać na buty dla dzieci, a idzie jesień i nie da się już dłużej chodzić boso. W piśmie z 11 września 1931 roku przychyla się więc do prośby Józefa Tadli, którego córka do szkoły już nie pójdzie co najmniej do wiosny, kiedy ziemia się ogrzeje.

„Szkołę mam 3 oddziałową za rosyjskich czasów, a dziecko moje dopiero w tym roku zacznie szkołę ale martwię się jak tu posyłać kiedy ciężko na zeszyt i tą stalówkę, a tu trzeba ubranie lepsze i jakie buty chociasz drewniane bo latem boso może chodzić ale zimą to musowo w drewniakach bo na inne mnie nie stać a ja jak chce iść do kościoła choć raz w miesiącu to terz pożyczam sobie butów od sąsiadki" – pisze w ankiecie Janina Praszczyk ze wsi Strzelce Wielkie w centralnej Polsce. Gospodyni małego gospodarstwa wychowuje dzieci sama, bo mąż, jak twierdzi, od pięciu lat hula po Francji, a do niej nawet nie pisze.

Jadwiga Szkraba urodziła się w małej beskidzkiej wiosce Oderne, położonej wśród dworskich lasów, kilkanaście kilometrów od granicy z Czechosłowacją. Przybyli tu jej dziadkowie, gdy pod koniec XIX wieku postanowiono zbudować hutę szkła i sprowadzono robotników. „Byli to ludzie najbiedniejsi, którzy nie mogli sobie wybrać lepszego losu, więc mieszkanie w barakach, bardzo ciężka praca od świtu do nocy i bardzo liche wyżywienie było dla nich wystarczające. Po wyrąbanym drzewie na opał do huty pozostały wyręby, które robotnicy nocami wykarczowali, by zdobyć jakiś zagon do obsiania zbożem" – wspomina. Kilkanaście lat po osiedleniu się wyrobników w Odernem właścicielka majątku zlikwidowała hutę szkła, ale robotnicy tu pozostali, w tym także rodzina Jadwigi, płacąc wielmożnej pani wysokie czynsze za dzierżawę gruntu, toteż bieda nie odpuszczała.

„Najwięcej zmartwienia w moim życiu – pisze po latach Jadwiga Krok z domu Szkraba – było z powodu szkoły, do której chciałam koniecznie chodzić, a nie miałam butów”.

W dzień, kiedy się dowiaduje, że nie będzie się uczyć w szkole, wpada w rozpacz i do wieczora płacze. Matka gorączkowo szuka sposobu, by Jadwiga mogła chodzić do szkoły bez butów pomimo zimna.

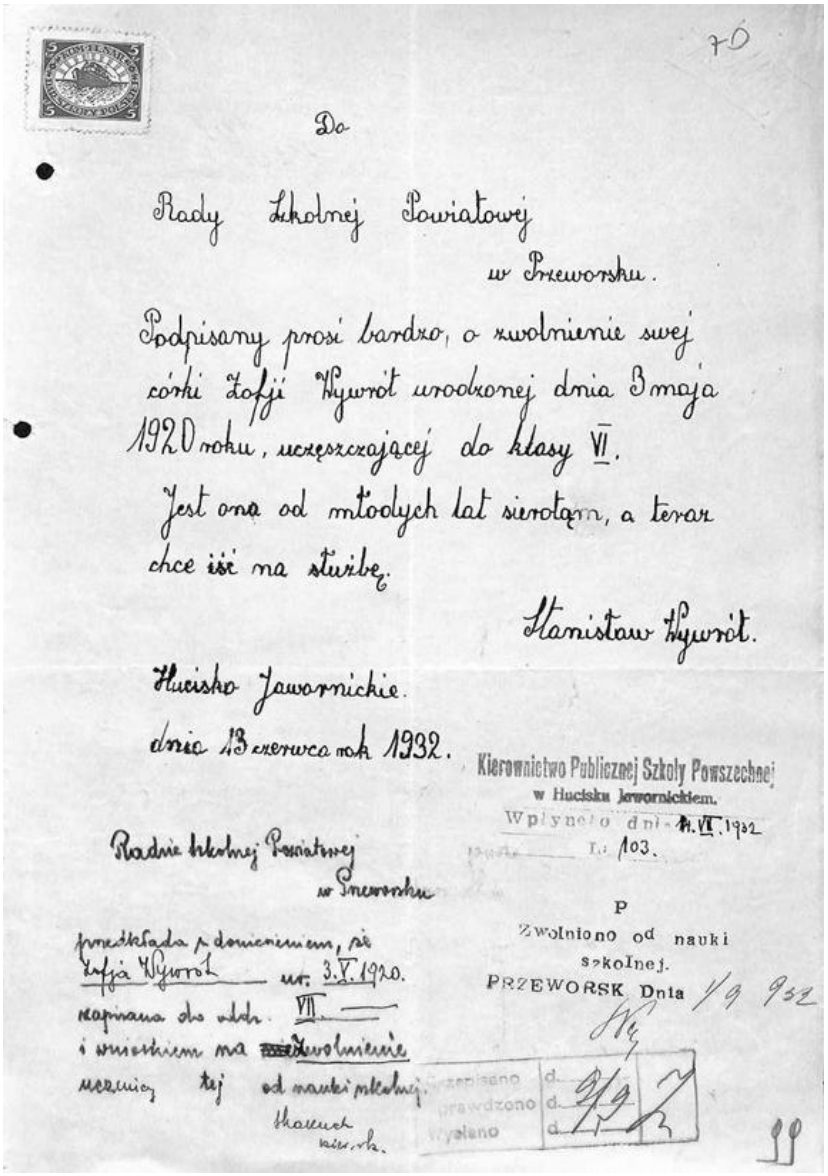
„Na drugi dzień rozścieliła matka zgrzebną płachtę na podłodze, na której mi kazała stanąć, zawiązała mię w dwa rogi i podała bratu na plecy, żeby mnie zaniósł do szkoły. Brat, który się wstydził, ledwo mię doniósł do sionki, ale ja nic z tego sobie nie robiąc, szczęśliwa wchodziłam boso do klasy, że mogę się uczyć, siadałam w ławce, podwijając nogi pod siebie, bo mi było zimno” – wspomina. Niekiedy po lekcjach, gdy brat się spóźniał, czeka na niego w nieopalanej sieni, znów podwijając pod siebie nogi, ale dumna z siebie, bo nauczyła się pisać.

Szkoła zmienia Jadwigę. – Babcia trafiła na wspaniałą nauczycielkę, dzięki której nauczyła się pisać wiersze, pokochała teatr i występowała w przedstawieniach. Skończyła tylko cztery klasy, ale to szkoła ją ukształtowała – wspomina Lucy Davis, wnuczka Jadwigi Szkraby. Jadwiga wyjdzie za mąż za starszego od siebie o dziesięć lat, równie biednego jak ona analfabetę. – Babcię doprowadzało to do rozpaczy, próbowała nauczyć go pisać i czytać, ale dziadek potrafił tylko podpisać się imieniem i nazwiskiem.

Najczęściej to matki organizują dziecku wszystko, co potrzebne, aby mogło pójść do szkoły. Z nabiału, który sprzedadzą, lnu, który wysieją, jajek, które zaniosą na targ, starają się uciułać, żeby było na tabliczkę[8], rysik, zeszyt, ubrania, buty. Gdy się nie uda, wtedy coś klecą, jak matka Jadwigi tobołek, albo oddają dziecku własne buty.

„Buty miał potworne. Jeden trzewik był mój, a drugi stary but ojca o dużym rozmiarze. Ale co miałam począć, jak mnie nie stać było na lepsze okrycie, a chciałam koniecznie, żeby się nauczyli chociaż cokolwiek, żeby chociaż syn potrafił list napisać, żeby umiał odczytywać napisy nad sklepami. A jak dorośnie, żeby umiał odczytywać

drogowskazy, gdzie prowadzą drogi w świat za pracą i chlebem” – wspomina wyrobnica folwarczna, która wyprawiała syna do szkoły na początku lat trzydziestych.



Do

Rady Szkolnej Powiatowej

w Przeworsku.

Podpisany prosi bardzo, o zwolnienie swej córki Zofji Wywrot urodzonej dnia 3 maja 1920 roku, uczęszczającej do klasy VI.

Jest ona od młodych lat sierotą, a teraz chce iść na służbę.

Stanisław Wywrot.

Hucisko Jawornickie.

dnia 13 czerwca roku 1932.

Kierownictwo Publicznej Szkoły Powszechnej
w Hucisku Jawornickiem.
Wpłynęło dni 14.VI.1932
L. 103.

Radzie Szkolnej Powiatowej
w Przeworsku

P

Zwolniono od nauki szkolnej.
PRZEWORSK Dnia 1/9 932

przedkłada z doniesieniem, że Zofja Wywrot ur. 3.V.1920. wpisana do szkoły VII i wnioskiem na ~~nie~~zwolnienie niniejszej tej od nauki szkolnej.

Skarbek
nacz. szk.

zwolniono d. 2/9
sprawdzono d. 1/9 32
wysłano d.

Uczeł może zostaą zwolniony z nauki w szkole, jeśli musiałby przejśą więcej niź trzy kilometry, a także z powodu choroby lub biedy



Jadwiga Somla z uczennicami

Jeśli się chodzi latem boso do szkoły, nie trzeba się wstydzić, w wielu regionach to norma. Dopiero kiedy spadnie śnieg, trzeba założyć przynajmniej drewniaki, które zrzuca się w ciepłe wiosenne miesiące. W szkole pamiętnikarki spod Tarnowa nauczyciel ustawiał dzieci pod ścianą budynku i sprawdzał, czy mają czyste nogi. „Bo gdy nastał wieczór, to miast umyć nogi, niejedno dziecko przepracowane za krowami, a niejednokrotnie przy wykopkach, zasypiało natychmiast i tak z dnia na dzień narastało tego błota. Nauczyciel witkami z młodych gałązek wierzby każdemu takiemu dziecku przyłożył po nogach i kazał iść do rzeki umyć nogi, a tu zimna woda, niejednokrotnie i mydła nie było. Piekły te nogi okropnie, takie popękane, a trudno było je domyć”.

Kiedy dziecko idzie do szkoły, rodzina traci pracownika w gospodarstwie. Nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić.

Do Rady Szkolnej Powiatowej w Przeworsku

Podpisany prosi uprzejmie o zwolnienie córki swej Bronisławy Fudali od uczęszczania do szkoły klasy V. Urodzonej dnia 23 października 1919 roku. Poniewarz jest najstarszą w domu i musi pomagaą rodzicom przy pracy.

Hucisko Jawornickie

Dnia 26. IX. 1932

Kiedy inspektor sprawdził w szkole, jak wygląda sytuacja Bronisławy, okazało się, że dziewczyna powtarza klasę i nie przykłada się do nauki. Nauczyciele i inspektorzy wiedzą, jak rodzice traktują szkołę i że pasionka wydaje im się ważniejsza od nauki, a czasem rzeczywiście nie mają wyjścia, bo nie stać ich na zatrudnienie kogokolwiek, kto zastąpi dziecko. Albo uważają, że nauka nie ma w życiu kobiety najmniejszego znaczenia.

„Po co ci szkoła? I tak paniom nie będziesz" – słyszą córki.

Apolonii Księżopolskiej z domu Sikorskiej, urodzonej w Skupiach na Mazowszu, szczęście w życiu sprzyja.

– Ojciec mamy, a mój dziadek, Tomasz Sikorski, pracował jako cieśla. Drewniane domy, które budował ponad sto lat temu, wciąż stoją, więc myślę, że był dobry w swoim fachu – opowiada Michał Księżopolski, emerytowany nauczyciel fizyki. – Kiedy mama skończyła szesnaście lat, znalazł się kawaler, mój ojciec, który chciał się żenić, i dziadek się zgodził, bo jak ktoś się odpowiedni trafił, to wydawało się dziewczynę jak najszybciej.

Kawaler rzecz jasna okazuje się odpowiedni, nie startowałby przecież do córki bogatego cieśli, gdyby sam nie był zamożny. Aleksander Księżopolski, gospodarz na dziesięciu hektarach, posiadał nawet herb Półkozic. Po ślubie ojciec Apolonii wystawia im, jak się wówczas mówi, sporą chałupę i rodzina gospodaruje od razu na swoim, co spotyka się rzadko. Zwykle młodzi zamieszkują z rodzicami jednego z małżonków i resztą rodziny. Jednak, co najważniejsze, mąż Apolonii nie tylko jest pracowity i miły, ale także pozwala żonie rządzić, co prowadzi ją prosto do koła gospodyń wiejskich, gdzie zostaje wiceprzewodniczącą zarządu głównego. Robi teraz zawrotną karierę. Syn pamięta, jak pod koniec lat

trzydziestych odwozili z ojcem matkę końmi na stację kolejową, gdzie ona, wystrojona w tradycyjny mazowiecki strój, wsiadała do pociągu, aby pomknąć do stolicy na ważne uroczystości na najwyższym, państwowym szczeblu. Rzeczywiście, znajdujemy nazwisko Apolonii Księżopolskiej w artykule *Chłopi siłą narodu polskiego* z gazety „Dzień Pomorza" z roku 1937, i to w parze z samym marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym. Relacja z Kongresu Centralnego Młodej Wsi przenosi nas na Pole Mokotowskie do Warszawy, gdzie tego dnia zjawili się między innymi premier Felicjan Sławoj Składkowski i liczni ministrowie, przed którymi chłopskie organizacje paradują z transparentami: „Ziemia dla chłopów" oraz „W każdej wsi szkoła publiczna". Także na wielu innych fotografiach z najważniejszych uroczystości władz II RP obok oficjeli zobaczymy kobiety w strojach regionalnych. Władza lubi się przyozdobić kobietami z ludu. Jakby ktoś nie wiedział – wieś jest ważna, kobiety są ważne.

Apolonię Księżopolską, którą gazeta przedstawia jako gospodynię z powiatu sokołowskiego, spotyka tego dnia zaszczyt wyjątkowy: pełni funkcję matki chrzestnej sztandaru, który zostanie poświęcony, a którego ojcem chrzestnym jest właśnie marszałek Rydz-Śmigły.



Apolonia Księżopolska z mężem Aleksandrem

– Mama czuła dumę, że obraca się w wyższych sferach. Ale też wielki kompleks z tego powodu, że nie chodziła do szkoły. Dziadkowie nie widzieli takiej potrzeby, by kształcić córkę. Mama miała o to żal, uważała, że gdyby miała wykształcenie, zaszłaby w życiu dużo dalej. Czuła się też niepewnie z tego powodu, że była samoukiem. To ona nauczyła czytać i pisać swojego ojca, który też do szkoły nie chodził – opowiada Michał Księżopolski.

Brak szkolnego wykształcenia Apolonię nie tylko smuci, ale też mobilizuje. Zrobi wszystko, by wykształcić swoje dzieci. Cała czwórka skończy studia, ale to już we wczesnym PRL-u.

– Nauka miała dla mamy największe znaczenie, nic się w takim stopniu dla niej nie liczyło, dlatego jeszcze przed wojną moja najstarsza siostra wyjechała do szkoły gospodarczej z internatem do Drohiczyna, co na pewno dużo naszych rodziców kosztowało, ale dla mamy wykształcenie znaczyło więcej niż pieniądze – wspomina syn Apolonii Księżopolskiej.

Jeśli dziewczyna ma braci, zwykle to oni stoją przed nią w kolejce do edukacji. Bo jemu może się bardziej przydać, a jak pójdzie do wojska, będzie się potrafił podpisać.

Anielę Dobrowolską z Aleksandrówki, córkę dosyć bogatego chłopa, nazywają we wsi warszawianką. „Ja marzyłam o jakiejś szkole w Warszawie. Ojciec mamie często robił wymówki, «chowasz ich na Warszawianki, oszczędzasz ich», może to była trochę prawda, bo moja mama wstawała wcześnie, dawała koniowi obrok, doiła krowy, dalej brała się za kuchnię, a ja spałam do śniadania, ojciec był chory na astmę, to spał najdłużej. Cały ciężar gospodarski spadał na mamę, chciała nas ładnie ubrać, to każde jajeczko sprzedała, masła nie spróbowała, wszystko trzeba było sprzedać, żeby nas ubrać” – wspomina po latach. Jej marzenia stają się jeszcze intensywniejsze, gdy zakłada słuchawki radiowe należące do nauczyciela, który mieszkał w tym samym domu. „Myśli krążyły wtedy po głowie, gdybym mogła być kiedyś nauczycielką, żeby mi dzieci mówiły dzień dobry, jak temu panu, o jakbym była szczęśliwa”. Wszystko zależy od ojca, z którym prawie nie ma kontaktu. „Czułyśmy krępację do ojca, wszystkie sprawy załatwiałyśmy z mamą. Matka była dobrą, ojciec jak pamiętam zawsze poniżał moją mamę”. Po czwartej klasie prosi ojca, by mogła się uczyć dalej, i słyszy: nie. „Odpowiedział mi tyle, że będzie uczył braci, a dziewczynie szkoła niepotrzebna”. Do szkoły idą jej koleżanki, przede wszystkim z bogatych rodzin i córki kolejarzy. „Przykro mi było, to było moje pierwsze niepowodzenie, upadłam na duchu, stałam się już niższą”.

Radzi sobie tak, jak zwykle wiejskie dziewczęta czujące się zbędnymi: jedzie do Warszawy na służącą.

Badanie losów swojej rodziny wymaga gotowości, by się rozstać z wyobrażeniami i iluzjami na jej temat, a w związku z tym i na swój własny.

Piotr Kieżun, krytyk literacki, z zawodu socjolog i filozof, wyrastał wśród opowieści swojej babci nauczycielki, pochodzącej z mazowieckiej wsi Popławy (dziś część Pułtuska), które jak pisze, pozwoliły mu „zadomowić się w przestrzeni i czasie – uświadomić sobie, że jestem częścią jakiejś większej wspólnoty losów". Miał, przyznaje, szczęście: babcia Marylka, jak nazywa ją wnuk, poza świetną pamięcią posiadała też dar barwnego opowiadania. Kiedy więc w 2018 roku postanowił zarejestrować rozmowę rzekę, którą z nią przeprowadził, udało im się wspólnie stworzyć coś w rodzaju rodzinnej kroniki, sięgającej kilka generacji wstecz.

Maria Karpińska, babcia autora, urodziła się w 1932 roku w chacie krytej strzechą, ale jej rodzina należała do bogatszych gospodarzy. Na swój użytek uprawiali nieduży kawałek ziemi, hodowali kury i dwie krowy, ale utrzymanie rodzinie zapewniało stałe wynagrodzenie jej ojca, Telesfora Kaczmarczyka, piekarza pracującego w Pułtusku.

Jeszcze jego dziadek prowadził spore gospodarstwo w okolicy Zgierza, ale gdy popadł w długi, stracił je, a syn Adam, ojciec Telesfora, został flisakiem na Narwi. Rodzinie sprzyjało geograficzne położenie: tuż przy mieście i nad rzeką, dzięki czemu jej status miał szanse się poprawić. Sytuacja mieszkańców podmiejskich wsi była nieporównywalnie korzystniejsza od tych z wiosek oddalonych o dziesiątki kilometrów od przemysłowych ośrodków.

Gdy Telesfor Kaczmarczyk miał dwanaście lat, matka zaprowadziła go do pułtuskiej piekarni, aby tam nauczył się zawodu, a potem, dzięki stryjowi, podnosił swoje kwalifikacje w Warszawie. Gdy skończył trzydziestkę, ożenił się z Rozalią Nowosielską, mając dobry fach, a za

sobą doświadczenie dwóch lat walki na froncie pierwszej wojny światowej w armii rosyjskiej oraz uwięzienie w węgierskim obozie jenieckim, gdzie wypiekał chleb dla jeńców i żołnierzy.

Posada Telesfora, ale też pracowitość Rozalii, która zajmowała się domem i inwentarzem oraz przędła i tkała len, wyrabiając z płótna odzież dla bliskich i pościel, zabezpieczały najważniejsze potrzeby pięcioosobowej rodziny.

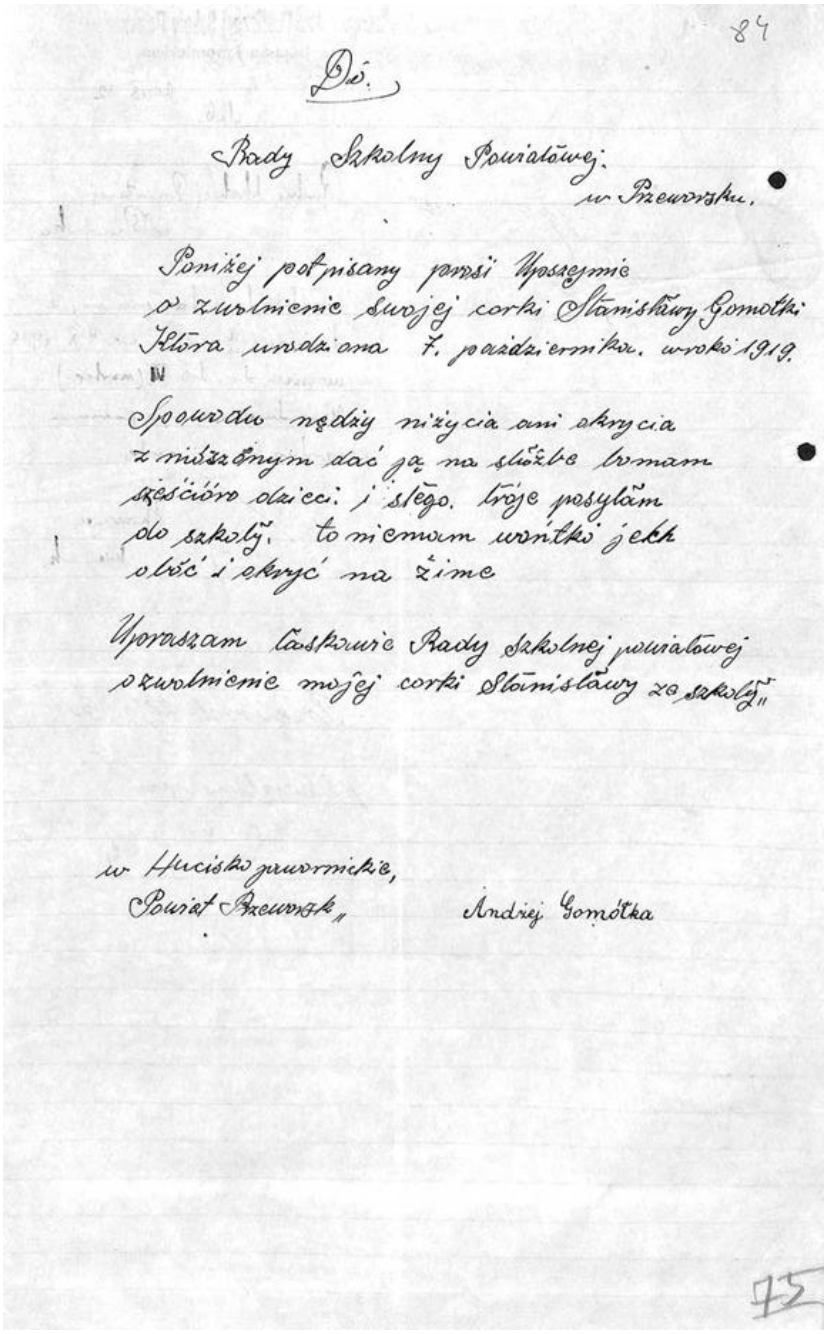
Także przodkowie Rozalii należeli do zamożniejszych. Jej matka, Aleksandra, zwana Olesią, córka kowala, dostała w posagu gospodarstwo i piękny, drewniany dom w Popławach. I choć mąż, którego znalazł jej ojciec, nie radził sobie z gospodarowaniem i niemal cały dorobek wyprzedał, Olesi udało się za ostatnie pieniądze kupić kilka hektarów ziemi i pół domu. Urodziła siedmioro dzieci, ciężko pracowała w domu i w polu i zapewniła synom wykształcenie. Natomiast córka, Rozalia, nigdy nie uczyła się w szkole. Jak wielu dziewczynkom rodzina wyznaczyła jej rolę opiekunki o kilka lat młodszych braci.

„Kiedyś na Popławy przyjechała nauczycielka – opowiadała w rozmowie z wnukiem Maria Karpińska, emerytowana nauczycielka. – Ktoś ją sprowadził i dawała lekcje w czyimś domu – na tej samej ulicy, na której ja się urodziłam. Mama od razu tam pobiegła, bo też się chciała uczyć. Babcia natychmiast do niej przyleciała i zawołała: «Ty tu siedzisz, a kto będzie dzieci pilnował?!». Więc pilnowała. Z dziadkiem chodziła w pole. Szczuplutka taka. Pewnego razu ledwie się już trzymała na nogach, a dziadek kosi i kosi, kosi i kosi. Mama nie mogła nadążyć. Przechodził jakiś sąsiad i mówi: «Franek, zobacz, toż ten dzieciak już pada, on już nie ma siły». To się dziadek obejrzał i mówi: «O matko jedyna, rzeczywiście, że nie ma siły!»”.

Piotr Kieżun przyznaje, że informacja o tym, że jego prababcia nie potrafiła się podpisać, zrobiła na nim wrażenie. „Byłem więcej niż zaskoczony. Ale wcale nie dlatego, że w porównaniu z nią jej młodszy brat skończył jako wykładowca na Politechnice Warszawskiej. Jego historia jest wyjątkowa i jestem tego świadomy. Było dużo sprzyjających

zbiegów okoliczności, które pozwoliły mu osiągnąć sukces. Po pierwsze, był mężczyzną" – relacjonuje Piotr Kieżun i tłumaczy, że przyczyniło się do tego przede wszystkim dobre gimnazjum w Pułtusku, jak również inspirujący nauczyciel z misją.

To jednak nie ta niesymetryczność, w końcu pewnie w jakiś sposób oczywista, zaskoczyła Piotra Kieżuna. „W przypadku prababci Rozalii zdziwiło mnie nie to, że nie była wykształcona, lecz że nie otrzymała nawet tej podstawowej edukacji w postaci umiejętności pisania i czytania. Jak to? Mama mojej babci, która była nauczycielką w szkole podstawowej, nie umiała czytać i ledwie się podpisywała? Oczywiście jestem świadomy, że skala analfabetyzmu w Polsce była duża, ale zawsze myślałem, że nie dotyczy to mojej rodziny. A na pewno nie tej bliskiej. W końcu mnie i prababcię dzielą zaledwie trzy pokolenia".



Do
Rady Szkolny Powiatowej
w Przewor[illegible]sku.

Poniżej podpisany prosi Uprasza
o zwolnienie swojej corki Stanisławy Gomółki
która urodziana 7. października. wroku 1919.

Spowodu nędzy niżycia ani obrycia
z mieszkaniem dać ją na służbe bo mam
sześcioro dzieci. i siego. troje posyłam
do szkoły. to niemam wzniku jekb
obuć i okryć na zime

Uprasza Łaskawie Rady szkolnej powiatowej
o zwolnienie mojej corki Stanisławy ze szkoły"

w Huciska przewrotskie,
Powiat Przewrosk" Andrzej Gomółka

75

„Spowodu nędzy życia...” Jedno z pism rodziców z prośbą o zwolnienie dziecka z obowiązku nauki

W II RP dla wielu chłopskich rodzin, szczególnie dla starszego pokolenia, szkoła i edukacja to wciąż sprawy pańskie, a nie chłopskie, tak było od wieków. Przyzwyczaili się do wykluczenia, powściągania ambicji, minimalizowania potrzeb i znajdowania swojego miejsca

w szeregu. Dobrze pamiętają, jakie wyrzeczenia ponosili ci, którzy sięgali po nie swoje.

Matka poety Tadeusza Różewicza, Stefania, mieszkająca w początkach XX wieku we wsi Szynkielów pod Wieluniem, wspomina: „Wieś była duża, i w stosunku do innych wiosek zamożna, ale dosłownie nie było jednej rodziny, żeby mogła sobie pozwolić na wysłanie dziecka, nawet zdolnego, do szkoły do miasta. Znałam kilku chłopców, nawet mogliby się uczyć, ale musieli iść do Niemiec na roboty. Dwóch z mojego pokolenia chciało na coś wyjść, jak to się mówiło, więc jeden z nich, Andrzej Kałużny, był kilka razy w Niemczech, aby sobie na naukę czy ubranie zarobić. Potem latał dziewięć kilometrów do księdza proboszcza, który go przygotował do którejś klasy, nie pamiętam czy do trzeciej, czy czwartej, w każdym razie wyjechał do jakiegoś seminarium, z którego wrócił bardzo wyczerpany. Drugi chłopiec to był Antoni Walasik. Musiał być bardzo zdolny, nawet wszechstronnie zdolny. Widziałam nieraz, jak z kory sosnowej rzeźbił różnych świątków i to naprawdę ładnie. Był samoukiem. Rodzice nawet mu nie dali na tabliczkę i rysik, więc pisał węglem, patykami po ziemi, a jak był starszy, chodził do Niemiec i uczył się pisać”.

Jednak gdy ojciec Stefanii Różewicz tłumaczy chłopom: „Szkoła bardzo waszym dzieciom potrzebna”, odpowiadają: „Panie, kto się zna na piśmie, ten się do piekła ciśnie”.

Część chłopów nie chce kształcić dzieci z poczucia odpowiedzialności za rodzinę. Ojciec to kierownik zespołu, a dzieci to kadra przedsiębiorstwa – jeśli zaczną się kształcić, kto za nich będzie robił? Matki mają jednak nadzieję, że znajdzie się jakiś sposób, gotowe same za dziecko pracować, byleby ono miało choć trochę lepiej w życiu niż ona. Bez determinacji chłopskich matek, ich nadzwyczajnego uporu i niewyobrażalnego poświęcenia wiele losów potoczyłoby się zupełnie inaczej.

W zasięgu chłopskiego dziecka z początku XX wieku znajduje się zwykle kariera księdza lub nauczyciela. Pozycja księdza wydobywała chłopa z jego stanu, a prestiż i autorytet, jakie zyskiwali księża, sprawiały, że niemal każda matka modliła się o taki los dla swego syna.

Kiedy Konstancja Zieja ze wsi Ossa koło Radomia postanawia kształcić swojego Janka[9], koleżanki śmieją się z niej za plecami. „Pierw mi wyrosną włosy na dłoniach, nim Kostcyn syn wyuczy się na księdza. To nie na oską gospodarkę" – mówią do siebie.

Córka kowala ze dworu sama by nie wpadła na to, aby posłać syna do seminarium duchownego, ale od chwili, gdy proboszcz parafii w Odrzywole Aleksander Aksamitowski powiedział jej, że Janek ma talent i trzeba go uczyć, nie może przestać o tym myśleć. Jej mąż przeciwnie. „Nigdy! To nie nasza gospodarka uczyć się" – mówi jej.

Konstancja nie zamierza się poddać. Autorytetem większym jest dla niej ksiądz, więc obiera częstą w patriarchalnych rodzinach kobiecą strategię. Mówi mężowi: „zgoda", i robi swoje. Życie takich kobiet jak ona jest pełne tajemnic, oficjalnie godzą się na uległość, nie rezygnując jednak ze swoich pragnień. Babski spryt, oto czego im trzeba: utrzymać męża w przekonaniu, że on rządzi, ale osiągać swoje cele, zwłaszcza jeśli dotyczą dzieci, one są bowiem dla kobiety najważniejsze i dla nich ryzykuje gniew męża. Ojciec Janka angażuje się w wychowanie jedynie wtedy, gdy uznaje, że trzeba dziecku przylać. „Jeśli czymś żeśmy zawinili, to brał na nas kij albo rzemień. Praca i moc; autorytet, ale od strony fizycznej" – wspominał Jan Zieja.

Kiedy Konstancja decyduje się kształcić syna, przechodzi do konspiracji: bierze trzy kopiejki, jedzie na targ do Odrzywołu i kupuje mu elementarz. Od gospodyni księdza dostaje zeszyty ze znakami wodnymi i teraz Jan może zacząć stawiać pierwsze litery i czytać na zawołanie. Bardzo szybko widać efekty, więc w niedzielę przed mszą, gdy do Konstancji schodzą się koleżanki, ona budzi syna: „Pocytoj ze num tera zywota" – nakazuje. Chłopiec staje w koszuli przy łóżku i czyta: *Żywot*

Boga i Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa napisany przez św. Bonawenturę.

Kończy dziewięć lat, gdy matka wymusza na ojcu zgodę, żeby oddać syna na nauki do parafii w Odrzywole. Szyje mu kurtkę watowaną i pokazuje, w jaki sposób je się nożem i widelcem, a starszy brat chłopaka poucza go, że zamiast „ino" mówi się „tylko".

Tego samego roku Michał Zieja ma atak wyrostka robaczkowego, ale nie zgadza się na operację. Powoli umiera. Gdy tuż przed śmiercią woła żonę, mówi jej, że może nadal uczyć najmłodszego syna. „Pobłogosławił Jankowi" – cieszą się w rodzinie i planują wysłać chłopaka do stolicy, bo aby dostać się do seminarium duchownego, musi skończyć państwowe gimnazjum, ale zainstalowanie chłopskiego dziecka z ubogiej rodziny w Warszawie to pomysł niemal szalony. Konstancja i na to znajduje sposób. Jan zamieszka u krawcowej, z którą jego matka zawarła umowę: będzie jej płacić w naturze, czyli co dwa tygodnie przesyłać jajka, mleko, ser, kaszę i chleb. Zwykle śle te produkty żydowską furgonetką i układ sprawdza się znakomicie, ale przychodzi dzień, gdy Konstancji Ziei brakuje tego jednego rubla, by zapłacić za nadanie paczki. Wkłada towary do koszyka i rusza w drogę. Z Ossy do Warszawy trzeba pokonać siedemdziesiąt dwa kilometry. GPS pokazuje, że dzisiaj piesza droga na tej trasie powinna zająć piętnaście godzin, a szlak prowadzi przez Nadarzyn i Raszyn i pokrywa się z dzisiejszą drogą S8.

Jak długo idzie Konstancja Zieja wśród mazowieckich pól i lasów? Nawigacje zwykle zbyt optymistycznie wymierzają czas; jeśli wskazują nam piętnaście godzin, prawdopodobnie z przerwami ta wędrówka zabrałaby około siedemnastu godzin. Którędy prowadzi droga? Ile waży kosz, który Konstancja niesie? Czy ma na nogach buty? Nieistotne. Najważniejsze, że Janek może zostać u krawcowej.

Marcjanna Fornalska[10], której dramatyczny życiorys, jak i całej jej rodziny, wydaje się gotowym materiałem na film lub powieść rozgrywającą się na tle burzliwych wydarzeń XX wieku, pozostawiła po

sobie barwnie napisany *Pamiętnik matki*. W jego pierwszej części fascynująco opowiada o swoim chłopskim dzieciństwie na lubelskiej wsi w czasach popańszczyźnianych, o pierwszych latach małżeństwa, o walce o edukację swoich dzieci.

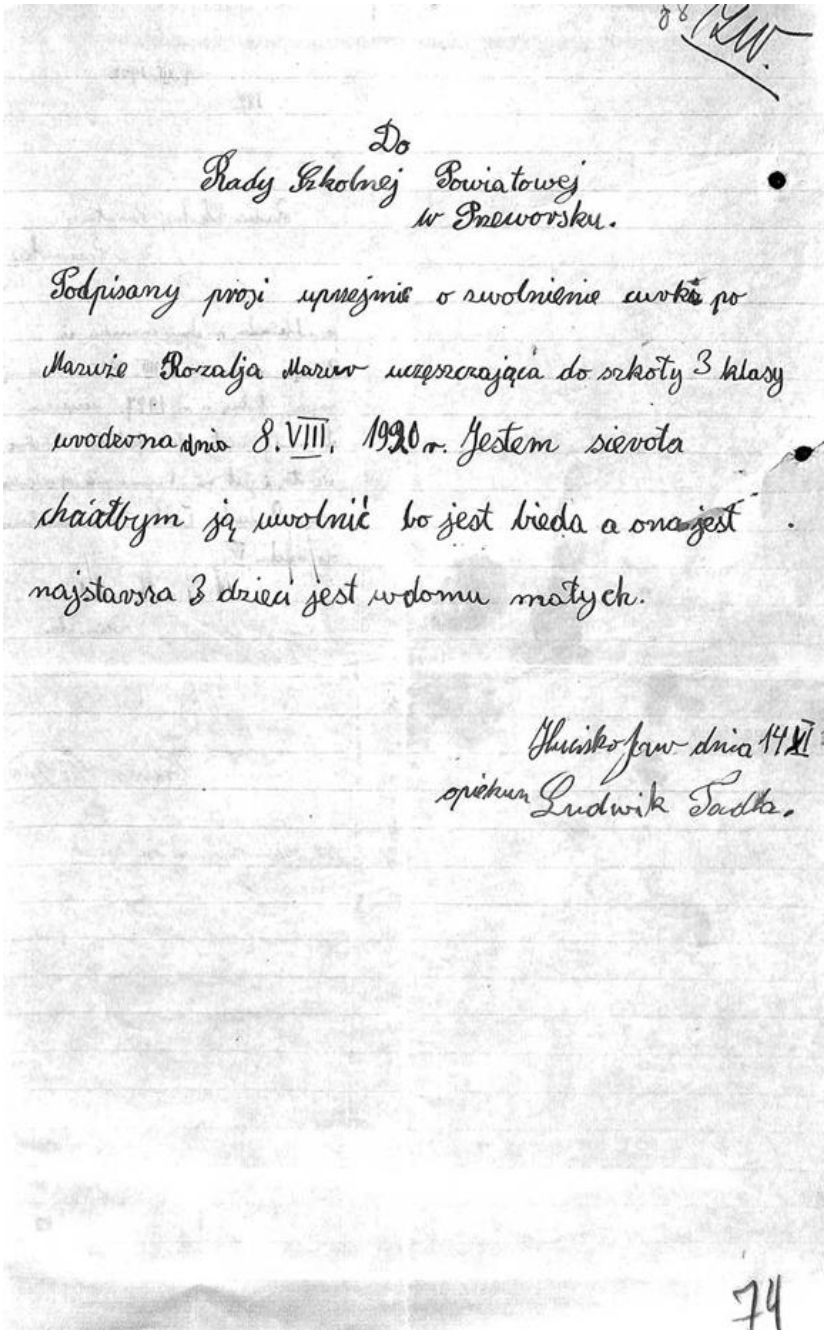
Gdy książka Fornalskiej ukazuje się w latach pięćdziesiątych, u schyłku jej życia, z miejsca staje się hitem. Z doświadczeniami jej wczesnego życia mogą utożsamić się tysiące kobiet chłopskiego pochodzenia. Urodzona w 1870 roku we wsi Łopiennik na Lubelszczyźnie córka pańszczyźnianego chłopa jak wiele dzieci w zaborze rosyjskim nie chodzi do szkoły. Ma siedem lat, gdy dostaje od ojca swoją pierwszą książkę i dowiaduje się, że powinna się nauczyć z niej czytać, by mogła się modlić. „Dziewczynie więcej nauki nie potrzeba. Dziewczyna powinna być tylko uczciwa i pracowita" – zapamiętała ojcowską radę. Ponieważ nikt nie ma czasu się nią zajmować, próbuje sama wymyślić, jak składać litery.

„Ucz się, bo dostaniesz bicie!" – słyszy. Albo: „Ucz się, jak do wiosny nauczysz się czytać, to ci kupimy na Wielkanoc piękną książeczkę do nabożeństwa".

Gdy w końcu udaje się jej poskładać litery w wyrazy, czuje się oszołomiona: „Odkrywa się przede mną świat, niebo, sama nie wiem, co robić z radością".

Jednak gdy dzieli się z matką swoimi nowymi umiejętnościami, słyszy: „Lepiej wybieraj kartofle!".

Kiedy odkrywa „Gazetę Świąteczną", bardzo popularny tygodnik na polskiej wsi, jest już dorosła, ma własną rodzinę. „Dużo tam pisano o rolnictwie, o uprawie ziemi i hodowli inwentarza. Byłam ogromnie przejęta, myśląc, że to jedyne wyjście dla takich biednych jak my, ale tu trafiłam na upór męża, powiedział, żebym nie traciła czasu na takie głupstwa: «Trza tak robić, jak nasi sąsiedzi robią, bo skąd w Warszawie wiedzą, jak pracować na roli?». Musiałam zamilknąć, bo to wstyd, żeby kobieta wtrącała się do spraw mężczyzny".



Do
Rady Szkolnej Powiatowej
w Przeworsku.

Podpisany proszę uprzejmie o zwolnienie córki po
Mazurze Rozalja Mazur uczęszczającą do szkoły 3 klasy
urodzona dnia 8. VIII. 1920 r. Jestem sierota
chciałbym ją uwolnić bo jest bieda a ona jest
najstarsza 3 dzieci jest w domu małych.

Głuchów Jaw dnia 14 XI
opiekun Ludwik Sadka.

74

Gdy rodzice nie mogą sobie pozwolią na zatrudnienie pomocy w gospodarstwie, dziecko nie chodzi do szkoły

Zanim odkłada „Gazetę Świąteczną”, dowiaduje się z niej, że jeśli wyśle do Warszawy pieniądze, dostanie pocztą „najpiękniejszy i najdłuższy na świecie poemat”. Znajduje we wsi jeszcze kilka osób, które potrafią czytać, organizują zbiórkę i posyłają pieniądze do stolicy.

Gdy przychodzi przesyłka, odwijają kopertę i czytają tytuł: *Pan Tadeusz*. Nic im on nie mówi, podobnie jak nazwisko autora. Zabierają się jednak do czytania.

„Z całej książki zrozumieliśmy tylko o psach, że się nazywały Kusy i Sokół. Byliśmy zgorszeni; jak mogli ci panowie wziąć pieniądze i przysłać tyle tylko, jak się nazywały psy. Tak pierwsza nasza książka nie była przez nas zrozumiana".

Mimo to czytanie staje się jej ucieczką przed życiem i Marcjanna przysięga sobie, że zrobi wszystko, by dzieci mogły się uczyć. Po latach napisze, że jej walka o to, aby je kształcić, przerodziła się w coś w rodzaju hazardu. Mąż zarzuca jej, że sprowadza na nich kłopoty, ale mimo to pozwala się dzieciom uczyć, więc starszy syn szkoli się na młynarza, a córka w nieodległym miasteczku poznaje fach u krawcowej, której trzeba płacić, ale potem pracuje nieodpłatnie jako pomoc lekarska, żeby nauczyć się zawodu pielęgniarki.

„Podśmiewywano się z nas, że nie umiemy się rządzić – kiedy któreś z dzieci podrośnie, oddajemy z domu i płacimy za nie, podczas kiedy mogłyby one pomagać w pracy i zarabiać w majątku u obszarnika; że każdy chłop, jak się dochowa dzieci, to się bogaci, a my biedniejemy" – wspomina.

Jest 1912 rok. Wbrew rozsądkowi Marcjanna nie zamierza rezygnować z marzeń. Płaci za przygotowanie dwóch synów do nauki w lubelskim gimnazjum. Zdają egzaminy wstępne celująco, ale dyrektor szkoły nie ukrywa szoku. Nigdy dotąd nie widział tak nędznie ubranych kandydatów na uczniów w swojej szkole.

„Mój człowieku, na co wy się porywacie – tłumaczy Antoniemu Fornalskiemu, gdy ten przyprowadza synów. – Przecież dwóch chłopców uczyć to nie żart: trzeba ich oddać na stancję, kupić mundurki – to bardzo drogo kosztuje; w ogóle szkoda, żeście to rozpoczęli – to nie dla was".

I radzi im, by kształcili młodszego, a starszego uczyli jakiegoś rzemiosła, aby mógł zarabiać. Tak robią: starszy syn Leon uczy się na tkacza, a w gimnazjum zostaje tylko młodszy, Aleksander.

Fornalska, opisując udrękę będącą udziałem chłopskich rodzin, potrafi spojrzeć na siebie samokrytycznie, podkreśla własne i męża zagubienie, a nawet nieporadność, przyznaje, że oboje z mężem nie potrafili dobrze gospodarować i planować, nazywa siebie i jego niedojdami i wyznaje, że ich dzieci szybko weszły w rolę ich doradców. Wyrzuca sobie także, ona, która z pełnym oddaniem i zaciekłością walczyła o wykształcenie dzieci, że nie potrafiła okazywać im miłości. Przywołuje moment, gdy jej syn Aleksander skończył egzaminy na koniec drugiej klasy gimnazjum z samymi piątkami, a ona nie umiała pokazać mu swojego szczęścia. „Teraz, gdy to wspominam, jakże mi żal, że go nie przytuliłam do piersi, nie pocałowałam! Nie zrobiłam tego, choć w gardle dławiła mnie radość i czułość. I zaledwie powiedziałam bardzo łagodnie: «A teraz jesteś pewnie głodny?». To było zawsze najczulsze słowo”.

Wnuczka Marcjanny Fornalskiej, socjolożka Aleksandra Jasińska-Kania, została przez nią wychowana. Rodzice – Małgorzata Fornalska i Bolesław Bierut – oddani byli przede wszystkim pracy partyjnej i gdy Ola miała półtora roku, w Moskwie, gdzie się urodziła, opiekę nad nią przejęła babcia Marcjanna. Rodziców zobaczy po siedmiu latach, gdy na mocy amnestii wyjdą z więzienia, dokąd trafili za działalność w nielegalnej Komunistycznej Partii Polski.

– Babcia wychowywała mnie tak jak swoje dzieci – mówi. – Opowiadała mi o swoich doświadczeniach i wysłuchiwała, jakie mam problemy, żeby mi coś doradzić. Może nie przytulała, nie całowała, ale jednocześnie wiadomo było, że ona każdemu ze swoich dzieci jest gotowa oddać wszystko. I ja także miałam to poczucie. Z pewnością miała szczególny dar miłości. Neurofizjolodzy twierdzą dziś, że istnieją osoby, które dzięki szczególnym połączeniom neuronów mają skłonności do wiary i objawień. Mnie się zdaje, że są i takie, z których zdolność do miłości i chęci pomocy promienieje, i moja babcia do takich właśnie osób należała.

Ponieważ mieszkały razem w warszawskim mieszkaniu, wnuczka była świadkiem, jak powstawały wspomnienia babci. Gdy Marcjanna

Fornalska postanawia napisać książkę, jest już po osiemdziesiątce i ledwo potrafi pisać.

– Babcia najpierw pisała ją ręcznie, ale było to dla niej trudne. Potem udało mi się zdobyć dla niej maszynę do pisania, co bardzo ułatwiło jej pracę, ale błędy robiła cały czas – opowiada wnuczka. – Do końca życia zachowała witalność. Żartowałam z niej, że wciąż ma duszę rewolucjonistki, bo cały czas coś chciała zmieniać, aranżować w mieszkaniu, w którym w porywach mieszkało siedem osób. Odkąd pamiętam, nosiła ciemne okulary, po ojcu miała kłopoty ze wzrokiem, ale do końca życia starała się czytać. I czytania nauczyła też moją córkę. Któregoś dnia, gdy Joasia znała już pojedyncze litery, babcia wzięła ze stołu tom poezji i na stronie tytułowej pokazała jej, jak składać głoski w wyraz. I tak pierwszym wyrazem, który moja córka przeczytała, był „Broniewski".

Kiedy chłopi mówią swoim córkom: „I tak paniom nie będziesz", rozumieją przez to, że nie są w stanie ich wykształcić na tyle, by mogły opuścić wieś i stać się kimś więcej niż służącą, robotnicą, dozorczynią, czyli awansować społecznie. Inna wersja tego w gruncie rzeczy realistycznego powiedzenia brzmiała: „Nasze dzieci ministrami nie będą". I wobec tego po co cały ten wysiłek – zastanawiali się chłopi – do czego córce ma się przydać szkolna wiedza, skoro potrzebuje jedynie umieć wydoić krowy, upiec chleb i oporządzić świnie.

Lecz wciąż znajdują się matki, które jak Konstancja Zieja czy Apolonia Księżopolska są w stanie oddać wszystko za wykształcenie dzieci, ponieważ mają przekonanie, że edukacja to furtka do lepszego świata. Teraz, w wolnej Polsce, jej przekroczenie stanie się dużo prostsze – wierzą.

Ale się zawiodą.

Podczas gdy na początku lat trzydziestych w miastach 98 procent szkół ma siedem klas, na wsiach takich szkół jest zaledwie 4 procent. Pozostałe

to szkoły jedno-i dwuklasowe. Brakuje nauczycieli, budynków, dobrej organizacji oraz woli.

Rodzice piszą dramatyczne listy do rządzących z prośbą o powołanie szkoły, a w odpowiedzi czytają: „W Szklarni nie ma lokalu na szkołę i pomieszczenia dla nauczyciela”, albo: „Do Łążka Ordynackiego trudno znaleźć kandydata, jest to wieś odcięta od Janowa wielkimi lasami”.

Dzieciaki chodzą więc kilometrami, często boso, do sąsiednich szkół, ale nie zawsze da się dojść. Czytelnik ze wsi Łężyce pod Częstochową pisze list do „Gazety Świątecznej”, bo siedemdziesięcioro dzieci ze wsi chodzi codziennie cztery kilometry w jedną stronę. Skracają sobie drogę, idąc przez łąki i wielkie trzęsawiska z wodą, przychodzą więc do szkoły po pas mokre i nauczycielka suszy je przy piecu.



Budowa szkoły w Borzęcinie w 1938 roku

Część klas to zwykłe chłopskie izby wynajmowane na szkołę. Na zachodzie zaledwie 3 procent, ale w centralnej Polsce aż 69 procent szkół to jedna izba, w większości nienadająca się na klasę kompletnie. Średnio pięćdziesięcioro dzieci uczy się w „klasie" niemającej trzydziestu metrów kwadratowych, ale w powiecie jędrzejowskim pięćdziesięcioro dziewięcioro dzieci musi się pomieścić w sali liczącej sześć metrów kwadratowych. Chłopi własnym sumptem próbują budować szkoły, a w połowie lat trzydziestych rząd ogłasza wielką kampanię, proponując preferencyjne pożyczki i nawołując do zbiórek publicznych pod hasłem: „Wszystkie dzieci do szkoły". To nieco poprawiło sytuację, w latach 1936–1938 dzięki zbiórkom przybyło 6 tysięcy izb szkolnych, ale biorąc pod uwagę kryzys i wyż demograficzny, z jakimi Polska się borykała, problemu nie dało się rozwiązać. Tymczasem w 1932 roku startuje reforma oświaty, która ma poprawić dostęp do nauki. Efekt okazuje się kompletnie rozczarowujący. Zmiany dyskryminują wiejskie dzieci, nie dając im właściwie szans na naukę w gimnazjach i szkołach wyższych. Powołane zostają szkoły powszechne o trzech stopniach. Pierwszy stopień to szkoły z jednym lub dwoma nauczycielami i czterema klasami. Nauka w pierwszej i drugiej klasie trwa rok, do trzeciej klasy chodzi się przez dwa lata, a do czwartej przez trzy. Tego typu szkoły staną się teraz normą na wsi. W miastach natomiast będą powstawać szkoły drugiego i trzeciego stopnia – sześcioklasowe i siedmioklasowe. Aby się dostać do szkoły średniej, trzeba skończyć co najmniej szkołę sześcioklasową. Nauka w gimnazjach pozostaje więc praktycznie poza zasięgiem chłopskich dzieci lub wymaga nadzwyczajnego trudu i pieniędzy. Awans społeczny, prowadzący zwykle także do materialnego, w przypadku dzieci chłopskich nadal jest wielkim wyzwaniem.

Z dużym wysiłkiem bogate chłopskie rodziny kształcą dzieci w szkołach typu zawodowego – wojskowych lub seminariach duchownych i nauczycielskich.

Upośledzenia społecznego dzieci chłopskich i ich wykluczenia z edukacji średniej i wyższej nie da się ukryć, piszą o nich nawet

sympatyzujące z rządem gazety. Sanacyjne pismo „Pion” w 1936 roku publikuje tekst historyka literatury Jana Dürra-Durskiego, który daje wyraz swojemu oburzeniu: „W organizacji szkolnictwa niższego spotykamy się ze zjawiskiem jaskrawej niesprawiedliwości społecznej: warunkiem bowiem dostania się do szkoły średniej jest ukończenie 6 oddziałów szkoły powszechnej, a tych właśnie wyższych oddziałów szkoły wiejskie są pozbawione. Dziecko na wsi jest opuszczone przez wszystkich”.

Kiedy Jan Chorąży, syn bogatego podlaskiego chłopa, zdaje bardzo dobrze egzamin do gimnazjum w Białej Podlaskiej, dyrektor szkoły, niechętny kształceniu chłopskich dzieci, mówi ojcu, że miejsca dla chłopaka nie ma. Franciszek Chorąży pakuje do teczki rekomendację, którą dał mu nauczyciel syna ze szkoły powszechnej, a także suchy prowiant i wyrusza do Warszawy. „Trzy dni domagał się wizyty u ministra – wspominał młodszy syn Franciszka, Mieczysław Chorąży, wybitny onkolog. – Wreszcie minister przyjął go grzecznie, odczytał dokumenty, wysłuchał argumentacji ojca i napisał odręczne pismo do dyrektora gimnazjum w Białej, zalecające przyjęcie Janka do gimnazjum. Ojciec przedstawił to pismo dyrektorowi, który miał stwierdzić z grymasem: «No, no, chciało się wam jechać aż do Warszawy». Na to ojciec miał odpowiedzieć: «Ano, musiało się chcieć»”.

Dobiegająca trzydziestki wdowa Wiktoria Bińczak na początku lat dwudziestych nie miała za co pojechać do Warszawy, musiała sobie radzić inaczej. W podsandomierskiej wsi Bidziny wychowuje pięcioro dzieci i przy ich pomocy prowadzi gospodarstwo.

– Nie znam powierzchni, ale pewnie nie więcej niż pięć hektarów. Ojciec jako dwunastolatek był rosły, więc babcia kazała mu orać. Zgodził się, pod warunkiem że kupi mu papierosy. Kupiła. Palił do śmierci, a umarł na raka płuc – opowiada Halina Bińczak, wieloletnia dziennikarka ekonomiczna. Przyznaje, że determinacja babci, aby za wszelką cenę kształcić dzieci, robi na niej wrażenie: – Sama tylko dwa

czy trzy lata chodziła do rosyjskiej szkoły. Pisała po polsku fatalnie, czytała sprawnie i chętnie. Uparła się, żeby jej dzieci pokończyły szkoły. Żeby wysłać mojego ojca do seminarium nauczycielskiego, pożyczała pieniądze u Żyda, zanosząc w zastaw poduszkę. Kiedy udało jej się spłacić pożyczkę, poduszkę odbierała. Ale za jakiś czas znowu z nią przychodziła, żeby zaciągnąć dług.



Wiktoria Biłczakowa (z domu Pater) z dziećmi: Ludmiłą, Aleksym i Bolesławem (z tyłu), obok kuzynka Wiktorii

Ojciec Haliny Bińczak dzięki uporowi swojej matki kończy nie tylko seminarium nauczycielskie, ale także udaje mu się studiować pedagogikę w Wolnej Wszechnicy w Warszawie. Ale już jej matka nie ma tego szczęścia. Wprawdzie w latach dwudziestych dzięki swojej matce rozpoczyna naukę w gimnazjum, ale niedługo potem zostaje sierotą i jej prawni opiekunowie, czyli bracia matki, zabierają ją ze szkoły, uznając, że gimnazjum kobiecie nie jest do niczego potrzebne.

„Nigdy w moim życiu nie było mi tak radośnie, jak wtenczas, gdy chodziłam do szkoły" – wspomina pochodząca z Lubelszczyzny autorka pamiętnika *Nie pochwalam dawnego*, która jako pierwsza dziewczynka w rodzinie poszła do szkoły. W poprzednim pokoleniu uczyli się tylko dwaj stryjowie, ponieważ jej dziadek twierdził, że „babom szkoła nie potrzebna". Ona od razu polubiła szkołę i docenia, że ma bardzo dobrego nauczyciela, starszego już człowieka. Dzieci nie tylko się uczą w ławkach, ale także tańczą, między innymi krakowiaka, podczas gdy nauczyciel przygrywa im na skrzypcach. Wkrótce jednak dziewczynka choruje i nie może już chodzić na lekcje. Nauczyciel przychodzi więc do niej. Czasami zagląda także jego córka, zwana przez dzieci paniusią, przynosząc cukierki i ciastka, których dotąd dziewczynka nigdy nie widziała. Rodzina z czworgiem dzieci mieszka w jednej izbie, więc ojciec się trochę krępuje, ale za każdym razem dziękuje nauczycielowi ze łzami w oczach. „Ja też za każden raz całowałam go w rękę, bo nie mogłam wymówić słowa, tak mnie coś ściskało za gardło i na płacz mi się zbierało. Mało kiedy powiedziałam: «Bóg zapłać», choć tak ojciec kazał. Chociaż pan w szkole uczył nas, że jak nam kto co da albo zrobi, to trza mówić dziękuję, ale w domu trza było tak mówić, jak ojciec kazał" – pisze już jako dorosła kobieta.

Ponieważ we wsi istnieje tylko szkoła czteroklasowa, aby uczyć się dalej, musiałaby jeździć do Lublina i nauczyciel namawia na to jej ojca. „Ale ojca nie stać było mnie dać, a i ci, co poszli, pobyli po roku i przyszli krowy paść. Ja też pasłam krowy bez rocznego gimnazjum. Radowałam się, że umiem czytać, pisać, rachować. Chodziłam do

biblioteki szkolnej po książki i jak tylko miałam wolną chwilę, to już czytałam, bo lubię czytać bardzo" – wspomina. Dalej idzie tradycyjną drogą wiejskiej dziewczyny: zostaje wydana za mąż i rodzi piątkę dzieci. Jedna z jej dwóch córek zdradza podobny zapał do nauki jak ona, więc mając siedem lat, latem boso, a zimą w drewniakach chodzi cztery kilometry do szkoły w sąsiedniej wsi. Jej matka marzy o tym, by dziewczynka została krawcową, ale potrzebny jest ktoś, kto nauczy ją szyć. Znajduje krawcową, która za naukę żąda trzech metrów pszenicy, ale okazuje się, że zamiast uczyć dziewczynę, wykorzystuje ją, zlecając najbardziej podłe i błahe robótki. Dziewczyna postanawia się więc usamodzielnić. Ale skąd wziąć maszynę? Za droga dla chłopskiej rodziny, trzeba się zapożyczyć. I tak właśnie robią: pożyczają pieniądze od bogatego chłopa pod zastaw dwustukilowej świni. „Bardzo bogaty, miał dużo hektarów ziemi, ale nie mogę powiedzieć, że był jakiś pyszałek. Znał biedę, chociaż jej nie miał, parę razy nas ratował. I nie powiem, że zdzierał procenta. I w taki sposób, za pożyczone pieniądze pojechaliśmy do Zaburza, tam nam nastręczyli maszynę do szycia, bardzo mało używaną Singera, jeszcze w dobrym stanie. I tak zaczęła szyć, ale to jeszcze było dziecko młode, zamiast rozwijać się, rosnąć, to przykuła się do maszyny i szyła" – wspomina matka. Wkrótce pojawia się powód do radości, bo jej córka staje się „okrzyczaną krawcową". Ale też powód do smutku, bo to, co zarabia córka, od razu zabiera jej ojciec.

Urodzoną w 1917 roku Stefanię F., zwaną w domu Rudzią, i jej siedmiu braci wychowuje tylko ojciec. Ich matka umarła, rodząc dziewiąte dziecko, ale ojciec nie zdecydował się na ponowny ożenek. To zupełnie nietypowa sytuacja, zwykle wdowcy żenią się już po kilku tygodniach od śmierci żony, by następna zajęła się dziećmi. Ojciec Rudzi też wpadł na ten pomysł, kiedy zobaczył, jak córka płacze z tęsknoty za mamą. „Tatuś mię pogłaskał i mówi niepłac, ja ci przyprowadzę mamósię. Pamiętam mielimy wten czas prosię miało kolo 100 kilo, tatuś to prosię wzięli na jarmark, sprzedali, ile wzięli nie wiem i kupili wszystkim po kukiełce, 8 kukiełek i mnie na sukienkę, flaszke wódki, my się pytali na co ta wódka,

ale nie powiedzieli, tylko się rospłakali, i tę flaszkę włożyli do kuferka i zamkli, bo ten kuferek zawsze zamykali, bo tam howali chleb, żeby my nie zjedli” – wspomina Rudzia.



Mieszkanki małopolskiej wsi Dobra. Fot. Leopold Węgrzynowicz

W najbliższą niedzielę po tych zakupach dzieci zauważają, że ojciec się ogolił, założył koszulę, którą wyprał poprzedniego dnia, a nawet krawat, którego dotąd nie widziały. Wyjął z kuferka wódkę i nakazał im wypędzić bydło po południu. „Ktura była godzina to niebyło pojęcia, bo my zegara nie mieli, tylko my się cieniem posługiwali a w nocy to tatuś się na gwiazdach orjentował bardzo dobże jak była pogoda. Ja się pytam gdzie tatóś idzie pamiętam ta jak dziś, tatuś się rospłakal i mówi idę się żenić i poszedł”.

Dzieci, zgodnie z nakazem, idą pasać bydło, rozmawiając o tym, co może się stać, gdy ojciec przyprowadzi macochę. Rudzia, która dotąd cieszyła się na nową matkę, bo miała nadzieję, że będzie czesać jej włosy jak mama, teraz, po rozmowie z bratem, boi się, że żona ojca może ich bić i głodzić. Wkrótce dostrzegają na drodze wracającego do domu ojca, przyglądają się więc uważnie, wypatrując nowej żony. Ale ojciec idzie sam. „Tatuś przyszedł ku nam i siadł sobie na brzegu drogi ja się pytam gdzie byłeś, tatóś mówi w lesie siedziałem. Ja się pytam nie poszedłeś się

żenić tatuś mówi miałem iść, ale się rozmyśliłem, że może jak przyjdzie to większa bida się zrobi”.

Odtąd już do końca wychowuje ich sam. Najgorszy dla nich, jak dla wszystkich biedaków na wsi, jest przednówek, zapasy się kończą. Rudzia chodzi do szkoły, ale w wolnych chwilach pomaga w polu, okopuje ziemniaki. Około godziny piętnastej wieśniacy siadają na polu i robią przerwę na podwieczorek. Jedzą, co przynieśli z domu. Rudzia i jej bracia niczego nie przynieśli, ale czy wszyscy muszą o tym wiedzieć? Trzeba tylko zachować pozory.

„Nagle brat pobiegł do domu i pszyniósł mój stary zeszyt. Urwał po kartce, dawał nam wszystkim za kolejką i mówi:

– Siadajcie i czytajcie, tamci będą myśleć że jemy.

Posiadaliśmy pooglądaliśmy i co my się naśmiali stego tamci zjedli, wstali do roboty, my tesz wstali ale jusz jeść sie niehciało bo jakoś się zapomniało” – wspomina.

O głodzie prawdopodobnie da się łatwiej zapomnieć niż o wstydzie. Dlatego Rudzia zapamiętała na zawsze swojego bogatego sąsiada. Przed nim nie udaje się jej rodzinie zachowywać pozorów. Dobrze wie, że głodują.

„Kochani, posłuchajcie, teras wam powiem coś ważnego, że jak nastawiony był sąsiad kmieć[11] do bidnych sierot, żeby teras żył to bym wam jego zdjęcie posłała ale nie żyje niech go Bóg za to osądzi” – wspomina Rudzia w 1970 roku.

Ponad pięćdziesiąt lat minęło od dnia, gdy sąsiad zabił cielaka. Takie rzeczy wszyscy w okolicy wiedzą, zwłaszcza ci głodni.

„Może się pszejadł bo go czyściło. Wyszedł za stodołę obok naszego podwórka spuścił spodnie brał tak ręką tak mu się cyniło przez palce i hlapie na nasze podwórko. Ja z braćmi paczemy co on robi, a on mówi bierzcie dzieci żryjcie bo to tłuste a wy jałowo żrecie. Mowie wam bodaj się sieroty nie rodziły. Jak bida ze bida”.

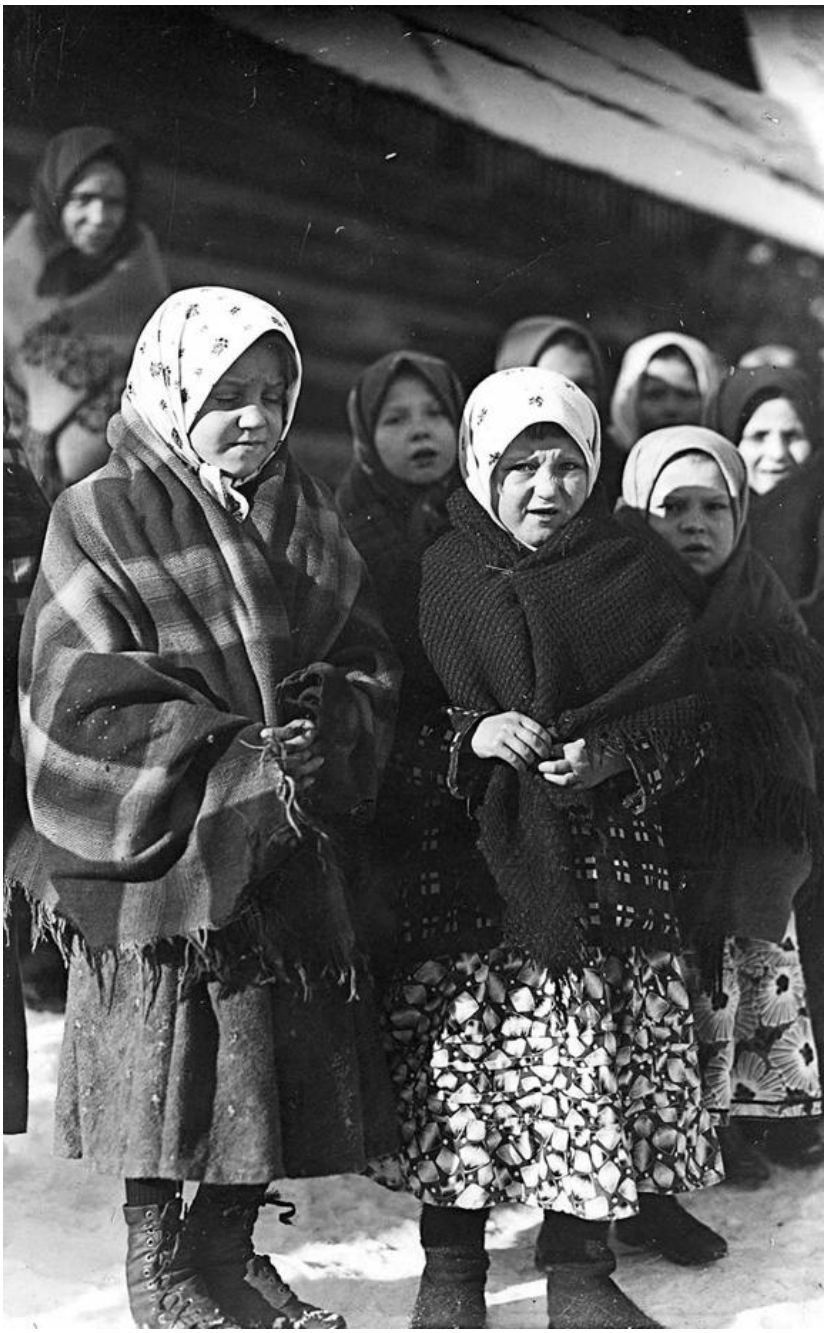
Na razie Rudzia chodzi do szkoły, ale ojciec potrzebuje gospodyni. „No jusz hodzę do 6 klasy ostatni rok bardzo dobrze mi idzie, pot koniec roku pani nauczycielka mówi, żebym prosiła tatusia, żeby mię posłał dalej do szkoły, bom jest najlepszą uczennicą z całej klasy. Mówię tatusiowi o tym tatóś mie skrzyczał i mówi co ty se myślisz, że ja do śmierci bęndę gotował doił prał, ty zostaniesz w domu za gospodynią. Na drugi dzień mówię pani o tym zajściu, pani powiedziała biedne dziecko". Los Rudzi został przesądzony.

Chłopskie dziecko należy do rodziny w sensie dosłownym, jest jej własnością, a ponieważ rodzice uważają się za zastępców Pana Boga, wymierzają kary, które niczym piekło w przypadku grzechów mają się wydawać dzieciom nieuchronne. Karanie fizyczne bardziej przypomina planową egzekucję niż reakcję emocji, stanowi rachunek za przewinienie, którego spłaty nie da się uniknąć, a który wystawiany jest na zimno i bez skrupułów. Niemal zawsze według tej samej procedury, tym samym sprzętem, w to samo miejsce na ciele i w tym samym miejscu w domu. Kiedy się kładziesz, wiesz, co będzie dalej. To samo, co spotkało twojego dziada, pańszczyźnianego chłopa, od pana, twojego ojca od nauczyciela, twoja matkę od ojca, ten łańcuszek zaplata się zgodnie z tradycją.

Dopiero od niedawna słychać głosy oburzonych pedagogów. W 1937 roku Jan Czarnecki, publicysta „Życia Dziecka", tłumaczy, na czym polega wychowywanie w rodzinie wiejskiej: dziecko ma się stać uległe, a więc musi się bać, dlatego zawsze najskuteczniejsze okazują się bicie, wciry, baty. Bez nich według chłopów – wyjaśnia Czarnecki – dziecko stanie się rozpuszczone, jak żydowski bacior, wyrośnie na łobuza, nicponia lub szelmę.

„Wychować to znaczy to samo, co wycisnąć na dziecku swoje ja, zniewolić je do uległości wobec starszych, zaprawić do funkcji gospodarczej w rodzinie oraz przepoić religią" – stwierdza Czarnecki.

– Mnie ojciec nie bił. Wystarczyło, że na mnie spojrzał – mówi Janina Krasucka, rocznik 1930, wychowana we wsi Białki na Mazowszu.



Marzeniem wielu dziewczynek jest, by zostaą „panią”. Dzieci ze wsi Lipnica Murowana pod Bochnią

Słyszałam to zdanie już wcześniej od kobiet, które twierdzą, że nie doznały w domu przemocy, ale „wystarczyło, jak ojciec na nie spojrzał”

lub „wystarczyło, że zmarszczył czoło”. Nie chodziło jednak tylko o chmurne spojrzenie. W domu Janiny Krasuckiej na futrynie między kuchnią a pokojem wisiała dyscyplina. Tradycyjna, jak przed wiekami, pięć rzemieni przymocowanych do kopyta. Najczęściej była to noga sarny, ale u Janiny w domu akurat kozia.

– Ojciec tym patałągiem bił moich braci – opowiada. – Mama moja mówiła ojcu czasem: „Oj, Wacek, Wacek, ale ty jesteś”. Ale mój brat starszy Edek był bardzo urwisowaty i jego ojciec musiał bić. Wie pani, to może i racja była? Bo dziecko miało respekt od tego dla ojca. To nie było tak jak dzisiaj, że dziecka się nie bije. Bije się. Ale mój brat taki był, że jak ojciec bił, to potem miał na końcu go pocałować w rękę. A on nie chciał go całować. A kiedyś, pamiętam, jak myśmy torf kopali na łąkach, to tatuś mówi do brata Edka: „Idź za rów z krowami, potem uczep krowy, a jak ja na ciebie zafiukam [zagwiżdżę – przyp. J.K.-F.], to przyjdziesz i będziesz nam pomagał przy noszeniu torfu”, bo myśmy takie sztabki tego torfu nosili. I później ojciec fiukał i fiukał, a jego nie ma i nie ma. Wie pani, jak tatuś się denerwował? Brat potem przyszedł po jakimś czasie. Ojciec wyszedł z tego dołu, umoczył postronek i tym postronkiem parę razy go po plecach oplótł. Pani, jak on wrócił do domu... Jakie on miał plecy. Mamusia mówiła: „Dziecko, żebyś ty zasłużył na takie lanie”... [płacze]. Przykładała mu mokrą szmatkę na plecy... Ale widzi pani, jak on miał taką naturę, to co on miał zrobić. A potem on był takim dobrym człowiekiem, po wojnie pracował w stoczni szczecińskiej i zawsze dziękował, że go ojciec bił, bo mówił: „Nieraz dobre wciry dostałem, ale gdyby mnie nie bił, mogłem niczem być”.

Jednak bić mogą rodzice i nauczyciel, ale już nie sąsiad, na to rodzice nie pozwolą. Kara fizyczna to wyłącznie sprawa rodziny, jeśli nie przeradza się w katowanie, nikogo nie interesuje, że na ciele dziecka widać ślady pasa lub dyscypliny.

Rudzia i jej bracia nigdy nie uciekają przed karą, to nie ma najmniejszego sensu, prędzej czy później dostaną. Tak było na przykład, gdy bawiąc się, stłukli piec. „Nareszcie tatóś przyjehał i dowiedział się

o całym zajściu. Nie pytał się, który to zrobił, tylko wziął pasa i za kolejką brał za rękę i każdemu wymieżył kilka pasów w tyłek bo tatuś zawsze tak bijał. Ktury wcześniej oczymał swoją porcje, to się mniej nabał. Ale ten ostatni zaczem na niego kolejka pszyszła to się cały pocił. Wiem bo mnie trafiło na ostatek. A u nas nie było tego żeby uciekał pszed karą hoćby nawet nie wrócił asz za dwa dni, to oczymał dwa razy tyle. Mówię wam, że my mieli tatusia bardzo dobrego, ale karał" – wspomina córka.

Choć ojciec ukarał ich rutynowo, już po wszystkim zachował się w sposób dla siebie nietypowy. Kara, którą wymierzył dzieciom, dosięgła także jego. „Jak już każdy oczymał swoje wynagrodzenie, tatósse pas zapiął usiadł na ławce i jak zaczął płakać na głos to ani przedtem ani potem nie widziałam żeby tak płakał. I pomału wszyscy my na głos płakali".

Ojciec Rudzi należy do wyjątków, wziął na siebie rolę obojga rodziców. W przeciętnych rodzinach ojcowie nie zawracają sobie głowy dziećmi i często nie nawiązują z nimi kontaktu, ich więź z potomstwem przypomina relację kierownika firmy z załogą, zwłaszcza z synami, z którymi pracuje częściej. Wobec córek zachowują dystans, oczekując od żony, że to ona się będzie nimi zajmować. Córka to baba, a „baby przecież chłop nie zrozumie".

Jednak i matki, a szczególnie macochy, potrafią być okrutne. Ponieważ to one zajmują się głównie dziećmi, karzą je niekiedy na zimno i bez hamulców. Ojcowie udają, że nie widzą, lub uważają, że „należało się".

Gdy dziewięcioletni Czesław ze wsi Osienniki na Podlasiu w 1939 roku przychodzi do swojego wuja, ma całą siną twarz. Mówi, że dostał od macochy, bo zjadł jajko. A potem zeznaje przed śledczymi: „Biła nas prawie codziennie batem, powrozem i pięścią. Biła, bo zaspałem na pastwisko. Bo za wcześnie spędziłem krowy, albo coś zjadłem". Sąd wykazuje też, że macocha nie daje pasierbom jedzenia ani ciepłego ubrania, zmusza ich do pracy ponad ich siły, między innymi do rżnięcia

sieczki. Aleksandra K. przed sądem nie przyznaje się do winy, usprawiedliwia się, że chłopcy są krnąbrni i że „karciła ich z konieczności". Z kolei ojciec synów twierdzi, że o niczym nie wiedział, a chłopcy nigdy się na jego żonę nie skarżyli.

„O mojej prababce mówiono, że była złą kobietą, lecz miała dobre, pracowite dzieci, które samolubnie wykorzystywała" – relacjonuje działacz społeczny, który posługuje się pseudonimem Stary Socjalista. Po mieczu wszyscy jego dalsi przodkowie byli pańszczyźnianymi chłopami ze wsi Krępa w pobliżu Radomska. „Babcia urodziła się 24 października 1883 roku, była córką Wincentego i Urszuli. Miała dwie siostry i dwu braci. Jedną z tych sióstr babci – Antosię, matka wykorzystywała w sposób szczególny. Kiedy ta dorosła, wysyłała ją na saksy, ale po powrocie zabierała jej przywiezione zarobki, złote pruskie monety. Mówiła, że posag jej niepotrzebny, bo nikt nie weźmie kaleki za żonę. Antosi w niemowlęctwie świnia obgryzła palce w lewej ręce. Podpisywała się krzyżykami, była wycofana, bardzo spokojna, zawsze gotowa do pomocy, ukrywała swoje kalectwo, zręcznie i szybko wykonywała każdą pracę. Wyróżniała się pracowitością i schludnością. W kilku kolejnych latach pracowała u tego samego «baora». Kiedy zmarła mu żona, chciał się żenić z Antosią. Antosia wróciła do domu i powiedziała o tym matce, a ta ją wyśmiała" – relacjonuje Stary Socjalista. Antosia, jak często się to działo z samotnymi kobietami, została przygarnięta przez swojego brata. „Do końca życia pracowała u krewnych, często w domu moich rodziców. Zawsze oszczędzała. Woreczek z przeznaczeniem na swój grób uzupełniała i przechowywała u mojej mamy".



Kiedy dziecko idzie do szkoły, rodzina traci pracownika gospodarstwa

Los jej siostry Józefy potoczył się zupełnie inaczej, ponieważ szybko opuściła ona wieś i zyskała niezależność, zatrudniwszy się w fabryce mebli Thonet w Radomsku. „Babcia pracowała w politurni i szybko zorientowała się, że musi pracować wolniej, bo majster zacząłby wyznaczać normę według jej pracy. Inne robotnice nie nadążały, traciły na zarobkach. Została związkowym mężem zaufania, wybrana przez robotnice z jej wydziału. Wzbudzała respekt, była osobą niezwykle poważną, prostolinijną, sprawiedliwą, nigdy nie okazującą negatywnych reakcji i ekscytacji. Raz tylko pamiętam okazała emocje, po śmierci Stalina powiedziała: «Pan Bóg wreszcie zakazał temu Belzebubowi po świętej ziemi chodzić». Głęboko religijna, lecz wolna od klerykalizmu. Nigdy nie skarżyła się na swoje trudne życie. Mieszkała z nami do śmierci w 1955 roku. W każdy czwartek gotowała nam pierogi z serem. Aby dostać dokładkę, trzeba było najpierw zjeść zalewajkę czyli żurek ziemniaczany okraszany skwarkami. Cóż to były za pyszności!”

– Według dzisiejszych kryteriów moja jedna babcia była zimna, a druga wręcz lodowata. Kiedy moja mama urodziła piątą córkę, to jej matka przyszła i zapytała: „Coś tam ulęgła?”. Niezadowolona, że znowu dziewczyna – opowiada Elżbieta Orzyłowska-Łęczycka, nauczycielka, autorka monografii mazowieckich wsi Białki i Radomyśli. I dodaje, że jej matka, bardzo uczuciowa i wrażliwa, w relacjach z dziećmi pozostawała oschła. – Jej matka ją tego nauczyła. Nie pamiętam zresztą z dzieciństwa kobiet, które by okazywały czułość. Nie wyrażały uczuć, nikt nie słyszał słów: „jesteś kochany”. Wychowywanie dzieci oznaczało bardziej ich hodowanie. Zawsze uwielbiałam moich rodziców, byli moim wzorem: uczciwi, prawi, serdeczni. I dopiero córki mi uświadomiły, że można było odbierać ich inaczej. „Przecież babcia była zimna jak lód”, powiedziały mi, choć bardzo lubiły z nią przebywać.

Uznana reporterka Katarzyna Surmiak-Domańska, urodzona pod koniec lat sześćdziesiątych, jak pisze w swojej książce *Czystka*, czuje się „owocem eksperymentu społecznego”. Oboje jej rodzice, którzy jak tysiące innych, wychowanych na wsi, stali się miejskimi inteligentami, nie zdecydowali się na kolejne dziecko, by móc zapewnić córce wszystko, co najlepsze. W ich planie jednak nie zmieścił się bliski kontakt, którego prawdopodobnie nawiązać nie potrafili. Jak również mówić o własnych traumach.

„O ileż ciekawsze od moich korzeni były przecież książki Juliusza Verne’a, fizyka, astronomia, szachy, nauka języków obcych. Chodzenie po pokoju z książką na głowie, żeby wyrobić sobie ładną postawę, albo jazda figurowa na lodzie, którą katowano mnie na Torwarze. O ileż ważniejsze było bezdźwięczne mieszanie cukru w herbacie, bo gdy pewnego dnia znajdę się na dworze Elżbiety II, zadzwonię łyżeczką, najem się wstydu. Mówiło się nawet, że kiedyś, kto wie, może wyjdę za mąż za księcia Karola i pewnego dnia zostanę królową Anglii. Oto sprawy, które powinny zaprzątać głowę dziecka nowych czasów. Przeszłość skończyła się, i całe szczęście. Pozostałe po niej wspomnienia

należy wyciszać” – zauważa Katarzyna Surmiak-Domańska w *Czystce*, reporterskiej książce, w której prowadzi prywatne dochodzenie mające wyjaśnić traumę zbrodni popełnionych na jej rodzinie podczas rzezi wołyńsko-galicyjskiej w latach 1943–1944, ale *clou* tej opowieści stanowią relacje między nią a jej rodzicami, w szczególności ojcem. Katarzyna Surmiak-Domańska wspomina też o babci ze strony mamy, która pozostała na lubelskiej wsi, a „przeszła przez życie w pozycji zgiętej”. „Pielenie grządek, zrywanie chmielu, podbieranie zboża spod kosy, mieszanie w korycie śruty z parującymi kartoflami dla świń, ubijanie masła w maselnicy. Uginanie się pod ciężarem worka z kartoflami na plecach i dziecka w brzuchu. Klęczenie w kościele, kłanianie się dziedzicowi, kłanianie się księdzu” – wylicza, porównując swoją relację z tymi, które miały jej rówieśniczki, często mocno związane ze swoimi babciami. Ona od swojej nie doznała wprawdzie żadnej przykrości, ale także nie doświadczyła czułości i jak podejrzewa, miało to związek z awansem jej matki. „Nie byłam wnuczką, której ona mogłaby objaśniać świat. Wolała dyskretnie się wycofać, może nawet było jej to na rękę – oprócz mnie miała w końcu gromadę wnuków”.

Ten brak zainteresowania i chłód, tak dobrze znane potomkom klasy ludowej, często nie oznaczały braku uczuć i zgubionej więzi. Wielu zna ten sposób kontaktu ze swoich domów: brak ciepłych gestów przy powitaniu, zaledwie blady uśmiech. A potem wykładanie na stół najlepszych kąsków, pierogów, ciepłego ciasta, które matka lub babcia przygotowywały przez kilka godzin, stojąc przy kuchni, bo przyjedzie wnuczek, wnuczka, ukochana córka, z którymi się prawie nie rozmawia, nakładając schabowego, mielonego, nalewając kompot z agrestu.

Kto rozumie te kody, ten wie, że cała czułość matki trafia do szarlotki, i nigdy nie zwątpił w jej miłość.

Surmiak-Domańska odrzuca tę nieco literacką wizję relacji w rodzinie, choć przyznaje, że dostrzegała i doceniała troskę ze strony mamy. – Jednak, gdy potrzebowałam, aby mama obroniła mnie przed moim przemocowym ojcem, ona odwracała oczy. W późniejszym życiu

kiedykolwiek zdarzyło się mnie czy mojej córce wejść w konflikt z kimś społecznie silniejszym, namawiała nas do podporządkowania się – mówi z pasją osoby, której świadomość nie pozwala na łatwe usprawiedliwienia. – Nie wzrusza mnie więc szarlotka, nie wierzę w jej rzekomą koncyliacyjną moc. Bohaterka mojej pierwszej książki *Mokradełko*, w dzieciństwie gwałcona przez swojego ojca przy milczącym przyzwoleniu matki, także z pochodzenia chłopki, do dzisiaj otrzymuje od niej szarlotkę i inne potrawy, które mają być zapewne formą rekompensaty. Nie może jednak doprosić się tego, co stokroć ważniejsze: szczerej rozmowy, uznania swojej krzywdy, poczucia autentycznego zainteresowania swoimi uczuciami. W podobnej sytuacji szarlotka tylko pogarsza sprawę. Jest dowodem na to, jak system, kultura, nazwijmy ją patriarchalną, katolicką lub wiejską, zaprogramowuje kobietę do odgrywania schematycznych ról, tłumiąc w niej poczucie prawdziwej bliskości i solidarności z własnym dzieckiem, pozbawiając instynktu chronienia i wspierania go. Kobieta – produkt tej kultury – nie zadaje sobie pytania, czy jest dobrą matką w ocenie swojego dziecka, lecz czy jest nią w oczach męża, księdza czy innych członków plemiennej starszyzny. Jakkolwiek jest we mnie zrozumienie takiego stanu rzeczy, jest to zrozumienie bolesne. Za tym zrozumieniem nie idzie zgoda. A wybaczenie przychodzi tylko pod warunkiem nadziei, że świat jednak zmienia się na lepsze i że w przyszłości tak się już dziać nie będzie – tłumaczy Surmiak-Domańska.

Kobiety w tej sytuacji płacą podwójnie: niezdolnością do autentycznej, głębokiej więzi z najbliższymi z jednej strony, a z drugiej oskarżeniami o to, że nie potrafią się wyzwolić z roli ofiary, przezwyciężyć trybów, w których zostały przez kulturę patriarchalną osadzone.

Gdy chłopskie dziecko trafia do szkoły, nauczyciele są przerażeni lub głęboko zasmuceni. „Ma małe wymagania życiowe i dużą odporność na głód. Brak jakichkolwiek zainteresowań wykraczających poza krąg trosk i radości z pasaniem bydła związanych – oto światek dziecka wołyńskiego” – pisze Grzegorz Paszkiewicz, nauczyciel z Wołynia. Jego

przemyślenia trafiły do wydanego w 1934 roku zbioru *Dziecko wsi polskiej*, publikacji złożonej z konkursowych prac nauczycieli. W latach trzydziestych konkursy dla rozmaitych grup zawodowych i środowisk robią furorę i wstrząsają opinią publiczną. Poza prasowymi doniesieniami stanowią ważne źródło wiedzy o tym, w jaki sposób funkcjonuje społeczeństwo, i przynoszą gorzką wiedzę o warunkach życia w II RP. Najgłośniejsze – *Pamiętniki chłopów, Pamiętniki bezrobotnych, Pamiętniki lekarzy* – obnażają nędzę i beznadzieję najsłabszych grup społecznych. Pamiętniki nauczycieli także należą do lektur przygnębiających. Wnioski autorów z odległych sobie regionów Polski różnią się, jeśli chodzi o warunki materialne, w jakich dzieci są chowane, jednak bez względu na nie sytuacja dziecka wiejskiego wszędzie okazuje się dojmująco ciężka. W najgorszej są dzieci ze wschodnich, a więc najbardziej zaniedbanych regionów Polski – Polesia, Pokucia, Wołynia, gdzie w przeważającej części chłopami są Ukraińcy i Białorusini. Wilhelm Kalita, nauczyciel z Pokucia, opisuje swoich uczniów jako pogrążonych w apatii i ociężałych. „Obserwowałem te pyzate, brudne twarzyczki nowo przybyłych do szkoły dzieci. Na twarzach i w oczach widoczny przestrach. Gdy im zaproponowałem zabawę, nie wierzyły. Przecież ich rodzice nie pozwalają na takie durnyci (głupstwa), a cóż dopiero nauczyciel, którym rodzice ciągle jeszcze swe dzieci straszą".

Obserwacje nauczycieli potwierdzają, że dom chłopskiego dziecka to szkoła oschłości. „Brak uczucia w życiu rodzinnym wywołuje ogólną nieczułość dzieci, brak współczucia dla cudzego bólu, nieszczęścia, kalectwa. Raczej jest to dla nich podnietą do drwin i naigrywań" – pisze Władysław Ostafiński z okolic Drohobycza i ubolewa, że dzieci są bardzo niekoleżeńskie. – Wiele trzeba, aby je przyzwyczaić do tego, że koledze trzeba przecież pozwolić zajrzeć do książki, umaczać pióro. Wyraźny jest też rozłam pomiędzy dziećmi biednych, a bogatych rodziców, a zwłaszcza w oddziałach starszych. Dzieci dobierają sobie kolegów stosownie do sytuacji materialnej rodziców. Podział ten widoczny jest i później. Biedny żeni się z biedną, a bogacz z bogatą". Zwraca również uwagę, że uczennice są obojętne i mniej aktywne niż

chłopcy, trudniej je czymkolwiek zainteresować. „Jest to skutek, sądzę, przedwczesnego wciągnięcia ich w kierat codziennych trosk i prac” – stwierdza.

Ale może bieda pokucka i drohobycka w połączeniu z zimnym chowem naznaczyły silniej charakter dzieci? Może, na przykład, łowickie dziecko okaże się radośniejsze, mniej zahamowane i bardziej skore do współpracy? Tamtejszy nauczyciel, Teodor Goździkiewicz, pisze o regionie łowickim: „Poziom kultury materialnej – w porównaniu z innymi dzielnicami Polski – wysoki. Domy duże, widne, wszędzie podłogi w mieszkaniach. Wyraźna dążność do bytowania w otoczeniu estetycznym, stąd ozdabianie frontów domów, ganków i drzwi elementami zdobniczymi w drzewie”. Również oświata stoi tutaj na wyższym poziomie. Czy więc miejscowe dziecko czuje się szczęśliwsze? Nic na to nie wskazuje. Tutaj także, podobnie jak w innych regionach, uczniowie prześladują swoich szkolnych kolegów za inność. „Stosunek dzieci do odmieńca sięga niekiedy granic okrucieństwa: wyśmieją jego mowę, wydrwią jego ubranie, wykpią zachowanie się. Nie tylko mu nie pomogą, ale będą starać się szkodzić na każdym kroku, znajdą zawsze okazję, żeby mu dokuczyć. Cokolwiek zrobi, wszystko będzie źle: niedobrze, jeśli jest zdolny i będzie się pilnie uczył, jeszcze gorzej, gdy dziecko jest tępe i słabe robi postępy w nauce. A już najstraszniejsze, gdyby dziecko posiadło jakąś ułomność fizyczną”. Wyrachowanie, skąpstwo, nieżyczliwość, zazdrość i zawziętość – to cechy chłopskiego dziecka według nauczyciela szkoły spod Łowicza. „Jeśli jedno dziecko ma książkę, a drugie siedzące tuż obok jej nie posiada, to jedno drugiemu nie pożyczy; «miej i ty swoją» – oto odpowiedź”.

„Pieszczot, uścisków i całusów dzieci wiejskie nie znają prawie; matka to jeszcze tam niekiedy w wolnej chwili pogłaszcze dziecko po głowie, ale ojciec chyba tylko okaże swoją miłość dla dziecka, że przywiezie mu w święto obwarzanek z miasta. Rodzinę wieśniaczą zespala i podtrzymuje nie miłość, lecz wspólna praca w celu zgromadzenia środków do życia wykonywana” – potwierdza Jan

Czarnecki, dodając, że już same warunki, w jakich dziecko wiejskie się chowa, nie sprzyjają prawidłowemu rozwojowi osobowości. Niedożywione dziecko nie może być pogodne. „Popada w przygnębienie, czuje się bezradne, pokrzywdzone, upośledzone, lękliwe. Działa kompleks niższości, małowartościowości, szczególnie w kontakcie z rówieśnikami zamożniejszymi" – wyjaśnia pedagog.

O jakiej przyszłości marzą wiejskie dziewczynki? Wilhelm Kalita, nauczyciel z Pokucia, chce się tego dowiedzieć, więc przeprowadza na lekcji coś w rodzaju ankiety, której wyniki potwierdzają jego obserwacje.

35 procent uczennic pisze, że chciałyby zostać nauczycielkami. Powody? Być jak pani, ale też mieć taką jak pani sukienkę oraz fasować pieniędzmi.

27 procent pragnie mieć pieniądze i pole, by móc dobrze wyjść za mąż.

19 procent chce być po prostu dobra i uczciwa, aby ludziom dobrze się z nimi żyło.

13,5 procent chciałoby jak rodzice uprawiać rolę.

6,7 procent chce być ładnymi, mieć piękne sukienki, pierścienie i gerdany (koraliki na szyję).

Dwie dziewczynki marzą o maszynie do szycia. Znajdują się i takie, których pragnienia nie należą do przyziemnych: jedna chce wyjechać w podróż do Afryki, a druga pisać, „takie jak w książce są, wiersze". Jeszcze inna udziela szokującej odpowiedzi, ale nauczyciela zupełnie ona nie dziwi. „Chciałabym być krową i dawać mleko, bo dobrze by mi było w domu" – pisze uczennica, a Wilhelm Kalita kwituje: „Czy tylko jej? Zapewne i wielu innym dzieciom byłoby lepiej, gdyby były inwentarzem. Więcej by o nie dbano, bardziej odczuwano by ich stratę".

Żadna z uczennic nie marzy o mieście. Ale i pewnie żadna miasta nie zna. Czasem tylko, gdy ktoś stamtąd przyjeżdża na wieś, zauważają, jak bardzo się on od nich różni. Dziewczynce urodzonej w 1926 roku we wsi Chlebów na Białostocczyźnie córka nauczyciela, Danka, wydaje się ideałem. „Przyjaźniłam się z nią i marzyłam, żeby jakaś wróżka

czarodziejska zmieniła mnie w taką pańską dziewczynkę, która by miała na imię całkiem inaczej niż wszystkie dziewczynki na wsi i żebym mogła nosić krótką sukienkę, bo my wiejskie nosiłyśmy za kolana, rozmawiać po polsku[12], jeść ciastka i cukierki i robić kogiel-mogiel".

Tęsknotę za pańskim życiem odczuwa również wtedy, gdy do wsi zjeżdża rodzina dziedzica z miasta i jego dzieci czasem bawią się z chłopskimi dziećmi. Niekiedy widać tylko, jak przejeżdżają bryczką przez wieś, ale i to wystarczy, by poczuć żal.

„Po każdej takiej wizycie buntowałam się, dlaczego ja nie jestem taka. W tym wieku ja pasałam gęsi, więc chodziłam za nimi i płakałam, rozmawiałam do nich po polsku – do dzieci wstydziłabym się mówić, boby się ze mnie śmiały, że «panienka». Gdy na jakiś czas takie cudeńka znikały mi z oczu, przyzwyczajałam się do swego losu i dalej chodziłam za gąskami zadowolona, że kiedyś mama zrobi mi poduszkę i pierzynę i przyjadą do mnie swaty".

Swaty w życiu dziewczyny są najważniejsze.

Swaty to wyrok.

ROZDZIAŁ 4

NIE ZADAWAJ SIĘ Z PLEWAMI, BO CIĘ ŚWINIE ZJEDZĄ

Zaraz po ślubie kazał ojciec zabraą mię sobie mężowi do siebie, bo moje miejsce zajęte zostało przez młodszą siostrę. Mąż znów powiada, że bez krowy mnie nie weźmie, a ojciec krowy daą nie chce.

z konkursu *Pamiętniki chłopów*, 1935 rok

Na osłęby, zwane też przystępami lub swatami, do domu panny młodej wysyłany jest rajko, nazywany również dziewosłębem albo swatem. Często to ktoś z rodziny, kto ma rozeznać, czy chłopak zostanie przyjęty, ponieważ wybiera mężczyzna i mężczyzna – ojciec dziewczyny – propozycję przyjmuje albo odrzuca. Małżeństwo chłopskie to spółka, która ma zabezpieczać przetrwanie rodziny, a nie romantyczny, emocjonalny związek ludzi sobie bliskich. „Na wsi nie patrzy się przeważnie ani na charakter, ani na wartości duchowe, byle tylko były morgi, to wszystko inne da się jakoś zrobić! Słusznie też ktoś powiedział: «Gdyby koza morgi miała, toby zaraz się wydała»” – pisze Maria Kielarowa w 1939 roku w gazecie „Kobieta Wiejska”.

Melania Burzyńska, rocznik 1917, należy do najlepszych partii we wsi Jaświły na Podlasiu. Jej ojciec, nie dość, że bogaty, w dodatku pełni funkcję wójta. I jeszcze – i tu już naprawdę akcje dziewczyny idą mocno w górę – Melania nie ma braci, czyli nie będzie problemu z podziałem majątku, jej siostry się wyda, spłaci i „pójdą na stronę”, jak się mówi w sytuacji, gdy żona przeprowadza się do rodziny męża. Wżenić się w gospodarstwo ojca Melanii to marzenie, więc gdy tylko dziewczyna dorasta, drzwi ich domu się nie zamykają. „Było więc ich u mnie, oj było! Co jeden to przystojniejszy lub z większym posagiem – wspomina. –

Jeżeli dobrze spamiętałam, to naliczyłam trzydziestu dwóch, nie raz kilku z tej samej wsi, ba!, z tego samego domu". Melanii wpada w oko pewien Bronek, miły, przystojny i po siedmiu klasach, ale co z tego? „Ojciec mój sprzeciwił się moim planom, a nie do pomyślenia było mu się opierać. Nie podjęłam walki o mego chłopca" – wyznaje. Przyjeżdżają więc kolejni i chociaż Melania czerpie satysfakcję ze swojej mocnej pozycji, dociera do niej, że ona sama w tym wszystkim kompletnie się nie liczy: „Byłam tylko przymusowym towarem, który musi się wziąć razem z gospodarstwem".

W końcu zjawia się u niej w konkury chłopak na medal: bardzo bogaty, po szkole krawieckiej, do tego przystojny i wysoki. „Był u nas parę razy sam, parę razy przysłał rajka i po pewnym czasie zaproponował, że do mnie przyjdzie w przystępy jego starszy brat, a on poczeka na Reginę (siostrę Melanii), która miała wówczas piętnaście lat i jeszcze bratu da posag, a Renię weźmie bez posagu". Melania nie reflektuje na tę propozycję, oddała już serce innemu, który zaimponował jej lepszym pochodzeniem i wykształceniem – aż średnim. Są po słowie, gdy on nagle zaczyna się ociągać, a do Melanii docierają wieści, że ojciec innej dziewczyny urabia chłopaka, by ożenił się z jego córką. Melania czeka jednak cierpliwie, aby narzeczony dał na zapowiedzi. I w końcu daje, ale Melanii o tym nie informuje, ponieważ panną młodą będzie inna. „Runął cały wymarzony gmach szczęścia!" – pisze po latach Melania Burzyńska.

Tradycja umów przedślubnych wciąż się trzyma mocno także w innych klasach, jednak wyższe, a także niższe w miastach, częściej dobierają się w małżeństwa zgodnie z prawem serca – choć w obrębie swoich klas – a nie z nakazu rodziny i w efekcie zimnych kalkulacji (poza arystokracją czy bardzo bogatymi rodzinami, gdzie dziedziczenie majątku ma ogromne znaczenie i gdzie wciąż to ojciec ma decydujący głos).

Wiano w rodzinach chłopskich znacznie się różni od tego w rodzinach mieszczańskich. Kiedy w 1919 roku Stefania Marchew, córka kupca i śpiewaczki, wychodzi za mąż za zakochanego w niej do szaleństwa młodego poetę Juliana Tuwima, małżonkowie spisują, że wnosi ona do

małżeństwa całkiem spory posag: „50 000 marek[13], natomiast w wyprawie ślubnej: garderobę i meble, skórzaną kanapę, 12 krzeseł, pianino firmy C.M. Schroeder, 6 obrazów olejnych, bibliotekę ze 100 tomami książek, 4 lichtarze srebrne, łyżeczki do herbaty, dwa dywany perskie, lustro-tremo [lustro stojące – przyp. J.K.-F.], lampę wiszącą, skrzynie do węgla z drzewa sosnowego, całkowite urządzenie kuchni, a także rozmaite drobiazgi służące do upiększenia mieszkania”.

W rodzinach chłopskich przede wszystkim najpierw trzeba zrobić rozpoznanie i ustalić, co kto posiada i czy uda się dzięki małżeństwu zabezpieczyć potrzeby pozostałych członków rodziny. „Kawaler ma kilka morgów ziemi, budynki gospodarskie i dom mieszkalny – chce się żenić – chce sobie wyszukać towarzyszkę życia. Czy idzie do tej, którąś sobie sercem upatrzył? Gdzie tam. Oto pewnego wieczora wysyła trzech swatów, każdego do innej dziewczyny. Dobrze po północy pośrednicy mocno podchmieleni wrócili z nowinami i opowiadają, co gdzie słyszeli, a kawaler milczy. Wreszcie uradzili, że Jaga Gózikówna dostanie 5 morgów ziemi, 2 morgi łąki, 2 krowy i cielę, a do tego jeszcze dużą wyprawę i coś złotych na dodatek – Jaga jest najbogatsza i z nią się będzie żenił. Kawaler obliczył dokumentnie morgi, krowy, pierzyny i złociaki i stwierdził, że bogatszej od Jagi w całej okolicy niema – zatem będzie to jego żona” – pomstuje w „Kobiecie Wiejskiej” G. Surmaczowa.

Autorka artykułu nie nazywa rzeczy po imieniu, a przecież rzeczona Jaga Gózikówna właśnie została sprzedana.

> Jadą goście, jadą, koło mego sadu,
> Do mnie nie przyjadą, bo nie mam posagu.[14]

„W 1922 r. ogłosili mnie do żeniaczki i że mam 12 mórg majątku – pisze uczestniczka konkursu na pamiętnik kobiety wiejskiej stylem, jakim się informuje o przetargu. – Zaczęły przyjeżdżać kawalery, ale ja nie byłam panna marna. Życie miałam w sobie, nie byłam ostatnia ciamajda. Miałam te 17 lat, nigdy sobie nie pomyślałam, że ojciec dla mnie chce źle”.



Każda wieś prowadzi rejestr złamanych serc. Największy lęk dziewcząt budzi małżeł stwo za morgi. Zdjęcie ślubne (osoby nieznane)

Zjawił się szybko poważny kandydat i mężczyźni się dogadali się: przyszły mąż wniósł 2000 marek, ojciec dał 12 morgów ziemi. Mąż przyprowadził krowę, a ojciec dał starą szkapinę. „Mój mąż przyjechał do mnie na zaręczyny przy ostatku października, a 18 listopada braliśmy ślub. Tyle było naszego zapoznania. Za czepiec[15] kupiliśmy sobie łóżko, dwoje prosiąt i za resztę mój mąż oddał sobie kawalerski dług” – wspomina dziewczyna.

Policzone musi zostać wszystko: każda kura, talerz i poduszka. Umowę przedmałżeńską zatwierdza notariusz, nawet jeśli nowe, wspólne

gospodarstwo ma znikomą wartość. W archiwum w Kaliszu wśród przedmałżeńskich kontraktów znajdujemy ten zawarty przez Jadwigę Paterek, córkę rolnika z Maciejewa, i Walentego Zaradniaka, rolnika z Koźmina. Umowa głosi, że w małżeństwie obowiązywać będzie „wspólność majątkowa", a wartość wspólnego majątku szacowana jest na 1000 złotych. Natomiast opłata urzędowa od owego zapisu wynosi 70 złotych.

– Ludzie żenili się z zagonami – stwierdza Jadwiga Krasucka z domu Paciorek, rocznik 1930, której matka, pochodząca z mazowieckiej wsi Radomyśl, mając szesnaście lat, została wydana za starszego o dwadzieścia jeden lat mężczyznę. Nikt nie pytał o jej zgodę. Nie była do niczego potrzebna. – Co miała zrobić, jak jej młodszego chłopca dziadek pogonił – wyjaśnia Jadwiga Krasucka.

Ojciec swoje złamane serce leczył całe życie. Rodzina wiedziała, że oddał je córce francuskiego gospodarza, Stefanii, gdy rzuciło go do Francji, skąd – kiedy zaczął się światowy kryzys – został odesłany i z czym się nigdy nie pogodził. Przywiózł ze sobą garnitur i trzy kapelusze, w tym melonik. W Polsce dorobił się czwórki dzieci, najmłodszego, gdy miał pięćdziesiąt cztery lata.

– Dla nas był dobry, ale na gospodarkę się nie nadawał, tęsknił za Francją, opowiadał, jak tam jest, to u nas i za sto lat nie będzie. Wszyscy szli kosić, a on zawsze na końcu, taki był z niego gospodarz – opowiada córka Bolesława Paciorka.

Każda wieś prowadzi swój niepisany rejestr złamanych serc. Jadwiga Krasucka pamięta więc dobrze M., która została wydana za bogatego, chociaż kochała biednego Sz. I wszyscy wiedzieli, że nosi mu na drugi koniec wioski jedzenie, bo miłość nie wygasła, a Sz. się nigdy nie ożenił.

I wraca też myślą do historii Marysi, którą dali na przymus do małżeństwa, za majętnego.

– Opowiadała mi mama, że Marysia całe życie klęła Ignacego, swojego swata, tak nie lubiła męża. A miała z nim ośmioro dzieci. Pani sobie

wyobraża, mieć tyle dzieci i chłopa nie lubić?

> Hoja, hoja, mamko moja, nie dejcie mnie za kowala.
> U kowala siwa brioda, a ja pikna jak jagoda.[16]

– Wszystko miało znaczenie: czy ze wsi szlacheckiej się pochodziło, czy z włościańskiej – opowiada Elżbieta Orzyłowska-Łęczycka, nauczycielka, autorka monografii mazowieckich wsi Białki i Radomyśli. – Zawsze się na to zwracało uwagę, więc kto się urodził we wsi włościańskiej, nie startowałby do nikogo ze wsi szlacheckiej. Jak ktoś miał nazwisko zakończone na -ski, czuł się kimś i szukał podobnego do siebie. Jeszcze w późnym PRL-u to się liczyło i moje koleżanki się cieszyły, że ich córki dobrze wyszły za mąż i będą miały -ski w nazwisku.

Rodzina Elżbiety Orzyłowskiej-Łęczyckiej, ze strony zarówno ojca, jak i matki, wywodziła się ze szlachty zaściankowej, toteż w domu, w izbie głównej nad drzwiami wisiały herby. W następnych pokoleniach ubożeli, dzieląc ziemię między liczne potomstwo i koniec końców, jak wielu zubożałych szlachciców, żyli całkiem podobnie do chłopów. Jednak herb rodowy pozostał i dla nich na znaczeniu nie stracił.

– Różnica między rodzinami szlacheckimi a włościańskimi głównie polegała na większej zamożności w przypadku tych pierwszych, dbałości o zagrodę, na bardziej starannym sposobie ubierania się. Ale przede wszystkim na poczuciu większej wartości. Moja babcia Wiktoria, matka ojca, potrafiła mi przypomnieć, że nie przystoi mi z takim czy innym biednym się zadawać. A jak mój stryjek się zakochał w biednej, to mu dziadek powiedział: „Nie zadawaj się z plewami[17], bo cię świnie zjedzą” – mówi Elżbieta Orzyłowska-Łęczycka.

Słowo „mezalians” na wsi zmienia swoje potoczne znaczenie. Nie oznacza małżeństwa przekraczającego granicę klas, ale odnosi się do małżeństw zawartych między synem kmiecia, czyli bogatego chłopa, a córką biedaka lub odwrotnie. Nikt tego mezaliansem wprawdzie nie

nazwie, za to powie: ten to się z dziadówką ożenił. A tamta wyszła za dziada.

Małżeństwo rodziców Janiny Krasuckiej z mazowieckiej wsi Białki nie doszłoby nigdy do skutku, gdyby nie wypadek.

– Mój tatuś upatrzył sobie dziewczynę. Jednak jej rodzice cały czas mówili, że jego rodzina to dziady. Nie mógł się z nią ożenić, ale zabierał na huśtawkę jej młodszą siostrę. Któregoś dnia ona z tej huśtawki spadła i złamała sobie obie nogi. Leżała długo w szpitalu, a mój ojciec odwiedzał ją, zanosił jej różne ziarnka i cukierki. Okazało się, że jedna noga bardzo źle się zrosła, była krótsza i krzywa. Mój dziadek chciał wysłać mamusię do Warszawy na operację. Wtedy tatuś jej powiedział: „Nigdzie nie jedź, ja się z tobą ożenię, nawet jak będziesz miała jeszcze gorszą tą nogę”. I słowa dotrzymał – opowiada Janina Krasucka, a po jej twarzy płyną łzy.

Jej ojciec, starszy od matki o osiemnaście lat, przed wypadkiem nie mógłby się z nią ożenić, gdyż pochodził z dziadów. Kiedy dziewczyna ma defekt, przeszkoda przestaje mieć znaczenie.



Janina Krasucka, mieszkanka wsi Białki pod Siedlcami

W rodzinie Piotra Kieżuna zachowała się opowieść o tym, jak wydana za mąż została jego praprababcia Olesia. „Nie miała jeszcze dwudziestu lat, kiedy jej ojciec postanowił ją wydać za mąż. Trzeba przyznać, że to nie było małżeństwo z miłości. Babcia bardzo się wzbraniała przed tym zamążpójściem, choć szanse, że do niego nie dojdzie, były bardzo małe. Matka była po jej stronie, ale pradziadek Kłosek nie chciał o niczym słyszeć. Gdy obie próbowały go przekonać, żeby zrezygnował z decyzji, ten tylko rzucił: «A kij gdzie?». Nie było rady. Babcia została panią Nowosielską. Urodziła siedmioro dzieci” – opowiadała Piotrowi Kieżunowi jego babcia, Maria Karpińska.

Praprababcia pochodziła z dość majętnej w porównaniu z resztą mieszkańców wsi rodziny i prawdopodobnie, podejrzewa Piotr Kieżun, jej ojcu nie zależało na majątku przyszłego zięcia, ponieważ to ona wnosiła w małżeństwo spory posag.

– Sądzę, że w grę mogły wchodzić jakieś kwestie związane ze statusem społecznym. Jan Kłos, ojciec babci Olesi, był kowalem, bartnikiem, rusznikarzem. Był zamożny, bo był obrotny i roztropnie wydawał pieniądze, upatrzył sobie zięcia, który wydawał mu się pracowity – opowiada Piotr Kieżun.

Okazuje się jednak, że mąż Olesi, tak zwany dobry człowiek, lubi się napić i zamiast pomnażać majątek, trwoni go. W końcu to Olesia okazuje się roztropniejsza i za ostatnie pieniądze kupuje połowę domu, bo przeczucie podpowiada jej, że rodzina zostanie z niczym. Jej mąż Franciszek zdaje sobie sprawę, że w finansach mu nie wychodzi, i mawia: „Twoja ojcowizna mi się nie wiedzie”.

Elżbieta Orzyłowska-Łęczycka z rodzinnych przekazów szczególnie zapamiętała ten o ucieczce babci Wiktorii.

– Dziadek mój, Lucjan, był garbaty i cherlawy, ale dowcipny, miał w sobie to coś. Twierdził, że ma dobre żenidło. Kiedy postanowili go ożenić, znaleźli mu piękną dziewczynę. Jak swat go przywiózł do mojej babci, to od razu uciekła do alkierza, a stamtąd przez okno. I tak było kilka razy. Aż w końcu przytrzymali ją bracia i doszło do rozmowy, wytłumaczyli jej, że Lucio ma dużo ziemi, budynki. „Będziesz miała dobre życie”, przekonywali ją. W końcu powiedziała: „Dobrze, skoro mnie dajecie na zatracenie”. A potem opowiadała swojej synowej, że przez pół roku nie poszła z nim do łóżka. Ale jej teściowa była mądra i mówiła: „Wikciu, niech się Wikcia przekona do Lucia, bo Lucio jest dobry człowiek”. I chyba się przekonała, skoro sześcioro dzieci spłodzili.



Wiktoria próbowała uciec przed małżeństwem z Lucjanem, ale się nie udało. Od prawej: Wiktoria, z domu Grodzicka, jej mąż Lucjan Orzyłowski i teściowa Józefa. Zdjęcie ślubne, rok 1918

Przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści o swatach naszych przodkiń zawierają zaskakująco wiele detali. Rzadko kiedy przybierają formę suchej relacji czy zdawkowego sprawozdania, często to emocjonalna opowieść z dialogami i akcją. Jeśli nawet niewiele wiemy o przeszłości naszych rodzin, a nasza babka została wydana za morgi lub z innych, na przykład statusowych powodów, zwykle o tym słyszeliśmy.

Jest to bowiem jedno z tych wydarzeń, które naznacza życie kobiet głęboko, a czasem tragicznie. Ów wyrok na kobiecą wolność bywa bardzo szczegółowo przez nie zapamiętywany, ponieważ towarzyszy im wstrząs emocjonalny. Neuropsychologia opisuje takie momenty jako *flashbulb*, efekt lampy błyskowej. Pamięć fleszowa zamraża obraz, rejestrując precyzyjnie na przykład, jak byliśmy ubrani, gdy stało się coś, co zmieniło nasze życie lub co najmniej nim wstrząsnęło. Potrafimy odtworzyć nastrój, jaki towarzyszył nam tuż przed incydentem, albo zdanie, które padło i którego już nigdy nie zapomnimy. Dlatego Piotr Kieżun, tak jak wcześniej trzy pokolenia jego rodziny, wie, że Olesia, gdy sprzeciwiała się zamążpójściu, usłyszała od ojca: „A kij gdzie?".

Dlatego też rodzina Elżbiety Orzyłowskiej-Łęczyckiej zawsze będzie sobie opowiadać o babci Wikci, która swoim braciom usiłującym zmusić ją do zamążpójścia oświadczyła: „Dobrze. Skoro dajecie mnie na zatracenie".

„Rodzina wiejska potrzebuje zmiany etycznej" – nawołuje Ignacy Solarz, nauczyciel i twórca Uniwersytetu Ludowego w Szycach i Gaci Przeworskiej, i przekonuje, że z rodziny należy uczynić związek dobrowolny i naturalny, a także moralnie silny.

Na razie na dobrowolność mogą bardziej liczyć dziewczęta z biednych rodzin, niemające atutów, które można by przehandlować. Jednak i w tym przypadku pojawia się ryzyko, że zjawi się gospodarz majętny, który zechce dziewczynę poślubić, bo wprawdzie ona nie posiada morgów, ale za to ma urodę i młodość, a przede wszystkim jest potrzebna, by zająć się jego dziećmi, bo żona umarła. Albo dziewczyna cieszy się opinią gospodarnej. Przechodzi wtedy rekrutację jako opiekunka i gospodyni, decydują względy utylitarne, nieistotne, kim ona jest i czego dla siebie chce. Skoro kawaler nie żąda posagu, rodzice nie mogą się oprzeć takiej okazji, wydają dziewczynę bez względu na reputację mężczyzny. Drugi raz taka gratka może się nie trafić.

Szesnastoletnią Eugenię L. z Mazowsza, którą osierociła matka, gdy dziewczynka miała osiem lat, wychowuje ojciec. Człowiek miastowy, dosyć zamożny, wżenił się w gospodarstwo ładnej, zdrowej wiejskiej dziewczyny i teraz, po jej śmierci, stara się zapewnić swoim dzieciom wszystko, czego potrzebują. „Śpiew ptaków i łany pszenicy kołysane wiatrem wprowadziły mnie w rajski nastrój. Podskakiwałam sobie po szerokiej polnej drodze” – po latach opisuje Eugenia ostatni ze szczęśliwych dni w jej życiu.

Gdy w rajskim nastroju wchodzi do domu, zauważa ojca ze szwagrem, mężem swojej starszej siostry. Piją spirytus z miodem, a ona natychmiast wyczuwa ich podekscytowanie. Szwagier rozmawia z nią wesoło, ale dziewczyna rozpoznaje fałszywy ton. W końcu on rzuca:

– Ty gdzieś tam sobie latasz, a nie wiesz, że myśmy cię sprzedali i już wódkę wypili.

Wiruje jej w głowie, powtarza sobie kilka razy „to niemożliwe żarty”, ale czuje, że to ani żarty, ani sen.

Ojciec tupie w podłogę:

– Musisz wyjść za mąż.

„A ja wolałam, żeby mnie oskalpowano, aniżeli wyjść za tego chłopaka, którego rodzice już mnie wytargowali, najbardziej nielubianego ze wszystkich, jakich znałam, nieokrzesanego, brutalnego” – wspomina Eugenia. Nie chodzi tylko o niego, również przyszli teściowie mają fatalną opinię we wsi, należą do zamożniejszych gospodarzy, ale są paserami. Dla jej ojca ich propozycja to okazja, której nie zamierza zaprzepaścić, ponieważ tamci od razu obwieścili, że nie chcą od niego posagu dla córki. Wystarcza im, że dziewczyna jest ładna, pracowita i wiele w domu potrafi, bo chowana bez matki, a więc wszystkiego musiała się nauczyć. Ojca w tej sytuacji nie obchodzą protesty córki. Kupuje jej piękne ubranie na ślub. Jednak goście weselni zwracają uwagę głównie na jej smutną twarz. „Wolałabym, żeby to był mój pogrzeb. Przeczuwałam, że idę na zmarnowanie” – opowiada.

I tak właśnie się stanie.

Dorosłość dziewczyny wiejskiej zaczyna się wraz z jej szesnastym rokiem życia. To wiek, kiedy uznaje się ją za dojrzałą do małżeństwa. Wkrótce zacznie rodzić dzieci i tak już będzie przez następne dwadzieścia lat. Doskonale wie, czego może się spodziewać w dalszym życiu: trudu i zmagania, a często głodu i samotności. To los kobiet w jej rodzinie od pokoleń, dlaczego jej własny miałby być lepszy? Najważniejsze trzymać się tego, co przeznaczył dla niej Pan Bóg, i nie pragnąć więcej. Wyróżnianie się i wywyższanie to oznaka pychy, a nieposłuszeństwo staje się grzechem. Zapłata za znój czeka w niebie, a tu, na ziemi, trzeba robić to, co należy: pracować i modlić się.

Na swaty rodziny przygotowują się długo. Matki z innymi gospodyniami ze wsi drą pierze na pierzyny i poduszki, ten podstawowy zestaw jako wiano zostanie złożony w posagowej skrzyni, z którą dziewczyna się wyprowadzi do domu męża. Kto może, odkłada każdy grosz, żeby było na spłatę reszty rodziny.

Ludwika i Wincenty Kaczmarkowie z Siemianowa postanawiają iść na całość, żeby wywianować swoje dzieci. Pod koniec lat dwudziestych sprzedają swoje gospodarstwo, a pieniądze dzielą między córki i synów. Dzięki temu najstarsza, Irena, może wyjść za masarza z Gniezna, do którego należą nie tylko wytwórnia mięs, ale też sklepy w mieście. Czyli dziewczyna trafia doskonale. I w dodatku idzie za miastowego, szczyt marzeń. Wkrótce cios: młoda małżonka choruje i umiera. Ponieważ para nie miała dzieci, masarz znów staje się świetną partią. Matka dziewczyny jest załamana. Córki nie ma, posagu też. Co robić? Wyjście okazuje się banalnie proste. Teściowa namawia zięcia rzeźnika, aby wziął za żonę drugą jej córkę. Ten się zgadza, a co ważniejsze, nie oczekuje kolejnego posagu. Teresa zastępuje więc siostrę u boku męża i wszyscy są bardzo zadowoleni. Po pewnym czasie to nowa żona trzyma firmę w garści i mimo że mąż okazuje się typem zabawowego utracjusza, masarnia dzięki Teresie prosperuje bardzo dobrze.

Zakochać się to zawsze ryzyko, ale gdy przyszłość zależy od tego, czy ojciec pobłogosławi wyborowi, to już prawie szaleństwo. Przekona się o tym osierocona przez matkę dziewczyna, którą wychowuje ojciec despota. Gdy kończy osiemnaście lat, zaczynają się w niej budzić pragnienia, chce poznawać ludzi i życie, ale ojciec nie pozwala jej wychodzić. Ona sama zresztą też woli trzymać się na uboczu, zawstydzona, bo ma jedną sukienkę i drewniane buty. Nadzieję daje jej pojawienie się w ich domu dalekiego kuzyna z Warszawy, w dodatku na stałej posadzie w policji. „Ponieważ był to chłopak młody i podobaliśmy się sobie, nadmienił pewnego razu ojcu, że pragnąłby się ze mną ożenić, lecz dostał taką odprawę od ojca, że więcej się już nie pokazał, a mnie zapowiedział ojciec, żebym sobie żadnymi mieszczuchami głowy nie zawracała, bo jeżeli mnie wyda, to tylko za gospodarza. Cóż było robić? Serce się zakrwawiło, lecz ojca wola była nieugięta” – wspomina. Niedługo potem zjawia się u jej ojca starszy gospodarz i chce się z nią żenić. Nic dziwnego, dziewczyna ma opinię pracowitej i gospodarnej. Teraz już wszystko toczy się poza nią. „Po długich targach i sporach wreszcie zawołano mnie i oświadczono ku wielkiemu mojemu przerażeniu, że mam za tego człowieka wyjść za mąż i na takich warunkach, że przyszły mój mąż dostanie od swego ojca pięć mórg ziemi, a ponieważ miał dwie zamężne siostry, na które spadało też po pięć mórg, więc mój ojciec kupi od jednej siostry dla mnie pięć mórg, a od drugiej możemy wziąć na spłaty, czyli obarczyli nas jeszcze przed ślubem dość dużym długiem. Oczywiście przed ślubem pojechali do rejenta i tam jeszcze wśród kłótni, która mnie do rozpaczy doprowadzała, sporządzili akt. Ojciec mój po długich targach obiecał mi krowę, a jego ojciec konia i na tem stanęło do ślubu” – opowiada.

Dziewczyna nie zna przyszłego męża, ale znają go ludzie na wsi i mówią jej, że jest człowiekiem gwałtownym, więc zaczyna się go bać. „Rozpacz mnie ogarnia straszna, po całych nocach proszę Boga o śmierć, lecz śmierć nie przychodzi, a tylko dzień za dniem zbliża się termin ślubu. Ojciec kupił mi już «wyprawę», składającą się z dwóch koszul, batystowej sukienki białej i pantofli. O jakże bym chętniej widziała się

w tym stroju w trumnie, jak przy ołtarzu! Nikt chyba nigdy tyle łez nie wylał, co ja w ostatnią noc przed ślubem, była to najstraszniejsza noc w życiu. Potem zawiedli mnie ledwie żywą do ołtarza i tam kazali powtarzać słowa jakiejś przysięgi, z której nie zdawałam sobie wcale sprawy. Zresztą ja tego człowieka wcale nie kochałam, tylko bałam go się, bałam okropnie! Stało się, jestem mężatką i tu dopiero zaczyna się gehenna".

Kiedy wybór małżonka jest wynikiem transakcji, narzeczeństwo trwa zwykle bardzo krótko, a wchodząc do nowej rodziny, dziewczyna nie ma pojęcia, z kim będzie dzielić życie. Kazimierz Popiel, bogaty chłop z Małopolski, od znajomych słyszy o Anieli Olejarzównie ze wsi Polanka Wielka. Nie wiemy, czego dokładnie się dowiaduje, ale prawdopodobnie najmocniej w jego uszach wybrzmiewa informacja o posiadanym przez Anielę majątku, jest to bowiem córka bogatego chłopa, w dodatku jedynaczka. Niedługo potem Kazimierz jedzie do Anieli, by się z nią zapoznać, co odnotowuje w swoim dzienniku: „Wybraliśmy się więc do Polanki dnia 16 grudnia 1922 roku i poznałem się z milutką, wesołą Anielcią. Ponieważ w styczniu 1923 roku mieliśmy straszne klęski w gospodarstwie (dobiliśmy konie, krowy, prosięta padły), nie pisałem do Anielci i nie byłem u niej potem prędko. Gdy nieco zapomniałem o doświadczonych klęskach, postanowiłem wybrać się do Anieli z oświadczynami i wkrótce się ożenić. Pojechaliśmy znów 6 maja 1923 roku i wtedy oświadczyłem się Anieli mojej i jej tatusiowi. Dnia 23 maja była Anielcia z tatusiem u nas pierwszy raz oglądać nowe gospodarstwo".

Dwa spotkania wystarczają, aby Kazimierz z ojcem Anieli postanowili o ślubie. Na przełomie maja i czerwca dają na trzy zapowiedzi, a 12 czerwca, gdy „przybyło siedmiu muzykantów w strojach z rogatymi czapkami wśród huku pięknej muzyki, pokonując dwie bramy", podążają do kościoła. „Za jedenaście dni przybyłem na wozie i zabrawszy Anielcię oraz jej różne sprzęty, jakoż też dwie krowy przyjechaliśmy do

Palczowic, gdzie odtąd wspólnie zaczynamy pracować” – zapisuje w swoim dzienniku Kazimierz Popiel.

Jego pogodna relacja nie zawiera całej prawdy: Anielcia kocha innego. Ale syna organisty, pewnie dosyć ubogiego, nie zaakceptował jej ojciec. Kazimierz zostaje przyjęty, bo naprawdę stanowi dobrą partię: bogaty, szanowany działacz „Piasta”, odznaczony za udział w pierwszej wojnie światowej (w armii austriackiej) i w dodatku naczelnik wioski Palczowice. Ojciec Anieli może się spodziewać, że kiedy małżonkowie połączą swoje majątki, rodzinie będzie się powodzić. I faktycznie, po kilku latach Kazimierz sprzedaje majątek Anielci za 1000 dolarów i 3000 złotych i wydzierżawia inny, bardzo duży w Krygu koło Gorlic: aż 50 morgów. Tuż po przeprowadzce zapisuje w dzienniku: „Z Palczowic przeniosłem 14 listopada 3 krowy, jałówkę, parę koni, 2 wozy i Anielcię z dziećmi”.

Aranżowane małżeństwo nie musi prowadzić do katastrofy. Anielcia, jak głoszą rodzinne przekazy, zakochuje się w mężu i wiodą żywot spokojny, wypełniony pracą, ale nie biedą – należą do elity wsi. Jak każda kmiecia rodzina zatrudniają ludzi do pracy i Aniela zarządza służbą, przekonując się, że nie jest to zajęcie ani lekkie, ani przyjemne, a Kazimierz działa społecznie i rządzi w domu.

– Myślę, że byli w Krygu szczęśliwi, nie tylko pracowali, ale też mieli rozrywki, jeździli na zabawy, choć życie babci to przede wszystkim praca – opowiada wnuczka Anieli, Aleksandra Kołodyńska. – Dziadek starał się przebywać w domu jak najmniej. Kiedy tylko mógł, zakładał kapelusz i wychodził politykować, dom zostawiając na głowie babci – dodaje wnuczka.

Potomkowie chłopskich rodzin często na pytanie o to, co łączyło ich dziadków, odpowiadają: „Dziadkowie się szanowali”. Czasem ktoś komentuje, że trudno zrozumieć, co mogło połączyć tych dwoje tak różniących się i obojętnych dla siebie ludzi, i zagadką pozostaje, dlaczego postanowili spędzić razem życie. Najczęściej trudno dotrzeć do

okoliczności, w jakich małżeństwo ich dziadów zostało zawarte, i nie wiadomo po latach, jaką rolę odegrał przymus stosowany przez ich rodziny.



Aranżowane małżeństwo nie musi prowadzią do katastrofy. Anielcia, jak głoszą rodzinne przekazy, zakochuje się w mężu i wiodą żywot spokojny i wypełniony pracą. Aniela i Kazimierz Popielowie, rok 1929

Rudzię spod Krakowa, tę, która zawsze jako ostatnia dostawała od ojca pasem i najdłużej musiała się bać, dopadła prawdziwa miłość. Ma szesnaście lat, gdy na weselu brata poznaje drużbę, któremu także się podoba od pierwszego wejrzenia. Jednak dziewczyna ma problem,

o którym nie może przestać myśleć. Od dwóch lat krwawi co miesiąc i podejrzewa, że przyczyną jest poważna choroba. Skończyła szkołę powszechną i od razu stała się gospodynią dla swoich siedmiu braci i ojca. Odkąd krwawi, boi się o siebie, ale nie ma nikogo, komu chciałaby o tym powiedzieć. Zainteresowanie chłopca ją cieszy, ale również martwi. „Myślałam: «Cóż z tego, że on chodzi, przecież ja chora, wnet umrę»” – wspomina. Długo zastanawia się nad tym, czy powiedzieć chłopcu o chorobie, obawiając się, że zostawi ją, gdy się dowie, ale przyzwoitość podpowiada jej, że nie powinna za niego wychodzić, bo gdy ona umrze, to on będzie biedował, jak jej ojciec, który samotnie wychowywał ośmioro dzieci.

W końcu chłopak pyta, czy chciałaby wyjść za niego, a ona zbiera się na odwagę, ale w ostatniej chwili się wycofuje i mówi tylko:

– Bardzo chętnie cię będę chciała, bo mi się widzi, że bym bez ciebie nie mogła żyć. Ino żal mi cię, bom ch...

„Co on się mnie naprosił, żebym powiedziała, co to znaczy «ch». Nie powiedziałam”. Teraz trapi się tym, że skoro zaczęła mówić, to już musi skończyć, a jednocześnie boi się, że się przestraszył i nigdy więcej go nie zobaczy. Jednak następnego dnia chłopak przychodzi.

– No, namyśliłaś się? Powiesz, co to znaczy „ch”? Bo jak mi dzisiaj nie powiesz, to już więcej nie przyjdę – zaczyna rozmowę.

I ona postanawia się przed nim otworzyć, nie tylko mówi mu, co się dzieje, ale też pokazuje zakrwawioną szmatę, a on fachowo pyta: „Jak często krwawisz?”, „Czy coś cię boli?”.

Kiedy mu wszystko objaśnia, mówi ze śmiechem:

– Jakiś ty bidoku nieszczęśliwy. Nie jesteś chora, właśnie jakbyś tego nie miała, tobyś była chora.

Następnego dnia chłopak przynosi jej książki, a jej ojcu czasopismo ludowców „Piast”, popularne wśród mężczyzn. Prosi go też o rozmowę i tradycyjnie chce go pocałować w rękę, jak całuje się rodzica.

– Co chcesz, to mów, nie całuj – oznajmia ojciec dziewczyny.

– Bardzo bym was prosił, żebyście mi dali córeczkę za żonę.

– Ja bym ci ją dał, ale ty będziesz chciał morgów, a ja dzielę wszystkich po równo. I po drugie, ona musi zostać w domu, bo ja już stary, tobym się przez niej nie obszedł.

Chłopak odpowiada, że przyszedł po jego córkę, a nie po morgi.

– A jak będziemy zdrowi i pracować, to i morgi będą – oświadcza i zapowiada, że przyjdą z matką w niedzielę.

Przygotowania do tej wizyty przebiegają nerwowo, ale domownicy też oddają się lekturze przyniesionych przez chłopaka książek i czasopism, najwyraźniej to ich pierwszy kontakt z literaturą i bardzo to przeżywają. „Mówię wam prawdę, że za dzień czytania mądrzejsza byłam jak w szkole, com sześć lat chodziła, bo w szkole taka książka ani razu mi do rąk nie weszła” – wspominała Rudzia.

Ojciec przygotowuje ją na to, że matka chłopaka, która jest wdową, zażąda morgów i ze ślubu nic nie wyjdzie.

Myli się. Wprawdzie ciasto, które Rudzia piecze na te zmowy, się nie udaje, ale matka chłopaka godzi się na ślub i posagu nie żąda. Młodzi nie mają wyjścia i muszą przyjąć warunki jej ojca, że Rudzia ma pozostać w rodzinnym domu, aby go dalej prowadzić, usługując ojcu i braciom.

Czasami zapobiegliwość sprowadza na nas nieszczęście. Nasze wysiłki i starania złośliwym zrządzeniem losu obracają się wtedy przeciwko nam, a wszystkie plany i wizje, choć realne i racjonalne, nie mają najmniejszej szansy, by się spełnić. Może gdybyśmy się tak nie starali, wszystko by się inaczej potoczyło?

Stasia K. ma piętnaście lat, gdy zaczyna zbierać na swój posag. Najstarsza córka gospodarzy sześciomorgowego gospodarstwa w Bieżeniu, wioski między Częstochową a Lublińcem, wie, że jeśli sobie nie uzbiera na posag, z domu niczego nie dostanie. Rodzinie udało się zbudować dom, bo ojciec przez lata jeździł na saksy do Belgii, ale na posag już nie wystarczyło. Ojciec przyjeżdżał rzadko, ale gdy wyjeżdżał, zostawiał po sobie pamiątkę. Gdy urodziło się czwarte dziecko, już nie

wrócił i pieniędzy też nie przysyła. Matka ze Stasią i jej rodzeństwem prowadzą gospodarstwo sami, a czasami z pomocą wujów, którzy mają konie i przychodzą zaorać pole. Latem dzieci chodzą pięć kilometrów na targ do pobliskich Herbów, żeby sprzedać jagody, grzyby i borówki.

Stasia już podrosła i co roku jeździ do bauera, na szwarc, jak mówią w jej regionie, czyli nielegalnie, bo Niemcy wtedy nie przyjmują emigrantów zarobkowych. Przewodnik za opłatą przeprowadza Stasię nocą przez granicę do gospodarstwa niemieckiego rolnika i przez pięć lat udaje jej się zgromadzić 5000 złotych. Sporo – średnia krajowa w 1928 roku, gdy rozgrywa się dramat Stasi, wynosi miesięcznie 250 złotych.

Ponieważ wieści, kto ile czego posiada, roznoszą się migiem po całej okolicy, w domu Stasi zjawiają się Stanisław L. ze wsi Truskolasy i jego wujowie. On kocha dziewczynę z sąsiedniej wioski. To nikogo nie interesuje, ponieważ ona nie ma wystarczającego posagu, a Stanisław musi przecież spłacić swoje rodzeństwo. Wszystko misternie zaplanowano, ale emocjonalne potrzeby w tym planie się nie zmieściły. Targi odbywają się między wujami Stanisława a babką przyszłej panny młodej. Rozmowy trwają krótko i kończą się zawarciem umowy. Swaty to wyrok. Oto jego sentencja:

– rodzina Stasi da rodzicom pana młodego 5000 złotych,

– rodzice pana młodego zapiszą młodożeńcom 6 morgów, a pozostałym swoim dzieciom po 200 złotych, które spłacić mają małżonkowie. Do czasu pełnej spłaty muszą ich utrzymywać.



Stasia z Bieżenia z mężem Stanisławem i córkami: Lucyną (po lewej) i Anielą, rok 1938

Stasia spotyka swojego przyszłego męża jeden raz, wtedy właśnie, podczas tej przykrej wizyty. Kolejny raz zobaczą się przy ołtarzu, w lutym 1929 roku.

Po ślubie, do którego pojechali saniami w głębokim śniegu, Stanisława zabiera swoją skrzynię posagową – a w niej pościel, garnki, obraz Matki Boskiej. Jako posag trafią też z nią do nowego domu krowa, świnia i kury. Zamieszkuje w jednej izbie z teściową i jej siedmiorgiem dzieci. Gdy tylko przekracza próg nowego domu, czuje, że nastawienie rodziny do niej jest fatalne. „Moja mamusia Stanisława – pisze po latach jej córka,

Lucyna Bogus – za to, co ona w życiu przeżyła i ucierpiała, powinna być nominowana na świętą”.

> Nie dejcie mnie mamko, nie dejcie mnie eszcze
> Nie dejcie mi mamko, bo ja eszcze młoda
> Czemuźeś mi matuliczko, za mąź wydała,
> Kiedym ja sie gospodarstwie, nie rozumiała
> I świata ci nie uźyła, młode lata utraciła, matulu moja.[18]

Teraz zaczyna się małżeńskie życie. Jego pierwszy dzień to często początek koszmaru kobiety, który trwać będzie aż do jej śmierci. Dziewczyna, która przepłakała ostatnią panieńską noc i która bała się przyszłego męża, po ślubie nie zostaje wpuszczona przez męża do nowego domu. Ojciec, konstruktor umowy z przyszłym zięciem, teraz nie chce mu wydać krowy, którą obiecał. „Więc mąż powiada «nie to nie, nie chce ojciec dać krowy, niech se trzyma i córkę», zabrał się i pojechał do domu. Pozostałam się niczyja, jak pies bezpański” – wspomina.

Ojciec zatrzymuje dla siebie krowę, ale córki w domu trzymać nie zamierza. Stała się zbędna, bo jej obowiązki przejęła młodsza siostra. „Kupiłem ci majątek, masz gdzie iść” – oznajmia jej ojciec. „Z rozpaczy zaświtała mi straszna myśl, postanowiłam tak z głodu umrzeć. Lecz los chciał inaczej, znaleźli mnie ludzie nieprzytomną w polu, mąż się dowiedział i wtedy mnie zabrał już do siebie. Ciężkie to było tam u niego życie. Byłam taka słaba, że mało mogłam tylko robić z tego wycieńczenia, a rodzice męża ciągle mi wymyślali, że nie będą darmo trzymać takiego próżniaka i przybłędy” – opowiadała.

Kolejna nasza bohaterka, ta, którą „ogłosili do żeniaczki w 1922 roku”, po ślubie przeprowadza się ze starszym o osiem lat od siebie mężem do domu, w którym mieszka jej babcia. „Na tej nowej gospodarce mojemu mężowi zaczęły wyrastać rogi, bo nic nie było, tylko oborzyna-próchno, stodoła też, narzędzi nijakich nie było: ani woza ani powroza, żeby się powiesić ani siekiery, żeby sobie łeb uciąć. Za wszystkie braki ja ucierpiałam, że mnie ojciec tak wywianował. A o swoim to nie

wspomniał, że ich było ośmioro i że ojciec go wypchał z domu jak najdalej, aż 22 kilometry z Chruślina do Michałowic. Dobrze by może było, żeby opływał we wszystkim, a tu trza się dorabiać od łyżki. Więc zaraz mi zaczął wygadywać, że on się ze mną nie żenił, że na mnie nie mógł patrzeć, tylko liczył, że będzie mu dobrze" – wspomina. Jednak mimo to twierdzi, że go kochała, i starała się mu nadskakiwać. „Pracowałam ponad moje siły, żeby był zadowolony. Ale gdzie tam, jak kto taki, to trudno mu palcem trafić".

W dodatku synek, którego rodzi jedenaście miesięcy po ślubie, umiera po niespełna dwóch tygodniach. Jedyną pociechą w tym okropnym małżeństwie jest dla niej babcia, z którą dzielą dom i przed którą może się wypłakać.

Lecz babcia zbyt dobrze zna życie, by móc ją pocieszyć.

– Nie płacz, moje dziecko – mówi jej. – Każda kobieta to jest niewolnica, to i ty nie będziesz wybrana.

ROZDZIAŁ 5

TAM LEPI W NOCY, JAK TU W DZIEŁ

Dnia 16.VIII.1928 r.

Najukochał sza Mamusiu! Najukochał szy Tatusiu! Kochani Marysiu i Stasiu!

Witam się z Wami, choą nie rękami ale boskimi słowami: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Pierwszy ja ten do was list z Kanady piszę. Juź źem się tydzieł w niej zagrzała, juź źem zobaczyła tę Kanadę. Jak źem tylko zajechała na ostatnią stację do miasta Prince Albert Sask, to mnie agent nie posłał do Kraski na farmę, tylko mnie zostawił w tym mieście. Ale jak się dowiedzieli u Kraski, źe jestem tak zaraz po mnie wszyscy przyjechali autem. Kraska z źoną i dzieckiem oraz chłop co u nich robi. [...]

Kochani Mamusiu i Tatusiu. Jestem u polskich ludzi, a oni są z Wróblowic koło Krakowa. Bardzo dobrzy ludzie. Jest teź u nich Aleksiak ze Szczurowej. Domowych jest tylko dwóch chłopaków i ojcowie juź starzy. Gospodarz ma 62 roki, a jego źona – 54, a jeszcze tak wyglądają jak u nas ludzie na 35 lat. Mają dwie i pół farmy. W jednej jest 165 morgów, 10 koni, 8 krów, cielęta, maszynerie wszystkie. Mam co jeśą. Co tylko chcę to jem. I szperkę [słoninę – przyp. J.K.-F.] i kiełbasę w każdy dzieł i mleko, masło śmietanę – sama sobie biorę. Każdy musi jeśą, bo jak nie, to go do roboty nie przyjmą. Nie martwcie się o mnie, jest mi dobrze i wesoło. Jest gramofon w każdy wieczór grają nam. Choą mam wszystko, ale zawdy jedno na myśli... Kochani Mamusiu i Tatusiu!

Wiktoria Kuliś z Borzęcina-Okrajek w Małopolsce ma dwadzieścia lat, gdy wyrusza do Kanady.

– Może i nawet mniej niż dwadzieścia, bo coś tam jej chyba tych lat trochę dokupili – mówi Mirosława Białek, siostrzenica Wiktorii Kuliś.

„Dokupili” Wiktorii co najmniej rok, ponieważ by wyjechać do pracy za granicę, musiała, zgodnie z polskim prawem, mieć ukończone dwadzieścia jeden lat. Mężczyźni mogli emigrować zaraz po skończeniu osiemnastki. Emigracja zarobkowa to jeden z pomysłów władzy na

poradzenie sobie z problemem przeludnienia i bezrobocia, a chętnych było mnóstwo. Od 1919 roku zawierane są międzynarodowe umowy, które regulują zasady, na jakich można emigrować. Dotychczas najpopularniejszym kierunkiem dla Polaków były Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, a powracający stamtąd zmieniają polskie wioski. Wielu z nich jeździ tam, by się dorobić, ale jednak wrócić, zbudować dom, dokupić ziemi. Niektórzy wyjeżdżają kilka razy, na przykład na pół roku. „Jeździli do Ameryki jak na jarmark do Rzeszowa" – pisała w 1937 roku Krystyna Duda-Dziewierz, autorka monografii wsi Babice na Podkarpaciu. Ponad połowa babickich rodzin ma wówczas kogoś w Ameryce. Emigracja nie tylko poprawia ich sytuację ekonomiczną, ale też przyczynia się do awansu społecznego. Mężczyźni żenią się z bogatymi dziewczynami, o których wcześniej nie mogliby pomarzyć, ale teraz mają 2000 dolarów, na widok których kmieciom błyszczą oczy. Kiedy oni pracowali w zakładach samochodowych w Detroit, kmieć ubożał, dzieląc swoje gospodarstwo między dzieci. Wcześniej, gdy był naprawdę zamożny, pomiatał takimi jak oni i gdyby któryś z nich chciał się żenić z jego córką, powiedziałby: „Precz, ty parobku!". Teraz może dać w posagu córce zaledwie cztery morgi, więc nie ma prawa się puszyć.

W 1924 roku USA wprowadzają restrykcyjne prawo wizowe, ustanawiając limity przyjazdów na poziomie 15 tysięcy rocznie i zadając cios tym, którzy śnią o Ameryce, i tym, którzy dotąd jeździli do niej jak na jarmark. Dodatkowo sytuację komplikuje kryzys ekonomiczny, wielu Polaków żegna więc swoje marzenia, a potem płacze do końca życia. „Ja bym choć jedno oko zostawiła, a jechała do Ameryki. Tam lepi w nocy, jak tu w dzień" – mówi w 1936 roku chłopka z Babic, która wyemigrowała dwadzieścia lat wcześniej z mężem, ale z powodu kryzysu musiała wrócić.

Z Borzęcina, skąd pochodzi Wiktoria Kuliś, także największa grupa emigrantów trafiła do USA, głównie do Chicago, skąd przysyłali w listach szczodraki – jednego lub dwa dolary.

– Siostra mojej babci, Rozalia Solak, wyjechała do Chicago, a tam wyszła za chłopaka z wioski Biadoliny, położonej zaledwie kilka kilometrów od Borzęcina. Przesyłała rodzinie paczki, a w nich między innymi chusteczki na głowę, zwane popularnie tybetkami, bo u Żyda w Chicago kosztowały tylko jednego dolara, a w Polsce dużo więcej – mówi Lucjan Kołodziejski, historyk i regionalista. Jego bogate archiwum zawiera sporo dowodów na to, że diaspora z Borzęcina nie zapomniała o biedzie swoich ziomków. W 1921 roku w Chicago powstaje Towarzystwo Ratunkowe Gminy Borzęcin, do którego należy sto sześćdziesiąt pięć osób. Wspierają budowę kościoła w swojej wsi, pomagają się podnieść z klęsk po powodzi czy pożarach. Zakończą działalność dopiero w latach siedemdziesiątych XX wieku.

Tymczasem po wprowadzeniu ograniczeń wizowych coraz popularniejszymi kierunkami stają się Kanada i Ameryka Południowa, a w szczególności Brazylia. W latach 1926–1938 z Polski wyjeżdża półtora miliona osób. Kanada wymaga, by imigranci potrafili pisać przynajmniej w swoim języku, analfabetów się nie wpuszcza. Ale o to Wiktoria Kuliś nie musi się martwić. 28 lipca 1928 roku wsiada na statek Albertic w angielskim porcie Southampton, a 5 sierpnia przypływa do miasta Quebec w największej kanadyjskiej prowincji na północnym wschodzie.



Ślub Polaków z Borzęcina w Chicago

Skąd rodzina Kulisiów, małorolnych chłopów z dziesięciorgiem dzieci, wzięła pieniądze na tę podróż? Na drogę do Anglii, na statek, na opłacenie agenta? Wiktoria wyjeżdża w ostatniej chwili przed światowym kryzysem. Dla wielodzietnych rodzin to jedyna szansa na pozbycie się zbędnej córki, a dla niej, by móc jeść i szperkę, i kiełbasę.

Wiktoria podczas tej podróży przeczuwa, że jej statek popłynie w jedną stronę.

> Co do podróży to bardzo dobrze mi szło. Pan Bóg mi takie zdrowie dawał, że nie chorowałam całą drogę. Z początku było przyjemnie i znów w ostatnie dnie. Ale jak my byli w środku oceanu to był i strach trochę. Takie straszne mgły były przez trzy dni, że nic nie było widaą. A sif to tak przez te 3 dni ryczał, że aź nieprzyjemnie było słuchaą. Jak my wsiedli to ludzi tyle było do jadła, że nie mogli sobie kucharze daą rady z gotowaniem. A później co dzień to mniej, a ku koł cowi to nie miał kto jeśą. A ja zdrowa byłam i całymi dniami się na tej książce modliłam, coście, wy Kochana Mamusiu dali. Kochana Mamusiu i Tatusiu! Jak my wysiedli z sifu to

wieźli nas trzy dni i trzy noce przez tę Kanadę koleją. Przez takie straszne kamienne góry i lasy i tunelami w tych kamiennych górach wykutymi, źe aź strasznie było jechaą, ale później juź jechaliśmy przez miasta, było weselej.

Kochani Mamusiu i Tatusiu. Proszę was bardzo i całuję aźebyście i zaraz wszystko pisali, co u was nowego słychaą. Jaki czas w Okrajkach jakie urodzaje, czyście juź wszystko pozbierali i kto wam pomaga? List poślijcie polecony, jeden złoty opłacicie, to źebyście wiedzieli, źe ja będę tego listu od was wyglądaą tak, jak byście sami mieli do mnie przyjechaą.

Wasza córka Wiktorya

Mirosława Białek, osiemdziesięciotrzyletnia siostrzenica Wiktorii, wciąż mieszka w Borzęcinie, i to dokładnie w tym miejscu, z którego wyjechała jej ciotka w 1928 roku. To ona przechowuje listy Wiktorii, ale sprzed wojny zachowały się jedynie dwa. Pytam, czy dziadkowie pani Mirosławy, a rodzice Wiktorii, tak samo mocno tęsknili za córką, jak ona za nimi.

– Niczego się człowiek nie mógł od babci dowiedzieć. Jak się pytaliśmy, to zaraz mówiła: „A co żeście takie ciekawe?”. Nie wiem, co to była za moda, że ludzie takie skryte byli i babcia też. Dla niej liczyły się tylko praca i Pan Bóg. Dlatego nawet się nie dowiedziałam, jak to było. Skąd pieniądze na statek dla cioteczki na tę podróż i na to wszystko – mówi Mirosława Białek. Rzeczywiście zagadkowe, jak tej ubogiej, wielodzietnej rodzinie udało się zorganizować córce taką podróż. Z drugiej jednak strony głównie takie rodziny wyprawiają za granicę swoje dzieci. Mają swoje patenty, a podstawowy to pożyczka u lichwiarzy, mających wtedy niezły urodzaj. Bogaci chłopi czy Żydzi z wielką ochotą pożyczają pod zastaw zboża lub ziemi. Na początku lat trzydziestych w Małopolsce na wyjazdy za ocean pożycza się między 200 a 300 dolarów pod zastaw dwumorgowego pola, na dwa procent miesięcznie. Być może Kulisiowie zdecydowali się na tę drogę, która szczęśliwie doprowadziła Wiktorię do prowincji Saskatchewan, gdzie powoli się aklimatyzowała. Po pięciu miesiącach od przyjazdu pisze do rodziców:

Kochana Mamusiu i Kochany Tatusiu napiszcie mi czyscie odebrali odemnie dwa listy z października i posłałam wam w nim 2 dwa dolary jeden do was Tatusiu na imieniny, a drugi za dusze zmarłe. A znów drugie dwa listy posłałam znów w grudniu i znów były pisane razem, alem posłała w dwóch kopertach bom wam znów w nich posłałam 5 dolary na święta i pisałam wam w nich Kochana Mamusiu i Kochany Tatusiu żebyście się wyfotografowali wszyscy i Marysia i Staś i żebyście mi fotografiję przysłali bo mi bardzo smutno i tak płaczę i tyle się trapię że wy tych listów odemnie nie odbieracie. [...]

Teraz wam donoszę kochana Mamusiu Kochany Tatusiu że bardzo wielkie mrozy teraz złapiły, a śniegu dużo nie ma. U nas w Kraju choą mrozy też są wielkie, ale tak nie ma jak w Kanadzie. I mnie tak dużo wyszło pieniędzy na przyodziewę zimową, ale ile by mi się jeszcze przydało ale się obchodzę jak mogę i nie kupuje bo bym chciała sobie uskładaą i wam do domu posłaą, ale wam teraz Kochany Tatusiu i Mamusiu w listach posyłaą nie będę. Bo nacusz mi posyłaą kiedy wy ich nie odbierzecie, ale teraz com wam posłała tez 5 dolarów tom posłała list legistrowany to ja myślę że wy go otrzymacie. Kochana Mamusiu i Kochany Tatusiu, Marysiu i Stasiu nie mogę wam nawet opisaą jak te święta nadchodziły to mi tak smutno było żem nie mogła wytrzymaą. Zdawało mi się tak że jak bym sobie była tak wyszła to bym może i do was zaszła. Na jutrznią my poszły razem ze swoja gospodynią bo do kościoła mam tylko 5 minut drogi, ale cóż mi z tego gdysz kościół Francuski tom tak w tym kościele płakała żem niemogła pacierza zmówią, gdyż mi się przypomniało jak to Pan Bóg daje że ja na tamto Boże Narodzenie była we swojem kościele anim sobie nie pomyślała że ja na drugie Boże Narodzenie już nie będę we swojem kraju, ale w Kanadzie, ale i za to Bogu dziękuje bom jest zdrowa i taki mi już Pan Bóg los przeznaczył żem musiała od was odjechaą to woli Boski sprzeciwiaą się nie trza, ale Pan Bóg da znów doczekaą że się powrócę do was i cieszyą się wspólnie będziemy [...].

Dalej pisze Wiktoria o swoich planach – że pojedzie do Toronto, bo tam lepsze zarobki i polskie kościoły. I że dostała na święta prezenty od swojej gospodyni: dwie sukienki jedwabne po sześć dolarów, a od innych dwóch farmerek szalik za dwa dolary i jeszcze droższą sukienkę niż ta, którą sprezentowała jej gospodyni. A teraz najważniejsze. Jedna z farmerek ma brata i on chciałby się z Wiktorią ożenić. „Ojcowie bardzo mię chcą i ojciec mu dał dwie farmy i maszynerie i konie i wszystkie budynki są i ta siostra też bardzo bogata i ona mi chce dać jeszcze swoich dwie krowy i świni i wszystko co mi tylko potrzebne będzie do gospodarki żeby tylko za niego iść i nie wiem co robić”.



Wiktoria Kuliś 28 lipca 1928 roku wsiada na statek Albertic w angielskim porcie Southampton

Prosi rodziców o informację, jak im się wiedzie w gospodarce i żeby jej napisali, ile zboża namłócili, ile ziemniaków ukopali i czy mają „czem bydłu futrować”. Żegna się z rodzicami i rodzeństwem wzruszająco:

> Koł czę te parę słów i zasyłam wam jak najserdeczniejsze pozdrowienia i całuję was najukochał si Mamusieł ko i Najukochał si mi Tatusieł ku. I kłaniam się wam i za nogi was uchwytam i jeszcze was całuje dziesięą tysięcy razy i nawet nie wiem jakie wam zasłaą życzenia, pozdrawiam i całuje cię moja Najdroższa Siostrzyczko Marysieniu i ty mój kochany Braciszku Stasieniu i życzę wam wszystkiego dobrego i zdrowia jak najdłuższego i widzenia naszego razem i niech wam Pan Bóg błogosławi we wszystkiem wasza zawsze kochająca was córka Wiktorya. Amen

Towarzysko i zawodowo układa się więc Wiktorii całkiem nieźle, a na horyzoncie pojawia się ślubny kobierzec. Nic z tego. Wkrótce przychodzi list z Borzęcina, od rodziców.

– Dziadkowie wiedzieli, że Wiktoria pracuje u bogatych Żydów. I to właśnie ich syn chciał się z nią żenić. A że babcia była czytata i pisata, to zaraz sobie powiedziała, że przecież Wiktoria, idąc za Żyda, będzie musiała zmienić religię. I napisali z dziadkiem, że absolutnie ma za niego nie wychodzić. I cioteczka posłuchała. Jak przyjechała pierwszy raz, opowiadała mi o tym. „Wiesz, jaka bym była bogata?", mówiła i śmiała się – relacjonuje Mirosława Białek, ale zapewnia, że Wiktoria nie żałowała tego, jak potoczyło się jej życie.

Gdy przyjeżdża po raz pierwszy do Borzęcina w 1978 roku, jej rodzice już nie żyją. Od wyjazdu minęło pięćdziesiąt lat.



Victoria Nemanishen z domu Kuliś z mężem Mikiem. Jak powiedział jeden z jej wnuków: „Baba była poszukiwaczką przygód – twardą i nieustraszoną”

– Cioteczka była bardzo wesoła, chociaż miała tam nielekko. Tam, gdzie mieszkała, zimy trwają długo i są srogie, tak że nieraz co zasiali, to im śnieg pokrył. Opowiadała też, że poznała Indian. I że to są bardzo porządni ludzie – relacjonuje siostrzenica Wiktorii.

– A czy cokolwiek się zachowało z czasów, gdy wyjechała stąd Wiktoria, czyli sprzed dziewięćdziesięciu sześciu laty? Jakieś zabudowania, cokolwiek?

– Nie, nie ma śladu, stoi nowy dom. Ale wie pani co? Zachowało się gniazdo bociana. Ono zawsze tu było, na drzewie koło domu. I jest dalej.

– To samo gniazdo, myśli pani?

– Tak, pamiętam. Na pewno to samo.

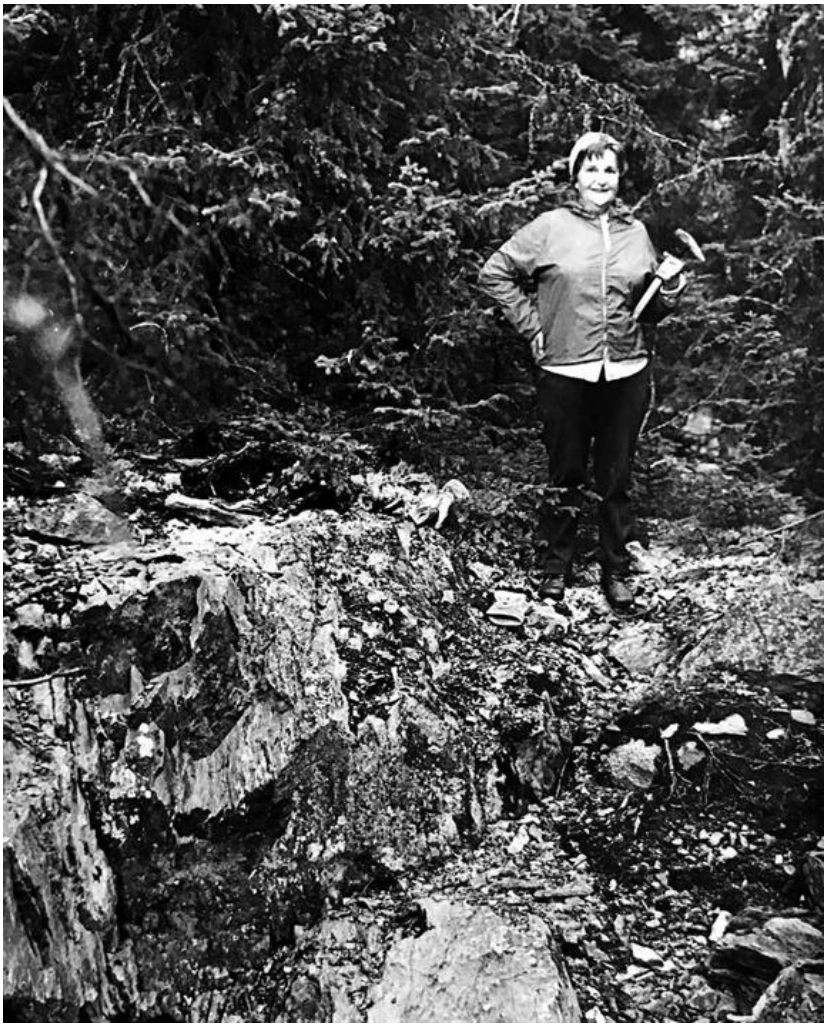
Wiktoria Kuliś nie jedzie do Toronto, jak zamierzała. Przez jakiś czas pracuje w szpitalu i tam poznaje mężczyznę, który który wkrótce prosi ją o rękę.

– Ale już babci i dziadkowi nie napisała, że on jest protestantem. Ani że jest wdowcem z dwójką dzieci – mówi Mirosława Białek.

Wiktoria do końca życia mieszka w Saskatchewan, malowniczej, rolniczej prowincji Kanady, z kilometrami prerii, o długich, nieprzychylnych rolnikom zimach. Omijają ją najgorsze lata kryzysu, podczas którego słynna galicyjska nędza pogłębia się, a potem hekatomba drugiej wojny światowej oraz powojenna bieda i komunizm. Czy życie emigrantki okazało się łatwiejsze niż to, które prowadziły jej rówieśniczki w Polsce? Jej córka Betty opisała w liście, jak potoczyły się koleje losu Victorii Nemanishen, znanej nam jako Wiktoria Kuliś:

W 1931 roku wyszła za mąż za naszego ojca, wdowca z dwojgiem dzieci (które wychowywali dziadkowie), i osiadła na fermie. Nie stroniła od prac w gospodarstwie, takich jak dojenie krów, pomoc przy siewie i zbiorach, prowadzenie traktora i zwożenie zboża. Uprawiała bardzo duży ogród i robiła przetwory z warzyw, owoców, mięsa i ryb. W niedzielę, gdy przychodzili niespodziewani goście, z łatwością serwowała wspaniałą kolację, ponieważ półki w piwnicy były pełne słoików gotowych do otwarcia. Hodowała też pszczoły i zbierała miód każdej jesieni z pomocą rodziny. Robiła to wszystko bez prądu i bieżącej wody i znajdując też czas, aby sobie i nam uszyć ubrania na maszynie. W przeciwieństwie do wielu kobiet tamtych czasów nauczyła się

prowadzić samochód. Ponieważ była zagorzałą czytelniczką, wieczorami czytała nam książki, wspominając, że u niej w domu, w mroźne, ciemne wieczory robił to często jej ojciec. Dni na fermie wypełnione były pracą, ale w niedzielę jeździliśmy całą rodziną nad jezioro, gdzie tato łowił ryby, które mama nam smażyła. Nasi rodzice mieli czworo dzieci: jednego syna i trzy córki. Bardzo jej zależało, abyśmy dobrze się uczyli i zdobywali wykształcenie. Chociaż sama miała silnego ducha przygody, jak wielu imigrantów przybyłych do Kanady, to nas zachęcała raczej do podążania bardziej tradycyjnymi ścieżkami. Wszystkie jej dzieci wyszły za mąż i mogła cieszyć się dziewięciorgiem wnucząt i najwcześniejszym z czternastu prawnuków. (Teraz jest pięcioro prawnuków, więc jej dziedzictwo trwa nadal). Była niezwykle dumną, opiekuńczą kobietą, która kochała swoją rodzinę. Jej dzieci wyrosły na osoby silne, miłe, niezależne, pracowite i zorientowane na cel.



Wiktoria Kuliś została pierwszą w Saskatchewan kobietą poszukiwaczką, najpierw rudy żelaza, a potem złota. Przez dziesięą lat wszystkie letnie miesiące spędzała w północnej Kolumbii Brytyjskiej, płucząc złoto. Zmarła tam w sierpniu 1992 roku

Nasza mama miała wielką osobowość, była przyjazna i otwarta. Kochała modę, nosiła jasne ubrania i futra – i nikt nigdy nie widział jej bez charakterystycznej czerwonej szminki! Nauczyła się ze słuchu grać na akordeonie i wciąż widzę, jak siedzi na ganku, gra i śpiewa polskie piosenki, które pomagały jej przetrwać wczesne lata. Chętnie też śpiewała w duecie z naszą siostrą, a wszystkich nas nauczyła tańczyć. Kochała gotować i karmić ludzi, wciąż robimy pierogi według jej przepisu. Kiedy wszystkie dzieci opuściły dom, prowadziła restaurację, zrobiła dyplom w szkole kucharskiej i gotowała m.in. na obozach wędkarskich.

Miała mnóstwo pasji: wykonywała biżuterię z kamieni, które sama szlifowała, zrobiła korespondencyjny kurs pielęgniarski, działała w partii, ale najbardziej oddała się pasji poszukiwawczej. Była pierwszą kobietą poszukiwaczką w Saskatchewan, najpierw rudy żelaza, a potem złota. Znów zrobiła dyplom w szkole dla poszukiwaczy i choć była to wówczas domena mężczyzn, nie zniechęcało jej to, zresztą wciągnęła w tę pasję naszego brata. Przez dziesięć lat wszystkie letnie miesiące spędzała w północnej Kolumbii Brytyjskiej, płucząc złoto. Zmarła tam w sierpniu 1992 roku, robiąc to, co kochała. Nie zdobyła pieniędzy dzięki tym poszukiwaniom, ale jej bogactwem stała się pasja poszukiwawcza i natura, wśród której kochała przebywać, zastanawiając się, co kryje się pod ziemią.

Mama prowadziła w Kanadzie ciekawe i sensowne życie. Ze względu na swoje liczne zainteresowania, potrzebę przygody i fascynującą osobowość wielokrotnie udzielała wywiadów, a została również wymieniona w opublikowanej książce o górnictwie w Saskatchewan. Jak powiedział jeden z jej wnuków: „Baba była poszukiwaczką przygód – twardą i nieustraszoną”. Jej determinacja we wszystkim stanowi przykład do naśladowania dla następnych pokoleń. Trudno jest podążać śladami Mamy, ponieważ przemierzyła wiele ścieżek, ale zostawiła swoje ślady, aby poprowadzić nas na naszej drodze.

Po sześciu latach od odejścia Wiktorii dzieci spełniły jej wolę: przyjechały do Polski. Zachwycone przyjęciem, nie mogły się nacieszyć spotkaniem z miejscem, które ukształtowało ich matkę, a które dotąd mogły sobie jedynie wyobrażać na podstawie opowieści, jakie Wiktoria snuła podczas zimowych wieczorów na ich rodzinnej farmie. „Mama opowiedziała nam wiele historii o bocianim gnieździe na drzewie, które znajdowało się na podwórku domu, w którym dorastała w Polsce. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu i radości drzewo wciąż było na tym podwórku, a bocianie gniazdo nadal na tym drzewie. Niesamowite!” – pisze Betty Pryor, najmłodsza córka Wiktorii w imieniu swojego rodzeństwa: Frances, Waltera, Marie i ich rodzin, kończąc swoją

opowieść o mamie: „Bardzo za nią tęsknimy, ale jej duch żyje. Mieliśmy szczęście, że była naszą Matką i Babą”.



Victoria Nemanishen z mężem Mikiem i dzieąmi w Kanadzie

ROZDZIAŁ 6

CNOTY NIEWIEŚCIE

Czuwajcie więc ostrożnie nad zamkniętym waszym ogródkiem, bo powinien on kiedyś wydaą zdrowe i piękne owoce, będzie on musiał wykonaą poważną pracę rodzenia, której nie zdzierżysz, gdy za młodu nie będziesz się starała utrzymaą puchu dziewictwa w nieskalanej białości.

ksiądz Karol Mazurkiewicz, *Kwestia seksualna w wychowaniu*, 1931 rok

Na początku lat dwudziestych, gdy panie miejskie zrzucają gorsety i skracają sukienki, kobiety wiejskie zdejmują z głów rańtuchy – szerokie pasy płótna, część ludowego stroju, które w niektórych regionach wkładały na święta religijne. Rańtuchy trafiają do kościołów, a na wschodzie do cerkwi i odtąd służą za obrusy liturgiczne. Kobiety zakładają w ich miejsce zwykłe chustki, z którymi nie rozstają się od pokoleń.

Chustka chłopki to dużo więcej niż zwykłe okrycie głowy. W polu osłania jej właścicielkę od wiatru, słońca i zimna; przy dojeniu krowy chroni mleko, w kuchni pozwala gotować bez ryzyka, że włos wpadnie do jedzenia. W końcu – można nią zakryć rzadko myte, często skołtunione włosy. Jednak dla mężatek to także symbol ich skromności i pokory i nie tylko noszą je na zewnątrz, ale też w domu i koniecznie w kościele. Tak nakazuje prawo kanoniczne Kościoła katolickiego z 1917 roku: podczas gdy kobieta musi głowę przykryć, mężczyzna przeciwnie, powinien nakrycie głowy zdjąć. („Mężczyzna zaś nie powinien nakrywać głowy, bo jest obrazem i chwałą Boga, a kobieta jest chwałą mężczyzny” – głosi Pierwszy List św. Pawła do Koryntian).

Dla wielu kobiet chustka to najbardziej upragniony prezent. Na co dzień gładka, lniana, w kształcie kwadratu, od święta wzorzysta,

kaszmirowa. Najbardziej zdobne kosztują tyle co krowa.



Chustka chłopki to dużo więcej niż zwykłe okrycie głowy. Mężatki w wielu regionach noszą je, zgodnie z tradycją, jako symbol skromności i pokory. Mieszkanki Pokucia

Z początkiem lat dwudziestych produkcja fabryczna chustek dla kobiet dopiero się zaczyna, dotąd nosiło się ręcznie robione. Duże, wełniane, w kratę – zwane oknowatymi, jesionkami lub kramarkami – służą do okrycia, zamiast płaszcza.

Gdy w Łodzi powstaje fabryka tak zwanego polskiego tybetu, czyli wełny czesankowej owiec lub kóz tybetańskich, w Polskę wysyłane są kolorowe chusty o intensywnych kolorach, zwykle z motywami róży, zwane tybetkami, salinówkami lub merynoskami. Interes kręci się świetnie, każda wiejska kobieta ma co najmniej kilka chustek na głowę i chociaż jedną do okrycia w zimniejsze dni.

W Jurgowie na Spiszu jeszcze długo po drugiej wojnie światowej mieszkańcy opowiadali sobie o jednej takiej, która chodziła na prządki,

a tam za każdym razem zabawiała się z innym mężczyzną. Któregoś dnia nakrył ją na tym jej mąż. Pojawił się znienacka w domu, w którym kobiety przędły, gdy jego żona właśnie tańczyła z chłopakiem. Zanim ją zbił, zrzucił jej z głowy chustkę. Wieś dobrze zapamiętała właśnie to, w jaki sposób chłop ukarał swoją żonę, ponieważ chustka to stempel i pozbawić jej kobietę to tyle, co ją wykluczyć, a więc upokorzyć i odrzucić. Mężatka bez chustki to widok hańbiący. Nie powinna bez niej wychodzić z domu i musi odpowiednio ją wiązać – w niektórych regionach pod brodą, a w innych z tyłu, pod włosami.

Jak wielkie ma to znaczenie, przekonała się dziewczyna ze wsi Błażowa, która idąc do kościoła, zawiązała chustkę z tyłu, niezgodnie z lokalną tradycją. Podczas mszy w tamtejszym kościele inna kobieta ściągnęła chustkę z jej głowy. A o jej występku huczała cała wieś. Nie należy łamać zasad. Wszystkie muszą wiązać tak samo.

Matka Michała Sobkowa, wrocławskiego lekarza, gdy tuż po wojnie w ramach tak zwanych repatriacji ich rodzina przybyła z Podola na przedmieścia Wrocławia, długo nie mogła się pogodzić z tym, że kobiety zamężne pokazują się na ulicy bez chustki. „Jak tak można! Czy one nie mają wstydu?" – pytała i zagroziła swojej córce, że „jeśli i ona ośmieli się podobnie postępować, nie ma czego szukać w ich domu". Już wcześniej oburzała się, że mężatki noszą chustki w sposób niedozwolony – czyli wiążą sobie kokardy pod brodą, tak jak dziewczynki. U nich, w podolskim Koropcu, mężatka musiała robić węzełek z tyłu i ten sposób wiązania nie podlegał negocjacjom. „Był on świętością, na miarę kultu religijnego – wspominał doktor Michał Sobków. – Ułożenie chustki było przemyślane. Od przodu zakrywała czoło aż do brwi i stąd być może kość bezwstydna w nazewnictwie anatomicznym jest też czasem nazywana *os iferecundum*, co oznacza kość bezwstydną. Ostatnią częścią garderoby, którą zdejmowała grzesznica przed pójściem do łóżka męża, i to dopiero po zgaszeniu lampy, była właśnie chustka. Zaś pierwszą czynnością rano, przed obudzeniem się małżonka, było założenie jej na głowę".

Do 1928 roku Polka, składając przed ołtarzem Kościoła katolickiego przysięgę małżeńską[19], wciąż wygłasza inną jej wersję niż ta, którą wypowiada mąż. Jej przysięga brzmi: „Ja, ..., biorę sobie ciebie, ..., za małżonka, i ślubuję ci miłość, wiarę, uczciwość i posłuszeństwo małżeńskie, a iż cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże wszechmogący w Trójcy jedyny i wszyscy święci".

Nadchodzi rewolucyjna zmiana. Od 1929 roku kobieta i mężczyzna w Polsce ślubują sobie to samo. Prymas Polski, arcybiskup August Hlond, w dekrecie z marca 1929 roku wyjaśnia: „W formule ślubu opuszczono ślubowanie posłuszeństwa ze strony młodej pani. Stało się to dla dostosowania do Rytuału rzymskiego, który tego rytuału nie zna, wychodząc z założenia, że obie strony przy ślubie biorą na siebie jednakie zobowiązania małżeńskie".

Niczego to nie zmienia, władza w polskiej rodzinie nadal należy do mężczyzny i nikt jej końca nie ogłasza. Pies

„Nie znaczy to, że żona przestaje być uległa mężowi. *Mulieresviris suis sub ditaesint*[20], św. Pawła (w liście do Efez 5.22) pozostaje nadal w mocy. Ale Kościół św. nie widzi powodu, żeby żony tę uległość miały aż ślubować" – tłumaczy prymas.

Ślubowana czy nieślubowana, uległość kobiety powinna być jak jej drugie imię. Życie wiejskiej kobiety naznaczone jest fatalizmem. Bardzo wcześnie dowiaduje się ona, że nie jest panią swego losu, że nie powinna za wiele oczekiwać, ponieważ została powołana na ten świat do ciężkich obowiązków, czego rzeczywiście doświadcza już jako dziecko, a małżeństwo przysparza jej kolejnych.

„Małżeństwo nie daje wolności osobistej, lecz krępuje dwie osoby wspólnymi interesami na ciężką i mozolną drogę życia – poucza Antoszka w popularnym podręczniku *Przy kądzieli*. – Być matką i gospodynią – to wielkie powołanie na świecie; wielkie ona obowiązki spełnia, a im są one trudniejsze, tym obfitsze plony zbiera, tym głębsze jest wewnętrzne zadowolenie, że nie darmo żyje na tym Bożym świecie. Mężczyzna ma całą gospodarkę na głowie, różne interesy do załatwienia, potrzebuje

dużo obszaru do swojej działalności. Państwem kobiety jest dom i jeśli chce, w raj zamienić go może". Od niej jako kapłanki domowego ogniska zależy bowiem, czy ogień płonąć będzie jasnym płomieniem.

Lekarka Maria Kołaczyńska w wydanej w 1938 roku broszurze *Wiejska matka* również nie pozostawia złudzeń, że los kobiety pozbawiony jest nadziei na poprawę i jej dziecko również rodzi się do znoju i biedy: „W przyszłości nie zapewnisz mu bogactwa, ale póki małe, możesz mu zapewnić królewskie wychowanie – pociesza lekarka, pokazując kobiecie atuty wychowania na wsi: – [T]woje dziecko może nacieszyć się słońcem, kwiatami, biegać po lesie, brodzić w strumyku, innych to drogo kosztuje, a ty masz to wszystko za darmo".

Kobieta musi tylko zrozumieć, na czym polega jej powinność i ją po prostu wypełniać, ponieważ dobra matka i gospodyni nie tylko organizuje dom, ale też jest odpowiedzialna za atmosferę, jaka w nim panuje. „Powinna wszelkimi siłami starać się rodzinie uprzyjemnić pobyt w chacie. Nie zrzędzić, nie gderać całemi dniami o byle co" – upomina Antoszka.

Nie gderać, nie protestować, przytakiwać.

Język wiejskich kobiet zdradza ich postawę wobec tych nauk. „Mąż mi nie kazał chodzić w pole" – mówią zadowolone, że z niego taki dobry chłop. „Nie wyganiał mnie w pole" – chwalą się, doceniając dobroć jego charakteru. A jeśli w dodatku chłop nie pije i nie stosuje przemocy, zbliża się do ideału.

Kobieta wiejska otoczona jest szczególną troską ideologów katolickich. Jeszcze czysta i niewinna, nie taka jak te z miasta, które krzyczą „Chcemy całego życia"[21], czyli prawa do seksu i do rezygnacji z macierzyństwa. Wiejskie dziewczyny wciąż wiedzą, gdzie ich miejsce. „Kobietę wiejską bardziej jeszcze niż mężczyznę tradycja historyczna i ludowa określała jako nieautonomiczną istotę domową, której życie miało się toczyć na ślepej uliczce łączącej chałupę z parafialnym kościołem" – pisze Józef Chałasiński, wybitny socjolog, w 1934 roku.

Kościół katolicki dobrze przeczuwa, że ta uliczka już nie taka ślepa i że wydłuża się coraz bardziej, zwłaszcza że coraz więcej dziewcząt jeździ na służbę do miasta i wyprawia tam brewerie. Trzeba zatrzymać to szaleństwo. „Dziewczęta służą u Żydów. Później wracają na wieś zdemoralizowane, ogłupione, zniechęcone do życia i pracy, z przeszłością, a jeszcze jaskrawszą przyszłością w postaci potomstwa i chorób wenerycznych" – przestrzega Jur Leżeński w opracowaniu *Wieś o sobie*, będącym analizą ankiet młodzieży katolickiej na temat wiejskiego życia.

Na szczęście nie brakuje dziewcząt rozsądnych, jak ta, która w odpowiedzi na pytanie, o jakiej przyszłości marzy, wyjaśnia w ankiecie, dlaczego chce zostać na wsi: „Największy wpływ wywiera na mnie przyroda, kiedy to wiosną drzewa okrywają się zielenią, pola przybierają świeżą szatę, łąki barwne od kwiecia. Tam znowu widać jakby dumny ciemny las, w którym tyle zieleni, zapachu, śpiewu ptasząt, takie zdrowe i świeże powietrze, taki to ma urok w sobie takie życie, że za nic w świecie nie oddałabym go za ten straszny, przesycony ruch miejski, trąby, ryki automobilów, to znowu szare mury uliczne. Wieś nigdy nie jest świadkiem tylu zbrodni, przestępstw, samobójstw i awantur jak miasto. Daje życie umiarkowane, spokojniejsze. Moim marzeniem jest zostać żoną zacnego człowieka, któryby pokochał życie na wsi, gdyż moim pragnieniem jest żyć wśród ludu wiejskiego, dzielić z nim radości i troski".

Jur Leżeński ma podobne odczucia co do wyższości moralnej ludu wiejskiego i cieszy się, że na wsi obok rozmaitych plag, jak pieniactwo, krwawe porachunki i kradzieże, wciąż jeszcze przestrzegane są cnoty rodzinne: skromność, pracowitość, oszczędność, pobożność. „Celują w tych cnotach zwłaszcza wieśniaczki, które mogą być wzorem matrony polskiej. Niestety, ostatnie lata emigracji wiejskiej do miast i wpływ życia miejskiego na wsi deprawują powoli wzór kobiety. Mimo to zapewne długo jeszcze, jak mawiał śp. ks. Bilczewski, niebo będzie

wypełnione gosposiami wiejskimi. I długo jeszcze będą one kośćcem moralnym naszej wsi".

Nie pomylił się Leżeński. Im bardziej gosposia wiejska cierpi z powodu zmęczenia, przemocy, samotności, nieleczonych chorób, tym bardziej szuka ulgi w religii i tym mniej się buntuje. Formatowanie katolickie programuje ją na cierpliwą, wytrwałą i ufającą, że jej ból i wysiłek zostaną nagrodzone w życiu wiecznym. Od kobiety wiejskiej wymaga się, aby była męczennicą.

Gdy wychodzi za mąż i przeprowadza się do męża, mówi się: poszła na stronę. Dla niej oznacza to, że teraz podlegać będzie nie tylko władzy małżonka, ale też jego rodziców, jeśli więc relacje z rodziną męża ułożą się źle, samotność, której na ogół kobieta doświadcza w aranżowanym małżeństwie, zamienia się w piekło.

Stasia z Bieżenia, ta, która uskładała sobie na robotach 5000 złotych na posag i wyszła za mąż pod przymusem, wprowadza się do domu męża w Truskolasach, wnosząc jako wiano: krowę, świnie i kury, a także pościel i garnki. Ma również ze sobą rodzinną pamiątkę. „Nasz cudowny obraz Matki Boskiej, który dostała od swojej mamy Marianny, przy którym wypraszała łaski i siłę do życia w bardzo trudnych warunkach, nie tylko dla siebie, ale i dla nas" – wspomina córka.

Gdy tylko przekracza próg domu, czyli jednej izby, w której mieszkają teściowa i jej siedmioro dzieci, od pierwszej chwili wyczuwa ich wielką niechęć. W 1929 roku rodzi córeczkę. Tuż po porodzie leży w zakrwawionym łóżku z płaczącym dzieckiem i nie ma przy niej nikogo. W końcu przychodzi szwagierka i daje jej posiłek: kiełbasę i wódkę. Przez wiele lat Stasia będzie się zastanawiać, czy rodzina męża nie chciała się jej w ten sposób pozbyć, jednak poczęstunek „kiełbasą i wódką" dla kobiety w połogu pojawia się często w relacjach mieszkańców wsi, a także lekarzy, którzy przestrzegają przed tym barbarzyńskim „prezentem". Gdy Stasia dochodzi do siebie, wraca natychmiast do roboty – w polu, w domu, przy dziecku. Musi się spieszyć,

bo gdy nie może zdążyć z pracą, mąż ją bije. Kobieta znosi to, ale do czasu. W końcu ucieka do swojej matki, do Bieżenia.

„Tam babcia, prababcia i wuje zrobili wielką naradę i po pewnym czasie namówili ją do powrotu, ale przyjechali wszyscy z nią i postawili warunki: jeśli nie będą jej dobrze traktować, pomagać w robocie, a co najważniejsze tato ją jeszcze raz uderzy, to ją zabiorą z dzieckiem, ze wszystkim, co tu przywiozła i muszą zwrócić im te pięć tysięcy złotych" – wspomina Lucyna, córka Stanisławy, i dodaje, że sytuacja się trochę poprawiła, ale pamięta z dzieciństwa, że ojciec nadal bił matkę.

Z akt Sądu Okręgowego w Suwałkach:

„13 grudnia 1933 roku Bolesław I. mieszkaniec wsi Krasnopol umyślnie uderzył pięścią swoją żonę Jadwigę powodując jej przerwanie rogówki lewego oka, wypadnięcie tęczówki i ciałka rzęskowego oraz wewnętrzne zapalenie wnętrza oka, wskutek czego u tejże J. I. nastąpiło trwałe kalectwo w postaci utraty wzroku na lewe oko".

Sędziowie ustalili, że trzydziestoośmioletni Bolesław I. najpierw katował syna, kopiąc go, a gdy żona próbowała go uspokoić, ryknął: „Kurwa mać", i strzelił ją pięścią w twarz. Kiedy upadła, podniósł ją i położył na łóżko, „poczem obiecując, że nigdy już więcej jej bić nie będzie, prosił, by nikomu nie mówiła, że to on ją okaleczył, a przeciwnie, twierdziła, że straciła oko wskutek wypadku".

Tuż po pobiciu do ich domu przyszedł sołtys wsi, a gdy zobaczył, że gospodyni leży na łóżku z obwiązaną głową, zapytał, co się stało. Od Bolesława I. dowiedział się, że żona upadła w sieni domu.

Jednak Jadwiga zwierzyła się sąsiadce i wkrótce dowiedziała się o tym cała wieś. Ale do szpitala kobieta trafiła dopiero dwa miesiące po skatowaniu przez męża i jej wzroku nie udało się już uratować. Bolesław stanął przed sądem i dostał zaledwie rok więzienia, a na mocy amnestii zamieniono karę na sześć miesięcy więzienia. Amnestię jednak w końcu zawieszono, bo Bolesław wciąż się znęcał nad swoją rodziną.

Bicie to wewnętrzna sprawa rodziny, przemoc w wiejskich domach może trwać latami, jest bardzo dobrze oswojona, prawie każdy w dzieciństwie jej doznał i większość ma poczucie, że jest czymś koniecznym jako środek wychowawczy albo co najmniej normalnym, a skoro władza z rąk ojca przechodzi w ręce męża, metody pozostają te same.

Trzydziestotrzyletni Siemion Dż., mieszkaniec wsi Pogorzelce, 16 września 1936 roku uderza nożem w brzuch swoją żonę Marię, przebija jej otrzewną i torebkę nerkową. Kobieta cudem z tego wychodzi. Sąd wykazuje, że mąż zdradzał kobietę i zaniedbywał, a gdy wracał do domu, wszczynał awantury, bił i tłukł jej głową o ścianę. Tamtego dnia, zanim dźgnął ją nożem w okolice dwunastego żebra, krzyczał: „Żegnaj się z białym światem!”.

Nie przyznaje się do winy, twierdzi, że „żona się z nim źle obchodziła”, mimo że on daje na jej utrzymanie. Ponadto – usprawiedliwia się – dowiedział się od ludzi, że piła wódkę „z jakimś mężczyzną, z którym spała w stodole na sianie”, i „w przystępie żalu za to, że go żona zdradza chwycił za nóż i uderzył ją w brzuch”.

Chociaż jego czyn ma znamiona usiłowania zabójstwa, sąd skazuje Siemiona Dż. na trzy lata więzienia.

Mroczne historie, które dzieją się w wiejskich chałupach, rzadko kiedy docierają do postronnych, a nawet gdy wieś się domyśla, nie reaguje. Niezbadane więc i pewnie nigdy niewypowiedziane zostały cierpienia młodych dziewcząt wykorzystywanych seksualnie w swoich rodzinach. Nie znamy skali kazirodztwa na przedwojennej wsi, ale na podstawie doniesień ówczesnej prasy możemy się domyślać, że problem dotyczył wielu dziewcząt. Na łamach prasowych znalazły się jedynie te przypadki, które ze szczególnych powodów wyszły na jaw.

Sprawa Weroniki P. trafiła do sądu i gazet zupełnym przypadkiem. Dziewczyna ma piętnaście lat, gdy spodziewa się dziecka. Wychowuje ją samotny ojciec, który do porodu wzywa akuszerkę z odległej wsi, bo przecież wie, że w tutejszej o nim plotkują. Akuszerka też to wie i ma bardzo złe przeczucia.

Wszystko staje się jasne podczas porodu. Dziewczyna „bredząc w gorączce zaczęła przywoływać ojca, lecz nie słowami córki, lecz gorejącej miłością kochanki” – relacjonuje „Express Wieczorny Ilustrowany” w 1926 roku. Akuszerki intuicja nie zawodzi. Ojciec dziewczyny zostaje aresztowany i potwierdza, że żył z córką w kazirodczym związku. Wychowywał ją sam po śmierci żony, która umarła trzy dni po porodzie.

W 1927 roku prasa relacjonuje sprawę dwudziestodwuletniej Anny O. ze wsi Uhorniki koło Stanisławowa. Dziewczyna przez wiele miesięcy współżyła z ojcem, który groził jej śmiercią w razie odmowy. Gdy urodziła jego dziecko, próbował ją zmusić, aby je zabiła. Ponieważ nie chciała tego zrobić, postanowił sam się go pozbyć i jak opisuje „Express Wieczorny Ilustrowany”, kopnął niemowlę „z całej siły w brzuch i spowodował jego śmierć po pięciogodzinnych męczarniach”.

Przypadek sióstr ze wsi Porzecze w Łódzkiem jest inny. Dziewiętnastoletnia Anna K. i jej starsza siostra Apolonia w styczniu 1939 roku zgłaszają się na policję we wsi, gdzie mieszkają. Dziewczyny zeznają, że ich ojciec zmusza je obie do współżycia. Zaczął kilka lat wcześniej, wymuszając stosunki na młodszej. Starszą z kolei zgwałcił, gdy jej mąż wyjechał na roboty rolne. Wtedy dziewczyna dowiedziała się też, co od lat przechodzi jej siostra, i wówczas obie postanowiły zgłosić sprawę policji.

Historie opisywane przez prasę są często drastyczne, a ich przebieg wydaje się nieprawdopodobny, jednak biorąc pod uwagę ówczesne patriarchalne relacje w rodzinach, z ich sztywnymi hierarchiami, silne poczucie władzy mężczyzn i surowy sposób życia rodziny, właściwie nie mamy podstaw do większego zdziwienia. A mimo to sposób działania „upiora z Rudziszek”, jak pisały o nim gazety w 1933 roku, wstrząsa.

We wsi Rudziszki w powiecie wileńsko-trockim (dzisiejsza Litwa) pojawia się rodzina P., emigranci, którzy kilka lat spędzili w Ameryce. Tam umarła żona gospodarza, wychowuje on więc samotnie córkę Anielę i syna Michała. Cieszy się opinią bogatego rolnika, trudni się też stolarką.

Kiedy Aniela rodzi nieślubnego syna, wieś zaczyna szeptać, że to dziecko jej ojca. Wkrótce dziewczyna wychodzi za mąż za dosyć ubogiego chłopaka, ale już trzy miesiące po ślubie mąż przepada bez śladu, a córka wraca do domu ojca. Wieś ma swoje podejrzenia, mieszkańcy dzielą się domysłami. Dzięki temu policji udaje się ustalić, że to ojciec ukartował małżeństwo córki z W., „który zgodził się wziąć skompromitowaną pannę", jak podaje gazeta „Echo". Ale po jej ślubie ojciec miał wciąż zamiar współżyć z córką, więc gdy zięć stanął na jego drodze, postanowił go zabić. Tę wersję potwierdza przed sądem syn gospodarza, Michał, uczestnik zbrodni, zmuszony do tego przez ojca.

Trudno wyobrazić sobie psychologiczną sytuację kobiety mającej dziecko z własnym ojcem, bezgraniczny rodzaj rozdarcia, który musi przeżywać w sytuacji ekonomicznej zależności od ojca-sprawcy, przy jednoczesnym doświadczeniu wstydu, ale i ogromnego strachu przed ostracyzmem otoczenia. Sytuacja, w której każdy wybór okaże się tragiczny. Zarówno odrzucenie, jak i przyjęcie dziecka oznacza ból.

Seksualne wykorzystania, a także ciąże z kazirodczych związków stały się tematami tabu, a jednocześnie częścią historii tych rodzin, głęboko ukrywaną, kalecząca kobiety i następne pokolenia, pozostawiającą sprawców bezkarnymi, wśród pozorów normalnej rodziny, w rzeczywistości zakłamanej i dającej mężczyźnie poczucie nieograniczonej władzy, kobiety zaś stawiającą w sytuacji milczących ofiar wypierających własne krzywdy bądź traktujących je jako „dopust Boży".

Jeszcze inną kategorią seksualnej przemocy w rodzinach, o której niewiele wiemy, a której się domyślamy, są gwałty i wymuszanie małżeńskiego seksu przemocą. Ówczesny kodeks karny nie przewiduje kary za gwałt na żonie, w głowach jego autorów nie mieści się bowiem wyobrażenie, że można w ten sposób określić „zwykłe" egzekwowanie obowiązku małżeńskiego[22]. Doświadczenie wielu porodów, czasem dziesięciu lub nawet dwunastu, staje się dla kobiet już nie ciężarem,

ale tragedią. Buntują się przeciw niemu (o czym więcej w rozdziale *Kogo Pan stworzy, tego nie umorzy*), więc prawdopodobnie wiele ciąż to efekt obowiązku małżeńskiego, do wypełniania którego mniej lub bardziej są przymuszane. To znowu sprawy, z których kobiety nie zwierzają się przyjaciółkom, o seksie po pierwsze się nie rozmawia, a po drugie: czy wina nie leży po jej stronie, jeśli to ona się wzbrania przed małżeńską powinnością?

Na co dzień przemoc doświadczana przez wiejskie kobiety ma jednak przede wszystkim charakter zakazów, napomnień, strofowania i pomniejszania ich znaczenia. Mężczyzna dominuje nad kobietą nie tylko fizycznie. Jako bardziej uczestniczący w życiu pozadomowym czuje się mądrzejszy, bardziej zorientowany w świecie i uprawniony do narzucania swojej opinii, pouczania, wychowywania kobiety, ale też wyśmiewania jej wąskich horyzontów. Ten sam męski świat, który zamknął ją w kuchni, teraz nią pogardza jako niemającą pojęcia o czymkolwiek poza kuchnią.

„Zepchnięta do roli popychadła, wykonuje zazwyczaj nawet najcięższe roboty za męża, który zawsze ją uważa za niższy umysłowo twór Boży, traktuje ją brutalnie" – pisze Katarzyna Świątek-Balalowa, wiejska nauczycielka i działaczka ruchu ludowego w „Kobiecie Wiejskiej".

Rozwody i separacje zdarzają się rzadko i są zwykle piętnowane. Kobieta powinna się ćwiczyć w znoszeniu cierpienia. Nawet jeśli odejście od męża przychodzi jej do głowy, nie jest w stanie się uniezależnić. Zwykle w takim przypadku nie znajduje oparcia w swojej rodzinie, ponieważ ślubowała przed ołtarzem i nie wolno jej zerwać sakramentu, a do tego wszystkiego posag, który wniosła, teraz w połowie należy do męża. Pcha więc swój małżeński wózek, poszukując siły w relacji z dziećmi i w religii, a jej emocje poruszają się po specyficznej, ale typowej dla tego rodzaju relacji rodzinnych trajektorii. Kocha dzieci i Pana Jezusa, męża zaś traktuje użytkowo, tolerując go lub nienawidząc, ale na ogół mimo to spełniając wobec niego małżeńskie obowiązki, od współżycia seksualnego po usługiwanie w kuchni.

Filozof Andrzej Leder w swojej głośnej książce *Prześniona rewolucja* w odniesieniu do relacji w chłopskich rodzinach, w których panuje przemoc, proponuje termin „psychologiczny matriarchat". Kobieta – dowodzi Leder – poddana brutalnej przemocy, „przez identyfikację ze znakami wiary i obrządku, przez żarliwą miłość do nich – księdza, Boga, Chrystusa – może zyskać pozycję moralnej wyższości, stać się przedstawicielką normy i prawa, a ostatecznie symbolicznie unicestwić chłopa w oczach swoich i dzieci, ba, w jego własnych. To jej odwet za pijaństwo i bicie. [...] Miłość, szacunek, oddanie są zarezerwowane dla figur religii; akceptacja tych ostatnich przywraca kobiecie godność, którą odbiera jej mężowska przemoc".

Ów psychologiczny matriarchat, jeśli zatrzymać się przy terminologii proponowanej przez Andrzeja Ledera, w istocie nie kasuje patriarchatu, nie odbiera władzy mężczyźnie, relacje rodzinne są tutaj jeszcze bardziej pogmatwane. Religijność i ewentualna demonstrowana wyższość moralna kobiety nie pozbawiają męża autorytetu ani w jego własnym mniemaniu, ani – często – w opinii dzieci. Pijany czy nie, to wciąż on decyduje, ewentualnie jeszcze brutalniej egzekwując to, co mu się jako mężczyźnie należy. Ani jej dewocja, ani świadomość otoczenia, że jej mąż jest człowiekiem niemoralnym i krzywdzi rodzinę, nie odbierają mu możliwości pozostania w Kościele i pełnoprawnego praktykowania religii, w tym otrzymywania rozgrzeszenia. Rano kościół, wieczorem karczma, ten porządek zostaje nienaruszony, podobnie jak samopoczucie mężczyzny, można się bowiem spodziewać, że nie zaprząta sobie głowy samoocenianiem w kategoriach moralnych, widzi siebie w lustrze podstawionym przez społeczność, dokładniej przez innych gospodarzy, tych, których zatrudnia, jeśli jest chłopem zamożniejszym, lub tych, dla których pracuje, będąc biedakiem. Żona to często jedynie współpracowniczka, emocjonalne zależności mogą zupełnie nie istnieć, a jej oczekiwania wobec męża nie są dostrzegane, podobnie jak jej więzi.

Dodatkowo pozycja mężczyzny może się wzmocnić w opinii dzieci, zwłaszcza synów, o ile uznają oni matkę za dewotkę i cierpiętnicę, a siła

brutalnego ojca wyda im się czymś dużo właściwszym, a nawet pociągającym, szczególnie jeśli znajduje on poklask otoczenia jako typ władczy, nieznający obaw i torujący sobie drogę na prawach przez siebie ustanowionych, odnosząc na przykład sukcesy w prowadzeniu gospodarstwa albo wykazując innego rodzaju wpływy. Męskie otoczenie nie karze kolegów za przemoc wobec rodziny, odcina się od tego rodzaju wiedzy, koncentruje swoją uwagę na innych obszarach działalności mężczyzn, za którą potrafi cenić i okazywać swoje uznanie.

Typ brutalnego ojca, zwłaszcza budzącego lęk alkoholika, wikła członków rodziny w rozmaite uczucia, wymaga konkretnej strategii, aby rodzina mogła trwać i współdziałać jako spółka gospodarcza. Jedną z powszechniejszych, w sytuacji, gdy matka plus dzieci tworzą jeden świat w opozycji do ojca, jest działanie w tajemnym porozumieniu („dobrze, ale ojcu nie powiemy"). Jeśli więc matriarchat, to jako rodzaj zakulisowego sterowania mężczyzną, który wciąż nie wypuszcza z rąk narzędzi ofiarowanych mu przez system patriarchalny. Coś w rodzaju podziemia, do którego schodzą kobieta i dzieci, tocząc z mężem i ojcem grę według zasad znanych tylko jej uczestnikom. Lecz w warstwie oficjalnej, zewnętrznej, formalnej, stare, dyktowane przez mężczyznę reguły wciąż obowiązują. Zwłaszcza że system społeczny i prawo owe zasady wzmacniają. „Chcieliśmy wziąć kredyt – pisze Michalina C. z sandomierskiej wsi w 1935 roku – ale mąż nie umiał się podpisać, a mojego podpisu nie chcieli i nam odmówili".

Konkurencyjna wobec małżeńskiej więź kobiety z Kościołem stanowi odpowiedź nie tylko na przemoc, ale także na jej samotność, zmęczenie i brak nadziei na jakąkolwiek zmianę, ponieważ podstawową cechą rodziny wiejskiej jest jej trwanie bez względu na krzywdy, jakie spotykają jej członków.

„Jeżeli pomiędzy ludźmi uczonymi i inteligentnymi znajdą się mężowie tyrani o potwornym charakterze, to cóż dopiero na wsi pomiędzy prostakami – pisze uczestniczka konkursu *Pamiętniki chłopów* w 1935 roku. – W tym wypadku kobieta w mieście jakoś sobie poradzi i znajdzie

jakieś prawo, czy to rozwód czy separacja, albo po prostu porzuci męża łajdaka i jakoś sobie w życiu radzi. Inaczej natomiast bywa na wsi. Tutaj, jeżeli mężczyzna się żeni to uważa kobietę za wyłączną swoją własność i nikt mu nie zabroni robić z nią co mu się tylko podoba. Zresztą kobieta na wsi jest na szukanie swoich praw za religijna i choć taki mąż znęca się w najokrutniejszy sposób nad nią, ona to uważa za dopust Boży, znosi to wszystko z podziwu godną rezygnacją i czeka cierpliwie, aż ją śmierć z tych mąk wyzwoli".

Zofia Paluchowa ze wsi Dłubnia pod Krakowem nie chce czekać. Czuje się prawdopodobnie dużo silniejsza niż jej wiejskie koleżanki, skoro odważa się na taki krok. Nic dziwnego, jej niezwykła uroda rozsławiła ją wśród najwybitniejszych malarzy. „Piękna Zośka", tak zaczęli ją nazywać. I malować. W chuście, tradycyjnym krakowskim stroju i koralach widzimy ją na obrazie Wojciecha Kossaka, gdy podaje dzban wody ułanowi na koniu. Szczególnie upodobał ją sobie Piotr Stachiewicz (ilustrator między innymi powieści *Quo vadis* Henryka Sienkiewicza), któremu zawdzięczamy najpiękniejsze portrety Zofii Paluchowej.

Przygoda ze światem sztuki musi się skończyć, gdy Zośka zostaje wydana za mąż za szewca. Z alkoholikiem, zazdrosnym i brutalnym, tworzą jedno z tych nieszczęśliwych, zawartych wbrew sobie małżeństw. Natychmiast zabrania jej pozować, używa siły, więc Zośka po pewnym czasie zabiera dwoje dzieci i odchodzi. Idzie nawet o krok dalej, być może za namową swoich miastowych znajomych – wytacza proces mężowi, domagając się zwrotu swojego posagu, rzecz niesłychana.



Obraz Piotra Stachiewicza *Mleczarka* (1927). Na obrazie Zofia Paluch

15 maja 1927 roku, jak zawsze w połowie miesiąca, idzie do domu męża po alimenty. Nikt już jej nigdy nie zobaczy.

„Nie wiem, co się z nią stało. Przyszła o godzinie drugiej po południu, odeszła o godzinie siódmej. Dałem jej sto pięćdziesiąt złotych i żywności, ile chciała” – wyjaśnia policji Maciej Paluch.

Relacjonujący sprawę „Express Wieczorny Ilustrowany” komentuje: „Małżeństwo to było od samego początku nieszczęśliwe. On prosty chłop pracujący wśród znoju na roli, otrzymawszy od swej matki we wsi Zasłów 3 morgi gruntu – ożenił się z piękną dziewczyną, Zofią Franczakówną, za którą otrzymał 7 morgów gruntu, którego z mocy

umowy przedślubnej stał się również współwłaścicielem”. Dalej informuje gazeta, że to małżeństwo nie mogło się udać, bo żona Palucha „znana pod nazwą piękna Zośka będąc przystojną 20-letnią dziewczyną, jeszcze jako panna zdradzała aspiracje wielkomiejskie, a wyszedłszy z woli swych rodziców za mąż za wsiowego chłopa, uprzykrzyła sobie wkrótce razowy chleb i ciężką pracę na roli i w czasie trwania małżeństwa kilkakrotnie z domu męża uciekała, by w mieście szukać innych warunków życia”. Gazeta akcentuje różnice kulturowe i podkreśla aspiracje Zofii Paluchowej, które jakoby przyczyniły się do pogłębiania przepaści między małżonkami, ale nie wspomina o nałogu Palucha i przemocy, której dziewczyna z jego strony doświadczała. Przyznaje jednak, że sąd uznał winę Palucha i nakazał mu płacenie alimentów.



EXPRESS WIECZORNY

Poćwiartowana kobieta w nurtach rzeki

„Piękna Zośka"—słynna z urody modelka krakowska zamordowana została przez męża.

Dnia 15 maja, w Małopolsce w niedzielę we wsi Dłubnia za Bieńczycami, zniknęła w tajemniczy sposób żona tamtejszego gospodarza Macieja Paluchy, Zofia i do dziś dnia jej nie znaleziono.

Zaginiona Zofja Paluchowa, która żyła z mężem swoim w separacji i prowadziła z nim proces o uzyskanie korzystnego dla siebie wyroku sądowego — opuściła dom męża swego i wraz z dwojgiem dzieci zamieszkała u pewnej gospodyni w Dąbiu, skąd co jakiś czas wybierała się do Dłubni, by stamtąd od męża otrzymać pieniądze i żywność. Po kilkugodzinnym pobycie w domu męża wracała stale do Dąbia. Dnia 15 maja już więcej nie wróciła, a zaniepokojona jej nieobecnością gospodyni z Dąbia odeszła się 17 maja do Dłubni i zastawszy Paluchа w domu, zapytała go, co się stało z jego żoną.

Z natarmiastową krwią odpowiedział zapytany o swą żonę gospodarz:

— Nie wiem co się z nią stało. Przyszła o godzinie 2-ej popołudniu — odeszła o godzinie 7 wieczór, dałem jej 150 zł. i żywności ile chciała.

Wobec tej odpowiedzi, gospodyni, zawiadomiła policję państwową, która spra we tajemniczego zaginięcia Paluchowej wzięła w swoje ręce.

Pierwsze poszlaki naprowadziły organa policyjne wprost do Paluchа, w którego domu znalazła się rozegrać krwawa tragedia.

Wiadomem było, że Paluchowie pobrali się przed kilku laty, że małżeństwo to jednak było od samego początku nieszczęśliwe.

On prosty chłop, pracujący wśród znoju na roli, otrzymawszy od swej matki we wsi Zasłów 2 morgi gruntu — ożenił się z piękną dziewczyną, Zofją Franczakówną, za którą otrzymał 7 morgów gruntu, którego z mocy umowy przedślubnej stał się również współwłaścicielem. Gospodarstwo Paluchów zatem wynosiło 10 morgów gruntu, na których jedynie Paluch sam pracował, bowiem bowiem jego znana pod barwą

„Piękna Zośka"

będąc przystojną 20-kilkuletnią dziewczyną, jeszcze jako panna zdradzała aspiracje wielkomiejskie, a wyszedłszy z wo li swych rodziców za wiejskiego chłopa, sprzeciwiała sobie wkrótce rzeczy chód i ciężką pracę na roli i w czasie trwania małżeństwa kilkakrotnie z domu męża uciekała, by w mieście szukać lepszych warunków życia.

Za każdym razem, gdy mąż odkupał ją z miejsca pobytu — prosbami powracał ją do powrotu, ale niestety na krótko, gdyż „piękna Zośka", zaznajomawszy się tamtejszego życia, z domu chłopskiego stale uciekała.

Dzięki swej niezwykłej urodzie — miała dużo przyjaciół, a nawet zdołała wzbudzić zainteresowanie w sferach malarskich, które zwróciły uwagę na jej piękność.

Wkrótce stała się też

modelką kilku artystów-malarzy.

a portret jej, pendzla prof. Wodzinowskiego, malazł uznanie, nawet w sferach najbardziej wymagających krytyki.

Ta różnica warunków życiowych, ten kontrast aspiracji, jaki zachodził między prostakiem Paluchem, a „cywilizującą się", lub półmieszczką „Piękną Zośką", pogłębiał coraz bardziej przepaść między tym małżeństwem.

„Modelka" za poradą swych przyjaciół wystąpiła z procesem separacyjnym przeciw swemu mężowi, którego celem było nie tylko ulegalizowanie i tak faktycznie istniejącej separacji, ale także i w dobrej perspektywie uniezawisnienie przedślubnego kontraktu darowizny, którym Paluchowa przeniosła połowę posagu na swego męża.

O jej wiadomo. Paluchowa zdołała przekonać sąd o swej słuszności, zabrawszy dla poparcia swych starań także i 2 dzieci od męża ze sobą do Dąbia, uzyskując separację i to z winy męża, a w konsekwencji sąd nałożył na Paluchа obowiązek alimentowania żony i dzieci.

Po te alimenta Paluchowa stale przychodziła i z Dłubni wracała do Dąbia — poszła po nie także i dnia 15 maja, ale... więcej już nie wróciła.

Jasnem zatem było dla policji, że jeśli istotnie ś.p. Paluchową zamordowano — to mógł to uczynić tylko jej mąż.

Gdzie i w jaki sposób

dokonano krwawego napadu

jest jeszcze dziś tajemnicą.

W powodzi uzyskanych sprzecznych informacji, już w pierwszy dzień wiadomem było, że Paluch, który oporczywie się winy wypiera, dnia 15-go maja żony swej z domu swego, wbrew stalemu jego zwyczajowi, do granicy wsi Dłubni nie odprowadził. W mieszkaniu Paluchа odkryto jak gdyby ślady, mytej wodą krwi.

Mimo braku dowodów winy, jest na zasadzie tych tak poważnych poszlak, zarządzono aresztowanie Paluchа i przesłanie go sądu okręgowego karnego w Krakowie.

Tajemnicze szczątki.

Zrazu zdawało się, że poszukiwania za dowodami winy utkwiły na martwym punkcie, aż oto któregoś dnia cała wieś zaalarmowana została sensacyjną wiadomością, że w korycie małej rzeczki Dłubni, przepływającej przez wieś tej samej nazwy, znaleziono przypadkowo

podejrzany kawał mięsa,

który przy bliższych badaniach okazał się najprawdopodobniej piersią kobiety.

Wkrótce potem wyłowiono z tej samej rzeczki wątrobę. Przedmioty te zabrano i przywieziono do Krakowa i oddano do zbadania w Zakładzie medycyny sądowej. Badania te prowadzi w szczególności prof. dr. Olbrycht.

Jak się zachowuje

wobec tych dowodów podejrzany.

Na policji, gdzie chwilowo doprowadzono powtórnie z aresztów sądowych Paluchа, podejrzany, któremu szczątki te okazano,

nie zdradził żadnego zdenerwowania i niepokoju,

trwał przez cały czas badań w upoczywaniu milczenia, obstając przy tem, że żona jego w krytycznym dniu więzieniem dom opuściła i o jej dalszym losie nic mu nie wiadomo.

Tymczasem organa śledcze policyjne nie ustawały w żmudnej pracy szukania dalszych części ludzkiego ciała. Zamknęło to na przestrzeni kilkunastu kilometrów rzeczkę Dłubnię i zarządzono najdokładniejsze poszukiwania dna i brzegów rzeki — niestety — bez rezultatu. Zdawało się, że wobec tak mozolnemu skrupulatnie przeprowadzonych ciężkich dochodzeń — dalsze poszukiwania są z góry skazane na bezowocność.

Poczęto tworzyć już domysły i przypuszczenia, że

Paluchowa żyje

a tylko została przez kogoś uprowadzona i ukryta, że wiedząc o aresztowaniu męża, jako podejrzanego o jej zamordowanie, umyślnie się nie zgłasza, by go w ten sposób ze swego widoku usunąć. Zaczęto podnosić wątpliwość, że znalezione rzekomo piersi kobiety nie jest ciałem ludzkiem, że wątroba znaleziona w rzece jest wątrobą zarzuconą przez jakiegoś parobczaka dla bowiem „zakładów itd.

Zdawało się, że z każdym dniem tajemnica mordu stale się coraz bardziej zaciemnia, aż oto wczoraj gruchnęła

straszliwa wieść,

że chłopak wiejski, pasący w wiklinach krowy, natknął się przypadkowo wśród największego swego przerażenia na ludzką nogę.

Zawiadomiono telefonicznie policję w Krakowie o tem sensacyjnem odkryciu i natychmiast wczoraj ruszyło z Krakowa przez Bieńczyce do Dłubni auto dążarowe, na którem wieziono w najściślejszej eskorcie podejrzanego Paluchа.

Gdy przyjechano na miejsce, okazał się obecnym przykry widok.

W wiklinach, gęsto nad brzegiem rzeczki rosnących, leżało ludzkie udo, gwałtownie odrąbane od podudzia, a nadto bez stopy, odrąbanej w kostce nogi.

Kiedy okazanego, wobec tak widocznego dowodu zbrodni indagowano, by się przyznał, ten z kamiennym spokojem powtarzał tylko:

„O niczem nic nie wiem.

dajcie mi głowę, to wam powiem.

że ta noga jest nogą mojej żony".

Nakazano Paluchowi nogę tę wpakować do worka, a za chwilę w stronę Krakowa odjeżdżało tosamo auto, wożące tych samych ludzi, a nadto ułożoną obok męża nogę poćwiartowanej przez niego żony.

Równocześnie policja zarządziła jak najintensywniejsze poszukiwania za resztą części ciała nieszczęśliwej ofiary, gdyż — wobec oporczywego wypierania się Paluchа — stanowić one będą na rozprawie najważniejszy dowód jego winy.

LETNIE ROZKOSZE.

— Nie rozumiem dlaczego wszyscy latem pchają się do pociągów!... Czy nie wygodniej jechać na wieś autem?..

Własną żonę wydał za mąż.

Niebywała sprawa sądowa w Wilnie.

Z Wilna donoszą:

W sądzie okręgowym w Wilnie rozpatrywana była ciekawa sprawa. W roku 1917 Konstanty Rouba ożenił się z p. Domiewiczówną, która wniosła mu w posagu spory szmat ziemi i dobrze zaprowadzoną gospodarstwo rolne. Małżeństwo, zawarte dla interesu nie mogło przynieść szczęścia, więc też pożycie małżeńskie nie układało się od początku pomyślnie — kłótnie, swary, a nawet awantury były na porządku dziennym. W końcu młodzi małżonkowie zamierzali osobno.

Tego jednak interesownemu małżonkowi było zamało. Postanowił więc wydać żonę zamąż. Ale tu natknął się na stanowczy sprzeciw władz kościelnych. Od czegóż jednak pomysłowość? Rouba zaangażował pannę Lachowiczównę z którą udał się do proboszcza parafji tutejszej w powiecie wileńsko-trockim i tam poprosił o zaświadczenie rzekomo dla Lachowiczówny, że jest stanu wolnego, ale przytem podał imię i panieńskie nazwisko swej żony. Proboszcz parafji, ks. Miszkiels, nie zorjentował się, że padł ofiarą spryciarza i wspomniane zaświadczenie wydał.

Rouba po powrocie do domu oświadczył żonie, że wyłudzone zaświadczenie jest formalnym rozwodem i że obecnie poszuka dla niej męża. I rzeczywiście w krótce dni później znalazł się amator związku małżeńskiego. Był nim posterunkowy służby granicznej, Stanisław Rymkiewicz.

Małżonkowie z narzeczonym udali się do Wilna i tu po podpisaniu zaświadczenia przez Roubę o wolnym stanie żony — przyczem na odnośnym dokumencie Rouba podał nazwisko Standiewicza — odbył się ślub między Rymkiewiczem a rzekomą Domiewiczówną.

Prawda jednak wyszła na jaw i Rouba dostał na 2 lata więzienia.

Zwyrodniały ojciec

zniewolił własną córkę i zabił dziecko, owoc grzesznego stosunku.

Ze Stanisławowa donoszą:

Stanisławowska policja kryminalna wpadła na trop obydwej zbrodni seksualnej, jaka miała miejsce w gminie Uhorniki, pow. Tłumacz. Mianowicie tamtejszy gospodarz, Bernard Olejnik zmusił swą 22-letnią córkę, Annę do współżycia. Proceder ten uprawiał następnie przez szereg miesięcy, grożąc córce, że w razie oporu zada jej śmierć.

Wobec takiego stanu rzeczy, Anna cicho znosiła wszystkie krzywdy zwyrodniałego ojca. Przed tłuszczem dniami przyszło na świat dziecko. Fakt ten pozbawił podniecającego na Olejnika, który bojąc się odpowiedzialności począł zaniedbywać córkę do uśmiercenia dziecka. Ta jednak nie chciała tego uczynić wobec czego, ojciec, skorzystawszy z nieobecności Anny, leżące na piecu małeństwo kopnął z całej siły w brzuch i spowodował jego śmierć po pięciogodzinnych męczarniach.

Przeprowadzone w tej sprawie dochodzenia doprowadziły do ustalenia istotnego stanu rzeczy, wobec czego bestjalskiego zwyrodniałca i mordercę aresztowano i odstawiono do sądu powiatowego w Ottyni.

O zabójstwo pięknej Zośki Paluchowej z domu Franczakówny został oskarżony jej mąż Maciej. O szczegółach morderstwa rozpisywały się gazety. Na zdjęciu artykuł z „Expressu Wieczornego"

Po zaginięciu pięknej Zośki w sposób oczywisty społeczność uznaje, że pozbył się jej Maciej Paluch, ale dowodów nie znaleziono. Aż do czasu, gdy rzeczka Dłubnia przepływająca przez wieś, gdzie stoi dom małżonków, zaczyna wyrzucać fragmenty kobiecego ciała. „Express" z detalami opisuje te szczątki, twierdząc, że najpierw wypłynęła pierś, potem wątroba, a na końcu noga. Profesor Jan Olbrycht z wydziału

krakowskiej kryminalistyki potwierdza, że odnalezione fragmenty ciała należą do zaginionej kobiety. Maciej Paluch początkowo nie przyznaje się do zabójstwa żony, ale zostaje skazany w procesie poszlakowym na piętnaście lat ciężkiego więzienia i ciemnicę każdego 15 maja, w rocznicę zbrodni. W 1931 roku postanawia jednak prosić o ułaskawienie i wtedy przyznaje się do morderstwa. Umiera w 1960 roku, podobno jako żebrak wysiadujący pod kościołem św. Marka w Krakowie.

Posłuszeństwo wobec męża nie polega wyłącznie na tym, że on decyduje. To także konieczność uwzględniania jego praw, specjalnych i zwykle większych niż pozostałych członków rodziny. Z potrzebami męża kobieta musi się liczyć bardziej niż ze swoimi, o ile w ogóle uświadamia sobie, że je posiada. Bo on ciężej pracuje, według powszechnego wyobrażenia, bo przede wszystkim jest „głową rodziny", bo – co może ważniejsze – się wścieknie, nie da pieniędzy, uderzy.

Jedna z pamiętnikarek opisuje, jak w połowie lat trzydziestych zmagała się z przeciwnościami losu, by wyżywić rodzinę. Kawę słodziła sokiem z buraków, a kupno sacharyny oznaczało święto. Ponieważ dzieci miały po jednym ubraniu, trzeba było je suszyć na piecu całą noc, aby mogły je rano założyć. „A do szkoły chodziły nieraz połatane, ale czyste były, nigdy mi nauczyciele nie zwracali uwagi, że dziecko brudne. A ja się starałam, jak tylko mogłam, chociaż mi było bardzo ciężko. Ale chciałam, żeby się uczyły. Cieszyłam się nimi, kochałam ich nad życie, sama nieraz nie zjadłam, a dzieci podzieliłam jak mogłam. Ale najsampierw trza było męża napaść, bo był zły, jak głodny, a jeszcze gorszy jak nie miał co palić, tak, że ja jajka dzieciom nie dałam, a jemu na palenie musiało być".

Uległość i podporządkowanie wymagane są od kobiety także wobec rodziny męża, od której często jest zależna, zwłaszcza gdy po ślubie zamieszkują razem, na ogół w tej samej izbie. Udane małżeństwo Anny Szopowej przechodziło ciężkie próby, ponieważ wprowadzili się z mężem do domu teścia, który wciąż ją krytykował, twierdząc, że używa

za dużo mydła i puści gospodarstwo z torbami. Miał też zwyczaj, gdy był na nią zły, mówić: „Powinnaś mi nogi umyć i brud wypić”.

„Teść był przeciwny wszelkim porządkom, a przecież oprócz mydła nie było z tego powodu żadnych kosztów. Robiłam to wszystko swoją gospodarnością, pracowitością i z zamiłowania do ładu i porządku” – wspominała.

Postawa teścia zmieniła się, dopiero gdy Anna przywiozła z Krakowa broszurkę na temat obyczajów ludności wiejskiej, którą kupiła u księży jezuitów. „Zaciekawiło go to i zaczął czytać. Była już jesień, więc stawiał lampę naftową na stole, zakładał okulary i czytał. Słabo i wolno czytał, ale szło mu coraz lepiej, a po paru tygodniach przywołał mnie do stołu i mówi:

– Słuchaj, Hanka, ty tak robisz, jak tu piszą.

Te słowa bardzo mnie ucieszyły i to, że teść zaczął rozumieć, dlaczego i po co powinno utrzymywać się porządek w obejściu, w domu i osobiście. A «porządek osobisty» teścia wymagał wielu zmian – pluł w domu na podłogę, smarkał, a robił to z towarzyszeniem pewnego gestu, że «jemu wolno i mu się tak należy». Dopiero treść tej jezuickiej książeczki uświadomiła mu, że to, co ja robię, jest zgodne z nakazami księży i tak powinno się postępować w życiu rodzinnym”.

Wiejskie dziewczyny, które poznały wielki świat, czasami jest to Radom, a czasem Tarnów, gdzie służyły u pań mieszczanek, wracają zmienione. Chcą mieć swoje małe przyjemności, być jak miejskie panie, nosić jedwabne pończochy, broszki i trwałą ondulację.

To nie dla nich. Kościół, konserwatywna prasa, katolickie organizacje i stowarzyszenia czuwają, żeby dziewczęta nie popadły w zepsucie.

„Jedyna troska dziewcząt na wsi to modna sukienka, palto pluszowe, lakierki pryma. Słowem rzeczy błahe, puste, co dla życia poważnego, dla życia Polski jest raczej przeszkodą nie zaś pociechą i korzyścią – pisze Zofia Kaczyńska. – Dzisiejsze dziewczęta dzięki temu, że do szkół rzadko są przez rodziców wysyłane, chowane są w domu, mało widzą i słyszą.

[...] A tymczasem kobieta musi być ministrem spraw wewnętrznych, bo na jej głowie spoczywa cały ład wewnętrznej, domowej gospodarki, musi być sprawiedliwości, bo ona w swoich rękach ma nagrody i kary dla całej gromady domowników, musi być więc prawa i sprawiedliwa; musi być ministrem oświaty, bo ona jest pierwszym nauczycielem swych dzieci. Widzicie więc drogie młode siostry, ile to rozumu musi zdobyć sobie taka, czy wcześniej, czy później na czele gospodarki. Tego przygotowania nie da wam moda ani płoche śmiechy ni wesołe tańce lub czas wolny na bezmyślne zabawy stracony".

Formatowanie dziewcząt w duchu konserwatywnym i katolickim odbywa się w opozycji do nowych trendów, a nawet w obronie przed nimi. Na celowniku w szczególności znajdują się komunizm i socjalizm, którym przypisuje się najgorsze intencje, zgodnie z własnymi definicjami i wyobrażeniami. Dziewczyna, dobra katoliczka powinna przede wszystkim zrozumieć, że zacieranie różnic między płciami jest naganne. „Niezdrowe jest dążenie do zatarcia tej różnicy w ubraniu, sposobie życia i zachowaniu, jak to widzimy w komunistycznych i socjalistycznych kierunkach wychowania. W ten sposób nie rozwijają się w pełni odmienne cechy płci, wytwarza się sztuczne zrównanie, którego konsekwencją są zniewieściali mężczyźni i «chłopczycowate» kobiety" – przestrzega ksiądz Bross.

Tymczasem nowe trendy przynoszą kuszące podpowiedzi i rozwiązania. Coraz popularniejsze stają się tak zwane małżeństwa na próbę, a więc seks przed ślubem, czyli według strażników cnoty pełna demoralizacja, pilnowanie cnoty i wychowanie do czystości to bowiem jedno z głównych zadań rodziny. Ksiądz Karol Mazurkiewicz, pedagog katolicki, autor kilku podręczników do wychowania, przekonując, dlaczego dziewczęta za wszelką cenę powinny pilnować swojej cnoty, znajduje obrazową, choć nieco szokującą analogię: „Patrz na tabernakulum. Tylko kapłan może je otworzyć, gdy do tego upoważni [go] władza, otrzymana w Sakramencie kapłaństwa. Siły fizyczne do otwarcia drzwiczek miał już przedtem, każdy je ma, ale nie każdemu wolno

drzwiczek się tykać. Tak i w sprawach płciowych. Bóg zamknął u dziewicy drogę (hymenem – błona dziewicza) i chce, abyś jej nie tykała prędzej, aż otrzymasz do tego prawo w Sakramencie małżeństwa".

O cnocie mężczyzny ksiądz nie wspomina, może dlatego, że „kobieta jest ziemią, a mężczyzna ziarnem" oraz „kobieta jest źródłem życia, a jeśli źródło mętne, mąci i brudzi ono fale życia".

Zagrożeniem dla cnotliwego życia jest także uświadamianie seksualne, które według pedagogów katolickich uczy wyłącznie, jak grzeszyć, podczas gdy oni podpowiadają, jak wytrwać w czystości. Przydatne są mianowicie: „ruch, wysiłek i wszelkie ćwiczenia fizyczne, unikanie alkoholu oraz środki nadprzyrodzone, głównie częsta spowiedź i Komunia święta".

Skoro tak, to jak to rzeczywiście było z czystością naszych babek? Nie mamy badań ani statystyk, na które można się powołać, ale wiadomo, że liczba nieślubnych ciąż była ogromna, z czego możemy wnioskować, że nie pilnowały swoich „ogródków", jak chcieli tego księża. Jednak wydaje się, że małżeństwa na próbę nie stały się powszechnym zwyczajem, zachowanie cnoty dla męża wciąż było obowiązkiem przyzwoitej dziewczyny. Mężczyźni oczekiwali, że żona będzie dziewicą aż do nocy poślubnej, nawet jeśli sami nie czuli się zobowiązani do zachowania czystości. Prawdopodobnie z większą łatwością współżyli z dziewczynami, co do których nie mieli poważnych planów. Podczas procesu o ustalenie ojcostwa w sądzie w Grodnie przesłuchiwany chłopak używa sformułowania, które wiele mówi o postawie mężczyzn. Ponieważ był zaręczony z dziewczyną, która jakiś czas po zerwaniu z nim usunęła ciążę, sędzia pyta go, czy może być on ojcem nienarodzonego dziecka. „Nie współżyłem z nią" – wyjaśnia. I uzasadnia: „Ponieważ chciałem się z nią ożenić".

O życiu seksualnym mieszkańców wsi sporo do powiedzenia mają wiejscy lekarze, to do nich trafiają pacjenci z syfilisem lub rzeżączką, chorobami wenerycznymi, dotąd częściej obecnymi w miastach, ale to się właśnie zmienia. „Wieś jest może w gorszej sytuacji niż miasto, gdyż

choroby weneryczne rozpowszechniają się równie szybko, lecz nie są ani w części tak intensywnie leczone, jak w miastach" – zauważa doktor Stefan Giebocki, lekarz z Wielkopolski w 1938 roku. I kreśli, jakimi ścieżkami podążają kiła i syfilis po wsi. „W pobliżu dużej wsi ulokowało się kilku muzykantów obieżyświatów, którzy w czasie zimowym zarabiali grą na weselach i zabawach wiejskich. Muzykanci, jak muzykanci, nie odrzucali okazji korzystania z uciech tego świata, a że przy tym jeden czy dwóch z nich było chorych wenerycznie, więc w krótkim czasie zachorowały od nich trzy siostrzyczki w wieku szesnaście, siedemnaście, dziewiętnaście lat".

I poszło: każda z dziewcząt, pisze lekarz, ma poza tym „dalszą litanię adonisów" i wkrótce zaczynają się oni zjawiać u niego z objawami chorób wenerycznych. Jeden z nich sprawia dziewczętom „porządne lanie", w związku z czym one postanawiają się zemścić, zarażając każdego, kto się nawinie.

„Po okolicy rozeszła się wieść, że we wsi tej a tej każdy może sobie do woli poflirtować, i zaczęli się chłopcy zjeżdżać rowerami, motocyklami, autobusami do owej ziemi obiecanej" – kontynuuje doktor Giebocki. Co dzieje się dalej, domyślamy się: po kilkunastu dniach już wszystkim wiadomo, co jest źródłem chorób.

Innym zarzewiem chorób wenerycznych są folwarki, gdzie kwateruje się robotników sezonowych. Tu najwyraźniej panują dość swobodne obyczaje, czemu sprzyjają wspólne baraki dla kobiet i mężczyzn, a czasem jedna izba.

„W ciemnościach nocy sąsiedzi twardo śpią po ciężkiej pracy, a jeśli coś nawet słyszą, to i tak nie zawsze zorientują się, która to para sobie zbytkuje. Zresztą sprawy te traktowane są w tych sferach bardzo pobłażliwie. A jak spędza się niedzielę? Rano wkłada się paradne ubrania i idzie do kościoła" – pisze doktor Giebocki.

Choć niewiele wiemy o życiu seksualnym naszych przodków, pewnych poszlak dostarcza publikacja pierwszego w Polsce edukatora seksualnego

Stanisława Kurkiewicza, lekarza płciownika, jak sam siebie przedstawiał. Jako autor słownika wyrażeń związanych z życiem płciowym zaprezentował zestaw terminów używanych przez tak zwany lud w odniesieniu do seksu. W wydanym w 1913 roku *Słowniku płciowym. Zbiorze wyrażeń o płciowych właściwościach, przypadłościach i t. p.* cytuje, w jaki sposób wiejskie kobiety komunikują stan napięcia seksualnego. „Wzięło mnie na męża" – mówią lub że czują „gorąco dołem", albo: „ognie biją" oraz „świńdzi mnie". Mężczyzna odczuwa z kolei „przychęć do dziewczyny", a okres budzenia się popędu płciowego i dojrzewania określa lud zwrotem „natura tężeje".

Najwięcej – stwierdza Kurkiewicz – lud zna określeń na stan „błogości płciowej". Od trywialnych „już", „skończyć swoje", „przeszło mi", „zeszło ze mnie", „złapać się", do poetyckich: „ckliwości zbierają", „natura przychodzi", „przyjemność od serca przychodzi".

Wobec powyższego lekarz płciownik dochodzi do takiej konkluzji: „to świadczy, że nawet tak dotychczas ciemne jednostki, jak mężczyźni i kobiety z pośród naszego wiejskiego ludu, miarkują po sobie przenikliwe uczucie szczytowania". On sam proponuje jednak inne określenia, na przykład: „błogość dobiega mnie", „doznaję szczytu", „dostałem oswobodzenia płciowego" i wiele innych, których prawdopodobnie nikt nigdy nie użył.

Seks oczywiście, jak również sprawy dojrzewania, nie pojawia się jako temat rodzinnych rozmów, zszokowane dziewczynki odkrywają miesiączki zupełnie na nie nieprzygotowane. Ale przecież świadomość życia płciowego musi się u nich pojawiać bardzo wcześnie.

Zwraca mi na to uwagę Róża Somla-Dembowska, emerytowana lektorka języka francuskiego na Uniwersytecie Warszawskim, która zbadała historię swojej chłopskiej rodziny na przestrzeni trzystu lat. Na okładce książki *Historia rodu Somlów*, która jest owocem tych badań, kobieta i mężczyzna, patrząc w obiektyw, trzymają się prosto. Ona splotła dłonie, w jednej z nich ma modlitewnik, a jej głowę przykrywa czarny szal. Mężczyzna w ciemnym „garniturze", z bujnym jasnym wąsem,

próbuje się uśmiechać. Nie tylko ubiór, ale przede wszystkim ich spracowane ręce i zniszczone buty nie pozostawiają wątpliwości, że są chłopami. Wydaje się, że pomimo zakłopotania są zaciekawieni sytuacją, w jakiej się znaleźli.

To jedno z piękniejszych zdjęć, jakie widziałam, przeglądając chłopskie fotografie. I jedno z najstarszych, a już z całą pewnością jedyne tak stare wykonane w profesjonalnym atelier.

– Moi pradziadkowie sfotografowali się w zakładzie fotograficznym Adolfa Gancwola w Siedlcach. Zakład powstał w 1896 roku. Nie znam daty zrobienia tego zdjęcia, bo jego rewers jest podniszczony. Domyślam się, że mogli sobie pozwolić, aby się wybrać do fotografa, tylko dlatego, że dziadek sprzedał ziemię pod budowę garnizonu – opowiada Róża Somla-Dembowska, której rodzinne śledztwo objęło także tę fotografię i jej bohaterów: Katarzynę i Wojciecha Staręgów. Z ustaleń prawnuczki wynika, że Katarzyna urodziła dziesięcioro dzieci, z których dwoje umarło w pierwszym roku życia. Do siedleckiego fotografa przyszli już u schyłku życia. Katarzyna odeszła w 1918 roku, jej mąż rok później.

– Podejrzewam, że ten elegancki szal i modlitewnik to rekwizyty, których użyczył fotograf. W rzeczywistości prababcia pewnie chodziła w zwykłej chustce i była analfabetką.



„Moi pradziadkowie sfotografowali się w zakładzie fotograficznym Adolfa Gancwola w Siedlcach. Zakład powstał w 1896 roku. Domyślam się, że mogli sobie pozwolią, aby się wybraą do fotografa, tylko dlatego, że dziadek sprzedał ziemię pod budowę garnizonu” – opowiada Róża Somla-Dembowska, prawnuczka Katarzyny i Wojciecha Staręgów

Problem z genealogicznymi dociekaniami w przypadku rodzin z klasy ludowej jest zawsze podobny. Nasi przodkowie na ogół nie zostawili po sobie korespondencji, dokumentów kupna-sprzedaży majątku, widokówek z Monte Carlo, pamiętników czy zapisków w rodzaju tych, jakie były prowadzone w ziemiańskich dworkach na zdobionych sekretarzykach

zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety. Chłopskim pradziadom, nawet jeśli potrafili pisać, ich życie nie wydawało się na tyle ciekawe, aby notować jego przebieg. Jesteśmy więc w stanie, tak jak to zrobiła Róża Somla-Dembowska, wysupłać z rozmaitych ksiąg archiwalnych, inwentarzy i spisów daty urodzeń i śmierci, miejsca, w których mieszkali, informacje, z kim płodzili dzieci i kiedy umarli. A także ile, w czasach pańszczyzny, dni sprzężajnych[23], a ile pieszych odrabiali u swoich panów. Ale nie dowiemy się, jak właściwie żyli. Ani czy byli szczęśliwi. Czy kochali, czy czegoś pragnęli, a jeśli tak, to czy te pragnienia spełniali.

Zastanawiam się jednak, czy nie za wiele oczekuję, zadając moim rozmówcom pytanie o szczęście naszych babek. Może powinno nam wystarczyć, jeśli nie doznały przemocy i miały co jeść?

Jak Katarzyna z Protasiuków, córka służącej, a babcia Róży Somli, która siedząc w kuchni, z wiecznie spuchniętym kolanem, nigdy nieobejrzanym przez lekarza, opowiadała wnuczce swoje życie.

– Największą przygodą mojej babci był pobyt w szpitalu w Warszawie, bo pogryzł ją wściekły pies. Gdy wróciła do domu, kumoszki, do których biegała, odsuwały się od niej ze strachu, że „wścieklizna przejdzie na nie” – opowiada wnuczka.

Gdy pojawia się kandydat do ręki Katarzyny, Antoni Gorzała, lat dwadzieścia dziewięć, uznaje go za starego dziada. Ona ma dwadzieścia dwa. W dniu ślubu zamyka się na znak protestu w komorze, oświadczając: „Nie wyjdę za starego. Nie wyjdę za starego. Nie wyjdę za starego”. Antoni obiecuje jej dodatkowe pieniądze. Wychodzi z komory oraz za mąż.

Czuje przed mężem respekt i całe życie zwraca się do niego w trzeciej osobie, „niech Antoni”, „czy Antoni może”. Szybko się przekonuje, jak dobrze trafiła. Niedługo po ślubie jadą z Antonim na targ. Ona, żeby sprzedać tuzin jajek i osełkę masła, on – prosiaka. Utargowane monety Katarzyna wkłada do woreczka, a ten wiesza na szyi. I po chwili woreczek znika.

– Stanęła na rogu ulicy i zalała się łzami. Była pewna, że Antoni ją zbije. A on przyszedł i zapytał spokojnie: „Czego płaczesz?”. Wyjaśniła mu, że zgubiła pieniądze. Odpowiedział: „No to nie płacz i chodź do domu”. Bardzo była szczęśliwa. Zawsze to opowiadała, podkreślając, że Antoni nigdy jej nie uderzył – opowiada wnuczka Katarzyny.

Skrupulatność Róży Somli-Dembowskiej podczas badania dziejów rodziny prowadzi ją także do innych, bardzo ciekawych wniosków. Na przykład, że tradycyjnym okresem zaślubin był listopad. Że swaty odbywały się w czwartek, śluby w niedzielę, a poprawiny w poniedziałek i że do XIX wieku na ślubach jej przodków świadkami byli zawsze dwaj mężczyźni. Oraz że kobiety, które widnieją jako druga płeć, mniej istotna, występują w spisach bez imion. Kiedy pojawia się w inwentarzu syn chłopa, podane jest jego imię; gdy jest to dziewczyna, wystarczy hasło: córka. Jako mniej ważna pozostaje bezimienna.

Interesujące są także inne konkluzje, natury obyczajowej.

– Przecież oni wszyscy mają mnóstwo dzieci. Szóstkę, siódemkę, czasem dziesięcioro. I często zdarza się, że matka tych dzieci umiera. Co robi mąż? Żeni się. Znów bierze sobie młodą żonę i robi jej kolejne dzieci. I ja się zastanawiam, jak to się odbywało. Po prostu, jak oni spółkowali?

Wertuję grubą księgę *Historii rodu Somlów* i bez trudu docieram do jednego z tych przypadków, które frapują autorkę książki.

Tomasz Szumla urodzony w Topórku w grudniu 1760 roku, mając dwadzieścia trzy lata, żeni się z osiemnastoletnią Anną Strzałek ze Starejwsi. Między dziewiętnastym a trzydziestym rokiem życia Anna rodzi siedmioro dzieci, w tym dwie córki. Pierwsza dziewczynka żyje tylko rok. Umiera na tyfus. Anna umiera w połogu po urodzeniu siódmego dziecka. Zaraz po niej umiera córeczka. Tomasz ma wtedy czterdzieści lat, odrabia pańszczyznę. Potrzebuje kobiety, która zajmie się piątką jego dzieci. Niecałe dwa miesiące po śmierci Anny żeni się z osiemnastoletnią Marianną z Witkowskich. Ona także urodzi jego siedmioro dzieci.

– No właśnie. I ja się tak zastanawiam. Przecież oni wszyscy razem mieszkają w jednej izbie. To jak oni te dzieci robią? Wyobrażam sobie, że taki pasierb, młody chłopak, już mężczyzna właściwie, z pierwszego małżeństwa ojca to często rówieśnik jego żony. I teraz musi słuchać i patrzeć, jak ojciec fika z macoszką. Straszne – mówi Róża Somla-Dembowska.

Po chwili wyznaje, że ona właściwie umie to sobie wyobrazić. A nawet więcej:

– Prawdę mówiąc, też musiałam sobie z tym radzić. Wprawdzie w naszym domu były dwie izby, ale w drugiej mieszkali bracia, a ja spałam w jednej z rodzicami. W łóżku z mamą. Obok spał ojciec. No i matka od czasu do czasu szła do łóżka ojca. Wtedy wiedziałam, że muszę udawać, że śpię. I tak właśnie robiłam.

Prawdopodobnie tak samo radziły sobie jej babki oraz prababki.

ROZDZIAŁ 7

KOGO PAN STWORZY, TEGO NIE UMORZY

U nas rodzą matki po to, by było co chrzcią i grzebaą. Rodzią jest zasługą, a grzebaą faktem tak zwyczajnym, że mniej się na śmierą dziecka zwraca uwagę niż pożal się Boże na padnięcie bydlęcia.

czasopismo „Chłopska Sprawa”

W reklamie „Ilustrowanej Republiki” z 1937 roku gruby jegomość z cygarem, siedząc w fotelu, pyka dymki, a na stoliku przed nim stoją flaszka i szklanka. „Jak w klubowym fotelu jest Pan spokojny, zadowolony i dobrze usposobiony. O ile używa Pan wyłącznie prezerwatyw Olla Gum” – głosi podpis pod obrazkiem.

Producenci prezerwatyw dobrze wiedzą, do kogo adresować swoje reklamy, używają ich głównie klasy wyższe. Właśnie pojawiły się prezerwatywy lateksowe, które zastąpiły gumowe, ale za paczkę trzeba zapłacić aż 12 złotych (za tuzin). Ale nie tylko cena jest barierą. Kościół katolicki potępia korzystanie z antykoncepcji i zaleca wiernym bojkotowanie sprzedawców środków zapobiegających ciąży. Poza tym, że zabezpieczający się katolik uchyla się od obowiązku prokreacji, działa w ten sposób też przeciwko miłości, twierdzą kościelni pedagodzy. „W chwili największej rozkoszy, gdy własne «ja» powinno zatonąć w miłości i w wielkości oddania, myśli się zimno o środku zapobiegawczym. Najwyższa, najczystsza rozkosz przemienia się w ten sposób w wstręt i zabija miłość” – pisze ksiądz Stanisław Bross w 1935 roku.

Tymczasem wieś zna już prezerwatywy. Wracający z wyjazdów na saksy przywożą rozmaite nowinki i próbują, jak to działa. I księża bardzo

dobrze o tym wiedzą, bo skoro używanie prezerwatyw jest grzechem, to trzeba się z niego wyspowiadać. Gdy więc proboszczowie podlegający kieleckiej kurii muszą wypełnić ankietę dotyczącą moralności swoich parafian w latach 1920–1929, piszą: „Dostrzega się unikanie potomstwa w formie nieprawidłowych stosunków nie tylko u inteligencji, ale i między ludem". Proboszcz parafii Zborówek niedaleko Pacanowa notuje: „Propaganda za unikaniem potomstwa płynie z różnych źródeł. Powracający z robót z Francji, Niemiec tłumaczą kobietom o sposobach (prezerwatywach) unikania potomstwa".

Prezerwatywy faktycznie są stosowane w krajach Zachodu i Ameryce dość powszechnie, a i w polskich wiejskich sklepikach coraz częściej można je kupić, choć to wciąż sensacja, o której się szepce. Autorowi pracy konkursowej z 1935 roku, opublikowanej w zbiorze *Pamiętniki chłopów*, coś się jednak już na ten temat o uszy obiło:

„Chociaż tam mówią o jakisiś Malhtusach[24], co to zapobiegają ciąży, to przecież chłop tego nie kupi, bo go na to nie stać, za jeden raz 50 groszy dać [to połowa dniówki wyrobnika w folwarku – przyp. J.K.-F.]. Co by taki Malhtus kosztował 15 groszy, toby i mniej kobiet, albo dzieci szło do ziemi".

Wie chłop, co pisze.

Tylko w 1925 roku we wsi Radomyśl pod Siedlcami umiera siedem osób. Wśród nich sześćdziesięcioletnia wdowa Paulina Celińska, a poza tym:

trzymiesięczna Hieronima Kędziora
jednotygodniowa Marianna Świerczewska
czternastomiesięczna Marianna Włodarczyk
sześcioletnia Helena Lipił ska
pięciomiesięczny Józef Krasuski
ośmiomiesięczna Marianna Wiszniewska

Nic nadzwyczajnego, tak wyglądają cmentarze we wszystkich wsiach. Według szacunków z lat trzydziestych, choć poziom higieny wzrasta

i śmiertelność spada, wciąż blisko jedna czwarta wszystkich zgonów to noworodki. Najwięcej niemowląt umiera na wsiach lub w rodzinach z nizin społecznych. Umierają na dyzenterię, gruźlicę, zapalenie płuc. „Umierają z nędzy i ciemnoty” – alarmują tak zwane środowiska postępowe, na czele z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, pisarzem i lekarzem, który walczy o prawo do aborcji z przyczyn materialnych i ubolewa: „Zamiast uśmiechniętej i szczęśliwej mamusi widzi się wynędzniałą, przedwcześnie postarzałą kobietę, jeszcze karmiącą, a już w ciąży, widzi się dzieci bez opieki, zaniedbane, zabiedzone”.



Co piąte dziecko w międzywojennej Polsce nie dożywa roku. Fot. Narcyz Witczak-Witaczył ski

W Polsce, kraju o najwyższym przyroście naturalnym w Europie, co roku przybywa pół miliona osób[25]. Lekarze i aktywiści społeczni uważają, że bez świadomego planowania rodziny Polska zmierza do katastrofy. Jeżdżą więc po całym kraju, przekonując, że z wysoką liczbą urodzeń łączy się nędza, ale też ogromna liczba umierających i że trzeba w tej sprawie działać, prowadząc politykę świadomego macierzyństwa,

a więc przede wszystkim antykoncepcji. Na wsi, czyli właśnie tam, gdzie mieszkańców przybywa najwięcej i gdzie najtrudniej im żyć, bez większych sukcesów. Co piąte dziecko w Polsce nie dożywa roku. „Popyt na trumienki wzrasta. Niejedni rodzice, u których co rok to prorok – bardziej rozpaczają nad utratą zdechłej krowy bądź co bądź żywicielki niż nad śmiercią dziecka” – mówi na konferencji w Krakowie w 1934 roku doktor Justyna Budzińska-Tylicka, jedna z głównych propagatorek polityki planowania rodziny. Jako kierowniczka pierwszej poradni świadomego macierzyństwa naraża się na ataki kręgów kościelnych i konserwatywnych. Postępowi lekarze stawiają sobie za cel uświadamiać kobiety, że mogą i powinny kontrolować urodzenia, i pokazują im najnowsze metody. Ale przeciwnicy poradni, używając wielkich liter i fałszywych argumentów, straszą, że w tego typu poradniach morduje się dzieci.

Kiedy pierwsza taka społeczna placówka otwierana jest w Łodzi w 1932 roku[26], jej kierownik, doktor Aleksander Margolis, przyznaje: „Oczywiście przekonany jestem, że posypią się na nas gromy z tego powodu. Ale uważam, iż naszym obowiązkiem i to wielkim obowiązkiem społecznym jest stworzenie w Łodzi takiej placówki”. I uzasadnia: „Poronienie jest pod każdym względem bardziej szkodliwe aniżeli zapobieganie ciąży. W Radogoszczu, w szpitalu istnieje oddział gorączki połogowej. Nazwałbym ten oddział raczej oddziałem gorączki poporodowej. Wystarczy tam pójść i zobaczyć te nieszczęśliwe kobiety. Zgroza ogarnia każdego człowieka na widok tego nieszczęścia, jakiego się one nabawiły, stosując sztuczne poronienie”.

Sztuczne poronienie, czyli nielegalna aborcja, albo skrobanka, jak się już wówczas mówi, zastępuje kobietom antykoncepcję. Kościelni hierarchowie wpadają w popłoch. Muszą bronić polskiej rodziny oraz narodu.

„W ostrych słowach potępił ks. Kardynał [August Hlond, prymas Polski – przyp. J.K.-F.] egoizm męża i żony, którzy dla własnej wygody i egoizmu i zaspokojenia chęci użycia stronią od potomstwa, które jest

podstawą chrześcijańskiej rodziny. Przemówienie zostało przyjęte hucznymi oklaskami” – informuje gazeta „Echo” w 1933 roku, relacjonując Święto Rodziny w Poznaniu.

Rok później, również w stolicy Wielkopolski, prymas August Hlond oświadcza: „Już od najdawniejszych czasów wrogowie katolicyzmu chcąc zgnębić chrześcijaństwo postanowili przede wszystkim rozbić rodzinę i jej wpływy wychowawcze. Wszystko, co podkopuje rodzinę i jej sakramentalny charakter jest pracą zgubną, antyspołeczną i antypaństwową. My, święcąc dzień ku czci rodziny, świadczymy, że rodzina jest instytucją o pewnych wytkniętych celach i zadaniach. Głoszone obecnie tak modne «świadome macierzyństwo» uważamy jako pracę przeciwko państwu. Tłumaczenie, że świadome macierzyństwo jest drogą ku wyzwoleniu kobiety równa się dążeniu do dekadentyzmu społecznego”.



W OBRONIE ŻYCIA

„Postępowi" rodzice... zabijają dzieci

Nie było tego w Polsce nigdy. Czego? – Nie było „mody" na to, by rodzice... zabijali swoje dzieci, i żeby dlatego nazywano ich „postępowymi" rodzicami...

Czy „postępowi" rodzice zabijają swe dorosłe dzieci? — Nie, dorosłe nie dałyby się przecież zabić. No i za to grozi kara, więzienie. Jeszcze „nie jest przyjęte" — zabić dorosłe dziecko. Tak samo nie jest jeszcze „w modzie" zabić dziecko, które się już urodziło. Owszem, każda matka stara się dla tego dziecka o najpiękniejszy wózek, choćby za ostatni grosz, choć za pożyczane pieniądze, na raty, „żeby nie być gorszą od innych", żeby dziecko wozić z pompą, stara się o specjalne kołderki, futerka płaszczyki, palta, buciki, śniegowce, deszczowce, o piłki, lalki, koniki, zabawki nakręcane i nienakręcane itd., itd. Często sami rodzice nie mają tego, co posiada ich kilkunastomiesięczna pociecha. A później, gdy dorasta, jakże się dba o takie dziecko: szkoła za szkołą, ubiory, stroje, sporty, zabawy, a – żeby miało pracę, posadę, a – żeby wyszło za mąż, bogato się ożeniło.

Można by rzec, że takiej dbałości o dzieci jak dziś, nigdy rodzice nie wykazywali. Ale to tylko pozór. Bo tak dbają rodzice „postępowi" tylko o to jedno, najwyżej dwoje dzieci, o to jedno, dwoje, które się — zdążyły urodzić, bo pozostałe (swe) dzieci z woli tych samych rodziców są pozbawione życia... mordują bez litości, nim jeszcze na świat przyjść mają. Jedno, dwoje – pieszczą, bawią, stroją, kształcą, pasą, tuczą, majątki im szykują a pozostałe – pięcioro, dziesięcioro, piętnaścioro – skazują na straszną śmierć bez chrztu, bez krzyża, bez pogrzebu, bez trumny, bez najmniejszej odrobiny serca.

Co robi „modna" matka?

Co robi dziś „postępowa" matka? – Gdy pozna, że stała się matką zaczyna przede wszystkim myśleć, jak nie dopuścić, by dziecię to, świata Bożego nigdy nie oglądało. Oczywiście, wszystkie sąsiadki na około radzą, jak która może: jedne stary sposób, drugie nowy; radzą – truć, wskazują przy tym, co, kiedy, i jak, a jeszcze inne, te najmłodsze, „najmodniejsze" i „najpostępowsze", radzą po prostu czym prędzej – iść do szpitala i kazać żywcem zarznąć. Matka się chwilkę wa-

„Rycerz Niepokalanej", 1938 rok

Stanowisko Kościoła wspiera sanacyjna władza, posługując się nieco innymi, choć równie oddalonymi od realizmu argumentami. Oczywiście, rządzący dostrzegają problem przeludnienia polskiej wsi, a nawet uważają, że należy do najpoważniejszych i że trzeba szukać rozwiązania. Jednak, twierdzą, w niepewnej sytuacji międzynarodowej nie byłoby dla Polski korzystnie, gdyby nasze kobiety przestały rodzić. Kto bowiem obroni nasz kraj? Janusz Poniatowski, minister rolnictwa, w 1936 roku przekonuje, że zmniejszając przyrost naturalny o osiem milionów osób,

które on sam uznaje za zbędne, „czulibyśmy się jednak między dwiema potęgami nieswojo”. Trzeba rodzić.

Doktor Ludwik Szczepański, czytając te słowa, trzyma się za brzuch ze śmiechu. „Panu Poniatowskiemu, jak tylu innym ekonomistom wydaje się, że tysiące wygłodzonych, ciemnych, zdziczałych chłopskich cherlaków, stanowią o sile państwa” – pisze współpracownik Boya i publicysta kwartalnika „Życie Świadome”, poświęconego zagadnieniom reformy seksualnej i obyczajowej. I pyta, jakim cudem zdolni do obrony mają być ci wiejscy nędzarze, którzy „chodzą bez butów i w jednej słonej wodzie gotują kilkakrotnie ziemniaki” i z których zaledwie jeden na trzech może nadawać się do wojska.

Podczas tych dyskusji – głównie mężczyzn, bo to oni piszą prawo i je uchwalają – kobiety radzą sobie z niechcianymi ciążami, jak potrafią.

W latach dwudziestych najczęściej na tak zwane spędzanie płodu decydują się kobiety niezamężne. Przede wszystkim z biedy, ale i aby uniknąć wykluczenia i nie narazić na wstyd całej rodziny, dziecko nieślubne to bowiem hańba jedna z najgorszych, niewybaczalna plama na honorze familii. Takie dziecko natychmiast zyskuje etykietę: znajducha, szuber, bęks, bladyniec lub beber. Jego matka nazywana jest bezecnicą, przespanicą, goinichą albo flądrą.

„Najbardziej upośledzoną, nieszczęśliwą, pogardzaną, deptaną, prześladowaną jest matka nieślubna ze swym «nielegalnym dzieckiem»” – pisze Budzińska-Tylicka, ubolewając, że wciąż (i tak pozostanie do lat 1945–1947) w byłej Kongresówce funkcjonuje przepis odziedziczony po Kodeksie Napoleona, który zabrania ustalenia ojcostwa, chroniąc w ten sposób mężczyznę. W Wielkopolsce inaczej – tu jeszcze na mocy niemieckiego prawa w przypadku nieślubnej ciąży ojcostwo ustalane jest sądownie, a kobiecie zasądza się alimenty.

Dla młodych wiejskich dziewcząt nieślubna ciąża to dramat, którego często udźwignąć nie są w stanie. W 1923 roku przed sądem w Suwałkach staje dwudziestodziewięcioletnia Marcjanna K., robotnica

rolna, panna, podejrzewana „o spędzenie płodu”. Nie przyznaje się do winy i wyjaśnia:

– Owszem, byłam u akuszerki i ta dokonała zabiegu, ale to dlatego, że będąc w ciąży – w piątym miesiącu – spadłam z wyszek, podając snopy.

Przekonuje, że ponieważ źle się poczuła i potrzebowała pomocy, poszła do akuszerki w Augustowie, ta ją zbadała i orzekła, że płód jest już martwy, następnie kazała się położyć na otomanie i „wsadziła jakąś białą rurkę do pochwy i coś robiła koło brzucha”. Następnie podała jej dwie tabletki i kazała zapłacić 300 marek, choć jak podkreśliła, „od bogatych bierze aż 600”. Marcjanna K. oddała akuszerce wszystko, co miała – zaledwie 20 marek.

Resztę obiecała oddać po kilku dniach. I tak zrobiła. Aby zdobyć te pieniądze, jak zeznała przed sądem, sprzedała chustkę.

Sąd zbyt dobrze zna te śpiewki, by uwierzyć kobietom, że zaczęło się od upadku. Przekłuwanie pęcherza płodowego szydełkiem, drutem, białą rurką to najczęstsza metoda pozbycia się ciąży przez tak zwane babki, ale często też krewne czy nawet matki dziewczyn w ciąży.

Sąd skazuje w tym przypadku obie kobiety na kary więzienia, ale sędziowie uwzględniają, że oskarżone są „niskiego poziomu moralnego i umysłowego”, i akuszerce, mającej opinię tej, która łatwo wywołuje sztuczne poronienia, zasądzają sześć miesięcy w zawieszeniu na trzy lata, a robotnicy rolnej trzy miesiące w zawieszeniu na pięć lat.

Wkrótce pojawia się nowe zjawisko. Z każdym rokiem wśród kobiet, które decydują się na aborcję, przybywa mężatek, także ze wsi. Kolejne dziecko oznacza pogłębienie się biedy. Kobiety bardzo wyraźnie dostrzegają różnicę poziomu życia rodziny z trojgiem dzieci i tej, gdzie jest ich ośmioro, a do tego liczne ciąże rujnują ich zdrowie i wiele z nich nie jest w stanie dożyć do pełnoletniości swoich najmłodszych dzieci.

„Przyszłam na ten świat jako intruz, jako czternaste dziecko – wspomina Emilia Bujnowska z podkarpackiej wsi Głogowiec. – Matka moja miała czterdzieści sześć lat. Porodami i ciężką pracą tak była wyczerpana, że po moim urodzeniu bliżej jej było na tamten świat niż na

ten. Dlatego też po moim urodzeniu zaopiekowała się mną siostra, o dziesięć lat starsza. Matka już zdrowia nie odzyskała, chociaż się leczyła. Opowiadano mi, że gdy matka chodziła w ciąży, doradzano jej, żeby ciążę przerwać. Matka moja, będąc bardzo religijną, zapytała księdza proboszcza, że lekarze doradzili jej, żeby przerwała ciążę. Proboszcz odpowiedział, że ona może umrzeć, ale ciążę donosić musi. Gdzie tu logika, trzynaście dzieci i matka może umrzeć".

Matka robi to, co każe ksiądz: rodzi czternaste dziecko. A potem choruje i Emilia musi się nią zająć. Kiedy kończy lat czternaście, matka umiera, a ona zostaje na podupadłym gospodarstwie z siedemdziesięcioletnim ojcem.

7 września 1937 roku policjanci wchodzą do domu Zofii W. we wsi Blenda na Podlasiu i natychmiast rekwirują trzy buteleczki z lekarstwami i słoik z maścią. Dwudziestodwuletniej Zofii w domu nie ma, ponieważ od kilku tygodni leży w szpitalu z zapaleniem żyły, a lekarze nie mają wątpliwości, że choroba jest skutkiem nieudanego zabiegu. Zgodnie z prawem muszą powiadomić policję, a ta idzie do jej domu i nie tylko rekwiruje maść, ale także znajduje świadka, który pomaga im trafić na właściwy trop. To krewny podejrzanej, który zeznaje przed sądem w Grodnie: „Przechodziłem przez podwórko Zofii i usłyszałem, jak szwagier jej męża mówi, że nie wolno tracić płodu, gdyż jest to grzechem. Na to Zofia odpowiedziała: do trzeciego miesiąca nie ma żadnego grzechu".

Mąż Zofii zeznaje, jak było. Kobieta leżała od sześciu dni w łóżku, gdy w końcu przyznała mu się do spędzenia płodu. Nie miał o tym pojęcia, bo zrobiła to w czasie, gdy pracował w polu. Żona twierdziła, że przyszła wtedy do ich domu „jakaś Andzia" i przy pomocy narzędzia przypominającego trzonek łyżki stołowej, „podwiniętego w cienkim końcu", usunęła Zofii ciążę. Gdy tylko mąż się dowiedział, co się dzieje z żoną, zawiózł ją do felczera, a ten skierował ją prosto do szpitala.

Przesłuchiwana Zofia potwierdza, że istotnie zabieg się odbył i że przeprowadziła go „jakaś Andzia”, której nie zna i o której nic nie wie. Gdy staje przed sądem, ten okazuje się łaskawy: uwzględnia ustalenia policji, że Zofia, matka dwojga dzieci – rocznego i czteroletniego – wraz z mężem utrzymuje się z siedmiomorgowego gospodarstwa. Żyje więc, stwierdzają sędziowie, „w nędzy i to ją skłoniło do spędzenia płodu”. Lekarstwa zaś znalezione w domu to: maść ichtiolowa, płyn Burowa (środek na stłuczenia i obrzęki) oraz krople Inoziemcowa (krople na żołądek).W tej sytuacji, a także nie ustaliwszy, kim jest Andzia, sąd uniewinnia Zofię W.

Tego rodzaju ciuciubabka odbywa się często. W latach trzydziestych legalna aborcja z przyczyn materialnych nie wchodzi w rachubę, toteż liczba zabiegów lekarskich po nieudanych aborcjach lawinowo rośnie, a sądy rozpatrujące sprawy „spędzenia płodu” mają pełne ręce roboty. Lekarze szacują, że liczba nielegalnych aborcji wzrosła o 100 procent w porównaniu z latami dwudziestymi. Sędziowie w tej sytuacji wykazują, jak w przypadku mieszkanki wsi Blenda, wyrozumiałość, a nawet zwalniają oskarżone z kosztów procesu. Zwłaszcza te, które okazują „akt ubóstwa”. Tego typu dokument to urzędowe zaświadczenie informujące, że taki lub taka nie jest w stanie spłacić jakichkolwiek należności, gdyż „zaledwie może wyżywić siebie i rodzinę”. Akt ubóstwa zwalnia także z kosztów procesu.

Popularny na wsi miesięcznik „Rycerz Niepokalanej”[27] zupełnie inaczej widzi kobiety usuwające ciążę niż sędziowie i lekarze. We wrześniu 1938 roku gazeta szeroko omawia problem „spędzania płodu”, aby swoim czytelnikom uświadomić, kim naprawdę są te zepsute egoistki.

„Co robi dziś «postępowa» matka? – Gdy pozna, że stała się matką zaczyna przede wszystkim myśleć, jak nie dopuścić, by dziecię to, świata Bożego nigdy nie oglądało. Oczywiście, wszystkie sąsiadki na około radzą, jak która może: jedne stary sposób, drugie nowy, radzą – truć, wskazują przy tym, co, kiedy, i jak, a jeszcze inne, te najmłodsze, «najmodniejsze» i «najpostępowsze», radzą po prostu czy prędzej – iść

do szpitala i kazać żywcem zarznąć. Matka się chwilkę waha szczególnie, gdy to pierwsze dopiero dziecko, zgodny chór przyjaciółek ją powoli przekonywuje:

– Teraz tak wszystkie robią!

– Tylko głupie teraz dzieci mają!

– Nie moda na dzieci, nie te czasy!

– Od tego pani nie umrze!

– Za jedne czterdzieści złotych pozbędzie się pani kłopotu!

– Za trzy dni pani wróci do domu, zdrowa jak ryba! Ja już byłam z dziesięć razy".

Anonimowy autor artykułu ciągnie tę groteskową wyliczankę, próbując udowodnić, że nowoczesna matka równa się morderczyni. Potem jest jeszcze weselej. Oto wyrodna, czyli „modna", matka jest już w szpitalu, po wszystkim. „Zmasakrowano jej dziecko, złożono drgające jeszcze kawałki do papieru i włożono je do trumny jakiegoś suchotnika, który akurat leżał w kostnicy. I więcej nie oglądała «modna» matka swego pierworodnego dzieciątka... Była potem jeszcze pięć razy w szpitalu. Radziła odtąd to samo niestrudzenie pięciu innym sąsiadkom".

Demagogia tekstu z „Rycerza Niepokalanej" polega nie tylko na tym, że figura modnej matki jest całkowicie wyssana z palca. Sama sytuacja jest również kompletnie nieprawdopodobna. Nie jest oczywiście możliwe, aby „modna" matka mogła na żądanie usunąć ciążę. Można to zrobić tylko w dwóch przypadkach: gdy ciąża zagraża zdrowiu lub życiu kobiety albo gdy ciąża pochodzi z przestępstwa. W sytuacji, gdy wiejskie kobiety wolą ryzykować śmierć podczas spędzania płodu przez babkę, niż rodzić, epatowanie tego typu kłamliwymi wizjami jest zwyczajnie cyniczne.

Jednak na wsiach widzą to inaczej, ponieważ mają z rozpaczą kobiet do czynienia na co dzień. „To, co teraz napiszę, było straszne – ostrzega pamiętnikarka z Wielkopolski urodzona w 1928 roku. – Mama mojej najlepszej koleżanki powiesiła się w ten dzień. A jaka piękna była ta

mama! Mama mówiła, że urodziła im się siódma córka. I przez to się powiesiła. Bała się o ich przyszłość, skąd nabierze im posagu".

„Skąd nabiorę im posagu?" – jest jedną z wersji krzyku kobiet, które słyszą w swoich gabinetach lekarze zaraz po tym, gdy oznajmiają kobietom: „Jest pani w ciąży".

One wtedy mówią też: „Mąż mnie zabije!", albo: „Niech zdechnę, ale więcej dzieci nie będę miała!". To dosłowne cytaty z ankiet przeprowadzanych wśród lekarzy.

„Humanitaryzm nie może pozwolić spaść kobiecie do rzędu suk rodzących dzieci na potopienie" – pisze doktor Jan Hozer. Jego brutalna opinia poparta jest rozległym doświadczeniem ratowania kobiet po nieudanych interwencjach wiejskich babek przeprowadzanych szydełkiem oraz znajomością warunków życia wielodzietnych nędzarzy, bo – jak stwierdza – w swojej lekarskiej praktyce obsługiwał „rejon szczególnie płodny".

„Dzieciska gnieździły się po kątach, przypieckach, a nawet w budach po psach. Podziwiałem niezrównane bohaterstwo matek stada dzieci. Dziewięć miesięcy ciężkiej męki, wstrząsające misterium porodu, wytężający okres karmienia, samozaparcie się przy wychowywaniu. Odejmowanie sobie od ust dosłownie na każdym kroku" – alarmuje doktor Hozer i przekonuje, że „każdego, kto zobaczy nieprawdopodobną nędzę, nędzę, mającą zwiększyć się jeszcze przez przybytek nowej gęby uderza z całą siłą myśl: wskazanie do przerwania ciąży jest konieczne". Oczywiście nie każdego ta myśl uderza, Kościół katolicki, jak i większość polityków nie chcą nawet słyszeć o takim rozwiązaniu. Jednak religijno-wojskowa indoktrynacja coraz mniej obchodzi kobiety, także wiejskie, i coraz więcej z nich jest gotowych na ryzykowanie życia, byleby nie rodzić „kolejnej gęby do wyżywienia".

Ankiety przeprowadzone w 1933 roku wśród lekarzy na zamówienie Polskiego Instytutu Badania Zagadnień Ludnościowych potwierdzają, że z roku na rok na wsi przybywa kobiet, które nie chcą mieć więcej dzieci niż czworo, pięcioro, a coraz częściej, podobnie jak miejskie, nie więcej

niż dwójkę. „Kobieta, obarczona już rodziną jest gotowa sprzedać ostatnią krowę czy świniaka, aby tylko nie rodzić i żadne niebezpieczeństwo nie jest w stanie jej powstrzymać” – zauważa jeden z lekarzy. Inny twierdzi, że często „proszą o takie lekarstwo, po którym by się nigdy w ciążę nie zachodziło, bo uważają, że doktor może tak kobietę zaprawić, żeby nigdy więcej dzieci nie miała”. Kolejny oblicza, że jeszcze kilka lat wcześniej usuwał płód po nieudanych skrobankach sto razy rocznie, w ostatnim roku miał tych przypadków dwieście.

O ile potrzeby kobiet wiejskich i miejskich są podobne, o tyle możliwości ich realizacji znacznie się różnią. Wprawdzie i w miastach, i na wsiach podstawową metodą antykoncepcyjną jest stosunek przerywany, w rodzinach chłopskich zwany cofańcem, ale rodziny zamożniejsze, także drobnomieszczańskie, rzemieślnicze oraz wykwalifikowanych robotników, znają i stosują również metody mechaniczne: prezerwatywy, pesaria (krążki dopochwowe) oraz irygacje.

W rodzinach chłopskich rozpowszechniają się w ich miejsce rozmaite chałupnicze sposoby oraz myślenie magiczne. Kobiety wierzą, że karmiąc piersią, nie zajdzie się w ciążę, jak również wtedy, gdy zaraz po stosunku odda się mocz. Popularna jest również teoria, że skrzywiona macica nie pozwala na zapłodnienie, toteż kobiety unikają zabiegów na macicy. Zachowania te prowadzą lekarzy do wniosku, że kobiety wiejskie boją się kolejnej ciąży i próbują jakoś nad swoją rozrodczością zapanować, stosując kąpiele, napary i nasiadówki, a zjawisko to przybiera na sile. „Wieśniaczki – pisze jeden z lekarzy w ankiecie – stosują jałowiec, «owoce sabiny» [jałowca – przyp. J.K.-F.], czarnej róży, piją proch, szafran z różą, gorczycę z wódką, różne zioła i wszelkie paskudztwa. W jednej okolicy (Białowieża) na wsiach kobiety wkładają do pochwy «nawóz koński i świński», który ma mieć własności zabijające”.

Porywają się także na metody całkiem drastyczne i ryzykują co najmniej kalectwo: chcąc sprowokować poronienie, biorą na siebie prace ponad siły, noszą ogromne ciężary, a także „zlatują” z drabiny i skaczą przez rowy. „Miałem kilka przypadków barbarzyńskiego pobicia

umyślnego żony przez męża (za jej zgodą) lub umyślnego upadnięcia ze schodów czy z tramwaju” – relacjonuje jeden z lekarzy.

Gdy to wszystko zawodzi – czas na babkę. Ankiety ujawniają dosyć szokujący proceder: akuszerki często działają w spółce z lekarzem. Chodzi o to, by akuszerka „nadpsuła” kobietę, a lekarz w szpitalu, już oficjalnie, kończy zabieg, „ratując” pacjentkę.

Po wsiach w wielkiej liczbie krążą babki, wróżki i szemrani znachorzy, a niektórzy z nich są bardzo pomysłowi. „Jest tu nawet jeden jegomość – informuje lekarz – który pomaga niewiastom za małą opłatą 10 do 15 złotych z jedynym warunkiem: musi się pacjentka przedtem oddać mu, gdyż to wtedy lepiej się uda”.

Zabiegi spędzania płodu kończą się różnie, czasem więzieniem, a czasem śmiercią kobiety. Zwykle jednak niechciane ciąże prowadzą do niechcianych porodów. A potem matki muszą sobie odpowiedzieć na pytanie, co zrobić z tym dzieckiem, którego zatrzymać nie można. Zwłaszcza gdy się jest służącą. To wybór: na bruk z dzieckiem lub praca bez dziecka. Poza materialną klęską spotyka je dotkliwa kara otoczenia, gniew ojca, ból i wstyd matki. Ona dostaje piętno dziwki i latawicy, jej dziecko bękarta. Ksiądz nie chce go ochrzcić, a dziadek karmić.

„Przyszłam na świat jako dziecko niechciane i nikomu niepotrzebne. Matka moja była pokojówką w dworze. Urodziła mnie, gdy miała 19 lat. Zostałam na wychowaniu u babki, gdzie było jeszcze rodzeństwo mamy, brat i siostry. Mama nadal chodziła do pracy we dworze. Gdy miałam dwa lata, wrócił z Ameryki dziadek. Mama uciekła do miasta na służbę. Bała się dziadka, bo był srogi. Babcia z początku ukrywała mnie u sąsiadów, ale w końcu wszystko musiało wyjść na jaw”. To los dziewczyny z Podkarpacia. Los wielu dzieci nieślubnych, uznawanych za symbol hańby, w rzeczywistości będącej tragedią, którą przeżywają wiejskie dziewczyny, zwłaszcza służące – to one stanowią najliczniejszą grupę wśród matek nieślubnych. Napastowane przez panów, paniczów, nie potrafią się obronić. Za upokorzenie dodatkowo często płacą ciążą, która oznacza zwykle wepchnięcie ich na równię pochyłą. Jeśli rodzina

na wsi nie zgodzi się na chowanie dziecka, kobieta znajduje się pod ścianą. Służba uniemożliwia opiekę nad dzieckiem. Aby mieć nadal pracę, trzeba się go pozbyć. Jak to zrobić? Wepchnąć do wychodka, jak robią to służące w miastach? Czy zostawić w polu, jak się zdarza na wsiach?

„Trup dziecka pod warstwą słomy. Niesamowite odkrycie wieśniaków" – informuje „Łódzkie Echo Wieczorne" 3 października 1927 roku. Notatka, jakich w prasie wiele: „Wczoraj po południu na polach pod Konstantynowem znaleziono nakryte przegniłą słomą zwłoki noworodka płci męskiej z oznakami gwałtownej śmierci. Zauważyli je wieśniacy powracający z kościoła w Konstantynowie. Powiadomiona o znalezieniu zwłok policja zabezpieczyła je na miejscu do czasu komisji sądowo-lekarskiej. Trup niemowlęcia, jak wynika ze stanu, w jakim został znaleziony, mógł leżeć już w polu od dwóch tygodni. Wyrodnej matki poszukuje policja".

Tego typu odkrycia rzadko kiedy mają szczęśliwe zakończenie, choć cuda przecież mogą się zdarzyć.

W małżeństwie Stanisławy i Adama Gapińskich z mazowieckiej Legardy właściwie niczego nie brakuje. Hodują krowy, świnie, króliki, mają też dwa konie, które Adam zaprzęga do bryczki, gdy jadą w gości. I w dodatku ostatnio urodziła im się córka. Niestety, z komplikacjami. Poród przyjmowała babka, której coś nie poszło, lekarz musiał przejąć. Skończyło się dobrze, dziecko okazało się zdrowe, ale lekarz wygłosił niepokojący werdykt: to dziecko powinno być ostatnie, następnego porodu Stasia może nie przeżyć.

Na wsi, wiadomo, jedynak się prawie nie zdarza. A żeby nie mieć syna? W tym wypadku żadne z nich chyba nie zdążyło się jeszcze zasmucić, a już życie złożyło im ofertę.

– Babcia wracała z koleżankami z pola i przechodząc obok stogu siana, usłyszała coś jakby kwik. Podeszły bliżej i okazało się, że w snopku słomy leży chłopiec. Ubrany, owinięty w kocyk, zadbany, ale pewnie głodny, bo bardzo płakał. Ponieważ babcia karmiła piersią moją mamę,

nakarmiła więc też to dziecko – opowiada Danuta Makowska, wnuczka Stanisławy.



W małżeł stwie Stanisławy i Adama Gapił skich z mazowieckiej Legardy właściwie niczego nie brakuje. Poza synem. Pewnego dnia Stasia znajduje w stogu siana niemowlę

Nawet nakarmionego dziecka Stasia zostawić w słomie nie zamierza. Zanosi chłopca do domu, mąż na ten widok zaprzęga konie, jadą we troje do gminy.

– Babcia całą drogę w duchu się modliła, żeby dziadek zgodził się zatrzymać dziecko. Przecież ona może je wykarmić – opowiada wnuczka.

Modlitwa się spełnia. Wójt mówi: dobrze, zatrzymajcie dziecko na dziesięć lat, a potem zobaczymy. I pytają, jakie nadać mu imię i nazwisko.

– Dziadkowie zaproponowali imię Bolesław. Urzędnik gminny najpierw chciał dać nazwisko Słomiński, bo znaleziony w słomie, ale w końcu stwierdził, że lepsze będzie: Niewiadomski, bo niczego o nim nie wiadomo. I tak zostało.

Bolesław chowany jest jak bliźniak Marianny. On – duży, silny, pogodny, ona to jego przeciwieństwo – delikatna i chorowita. Razem chodzą do wiejskiej szkółki w Podgórzu, biegają, trzymając się za ręce. Nie wiedzą, że nie są biologicznym rodzeństwem. Ale czas mija prędko, więc podarowana przez wójta rodzinie dekada właśnie się kończy.

– Moja mama i jej brat byli w szkole, gdy do domu zapukał ktoś z gminy. Przyjechali po Bolesława. Mówią: zgodnie z umową zabieramy dziecko, potrzebne na pastucha we dworze. Jak mój dziadek się zdenerwował! Chwycił za brzozową miotłę, otworzył drzwi domu i wymachując im miotłą nad głowami, mówi: „Dranie, czy chociaż raz przez dziesięć lat przybyliście zobaczyć, jak to dziecko rośnie i czy ma co jeść? A teraz chcecie nam je beztrosko zabrać? To jest nasze dziecko, kochamy je jak własne, a wy je chcecie we dworze zrobić pastuchem? Wynoście się, łobuzy, bo nie ręczę za siebie” – opowiada Danuta Makowska. – Urzędnicy uciekli w podskokach, a potem po długich negocjacjach udało się. Bolesław Niewiadomski pozostał w naszej rodzinie. Był po prostu synem dziadków i bardzo dobrym bratem mojej mamy, spokojnym człowiekiem, którego dziadek nauczył pracy w gospodarstwie. W czasie wojny trafił na roboty do Niemiec i do końca okupacji nie mieli z mamą kontaktu. Kiedy nas odnalazł, płaczu nie było końca.

Porzucenia dzieci w miastach przebiegają inaczej, w takim przypadku ryzyko, że dziecko umrze, zanim je ktoś znajdzie, jest dużo mniejsze.

8 grudnia 1936 roku ktoś znajduje niemowlę w bramie kamienicy w Augustowie. Przy dziecku leży kartka z informacją, że dziewczynka ma cztery tygodnie, na imię Leokadia i że jest ochrzczona. Ktoś zobaczył wychodzącą z bramy młodą kobietę i ją zatrzymał. Emilia P., służąca bogatego kupca i właściciela kilku domów w Augustowie, przyznaje się do porzucenia córki, która jest dzieckiem jej chlebodawcy.

„Zmuszał mnie do stosunków, a gdy zaszłam w ciążę, nie chciał dać na skrobankę. Tuż przed rozwiązaniem wyrzucił mnie ze służby, namawiając,

żebym zabiła dziecko. Za milczenie zapłacił mi osiemdziesiąt złotych” – zeznaje potem przed sądem z Grodnie.

Nie zdecydowała się na zabicie dziecka, ale nie jest w stanie go utrzymać, tłumaczy. Sąd to potwierdza i skazuje ją na sześć miesięcy w zawieszeniu na pięć lat.

Siedemnastoletnia Jadwiga T., tak zwana dziewka, czyli służąca, w gospodarstwie w Osowach, postanawia, że najlepszym miejscem na pozbycie się dziecka jest biuro pisania podań w Augustowie przy ulicy Bandurskiego. Jest 10 listopada 1937 roku. Dziecko ma niewiele ponad dwanaście miesięcy.

„Blondyn, oczy niebieskie, twarz okrągła, słabo odżywiane, ubrane w sukienkę koloru czerwonego, podartą, barchanową, bez rękawów oraz w drugą sukienkę barchanową w kratę zieloną z białym na czarnym tle w białe kropki, czapka biała z trykotów owinięta w kawałek ciepłej chustki koloru szarego” – głosi policyjny raport.

Świadkowie widzieli młodą kobietę, brunetkę, w ciemnoszarym zniszczonym palcie, „na głowie dziana chustka koloru jasno zielonego w pantoflach czarnych bez pończoch” – opisują, co pozwala ustalić, że matką jest Jadwiga T., a ta potwierdza.

„Nikt mnie z dzieckiem nie chciał przyjąć do pracy” – wyjaśnia. Ale sąd szybko ustala, że ma ona jeszcze inny problem: znowu jest w ciąży, w piątym miesiącu. „Kierowała się pobudką z nędzy, gdyż nie miała możliwości z dzieckiem zarobkowania, nawet na utrzymanie siebie samej, charakteru jest spokojnego, dotychczas żyła w nędzy i była wykorzystywana przez różnych mężczyzn, z czego nie zdawała sobie sprawy” – czytamy w sądowych aktach. Śledczy ustalają też, że jej matka umarła, gdy dziewczyna miała dwa lata, a ojciec nie chce jej utrzymywać. Mimo okoliczności łagodzących sąd skazuje ją na sześć miesięcy w zawieszeniu na dwa lata.

– Moja babcia jako dziewiętnastolatka została wdową z dwuletnią córką. Kiedy wyszła drugi raz za mąż, urodziła dwóch synów, a córkę posłała do gimnazjum. Mając dwadzieścia dziewięć lat, umarła

prawdopodobnie na skutek skrobanki. Niewiele o tym wiem, bo nie był to temat, o którym się jawnie rozmawiało – opowiada Halina Bińczak, której rodzina pochodzi z sandomierskiej wsi Bidziny.

Babcia Haliny Bińczak należała do tych kobiet, o których lekarze piszą, że przybywa ich z roku na rok: mężatek z trójką, czwórką dzieci, które za żadne skarby nie chcą mieć kolejnych.

Jednak rodzinne wspomnienia przekazywane następnym pokoleniom raczej nie odzwierciedlają statystyk lekarskich i sądowych. Rzadko się słyszy, że komuś w rodzinie babcia umarła na skutek nieudanej aborcji lub że trafiła z tego powodu do więzienia. Porzucenia, pokątne aborcje, dzieciobójstwa to z pewnością doświadczenia naszych przodkiń, które jeśli przeżyły, na ogół niosły samotnie swój grzech. O takich sprawach nasze milczące rodziny milczą jeszcze bardziej. Brakuje nam też wiedzy o tym, co naprawdę oznaczało bycie matką wielodzietną dla samej matki. Na ile te kobiety uważały to za boże błogosławieństwo, a na ile za dopust boży?

Matka profesora Edmunda Waszyńskiego, pochodząca z wielkopolskiego Ludwinowa, wyrastała w ogromnej rodzinie, co wówczas nie budziło żadnego zdziwienia.

– Babcia Marianna Średnicka urodziła trzynaścioro dzieci, bo jak to się na wsi mówiło: dzieci i szklanek nigdy dość – opowiada Edmund Waszyński. – Była niezwykle zaradna. W domu prowadziła sklepik typu „mydło i powidło” z podstawowymi produktami: cukrem, solą, pastą do butów. Nigdy nie widziałem jej włosów, stale miała na głowie chustkę zawiązaną pod brodą.

Babcia doktora rodziła w czasach, gdy o żadnym kontrolowaniu dzietności mowy nie było, ponadto jego rodzina nie należała do najbiedniejszych, dziadek doktora pełnił funkcję sołtysa w Ludwinowie, jego piękne konie podziwiała cała wieś, a wśród bliskich krążyły legendy, że chodzi za pługiem w białej koszuli i że jego przodkowie wywodzili się ze szlachty.

W tej opowieści nie słyszymy głosu babci – matki trzynaściorga dzieci, którą chciałoby się zapytać, w jaki sposób radziła sobie z ciążami, połogami, a w końcu z utrzymaniem i wychowaniem takiej gromady, bo to przecież była „babska robota”.

Wielodzietna, uboga rodzina to obciążenie nie tylko dla matki, ale też dla pozostałych dzieci, które mają obowiązek opiekować się młodszym rodzeństwem i dzielić się jedzeniem, którego brakuje.

Los Marysi ze wsi Szerzyny, typowy dla dzieci z rodzin wielodzietnych, nie mógł potoczyć się inaczej.

Jej matka, Apolonia, wyszła za mąż za Józefa Gębarowskiego, wdowca z czwórką dzieci. Dwie najstarsze córki udało mu się wysłać do Ameryki tuż po śmierci pierwszej żony, syn zginął na froncie pierwszej wojny światowej we Włoszech. Wkrótce Apolonia urodzi dziewięcioro dzieci, z czego jedno umrze.

– Byłam zszokowana, gdy odkryłam w aktach parafialnych, że gdy rodziło się ich najmłodsze dziecko, moja prababcia miała czterdzieści sześć, a mój pradziadek sześćdziesiąt siedem lat – opowiada Magdalena Szczygieł, wnuczka Marysi z Szerzyny. Dla jej babci, najstarszej córki Apolonii, narodziny kolejnego dziecka, mniej więcej co dwa lata, oznaczają dodatkowe obowiązki i pogłębiającą się biedę. Do szkoły jednak może chodzić i robi to chętnie. Boso, siedem kilometrów w jedną stronę. Ale gdy ma dwanaście lat, rodzice postanawiają oddać ją do gospodarza, lokaja z pobliskiego dworu, na służbę w zamian za jedzenie. – Jej nauczyciel prosił, aby pozwolili się jej uczyć, bardzo lubiła szkołę, ale rodzice nie mieli jej za co wykarmić, nie zgodzili się. Potem ten sam los spotkał pozostałe dzieci, każde pracowało – opowiada Magdalena Szczygieł. – Pamiętam jej opowieści, że gdy odwiedzała rodziców, czuła złość. Jak dziś pamiętam jej pogardę dla ojca. Gdy zmarła ich matka, najmłodsze dziecko miało dwanaście lat i babcia musiała przejąć opiekę nad rodzeństwem. Czasem myślę, że czuła się

bardziej związana ze swoim rodzeństwem niż ze swoimi dziećmi – mówi Magdalena Szczygieł.

Marysia służyć będzie przez ponad siedemnaście lat – aż do zamążpójścia w 1939 roku – najpierw na plebanii, jako gospodyni księdza, potem w prywatnych domach w Bieczu.



Rodzina Magdaleny Szczygieł: prababcia Apolonia z mężem Józefem Gębarowskim, babcia Marysia (najmłodsza), od lewej jej dwie przyrodnie siostry Wiktoria i Zofia oraz krewna

– Musiała być przez proboszcza lubiana i szanowana, bo gdy wychodziła za mąż w 1939 roku, obiecał drewno na dom z plebańskiego

lasu i obietnicy dotrzymał. Swojego męża poznała w Bieczu, o czym opowiadała w sobie tylko właściwy sposób: „A tak chodził i chodził, aż w końcu mi mówi, «pobierzmy się», no to się zgodziłam”. Urodziła tylko dwoje dzieci, pozostała przeciwniczką wielodzietnych rodzin. Jej rodzeństwo zresztą też miało najwyżej troje dzieci, a większość dwójkę. Nikt nie zamierzał mieć rodziny wielodzietnej, myślę, że trauma biedy była bardzo silna – opowiada Magdalena Szczygieł i zastanawia się, z jakich powodów prababcia urodziła aż dziewięcioro. – Była bardzo religijna, może to dlatego? – rozważa.

Sugestią, gdzie szukać odpowiedzi, może być gniew jej babci skierowany wobec ojca. To dla niego czuła pogardę, spodziewając się prawdopodobnie, że matka niewiele miała do powiedzenia, zmuszona podporządkować się jego potrzebom.

Ankietowani w 1933 roku lekarze zwracają uwagę, że mężczyźni przyjmują często taką postawę, jakby ciąża żony ich nie dotyczyła, jakby nie mieli z nią nic wspólnego. „«Radź sobie sama» – oto najczęstsza rada męża i przyszłego ojca. Im niższa warstwa społeczna, tym wyższa obojętność cechuje mężczyznę do skutków zbliżenia płciowego” – pisze jeden z lekarzy.

Inny wspomina, że gdy wszedł do izby folwarcznej, w której mieszkała rodzina fornala z dziewięciorgiem dzieci, i zwrócił uwagę ojcu na tak liczne potomstwo, fornal odpowiedział: „Człek nie zje, nie wypije, nie ubierze się, jeszcze tego będzie sobie żałował?”.

Chłopi mają też inne porzekadło: kogo Pan stworzy, tego nie umorzy. A nędzarze żydowscy jeszcze inne, ale wyrażające tę samą wiarę: da Pan Bóg dzieci, to da i na dzieci, albo pocieszają się: jest dla tylu, to i starczy dla jeszcze jednej gęby.

Powtarzają to, choć przecież wiedzą, że to nieprawda.

ROZDZIAŁ 8

AŻ SIĘ SKÓRA PODRZE

Kawy nie kupuję, robię ją z żołędzi, herbatę zastępuję kwiatem lipowym, miętą lub jagodnikiem. Zamiast zapałek używam krzesiwa. W ten sposób wypływam prędzej z kryzysu, który nas karłowatych rolników atakuje ze wszystkich stron.

W.J., gospodyni spod Krasnegostawu, 1934 rok

Katarzyna Biernacik dwa razy w tygodniu wyrusza z Zubrzy w stronę Lwowa z wielką bańką mleka lub z koszem jaj. Polnymi drogami przechodzi siedem kilometrów, aby dotrzeć do państwa, swoich stałych klientów, którzy wpuszczają ją do mieszkania, tak jak innych domokrążców, kuchennymi schodami. Chętnie tam chodzi, bo jak mówi, zawsze udaje się jej coś uszpyrtać.

– Po wojnie mama to samo będzie ćwiczyć na Dolnym Śląsku, ale już tylko dwa i pół kilometra w jedną stronę, poboczem asfaltowej drogi. No i już się nie nosiło niczego „do państwa” – wspomina Marian S., syn Katarzyny Biernacik.

Ale to później. Na razie mamy rok 1934, a rodzinna wieś Katarzyny – Zubrza, tak jak i Lwów, należy do Polski, a Dolny Śląsk to część Niemiec.

Gdy Katarzyna Biernacik dotrze do Lwowa, weźmie od państwa za dziesięć jaj 40 groszy, a za kilogram masła 1,50 złotych. Wracając, zatrzyma się w sklepie, bo tutaj taniej niż na wsi. Jednak gdy przeliczy, okaże się, że na cukier jej brakuje (2,20 złotych za kilogram), ale kupi litr nafty (65 groszy), ta w domu być musi, ze wszystkiego innego można zrezygnować.

Gdy Kaśka ze swoją bańką mleka zbliża się do Lwowa, Marianna przemierza drogę ze wsi Koliszowy na targ do Końskich. Niesie jaja lub kury, a latem jagody i grzyby. Najczęściej jednak ser własnej roboty, ładnie zapakowany, co bardzo podoba się paniom kapeluszowym z miasta, dzięki czemu, jak i ze względu na schludny wygląd, ma u nich dobrą markę.

W dni targowe, najczęściej piechotą, a czasem furmankami lub pociągiem, tysiące polskich kobiet wyruszają ze swoich wsi, by sprzedać ser, jaja, kury, tkaniny z lnu. Ta kobieca działka pozwala cokolwiek uszpyrtać, choć z tym coraz trudniej.

Światowy kryzys, który trwa od 1929 roku, przeorał polską gospodarkę, a wieś pogrążył. Brytyjski turysta po wycieczce na polską wieś dzieli się wrażeniami w magazynie „Times”: „Dróg w pojęciu angielskim prawie że niema w Polsce. Jedynie Śląsk posiada kilka wspaniałych szos, wybudowanych za czasów niemieckiej okupacji. W zimie główne trakty pokryte są grubą warstwą śniegu. Można je przebyć jedynie saniami”.

Na wsi w Polsce w 1931 roku mieszka 73 procent społeczeństwa[28], z czego 51 procent to chłopi posiadający ziemię, a 5 procent to rolni robotnicy. Ich sytuacja jest najtrudniejsza. W 1934 roku, gdy robotnik w mieście zarabia głodową pensję – 24 złote tygodniowo, wyrobnik folwarczny dostaje 6 złotych (plus tak zwaną ordynarię), a chłop ze swoich plonów niecałe 10 złotych.



Chłopki sprzedające gęsi w Krakowie

Kobiety – bo to one głównie pełnią funkcję zaopatrzeniowca – osiągają wyżyny pomysłowości, by wykarmić rodzinę. Katarzyna Biernacik za ser i jaja dostaje teraz o 60 procent mniej niż przed kryzysem.

Czterdziestoletnia Katarzyna Makowiecka z Siemianówki, również pod Lwowem, matka sześciorga dzieci, sprzedaje mleko i dzięki temu ma na sól, naftę, mydło, przybory szkolne, udaje jej się też płacić podatki. „Ale dzieci jedzą mleka bardzo mało” – ubolewa.

Jeśli nasze babki opowiadały nam o tym, że przed wojną dzieliły zapałki na czworo, nie używały tego sformułowania, by dobitnie wyrazić skalę biedy. One naprawdę to robiły: brały nóż i rozdzielały zapałki na kilka części, ponieważ były one bardzo drogie. W obiegu pojawiły się nawet zapałki z dołączonym do pudełka specjalnym cienkim nożykiem.

Mieczysław Chorąży, syn bogatego podlaskiego chłopa, wybitny onkolog, zapamiętał ze swojego dzieciństwa sąsiada, który nie rozstawał się z fajką. Nabijał ją tytoniem ze skórzanej sakiewki, a odpalał krzesiwem – kawałkiem drewienka z metalowym pręcikiem, z którego ulatywały iskry, gdy potarł go metalem lub szkłem. Wtedy od iskry zajmowała się huba brzozowa albo kawałek watoliny, którą dopiero kładł do cybucha fajki. „Pan Sosnowski umiał też rozdzielać scyzorykiem zapałkę na cztery części i zapalać fajkę jedną jej częścią – wielce to była przydatna umiejętność w czasie wielkiego kryzysu" – wspomina Mieczysław Chorąży.

Szalone ceny zapałek to efekt polityki gospodarczej, która polegała na wydzierżawieniu w 1925 roku przez ministra skarbu Władysława Grabskiego monopolu zapałczanego szwedzkiej firmie Kreuger. Ta natychmiast zaczęła podnosić ceny zapałek w dowolny sposób. W 1933 roku, gdy za pudełko płaci się 10 groszy (48 zapałek w pudełku), wyrobnica rolna w folwarku może kupić za cały dzień pracy 8 pudełek. W 2021 roku za średnią dniówkę (58 złotych) kupilibyśmy 232 pudełka.

Chłopi wracają do czasów gospodarki naturalnej: posiadają głównie to, co sami wytworzyli. „O, pastwo losu, cofnęliśmy się wstecz o kilka pokoleń do zamierzchłych czasów dzikości. A szkoda tylko, że kurne chaty skasowano, bo można byłoby świecić szczapami i łuczywem. Ja i już próbowałem różnych kombinacji świecenia paskami papieru pozostającymi z obcięcia książek, a nawet kocim szmalcem, bo nawet kota, gdy jest stary lub niepotrzebny, się nie zmarnuje, ale wszystko to niewiele warte, więcej kopci, niż widoku daje" – pisze w 1934 roku gospodarz z rzeszowskiego.

Elżbieta Klajn, gospodyni ze wsi Marjanka koło Częstochowy, codziennie wieczorem ogląda odzież wszystkich domowników i łata, co tylko może. Zimą robi na drutach swetry i czapki, nauczyła też już swoją dwunastoletnią córkę cerować fartuszek i pończochy. Stare palta, swoje i męża, przerabia na odzież dla dzieci.

Dzięki rozmaitym sztuczkom naszych zmyślnych dziadów sprzedaż zapałek znacznie spada. Jeszcze w 1929 roku na jedną osobę w rodzinie kupuje się dwadzieścia cztery pudełka rocznie, w 1935 roku już tylko jedenaście. Krzesiwo i łuczywo pozwalają oszczędzić.

Na liście towarów luksusowych znajdują się sól i cukier. „Gdy przywieziono metr cukru do sklepu, to leżał tygodniami, zanim go rozprzedano, a gdy jaka bogatsza gospodyni kupiła kilo cukru na raz, to go niosła na wierzchu w ręku, żeby wszyscy widzieli” – wspomina jeden z pamiętnikarzy. Tymczasem właśnie wtedy w prasie lansowana jest reklama cukru ze słynnym hasłem, którego autorem był popularny pisarz Melchior Wańkowicz: „Cukier krzepi!”. Chłopi sądzą, że ktoś z nich szydzi.



„Gdy przywieziono metr cukru do sklepu, to leżał tygodniami, zanim go rozprzedano, a gdy jaka bogatsza gospodyni kupiła kilo cukru na raz, to go niosła na wierzchu w ręku, żeby wszyscy widzieli” – wspomina jeden z pamiętnikarzy. Na zdjęciu reklama cukru

Wstydzą się żebrać. Mogą pożyczyć od bogatego gospodarza zboże na chleb, ale nie żebrać o nie. Proszą więc o pożyczkę, ale bogatszy też nie ma już zapasów, zwłaszcza na przednówku. Co miał, to sprzedał, bo też ledwo daje radę. W 1933 roku w Broniszewie na Mazowszu, w połowie drogi między Warszawą a Radomiem, głoduje dwadzieścia rodzin. „Włościanie często jedzą tylko raz na dzień lub nawet rzadziej” – pisze Jerzy Fierich, autor monografii Broniszewa, ostrzegając, że dieta chłopów, nawet bogatszych, wybitnie się w kryzysie pogorszyła, jedzą jeszcze więcej ziemniaków niż dotychczas.

Nikt w Europie nie je wówczas tyle ziemniaków co Polacy. Na świecie przewyższa nas jedynie Nigeria.

14 lutego 1933 roku we wsi Bielawa na Mazowszu pojawia się poborca podatkowy, tak zwany sekwestrator. Idzie prosto do chałupy Jana

Czasaka, który zalega 99 złotych. Chłop się stawia i nie wpuszcza go do domu. Następnego dnia przyjeżdża już pięciu poborców w asyście szesnastu policjantów. Ale przed domem Czasaka czeka na nich około pięciuset mieszkańców Bielawy i okolicznych wsi. Wywiązuje się awantura z krzykami i rękoczynami.

Posłowie Stronnictwa Ludowego relacjonują w sejmowej interpelacji przebieg tego zdarzenia: „Czasakowi zabrano wszystkie sprzęty i dwie krowy, córkę Czasaka komisarz obrzucił stekiem obelg, a następnie przodownik policji przewrócił ją na podłogę". Trzy dni później do aresztu trafia dziewięciu mieszkańców wsi.

Podatki nie są największym problemem gospodarzy, w przedkryzysowych czasach wielu zaciągnęło kredyty, których teraz nie są w stanie spłacać.

Czytelniczka gazety „Wyzwolenie" z osady Peremel na Wołyniu, która kupiła ziemię na kredyt rok przed kryzysem, teraz obawia się wywłaszczenia, pisze więc do redakcji: „Szaleństwo się mnie czepia. Marzeniem całego mojego życia było kupić sobie kawałek ziemi, a dzisiaj zostało oszukane moje gorące przywiązanie do ziemi. Czy w mojej Ojczyźnie nie ma już dla mnie ratunku? Czy koniecznie muszę pójść jak owca na rzeź?".

W Sejmie przemawia poseł Stronnictwa Ludowego Marek Róg: „Nędza na wsi jest okropna. Jesteśmy w takim położeniu, że kiedy się mówi o nędzy wśród chłopów, to już nikt nie powie, że to jest demagogia; że nędza jest wśród chłopów na wsi, to stwierdziły już nie tylko nasze pisma, nasze organy prasowe Stronnictwa Ludowego, ale nawet te pisma mieszczańskie, których łamy były pełne legendy o workach i skrzyniach chłopskich jakoby napełnionych pieniędzmi. Teraz o tym się nie mówi. Wszyscy stwierdzają, że chłopi nie kupują najniezbędniejszych nawet rzeczy, nie kupują nawet nafty. Pismo obozu rządowego w Wilnie drukowało niedawno opis przygody komornika, który przyjechał na wieś pod Grodno i zajmował rzeczy przy świetle gromnicy, bo nie było innego światła".


Echo

Rok X. Nr. 44. Łódź, czwartek 15 lutego 1934 r.

Dowódca Schutzbundu w Wiedniu złożył broń!

350 trupów w domu Karola Marksa.

Sprzeczne wiadomości o losie Cybulskiego.

Niezwykła odwaga kobiety.

Staruszka przepędziła bandytów.

Napastnicy nie mogli sobie z babiną poradzić.

Kto otruł dwu chłopców?

Jeden zmarł, drugi kona...

Tłum wieśniaków odbił zlicytowaną krowę.

Bunt w zakładzie poprawczym w Głazie.

Przeniesienie dyrektora powodem zajść.

Czy jesteś członkiem L. O. P. P.

HAJWYŻSZY CZAS

Bolesława BONCZYKA

Rewolucja socjalistyczna w Wiedniu.

Oddziały wojskowe obsadzają ratusz wiedeński.

Po prawej:

Dolar 5.34

ZACHĘTA

Licytacje komornicze wstrząsają wsią. Artykuł w dzienniku „Echo” z 15 lutego 1934 roku

Państwo według chłopa – mówi poseł – to komornik i policjant. A następnie relacjonuje kilka ostatnich zajęć komorniczych opisywanych przez prasę:

We wsi Chrząstowa w powiecie łęczyckim zjawił się sekwestrator w towarzystwie czterech policjantów w czasie, gdy ludzie pracowali w polu. Do jednej z chat wszedł przez dach i wyprowadził z obory krowę.

W Lisiej Górze w powiecie tarnowskim naszli siedemdziesięcioletniego Jana Tokarza po pięć kur i jeden metr żyta. Gdy chłop chciał bronić kur, „policjant chwycił go za gardło, a wtedy egzekutor «wykonał swą czynność»”.

W Skrzyżowie egzekutor przyszedł do Stanisława Błyskali, gdy ten pracował w polu. „Dom był zamknięty – relacjonuje poseł na posiedzeniu Sejmu – egzekutor z policjantem wybili szybę w oknie, otworzyli okno, weszli do domu i zabrali z łóżka starą pierzynę i ze ściany dwa obrazy, z których jeden wyobrażał Matkę Boską Kalwaryjską, a drugi Tadeusza Kościuszkę”.

Prasa komentuje: „Poza nędzą i poniewierką pożera ją marazm, zobojętnienie, podejrzliwość. Niewiara. Wszystko stanęło, wszystko zamilkło. Wieś robi wrażenie cmentarzyska, po którym jak martwe cienie snują się ludzkie postacie dziwnie zmienione, zamyślone, milczące”.

Prawdopodobnie z tego właśnie czasu pochodzi silnie i na długie lata zakorzeniona w naszych rodzinach potrzeba oszczędzania, na czym się tylko da. Wiele doświadczeń przyjęło formę anegdot rozbrajających je z tragizmu, ale i wiele z nich ukształtowało sposób życia następnych pokoleń.

W domu matki Urszuli Hoffmann pod Miechowem knot lampy naftowej często był skręcony, tak się oszczędzało na nafcie. I chociaż, jak mówi, rodzina nie głodowała, wszystkiego było za mało.

– Kiedy moja mama, będąc dzieckiem, myła sobie mydłem nogi i zobaczyła to jej babcia, krzyknęła: „Ty psia jucho! To matka nie ma mydła do prania, a ty sobie nogi mydłem myjesz? Wiechcia weź i nogi se wyszoruj” – opowiada Urszula Hoffmann, która jak mówi, całe życie próbuje się wyzwolić z chorobliwego oszczędzania, wdrukowanego jej przez rodzinę, która zawsze kierowała się zasadą, że kupować można wyłącznie to, co konieczne.

W rodzinie Mariana Jaróżka wspomina się cioteczną babcię Helenę Raburę, silną kobietę, w rodzaju tych nie do zdarcia, której potomkowie

zawdzięczają uratowanie rodzinnego domu, co udało jej się wyłącznie dzięki harówce i zapobiegliwości, dzisiaj legendarnej.

– Niczego nie wyrzucała, nawet jedzenia. Gdy się zepsuło, po prostu je zjadała. Żartowaliśmy, że ciotka wyposażona była przez naturę w dwa żołądki: jeden na zepsute jedzenie, a drugi na dobre – wspomina Marian Jaróżek.

„Gdyby kobiety z miasta przyszły na wieś i chciały wniknąć w nasze życie, to powiedziałyby, że kobiety wsiowe są cichymi bohaterkami" – stwierdza Anna Potoczna-Sietesz w „Kobiecie Wiejskiej" w 1939 roku.

Autorka artykułu, pisząc o kobietach z miasta, ma na myśli klasy wyższe, mieszczaństwo, zwane inteligencją, bo przecież nie proletariat, którego sytuacja w kryzysie jest także tragiczna, choć nieco lepsza niż najuboższych chłopów. Natomiast kobiety z klas wyższych, zwane paniami, rzeczywiście często nie wiedzą za wiele o życiu wiejskich kobiet, może coś tam widziały przez okno na tak zwanym letnisku lub słyszały od służących, które zatrudniają, lub od takich kobiet jak Katarzyna Biernacik, na widok której oznajmiają: „Kobieta ze wsi jaja przyniosła". Albo: „baba".



Noszenie wody to jedna z większych bolączek kobiet. Lipnica Murowana w Małopolsce, rok 1932

Ona z kolei wita „wielmożnych państwa”. Panie lubią też mawiać, że Wojciechowa, znaczy żona Wojciecha, przyszła. Gazety piszą: „wieśniaczka”. To wówczas termin neutralny, mieszkanka wsi, niby nic obraźliwego.

Dla miejskich kobiet z klas wyższych wiejska kobieta to najczęściej baba dziwo, zaniedbana i ciemna, którą trzeba kierować i cywilizować lub – z drugiego bieguna – bezczelna dziewucha, która uzurpuje sobie prawa jej nienależne, przebierając się za panią, ponieważ wkłada jedwabne pończochy i lakierki.

Państwo zwykle nie pojawiają się na wsi ani jej nie znają, gdy więc pani z miasta po raz pierwszy wybiera się na wieś na wakacje, nie bardzo wie, co ze sobą zabrać na tę obcą planetę. Z radami przychodzi pani Elżbieta w 1929 roku, publikując poradnik *Dobra pani wyrusza na letnisko*. Przede wszystkim zaleca zabrać dużą, lecz płaską walizkę, pudło na kapelusze, pled, parasole i kilka koszy wiklinowych. Większość bagaży zabierze wóz, pani Elżbieta zakłada bowiem, że na wczasach uda się zrobić przetwory, aby uzupełnić spiżarnię, a więc należy zabrać sprzęty, których się na wsi przecież nie uświadczy. Warto przygotować do pociągu mały koszyczek z prowiantem podróżnym: butelką dobrego, najlepiej czerwonego wina, kurczakiem pieczonym, wędliną, sardynkami w puszce, kawą lub herbatą w małym termosie i jeszcze trochę owoców lub kwaskowych cukierków.

Co do sprzętów, poza lampami, lichtarzami, świecami, bańkami do nafty, lustrami i miskami, pani Elżbieta zachęca do zabrania wazonów, aby kwiaty stanowiły ozdobę każdego letniskowego pokoju, pozwalając zapomnieć „o jego zwykłej banalnej szpetocie”.

To zaledwie mała część naszego ekwipunku, ponieważ najważniejsza dla kobiety jest kuchnia, a wiejska świeci pustkami. Dlatego nie należy zapomnieć również między innymi o: komplecie garnków żelaznych i emaliowanych, dwóch brytfannach, imbryku do wody, imbryku do kawy, wanience do ryb, formie budyniowej, formie do ciasta, dwóch miskach do ucierania ciasta, moździerzu, czerpaku do wody, szufelce do węgla, dużej balii, kotle do gotowania bielizny, żelazku węglowym, maglu ręcznym, desce do prasowania, tłuczku do kartofli, łopatce do przewracania kotletów, warząchwiach, solniczce dużej, widelcu dużym do mięsa, tasaku i toporku do węgla, maszynce do lodów i młynku do kawy, a do tego zastawie stołowej, sosjerkach, kieliszkach i widelczykach, w tym także widelczyku do cytryny. No i oczywiście o rozmaitych czyścidłach, zmiotkach, szczotkach, osiemnastu ściereczkach i dwóch szczoteczkach do obuwia.

Choć mogłoby się wydawać, że ten opis pochodzi z tekstu kabaretowego czołowych satyryków epoki w rodzaju Juliana Tuwima czy Antoniego Słonimskiego, w rzeczywistości wyszedł spod pióra stałej współpracowniczki poczytnego pisma dla inteligentek Elżbiety Kiewnarskiej, słynnej publicystki „Bluszcza", doradzającej czytelniczkom pisma w rozmaitych praktycznych sprawach.

Publikacje ówczesnej prasy okazują się bezcennym źródłem wiedzy o przepaści między wsią a miastem i między inteligencją a chłopami, a także o tym, w jaki sposób sfery dominujące strzegły granic dzielących ich od biedaków.

Kiedy pani wybiera się na letnisko, powinna mianowicie zadbać również o odpowiedni strój. W tej sprawie podpowiedziami służy nam czasopismo „Przegląd Mody": „Pamiętajmy więc! Na wsi należy być też świeżą, ładnie ubraną. Ranek zastaje panią w pyjamie lub szlafroczku, zależnie od figury. Pyjamę nosi się tylko w obrębie willi. Natomiast idąc na zakupy na targ lub na przechadzkę pani wkłada sportową suknię z piki, shantungu lub toile de soie[29]" – radzi czasopismo. Także suknia w kwiaty o kroju ludowym pasuje na wieś, według czasopisma, ale nie należy zapominać o skarpetkach i pończochach wywiniętych do kostek, nawet podczas upałów, ponieważ „żwir, rozmaite drzazgi, kamyczki, wszystko z trudem znosi obnażona stopa pani i przytem niszczy paznokcie u nóg i powoduje zgrubienie naskórka wokół nich".

Znajoma pani Elżbieta z „Bluszcza" radzi w chacie zamiast pyjamy donaszać stare letnie sukienki. „Gdyż nie będziemy przecież rywalizowały z pięknościami wiejskimi, demonstrującymi co niedziela i święto najbardziej jaskrawe fulary, ba! nawet atłasy i adamaszki, jakie znaleźć można było w sklepach sąsiedniego miasta. Parę białych sukien, które łatwo się dadzą uprać i uprasować, dadzą nam elegancki i dystyngowany wygląd, tak samo jak biały płócienny bucik na angielskim obcasie będzie nas korzystnie różnił od elegantek chodzących nawet do udoju w jedwabnych pończochach i – lakierkach".



Z nabiału, który sprzedadzą, lnu, który wysieją, jajek, które zaniosą na targ, kupują naftę, tytoł dla męża, starają się uciułaą, żeby było dla dzieci na tabliczkę, rysik, zeszyt, ubrania, buty do szkoły. Na zdjęciu targ w Przemyślu, rok 1930

Kobiety wiejskie nie czytają czasopism w rodzaju „Bluszcza", bo zwykle tam niczego dla nich ani o nich nie ma. Natomiast znają ten ton pełen wyższości i pogardy.

„Miasto prześladowało chłopów – wspomina Anna Szopowa. – Kto nie posiadał ziemi, a miał lada jaki urząd w gminie czy powiecie, albo trudnił się handlem, to dla niego chłop był chamem od gnoju. Sama też tego doznałam. Mój najmłodszy syn, Ludwik, ożenił się w Krakowie z córką byłego handlarza bydłem. Gdy matka synowej przyjechała do mojego domu, ja w tym czasie robiłam obrządek inwentarza w oborze i chodziłam z widłami w ręce. Na to teściowa mojego syna chodziła po podwórzu i powtarzała:

– Dziwka od gnoju, dziwka od gnoju!

Samo to, że w rękach miałam widły, skłoniło ją do takich pomówień”.

Władysław Kojder, działacz ludowy, spółdzielca, absolwent Uniwersytetu Ludowego w Gaci, pisał w 1938 roku, że dla miasta reprezentowanego przez mieszczaństwo i różne sfery urzędnicze „wieś to wciąż nieznana knieja, na którą patrzy się przez ciemne okulary i krzywe zwierciadło”.

W rezultacie mało kto zna realne problemy wieśniaków. Wiejskie kobiety mają świadomość, że nikogo nie obchodzą i że ich trud jest traktowany jako część zwyczajnego, chłopskiego losu, czego docenić ani wynagrodzić nikt nie zamierza, choć one same czują, że są „cichymi bohaterkami pełnymi zasług, dla których nie wystarczy żaden order”.

Jak pisze autorka pracy na konkurs *Pamiętniki chłopów*: „Nikt nigdy w mieście sobie nie wyobrazi, jak kobieta na wsi musi pracować i to pracować najczęściej o głodzie i o chłodzie. Bo ileż razy tak jest, że ostatni kawałek chleba, ostatnią kwartę mleka rozdzieli pomiędzy męża i głodne dzieci a jej samej najczęściej służą za posiłek gorzkie łzy gdzieś po kryjomu połykane”.

Gdy w 1928 roku w Poznaniu planowana jest wystawa o życiu wsi, w czasopiśmie „Głos do Kobiet Wiejskich” działaczki Koła Ziemianek[30] proszą włościanki, by opisały dzień pracy w swoim gospodarstwie. Listy chłopek spływają do redakcji, a panie ziemianki są zszokowane. Okazuje się bowiem, że wiejska kobieta nie krząta się po chałupie, jak zwykło się mawiać o pracy domowej kobiet, tylko zwyczajnie haruje, i to bez względu na to, czy jest małorolną chłopką, czy też prowadzi duże, zasobne gospodarstwo, które zatrudnia służbę, czyli – jak się wówczas mówi – parobka i dziewkę.

Wstaje o czwartej rano. „Myję się, czeszę, ubieram, pacierz zmówię i przewietrzam mieszkanie, co mi zajmuje pół godziny, poczem zaraz idę doić krowy, których mam dwie (jedna daje 5 litrów mleka, druga 2)” – pisze Zofia Kraskowa, która o piątej trzydzieści jest już z krowami w polu, gdzie pieli, okopuje i motyczkuje. Wraca na godzinę ósmą, budzi

troje dzieci, z którymi zmawia pacierz, przygotowuje śniadanie, śle łóżka, zamiata, sprząta. Karmi trzy świnie. Idzie w pole. I tak do wieczora.

Z planów przysłanych przez rolniczki do gazety wynika, że dziennie pracują osiemnaście godzin. A ich praca rozkłada się mniej więcej w ten sposób:

4 do 6 godzin – praca w polu
3–4 godziny – obrządek zwierząt
3–4 godziny – gotowanie (dla ludzi i zwierząt)
2 godziny – obsługa jedzenia
45–60 minut – porządki
30 minut latem, a 6 godzin zimą – ręczne roboty, przędzenie, tkanie
30 minut – wypoczynek

Kobiety w rozkładzie dnia nie wyszczególniają czasu, który spędzają ze swoimi dziećmi, ponieważ to także czas pracy, gdy razem oporządzają zwierzęta lub po szkole pielą z matką w polu. Jednak listy do „Głosu do Kobiet Wiejskich” nie pokazują pełnej sytuacji kobiet wiejskich. Ich autorki to elita wsi, umieją czytać, prenumerują gazety, są świadome, a także higieniczne. „O 6. doję krowy, ale wprzód letnią wodą wymyję wymiona i wycieram je ścierką przeznaczoną do tego z napisem «obora». Doję na krzyż prędziutko całą ręką do ostatniej kropli wystrzykuję mleko palcami, aby nic nie zostało. Gdy wrócę od doju, kartofle są już ugotowane, wtedy grzeję pomyje i oprzątam cielęta, jeśli są, zaraz potem trzodę, kury, kaczki, kotka i pieska. Gdy wszystko nakarmione, otwieram okno i sprzątam mieszkanie, poczym szykuję śniadanie dla domowników, o godzinie 8 podaję je” – relacjonuje Zofia Modelska.



Kobiety piorące w strumieniu, rok 1939

Chociaż sytuacja bogatszych gospodyń powinna być lepsza niż małorolnych, okazuje się, że i one nie mają chwili wytchnienia, nawet gdy stać je na zatrudnienie służby. Cecylia Powałka ze wsi Podłężyce w gminie Męka (okolice Sieradza), matka czwórki dzieci, majętna gospodyni na 25 hektarach, ma dziewkę do pomocy, a w polu pomagają dwaj parobkowie, ale ona też z nimi pracuje, a do tego doi krowy. Wiosną wstaje o czwartej rano, latem o trzeciej trzydzieści. Starsze dzieci, które chodzą do szkoły, pokonując codziennie cztery kilometry, po powrocie z lekcji razem z nią pracują w polu. Dla siebie ma Cecylia Powałka pół godziny dziennie, między drugą a wpół do trzeciej.

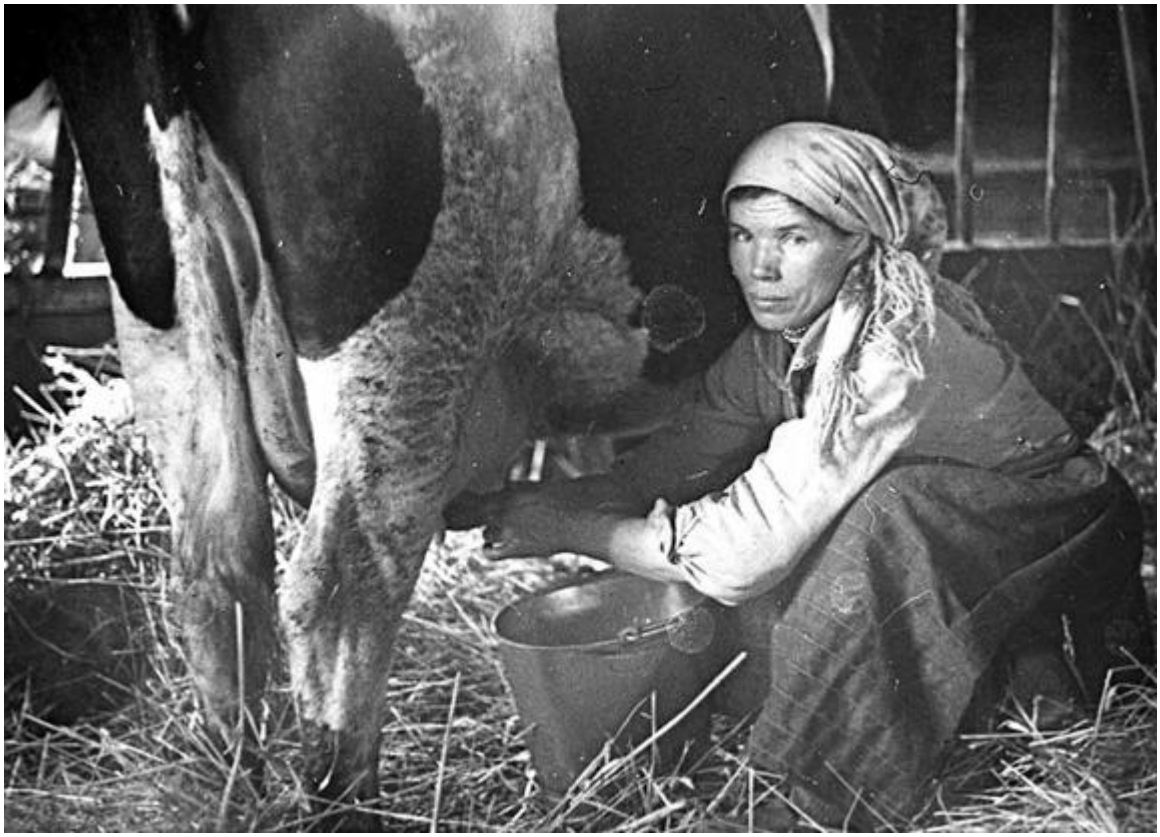
W planach brakuje wypraw po zakupy, a to ważna część kobiecej aktywności. Jeśli można je zrobić w wiejskim sklepiku, to niewielki wysiłek, ale jeżeli trzeba wyruszyć do miasta, kroi się potężna wyprawa. Kobieta idąca przez pola z koszem to codzienny widok w całym kraju, nawet gdy wioska położona jest przy trasie kolejowej.

Żona folwarcznego stelmacha, żeby dotrzeć na zakupy do Płocka, wstaje o drugiej w nocy, wcześniej, jeśli planuje kupić dzieciom buty, wymierza patykiem stopy swoich dzieci. „W mieście biegała po straganach i sklepach, a nakupiwszy, co niezbędne: tarkę do kartofli, garnek, dzieżkę, listek, pieprz, mydło, kawałek słoniny, chustkę na głowę, machorkę, nabywała na koniec parę bułek, z których jedną zjadała, idąc drogą, a resztę oraz parę śledzi i cukierków chowała w koszyk i puszczała się w drogę powrotną, aby na wieczór zdążyć do domu. Tak więc o jednej bułce zrobiła kilkadziesiąt kilometrów drogi, nie odpoczywając w mieście" – wspomina córka.

Jej matka do czworaków wraca nocą, witana przez podekscytowane dzieci, bo wiadomo, że coś dobrego przyniesie, słodką bułkę, a może i kiełbasę.

Ziemianki, czytając listy chłopek, są szczerze zmartwione i komentują: „Jeżeli ta elita gospodyń jest tak przeciążona, to jest rzeczą zrozumiałą, dlaczego 40-letnia kobieta wiejska jest stara i zdarta fizycznie".

Ziemianki są zdziwione, a lekarze wiejscy ani trochę. Od dawna ze współczuciem patrzą na młode wieśniaczki i ostrzegają przed zdrowotnymi skutkami przepracowania. „Kobieta wiejska pracuje zbyt ciężko – przestrzega doktor Czesław Piekarski pracujący na wsi pod Gostyniem w Poznańskiem. – Wykonuje całą pracę domową, wcale niełatwą wobec braku najprymitywniejszych wygód, prace oprzątania i karmienia bydła i drobiu, a w czasie największego nasilenia robót rolnych, wczesną wiosną i jesienią ciężko pracuje, pomagając mężowi lub ojcu. Od początku żniw aż do późnej jesieni wybiórki kartofli i buraków jest w nieprzerwanym trudzie. Praca ta rozpoczyna się od wyjścia ze szkoły, a kończy się śmiercią. Przerywana jest częstymi okresami ciąży, w czasie której ochrona macierzyństwa praktycznie nie istnieje. Pewna mała część kobiet dobrze rozwija się fizycznie, większość szybko słabnie i marnieje. Często też spotyka się kobiety wiejskie trzydziestoletnie o wyglądzie staruszki".



Kobieta dojąca krowę w oborze we wsi Rząśnik, rok 1935

Doktor myślał pewnie o takich kobietach jak trzydziestodwuletnia Michalina C. spod Sandomierza, która pracuje właściwie sama, bo mąż musi zarobkować poza domem, żeby mogli przeżyć razem z trzema córkami na niewielkim gospodarstwie. Dodatkową udręką Michaliny jest brak studni. Nosi wodę z rzeki w wiadrze, pod sporą górę, jesienią przez błota, zimą w śniegu. „Jak mój miał czas, to szedł po wodę, posyłałam też dziewuchy po trzy, każda niosła po trochu, by się nie przerwały. Raz poszłam na wiosnę, gdy było błoto, nóg z błota nie widać, a góra daleka, byłam wtedy w ósmym miesiącu z moją Genką, ulitował się sąsiad murarz, wziął ode mnie wodę i przyniósł do domu. Do dzisiejszego dnia ma to pamiętane, poprosiłam go za chrzestnego do mojej Genki” – wspomina.

Dalej modli się o tę studnię, aż pewnego dnia zdarza się cud. „Spotkało mnie wtedy szczęście, bo znalazłam na drodze 47 złote, serce mi zadygotało, myślałam, że Pan Jezus mi przysłał z nieba na wykonanie

studni i żeby dzieciom nie ujmować jedzenia. Ale niedługo cieszyłam się, przyszły inne myśli: a jeżeli zgubił taki jak ja, co się tak morduje – to błogosławieństwa Bożego w domu nie będzie. Inne myśli mówiły, że nie będzie grzechu, bo przecież znalezione, a nie ukradzione, a studnia będzie" – pisze. Kiedy decyduje się odnieść znalezione pieniądze, robi to bez radości. Przekazuje 47 złotych księdzu, żeby ogłosił zgubę podczas mszy. I rzeczywiście, znajduje się właścicielka pieniędzy, mieszkanka sąsiedniej wsi Romanówka. „Już nie żałowałam, z czystym sumieniem szłam. Studni jednak nie dokopałam, mój dokopał do 70 łokci i wody nie ma, a dalej nie ma za co kopać, bo głębiej to drożej".

Dlaczego Jadwiga Beckowa, żona ministra spraw zagranicznych, upodobała sobie sukienki z lnu, tradycyjnie chłopskiej tkaniny, która w dodatku niemiłosiernie się mnie, chociaż w modzie króluje właśnie bawełna sprowadzana głównie ze Stanów Zjednoczonych Ameryki? Moda, nie moda, patriotycznym obowiązkiem jest noszenie z lnianej tkaniny, czego się tylko da. „Każda szanująca się kobieta, mająca pretensje do modnego ubierania się, nosi lniany płaszcz czy suknię i kapelusz, a nawet parasolkę. Przewodzi modzie warszawskiej i narzuca jej gusta P. Ministrowa Beckowa, wielki mistrz propagandy lniarskiej" – informuje „Gazeta Podhalańska" w 1934 roku.

Lniarska propaganda rozkwita pod koniec lat dwudziestych i ma uratować wieś przed biedą. Pomysłodawca tego konceptu, generał Lucjan Żeligowski, najpierw słynie z tego, że w 1920 roku zdobył Wilno, a po dziesięciu latach z tego, że od stóp do głów ubiera się w lniane ubrania i jest autorem hasła: „Ziemia nasza powinna wyżywić i odziać". Przekonuje, że dzięki uprawie lnu przez chłopów znikną „bezrobocie, odłogi i nędza", a także powstanie „drugi Manchester, który całej Polsce dałby bieliznę i ubranie". Albo przynajmniej onuce dla wojska.

Do akcji włącza się między innymi „Młoda Polka", czasopismo Związku Młodzieży Katolickiej, zachęcając do uprawy lnu w ten sposób: „A druhny, które chcą wyjść za mąż, macie bieliznę przygotowaną? Jeżeli

nie, to siejcie len, a łatwo zdobędziecie bieliznę. Chociaż ubogie, ale z bielizny, nabytej własną pracą, każda druhna wieśniaczka powinna być dumna. Jak to często w domu młodych małżonków – wiem to z opowiadania – powstają kłótnie z tego powodu. Mąż wymawia żonie, że ją odział, «bo koszuli nie miała». Nas druhen takie zarzuty nie powinny spotkać. Gdybyśmy wszyscy przyłożyli pracowitą rękę, z pewnością nie byłoby takiego kryzysu" – pisze w liście do gazety druhna Z. Zaleska z Goręczyna.



W Polsce międzywojennej najwięcej pól kwitnącego na niebiesko lnu można zauważyą na Wileł szczyźnie, gdzie nazywa się go białym węglem, ale gospodynie uprawiają go także na Mazowszu i w Małopolsce. Na zdjęciu kobiety suszą wyprane motki lnianej przędzy. Wieś Stare Bystre, rok 1930

Kampania lniarska prowadzona intensywnie i za niemałe pieniądze skutkuje powołaniem czasopisma „Wiadomości Lniarskie", konkursami i dużą wystawą. „Obecnie kobieta polska swoje grzechy bawełniane naprawia i powraca z miną pięknej grzesznicy do swojego dobrego i pięknego lnu" – twierdzi „Gazeta Podhalańska". Także generał

Żeligowski, już na emeryturze, w swoim gospodarstwie Andrzejów na Wileńszczyźnie uprawia len, ale wkrótce pozbywa się złudzeń. Len nie przebije bawełny i chłopów nie uratuje.

Jednak dla wielu kobiet pozyskanie tkaniny z własnoręcznie wysianego lnu to już jakaś możliwość, by mniej wydawać na kramne[31].

W Polsce międzywojennej najwięcej pól kwitnącego na niebiesko lnu można zauważyć na Wileńszczyźnie, gdzie nazywa się go białym węglem, ale gospodynie uprawiają go także na Mazowszu i w Małopolsce.



Podczas kryzysu lat trzydziestych wiele kobiet, zwłaszcza w centralnej i wschodniej Polsce, nawet jeśli dotąd tego nie robiły, siada do krosna, a która go nie ma, pożycza od sąsiadki. Na zdjęciu kobiety przędzące na kołowrotkach

Opowieść, „jak to ze lnem było”, zwykle trwa bardzo długo, bo też czynności wokół wytwarzania tkaniny jest mnóstwo i jeśli ktoś wie, na czym polega uprawa lnu, od razu zastrzega, że strasznie z tym dużo zachodu.

– Oj, pani, najpierw wysiać len, potem pleć, rwać, w pędzelki wiązać i stawiać w kopczyki, a jak wyschnie, omłócić na klepisku, moczyć w wodzie, rozkładać, suszyć, łamać kijami, najlepiej przy ognisku, a potem czesać. Jak zostawały kłaki, to się z nich robiło worki. A potem się przędło na krosnach i z płótna szyło się koszule, kalesony, a lepsze panie to obszywały żaboty, robiły kapy, chodniki – opowiada Janina Krasucka z Mazowsza, której babcia jako lepsza pani robiła i kapy, i chodniki. – Ona całe życie pracowała, wszędzie ręce miała – zapewnia kobieta i po chwili dodaje, że według jej ojca ona się właśnie w tę babcię Agnieszkę wdała. I pewnie tak jest, bo tuż przed naszą rozmową ta drobniutka dziewięćdziesięciolatka wróciła z pracy w ogrodzie warzywnym przed domem.

Podczas kryzysu lat trzydziestych wiele kobiet, zwłaszcza w centralnej i wschodniej Polsce, nawet jeśli dotąd tego nie robiły, zimowymi wieczorami siada do krosna, a która nie ma, pożycza od sąsiadki. Antonina Michałek z Szastarki na Lubelszczyźnie wychowuje trzech synów i prowadzi z mężem i matką sześciomorgowe gospodarstwo. Uprawiają żyto, pszenicę, hodują dwie krowy, trzy świnie, trzy gęsi i dwadzieścia kur. Mieszkają w drewnianym domu w niezłym stanie. To gospodyni dbająca o swoje otoczenie, w oknach jej domu wiszą firanki, a ona przed dojeniem myje krowom wymiona. Wszystko to wiemy dzięki ankiecie, którą wypełniła w 1932 roku[32]. Przedstawia w niej, jak sobie radzi z kryzysem. Oto na 150 metrach kwadratowych wysiała len, z którego otrzymała dziewięć metrów przędzy i tyle samo włókna, a także dwadzieścia osiem metrów płótna. Wartość tego plonu obliczyła na 63 złote, a to w jej budżecie naprawdę znacząca kwota, bo rodzina płaci 20 złotych podatku (rocznie) i 43 złote kredytu z odsetkami. Z tego powodu przez cały rok kupili następujące produkty spożywcze:

cukier za 23 złote (18 kg)
sól za 17 złotych (78 kg)
cukierki za 1 złoty (10 sztuk)
herbatę za 5 złotych

przyprawy kuchenne za 4,50 złotych
kawę za 2,40 złotych
pieczywo pszenne za 2,40 złotych
15 sztuk śledzi za 2,25 złotych
pieczywo żytnie za 40 groszy

To wszystko.

W wielu rodzinach na liście najpotrzebniejszych produktów znajduje się jeszcze tytoń dla męża i żony go kupują, zgrzytając zębami. Ale spokój w domu jest najważniejszy, bo pracy mnóstwo.



Jesienią potrzebne są kopaczki. Wykopki ziemniaków trwają około trzech tygodni, więc można zarobią trochę grosza. Rok 1931

Kobieta wiejska nie marnuje czasu, najchętniej robiłaby dwie rzeczy naraz, a już z pewnością nie usiądzie sobie bezczynnie, nawet gdyby mogła. Jeśli jest gospodynią, co się zowie, to coś sobie zaraz znajdzie, żeby nie próżnować. Ponieważ odpoczynek, jest o tym przekonana, to nic

innego jak lenistwo. A gdzie odrobina przyjemności? Jest i ona, choć często się łączy z pracą albo przynajmniej z domem. „Mieszkanie przyozdabiam kwiatami i haftami, w czym się bardzo kocham; najwięcej wyszywam w zimowe wieczory, gdy mąż czyta głośno książki historyczne i religijne, a wszyscy domownicy i sąsiedzi chętnie słuchają. Przeczytaliśmy w ciągu zimy 50 książek. Prenumeruję gazetę «Dobra Gospodyni»" – pisze trzydziestodwuletnia żona małorolnego gospodarza spod Kutna, która skończyła trzy klasy szkoły powszechnej.

Marian S., syn Katarzyny Biernacik z Zubrzy pod Lwowem, mówi o swojej matce urodzonej w 1903 roku, że na jej życiu zaciążyły „trzy razy K"[33]: *Kinder*, *Küche*, *Kirche*, czyli dzieci, kuchnia i kościół w wersji wioskowej.

– Moja mama swój los znosiła ze łzą pod powieką, ale z twardą pracowitością, bo wszystko było na jej głowie, choć dyżurnym autorytetem był apodyktyczny i zarozumiały ojciec – do rany przyłóż wtedy, kiedy był na gazie – wspomina syn Katarzyny Biernacik. – Harówka na co dzień i od święta. W święta jeszcze intensywniejsza, bo chudoba nie ma wolnego, a rodzina ma świąteczne oczekiwania. Oczywiście, harówka ma i milsze momenty: coś na targu udało się drożej sprzedać; odkryło się tajne gniazdo, a w nim nadprogramowe kurze jaja; kurczęta ładnie się chowają; przy darciu pierza pośpiewało się z sąsiadkami; krasula się ocieliła bez kłopotu, co za radość udoić cały skopek; ziemniaki dobrze przetrwały zimę w kopcu; pranie w balii wyjątkowo szybko poszło. Generalnie, praca niewolnicza i nieustająca, bez względu na stan zdrowia, pogodę, perypetie rodzinne i sąsiedzkie, klimaty społeczno-polityczne – wspomina.

Choć „z łzą pod powieką", zdradzała też Katarzyna Biernacik językowy talent, który być może rozkwitłby w innych warunkach. Na razie w codzienności swym słowotwórczym darem rozbawia rodzinę, pozostawiając po sobie minisłowniczek.

– Zachowały się w naszej pamięci takie na przykład frazy: stary didku (na określenie męża), diabli nogi (kalesony tegoż), suni jura (kłamie, zmyśla), blund mie si czepiuł (zgubiłam się), obtryzmany (obszarpany, niechlujny), łandyczyć si (włóczyć się, chodzić po chałupach), nu i co tak nykasz (czego szukasz, co się gapisz) – wspomina Marian S.

Po 1945 roku, już na Dolnym Śląsku, również, jak mówi, matka konsekwentnie trzymać się będzie swoistego poczucia przyzwoitości opartego o kościelno-katolicki ideogram.

– Raz mnie uratowała przed zgorszeniem, kiedy to – chwytając mnie za rękę, ze słowami „idziemy do domu, chłopczysku" – opluła sołtysowy telewizor, jedyny wtedy we wsi, albowiem na jego ekranie Jeremi Przybora odczytywał list i zgodnie z jego treścią obcałowywał „kolejne wdzięki" Kaliny Jędrusik – wspomina syn. – Ale nigdy nie moralizowała, w patriarchalnej rodzinie od rygorów był ojciec. Mama nie nauczała, ale reagowała, na przykład pacnięciem ścierką. Ojcu miała do wypomnienia górę krzywd, żalów i pretensji, ale tylko popłakiwała po kątach albo rzuciła gdzieś na boku „a to kurwa nagła", przed dziećmi z tym się nie kryła.

Andrzej Kotyczka, emerytowany inżynier, górnik, do swojej śląskiej babci mówił: starka.

– Jak to u nas, na Śląsku. Mama mojej mamy to była starka, a jej ojciec – starzyk. Ale już mama ojca to była oma, opcja bardziej niemiecka – wyjaśnia wnuk.

Opcję polską, czyli starkę Marię, widział wyłącznie przy robocie.

– Wstawała o świcie, długo przed starzykiem. Choćby ją coś bolało, nie było wyjścia. Świnie kwiczały, krowy buczały. Każdego dnia to samo, krowy wydoić, jedzenie dać krowie, kurom, koniowi, gnój wyrzucić, w pole pójść. W sobotę wielkie pranie, wszystko ręcznie.



Starka Maria i starzyk Franciszek Kwapulił scy, między 1930 a 1935 rokiem

Starka Maria i starzyk Francek z malowniczej, otoczonej lasami wsi Królówka należeli do gospodarzy zamożnych. Ich dom, jak wiele na Śląsku, porządny i murowany, miał dwie izby i osobno kuchnię. Ale i domowników sporo: siedem córek i dwóch synów.

– Dzieci były potrzebne do pracy, dlatego ich tak dużo – wyjaśnia Andrzej Kotyczka. I faktycznie, mówi, przydały się, wszystkie pracowały, zanim wyszły z domu. Start dziewczyny miały dobry, bo brat starzyka

Francka został księdzem i objął parafię Ornontowice, a one po kolei prowadziły mu gospodarstwo.

Starka Maria umiała pisać i czytać, na śląskich wsiach właściwie nie było analfabetyzmu, Niemcy egzekwowali obowiązek szkolny kategorycznie.

– Ale bardzo mało mówiła. Nie lubiła. Odzywała się tylko, jak musiała. Była cichą, posłuszną służką – zapamiętał wnuk.

Dodaje, że choć nie przypomina sobie żadnych rozmów ze starką, jest przekonany, że łączyła ich prawdziwa miłość. – Czułem to. Na przykład mówiła: „Andrzejku, weź sobie chleba". A ja odpowiadałem: „Nie, starko, ja poczekam, aż będzie świeży", bo lubiłem gorący. I starka od razu rozpalała piec pod piekarokiem i piekła mi chleb, a potem dawała maselnicę ze śmietaną i mówiła: „dziabaj, dziabaj", i ja dziabałem, aż się polepią grudki masła. Świeży chleb z masłem całe życie mi się ze starką kojarzy.

Starka Maria umarła w latach siedemdziesiątych, pracując niemal do końca. – Dopiero jak starzyk umarł, zaczęła usychać. Przez ostatnie pół roku usychała, usychała, aż uschła całkiem. I wie pani, że nikt nie chciał po niej gospodarstwa przejąć?

Kobiety po doświadczeniach pierwszej wojny światowej, gdy wiele z nich w gospodarstwach zastępowało mężczyzn, wiedzą, że potrafią poradzić sobie same, jednocześnie zaczynają dostrzegać, że mężowie uchylają się od obowiązków ze świadomością, że one, jako bardziej odpowiedzialne, wezmą na siebie ciężar najgorszych prac. I tak właśnie jest, one się zawsze poczuwają, a jeśli czegoś nie potrafią, to się nauczą. Praca kobiet wiejskich – w przeciwieństwie do obowiązków domowych kobiet z klas wyższych, które często zatrudniają służbę – polega na wypełnianiu niekiedy aż sześciu ról: kucharki, wyrobnicy w polu, sprzątaczki, niańki, czasem szwaczki, a czasem nauczycielki. Dlatego tak zazdroszczą kobietom z miasta, ale mogą się pocieszać, że na wsi wszystkie wokoło żyją podobnie, muszą harować, nikt ich nie wyręczy. „Swoje dzieci wychowywałam przeważnie sama. Mąż był zajęty

gospodarką, dzieci go tam nie bardzo obchodziły, zresztą jak każdego ojca" – pisze Maria Kozłowa z Machowa. Nie znaczy to, że się nie skarżą i że nie mają poczucia krzywdy. „Ja musiałam wszystko robić. I sieczkę rżnęłam, i obrok[34], i drzewo musiałam sobie urąbać, a nawet i żyta powirzchować i zanieść na wiatrak na plecach czy ospy dla świń. A mąż chodził, od jednego pożyczał, drugiemu oddawał. Tak się wpił do tego chodzenia (po chałupach), że i 2 dni go nie było. A ja? Cały dzień mi się zeszło koło obrządku jak zimową porą, a wieczór siedziałam i przędłam" – pisze autorka jednego z pamiętników.

Jej doświadczenia z mężem, który bardziej markuje pracę, niż rzeczywiście się jej oddaje, nie były niczym niezwykłym. „Pracy w gospodarstwie nie przekraczającym 3 ha, dla przeciętnej rodziny składającej się z 8 do 10 osób zdolnych do pracy, jest najwyżej na 3 miesiące rocznie. Pracę koło domu wykonują kobiety, a mężczyźni doglądają tylko marnego konia (dającego mizerne zarobki, a zjadającego połowę produkcji gospodarstwa), poza tym leżą na przypieckach, narzekając na ciężkie czasy i politykując" – twierdzi Jur Leżeński, po przeanalizowaniu ankiet młodzieży wiejskiej.

Ciężka praca kobiet najczęściej nie jest doceniana, chociaż wymaga wielu umiejętności, wręcz wiedzy fachowej. Zakładanie ogrodu, szycie, tkanie, zajmowanie się zwierzętami – trzeba się tego wszystkiego nauczyć. I wiele tych czynności jest nieprzyjemnych. Skubanie gęsi należy do zajęć bardzo przykrych. Kobiety kładą sobie na kolana żywą gęś[35], która cierpi i kwili na głos. „Każda garść wyrywanych piór wstrząsała boleśnie skrępowanym i trzymanym między kolanami mojej Mamy ptakiem, każdej wyrywanej garści piór towarzyszył jej ostry krzyk. Na szczęście w naszym domu nie wyrywano dużych piór lotnych ze skrzydeł i ogona, a tylko puch i drobniejsze piórka, osadzone na brzuchu i bokach gęsi" – wspomina urodzony w 1925 roku Mieczysław Chorąży, lekarz onkolog.

Trzeba nauczyć się znosić cierpienie zwierząt, konieczne, na które nic poradzić nie można. W domu Chorążych w podlaskiej Janówce, w wigilię

Bożego Narodzenia, gdy rodzina dzieliła się opłatkiem, ojciec zanosił opłatek także krowom. „Ta jedność ludzi i zwierząt była w czasach mego dzieciństwa charakterystyczna dla wsi" – pisze Chorąży. Wspomina też, jak trudny dla całej rodziny był moment oddzielania od krowy cielaka szykowanego na sprzedaż. „Musiałem bardzo cierpieć, gdy z obory dolatywał żałosny głos krowy przywołującej swoje dziecko, już skrępowane i wrzucone na wóz, pomekujące tylko żałośnie i wyciągające szyję z nadzieją, że może jeszcze ujrzy matkę. Moja matka zawsze głęboko przeżywała sprzedaż cielęcia, obejmowała je za szyję i popłakiwała".

Z danych Jana Curzytka wynika, że kobieta na wsi pracuje co najmniej pięćset godzin rocznie, czyli ponad 15 procent dłużej niż mężczyzna. Podczas gdy ona potrafi zastąpić mężczyznę przy sianiu, bronowaniu, zwózce, mężczyzna nie wyręcza żony w jej pracy. „Nie jest do niej uzdolniony i chętny – pisze Antoszka w broszurze *Przy kądzieli*. – Najlepiej ocenić się daje praca gospodyni, gdy jej zabraknie. Czy to w czasie dłuższej choroby, czy śmierci. Wtedy na każdym kroku odczuwa się jej brak: nie ma kto ugotować, umyć, obszyć i dojrzeć dzieci, przygotować strawę dla krów, trzody i drobiu, wydoić krowy, opleć ogród, zwiać zboże, obrobić len i utkać płótno. Więc biedny wdowiec poradzić nie może sobie inaczej jak ożenkiem, aby sprowadzić kobietę, która ład we wszystkim zaprowadzi".

Córka Stasi z Bieżenia wspomina, że jej mocnego zdrowia ojciec nie potrafił zrozumieć, gdy ktoś z rodziny osłabł lub zachorował i nie miał siły pracować. „Mamusia i siostra Aniela musiały wszystkie ciężkie roboty robić razem z nim, ale on w ich robotach w ogóle im nie pomagał: w noszeniu wody, ciężkich garów z ziemniakami do karmienia świń, cieląt, kur, nie mówiąc już o praniu, sprzątaniu, gotowaniu, pasieniu krów. Spać chodziliśmy różnie, na przykład tato jak tylko «opatrzył», to znaczy pozadawał paszy krowom i koniowi, to szybciutko się mył i kładł w pokoju spać. Resztę musiała robić mamusia, koło świń, kur, owiec, kozy i dopiero wieczorem miała czas dla siebie i na swoje roboty; szyła,

przędła, czytała, a najpierw myła nas i kładła spać” – pisze we wspomnieniu jej córka, Lucyna Bogus.

A wnuczka Mariola dodaje: – Babcia jako pierwsza założyła w okolicy Truskolas ogródek warzywny, w którym uprawiała różne nieznane do tej pory na wsi warzywa. Sprzedawała też nasiona i sadzonki warzyw i owoców. Umiała uprząść nici z lnu na kołowrotku, później na krosnach utkać płótno i uszyć koszule i bieliznę. Z uprzędzionej na kołowrotku przędzy z wełny owczej (ze swoich owiec) robiła swetry, pończochy, skarpety, czapki, szaliki, rękawice. Była dość dobrze wykształcona, jak na tamte czasy; chodziła siedem lat do szkoły, nawet umiała kaligraficznie pisać. Całe życie czytała książki, jak tylko czas jej na to pozwalał, zazwyczaj w nocy, gdy już wszystko było „obrobione”. Radziła sobie we wszystkich życiowych sprawach i nie skarżyła się. Była dobrą, mądrą, pogodną, życzliwą innym kobietą. Jej mąż dopiero przed swoją śmiercią ją docenił, gdy był już ciężko chory i babcia Stasia wszystko koło niego robiła. Powiedział jej: „Oj, Stasia, jaka ty byłaś i jesteś dobra”.

> Myślisz ty córuniu że za chłopem dobrze
> Za chłopem trza robią aź się skóra podrze.[36]

Anna Szopowa wyszła za mąż z wyboru. Obie rodziny, jej i męża, radziły sobie na tyle dobrze, że i Anna, i jej mąż Janek ukończyli szkołę rolniczą. Po ślubie zamieszkali w domu teścia w małopolskiej Zagórowej i Anna cierpliwie znosiła to, że podczas gdy ona nie ma chwili wytchnienia i wciąż musi się spieszyć, mężczyźni w domu siedzą, uważając, że już są po robocie. „Ja także byłam zmęczona i głodna, dzieci były głodne i to je trzeba było nakarmić w pierwszej kolejności. Ich to nie obchodziło, a tylko to, że oni są głodni i muszą się najeść. Po jedzeniu teść położył się w swoim łóżku, Janek usiadł na tapczanie zrobionym domowym sposobem, wyciągnął nogi, książkę położył na kolanach i odpoczywał. Ja nie miałam czasu usiąść do jedzenia. Takich dni było

bardzo dużo. Nieraz prosiłam, aby pomógł mi coś zrobić. Odpowiadał, że to jest babska robota”.



Anna Szopowa z mężem Janem

„Babska robota” to w przekonaniu mężczyzn wszystkie prace domowe, wokół inwentarza, a także zajmowanie się dziećmi.

– Moja matka po prostu ojcu usługiwała i jeszcze się bała, że coś zrobi nie po jego myśli – opowiada Róża Somla-Dembowska, której dzieciństwo przypadło na końcówkę lat czterdziestych. – Ojciec codziennie rano odwoził mleko do mleczarni. Ona stała w drzwiach, by nie przeoczyć momentu, gdy jego fura wyjedzie zza zakrętu drogi. Wtedy musiała natychmiast nastawiać zupę mleczną, bo domagał się, żeby była gorąca. Jeśli nie zauważyła, że fura nadjeżdża, i chciała nastawić garnek, dopiero kiedy ojciec wchodził do domu, już było za późno. Odwracał się na pięcie i szedł w pole. Bez jedzenia i bez słowa. A matka cierpiała. Myśmy z ojcem prawie nie rozmawiali. „Od dzieci” była matka. Ojciec monologował i nikt nie odważyłby się z nim dyskutować. Gdy wracał po pracy do domu, zasiadał przy dużym stole, a matka podawała mu obiad. Przy zupie, najczęściej gęstej, z wkładką mięsną, siorbał. Zwykle coś barwnie opowiadał. Myśmy z bratem jedli obok na taboretach, nie śmielibyśmy jeść przy stole obok ojca.

Elżbieta Klajn, która codziennie sprawdza dzieciom ubrania i sama je szyje, wszystko to robi po pracy. W jej przypadku, jak większości kobiet w małych gospodarstwach, polega ona na zajmowaniu się domem, dziećmi, żywym inwentarzem, ogrodem, sprzedażą nabiału na targu – ale to dopiero pierwsza część, tak zwana babska robota. Elżbieta Klajn pracuje też w polu – sadzi i kopie ziemniaki, wyrywa chwasty, zbiera kamienie, grabi, wiąże snopy, pomaga przy żniwach. To już nie są kobiece prace, ale kobiety je wykonują. One nie dzielą obowiązków na męskie i babskie, a nawet jeśli, robią, co trzeba zrobić. „W oborze utrzymanie porządku należy w teorii do męża lub syna, są oni jednak tak zajęci pracą od świtu do nocy, że pod bydło sama szykuję słomę i ścielę, ściany także trzy razy w roku bielę wapnem, sama wyrzucam gnój, który syn wywozi w pole” – pisze Elżbieta Klajn.



Marianna Gorzała

Praca, którą wykonuje, jest tytaniczna, ale nie skarży się, ponieważ ma poczucie, że każdy z nich daje z siebie wszystko i nawzajem sobie pomagają. Mimo że gospodarstwo dziewięcioosobowej rodziny Klajnów jest bardzo małe – trzy hektary – zbudowali trzyizbowy dom, co wprawdzie długo trwało, bo stawiali dom we trójkę – ona, mąż i dziecko, robiąc sami pustaki, ale do tego wykształcili dzieci, a dwie najstarsze

córki zostały nauczycielkami. Nie byłoby to wszystko możliwe, gdyby nie dyscyplina całej rodziny, a może, co jeszcze ważniejsze, zgodna współpraca i wiara w powodzenie zamierzeń. Kiedy budowali dom, dwoma najmłodszymi córkami opiekowały się ich starsze córki, a jeden z synów gotował rodzicom obiady.

Zapracowana Elżbieta Klajn znajduje ponadto czas na czytanie, uprawia też ogród warzywny, głównie kalafiory, i owocowy, który obsadziła drzewami wiśniowymi, jabłkowymi i truskawkami, ale największą radość przynosi jej osiemdziesięciometrowy ogródek kwiatowy, w którym kwitną dalie, bratki, lewkonie i krokusy.

Z jakiego źródła Elżbieta Klajn czerpie swoje nadzwyczajne siły? Co sprawia, że jej działania okazują się konstruktywne i przynoszące zadowolenie pomimo znoju i biedy? Czy kluczem będą tu współdziałanie rodziny i ogromna pracowitość? Czy decydujące okazało się zgodne i harmonijne małżeństwo? Krewny Elżbiety Klajn, Michał Rozenberg, ma własną teorię na temat tego, co ukształtowało jej postawę życiową. Według niego kluczowe znaczenie mogły mieć jej pochodzenie i wynikająca z tego tradycja ciężkiej pracy i dobrej organizacji. Rodzina Elżbiety, z domu Szymaczek, jak wyjaśnia, pochodziła z Czech. „Przodkowie Elżbiety pojawili się w Polsce w połowie XIX w. Paweł Szymaczek, ojciec Elżbiety, urodził się już w Rędzinach koło Częstochowy w 1847, a jego starszy brat August w 1844 jeszcze na Dolnym Śląsku. Rodzina ta była niezwykle utalentowana, syn i wnuk Augusta byli cenionymi rzeźbiarzami, których prace ozdabiają kościoły w Rędzinach i Częstochowie”. Z kolei rodzina Klajnów to potomkowie kolonistów przybyłych do Polski z Moraw i Kotliny Kłodzkiej w 1828 roku. „Wśród potomków Antoniego Klajna i Elżbiety z Szymaczków jest wielu dobrze wykształconych ludzi, nauczycieli, ekonomistów, inżynierów, lekarzy medycyny, profesor na Politechnice Wrocławskiej. Antoni i Elżbieta, a także inni potomkowie kolonistów, wyróżniali się na tle rdzennej ludności, były to osoby niezwykle zaradne, które dążyły do

poprawy swojego życia. Inwestowały w poprawę swojego bytu, czego efekty procentowały w następnych pokoleniach”.



Elżbieta Klajn z rodziną

Historia dziewczyny spod Wadowic również nie należy do typowych. Ta młoda kobieta, która niestety swojego wieku nie podaje, została z niczym, gdy gospodarstwo jej rodziców po ich śmierci trafiło do jej brata, a bratowa nie znalazła dla niej miejsca w domu.

„Dla mnie – pisze – zaczął się bardzo przykry okres w życiu, gdyż jako uboga dziewczyna nie miałam prawie żadnych widoków do dobrego zamążpójścia”. Wiedziała jednak, że w tej samej wsi mieszka samotny sześćdziesięcioletni wdowiec, którego bliscy umarli na gruźlicę. Jego gospodarstwo było wprawdzie kompletnie zaniedbane, ale dwa hektary ziemi całkiem urodzajne. „Wyszłam za tego wdowca, choć uboga, ale zdrowa i chętna do pracy. Prawie cała wieś była zdania, żem zrobiła czyste szaleństwo, przeważało ogólne mniemanie, że ręce urobię, a nie

dam rady tej zrujnowanej gospodarce. Do domu męża przyszłam 26 lutego 1930 roku, zastałam u niego jedną krowę, trzy kury, dwa króliki, wóz, pług, trzy brony oraz 500 złotych długu, wniosłam 1 tysiąc złotych i krowę, pościel i naczynia kuchenne".

Od ślubu pracuje właściwie sama, mąż nie ma siły, tylko w cięższych pracach pomagają jej wynajęci robotnicy. Ponadto hoduje dwie krowy i dwie świnie, uprawia warzywa, len, z którego rocznie otrzymuje trzydzieści metrów płótna, i wychowuje córkę. Jej relacja pobrzmiewa godną podziwu energią, można sobie wyobrazić tę dziewczynę jako wesołą, rumianą i silną albo co najmniej zadowoloną z życia i spełnioną, a taki obraz prawie nigdy się nie wyświetla podczas lektury relacji wiejskich gospodyń z tego czasu. Tutaj spotykamy kobietę, która nie tylko się zmaga z życiem, ale też szuka w nim przyjemności, ma poczucie, że wiele od niej zależy, i stara się te możliwości wykorzystać, jak potrafi. Kiedy pojawiła się w domu męża, wzięła się do roboty, przebudowali dom, z dwóch izb powstały trzy o dużych oknach, zrobiła heblowaną podłogę, w stajni wymurowali okno i dobudowali ganek. Założyła też sad, a przed samym domem posadziła bez i zrobiła kwiatowe grządki z czterema piennymi różami szczepionymi na dzikiej róży. „Mam wszystko na czas zrobione w polu, w domu i koło domu. Chodzę czysto ubrana, mam jeszcze czas czytać książki i gazety" – oświadcza. To właśnie lektury pomogły jej dobrze gospodarować, a nawyk czytania zawdzięcza ojcu, o którym pisze, że był człowiekiem bardzo rozumnym i wielkim społecznikiem. „I odkąd nauczyłam się czytać, zawsze starannie dobierał mi książki. A raz pobudzona chęć wiedzy i nauki latami wzrastała i nieraz w ciężkich chwilach błogosławię za to pamięć mego ojca" – pisze. Najbardziej zadowolona jest wtedy, gdy przychodzą do niej sąsiadki i mówią: „Ale masz tu ładnie!", a ona odpowiada: „Też możecie tak mieć!".

Ta kobieta wyznacza sobie cele, wyszła za mąż bez miłości, ale sama o tym zdecydowała, nikt jej do małżeństwa nie zmuszał. W ojcu znalazła przewodnika i źródło wsparcia, a mąż dał jej przestrzeń, by

gospodarowała według swojego uznania, czasem tylko kwestionując zbyt nowoczesne metody, na przykład stosowanie sztucznych nawozów, ale i do tego udało jej się go przekonać.

Jej głos, radosny i mocny, wydaje się głosem kobiety wewnętrznie wolnej. Wybrała sobie swój los, to bardzo wiele.

Wieczorami, zwłaszcza zimą, gdy roboty mniej, kobiety cieszą się swoimi małymi przyjemnościami. Zaglądają do chałupy „uczonego" sąsiada, który czyta zebranym przy lampie naftowej gazety lub książkę. Albo tam, gdzie odbywają się prządki i gdzie wpadają czasem też młodzi chłopcy, i zwykle jest dosyć wesoło. Czasem ktoś gra na akordeonie lub na skrzypcach, a reszta tańczy.

Dobrze też spotkać się z innymi kobietami na pierzokach. Siedzą razem, drąc pierze, i opowiadają czasem straszne, a czasem smutne historie. Kiedy indziej po prostu śpiewają. W podkarpackiej Grzęsce wieczorami otwierają szeroko okna, bo słychać z oddali śpiew. To chór kobiet i mężczyzn przechodzi przez wieś. „Nie był to żaden zespół i przez nikogo nie był prowadzony. Po prostu młodzież tak męska jak i żeńska zbierała się wieczorami śpiewając bardzo pięknie, różne ogólnie znane pieśni ludowe – wspomina Zofia Pasterska. – A ponieważ kilkoro z nich miało piękne głosy, więc śpiewy te pięknie wypadały i rozweselały ludzi w tamtych niewesołych czasach. Nieraz do późnej nocy siedzieli w domach przy otwartych oknach słuchając tych śpiewów".

W latach trzydziestych kobiety wiejskie i ich problemy zaczynają być dostrzegane. Prasa ludowa, dotąd skierowana do mężczyzn, coraz częściej udostępnia swoje łamy kobietom. Przede wszystkim są to przeznaczone dla nich dodatki, ale i w ogólnodostępnych tytułach pojawiają się publikacje, w których poruszany jest temat nierównego podziału pracy, zwłaszcza że coraz więcej kobiet jeździ na saksy i wymienia się doświadczeniami. O ile panie miejskie zapatrzone są w Amerykę i zazdroszczą tamtejszym gospodyniom kuchenek, sokowników i odkurzaczy, wieś kieruje swój podziw w stronę Danii

i Czechosłowacji. Efektywność rolnictwa, dobra organizacja pracy, ale także odciążenie kobiet budzą szczerą zazdrość.

„W duńskim domu nie znajdzie się pieca do pieczenia chleba, ani wirówki[37], ni masielnicy, bo to zastąpiła całkowicie spółdzielcza piekarnia i mleczarnia" – pisze Helena Bieńkowska z saksów w Danii i dzieli się rozmaitymi obserwacjami w dodatku dla kobiet gazety „Chłopskie Życie Gospodarcze": „Idziemy w pole do żniw, gospodarz na samozwiązałce, a trzech jego synów i ja ustawiamy snopki. Żona gospodarza i służąca pozostały w domu. Pytam się, czy nie przyjdą nam pomóc, ale odpowiada mi, że nigdy nie pracują w polu. Jakże by dom wyglądał, powiada, gdyby moja żona tu z nami pracowała! A kto posprząta, jeść ugotuje, dzieci przypilnuje, opierze, obszyje całą rodzinę, o warzywa i kwiaty koło domu zadba? No i krowy wydoi, inwentarz obrządzi – dodaję. Ale gdzież tam. To także za dawnych czasów kobieta robiła. Moja matka – mówi – już też krów nie doiła, tylko ojciec, albo któryś z synów".

Zaskoczeniu nie ma końca: duńscy mężczyźni pomagają żonom nawet przy kurach, podczas gdy w Polsce to wyłącznie kobieca działka. I jeszcze w niedzielę duńscy chłopi po posiłkach pomagają kobietom zmywać statki, czyli naczynia. To już naprawdę szok.

Nie da się dłużej udawać, że się nie widzi zaharowanej wiejskiej kobiety i bezwzględności mężczyzn. I coraz częściej także mężczyźni zaczynają publicznie mówić o tym, że rozróżnienie na prace męskie i kobiece prowadzi do niesprawiedliwego podziału obowiązków. Głos zabierają głównie działacze ludowi, postępowcy.

Jeden z nich, Piotr Świetlik, w 1939 roku opisuje, jak wygląda poranek rodziny wiejskiej.

„Zawsze pierwsza wstaje żona-matka bo trza nakarmić i wydoić krowy, trza dać świniom chlać, tu znów kury i gęsi dopominają się o swoje, a często i koniom trza coś rzucić za drabinę, bo przecież czeka ich robota w polu. Już prawie zdyszana wpada do kuchni, by ziemniaków nastrugać, wody nanosić, drzewa narąbać i zapalić w piecu, bo przecież

trzeba zrobić śniadanie, a w czas, by uniknąć kłopotu z tymi, którzy w tej chwili jeszcze śpią. Po takim rannym wysiłku, który został dokonany – tylko przez żonę – matkę mężczyzna («chłop») przebudził się, zapalił papierosa i długo zastanawiał się nad tym, czy to nie wina jego żony, że jego ubranie i obuwie, które przed spaniem nie ułożył w jednym miejscu – nie jest mu «na podorędziu»".

Nie istnieją „babskie roboty" – dowodzi Świetlik i bije się w piersi męskie: „to jest nasz zwykły egoizm chłopski (mężczyzn), każdej roboty w gospodarstwie i domu musimy się nauczyć, ponieważ tego wymaga prawdziwie pojmowana demokracja". Na szczęście nie chodzi mu tylko o demokrację. „Przestańmy się wstydzić «babskiej roboty» – wzywa – a wtedy nasze kobiety poświęciłyby na czytanie dobrych książek i gazet więcej czasu. Na pewno, prawie wszystkie kobiety rozumiałyby się na polityce ludowej i państwowej, pracowałyby czynnie w spółdzielniach, zakładały dziecińce, a w całej wsi i Polsce zmieniałoby się na lepsze. Pod wpływem takich kobiet świat wiejski zmieniłby się nie do doznania. Takie rzeczy można zaprowadzić przez sprawiedliwy podział pracy w domu i w gospodarstwie. Zacznijmy o tym mówić!" – nawołuje.

Józef Ładziński, także działacz Wici[38], wzywa z kolei: „Niech mężczyźni zajmą się kobiecą pracą; kobietę trza wyręczyć i pracować wspólnie. Nie tak, jak jest teraz, że mężczyzna robi to, a ty masz robić to, czyli praca jest podzielona. Jedno pracuje za dużo, a drugie za mało. Tego być nie powinno w rodzinach".

I w ten oto sposób rozpoczynają pożyteczną dyskusję, która jednak nigdy się nie skończyła.

ROZDZIAŁ 9

FUSIER, PACIÓRKA, PRZECIERAKI

Stare kury bywają niekiedy twarde i łykowate, chcąc by skruszały, trzeba im daą przed zabiciem małą łyżeczkę wódki. Po kwadransie zabią i powiesią w lecie na 2 dni, a w zimie na 4–6.

„Przodownica” 1931

Każda wiejska rodzina hoduje kury, ale wiele z nich ani kur, ani jajek nie je. Wieś żywi miasto, a sama nie dojada.

Pomysły i kulinarne sztuczki są mile widziane, właśnie mija drugi rok kryzysu i trzeba umieć wykorzystać wszystko, nawet to, co twarde i łykowate. Ceny produktów rolnych wciąż dramatycznie spadają, a wszystko inne drożeje, chłopi jako producenci żywności, poza najbogatszymi, nie jedzą zwierząt, które hodują. Chyba że ocaleje stara kura.

Lekarze załamują ręce, diagnozując krzywicę u dzieci, których rodzice mają krowę, ale starają się sprzedać każdą kroplę mleka, a o mięsie nawet nie marzą. Marian Cześnik alarmuje w 1936 roku: „Bardziej uświadomione jednostki, czy też organizacje, podjąć muszą wysiłek, by nakłaniać ludność wiejską do wzmożenia konsumpcji produktów własnych. Nie jeden tylko barszcz, kartofle, kaszę i mleko spod wirówki, ale i pełnowartościowe pod względem odżywczym, produkty winna wieś w interesie własnym konsumować, a temsamem podnieść w związku z małą podażą cenę wymienionych artykułów”.

Nic z tego, kobiety wyrabiają sery, ale pakują je ładnie i zanoszą na targ. Twaróg to przysmak podawany na chłopskich weselach. Na codziennych stołach królują ziemniaki i tak zwane mączyste. W latach trzydziestych w rodzinach chłopskich każdy je około kilograma

ziemniaków dziennie, ale i na nich się oszczędza. Gdy Jadwiga Szkraba z matką zbierają ziemniaki ze swojego skromnego poletka w Beskidzie Niskim, okazuje się często, że połowa jest zepsuta. „Ale tymi zepsutymi ziemniakami cieszyliśmy się najbardziej, bo tych nie zatrzymywano do sadzenia i można było je szybciej zużyć, tłumacząc, że i tak się psują, no to już się tarło na tarce tylko opłukane (bo szkoda było, aby marnować łupiny) i piekło placki na blasze czy kluski robiło". Wspomina też, jak któregoś dnia kobieta z sąsiedniej wioski mijała je na polu i zapytała:

– To tyle macie zepsutych?

Gdy przytaknęły, odpowiedziała:

– Oj, Boże, żeby ja mieszkała bliżej was, wymieniła by ja wam za zdrowe! Ja tak lubię kluski ziemniaczane!

„Biedaczka tak była przyzwyczajona do oszczędzania, że nie wyobrażała sobie, aby można zrobić kluski ze zdrowych ziemniaków" – komentowała Jadwiga Szkraba.

Z kolei w rodzinnym domu Anny Szopowej podczas wykopków zepsute ziemniaki wrzucano do osobnego naczynia. „Z lekko nabolałych ziemniaków mama gotowała żelazne kluski. Obrane z łupin ziemniaki ucierała na tarce do miski, utarte wlewała do lnianego woreczka – robiła to wieczorem. Rano z tej miazgi, odsączonej z wody, robiła ręką gałki i wrzucała do wrzącej i osolonej wody. Po ugotowaniu wyjmowała [je] z wody i podawała z gotowanym mlekiem albo okraszone słoniną. Żeby jedzenie było pożywniejsze, osobno gotowała jęczmienną kaszę na mleku i do tego dodawała żelazne kluski".



W Polsce międzywojennej ziemniaki to podstawa żywienia.
Fot. Franciszek Rozłucki

– Jedna ze smutniejszych opowieści mojej babci z młodości dotyczy ziemniaków, które jej rodzina przechowywała w piwnicy. Któregoś roku wszystkie przemarzły. I ponieważ nie nadawały się do jedzenia, a nie można było ich po prostu wyrzucić, całą zimę robili z nich placki ziemniaczane. Nie mam pojęcia, jaki to może mieć smak – opowiada Eliza Szybowicz, której babcia pochodziła z Margonina w Wielkopolsce, gdzie bieda nie dawała się tak mocno we znaki jak na wschodzie i południu kraju.

Ale w całej Polsce podstawą żywienia są ziemniaki. Bogaci chłopi na Pomorzu zjadają ich 422 kilogramy rocznie (na osobę), a małorolni na Podkarpaciu 290 kilogramów. Najczęściej uprawia się tak zwane amerykany lub świętojanki. „Cudzoziemcy dziwią się niemało, że w Polsce się nie sadzi ziemniaków jadalnych, a spożywa się bez wyboru odmiany pastewne i przemysłowe" – pisze na łamach „Przodownicy" Józef Zdzienicki i zachęca do sadzenia industrii, jednego z gatunków jadalnych o żółtym miąższu, reklamując, że kto raz spróbuje, niczego innego już jeść nie będzie chciał.

Analizowanie potraw kuchni wiejskiej z pierwszej połowy XX wieku wiele objaśnia, między innymi niechęć do dań jarskich potem, w PRL-u, i ówczesną pewność, że najeść się można tylko mięsem.

– Zawsze myślałam, że jesteśmy biedni, ale jak poszłam do kuzynki w niedzielę i zobaczyłam, co jedzą na świąteczny obiad, to zrozumiałam, że wcale nie jesteśmy. Wie pani, co jedli? Fusier. Zna to pani? – pyta mnie Róża Somla-Dembowska pochodząca spod Siedlec.

– Nie. Pierwsze słyszę. Jak to się robi?

– Pełno przepisów znajdzie pani w internecie.

Rzeczywiście, nie zawodzą mnie kreatywne blogerki, które pokochały polską wiejską kuchnię i nie krzywią się na takie dania jak fusier. Przeciwnie, wychwalają smak prostych potraw, zbierają mlecze, gotują z nich zupę i karmią nimi dzieci. Ale ich babcie za żadne skarby nie chcą tego ruszyć, bo mają z nimi tylko jedno skojarzenie: głód z czasów dzieciństwa.

Z fusierem kłopot jest taki, że występuje w wielu wersjach i po zbyt długim szperaniu w sieci nie wiem już w końcu, co tak naprawdę gotowała w niedzielę rodzina Gorzałów, z której wywodzi się matka Róży Somli-Dembowskiej.

– Czy to, co się jadło u pani kuzynki, to kluski z ziemniaków ze skwarkami? – dopytuję przy następnym spotkaniu.

– O, nie – odpowiada – u mojej rodziny fusiera robiło się tak: ziemniaki ugotować, nie odcedzać. Dodać mąkę ziemniaczaną lub żytnią, która zagęści wodę. Wlać tłuszcz ze skwarek i wszystko dokładnie ugnieść. To wszystko.

– Taka papka ziemniaczana z mąką i tłuszczem? – upewniam się.

– Okropne. I oni to jedli w niedzielę – wyjaśnia.

Szukam jeszcze raz w sieci i faktycznie, taka wersja fusiera też się pojawia. Na blogu „Kuchnia u Poli" występuje jako prażuchy, ale autorka bloga podaje również inne nazwy: porka, lemieszka, prażoki i właśnie fusier. A na „Codzienniku Kuchennym" znajduję jeszcze inne określenie na tę, wydawałoby się, mało ponętną, ale wciąż jak widać przyrządzaną potrawę: psiocha. Autorka tego bloga poleca na koniec podsmażyć fusier na patelni. „Mocno przyrumienione podaje się z kiszonym ogórkiem lub kwaśnym mlekiem" – zachęca. Wśród komentarzy pod postem jedna z czytelniczek pisze, że u niej w domu nazywało się tę potrawę dusicha, a jej tato najbardziej lubił ją z cukrem. Z kolei ona wolała okraszoną boczkiem.

Zastanawiam się, jak w rankingu dań polskiej biedakuchni wypada nasz rodzinny przysmak: szare kluski, odpychające niewtajemniczonych burym kolorem i nieciekawym kształtem, które u nas w domu należały do dań arcyważnych, gotowane przez mamę na specjalne okazje, gdy byliśmy dziećmi, a potem, kiedy staliśmy się dorośli i bardzo zajęci – by nas zwabić.

Nieduże, bure „szarpane" kluski z tartych surowych ziemniaków najpierw gotowane, potem odcedzane i podsmażane na patelni. Dosyć pracochłonne, dlatego taki rarytas, choć właściwie mają skład prawie taki sam jak fusier: ziemniaki i mąka. Tyle że do ciasta na kluski dodaje się jeszcze jajko. W wersji wzbogaconej smaży się je na boczku i podaje z kapustą. W mojej rodzinie szare kluski robi się z surowych ziemniaków, ale znam wersję z Pałuk, gdzie gospodynie dodają do ziemniaków surowych także gotowane.

W II RP wiele kobiet nie potrafi robić przetworów, ale niemal wszystkie rodziny, przygotowując się do zimy, kiszą kapustę.

Do czworaków w folwarku Kowalin pod Płockiem, w których mieszka stelmach, przychodzą wtedy sąsiedzi ze swoimi sfatygowanymi beczkami, którym brakuje klepek albo ciekną dna. Dotąd kisiło się całe główki, ale właśnie w sklepach pojawiły się szatkownice. Gdy beczka już naprawiona, kobiety biorą się do roboty. Po posoleniu kapusty trzeba znaleźć dziecko o czystych nogach, które zmieści się do beczki i porządnie ją ubije.

Szperanie w przepisach kuchni chłopskiej II RP okazuje się lekcją bardzo pouczającą, choć przygnębiającą. Dowiadujemy się między innymi, że i szare kluski, i fusier należały do dań niemal wykwintnych, a na pewno pożywniejszych niż te codzienne, i nic dziwnego, że podawano je w niedzielę. W uboższych chłopskich rodzinach zdarzały się bowiem dni, gdy nie było ani ziemniaków, ani mąki, a gdy kapusta też się kończyła, znaczyło to, że zaczyna się najgorszy dla biedaków czas. Przednówek. „Kiedy pod wiosnę beczki zaczynały się opróżniać – wspomina córka stelmacha – na rowach i łąkach zielenił się szczaw, chłopska krzepica, i dzieci zbierały go na obiad, obficie racząc się zielonymi listkami”. Ze szczawiu gotuje się zupę. Albo z pokrzywy, zwaną wodzianką. Na Śląsku, gdzie chłopi mogą sobie pozwolić na kuchnię pożywniejszą, zupę z pokrzyw, zwaną kurziną, gotuje się na słoninie, ale w Małopolsce to po prostu pokrzywy z wodą, w wersji luks zabielane śmietaną. Zupy pokrzywowe, na które w internecie można znaleźć dziesiątki przepisów, nie mają jednak wiele wspólnego z wodzianką, na przykład z Małopolski, sprzed stu lat. Te dzisiejsze, na mleku kokosowym lub kostce bulionowej, ze śmietaną i sokiem z cytryny, na fotografiach wyglądają naprawdę smakowicie, a blogerki nie mogą się nachwalić, jak wiele zawierają wartościowych składników, głównie żelazo, dzięki czemu oczyszczają nerki i wzmacniają po długiej zimie. Nie dla wszystkich te powody okazują się wystarczające, by się skusić.

Leon Tarasewicz, białoruski malarz mieszkający na Podlasiu, wspominał w rozmowie z Małgorzatą Czyńską reakcję swojego ojca, gdy matka któregoś dnia postanowiła wrócić do smaków dzieciństwa: „Mama nawet raz spróbowała ugotować zupę, jak to się teraz nazywa – ekologiczną, z pokrzywy, ale tego ojciec już nie zdzierżył. Jego ojciec, a mój dziadek, kasę wprawdzie zarabiał, ale szybko ją zamieniał na płynny towar i babcia miała problem z wykarmieniem szóstki dzieci. Sześć otworów pokarmowych – wyobraź sobie, jak to wtedy na wsi bywało. Dawała im do jedzenia wynalazki na zielsku, więc mój ojciec miał uraz. Pamiętam, raz wrócił z pracy po południu i gdy tylko wszedł do domu, poczuł specyficzny zapach. Podniósł pokrywkę, a w garnku była właśnie zupa z pokrzywy. Powąchał, popatrzył i wykonał bardzo zdecydowany ruch: otworzył drzwi i szurnął na podwórko garnek z zawartością. Ekologiczna breja kojarzyła mu się z tym jego biednym dzieciństwem”.

Smak głodu – trudno o nim zapomnieć, nigdy się nie zmienia, może się ukryć pod innymi nazwami, ale pozostanie tym samym: niechcianym smakiem biedy, do którego za żadne skarby nie chce się wracać.

Zupa jednak, jeśli nie odżywi, to przynajmniej pozwoli się rozgrzać. Na przykład taka złota rybka, popularna na Białostocczyźnie, właściwie woda z cebulą, pieprzem i solą, albo małopolskie dziadki: zbita w masę mąka z wodą, którą dodatkowo zalewa się wodą.

Dużo pożywniejsze i lubiane są zupy ziemniaczane znane jako fitka, fiutka lub spekulantka. Najczęściej na śniadanie je się jednak żur, nazywany w niektórych regionach barszczem lub – jak w Małopolsce – paciarą, gotowany na zakwasie z owsa. W Polsce centralnej gotuje się zalewajkę na pszennym zakwasie. Albo równie popularną polewkę na serwatce. Istnieje mnóstwo jej regionalnych odmian, górale dorzucają do niej oscypki albo bryndzę. Ma także rozmaite nazwy, ale wciąż chodzi o tę samą rzadką zupę z mąki zalewanej maślanką, serwatką lub mlekiem. W okolicach Myślenic znana jest jako jucha, na Rzeszowszczyźnie to słoducha, a w Łowickiem – brzęczka.

Egzotyczne nazwy dań, które spotykamy w chłopskiej kuchni, te wszystkie paciórki, przecieraki, fiutki, pokazują, że współczesna kuchnia praktycznie nie zachowała ówczesnych potraw chłopskich w ich najprostszych, czyli najuboższych odmianach. Dzisiejsze restauracje mające w nazwie chłopskie jadło, wiejską karczmę czy chłopską chatę z menu w rodzaju: żeberka w miodzie, golonka, świeżonka, aby być bliżej prawdy, powinny działać pod szyldem „Kuchnia Szlachecka" albo „U Dziedzica".

Jednak i wśród chłopów mamy rozwarstwienie, które natychmiast widać, gdy się porówna talerze kmiecia i małorolnego. Jak pokazują badania inżyniera Jana Curzytka i ekonomisty Franciszka Dziedzica, na początku lat trzydziestych w rodzinie bogatego chłopa na Pomorzu zjada się 46 kilogramów mięsa (i tłuszczów) rocznie na osobę, a w rodzinie małorolnego w Małopolsce zaledwie 12 kilogramów rocznie (w 2021 roku statystyczny Polak, według Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, zjadł 70 kilogramów mięsa).

Podczas gdy posiłki kmiecia dostarczają mu 4335 kalorii dziennie, małorolny spożywa ich 3117. Wydaje się, że w obu przypadkach to niemało, ale według specjalistów 3000 kalorii przy pracy rolnej od rana do wieczora zdecydowanie nie wystarcza. Współczesne dane pokazują, że rolnik w godzinę potrafi spalić 600 kalorii. Dojenie krów w nowoczesny sposób pochłania 150 kalorii, ale dojenie ręczne sto lat temu wymagało dużo większego wysiłku, a doiło się trzy razy dziennie.

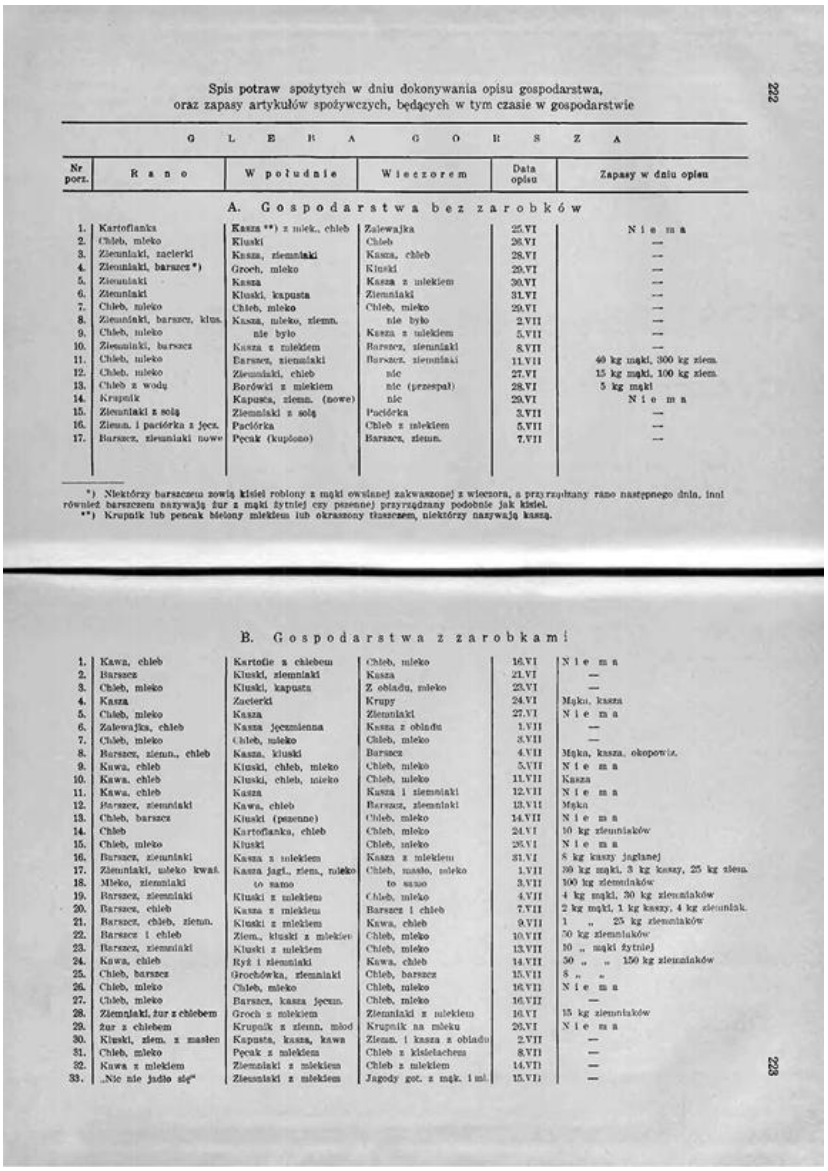
Ponieważ w badaniach Curzytka i Dziedzica, jak zastrzegają ich autorzy, brakuje danych z gospodarstw karłowatych, gdzie jada się jeszcze mniej, zajrzyjmy do Dzikowca, gdzie nasz znajomy ankieter przepytuje właśnie rodzinę W.

Tym razem interesuje go, co właściciele malutkiego gospodarstwa jedzą na co dzień, więc notuje: „Normalnie posiłek odbywa się trzy razy dziennie (zimą i latem), przeważnie na śniadanie przyrządzany jest tak zwany barszcz (żur) z ziemniakami, ewentualnie z chlebem, na obiad kapusta z ziemniakami i wieczorem chleb z mlekiem. W dniu

dokonywania opisu podawane było na śniadanie mleko z chlebem, na obiad barszcz z ziemniakami i na kolację barszcz z ziemniakami”.

Z wyliczeń ankietera wynika, że podstawowe produkty, jakie się spożywa w tej rodzinie, to ziemniaki, mąka, mleko, kapusta, fasola i kasza. Mimo to stwierdza, że „spożycie przedstawia się stosunkowo dobrze”, choć dodaje, że „po odjęciu ze spożycia mleka (np. sprzedając do mleczarni), pozostałaby nędza”.

Kolejna rodzina przez niego przepytywana podaje, że w dniu badania zjadła: na śniadanie chleb i mleko, na obiad: chleb i mleko, na kolację: chleb i mleko.



Spis potraw spożytych w dniu dokonywania opisu gospodarstwa, oraz zapasy artykułów spożywczych, będących w tym czasie w gospodarstwie

222

GLEBA GÓRSZA

Nr porz.	Rano	W południe	Wieczorem	Data opisu	Zapasy w dniu opisu
	A. Gospodarstwa bez zarobków				
1.	Kartoflanka	Kasza **) z mlek., chleb	Zalewajka	25.VI	Nie ma
2.	Chleb, mleko	Kluski	Chleb	26.VI	—
3.	Ziemniaki, zacierki	Kasza, ziemniaki	Kasza, chleb	28.VI	—
4.	Ziemniaki, barszcz*)	Groch, mleko	Kluski	29.VI	—
5.	Ziemniaki	Kasza	Kasza z mlekiem	30.VI	—
6.	Ziemniaki	Kluski, kapusta	Ziemniaki	31.VI	—
7.	Chleb, mleko	Chleb, mleko	Chleb, mleko	29.VI	—
8.	Ziemniaki, barszcz, klus.	Kasza, mleko, ziemn.	nie było	2.VII	—
9.	Chleb, mleko	nie było	Kasza z mlekiem	5.VII	—
10.	Ziemniaki, barszcz	Kasza z mlekiem	Barszcz, ziemniaki	8.VII	—
11.	Chleb, mleko	Barszcz, ziemniaki	Barszcz, ziemniaki	11.VII	40 kg mąki, 300 kg ziem.
12.	Chleb, mleko	Ziemniaki, chleb	nic	27.VI	15 kg mąki, 100 kg ziem.
13.	Chleb z wodą	Borówki z mlekiem	nic (przespał)	28.VI	5 kg mąki
14.	Krupnik	Kapusta, ziemn. (nowe)	nic	29.VI	Nie ma
15.	Ziemniaki z solą	Ziemniaki z solą	Pacióreka	3.VII	—
16.	Ziemn. i pacióreka z jęcz.	Pacióreka	Chleb z mlekiem	5.VII	—
17.	Barszcz, ziemniaki nowe	Pęcak (kupiono)	Barszcz, ziemn.	7.VII	—

*) Niektórzy barszczem zowią kisiel robiony z mąki owsianej zakwaszonej z wieczora, a przyrządzany rano następnego dnia, inni również barszczem nazywają żur z mąki żytniej czy pszennej przyrządzany podobnie jak kisiel.
**) Krupnik lub pęcnak bielony mlekiem lub okraszony tłuszczem, niektórzy nazywają kaszą.

	B. Gospodarstwa z zarobkami				
1.	Kawa, chleb	Kartofle z chlebem	Chleb, mleko	16.VI	Nie ma
2.	Barszcz	Kluski, ziemniaki	Kasza	21.VI	—
3.	Chleb, mleko	Kluski, kapusta	Z obiadu, mleko	23.VI	—
4.	Kasza	Zacierki	Krupy	24.VI	Mąki, kasza
5.	Chleb, mleko	Kasza	Ziemniaki	27.VI	Nie ma
6.	Zalewajka, chleb	Kasza jęczmienna	Kasza z obiadu	1.VII	—
7.	Chleb, mleko	Chleb, mleko	Chleb, mleko	3.VII	—
8.	Barszcz, ziemn., chleb	Kasza, kluski	Barszcz	4.VII	Mąka, kasza, okopowiz.
9.	Kawa, chleb	Kluski, chleb, mleko	Chleb, mleko	5.VII	Nie ma
10.	Kawa, chleb	Kluski, chleb, mleko	Chleb, mleko	11.VII	Kasza
11.	Kawa, chleb	Kasza	Kasza i ziemniaki	12.VII	Nie ma
12.	Barszcz, ziemniaki	Kawa, chleb	Barszcz, ziemniaki	13.VII	Mąka
13.	Chleb, barszcz	Kluski (pszenne)	Chleb, mleko	14.VII	Nie ma
14.	Chleb	Kartoflanka, chleb	Chleb, mleko	24.VI	10 kg ziemniaków
15.	Chleb, mleko	Kluski	Chleb, mleko	26.VI	Nie ma
16.	Barszcz, ziemniaki	Kasza z mlekiem	Kasza z mlekiem	31.VI	8 kg kaszy jaglanej
17.	Ziemniaki, mleko kwaś.	Kasza jagl., ziem., mleko	Chleb, masło, mleko	1.VII	20 kg mąki, 3 kg kaszy, 25 kg ziem.
18.	Mleko, ziemniaki	to samo	to samo	3.VII	100 kg ziemniaków
19.	Barszcz, ziemniaki	Kluski z mlekiem	Chleb, mleko	4.VII	4 kg mąki, 30 kg ziemniaków
20.	Barszcz, chleb	Kasza z mlekiem	Barszcz i chleb	7.VII	2 kg mąki, 1 kg kaszy, 4 kg ziemniak.
21.	Barszcz, chleb, ziemn.	Kluski z mlekiem	Kawa, chleb	9.VII	1 „ 25 kg ziemniaków
22.	Barszcz i chleb	Ziem., kluski z mlekiem	Chleb, mleko	10.VII	50 kg ziemniaków
23.	Barszcz, ziemniaki	Kluski z mlekiem	Chleb, mleko	13.VII	10 „ mąki żytniej
24.	Kawa, chleb	Ryż i ziemniaki	Kawa, chleb	14.VII	30 „ „ 150 kg ziemniaków
25.	Chleb, barszcz	Grochówka, ziemniaki	Chleb, barszcz	15.VII	8 „ „
26.	Chleb, mleko	Chleb, mleko	Chleb, mleko	16.VII	Nie ma
27.	Chleb, mleko	Barszcz, kasza jęczm.	Chleb, mleko	16.VII	—
28.	Ziemniaki, żur z chlebem	Groch z mlekiem	Ziemniaki z mlekiem	16.VI	15 kg ziemniaków
29.	Żur z chlebem	Krupnik z ziemn. młod	Krupnik na mleku	26.VI	Nie ma
30.	Kluski, ziem. z masłem	Kapusta, kasza, kawa	Ziemn. i kasza z obiadu	2.VII	—
31.	Chleb, mleko	Pęcak z mlekiem	Chleb z kisielachem	8.VII	—
32.	Kawa z mlekiem	Ziemniaki z mlekiem	Chleb z mlekiem	14.VII	—
33.	„Nic nie jadło się"	Ziemniaki z mlekiem	Jagody got. z mąk. i ml.	15.VII	—

223

Jadłospis jednego dnia ubogich rodzin chłopskich

Tylko jedna rodzina spośród dwudziestu siedmiu badanych oznajmia, że 9 lipca na obiad zjadła mięso, a dokładnie rosół z królika.

Z wyliczeń ankieterów wynika, że w najmniejszych gospodarstwach jada się 80 kilogramów mąki, 6 kilogramów owoców i kilogram mięsa rocznie na osobę. Mięso podaje się jedynie w Boże Narodzenie, Wielkanoc i na Zielone Świątki. O takich rodzinach pisał Jur Leżeński w 1938 roku: „Właściwie jada się tylko mięso, gdy jakieś bydlę zdechnie i sprzedać go nie wolno, bo władze sanitarne kazały go zakopać. Po

spełnieniu poleceń władz odkopuje się tę padlinę i rozpoczyna wymarzoną ucztę". Innym wariantem tego powiedzenia jest słynne: „Chłop je kurę, gdy zachoruje albo gdy kura jest chora". Oba te twierdzenia odnoszą się tylko do chłopów biednych, ci najbogatsi, stanowiący jednak niespełna 11 procent mieszkańców wsi, jedzą mięso nawet kilka razy w tygodniu i jest to głównie wieprzowina. Ale nie wszędzie.

Barbara Szewczykówna podaje, że bogatsi chłopi pod Limanową spożywają 8 kilogramów mięsa rocznie, głównie wieprzowinę i drób, natomiast najubożsi gospodarze – 5 kilogramów mięsa rocznie i są to wyłącznie króliki lub gołębie.

Problemem z dzisiejszej perspektywy jest nie tyle brak mięsa, ile dieta bardzo uboga w składniki odżywcze, przede wszystkim w białko i witaminy. Z warzyw je się na ogół kapustę i groch. Dieta jest szokująco monotonna, w kółko gotuje się to samo, dzień za dniem, i na kolację często zjada się jedynie resztki z obiadu.

W bogatszych domach podczas intensywniejszych prac jada się także podwieczorki, zwane też jużyną, chleb z mlekiem lub maślanką, a w najbogatszych – nawet z twarogiem, czyli pampuchem.

Słodkie codzienne desery, w miastach zwykle wykwintne i smakowite, na wsi nie istnieją. Cukier, który dodaje się wyłącznie do ciasta, pozostaje poza zasięgiem zwykłej rodziny, dlatego chleb z masłem i cukrem uchodzi za ulubiony przysmak dzieci, jedzony też potem chętnie w PRL-u. Nawet w rodzinie kmiecia zjada się zaledwie 8 kilogramów cukru rocznie na osobę (w 2021 roku według Głównego Urzędu Statystycznego Polak zjadł 43 kilogramy cukru rocznie, a liczba ta stale rośnie).



Gospodyni bezbłędnie wyczuwa, kiedy chleb już się upiekł i trzeba go wyjąą z pieca

Choć chleba zwykle nie brakuje, w biedniejszych rodzinach jada się go więcej latem, kiedy najciężej trzeba pracować, a zimą już nieco oszczędniej. Józef Zdzienicki oburza się w „Przodownicy", że gospodarze dają koniom żyto w formie sieczki i już na mąkę na chleb nie wystarcza: „Więc też konie po szosach brykają, szczególniej, gdy ich gospodarz sobie podpije, a dzieci, ich rodzone dzieci tego samego gospodarza pragną chleba, gdyż ojciec nie da odpowiedniej ilości zboża na mąkę, boby go dla koni zabrakło. Toteż widuje się całe gromady tych kochanych białych łebków o bladych, mizernych twarzyczkach, ale za to ich ojcowie

paradują szkapami próżnującymi przez większość roku. Stosunek ten trzeba odwrócić i dzieciom dać chleb, a koniom parowane ziemniaki, a dopiero w czasie większych robót pewien do nich dodatek".

Starsza generacja wciąż pamięta czasy, kiedy za chlebem tęskniła. „Ojciec opowiadał, że gdy był małym chłopcem, to cały rok nie jedli chleba. Żywili się przeważnie brukwią, a latem lebiodą i różnymi korzonkami. Na święta babka Agnieszka obierała brukiew z łupin, te łupiny płukała w wodzie do czysta i gotowała. Po ugotowaniu gniotła je wałkiem na miazgę, dosypywała zmielonej w żarnach mąki, zagniatała w niecce na ciasto i rozpłaszczone na placek piekła pod blachą, gdzie się paliło – rozgarniała ogień na boki i w środek wsadzała placek. Myśmy już chleba mieli pod dostatkiem. Jeśli któremuś z nas chleb wypadł z ręki na ziemię, to Ojciec kazał nam ten chleb podnieść, przeprosić i pocałować" – wspomina Anna Szopowa.

Wypiek chleba to dla gospodyń wielka impreza i utrapienie. Na ogół piecze się go z mąki żytniej, a marzeniem chłopskich rodzin jest chleb biały, pszenny, pański. W ziemiańskich dworach, gdzie tradycyjnie istniał zwyczaj dwóch stołów: jedno menu dla domowników, inne dla służby, na stole dla państwa kładło się pszenny chleb, a dla czeladzi, czyli służby – ciemny. Żyto jest tańsze, bo jest go więcej.

Każda gospodyni piecze chleb według własnej receptury. „Chleb piekę razowy, rozczyniony ziemniakami, z dobrze odsianej mąki" – podaje gospodyni spod Częstochowy.

Inne kobiety zamiast ziemniaków dodają fasolę, groch, soczewicę albo kwaśne mleko, posypują makiem albo kminkiem i kładą na liściach chrzanu lub kapusty.

„Chleb mamusia piekła sama, raz na tydzień, w specjalnym piecu opalanym drewnem. Zawsze przy tym upiekła też tak zwany jabcok, to jest placek z tartych ziemniaków doprawiony solą i skwarkami – pycha! Placek ten smażony na patelni nazywany był plendzą. Chleba (z mąki żytniej) piekła cztery brytfanki, tyle się mieściło w piecu do pieczenia chleba" – zapamiętała Lucyna, córka Stasi z Bieżenia.

Helena Szybki, żona koniuszego z folwarku w Besku na Podkarpaciu, zaczynała piec chleb zawsze pod koniec tygodnia: „Wieczór w piątek się rozczyniało. Trzeba było trochę ciasta, trochę mąki i w garczku się zamisiło. To było podmłode. Wieczór jak już się wszystko w chałupie porobiło, rozczyniało się na chleb. Wlało się to podmłode do dziszki (dzieży)[39], dało się jeszcze trochę wody i mąki i to jeszcze bez noc stało, a raniutko jak jeszcze słońce nie zeszło to się zamisiło ręką i tak stało w dziszce. Trzeba było wszystko z rana zrobić bo potem trzeba było iść jeszcze na pole. Jak już się zamisiło to się potem napaliło w piecu, tak że aż to podniebienie musiało być czerwone".

Wtedy drewnianą łopatą gospodyni wkładała bochny do pieca i czekała godzinę lub dwie. Choć wyobraźnia podpowiada nam, że po domu rozchodził się smakowity, słodkawy zapach pieczonego chleba, w rzeczywistości chałupa była pełna dymu.

„Jak się już upiekło chleb to trza było kuchnie pobilić. Po każdym pieczeniu chleba trzeba było pobilić bo było okopciałe. A jak się już pobiliło to trzeba było oporządzić ziemię. Każdą sobotę po pieczeniu chleba brało się jeszcze do czerepka gliny, zrobiło się taką brajkę i całą ziemię się polepiło. Wtedy już mogła być niedziela" – wspomina Helena Szybki z podkarpackiego Beska.

– U nas na wsi chleb się pożyczało. Kiedy więc moja mama piekła, to od razu siedem bochenków dla sąsiadek, które ważyły chleb na haczyku i wiedziały, ile oddać. Potem piekła następna gospodyni i przynosiła nam tyle, ile pożyczyła – opowiada Adam Księżopolski, syn Apolonii, wiceszefowej zarządu głównego Koła Gospodyń Wiejskich.



Piec chlebowy musi byą w każdym wiejskim domu

Pieczenie chleba pochłania mnóstwo czasu, a chleb często i tak nie jest smaczny, czasem wychodzi zakalec lub po kilku dniach gnije. Część gospodyń mieszkających niedaleko miasta kupuje pieczywo w sklepach, większość jednak piecze, ale marzą, by w pobliżu powstały piekarnie. Te, które wyjeżdżają na saksy, na przykład do Danii, dowiadują się, że kobiety tam już chleba w domach nie pieką.

Gospodyni z Miechowa chciałaby, „ażebyśmy po domach chleba nie wypiekały, bo dla nas to jest wielki ciężar. Dużo czasu marnuje się w lecie, aby upiec sześć bułek chleba, który poleży już cztery dni, a później już pleśnieje. Raz się nie dopiecze, drugi raz się przypali, trzeci raz skórka odchodzi. Ile to jest kurzu, gdy się pali badylami, słomą, ile pożarów wybucha z powodu pieczenia po domach – jakie z tego powodu Polska straty ponosi. Tyle dziś ludzi chodzi bez roboty. Czy to nie można

dać im utrzymania, a nam kobietom ulżyć w pracy?" – zastanawia się autorka pracy wysłanej na konkurs dla gospodyń w 1935 roku.

Tymczasem każda kuchnia jest wyposażona w piec chlebowy, nawet rodziny zajmujące w folwarcznych czworakach jedną izbę mają taki piec. „W jednym rogu izby stała kuchnia, a nad jej blachą znajdował się otwór do chlebowego pieca, którego palenisko było już w komórce. Nad całym tym kombinatem (wtedy nie znaliśmy jeszcze tego słowa) zwieszała się kapa, jak zwali ją tutejsi ludzie. Był to daszek umocowany w narożniku, a pod nim mieścił się lufcik, którym uchodziła para z garnków i dym powstający przy odsunięciu fajery. Na wygiętym brzegu owej kapy kładły kobiety zapałki" – wspominała dziewczyna z folwarku Kowalin.

Pieczenie chleba to jedna z mnóstwa czynności, które kobiety muszą wykonać, ale przy gotowaniu nie spędzają wiele czasu, po prostu go nie mają, gotują więc prosto, dania dwuskładnikowe i zwykle odgrzewają je na kolejny posiłek. Ale według Seweryna Udzieli, słynnego krakowskiego etnografa, monotonia chłopskiej kuchni wynika z innych przyczyn. „Ludność wiejska u nas żywi się bardzo prostemi pokarmami a rozmaitość w wyborze potraw jest nader skromna. Nawet najbogatszy gospodarz w Krakowskiem, który ma własną mąkę, ma pod dostatkiem nabiału, ma drób, wykarmia wieprze, nie brak mu owoców, je codziennie ziemniaki, kaszę, groch, kapustę, je to samo, co ubogi wyrobnik, tylko tem różniąc się od niego, że sobie nie żałuje omasty. Czasem tylko gospodyni poda mu jako rarytas jajecznicy miseczkę lub kawałek kiełbasy. Nie pochodzi to ze skąpstwa, bo wieśniak zamożny nie żałuje sobie niczego, ale z tego powodu, że baba nie potrafi nic innego, nic lepszego uwarzyć. A jeżeli nawet gospodyni służyła niegdyś we dworze, na plebanii lub w mieście przy kuchni i nauczyła się lepiej gotować, to na własnem gospodarstwie nie chce się jej chodzić koło kuchni, bo dla kogoż, kiedy domownicy przywykli do prostych potraw" – pisze Seweryn Udziela w 1925 roku w „Krakowiakach".

Ale czy „babie", która potrafi gotować, rzeczywiście nie chce się tego robić? Czy może też kompletnie nie ma na to czasu i siły? Lub też ochoty,

by starać się dla kogoś, kto budzi w niej strach lub niechęć? Powodów, aby się „nie chciało”, znają kobiety w różnych czasach i na różnych szerokościach geograficznych mnóstwo. Jednym z nich jest kompletna niewdzięczność tych, dla których się stara, a którzy są przekonani, że do tego właśnie została stworzona.

Poszukiwanie przyjemności w jedzeniu to tradycyjnie pańskie przywileje. Chłop zaspokaja głód. Musi się tak najeść, by mieć siłę do roboty, nie znajduje rozkoszy w jedzeniu ani nie ma czasu, by się nim delektować. „Jedz, jedz, nie gadaj” – słyszą wiejskie dzieciaki, bo trzeba zaraz lecieć w pole. Matka często zjada swoje posiłki, krzątając się przy kuchni, a ojciec w locie. „Pamiętam, jak Ojciec z miską jedzenia w jednej ręce i łyżką w drugiej stał w drzwiach w domu i patrzył w niebo, czy nie nadchodzi chmura deszczowa, która może zalać zboże” – wspomina Anna Szopowa.

Wspólny posiłek to najczęściej obiad albo kolacja na ciepło. Gdy gospodyni stawia na ławie miskę i wręcza każdemu jego łyżkę, zaczyna odmawiać modlitwę, którą reszta podchwytuje:

> Łojce nas
> Chtórnyś je w nebze
> Święcsejine Twoje
> Przydź Królestwo Twoje
> Jeko w nerze tak ji na źeni
> Chleba naségopowsednégo
> Dåjnómdźiśåj.[40]

Wtedy dopiero siadają do jedzenia. „Jedzą z dużych, glinianych mis – obecnie coraz częściej wchodzą w użycie naczynia blaszane, emaliowane. Łyżek używają drewnianych. Posługiwanie się nożem i widelcem nie znane, ale już tu i ówdzie u zamożniejszych gospodarzy kupuje się je dla gości” – pisze Barbara Szewczykówna po wizycie w chałupach pod Limanową.

Bliżej miasta i w rodzinach zamożniejszych gospodarzy coraz częściej każdy z domowników je na własnym talerzu i swoim widelcem. U Anny Szopowej, która brała ślub w 1913 roku, goście weselni jedli już na zastawie i sztućcami.

„W głębokich talerzach podawano rosół z makaronem, a na płytkich talerzach mięso z różnymi jarzynami. Wśród gości niektórzy jedli tak po raz pierwszy i mieli trudności w posługiwaniu się nożem i widelcem; mówili, że to jest zabawa, a nie jedzenie" – wspomina.

Kobiety wiejskie, zwłaszcza te światowe, czytające gazety, dowiadują się o wynalazkach, które mogą usprawnić prace kuchenne i domowe. W miastach rozpoczyna się właśnie era kuchenek gazowych i odkurzaczy, choć na elektroluks mogą sobie pozwolić jedynie najzamożniejsze. W bogatszej wiejskiej kuchni w latach dwudziestych także pojawiają się sprzęty dotąd niewidziane: maszynka do mięsa, wyciskarka do owoców, młynek do kawy na korbkę.

Ale prawdziwym marzeniem każdej gospodyni jest dogotowywacz. Ta magiczna drewniana skrzyneczka, zaizolowana, pozwala utrzymać ciepło dania aż do popołudnia, gdy rodzina zejdzie z pola na obiad. Przed wyjściem kobieta podgotuje jedynie potrawę, zanim umieści ją w dogotowywaczu. Wcześniej wkładano garnek pod pierzynę i wciąż wiele kobiet tak robi, ale która chce być nowoczesna i korzystać z gazetowych porad, inwestuje w skrzyneczkę.

Między tym, co gotuje „baba" swojej rodzinie, a tym, co podawała, kiedy służyła we dworze lub nawet w mieszczańskim domu, rozciąga się głęboka przepaść. Podczas gdy chłopska rodzina na przykład z Tarnowskiego je na obiad ziemniaki z kapustą, w tym samym czasie w mieście obiad klasy wyższej składa się z trzech dań: przystawki, dania głównego i deseru.

W 1931 roku „Organizacja Gospodarstwa Domowego" podpowiada swoim czytelniczkom, paniom z inteligencji i innym przedstawicielkom klasy średniej i wyższej, obiadowe zestawy, reklamując je jako „zdrowe, niedrogie, łatwe i smaczne".

Oto pierwszy z nich, z przystawką:

> Jaja na twardo na sałacie endywii, sos musztardowy, albo pieprz turecki słodki faszerowany
> Zupa przecieranka z kapusty brukselskiej na smaku z kostek cielęcych. Grzanki z serem
> Zrazy cielęce z sosem pieczarkowym. Kaszka krakowska na sypko
> Mus z jabłek ubrany konfiturami z truskawek albo z wisien

I jeszcze jeden, nieco banalniejszy:

> Bigos z kapusty z talarkami kiełbasy albo sałata z fasoli, jabłek i gruszek
> Zupa ogórkowa czysta na podrobach kaczych
> Kotleciki z mózgu, groszek zielony z marchewką
> Ryź na mleku z sokiem morelowym

Ponieważ inteligencja zwykle pracuje, a nawet jeśli nie, obiad w domu miejskim klas wyższych przyrządza służąca, która zwykle na początku o tych grymaśnych potrawach, jak mawia, nie ma bladego pojęcia. Przyjeżdża na przykład spod Limanowej, skończyła lat piętnaście, dotąd jadła grule (ziemniaki) z kwaśnym mlekiem i zupę garus z rozgotowanych śliwek i tyle mniej więcej umie ugotować. Co teraz? Długie przeszkolenie. Kilka miesięcy, a zostanie mistrzynią legumin. Jak służąca Seweryna Udzieli, Wiktoria Boguszówna, która zjawiła się w ich krakowskim domu na początku lat dwudziestych i którą pani Udzielowa wzięła w obroty, ucząc gotowania od podstaw. Aż nadszedł dzień, gdy stwierdziła, że już czas, aby nowa służąca przyrządziła pomidorówkę samodzielnie. Pomogła jej przygotować składniki, w osobnych garnkach przyszykowała: wywar z mięsa, pastę pomidorową, ryż. „A teraz, Wiktusiu, połączysz te wszystkie składniki, dodasz śmietany, zalejesz ryż i podgrzejesz” – zaordynowała i wyszła z domu. Gdy wróciła, każdy składnik ugotowany był osobno. „Z przeproszeniem starszej pani, nie miałam sumienia zrobić takiej papy z tych dobrych rzeczy” – wyjaśniła Wikta.

Wkrótce służące unikną tych stresów, a wiejskie rodziny zaczną oswajać się z nowymi smakami. Nadchodzi oto kuchenna rewolucja. Pomidorówka, grochówka i ogórkowa wkraczają do chłopskiej chałupy. Kursy i konkursy gotowania biją rekordy popularności. Z miast zjeżdżają instruktorki kół gospodyń wiejskich oraz kół ziemianek i innych organizacji i uczą wiejskie gospodynie gotowania dań bardziej wyszukanych, smaczniejszych i zdrowszych.

Kiedy we wsi Besko pojawia się instruktorka koła gospodyń wiejskich, przywozi ze sobą powiew wielkiego świata. Gospodynie, w większości małorolne, uwijają się między pracą „na pańskim" a własnym gospodarstwem. Nie stać ich ani na radio, ani na gazety, gotują to, co ich matki: ziemniaki z kapustą, podpłomyki, lemiesze[41]. Aniela Knurek, mieszkanka Beska, wspomina: „Przyjechała instruktorka ze Lwowa, by organizować kurs krawiecki – zapisałyśmy się, wszystkie młode gospodynie. Jak się kurs skończył, postanowiłyśmy założyć koło, aby nadal razem się uczyć, bawić, organizować pomoc dla najbiedniejszych. Paczki robiłyśmy na Mikołaja, dożywianie w szkole prowadziłyśmy".

– Wśród przepisów, które zachowały się z tego kursu, są takie perełki jak całuski miętowe, kurczęta smażone, budyń z kaszy kukurydzianej, legumina z sera, hreczuszki drożdżowe i tort z białej czekolady, opatrzony uwagą, że „białą czekoladę można dostać w handlu cukrów" – relacjonuje Lidia Zielonka, nauczycielka i regionalistka z Beska.

Jeszcze tylko trzeba chłopa przekonać do zmiany smaków i przyzwyczajeń. Młoda gospodyni spod Wadowic, gdy wyszła za dużo starszego od niej wdowca i zaczęła gotować w sposób nowoczesny, dostała od niego burę. „Jak mu podałam porządny obiad, to mi powiedział: «Co to za wymysły? Dyć mi nie panowie». I musiałam tłumaczyć, że do tego pańskiego obiadu ani za grosz nie dokupiłam. Dziś już tak nie mówi, bo i on zrobił się wygodny" – wspomina. Ta dzielna kobieta potrafi też zrobić świetne przetwory z grzybów, borówek, kwiatów lipowych, poziomek suchych oraz w syropie, a także wino

z jeżyn i głogu. Jednak ona wychowuje jedno dziecko, ma czas oraz siłę. Inaczej, gdy dokucza bieda i ma się ośmioro dzieci.

„Co z tego, że nauczyłam się gotować na kole gospodarstwa domowego, jak daję do jedzenia tylko ziemniaki, bo nie mam na kaszę" – skarży się Julia Augustyn ze wsi Łęki Dolne, która za pieniądze ze sprzedaży jajek kupuje jedynie „sól, naftę, tani tytoń dla męża i zapałki".

Kiedy w 1929 roku Helena Buczyńska, instruktorka koła gospodyń wiejskich, przyjeżdża do wsi Przytuły na Podlasiu, dwadzieścia cztery gospodynie stawiają się na kursie, aby nauczyć się „gotowania zdrowych zup i innych przysmaków". Następnego dnia instruktorka chodzi od chaty do chaty, doradzając, co poprawić, a co zmienić. Efekty są znakomite. W liście do „Przodownicy" kobiety piszą uradowane: „Urządziłyśmy umywalki, mamy wycieraczki do obuwia i wieszaki przy drzwiach i wiele innych rzeczy. Najgorsze było pożegnanie tej naszej pani, kiedy odjeżdżała, bo zdawało się, że anioł z nieba niosący nam wiedzę zniknie i już nie wróci, tak żeśmy się serdecznie popłakały".

I nawet jeśli dla większości wiejskich gospodyń „grymaśne" dania pozostaną wciąż pańskimi, ich nowe umiejętności zbliżają je do świata, w którym mogły dotąd uczestniczyć, jedynie mu służąc. Kurs gotowania to wydarzenie nie tylko na wsi, ale także w ich życiu, mogą poczuć się dowartościowane i otoczone opieką, czego dotychczas bardzo rzadko doświadczały.

ROZDZIAŁ 10

„NA PAŁSKIE”. ZACIĄŻNICE I BANDOSKI

My mieszkaliśmy na górze oni na dole
Po jednym pokoju na każdą z czterech rodzin
Wymawiam te nazwiska ze zdumieniem:
Tomaszunas, Sagatis, Osipowicz, i ekonom Vackonis,
Choą mały czułem jednak wstyd panicza.

Czesław Miłosz, *** (*Przybywam z innej fazy*), w: *Wiersze ostatnie*, 2006 rok

Chłopi ze wsi mówią o nich z pogardą: dworusy albo dworaki. Bo nie mają ziemi i zależą od dzwonka, który budzi ich bladym świtem, a o dwunastej oznajmia, że mogą zrobić sobie przerwę na obiad. „Nawet dzieci – te ze wsi, nie z majątku, przezywały nas: «Wy dworaki to nie ludzie, oparzyli sukę w budzie, ani miski, ani łyżki, poparzyli sobie pyski»” – wspomina córka pokojówki z dworu z okolic Olsztyna.

Chłop mający ziemię czuje się lepszy, nawet jeśli tak samo bieduje jak folwarczny najemnik. Ale ziemia daje mu wolność, nie musi się on martwić o terminatkę, która pod koniec grudnia każdego roku wprowadza służbę folwarczną w przerażenie: zwolni dziedzic czy nie zwolni?

Właściciele ziemscy jako służbę folwarczną zatrudniają fornali, parobków, wyrobników, ale także lokajów, ogrodników, kobiety są potrzebne w charakterze dójek do krów i wyrobnic w polu, zwanych też posyłkami lub zaciążnicami, ale także służących do dworu.

Chłopi wciąż mawiają, że pracują „na pańskim”, choć od zniesienia pańszczyzny minęło przeszło sześćdziesiąt lat. „Już było ciemno jak się schodziło z pańskiego. Pamiętam że dostałam za taką dniówkę pięćdziesiąt groszy to kupiłam pół chleba, kilo kaszy kukurydzianej

i zostało dwa grosze – wspominała Helena Szybki z Beska na Podkarpaciu, która w latach trzydziestych w czasie żniw pracowała w polu jako odbieraczka. – Każdy chłop szedł z kosą i miał ze sobą odbieraczkę. On kosił, a ona odbierała. Zebrała pod pachę jak na snop, musiała zrobić powrósło, związać i lecieć dalej odbierać. Jak chłop był do Boga i do ludzi to brał małe pokosy, a jak taki co mu nie zależało na swojej odbieraczce to kosił wielkie pokosy i biedne babisko ledwie dawało radę".

Marzeniem wiejskich kobiet nie jest oczywiście plewienie pola czy dojenie pańskich krów, ale praca we dworze. Tam się dostać – to byłoby coś! Na kucharkę, niańkę hrabiowskich dzieci albo pokojówkę. Nie trzeba będzie harować w polu, a w dodatku można nauczyć się gotować, prać i sprzątać i może dzięki temu uda się znaleźć lepszego męża? Albo dziedziczka w nagrodę za służbę da drewno z lasu na budowę domu? O posadę we dworze niełatwo. Służba dworska musi być odpowiednio i starannie dobrana. Ale czasem się zdarza, że któraś wpadnie wielmożnej pani w oko i wtedy nawet prosto z pola można trafić na salony.

W Niedzielsku w centralnej Polsce hrabina Felicja Rymarkiewiczowa, wdowa po mecenasie z sukcesem zarządzająca majątkiem, zwykle w czarnej sukni, dogląda pracy w towarzystwie sfory psów. Budzi lęk wśród służby, ale ma opinię solidnej i terminowo płacącej, więc do prac zjeżdżają wyrobnicy z okolicy.

„Początkowo pracowałam wraz z innymi w polu. Któregoś popołudnia, po takiej pracy, dziedziczka popatrzyła na mnie, wskazała na mnie palcem i powiedziała: «Ty jutro przyjdziesz do dworu». W pałacu obejrzała mnie dokładnie i powiedziała: «Ty będziesz u mnie pokojówką». Tak się stało, pokojówką byłam wiele lat, aż do wybuchu wojny" – wspomina wyrobnica folwarczna, a potem pokojówka z Niedzielska, Rzerzniczakowa z domu Marchewka.

Jeszcze skuteczniej, jak zawsze, działają znajomości i rekomendacje.

– Mój dziadek zarządzał majątkiem miejscowego księdza. Miał radio na kryształki[42], więc myślę, że powodziło mu się nie najgorzej –

opowiada Irena Borowczak, urodzona w Nawrze na Pomorzu, wsi, której ton nadawał okazały klasycystyczny pałac należący do rodziny Sczanieckich. Ostatnią właścicielkę rezydencji, Irenę Sczaniecką, do dzisiaj wieś nazywa „świętą panią" ze względu na jej gorliwą religijność, a Irena Borowczak zapewnia, że mieszkańcy, którzy ją pamiętają, wspominają ją z wielką atencją. Ci natomiast, którzy jej nie znali, w rodzinnych albumach przechowują fotografie, na których „święta pani" siedzi w otoczeniu ich babć podczas kursów kroju i szycia oraz gotowania, które organizowała. – Za darmo i dla kobiet z całej wsi, nie tylko z majątku – podkreśla Irena Borowczak, w której albumie też takich zdjęć nie brakuje, i cieszy się, że zniszczona siedziba rodziny Sczanieckich ma szansę powstać z ruin i ożywić ducha dobrej dziedziczki. Pałac został przekazany przez spadkobierców samorządowi, który planuje utworzyć w nim muzeum ziemiaństwa przypominające zasługi Sczanieckich dla polskiej kultury, między innymi zgromadzenie ogromnych zbiorów bibliotecznych, wśród których znajdowało się jedno z pierwszych wydań *O obrotach sfer niebieskich* Mikołaja Kopernika.



Kurs kroju i szycia w Nawrze, rok 1930

W tym właśnie dworze, u dziedziczki Sczanieckiej, pracowały w młodości mama Ireny Borowczak i jej dwie ciocie. Prawdopodobnie nie trafiłyby im się tak dobre posady, gdyby nie wysoka pozycja ich ojca we wsi. – Najpierw ciotka Tekla została główną kucharką pałacową, a potem dwie jej siostry, moja ciotka Leokadia i mama Wanda, dostały pracę pomocy kuchennych – mówi Irena Borowczak. Jak korzystne były to posady dla młodych wiejskich dziewcząt, rodzina się przekonała, gdy najmłodsza siostra, Marianna, dla której już pracy służącej w pałacu zabrakło, poszła na służbę do miejscowego nauczyciela. – Miała tylko czternaście lat i pracowała ponad swoje siły, doiła krowy, gotowała, sprzątała, a najgorsze i najbardziej wykańczające było noszenie na sztundach[43] wody ze studni – opowiada siostrzenica Marianny.

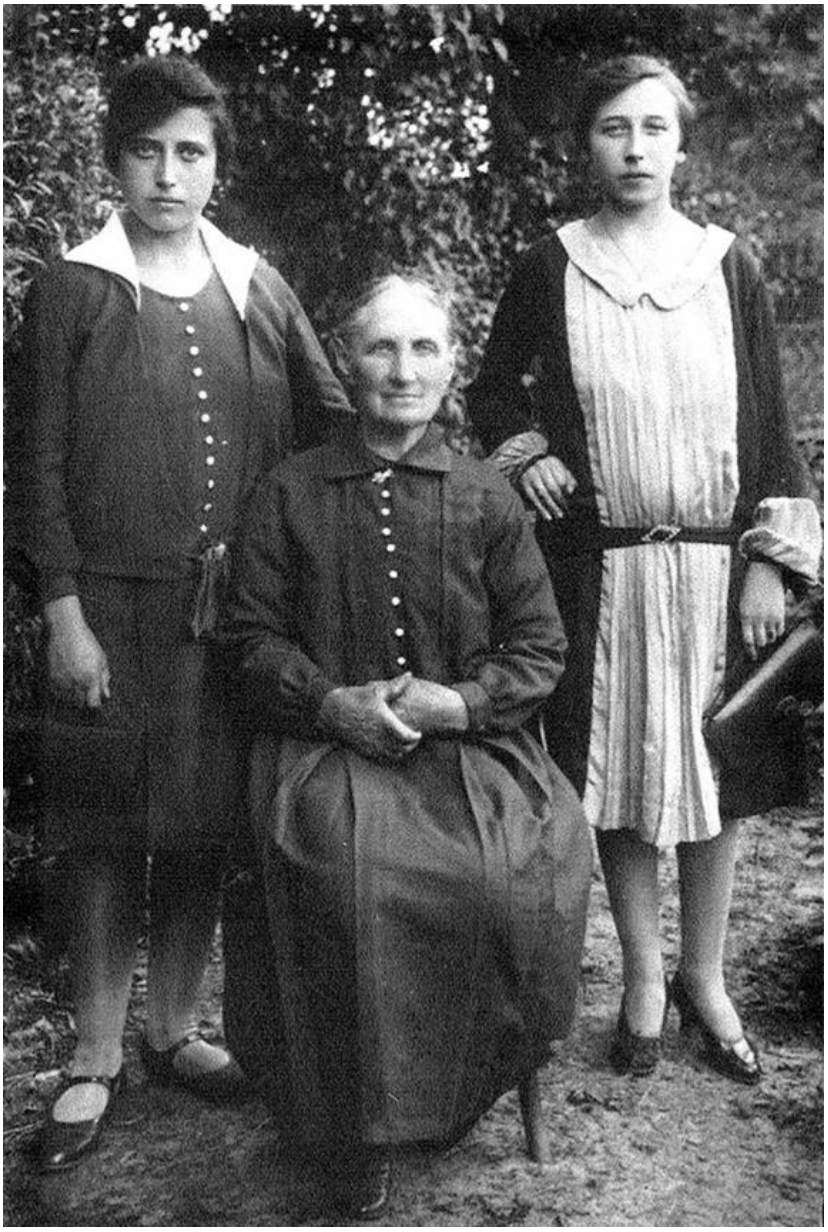
Dla sióstr służba we dworze to w życiu etap krótki, ale bardzo ważny. Uchroni je od harówki w polu. Tekla, specjalizująca się w mazurkach,

czekoladowych tortach i leguminach, pozostanie do końca życia kucharką, a doświadczenie nabyte w dworskiej kuchni wykorzysta, gotując po wojnie w stołówce PGR-u, choć nie będą to już te same potrawy.

Dominika Gruz, urodzona w końcówce XX wieku kulturoznawczyni, jako dziecko przysłuchiwała się opowieściom, które atmosferą i realiami niewiele różniły się od bajek.

– Kiedy się urodziłam, prababcia miała ponad osiemdziesiąt lat. Mieszkałyśmy w jednym domu i zawsze chętnie jej słuchałam, więc otwierała swoją drewnianą walizeczkę z fotografiami i snuła opowieści. Stała się moją przyjaciółką – wspomina prawnuczka.

Janina Strychowska urodziła się w 1909 roku w Wilczynie, wiosce między Koninem a Inowrocławiem, gdzie życie mieszkańców organizował dwór rodziny Taczanowskich, ziemian, do których należał też pałac w Lututowie. Rodzina Janiny, jak wiele innych, pracuje dla dworu, ale jej ojciec Mieczysław to nie byle kto: ogrodnik w majątku dziedzica, a to przesuwa rodzinę w hierarchii wsi mocno w górę. Mieszkają naprzeciw pałacu, ogrodnik jest w stanie utrzymać swoich bliskich na dużo wyższym poziomie niż chłop na kilku morgach, a jego córki stają się dobrymi partiami. Gdy Janina ma osiem lat, przy porodzie piątego dziecka umiera jej matka, a Jasią głównie zajmuje się babcia Nepomucena, a potem macocha, którą dziewczynka nazywa mamą. Ojciec Janiny należy do ludzi postępowych i odnosi sukcesy: uprawia melony, których nikt dotąd tam nie widział. Dziedzic go docenia i któregoś dnia składa mu propozycję, by przysyłał jedną z córek do dworu. Będzie dziewczynką do towarzystwa dla jego dzieci, córki Joanny i syna Zygmunta. Dla wiejskiego dzieciaka to rzadka okazja i wielkie wyróżnienie.



Od lewej: Janina Strychowska, jej babcia Nepomucena Wojciechowska i siostra Bronka, Wilczyn, około 1926 roku

– Myślę, że to bardzo wpłynęło na prababcię, przede wszystkim na jej poczucie własnej wartości. Czuła się ważna, to ona przecież została wybrana do zabawy z małymi dziedzicami, a nie jej siostra Brońcia, delikatna i nieśmiała. Trwało to dwa lata. Wspominała, że ubierali ją ładnie, bo musiała dobrze wyglądać, jadła ciasteczka na tarasie dworu i biegała z dziećmi dziedzica po ogrodzie. Nie zaprzyjaźniła się z nimi,

była od nich kilka lat starsza i może też musiała ich pilnować – zastanawia się wnuczka. Może to wtedy zrodziło się w Janinie umiłowanie elegancji? W dorosłym życiu imponowały jej wytworne kobiety, mężczyźni w mundurach, pasjonowała się życiem królewskim, jej idolką stanie się księżna Diana, za styl podziwia Jolantę Kwaśniewską.

Ale na razie jej „praca” w dworze kończy się. Już tam nie bywa, jedynie kiedy z miasta zjeżdżają goście do dziedzica, razem z wiejskimi dziećmi stoi pod oknami pałacu, podglądając, gdy tamci tańczą. Zwykła rozrywka dzieciaków, tak jak rzucanie kamieniami w okna pobliskiej synagogi. Ona sama nie wyniosła z domu uprzedzeń, w szkole siedzi w ławce z żydówką. Najważniejszym wydarzeniem tego czasu w Wilczynie okaże się pogrzeb żony dziedzica Kazimierza Taczanowskiego, Ireny Aurelii Taczanowskiej, która w 1917 roku umiera po długiej chorobie w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat. – Podobno była to wielka miłość. Dziedziczka zmarła poza Wilczynem, bo wyjechała na kurację. W dzień pogrzebu trumnę przywiózł pociąg, a potem przez całą wieś wiozła ją furmanka. Takiej trumny nikt wcześniej nie widział. Metalowa, z przeszklonym wiekiem. Gdy jechała przez wieś, dziedzic nakazał mieszkańcom utworzyć szpaler wzdłuż i rzucać kwiaty pod powóz. Mówili, że dziedzic po śmierci żony oszalał. Chodził do kaplicy i oglądał ją w trumnie, w której wyglądała jak śpiąca królewna. Aż w końcu rodzina zabrała mu klucze od kaplicy – opowiada Dominika Gruz. Właściciele dworu w Wilczynie podzielili los wielu ziemian: hitlerowcy zarekwirowali dwór, wypędzili dziedzica Taczanowskiego, ale tuż przed tym zastrzelili na jego oczach syna, Zygmunta.

Dwór Taczanowskich, tak jak majątki innych ziemian, został po wojnie znacjonalizowany. Kazimierz Taczanowski zmarł na początku lat pięćdziesiątych w Warszawie, po wojnie nigdy do Wilczyna nie przyjechał. Janina Strychowska uniknęła małżeństwa z nakazu, co spotkało jej siostrę Bronię. – Prapradziadek wydał ją za swojego kolegę, trzynaście lat starszego od Brońci. Po ślubie za nic nie chciała iść do domu męża, zmusili ją pod jakimś pretekstem, a potem zamknęli na klucz.

To była taka trauma dla całej rodziny, że prababcia zagroziła, że wyjdzie za mąż, tylko jeśli sobie kogoś wybierze. I tak zrobiła – opowiada Dominika Gruz.

Los zadziałał nieprzewidywalnie: Brońcia z niewybranym przez siebie mężem znalazła w małżeństwie szczęście. Mąż Janiny, na stanowisku, bo kierownik mleczarni, wszystkim zarządzał, w tym także Janiną.

– Wymagał od prababci, żeby czekała na niego z obiadem, a nigdy nie było wiadomo, kiedy wróci z pracy, jeśli nie zdążyła, robił jej awantury. I podejrzewała, że ma kobiety. Podobno pradziadek miał gest, szczególnie gdy nabroił. Podarował kiedyś prababci futro z białych królików, ale bardzo się zezłościł, gdy poplamiła je krwią menstruacyjną. Myślę, że życie domowe to raczej nie był żywioł prababci. Miała jedno dziecko, moją babcię Elizę, którą wysłała do szkoły pod opiekę stryja nauczyciela, gdy ta skończyła trzynaście lat. Była już po dziewięćdziesiątce, gdy jeszcze pieliła w ogródku. Mówiła, że na starość ziemia ludzi wzywa, a ogród pozostał jej największą miłością. Czuła się pogodzona z życiem, pamiętam dobrze jej śmiech, ale też potrafiła się wkurzyć, wymachiwała wtedy pięścią. Wyrażała swoje zdanie, nie przejmowała się autorytetami, realnie potrafiła spojrzeć na księży. Należała do silnych kobiet, może nie była wylewna i czuła, ale traktowała mnie jak partnerkę. Noszę po niej pierścionek z bursztynem, który mi zostawiła, nie jest to żaden metal szlachetny, ale lubiła go bardzo. Jednak najcenniejsze, co mi dała, to uwagę i czas, i to, że pozwalała mi być sobą i była mnie ciekawa. Myślę, że ona o mnie mogłaby powiedzieć to samo – wspomina Dominika Gruz.

Wiktoria Figlak, babcia Edmunda Waszyńskiego, znanego leszczyńskiego ginekologa i historyka medycyny, na fotografii z 1930 roku nie ma jeszcze sześćdziesięciu lat, chociaż wygląda na staruszkę. Ubrana w klasyczny biały fartuch, przygarbiona, o zmęczonej twarzy, nie bardzo przypomina kobietę, której credo życiowe brzmiało: „z pokorą i kapeluszem w ręku przejdziesz przez cały świat”.

– Właściwie czym był ten „cały świat” pana babci Wiktorii? – pytam profesora Edmunda Waszyńskiego.

– To Pępowo koło Leszna, tamtejszy dwór państwa Mycielskich i folwark Anielin, w którym babcia pracowała jako wyrobnica. Myślę, że przez całe swoje życie nigdzie indziej nie była – odpowiada profesor.

– Kapelusz trzymała w ręku, nie na głowie? – upewniam się.

– Tak, ponieważ chodziło o to, by okazywać pokorę – wyjaśnia profesor.

Wiktoria Figlak urodziła się w 1872 roku w czworakach dworskich jako córka byłych pańszczyźnianych chłopów. Tutaj umrze, w 1950 roku, już w innym ustroju.

– Zapamiętałem ją jako starszą, pochyloną kobietę z rękami o guzkowatych stawach, prawdopodobnie cierpiała na zaawansowany reumatyzm – opowiada Edmund Waszyński. – Mieszkała razem z czwórką dzieci w dwuizbowym mieszkaniu w czworakach, w którym podłoga wyłożona była cegłami. Czyściło się tę podłogę piaskiem rozprowadzanym miotłą. I w tej zimnicy zapadła na reumatyzm, bo wtedy nie leczono takich rzeczy. Pokręciło babcię, to pokręciło, nikt się tym nie przejmował – opowiada wnuk.



Wiktoria Figlak (po mężu Waszył ska) całe życie mieszkała w czworakach. Na zdjęciu z córkami

Nic dziwnego, że Wiktorię Figlak pokręciło. Mieszkania służby folwarcznej to najczęściej zimne, wilgotne nory. „Domy, przeznaczone dla służby często stoją na takim terenie, przy którego wyborze nie liczono się wcale ani z higieną ani z estetyką, a więc niekiedy blizko sadzawek, gnojówek i niewysychających kałuż – wyjaśniał w 1918 roku na konferencji na temat higieny wsi doktor D.L. – Same domy służbowe są na ogół brzydkie i ponure. Nieraz widuje się budynki gospodarcze, jak:

obory, spichlerze, wozownie, bez porównania ładniejsze od domów folwarcznych. Domy folwarczne są w większości nizkie, bez podmurowania. Stare czworaki zdarza się widzieć tak głęboko wrosłe w ziemię skutkiem próchnienia podwalin, że woda podczas deszczu dostaje się z zewnątrz przez ścianę do mieszkania, a jeśli dach dziurawy, co też bywa, to też tą drogą. Wtedy, podczas ulewy trzeba urządzać wędrówki z łóżkami z miejsca na miejsce".

W Polsce międzywojennej mieszkania służby folwarcznej zostają objęte nadzorem lekarzy powiatowych, którzy domagają się remontów oraz podłóg zamiast klepisk. Ale modernizacja idzie opornie. „Przebudzenie", tygodnik robotników rolnych i leśnych, pisze w 1924 roku, że w Wielkopolsce – a tam stan dworów, jak i w ogóle cywilizacyjny pozostaje dużo lepszy niż w pozostałych regionach – mieszkania dla służby folwarcznej znajdują się w opłakanym stanie. „Nie są to mieszkania, ale rudery jednoizbowe z kamienną lub glinianą posadzką. Okna malutkie, szyby w nich zzieleniałe lub zastąpione wypchanymi szmatami. Ramy spróchniałe, zawiasy przegnite tak, że otworzyć je trudno. Koło domów grupy chlewów, gałęzi i mierzwy (ściółka dla bydła), która czasami leży aż do wysokości okien". Tygodnik zaznacza przy tym, że zupełnie inny poziom higieny przedstawiają budynki należące do niemieckich właścicieli folwarków i z tego między innymi powodu chłopi wolą pracować dla Niemca. Z kolei, jak twierdzi autor tekstu, „skargi na dziedziców polskich, na ich niedbalstwa, nieumiejętności, niezaradności, a szczególnie na niewolnicze traktowanie robotników" podwoiły się od czasu, gdy przybyło wielu dzierżawców ze wschodu i z Galicji. W pozostałych regionach stan czworaków nie przedstawia się lepiej. W 1929 roku na czterdzieści siedem folwarków znajdujących się na terenie powiatu sochaczewskiego na Mazowszu podłogi ma czterysta dwadzieścia mieszkań, a brakuje podłóg w trzystu dwudziestu dziewięciu mieszkaniach. Remonty kosmetyczne właściwie nie mają sensu i prawie się ich nie przeprowadza, bo wiele z tych domów nadaje się jedynie do wyburzenia.

Jeśli chodzi o wystrój pomieszczeń w czworakach, wszystkie izby upodabniają się do siebie według obowiązujących trendów. Na środku stoi stół, parę stołków po kątach i ława, przy której się je. Na ścianach wiszą obrazy religijne, krzyż w cierniowej koronie, w oknie stoi doniczka z czerwoną pelargonią lub kaktusem, zdobi je także muślinowa firanka.

Podczas gdy babcia Edmunda Waszyńskiego pieli na dworskim polu w folwarku Anielin, jej siostrze udaje się dostać pracę w samym dworze Pępowo. Rozległa, siedemnastowieczna barokowa rezydencja, zachowana do dzisiaj w bardzo dobrym stanie, na przełomie XIX i XX wieku należała do rodu Mycielskich.

– W tym właśnie pałacu pracowała siostra mojej babci. Została mamką, czyli karmiła piersią dziecko hrabiostwa Mycielskich. Wygrała coś w rodzaju castingu, bo musiała pokonać jeszcze dwie kandydatki – opowiada profesor Edmund Waszyński.

Wynajmowanie mamek przez kobiety z klas wyższych przez wieki należało do powszechnych zwyczajów. Panie czują się zbyt słabe lub po prostu nie mają ochoty własną piersią karmić dziecka. Autor poczytnej książki *Rady dla mężatek*, doktor Jan Stella-Sawicki, zachęca, aby matki jednak karmiły swoje dzieci, ale też rozumie, że zdarzają się sytuacje, gdy tego robić nie mogą albo skończyły trzydzieści pięć lat i nie powinny, gdyż ich „pokarm nie jest pożywny”. A także gdy zwyczajnie nie chcą, bo mają lepsze rozrywki: „Matka, która nie jest zdolna wyprzeć się uciech światowych dla zdrowia i szczęścia swego dziecka, przenosząca teatry, bale, koncerty i wizyty nad swe obowiązki lub kobieta, której ciężkie obowiązki nie pozwalają pozostawać w domu, nie powinna karmić”.

W tej sytuacji przyjmowano mamkę, młodą dziewczynę, która także właśnie urodziła dziecko, miała więc pokarm i żywiła nim – zwykle przez pół roku lub rok – pańskie dziecko. Dla młodych chłopek taka posada to prawdziwa gratka. Trafiają do warunków luksusowych i jedzą nieporównywalnie lepiej niż w domu, ponieważ trzeba uzyskać jak najwartościowszy pokarm. Nie o to jednak chodzi, aby wyłącznie

siedziały i jadły, ten próżniaczy styl życia mógłby im zaszkodzić, a w efekcie pokarmowi. „Na mamki są najlepsze pracowite i zdrowe wieśniaczki, potrzeba zostawić im wiejskie ich potrawy i zajmować umiarkowaną lecz ciągłą pracą. Niech mamka nosi drzewo i wodę, niech pierze bieliznę dziecięcą i inne niech spełnia usługi, bo lenistwo i brak dostatecznego ruchu wpływa na zgęszczenie pokarmu i zepsucie zdrowia niemowlęcia" – przekonuje doktor Jan Stella-Sawicki. Czyli trochę mamka, a trochę służąca.

Doktor radzi, by karmić dziewczyny cztery razy dziennie, co w chłopskich chatach się prawie nie zdarzało. Oto co powinna jadać mamka pańskiego dziecka: dwa razy dziennie rosół z mięsem, codziennie owoce i warzywa, na śniadanie i kolację mleko z chlebem. Chociaż to nieco monotonne menu, o takim nie mogła nawet pomarzyć w swoim domu.

Skoro cioteczna babcia doktora Waszyńskiego pokonała dwie swoje konkurentki, prawdopodobnie przewyższała je wymaganymi atutami, a według doktora Stelli-Sawickiego były to: wiek (najlepsze to kobiety między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia), cerą (świeża i rumiana), oczy (wesołe), powieki (niezaczerwienione), usta (niespierzchnięte), zęby (białe, zdrowe, bez odoru).

No i najważniejsze: „piersi miernej wielkości, okrągłe, jędrne, niebieskimi przeciągnione żyłkami". Oczywiście kobiety wiejskie górą i najlepiej brunetki. „Kobiety wiejskie należy przenosić nad miejskie, a ciche i nieśmiałe nad żywe i prędkie. Mamki o ciemnym kolorze włosów są lepsze niż rude, bo chociaż mają zwykle mniej mleka, to mleko ich jest pożywniejsze". Liczy się także charakter, najgorsza to ta „namiętnego usposobienia, tęskni za domem lub własnym dzieckiem, złośnica swarliwa, niechędóżna[44] lub nietrzeźwa, kłamliwa lub nieuczciwa, nie powinna być obierana do karmienia waszego dziecka".

Konkurs na mamkę rozstrzygnięty. Udało się. Czy było warto? Dziewczyna zamieszka we dworze, w warunkach, których nie potrafiła

sobie nawet wyobrazić. Ale wyjdzie stąd dopiero po roku, to warunek Mycielskich.

– Chodziło o to, aby nie przyniosła ze sobą jakiejś choroby, ale też by po kryjomu nie karmiła własnego dziecka. Gdy skończyła służbę i wróciła do swojego domu, pierwsze, co zobaczyła, to własne wychudzone dziecko, które wybierało rączkami z garnuszka fasolę – opowiada profesor. – Natomiast wynagrodzona została przez hrabiostwo hojnie: dostała krowę, aby mogła karmić teraz swoje dziecko, oraz ziemniaki, węgiel i gotówkę. A do tego ubranie, które nosiła podczas pobytu we dworze.

W II RP objęto mamki, zwane wówczas karmicielkami, lepszą ochroną prawną. Nie mogły one – według rozporządzenia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej – do szóstego miesiąca karmienia odstawić od piersi własnego dziecka. Odizolowanie mamki, aby nie przyniosła pańskiemu dziecku choroby, nie wchodziło już więc w rachubę, przynajmniej oficjalnie.

Babcia profesora, Wiktoria Figlak, owdowiała bardzo szybko. Jej mąż Antoni skończył zaledwie czterdzieści cztery lata, gdy zabiło go zapalenie płuc. Odtąd będzie musiała radzić sobie sama, by wyżywić piątkę dzieci.

– Robiła to tak: gdy zaczynała się burza, szła w pole, bo wtedy ekonom nie mógł jej przyłapać, i podbierała z pańskiego pola ziemniaki dla dzieci – opowiada wnuk.

Mimo biedy ojcu profesora, Franciszkowi, udaje się wyrwać z folwarku. Po udziale w powstaniu wielkopolskim wyjeżdża w 1924 roku do Dalek koło Gniezna, aby tam się uczyć na uniwersytecie ludowym[45]. Wystarczy pięć miesięcy nauki i już może wejść na drogę awansu: zostaje urzędnikiem w biurze starostwa w Lesznie. Wieś zostawia za sobą, staje się mieszczaninem. Tu wkrótce poznaje przyszłą żonę i wrasta w miasto jeszcze mocniej. Jego żona, a matka profesora, Helena Średnicka, urodziła się w chacie małorolnego chłopa częściowo krytej strzechą, a częściowo dachówką, w Ludwinowie w Wielkopolsce.

Jej ojciec, Józef, o sumiastym wąsie i z fryzurą na jeża, kojarzył się wnukowi z Piłsudskim. – Jego śmierć przepowiedział ptak zwany pójdźką[46] – zapamiętał profesor. – W mojej rodzinie wierzono, że śpiew tego ptaka zapowiada rychłe odejście. Kiedy dziadek odszedł, zrobiono wszystko, aby śmierć nie miała już wstępu do domu. Pamiętam moment zasłaniania luster w domu dziadka, żeby śmierć nie mogła się w nich przejrzeć, i odwracanie krzeseł i stolików do góry nogami, aby śmierć się nie przysiadła do nich na dłużej.

Gdy Edmund Waszyński ma dziewięć lat, w 1939 roku, umiera jego ukochana matka, o której pisze w swojej wspomnieniowej książce: „gdy mnie przytulała, to ze szczęścia traciłem zmysły".

Jego ojciec nie ożeni się już nigdy, odtąd sam będzie zajmował się trójką synów.

– Ojciec dbał, żebyśmy mieli co jeść, pracował, a jak wracał, wołał nas przez okno do domu. Ale właściwie myśmy byli zostawieni sami sobie, trudno powiedzieć, że ojciec nas wychowywał. Nie przypominam sobie, żeby nas pytał: „A co ty będziesz robił w życiu?". Na przykład nigdy mi nie powiedział, że mama marzyła o tym, abym był lekarzem albo księdzem. Dowiedziałem się tego bardzo późno, gdy już od trzydziestu lat pracowałem jako lekarz. Mam poczucie, że tutaj zadział jakiś palec, że ona czuwała nade mną – mówi profesor Waszyński.

Palec być może też zadziałał, jednak nade wszystko w PRL-u marzenie matki profesora miało dużo większe szanse, by się spełnić. W fascynująco napisanych wspomnieniach *Droga do Asklepiejonu* Edmund Waszyński opisuje swoje bogate, wypełnione pasją i pracą życie – kilka dekad jako ordynator oddziału ginekologiczno-położniczego szpitala w Lesznie, choć za największe swoje osiągnięcie uważa uzyskanie stopnia naukowego doktora habilitowanego i tytuł profesora oraz dokonania w zakresie historii medycyny.

„Po porannej wizycie zwykle siadaliśmy przy kawie rozmawialiśmy o samochodach, ktoś się pochwalił, że kupił syrenkę lub wartburga. Paliliśmy papierosy. Tak! To były czasy, kiedy wypadało zapalić. Szef

palił dużo (dr Bogdan Baranowski). Paliliśmy, ba, nawet na sali porodowej, w oczekiwaniu na decyzję szefa: rozwiązujemy rodzącą przy pomocy kleszczy czy cięcia cesarskiego? Tak było w latach sześćdziesiątych" – czytamy w jego wspomnieniach.

Co zdecydowało o jego życiowej drodze, nie tylko zawodowej? O tym, że udało mu się zbudować szczęśliwą rodzinę, fascynować się do końca swoim zawodem, odkrywać i badać osiągnięcia medycyny cały czas z najwyższą ciekawością? Skąd pochodzi jego witalność i gdzie znajdują się korzenie jego pasji poznawczej, ale też otwartości i empatii, która zjednuje mu ludzi i sprawia, że jest jedną z najbardziej szanowanych i lubianych osób w Lesznie?

– Nie wiem zupełnie – mówi profesor. – Skąd się na przykład to wzięło, że mając sześć lat, marzyłem o tym, żeby dostać książkę do nauki niemieckiego i nauczyć się tego języka? Mój brat był zupełnie inny. Nauka go nie interesowała. Dociekliwość, ciekawość świata, to jest mój motor. Ale skąd? Nie potrafię powiedzieć.

Ostatecznie wskazuje na słowa modlitwy żydowskiego średniowiecznego lekarza Majmonidesa, która stała się dla niego przesłaniem, a którą wręczał na koniec egzaminu z historii medycyny wybitnie zdającym studentom: „Niech mnie ożywia miłość do sztuki i Twoich tworów. Nie dopuść, ażeby żądza zysku, gonienie za sławą, zaszczytami wzięły udział w zatrudnianiu moim. Wzmocnij siły serca mojego, ażeby ono gotowe było służyć jednakowo biednemu i bogatemu, dobremu i złemu, przyjacielowi i wrogowi. [...] Udziel mi Boże umiarkowania we wszystkim, tylko nie w poznaniu; w nim niech będę nienasycony i niech daleka będzie we mnie myśl, że wszystko wiem i potrafię".

Wiktorię Figlak folwark nauczył pokory, a Wiktorię Hetmańską buntu. Każdego dnia budzi ją dzwonek, a zaraz potem walenie laską w drzwi i okrzyk stróża: „Józef do koni! Marynia do doju!".

„Te odgłosy ciężkich nóg, zimą w butach z drewnianą podeszwą, nazywanych kujunami, dudnią mi jeszcze dziś w uszach, kiedy o tym myślę. Nocni stróże byli ludźmi starszymi, więc ociężali wlekli po bruku nogi obute w kujuny" – wspomina.

Jeśli to lato, jest czwarta rano, a jeśli zima, piąta. Jej matka, Maria Rynkowska z Wawrzyniaków, wstaje, by wydoić krowy, zanim pójdzie w pole. Ojciec, Józef, przez kilka godzin będzie oporządzał konie, karmił je i czyścił, one przecież są wizytówką fornali. „Po końskim włosiu wielmożny pan poznawał wartość fornala" – pisze Hetmańska w swoich wspomnieniach.

Urodzona w 1902 roku w folwarku Czartoryskich w podpoznańskim Dopiewie spędzi tutaj dziewiętnaście lat, każdego dnia marząc o ucieczce.

Jej los wydaje się przesądzony: córka robotników rolnych w folwarku zaraz do nich dołączy i na zawsze już tam zostanie, tak przecież było od pokoleń. Dzieci pracują tu od dwunastego roku życia. Wszystkie, bez wyjątku. I jeszcze ciocia Frania, siostra matki, która z nimi mieszka, i babcia, ich matka. Trzynaście osób, w tym dziewięcioro dzieci, w jednym trzydziestopięciometrowym pokoju w tak zwanych czworakach. W rzeczywistości były to dziesięcioraki, a każda z dziesięciu rodzin miała taki sam metraż.

Gdy w 1917 roku w Rosji zaczyna się rewolucja bolszewicka, jej echa docierają i do folwarków w Wielkopolsce. Wyrobnicy podnoszą głowy, obszarnicy rozumieją, że mają się czego bać. Do Konarzewa, w sąsiedztwie Dopiewa, z antybolszewickim przemówieniem przyjeżdża hrabina Teresa Czartoryska.

„Nigdy nie zabiłam kurczaka, ale rozdarłabym każdego bolszewika" – mówi do zebranych w kościele chłopów. „Proboszczowi się to nie spodobało i skomentował: «Księżna się zapomniała i wystąpiła niegodnie». Obywatel Drewniak, który wrócił z Westfalii, przemawiał i powiedział: «Księżna pani chciałaby nas robotników łańcuchem przywiązać do koryta». Robotnicy podziwiali jego odwagę, ale uważali

jego wypowiedź za niemoralną, ponieważ mówił on z podniesionymi pięściami – jakby groził takiej władczyni jak Czartoryska” – wspomina Hetmańska.



Żniwa w majątku hrabiego Remigiusza Grocholskiego, rok 1924

Jej rodzina wkrótce przekona się, że pańszczyźniany duch nie opuścił folwarku, choć chłopi w pruskim zaborze zostali od pańszczyzny uwolnieni niemal sześćdziesiąt lat wcześniej.

„Stanisław G.[47] (syn dziedzica) był nosicielem wielu cech czasów poddaństwa. Rozpustnik jakich mało. Wybierał on sobie niektóre pracownice sezonowe, szczególnie takie, co się podobały i które były absolutnie zależne od folwarku. W ten sposób zdobył moją ciotkę Franię, kiedy ojciec został zabrany na wojnę, a ciotka poszła prosić wielmożnego o deputat ze względu na nieletnie dzieci w naszej rodzinie. Uzyskała zgodę i przydział do pracy w charakterze mleczarki. Jej obowiązkiem było pilnowanie udoju mleka, jego czystości, konserwowanie,

gotowanie – sterylizacja kanek do mleka. Po jakimś czasie «jaśnie pan» zabrał ciotkę do siebie na pokojową z warunkiem nocowania w zameczku. Uważano, że jest to awans dla naszej rodziny i samej Frani. Niestety, ten awans nie przyniósł szczęścia. Po kilku miesiącach Frania wróciła do mleczarni. Chorowała. Była to choroba ciężarnej kobiety".

Dwudziestotrzyletnia Frania dobrze wie, co oznacza nieślubne dziecko. Nikt się nad nią nie zlituje, będzie napiętnowana do końca życia. I jej dziecko też. Gdy zaczyna czuć bóle porodowe, wybiega na tory. Matka z babcią doganiają ją i błagają, by „duszy nie oddała szatanowi".

Dziecko, rude jak jego ojciec, rodzi się zdrowe, mimo że Frania podczas ciąży dźwigała w mleczarni pięćdziesięciokilogramowe konwie. Wieś zaczyna Franią gardzić. „Byłam z matką u księdza na plebanii zgłosić chrzest dziecka ciotki. Ileż to nawymyślał zanim przyjął pieniądze na chrzest, matce ciurkiem lały się łzy. Sam ksiądz miał własne dziecko z przystojną dziewczyną z folwarku Konarzewskiego" – wspomina Hetmańska.

Ojciec dziecka skierował tym razem Franię do pracy przy oprzątaniu świń. A ponieważ akuszerka, zgodnie z obowiązującym w Wielkopolsce prawem niemieckim, musiała podać w dokumentach, kto jest ojcem dziecka, Frania, chodząc codziennie do znajdującej się na uboczu chlewni, boi się o swoje życie. Ale ojciec dziecka nie musi się obawiać, już wcześniej wygrał kilka spraw o ojcostwo. I tę także. „Możnowładców ochraniało prawo. Z tym biedota spotykała się na co dzień. Teraz Franią pogardzano w środowisku, tą samą Franią, która była oczytana, którą proszono niemal na wszystkie wesela, bo ładnie śpiewała. Nagle powiało od niej «zło», które izolowało ją od najbliższego środowiska" – wspomina jej siostrzenica.

Wkrótce rodzinę spotyka kolejna tragedia. Sąsiad z czworaków, niosąc widły i grabie na ramieniu, zahacza o drzwi. Grabie spadają mu z ramienia i uderzają dziecko Frani w głowę. Zapalenie mózgu kończy się śmiercią. Frania postanawia usunąć się z folwarku. Jedzie do Poznania na Stary Rynek, gdzie pod figurą św. Jana panie i obszarnicy poszukują dla

siebie dziewek i parobków. Następnego dnia parobek wysłany przez gospodarza zabiera ją do gospodarstwa pod Poznaniem. Frania znika z oczu ludzi, wśród których żyła dwadzieścia kilka lat. Dla dziewczyny złamanej tragedią jej własne środowisko nie ma grama litości. Wykorzystana matka nieślubnego dziecka zasługuje na wzgardę, nie na współczucie.

Wiktoria Hetmańska wyrasta tymczasem na wyrobnicę, ale każdego dnia marzy o ucieczce: „Nigdy nie zapomnę tych lat i dręczących mnie myśli oderwania się od przeklętego folwarku, by zmienić warunki życia, by wreszcie raz być człowiekiem".

Ucieczka się w końcu uda, ale dziewczyna musi poczekać do pełnoletniości, czyli do momentu, gdy skończy dwadzieścia jeden lat. „Długo kombinowałam nad sposobem ucieczki z dopiewczanego folwarku. W domu ciasnota, aż trzeszczało w szwach. Wszystkie dzieci wyrastały i dojrzewały na zaciążników. Nie było mowy o jakimś rozsądnym dogadaniu się z samymi rodzicami («bo jak tylko wyjdzie z domu, to wróci z dzieckiem»). Oj, bronili rodzice tej «cnoty», jak również nie chcieli, żeby ich córka została starą pogardzoną panną z dzieckiem. W domu było ciasno, a wieś przeludniona. Ciemny to był widok na świat".

Jak większość dziewcząt z ubogich wiejskich domów, najpierw zostanie służącą w domu nauczycieli w Poznaniu, a stamtąd odejdzie do poznańskiej fabryki tytoniu przy ul. Raczyńskich, gdzie pracować będzie po dziesięć i dwanaście godzin dziennie. Ale do folwarku już nigdy nie wróci.

Jesienią „na pańskim" potrzebne są kopaczki. Wykopki ziemniaków trwają około trzech tygodni, więc można zarobić trochę grosza. Ale nie każdej udaje się załapać. „Jak czasem baba była mała, to stawała na palcach, bo małych nie chcieli do roboty – wspomina Helena Szybki. – Baby szły na pole z motykami i koszami. Wszystko robiło się ręcznie. Jak się która baba wyrwała do przodu to te z tyłu już ją kliły (klęły), bo czego

się drze na przód, albo jak potem szły do domu to się z nią wadziły". Czasam biorą wszystkich, ale bywają dni, że wraca się do domu bez grosza, bo tyle ludzi się naszło. W południe, kto ma blisko, idzie do domu, kto dalej, siedzi na polu i je, jeżeli ma co. Wieczorem pan wypłaca. Korzyść z wykopków to nie tylko zarobek. Trzeba się jedynie nauczyć tak kopać, żeby do końca nie wykopać. „Ziemniaki zostawały w ziemi a w nocy chodziło się na ciułaki. Ale polowy przeganiał i nie zawsze dało się uciułać" – wspomina Helena Szybki.

Nie tylko polowy zna te numery z ciułakami. W Starym Brusie na Lubelszczyźnie w dzień wykopków na polu zjawia się sam dziedzic. „Kiedy przychodziły kobiety do kopania ziemniaków, pod koniec dnia przychodził dziedzic i sprawdzał, jeśli przeszedł się po zagonie i znalazł niezebrane ziemniaki, nie zapłacił już jej i na następny dzień nie mogła już przyjść" – wspomina Stefania Kołodziej. Jej rodzina z folwarkiem związana jest od trzech pokoleń, tutaj pracował już jej dziadek, Daniel Martyniuk, i według niej rodzina dobrze wspominała dziedzica. „Dobrym gospodarzem był i solidny był, ludzie zawsze na czas otrzymywali swoje ordynarie[48], nie było zastrzeżenia, konie zawsze były ładnie utrzymane". Córka fornala, wspominając po latach folwark, twierdzi także, że jej rodzinie powodziło się całkiem nieźle. „Myśmy nie chodzili tam w trepach na drewnianych podeszwach, bo jakoś tato się postarał, sprzedał zboże i u Żyda zamówił nam buty, tośmy mieli skórzane buty, a kto nie miał, to w trepach chodził, albo w pustołach, z łyka wyplecionych" – opowiada po latach.

Ale urodzona w 1919 roku Julia Hylak z Brusa, wraz z rodziną pracująca w tym samym folwarku, twierdzi, że dziedzic nie cieszył się sympatią wyrobników. „Gnój trzęśliśmy – zapamiętała – raz on przyszedł na to pole, a ten gnój czasem z tygodnia, że nie można roztrząść, a on: «Trząść, trząść, jak nie możesz widłami, to zębami możesz»".

W żniwa na folwarcznych polach zjawiają się też pracownicy sezonowi, zwani bandosami. Dziwne słowo o niejasnym pochodzeniu – bandos, bandoska[49] – oznacza zbędnych, nienależących do żadnego

miejsca, szukających zarobku w folwarkach, czasem zatrzymujących się w danym miejscu na kilka tygodni, a czasem na kilka miesięcy.



W żniwa na folwarcznych polach zjawiają się pracownicy sezonowi. Na zdjęciu wyjazd do pracy

„Poszliśmy pieszo ponad 75–80 kilometrów za Bychawę aż pod Lublin do folwarku Bychawka. Mąż dźwigał na plecach synka, który miał już siedemnaście miesięcy, a ja drugie nosiłam w łonie. Podróż na piechotę strasznie mnie zmęczyła, bolały mnie nogi. Szliśmy boso, szkoda było marnować obuwie” – wspomina bandoska, która w ten sposób znalazła pracę w Bychawce. Był rok 1924. Do mieszkania dostali w czworakach izbę o mokrej, glinianej podłodze, razem z wdową, której dwaj synowie sypiali w stajni.

„Byłam lubiana wśród kobiet – żon fornali i bandosów. Mało która z tych kobiet umiała czytać i pisać, a ja umiałam i niejednej kobiecie pisałam list. Dla nas też była przeznaczona jedna krowa dla paru rodzin, żeby mieć mleko dla siebie i dla dzieci. Ta krowa też się nazywała bandoska, bo była przeznaczona dla bandosów. Ja tę krowę doiłam, dawałam jej łupiny z kartofli i pomyje. Miałam już parkę dzieci

chowanych w folwarcznych czworakach na glinianych podłogach” – wspomina. Wkrótce spotka naszą bohaterkę radość – teść kupi im stary drewniany dom. A raczej zrąb domu, któremu trzeba zrobić dach. „Cieszyłam się bez miary, że już nie będę się nazywała bandoską. Miałam ładną krowę, którą dostałam od mojej mamy na wiano. Szkoda mi było bardzo ją sprzedać. Płakałam za moją żywicielką, ale cóż, trzeba było pieniędzy na majstra, na okna, cegłę, na piec i komin, na łaty, krokwie”.

W kryzysowych latach trzydziestych bandosów przybywa, wielu jeździ na drugi koniec Polski, obszarnikom opłaca się sprowadzać pracowników ze wschodu, z Lubelszczyzny, z Ukrainy. Im można płacić niższą stawkę, a chłopów ze wsi trzymać dzięki temu w ryzach.

W listopadzie 1936 roku reporter „Chłopskiego Życia Gospodarczego” spotyka grupę bandosów w pociągu i relacjonuje: „Pociąg wjeżdża na stację. Okna ostatniego wagonu pełne głów dziewcząt w chusteczkach, odczytują nazwę stacji i liczą, jak daleko do celu podróży, do ich stacji, do ich wsi”.

Duża grupa bandosów – czterdzieści pięć kobiet i trzech chłopaków – wraca do swoich domów na Lubelszczyznę, skąd wyjechała pierwszego kwietnia. Obrabiali, jak mówią, dwa dwory należące do jednego pana – 750 morgów.

„– Jakżesz was tam traktowano? – pytam jednej z dziewczyn.

– Obchodzili się z nami nie najgorzej, tylko, że mało płacili. Dla dziewuch 60 groszy, a dla chłopaków 80.

– A ile godzin żeście pracowali?

– Na godziny się nie liczyło, jeno od świtu do zmroku, tylko była przerwa, jedna godzina na obiad.

– A czy bardzo ciężka była praca?

– Wszystko musiały robić dziewczyny, a chłopaki robili tylko przy koniach, to trochę mieli lżej i z nimi się bardziej liczyli”.

„Spojrzałem ukradkiem na ręce – komentuje reporter – były popękane, a skóra gruba jak podeszwa”.



Kopcowanie w folwarku

Bandoski mówią mu też, że większość oszczędzała pieniądze i przez te pół roku udało im się odłożyć po 40, 50 albo nawet po 70 złotych. Ale że niestety dziedzic zapłacił im tylko za bilet w jedną stronę, więc musiały wydać na powrotny 12 złotych.

Dziewczyna, która rozmawia z reporterem, zwierza się, że po raz pierwszy była na bandosach, do tej pory pracowała bliżej domu „na pańskim", ale u nich na Lubelszczyźnie płacą tylko 40 groszy, więc jeździ się na Pomorze, Mazowsze, gdzie stawki są wyższe. Dziewczyny zorganizowały się grupą, a pochodzą z dwóch wsi.

„A czy wybieracie się w przyszłym roku na bandosy?" – dopytuje reporter na koniec rozmowy. „Chyba jak zapomnimy przez zimę o tych męczarniach, to pójdziemy" – odpowiadają.

„Stacja Niekłań. Wszyscy łapią za swoje paczki, kuferki, tobołki, walizki i wysiadają. Radują się, bo już są u siebie w swoich stronach.

Zapomnieli o ciężkiej pracy, o tym, że wszystko co wypracowali zostało u pana, a oni jadą w łachmanach na pół boso. O tym będą mieli jeszcze czas rozmyślać całą zimę. Teraz cieszą się, że zobaczą swoich, do których tak tęsknili całe lato" – podsumowuje dziennikarz.

W II RP ziemianie mają jednak powody do zmartwień. Od 1919 roku szykuje się parcelacja wielkich majątków (powyżej 60 hektarów), a ziemia ma trafić do chłopów. Planowana reforma budzi ostry sprzeciw obszarników i prawicowych środowisk im sprzyjających, ponieważ, argumentują, po pierwsze „prawo własności jest święte", po drugie są przekonani, że reforma nie rozwiąże problemu braku ziemi na wsi. Głos zabierają także zatroskane ludem ziemianki: „Sprawiedliwość społeczna – Boże, któraż z nas jej nie pragnie. Ale sprawiedliwość fałszywie pojęta lub wypaczona to pusty dźwięk lub co gorsza błyskotka mamiąca rzesze ciemnego ludu, to glina dająca się dowolnie lepić w rękach interpretatorów, to wędka, na którą się łowi dusze na rzecz negatywnych haseł, na rzecz komunizmu. Walczymy o sprawiedliwość, ale o tę, której ramami są Encykliki Papieskie [...], słowem sprawiedliwość ugruntowaną na zasadach etyki i wiary katolickiej" – mówi na zjeździe Solidacji Ziemianek[50] E. Domańska.

Dyskusja jest zażarta, środowiska ludowców i lewicy nie mają wątpliwości, że czas skończyć z wykluczeniem najliczniejszej grupy społecznej, jaką stanowią chłopi. Ponadto – przekonują – jak się chłopu poprawi, wzrośnie popyt i ruszy gospodarka.



Wielkanoc, święcenie jajek we dworze, Tomaszowice, rok 1937

W dyskusję włączają się publicyści oraz intelektualiści, a wśród nich Maria Dąbrowska, wybitna pisarka o szlacheckim rodowodzie, która popiera reformę, więc wyzywana jest przez ziemian od „żydokomuny". Kompletnie się tym nie przejmuje: „Polskę współczesną przenika stanowy duch szlachetczyzny, który odradzając się w coraz to innej postaci hamuje nie tylko należyty, ale jedynie możliwy rozwój Polski jako społeczności i jako narodu, i jako państwa" – odpowiada.

Prasa ziemiańska, kwestionując sens reformy, twierdzi, że parcelacja majątków nie rozwiąże problemów wsi. Dąbrowska uważa, że mimo to ziemia powinna trafić do chłopów jak najszybciej, i tłumaczy, że zaniechanie reformy „byłoby tym samym co nie chcieć komuś dać jeść pod pozorem, że potrzebuje on również pić". Odrzuca też argument ziemiaństwa, że dwory na Kresach Wschodnich [gdzie jest ich najwięcej – przyp. J.K.-F.] podtrzymują polskość, i pyta, w jaki sposób ostoją polskości ma stać się 270 ziemian na Wołyniu, gdy na tym terenie

żyją przecież dwa miliony chłopów? Zwalcza również głoszone przez właścicieli majątków przekonanie, że chłopi nie będą potrafili z ziemi zrobić użytku i ją zmarnują. „Szerzenie więc tak namiętnie poglądu o nieodwołalnej niższości gospodarstw chłopskich, jest najbardziej defetystyczną koncepcją, jaką Polska od swego zmartwychwstania wydała” – stwierdza Dąbrowska.

Na początku lat dwudziestych warstwa obszarników liczy zaledwie 100 tysięcy osób – podczas gdy chłopów w Polsce żyje 17 milionów. Jednak wpływy ziemian są bardzo silne i reforma wciąż jest torpedowana. Przyjęta w 1921 roku konstytucja wprowadza zasadę nienaruszalności majątków prywatnych, co zahamowuje cały proces, i temat powraca dopiero w roku 1925. Zostaje przyjęta ustawa nakazująca parcelację wielkich majątków z odszkodowaniem w cenie rynkowej za grunt. Chłopi zaciągają więc kredyty, których wkrótce, w związku z kryzysem, nie będą mieli jak spłacać. Parcelacja prowadzona intensywnie między 1925 a 1927 rokiem i po roku 1937 zasadniczo nie poprawiła sytuacji, choć najwięcej ziemi zyskali rolnicy najbiedniejsi (trafiło do nich około 64 procent rozparcelowanych terenów). Ale zbyt mało gospodarstw obszarniczych wyprzedało ziemię, by dało się odczuć zmianę. Majątki obszarnicze z 11,5 miliona hektarów zmniejszyły się do 9,2 miliona hektarów, czyli nieznacznie.

Sam zakup gruntu nie był też w stanie poprawić poziomu życia najbiedniejszych chłopów. Michalina C. z Gór Wysokich, ta, której nie było stać na studnię i nosiła wodę z rzeki pod górę, kupiła trzy morgi z parcelacji dworu. Opłaty rozłożono rodzinie na piętnaście lat po 80 złotych rocznie. „Ale na to, aby założyć gospodarstwo, postawić chatę, chlew i stodołę mieliśmy tylko jedną krowę i ręce do pracy. Przecież nasza uciecha, że mamy trzy morgi świętej ziemi była tak wielka, że zaspać słonka nie dała” – wyznała.

„Rządca był Bóg i car” – wspomina Lucyna Sobieska ze Starego Brusa, urodzona w 1923 roku. To zarządcy majątku, czyli ekonoma należy się

bać, a do dziedzica przymilać. Dziedzic jedynie konno, linijką[51] lub bryczką objeżdża majątek, a potem przekazuje swoje zastrzeżenia zarządcy, a w razie konfliktu między służbą a administratorem przyjmuje rolę rozjemcy.

Niektóre folwarki zaczynają przypominać beczki z prochem. Coraz częściej dochodzi do wystąpień służby folwarcznej przeciw fatalnym warunkom zatrudnienia: czasowi pracy, groszowym wynagrodzeniom (kobieta średnio 80 groszy, mężczyzna 1 złoty dziennie), opłakanemu stanowi mieszkań w dworskich czworakach.

Bunt osiąga apogeum podczas strajku w folwarku w Krzeczowicach na Podkarpaciu, gdy 1 lipca 1936 roku strajkujący chłopi żądają chleba, wolności, ziemi i pracy. Policja strzela do strajkujących, a także bije ich kolbami karabinów. Ginie osiem osób, w tym jedna kobieta – Honorata Surmiak.

Rok później w Szynczycach pod Łodzią rozwścieczony tłum zabija rządcę majątku. Wszystko zaczyna się wcześnie rano w środę 10 sierpnia 1937 roku. O siódmej Maria Bednarkowa zanosi śniadanie synowi, który pracuje na dworskim polu. Gdy wraca, zatrzymuje się i zbiera żytnie kłosy. Zwykle tak robi, ponieważ dziedzic się zgadza, żeby biedota zbierała dla siebie resztki zboża po tym, gdy zostanie ono zagrabione dla dworu. Po chwili na polu pojawia się również rządca majątku, Justyn Czarniecki, który dopiero od miesiąca zarządza dobrami państwa Bieleckich.

– Kto ty? – pyta Bednarkową.

– Kowalka – odpowiada kobieta.

Nakazuje jej zostawić kłosy. „Wulgarnie” – zezna potem Bednarkowa. Jednak ona oświadcza, że nie zostawi zboża, a wtedy on podchodzi do niej i ją uderza.

„Na krzyk pobitej nadbiegł jej syn, 28-letni Franciszek Bednarek, kowal z zawodu i pracownik dworu, trzymając w ręku obcęgi” – relacjonuje korespondent gazety „Orędownik”.

Kowal krzyczy do rządcy: „Dlaczego bijesz moją matkę?”, a ten wyjmuje rewolwer i strzela do niego dwa razy. Bednarek pada na ziemię, a Czarniecki ucieka do swojego mieszkania w pałacyku. Niebawem z pól przybiegają chłopi, przenoszą kowala na wóz, by go zawieźć do szpitala w Tuszynie, ale mężczyzna umiera w drodze, więc zawracają.

Pod dwór nadciąga rozsierdzony tłum. Służba folwarczna, okoliczni chłopi, szlochające kobiety, wśród nich Bednarkowa i jej córki. Około dwustu osób.

Do zebranych wychodzi zięć właścicielki majątku, zjawia się też posterunkowy z Czarnocina. „W międzyczasie Czarniecki kazał sobie podać herbatę” – relacjonuje „Orędownik”.

– Zabić go! Zabić go!

Czarniecki słyszy te groźby, zdejmuje flower[52] ze ściany i strzela w szybę. Szkło rozpryskuje się na zebranych. Tłum zaczyna nacierać. Czarniecki próbuje uciekać. Ktoś rzuca w niego cegłą, on podnosi kamień i rzuca w napierających. Czterdziestopięcioletnia kobieta zalewa się krwią. Wtedy go dopadają.

Gdy policja przyjeżdża do majątku, znajduje krwawą miazgę. Czarniecki ma wybite oczy, połamane ręce i nos.

Obok leżą narzędzia zbrodni: kamienie, kawałki drewna i muru. A nieco dalej zwłoki kowala.

Policja ustala, że dwie kule ugodziły go w klatkę piersiową, obustronnie. Oraz że był jedynym żywicielem rodziny. Utrzymywał matkę, ojca, który stracił rękę, dwie siostry i dwóch braci, z których jeden odbywał właśnie służbę wojskową.

O rządcy mówią świadkowie, że bardzo ostro traktował służbę folwarczną, a dzieci skarżyły się, że gdy zbierały trawę, groził im pobiciem.

Policja zatrzymuje pięćdziesięciu uczestników zajść. Wkrótce część zwalnia, ale na ławie oskarżonych zasiądą dwadzieścia dwie osoby, wśród nich Maria Bednarek i jej trzy córki.

Matka kowala zeznaje, że rządca podczas kłótni o kłosy obrzucił ją najordynarniejszymi wyzwiskami i uderzył kilkakrotnie po twarzy. „Gdy ona padła na ziemię począł ją kopać i pokrwawił ją” – czytamy w „Łodzianinie”.

Tadeusz Bielecki, właściciel majątku, opowiedział natomiast, co działo się tuż przed linczem: „Kobiety ogarnęła taka pasja i wpadły w taki paroksyzm szału, że rzucały się na ziemię i gryzły trawę, a widok takich scen podziałał dopingująco na mężczyzn, którzy po długich namysłach i wahaniach dali wreszcie upust rozkiełznanym namiętnościom i zmasakrowali rządcę”.

Spośród oskarżonych tylko jeden przyznał się do winy. Szesnastoletni Mieczysław Sobczyk, siostrzeniec kowala. Zeznał, że widział, jak Bednarkowie biją Czarnieckiego kamieniami. On sam bił go kijem, ale gdy ktoś podał mu widły, uderzył nimi Czarnieckiego dwa razy w plecy.

Sąd z braku dowodów uwalnia większość osób od zarzutów, jedynie sześć skazuje na kary więzienia od roku do sześciu lat. Uznając, że rodzina kowala „działała w warunkach silnego wzruszenia”, skazuje jego matkę na trzy lata, a siostry na cztery lata więzienia.

To koniec historii majątku w Szynczycach. Wkrótce po zajściach zostaje rozparcelowany, a w listopadzie 1938 roku w dworku powstaje szkoła, która działa tam do dzisiaj.

Lincz w Szynczycach to najtragiczniej zakończony zatarg między służbą folwarczną a obszarnikami w II RP, ale jeden z wielu. Konflikt wisi w powietrzu.

Z bronią po swoich polach chodzi także dziedziczka majątku pod Lidą (dzisiejsza Białoruś), hrabina Helena Kajzeringowa. Gdy wynajmuje do zbierania siana miejscowego chłopa Władysława Molisa i dochodzi między nimi do sprzeczki, uznaje, że teraz właśnie może zrobić z broni użytek. Strzela kilka razy w kierunku chłopa. Kula go wprawdzie nie dosięga, ale hrabina trafia na ławę oskarżonych, bo prokurator próbuje wykazać, że jest winna usiłowania zabójstwa. Sąd pierwszej instancji nie podziela tego stanowiska i uniewinnia kobietę. Jednak sąd apelacyjny

zmienia wyrok, ponieważ nowi świadkowie ujawnili, że hrabina zaraz po zajściu podzieliła się uwagą, że żałuje, że nie zabiła niepokornego chłopa. Inny świadek zeznał z kolei, że nie pierwszy raz hrabina użyła broni wobec swoich podwładnych. W 1938 roku zostaje skazana na trzy lata więzienia.

Wprawdzie w konstytucji marcowej z 1921 roku zapisano, że „Rzeczpospolita Polska nie uznaje przywilejów rodowych ani stanowych, jak również żadnych herbów, tytułów rodowych i innych z wyjątkiem naukowych, urzędowych i zawodowych", ale ich społeczne znaczenie nie słabnie. Część ziemian mających na utrzymaniu coraz częściej bankrutujące dwory narzeka, że ciemny lud nic nie rozumie, i żali się, że musi zacisnąć pasa. „W dziejach martyrologii ziemiaństwa, kobieta otrzymała swą piękną rolę, ona nie zawahała się koszta domowe ograniczyć do minimum, ona pierwsza zaczęła jeździć trzecią klasą, ona pierwsza zrezygnowała z drogich sklepów, krawców itp. zaczęła ubierać się w domu, lub w sąsiednim miasteczku" – w „Ziemiance Polskiej" pisze Aleksandra Krusensternowa.

Chociaż obszarnicy ubożeją, przenoszą się do miast, ich wpływy i prestiż pozostają silne, a stosunki z klasami niższymi wciąż oparte na dominacji. „Zachował mi się w pamięci i często mi powracał taki obraz: parobek w kurtce, bez czapki, rozmawiający na deszczu z moim bratem, Januszem, który był w palcie i pod parasolem" – wspominał Witold Gombrowicz, pisarz urodzony w ziemiańskiej rodzinie w Małoszycach w Świętokrzyskiem, i przyznawał, że nienawidził salonu, a uwielbiał po cichu „kredens, kuchnię, stajnię, parobków i dziewki – jakimż marksistą byłem wtedy. [...] Niższość na zawsze stała się moim ideałem. Jeśli kogo uwielbiałem, to niewolnika".



Dożynki w Horyłcu-Zdroju.
Fot. Leon Jarumski

Upadek ziemiaństwa będzie miał burzliwy przebieg, ale to nastąpi już w innym systemie społecznym. Na razie bramy pałacowe czy dworskie na co dzień pozostają zamknięte, ale nawet jeśli się dla dworu nie pracuje, można tu przyjść, gdy ma się sprawę. „Pani poczęstowała nas grubą wędzoną kiełbasą, co mi nawet nie smakowała” – mieszkanka wielkopolskiej wsi wspomina wizytę we dworze, do którego wybrały się z matką, by poprosić o mech potrzebny do wykończenia domu.

„Powiedzieli mamie, że trzeba poprosić panią porucznikową. Tak się stało. Obie z mamą pocałowałyśmy w rękę panią porucznikową. I mech był załatwiony. Mama tak mocno cieszyła się, że aż skakała ze mną z radości". Tym razem przyszły do dworu oficjalnie, przez bramę, ale bywały dni, gdy się skradały. Wczesną wiosną po szczaw, latem po kminek, a jesienią po klonowe liście, które podkładały pod chleb przed włożeniem bochenka do pieca. „Nieraz wyszczuto nas psami" – zapamiętała.

Ale po żniwach bramy dworu otwierane są na oścież. U dziedzica szykuje się zabawa. Orszak z piękną dziewczyną na czele, tradycyjnie dziewicą, ofiaruje dziedzicowi dożynkowy wieniec. Wśród śpiewu dziedzic częstować będzie mężczyzn wódką, a kobiety dostaną do koszyków kiełbasę.

Wkrótce rozpoczną się tańce.

ROZDZIAŁ 11

UCIEKINIERKI

Zaświadczam niniejszym, że Jadwiga Popiołkiewicz uczyła się u mnie gotowania przez cały rok, aż do ślubu mojej córki, której ją dałam za kucharkę. Cenię ją jako osobę sumienną, uczciwą, życzliwą i delikatną.

Janowa Żółtowska Czacz, 1. II. 1937

Sformułowanie „dałam ją za kucharkę”, dosyć feudalne, w rzeczywistości nie oznacza, że Jadzia Popiołkiewiczówna nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Zresztą – nie z Jadzią takie numery. Nie po to uciekła z rodzinnego domu, żeby potem pozbawić się wpływu na własne życie.

– Ojca miała srogiego. Ale jak postanowiła uciec, tak zrobiła i nie pytała go o zgodę. On za nią wołał: „Jadwiniu, wracaj”, ale nie posłuchała. Poszła w świat, który jej rodzinie w małej wiosce Księginki wydawał się przerażający, ale nie jej – opowiada córka Jadwigi, Krystyna, emerytowana urzędniczka.

Krystynie najwyraźniej imponuje odwaga matki, bo za najważniejszą jej fotografię uznaje właśnie tę zrobioną tuż po ucieczce. Żałuje natomiast, że gdzieś w historycznych zawieruchach zaginął zeszyt mamy z przepisami z czasów, gdy gotowała hrabiom Żółtowskim.

– Sarny i bażanty między innymi – wyjaśnia.

Urodzona 30 sierpnia 1912 roku w wielkopolskich Księginkach Jadwiga Popiołkiewiczówna marzy o tym, żeby zostać nauczycielką. To nierealne. Ojciec ma małe gospodarstwo, a dzieci dziewięcioro. Trzy razy owdowiał, każda żona rodzi. Druga, macocha Jadzi, jest siostrą pierwszej żony. To częsta praktyka w chłopskich rodzinach. Gdy umiera matka dzieciom, siostra wychodzi za wdowca i wszystko zostaje w rodzinie.

– Macocha była dla mamy dobra. Chodziło o co innego: o krowy, które trzeba pasać i których miała dosyć. I o to, że aby pójść do kościoła, musiała czekać pod figurą na końcu wsi, aż z mszy będzie wracać jej siostra, która przekaże jej buty – opowiada pani Krystyna.

Kiedy po wielu latach odwiedzi Księginki, pójdzie też zobaczyć tę figurę, pod którą jej matka oddawała buty siostrze, aby teraz ona mogła pójść na mszę.

Tymczasem Jadwiga kończy cztery klasy szkoły powszechnej w Nowym Białczu (stopnie: bardzo dobre i dobre) i być może to wtedy, gdy patrzy na swoją nauczycielkę Helenę Matyaszczykównę, postanawia się uczyć i zostać, jak ona, panią.

Gdy dociera do niej, że ojca nie stać na jej naukę w seminarium nauczycielskim, planuje zostać „chociaż” krawcową. Ale i na to potrzebne są pieniądze: maszyna i nauka fachu kosztują. Trudno, i tak stąd odejdzie, jak tylko osiągnie pełnoletniość, czyli skończy dwadzieścia jeden lat – postanawia.

Najpierw z domu wyjeżdżają jej dwaj starsi bracia, na północ Francji, do kopalni. Do Polski już nie wrócą. Starszy brat przyśle jej torebkę.

Ta francuska torebka to będzie jedyne, co zabierze ze swojego rodzinnego domu.

A w torebce jedną parę majtek i odpinany kołnierzyk do sukienki.

Trafia do pałacu w Czaczu – własności hrabiostwa Ludwiki i Jana Żółtowskich, o których córka Jadwigi, Krystyna, mówi, że wyprowadzili jej matkę na ludzi. Jadwiga będzie do końca swojego życia za nich „zamawiać wypominki”.

Hrabina postanawia wysłać Jadwigę do Poznania, aby się uczyła gotowania pod okiem sióstr szarytek w Szpitalu Przemienienia Pańskiego. Prawdopodobnie, jak większość dziewcząt z chłopskich domów, dotąd tego nie robiła, w domu jadło się prosto: ziemniaki, kaszę, kluski.

– Siostry bardzo ją polubiły i chciały wysłać do Francji, aby wykształcić na zakonnicę. Ale mamie się bardzo w tym zakonie nie

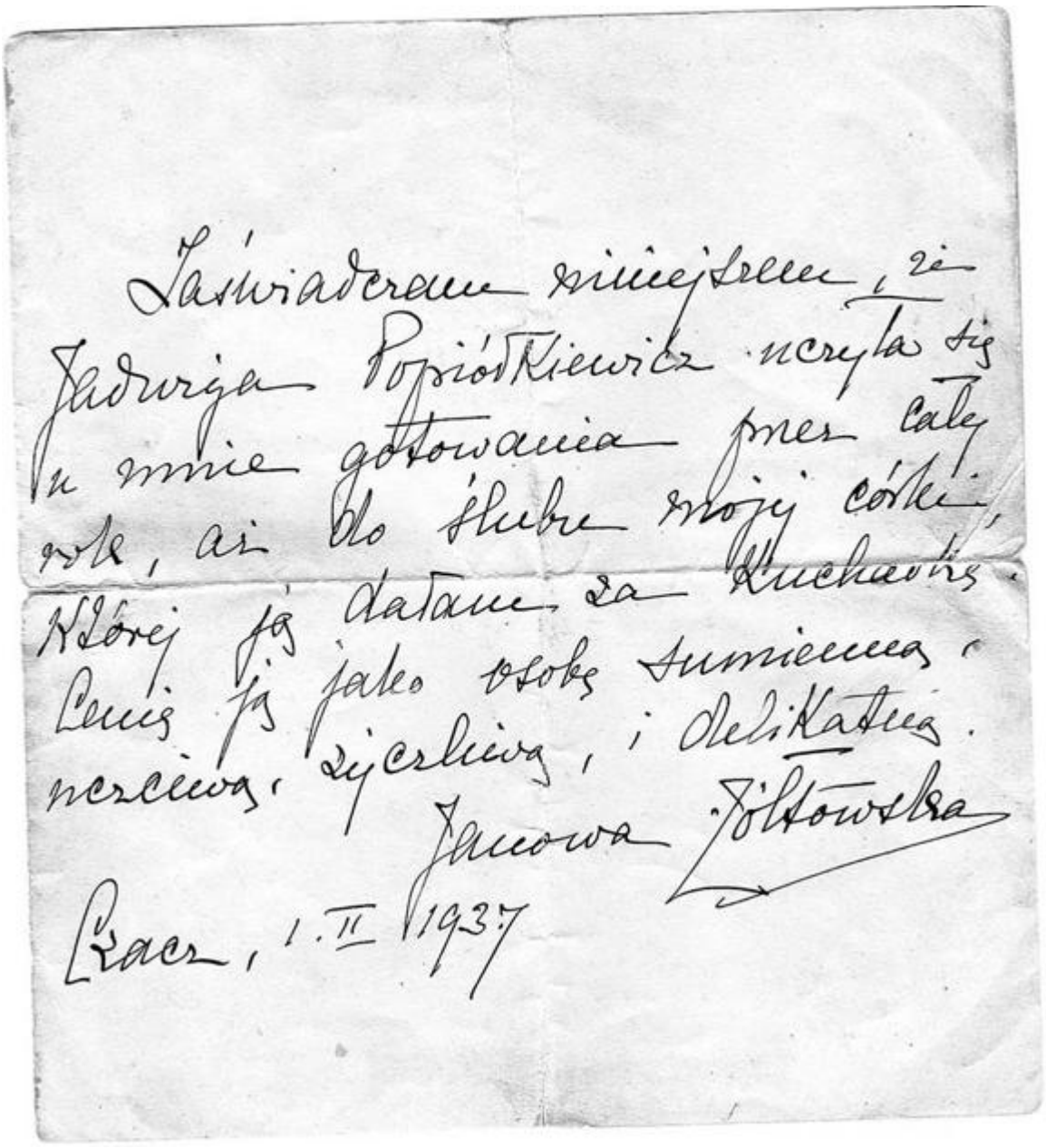
podobało. Zakonnice dzieliły pacjentów na lepszych i gorszych. Obowiązywały trzy stoły i trzy jadłospisy: dla bogatszych pacjentów, dla biedniejszych i dla służby. Zakonnice wydawały dyspozycje: „To idzie na pierwszy stół”. Wtedy rosół miał tłuste oczka i pływała w nim kura. Moja mama brała chochlę i przelewała trochę tego rosołu dla tych z trzeciego stołu.

Jadwiga ma nie tylko wrażliwość i odwagę, ale i pogodę ducha, bez tego trudno się mierzyć z trudnościami.

– Robiła nam różne psikusy. Upiekła kiedyś pączki, postawiła na stole talerz, a między pączkami położyła ziemniaka obsypanego cukrem pudrem. W swoim rodzinnym domu, gdy było świniobicie, ale z jedzeniem mięsa trzeba było poczekać do świąt, poszła do piwnicy, wyjadła mięso z kiszki, a kiszkę nadmuchała. Ojciec, jak postawił miskę z kiszkami na stole i zobaczył, że jedna jest pusta, mówi: „Gdzie jest Jadwinia, dajcie mi ją tutaj”. Od razu wiedział, że to ona. Stale coś psociła, ale widocznie to mu się podobało, bo uważał ją za najlepsze ze swoich dzieci i bardzo żałował, że odeszła.

Jadwiga po nauce gotowania wraca z Poznania do Czacza, do hrabiostwa Żółtowskich.

– Bardzo dobrze się tam czuła. Żółtowscy byli dobrym i czułym małżeństwem. A hrabia mamę ogromnie lubił. Kiedyś zawołał ją i mówi: „Jadwiniu, następnym razem, jak przyjdą goście, to ty nie bądź taka głupia. Bo Władek (lokaj) od razu leci, wszystkim podaje: kapelutek, laseczkę i nadstawia kieszonkę. A ty od razu idziesz sprzątać. Zdążysz posprzątać, nie martw się. Załóż fartuszek i też podawaj płaszcze, zanim Władek to zrobi”.



Jadwinia Popiołkiewiczówna do koł ca życia będzie za hrabiów Żółtowskich „zamawiają wypominki”

Jadwigę zajmuje jednak nie tylko praca. Zakochuje się w stolarzu, z wzajemnością, jak wielką, zaraz się przekonamy.

Tymczasem Róża, córka hrabiów, jedno z ich jedenaściorga dzieci, będzie wkrótce wydawana za arystokratę Jerzego Czetwertyńskiego. Ma się przeprowadzić do domu męża, do Warszawy, na reprezentacyjną ulicę

Frascati nieopodal Łazienek. Młoda mężatka potrzebuje na start zaufanej służby.



Jadwiga Popiołkiewiczówna w Warszawie

Któregoś dnia hrabia Żółtowski pyta Jadzię, czy chciałaby jechać do Warszawy. Nie ją pierwszą, ale inne służące tę propozycję odrzuciły. Warszawa – to brzmi strasznie.

– Bardzo chętnie pojadę – mówi Jadzia hrabiemu z uśmiechem.

– Taką odpowiedź chciałem usłyszeć – odpowiada Jan Żółtowski. – Idź się pakuj.

Jadwiga wyrusza po raz pierwszy do stolicy.

U Róży Czetwertyńskiej pracuje najpierw jako kucharka, a potem pokojowa, czym zasłuży na taką opinię chlebodawczyni:

> Zna pranie, prasowanie, umie podawaą do stołu, utrzymuje czysto mieszkanie, umie czyścią srebro i utrzymywaą ubrania męskie i suknie w porządku. Jest miłego i wesołego usposobienia, jest pracowita, czysta i chętna do pracy, może dostatecznie zastąpią kucharkę.
>
> Róża z Żółtowskich Czetwertył ska
>
> Warszawa, Koszykowa 6 m. 12
>
> Tel. 9-12-15
>
> 1.IV.1938

Nie tylko hrabiowie poznają się na Jadzi.

– Którejś nocy hrabia Jan, który odwiedził córkę na Frascati, zawołał mamę i mówi: „Jadziu, posłuchaj, ktoś gra pod oknem na mandolinie. Czy to czasami nie chodzi o ciebie?”. Mama wyjrzała i zobaczyła swojego narzeczonego z Czacza, Kazimierza, zwanego Kaźmierzem. „Kochasz go?” – spytał hrabia. A gdy mama przytaknęła, zapytał, czy chciałaby, żeby został w Warszawie. „Chciałabym, ale on nie ma nic, pieniędzy, pracy – mówi mama. – Ma tylko mandolinę”.

Hrabia postanawia więc znaleźć chłopakowi zajęcie w stolicy. I znajduje – na poczcie głównej. Ale wcześniej wzywa go na rozmowę, bo musi wiedzieć, kogo rekomenduje.

– Po rozmowie z Kazimierzem zawołał mamę i mówi: „Jadwiniu, ja nie wiem, jakie ty będziesz miała z nim życie. On ma w sobie więcej dobra, niż sam waży”.

I wyprawiają im z hrabiną ślub.

– Szóstego sierpnia 1938 roku w kościele Świętego Aleksandra na placu Trzech Krzyży i potem małe przyjęcie. Z rodziny moich rodziców nikt nie przyjechał. Wiadomo, gdzie oni pojadą, jak nie mają butów ani na

bilet? Byli tylko znajomi rodziców, między innymi koleżanka mamy, Rozalia, też służąca, której pani zmieniła imię na Stefcia, bo Rozalia miała na imię jakaś znajoma dziedziczka.

Po ślubie z Kaźmierzem Jadwiga przestaje pracować jako pokojówka. Teraz prowadzi swój własny dom: wynajęte mieszkanie na Pradze – całe dwanaście metrów kwadratowych.

„Warszawskie służące przeważnie pochodzą ze wsi – pisze Maria Kuncewiczowa w *Dyliżansie warszawskim* – to są dziewczyny i kobiety, które od małego wśród obór i pól marzyły o mieście. O własnych pieniądzach, o własnym łóżku i o własnym, odmiennym losie. O tym, żeby kpić sobie z deszczu i suszy, zapomnieć o grymasach bydląt, o potędze ojca, o cuchnących szmatach małego rodzeństwa". I jeszcze, dorzuca Jadwinia Popiołkiewiczówna ustami swoich potomkiń, o bosych stopach. Przede wszystkim o bosych stopach.

„I matka, i ojciec opuścili swoje wsie w ramach wielkiej wędrówki wyklętych ludów. Zostali wywiedzeni z domu niewoli. Z krainy piachu, głodu i gnoju. Z terytorium wzgardy. Z chamskiej wsi do pańskiego miasta. Żeby zapomnieć o niewolniczym dziedzictwie i żeby nosić buty" – pisze Andrzej Stasiuk w książce *Wschód*.

Lecz to będzie dużo później. Czas, o którym mówimy dzisiaj „mrok stalinizmu", to dla wielu moment największego życiowego przełomu – bezprecedensowego społecznego awansu. Wtedy właśnie popłynie ogromny strumień ludzki z chamskiej wsi do pańskiego miasta.

Na razie trzeba przyjąć swój los harowaczki i poprzestać na marzeniach.

Albo się zbuntować.

Jadwiga Szkraba, ta, którą do szkoły nosił brat w kleconym przez matkę tobołku, najpierw nic z tego sobie nie robiła i cieszyła się, że może się uczyć, ale po pewnym czasie zaczęła odczuwać wstyd, że w szkole wszyscy widzą jej bose stopy.

„Do 8 lat nigdy nie miałam żadnego buta na nodze – można sobie wyobrazić, jak wyglądały moje nogi! Postanowiłam sobie sama poradzić. Kiedy otrzymałam od ojca 6 zł na kupno mąki na chleb, poszłam do znajomego szewca, aby mi zrobił buty. Zaraz mnie pyta podejrzliwie: A masz pieniądze? – Mam – mówię, pokazując mu w zaciśniętej dłoni 5 srebrnych złotych. – A jakie ci tata kazał dać zrobić? Z czerwonej skóry czy z czarnej? Ja mówię, że z czerwonej, bo myślę sobie, ależ będą piękne, a tymczasem czerwone to były z grubego, czerwonego juchtu i ogromnie twarde, ale dla mnie tym lepiej, że były tańsze i pieniędzy mi na nie starczyło” – wspomina Jadwiga Szkraba.

Nie wyjawia, jak zareagował ojciec, który dowiedział się, że pieniądze na chleb przeznaczyła na buty, napomyka tylko, że na samo wspomnienie tego, co działo się potem w domu, skóra jej cierpnie: „Tylko moja kochana matka się nade mną rozpłakała, że muszę kłamać, aby zdobyć jakie buty, ale to było pierwszy i ostatni raz w życiu, bo po tym już, mając 9 lat, chodziłam po służbach pasać ludziom krowy, za co dostawałam stare buty czy sukienki”.

W 1934 roku przywoływany już tu brytyjski turysta, który wylądował na polskiej wsi, był pod wrażeniem widoku, który dla tutejszych jest czymś absolutnie zwyczajnym. „W niedzielę zarówno wieśniak, jak i dziedzic, śpieszą do kościoła. Drogi roją się wówczas od barwnego tłumu. Wędruje się godzinami, niosąc buty w rękach [wyróżnienia w oryginale]. W niektórych okolicach posiadanie konia i wozu świadczy o bogactwie. Zamożny gospodarz jedzie do kościoła drabiniastym wozem, wymoszczonym sianem. Na kupie siana siedzi gospodyni w chuście z czarnej koronki, otoczona gromadką dzieci” – cytował „Nowy Kurier” artykuł z magazynu „Times”.

Po latach Andrzej Stasiuk napisze o tych wyprawach jeszcze inaczej: „Do kościoła mieli siedem kilometrów przez sosnowy las. Szli obok wozu przez głęboki piach. Po kostki, z butami w ręku. Jak Żydzi przez pustynię. Do tej swojej coniedzielnej ziemi obiecanej na dwunastą w południe. Przez suchy las, przez piach, przez te nędzne gleby, kurz

i wiatr. Trzeba było oszczędzać konia, więc dopiero pod koniec, na jako tako ubitym, wsiadało się na wóz. Mój dziadek jak Mojżesz wiodący swój lud i jak Mojżesz nieugięty w swojej wędrówce. Z ziemi egipskiej, z domu niewoli. W każdą niedzielę. Przez całe życie".

Jak to jest marzyć o butach, wiedział dobrze wybitny reporter i pisarz Ryszard Kapuściński. Chociaż nie pochodził z chłopskiej rodziny – jego ojciec był nauczycielem – miał za sobą podobne doświadczenie, bo podczas drugiej wojny światowej sytuacja finansowa jego rodziców znacznie się pogorszyła i buty znalazły się poza jego zasięgiem.

„W lecie chodzę boso i skórę na stopach mam twardą jak rzemień.

Na początku wojny ojciec mi zrobił buty z filcu, ale ojciec nie jest szewcem i buty wyglądają pokracznie, poza tym urosłem i są już ciasne. Marzę o butach mocnych, masywnych, podkutych, które uderzając o bruk, wydają głośny, wyrazisty odgłos. Mocny but był symbolem prestiżu i władzy, symbolem panowania; lichy, podarty but był oznaką poniżenia, piętnem człowieka, któremu odebrano wszelką godność i skazano na nieludzką egzystencję. Mieć mocne buty znaczyło być mocnym, a nawet po prostu być".

Nie miałam dotąd pojęcia o obuwiu przedwojennych chłopek. Jedyne damskie buty kojarzące mi się z okresem dwudziestolecia międzywojennego to skórzane trzewiki, sznurowane, eleganckie, na obcasiku. Takie, jakie mogły nosić siostry Kossak, Maria i Magdalena, o ziemiańskim pochodzeniu lub inteligentki w rodzaju Kazimiery Iłłakowiczówny, poetki, ale także dobrze opłacanej urzędniczki państwowej.

Nie tylko buty, odzież, ale też sposób spędzania wolnego czasu czy wręcz styl życia, jaki znamy z opisów II RP i jaki przyswoiliśmy sobie, uważając go za prawdę o ówczesnej Polsce, dotyczą głównie miast i klas wyższych. Buty ludowe, zabawy wiejskie, chłopskie jedzenie, a więc sprawy dotyczące ponad 70 procent społeczeństwa, nie tylko nie zawładnęły naszą wyobraźnią; mało w ogóle o tym świecie wiemy, a nasze wyobrażenie o nim bardziej ukształtowała cepelia niż

rzeczywistość. Tymczasem rodzinne opowieści niewiele mają wspólnego z folklorem, a dużo z codziennością, która nie przypomina tańca, raczej zmagania i mozół.

– Na zimę dziadek własnoręcznie wyrabiał tak zwane trepy. Z miękkiego drewna liściastego wycinał podeszwy. Dookoła nich rzeźbił rowek. Cholewki robił z jakichś innych starych butów czy też ze ścinków skóry i mocował je za pomocą drutu do wyżłobionego rowka. Wzmacniał jeszcze wszystko gwoździmi. W takich trepach chodziło się zimą. Zakładało się do nich grube wełniane skarpety. Jednym z ich mankamentów było to, że lepił się do nich śnieg – objaśnia córka Marianny Sekiety. Jednak na zdjęciach oglądam wiejskie kobiety także w zwyczajnych czółenkach przypominających współczesne, najczęściej z paseczkiem. Czasem też w trzewikach miejskiego typu lub w zwykłych sznurowanych półbutach. Buty lub ich brak na nogach fotografowanych pomagają odgadywać region, z którego pochodzą uwiecznione na kliszy osoby. Jeżeli na zdjęciu ukazującym wiejską szkołę wszystkie dzieci mają na nogach buty, możemy być niemal pewni, że fotograf uchwycił je na zachodzie Polski lub na Śląsku.

Ale zdjęcia potrafią zmylić. Młoda kobieta w eleganckiej bluzce i spódnicy, koralach i porządnych butach kompletnie nie pasuje do bohaterki opowieści, której właśnie wysłuchałam. Nie dostrzegam biedy w jej stroju. Ale właśnie o to chodzi. Nie mam jej zauważyć, po to przecież kobieta założyła do fotografii swoje odświętne ubranie. Co zaskakujące, w dzisiejszych kategoriach ówczesne ubrania są nie tylko odświętne, ale często i eleganckie: bluzki z żabotami, bufiaste rękawy, sukienki obszyte koronkami. Odświętny strój to klucz do wizerunku naszych przodków, otrzymany wraz z ich fotografiami. Prawdopodobnie każdy, a zwłaszcza kobiety, nawet najbiedniejsze, miał komplet takich ubrań. Jeśli posiadały płaszcz, służył jako okrycie wyłącznie odświętne – na odpusty, do lekarza i kościoła. Na co dzień opatulały się grubą chustą.

Cecylia Kubiakówna ma na sobie białą koszulową bluzkę z szerokim kołnierzem. O jej fryzurze dziś mówimy przedwojenne fale, a wtedy:

ondulacja. Fotografia zrobiona została w Poznaniu, gdzie Cecylia pracuje jako służąca. Wcześniej, w swoim rodzinnym Margoninie chodziła w drewniakach.

– O tych chodakach babcia mówiła po gwarowemu patany. Ze spokojną nienawiścią i wzgardą. Opowiadała, że w marcu było tak ciepło, że do lasu na jagody szło się boso. Czyli te chodaki były zrzucane, jak tylko można było, pewnie niewygodne. Ale to już mój domysł – opowiada wnuczka, krytyczka literacka i redaktorka Eliza Szybowicz.



Cecylia Kubiakówna w okresie służby w poznał skiej piekarni

Cecylia Kubiakówna ma szesnaście lat, gdy ucieka z wielkopolskiej wsi. Ale nie z powodu patanów.

– Jeszcze jej dziadkowie chodzili za pracą od majątku do majątku, a rodzice osiedli i prowadzili małe gospodarstwo, z hodowlą zwierząt, uprawą małego kawałka ziemi, zbieraniem grzybów i jagód na sprzedaż. Miała kilkoro rodzeństwa. Ledwo stanęła na nogi, była przez matkę wykorzystywana do pracy. Kiedy skończyła siedmioklasową szkołę

podstawową i matka zaczęła jej dość gwałtownie wypominać chleb, po którejś kłótni uniosła się honorem, poszła do miejscowej pośredniczki i szybko wyjechała do pracy do Poznania. Pracowała jako służąca w piekarni Kamińskich i ich domu – opowiada wnuczka Cecylii. O samym przebiegu służby nie wie za wiele, bo – jak mówi – babcia umarła, zanim zaczęły jej przychodzić do głowy właściwe pytania, i jak wielu z nas przechowuje zaledwie strzępy rodzinnych wspomnień.

– Gdy przyjechała na służbę do Poznania, za pierwszą wypłatę kupiła sobie kapcie. Resztę wysłała swojej mamie, co opowiadała z moralną wyższością, ponieważ uważała swoją matkę za okrutną. Miasto chyba poznała słabo. Pamiętała pieszą wyprawę do katedry na mszę i krwawiące w nowych butach stopy. To był kawał drogi, bo mieszkała i pracowała na Łazarzu – opowiada Eliza Szybowicz, poznanianka.

Wśród rodzinnych pamiątek przechowuje sztambuch babci. Elegancki, oprawiony, w rodzaju szkolnych pamiętników, modnych także w PRL-u, gdzie koleżanki i koledzy wpisywali rymowanki, złote myśli, mądrości życiowe ku pamięci, dużo rzadziej osobiste wyznania.

W sztambuchu Cecylii Kubiakówny wpisy mają przede wszystkim charakter pouczeń i złotych rad:

> Śmiej się rzadziej wśród ludzi
> płacz tylko w ukryciu
> bądź zawsze lekka w tał cu
> ale nigdy w życiu
> – (W.K.)

Niekiedy brzmią nieco patetycznie:

> Mam trzy prośby do ciebie
> I to bardzo skromne
> kochaj Boga i Ojczyznę
> Nie zapomnij o mnie
> – do grona wspomnień wpisała drogiej Celince Hela.

Innym razem przypominają wyznania miłosne:

> Gdy ja umrę
> gdy ja skonam
> I gdy już nie będzie mnie
> Przewrócą kartkę pamiętnika
> A wspomnisz, że ktoś był, co kochał cię
> – na wieczną pamiątkę wpisała się Gertruda Plewówna.
> Poznań, 7.10.1936.

– Bez względu na to, do jakiej epoki się to odnosiło, babcia wspominała harówkę i trudne chwile i tak też opowiadała o tym czasie, gdy pracowała w Poznaniu jako służąca. A tu widzę, że były jakieś kobiety, którym podsuwała pamiętnik. Chyba coś je musiało łączyć na tyle ważnego, że na to wpadła – komentuje wnuczka Cecylii.


Gdy ja umrę gdy ja skonam
I gdy już nie będzie mnie
Przewrócą kartkę pamiętnika
A wspomnisz że ktoś był co
kochał cię
Na wieczną pamiątkę wpisała
Gertruda Plewówna

Pamiętnik Cecylii Kubiakówny z czasu służby w Poznaniu

Po buty, ale też od potęgi ojca, od okrutnej matki i łóżka dzielonego z rodzeństwem najłatwiej dziewczynom uciec na służbę. Popyt jest ogromny, nie tylko zamożniejsze mieszczaństwo zatrudnia służące, także rzemieślnicy, kupcy, ktokolwiek ma stałe dochody, najmuje „do wszystkiego” lub przynajmniej „przychodnią”, na kilka godzin, niech przyjdzie ugotować i dzieckiem się zająć.

Pod koniec lat trzydziestych w charakterze służących pracuje w Polsce 450 tysięcy osób, z czego 96 procent to kobiety. Rotacja panuje ogromna, jedne odchodzą, drugie zjeżdżają ze wsi. Posady szukają zwykle

w prasie, jeśli potrafią czytać, albo na miejskim targowisku, które pełni funkcję nieoficjalnej giełdy pracy, lub w biurze pośrednictwa.

Pracę służącej można rozpocząć jeszcze tego samego dnia po przyjeździe ze wsi, nawet bez kwalifikacji, panie zwykle same uczą dziewczyny nowych powinności, które polegają na prowadzeniu domu w bardzo szerokim zakresie: gotowaniu, sprzątaniu, robieniu zakupów, a jeśli państwo mają dzieci, także na zajmowaniu się nimi. Te wszystkie obowiązki wykonują tak zwane służące do wszystkiego, najpopularniejsza kategoria służących. W domach zamożniejszych, a także u arystokratów lub burżuazji zwykle służy kilka osób: kucharka, pokojówka, praczka, lokaj, kamerdyner. Ale polskie niezamożne społeczeństwo na ogół może pozwolić sobie tylko na jedną służącą – do wszystkiego.

Dla wiejskiej dziewczyny, która wybrała się ze wsi na służbę, spotkanie z miastem to zwykle szok. „W mieście ludzi pełno, wszędzie tłok, każdy się spieszy i wszędzie chciałby być pierwszy. Człowiek ze wsi nie przyzwyczajony do takiego ruchu w ciżbie ludzkiej rusza się niezręcznie, wszędzie ma mało miejsca. Po mieście trzeba chodzić nie jak po polu, lecz jak po mieszkaniu, nikogo nie popychając i nie potrącając, a jeżeli kogoś przypadkiem potrącimy, trzeba go przeprosić. Wyraz «przepraszam» tak mało kosztuje, a tak wiele mówi o człowieku. Do chodzenia jest chodnik, a jezdnia jest do jeżdżenia” – instruuje doktor Marcin Kacprzak w *Książce gospodyni wiejskiej*. Doktor dobrze rozumie, co może okazać się pokusą dla przyjezdnych. „W mieście mamy pełno pięknych wystaw i wiele pięknych rzeczy do zobaczenia. Nic też dziwnego, że człowiek się tu i ówdzie zatrzymuje, żeby na te dziwy popatrzeć, a trzeba to tak robić, żeby ruchu nie tamować” – przestrzega.



Na przybywające ze wsi do miasta dziewczęta czyhają handlarze żywym towarem. Pomocy przybyszkom udzielają rozmaite towarzystwa kobiece. Dworzec Główny w Warszawie, rok 1925

Ale dla wiejskiej dziewczyny większym zagrożeniem niż witryny sklepowe są ci, którzy wiedzą, jak bardzo jest ona bezbronna: handlarze żywym towarem i alfonsi. Mają to przetestowane, w całej Europie wśród prostytutek największą grupę stanowią byłe służące, które straciły pracę i nie mają dokąd pójść. Ale równie groźny jest moment, gdy wiejska dziewczyna przyjeżdża do miasta i nie wie, co ze sobą zrobić. Z tego powodu w większych miastach na dworcach działają tak zwane misje dworcowe.

W Częstochowie codziennie przez osiem godzin dyżurują trzy panie z oddziału Towarzystwa Ochrony Kobiet, z opaskami na ramieniu, żeby dziewczyny, gdy wysiądą z pociągu ze swoimi kuferkami, wiedziały, do kogo podejść. Ale zwykle to one pierwsze wyławiają z tłumu te, które wydają się pragnąć opieki lub co najmniej informacji. Łatwo poznać, która przyjechała na służbę – z kuferkiem, tobołkami, w chustce na głowie lub okryta kraciastą chustą. Roboty panie mają sporo. W Częstochowie tylko w 1928 roku ponad cztery tysiące dziewcząt znalazło pomoc u aktywistek z Misji Dworcowej, z czego sto czterdzieści osiem trafiło do schroniska dla kobiet, gdzie przeczekały do momentu znalezienia pracy. Czasem kilka dni, a czasem kilkanaście.

Jednym z poważniejszych problemów służących jest ich wyizolowanie. Nie mają środowiska, a w efekcie oparcia, w przypadku problemów i nadużyć w domu chlebodawcy pozostają bezsilne. Wiele z nich ma szesnaście lat lub mniej i nie potrafi się bronić. Wśród nieślubnych matek najwięcej jest właśnie służących.

Polska Misja Dworcowa w Gdańsku

4 grudnia 1937 roku

Mamy sobie za obowiązek donieść o następującej sprawie: Przed kilku dniami 27 ub. m. przyjechała do Misji Dworcowej w Gdańsku 14-letnia Władysława K.[53] z Gdyni bez biletu i wszelkich dokumentów. Do Gdyni przyjechała z Krakowa rzekomo na wezwanie brata swego Piotra, który jednakże jej oświadczył, że musi iść do wojska i pozostawił ją na ulicy. W Krakowie była w kilku posadach, jak u p. Walerii Oleksiejewicz, Zwierzyniecka 26 m 6. Ostatnio była przez » roku u pp. K. 12 m. 8 II piętro, skąd uciekła dlatego, że p. K. z bratem obdarowali ją cukierkami itp. W zamian za to uprawiali z nią nierząd. Gdy dziewczynka poskarżyła się żonie K., ta nie reagowała na to i panowie bawili się nadal z małoletnią. Teraz podobno p. K. przyjęła dziewczynkę 10-letnią, sierotę Andzię, z którą rzekomo ten sam proceder przeprowadzają. [...] Piszę też do Misji Dworcowej w Krakowie, żeby tam na miejscu zbadały panie powyższą sprawę. Dziewczynka na razie zostanie u nas, kazałam ją zbadaą u lekarza. Władysława ma ojca, który rzekomo żyje w nędzy w Zawoji i nie przejmuje się losem najmłodszego dziecka.

Podając powyższe do wiadomości kreślimy się z poważaniem

Polska Misja Dworcowa w M. Gdańsku.

Przed Weroniką Gorzelniak, córką sołtysa wsi Włoszakowice, otwiera się nieco więcej możliwości niż przed jej koleżankami. Ma szesnaście lat, gdy trafia do domu leszczyńskiego starosty Edmunda Zenktelera jako niania trojga dzieci. Czuje się tu bardzo dobrze i nieźle zarabia – 40 złotych miesięcznie. Posada niani należy do dużo atrakcyjniejszych niż „służącej do wszystkiego". „Kolację, przynoszoną na górę przez gosposię, jedliśmy w dziecinnym pokoju, musiałam dopilnować, żeby dzieci niczego nie zostawiały na talerzach. Zazwyczaj nie było z tym żadnego problemu, no chyba, że był to szpinak z jajkiem, wtedy, w tajemnicy przed ich rodzicami, pomagałam im to zjadać" – zdradza. Odchodzi po dwóch latach, gdy dowiaduje się, że w kasynie oficerskim organizowany jest trzymiesięczny kurs gotowania. Praca służącej nie jest wieczna, gdy dziewczyna chce wyjść za mąż i zostać w mieście, potrzebny jest zawód. Nie da się być nianką pańskich dzieci, prowadząc swój dom i opiekując się własnymi. Praca służącej do wszystkiego czy niani wymaga pełnej dyspozycyjności.



Weronika Gorzelniak, córka sołtysa wsi Włoszakowice, ma szesnaście lat, gdy trafia do domu leszczyłskiego starosty Edmunda Zenktelera jako niania trojga dzieci. Czuje się tu bardzo dobrze i nieźle zarabia

Gdy pojawia się propozycja pracy w Warszawie, Weronika chwilę się waha. Pokusa jest ogromna: jako opiekunka do dzieci mogłaby zarabiać w nowej prywatnej szkole 150 złotych, czyli sporo, ostatnio jako pomoc kucharki w Poznaniu dostawała zaledwie 15 złotych. No i stolica –

wiadomo. Jedzie. Bardzo szybko okazuje się, że szkoła wpadła w tarapaty finansowe i Weronika głoduje, ale na pożegnanie dostaje weksel na zakupy w największym w Polsce domu towarowym – u braci Jabłkowskich. Dobre i to, sama z siebie by się tam nigdy nie wybrała. „Poczułam się jak na salonach, ja, prosta dziewczyna z Włoszakowic. Bez grosza w portfelu, ale za to z wekslem na pokaźną sumkę przez krótką chwilę byłam damą" – zapisała po latach we wspomnieniach, które podarowała swoim wnukom.

Jest jesień 1933 roku. Weronika ma dziewiętnaście lat. Kupuje u Jabłkowskich płaszcz zimowy, ostatni krzyk mody, płótno na pościel, firanki i obrusy. Wraca do Włoszakowic. A tu żadnego zajęcia. Nieoczekiwanie zjawia się kawaler, Józek z sąsiedniej wioski.

„Zawsze mu się podobałam, a teraz, kiedy zachorowała mu matka, postanowił się ożenić, by miał się kto zajmować gospodarką" – wspomina.

Odrzuca oświadczyny Józka. Nie ma zamiaru zostać wiejską gospodynią, poznała miasto i życia na wsi już nie chce. Na „nie" trzeba być niezależną. I Weronika taka jest, ponieważ potrafi zarabiać i ma świadomość, że jest w stanie sobie poradzić. Nikogo nie musi pytać o zdanie, nikt jej nie sprzeda za morgi.

Odmawia więc Józkowi i bierze kolejną posadę niańki, musi być gotowa na zmianę miejsc, a nawet miast, to część losu służących. Trafia tym razem do domu burmistrza Bielska Wiktora Przybyły, lekarza. „Mnie i kucharce, pani Anusi z Kępna, przydzielono wspólny pokój na drugim piętrze. Do moich obowiązków, oprócz opieki nad dziećmi, należało porządkowanie ich pokoju oraz sprzątanie sypialni i łazienki pani doktorowej". Pracodawca okazuje się szczodry: „Na gwiazdkę dostałam od niego specjalną premię, za którą sprawiłam sobie przepiękny zimowy płaszcz, a oprócz tego obdarował mnie górą słodyczy, które wysłałam w paczce do domu. Wysyłałam również ubrania i buty dla mojego młodszego rodzeństwa, z których wyrastali Jaś i Zosia, o tym zawsze pamiętała żona pana burmistrza, regularnie przeglądając szafy swoich

dzieci”. Weronika rozumie, że to, co się dzieje w jej życiu, to rodzaj cudu. Podróżuje z rodziną burmistrza do kurortów, chodzi z nimi po górach, wjeżdża kolejką na Kasprowy Wierch, bywa w kinach i teatrach. „Pracowałam, ale jednocześnie wiele się też nauczyłam, zwiedziłam piękne miejsca, poznałam niezwykłych ludzi, których nigdy bym nie spotkała na swojej drodze, gdybym została we Włoszakowicach” – wspomina po latach.

Zdarza się jeszcze jeden cud: spotyka zabójczo pięknego bruneta o imieniu Czesław. „Kiedy na mnie spojrzał, utonęłam w jego oczach” – wyznaje. Zostaje żoną Czesława, prowadzi swój własny dom, zamierzają osiedlić się w Bielsku i wieść miejskie życie, o którym marzyła.



Weronika Bugała z mężem Czesławem

Jej plany niweczy śmierć ojca. Rodzeństwo Weroniki pozostaje bez opieki. Czuje, że nie ma wyjścia, z nowo poślubionym mężem wracają do Włoszakowic. Będzie prowadzić życie, którego nie chciała.

– Poczucie obowiązku zwyciężyło, babcia się po prostu poświęciła dla swojego rodzeństwa – mówi wnuczka, Małgorzata Grądziel. – Dziadek

był słabego zdrowia i cały ciężar prac spoczywał na babci. Często mówiła, że ma ręce do samej ziemi.

Więzi między rodzeństwem w rodzinach wiejskich okazują się często bardzo silne. Poczucie odpowiedzialności, obowiązek opieki i utrzymania młodszych braci i sióstr w przypadku utraty rodziców, konieczność wspierania finansowego i stwarzania możliwości, gdy komuś z rodzeństwa się uda, wydają się koniecznością. Czasem poczucie lojalności wobec rodzeństwa okazuje się tak silne, że wygrywa z własnymi potrzebami. To przypadek Weroniki Gorzelniak.

– A czy miłość do dziadka z początków małżeństwa przetrwała? – pytam wnuczkę Weroniki i Czesława.

– Dzięki miłości i więzi z dziadkiem łatwiej było babci znieść trudy życia, na pewno – odpowiada Małgorzata Grądziel.

Praca służącej może zmienić losy rodziny, jak w przypadku Jadwigi Popiołkiewiczówny, ale może też skończyć się porażką. Niedożywione, często niewyrośnięte dziewczęta nie mają siły, by podołać obowiązkom, które zależą od widzimisię pań. Do 1946 roku w Polsce sytuację służby domowej reguluje prawo odziedziczone po zaborcach, anachroniczne, dające dużą przewagę chlebodawcom, a nawet pozwalające na stosowanie kar cielesnych (acz „nieszkodliwych dla zdrowia"). Służąca ma prawo do wychodnego raz w tygodniu, w niedzielę, a jej praca nie podlega ograniczeniu godzinowemu. Panie stosują na ogół zasadę: płacę, więc wymagam bez taryfy ulgowej. Służąca jest na nogach od szóstej rano do późnego wieczora, a jej sytuacja zależy od tego, do jakiego domu trafiła. „Pani dobra, to i służba dobra" – napisała jedna ze służących w ankietach przygotowanych przez Ministerstwo Opieki Społecznej na początku lat dwudziestych. Z ankiet wynika również, że służące doświadczają upokorzeń rozmaitego rodzaju. Jedzą gorzej niż domownicy, bo część pań prowadzi tak zwane dwa stoły, zgodnie z tradycją ziemiańskich dworów, gdzie domownicy mieli inne menu niż

służba. Narzekają także na urągające godności warunki mieszkaniowe i na to, że są zwalniane pod byle pretekstem.

Zdarza się jednak, że służąca znajduje w domu swoich chlebodawców troskliwą opiekę i odżywa.

Jeśli dobrze trafi, ma nie tylko własne łóżko, ale także pokoik i w końcu je tyle, ile potrzebuje. Kiedy Bronisława Kuc jako siedemnastolatka trafia na służbę do Krakowa, pani rozpoznaje, że coś jest nie tak z jej oczami. Wysyła ją do kliniki i okazuje się, że służąca choruje na jaglicę, ciężką chorobę.

A potem jeszcze, gdy dziewczyna nie miesiączkuje, chlebodawczyni wysyła ją do ginekologa, żeby sprawdził, czy nie jest w ciąży. „Dać temu dziecku odżywienie, a zobaczy pani, co to za zgrabna panna będzie" – powiedział lekarz jej pani. Po pół roku, kiedy się wreszcie Bronisława najadła, dostaje miesiączkę, ale jaglicy nie wyleczy, bo państwo wyjadą z Krakowa.

Następnym razem trafia gorzej, na służbę do inspektora więzienia. Gdy tylko przychodzi, pani zarządza ogromne pranie, na tarze, ale kiedy bielizna wysycha, orzeka: „Będziesz prać jeszcze raz".

Innego dnia posyła Bronisławę po bułki, a potem krzyczy, niezadowolona, że za mało wypieczone, i wysyła ją z reklamacją. „Wyszłam i postałam chwilę w piwnicy i popłakałam nad swoim losem. Obliczyłam czas i przyszłam z tymi bułkami. Obejrzała te bułki i mówi: «Teraz umiałaś wybrać»".

Coraz częściej wiejskie dziewczyny uciekają do fabryk. Nie chcą być nazywane służącymi, to synonim pogardzanej półniewolnicy. Wolałyby być pomocami domowymi lub pracownicami domowymi. Na początku lat dwudziestych z inicjatywy socjalistów opracowany zostaje projekt ustawy o służbie domowej, zakładający nowoczesne rozwiązania, które w istotny sposób mogły zmienić sytuację służących. Między innymi „tylko" dwunastogodzinny czas pracy, zakaz prac ciężkich i niebezpiecznych – tak zwanej froterki nożnej, obowiązek zapewniania godnych warunków do mieszkania. Ustawa głosami posłów chłopskich

zostaje jednak skierowana do prac komisji, skąd już nigdy pod obrady nie wraca. Bogatsi chłopi też mają służące.

Od 1933 roku służba domowa po roku pracy zyskuje prawo do urlopu, pracodawca powinien też służące ubezpieczyć i zameldować. Te przepisy bywają łamane przez zatrudniających służbę. Do końca lat trzydziestych przez prasę przetacza się dyskusja o tym, że czas skończyć z białym niewolnictwem, jakim jest praca służących.

Ale dla chłopek to jedna z niewielu szans, aby wyrwać się ze wsi. Bezrobocie w miastach nie daje wielu możliwości, a ponadto praca służącej chłopskim rodzinom wydaje się bezpieczniejsza niż zajęcie robotnicy, pozbawionej jakiegokolwiek nadzoru, wystawionej na pokusy. W domu państwa znajduje się pod kontrolą, która ma zapobiec niemoralnemu prowadzeniu się, czego rodziny najbardziej się obawiają. W rzeczywistości ta kontrola często zwraca się przeciwko dziewczynom. Warunkiem, aby służąca mogła utrzymać pracę, jest bezwzględne podporządkowanie się państwu.

„Starajmy się spełniać polecenia ściśle tak, jak pani kazała, i wtedy, kiedy pani kazała, czyli bądźmy naszym paniom posłuszne [wyróżnienie w oryginale]. Pani nie jest obowiązana tłumaczyć się nam, dlaczego chce tak, a nie inaczej, zresztą pracownica mogłaby tego czasem nie zrozumieć. Jeśli więc rozkaz został jaki wydany, należy go spełnić, choćby nam wydawał się dziwny" – zaleca Michalina Ulanicka w *Poradniku służby domowej*.

Gdyby Jadwiga Szkraba z Odernego, ta, którą brat w tobołku nosił do szkoły, posłuchała rady Michaliny Ulanickiej, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Jest rok 1933.

„W szesnastym roku życia spodobałam się właścicielce naszej wioski, Halinie Stawiarskiej. Postanowiła mię zabrać do swego majątku w Jedliczu i zatrudnić jako pokojówkę – wspomina w 1961 roku. – Rodzice moi cieszyli się bardzo z tego, że otwiera się przede mną świetny los. Mówili, że jak będę jej słuchać, to może mi dać w posagu nawet

kawałek pola, a to już była kariera! W domu było nas cztery siostry niezamężne, no bo nie było gdzie iść, nie było miejsca, a ja, najmłodsza, i takie szczęście. Myślały, że ja jeszcze im dopomogę, a ja tymczasem w niespełna trzy tygodnie czasu byłam z powrotem w domu".

Na początku wszystko idzie bardzo dobrze: Jadwiga codziennie sprząta pięć pokojów, w których froteruje też podłogi, i obsługuje chorego krewnego hrabiny, ale nie robi to na niej wrażenia, od dziecka jest przyzwyczajona do ciężkiej pracy. Nadchodzi Wielkanoc, więc trafia do kuchni jako pomocnica. Wraz z innymi pięcioma dziewczynami ma zagniatać ciasto i potem zapiekać je w długich korytkach, bo dziedziczka szykuje wielkanocne przysmaki dla służby folwarcznej, a to aż pięćdziesiąt osób.

„Ja poszłam z ochmistrzynią[54] do spiżarki po smalec. Jak mi wydała do dwóch wiader, ja patrzę, a tu robaki w nim jak palce! Mówię: proszę Pani, to trzeba wyrzucić, bo są robaki i strasznie śmierdzi. Ona mi mówi, żeby jej nie robić uwagi, żeby iść do kuchni na górę, smalec podgrzać i przez sito przecedzić, to robaki na sicie zostaną, a służba nic wiedzieć nie będzie. Myślę sobie – niech cię diabli wezmą! Ja tego nie zrobię. Ale mię tak pilnowała, że z tym śmierdzącym smalcem musiałam zarobić ciasto. Myślę sobie: ja już tego świństwa za żadne skarby jeść nie będę. Przecież jestem człowiekiem i jeżeli mam być traktowana gorzej od psa, to wolę jeść suche ziemniaki w swoim domu, bo wszyscy będziemy jeść to samo, a tu służba, która tak ciężko pracuje, tłuszcz zepsuty, a państwo galarety, majonezy, wędliny. Powiedziałam dziewczętom w kuchni o wszystkim, żeby tego nie jadły, a sama na drugi dzień wróciłam za pożyczone pieniądze na pociąg do domu. W domu się bardzo zmartwili, że tak szybko wróciłam, nawet nie zdążyłam zarobić sobie ziemi na posag, ale mówię matce, że wolę iść na drogę kamienie tłuc, niżeli mam być tak traktowana jak pies".

Przygoda z dworem skończyła się bardzo źle. Jadwiga dostała coś w rodzaju wilczego biletu – zarządca w folwarku otrzymał pismo, by jej nie przyjmować „na pańskie", bo to buntowniczka. Okazało się, że po jej

odejściu jeszcze dwie służące zrezygnowały z posady i hrabina została bez pokojówki.

Ale niedługo potem udaje się Jadwidze dostać posadę służącej u kapitanowej z Gorlic. Gdy się tylko pojawia, pani pyta, gdzie ma ubrania. A Jadwiga jedyną sukienkę ma na sobie.

– Dziewczyno, to w czym ty wyjdziesz? – pyta zaskoczona chlebodawczyni.

– Proszę się nie martwić, zawsze czysto będę wyglądać – odpowiada.

Wieczorem, gdy państwo śpią, Jadwiga pierze sukienkę, a rano ją prasuje. Pani, już spokojniejsza, po pewnym czasie ofiarowuje służącej swoje dwie stare sukienki.

Jadwiga dostaje miesięcznie 8 złotych, w Warszawie zarobiłaby trzy razy więcej. Pracy ma mnóstwo: poza zwykłym sprzątaniem i gotowaniem codziennie froteruje cztery pokoje, pieli w ogrodzie i zajmuje się rasowymi psami państwa, których w domu jest jedenaście.

„Nie narzekałam, bo miałam ludzkie traktowanie” – napisze już jako stara kobieta.

Ale po pół roku pracy puchną jej nogi, tak się objawia zapalenie stawów. Wtedy okazuje się, że pani jej nie ubezpieczyła i teraz trzeba płacić za leczenie Jadwigi, czego pani robić nie zamierza. Płaci znajomemu szoferowi, żeby odwiózł Jadwigę do domu, do Odernego. Ale kierowca wysadza dziewczynę kilka kilometrów przed domem.

„Co ja się nacierpiałam bólu, strachu, co stanę na nogi, zrobię z jękiem dwa, trzy kroki, już siadać muszę, a wstać nie mogę. A iść tym bardziej, a tu noc, ciemno. Co ja się napłakałam tą drogą, myślałam – pani dobra była dopóki robiłam jak koń, a teraz postanowiła mnie się pozbyć jak zużyty łachman, w dodatku myślałam, z czym przyjdę do matki i czym jej teraz pomogę, kiedy za te parę złotych co zarobiłam kupiłam sobie buty, których i tak obuć nie będę mogła, bo mam bardzo grube nogi. Kiedy rano mię spotkali pastuchy, goniący krowy na pastwisko, dali znać do domu i ten brat, który mię do szkoły nosił na plecach wyjechał po mnie taczkami. Przeleżałam w domu trzy miesiące. Matka zawijała mi nogę

lnianymi szmatami, polewała kwasem z kapusty i taka była moja kuracja. Buty moje, które tak ciężko nabyłam, znowu zostały sprzedane, bo trzeba było jeść" – pisze we wspomnieniu.

Gdy wyzdrowiała, zbierała jagody, aby je sprzedać. Skończyła osiemnaście lat i wciąż chodziła boso.

Czternastoletnia Genia Mikusek z Kłębowa pod Garwolinem musi pomagać kuzynce matki przy dzieciach. Gospodarstwo jej rodziców, sześć morgów, nie wystarczy, by wyżywić ją i jej trzy siostry. Dlatego najstarsza, Władzia, pracuje Warszawie, a Genia usługuje u rodziny matki.

Okazuje się, że Genia tak naprawdę potrzebna jest tam do katorżniczej pracy przy żniwach. – Ksiądz zobaczył, jak ciężko pracuję, przekazał rodzicom, a gdy moja starsza siostra Władzia się o tym dowiedziała, powiedziała: koniec, zabieram cię do Warszawy – opowiada Genowefa Chmielewska z domu Mikusek, rocznik 1919.

Jej siostra Władzia miała w Warszawie możliwości. Od kilku lat pracowała jako służąca państwa Turskich, urzędników ministerialnych. Zajmowała się nie tylko ich eleganckim mieszkaniem przy ulicy Długiej, tuż przy katedrze wojskowej, ale też dbała o sprawną organizację całego gospodarstwa domowego. Dostawała od państwa pieniądze i zaopatrywała rodzinę we wszystko, co trzeba, mając do pomocy kucharkę, niańkę do dzieci i praczkę. – Bardzo dobrze trafiła, byli to ludzie o wielkim sercu – zapewnia Alicja, siostrzenica Władzi.

Władzia zabiera więc siostrę do Turskich i choć Geni jest tam dobrze, ma swoją małą służbówkę, wkrótce wraca na wieś. Zarobiła na służbie trochę grosza i może nauczyć się fachu: zostanie krawcową. Znów ma fart, Felka Zarembowa, krawcowa, która uczy ją szyć, widzi, że ma do czynienia ze zdolną dziewczyną, i nie żąda wiele: równowartość kilograma masła za każdy miesiąc nauki, i jeszcze oddaje jej maszynę, na kilka rat. Genia uczy się szyć różne cuda, na przykład kożuch, i wkrótce obszywa całą wieś, utrzymując dwie młodsze siostry, bo rodzice jedno po

drugim umierają, zostawiając córki: trzynastoletnią i czternastoletnią. Genia szyć odtąd będzie już do końca swoich dni, co zapewni jej rodzinie niezły byt w PRL-u, a w dodatku wyjdzie szczęśliwie za mąż za zakochanego w niej chłopca, który będzie jej grał pod oknami na harmonii, co najpierw jej nie wzruszy, bo Genia uzna, że to młokos – ona ma dziewiętnaście lat, on szesnaście. Ale po okupacji oboje wydorośleją. Ona zostanie wysłana na roboty do obozu pracy w Meklemburgii, bo jak mówi, biedne chłopy wypłaciły się sołtysowi i ich córki nie musiały jechać, a biedne dziewczyny jak ona musiały.

Pobiorą się z Genkiem tuż po wojnie, gotowi ponieść pewien koszt. – Cały czas pamiętam, jak teść na naszym weselu powiedział: „Myśmy mieli chęć na tamtą". I pokazał na sąsiadkę. Bo chcieli złączyć te dwa gospodarstwa i namawiali Genka, żeby się ożenił z córką sąsiada – opowiada Genowefa Chmielewska. Przyszły mąż, szewc z zawodu, nie przestraszył się jednak groźby wydziedziczenia i przeżyli ze sobą piękne lata. Genowefa została wdową, ale czerpie radość z tego, że może wspomóc finansowo swoją rodzinę, a jeszcze większą z tego, że udało jej się wykształcić dzieci. Ich rodzina, bardzo tradycyjna, jest ze sobą blisko jak w poprzednich pokoleniach: jej członkowie wspierają się wzajemnie. Babcia Genia nad tym wszystkim czuwa ze swoim autorytetem i życiową mądrością. – Ma sto trzy lata i wciąż jest czarującą osobą – mówi o niej wnuczka Joanna Chmielewska-Walczak, a córka Alicja dodaje, że siła mamy wynika z jej nadzwyczajnego spokoju. I wiary. – Nasza mama wszystko potrafi nam wymodlić – zapewnia.

Z Władzią, siostrą Geni, sprawy potoczyły się inaczej. Okupacja zniszczyła dobrobyt państwa, u których służyła. Pan się psychicznie załamał, próbował pracować w fabryce na stróżówce, nie wytrzymał i trafił do szpitala dla nerwowo chorych. Władzia, jak wiele innych służących, zaopiekowała się swoją panią, zabrała ją nawet do rodzinnej wsi, tutaj łatwiej się było wyżywić. Gdy wróciły do Warszawy, zatrudniła się w fabryce Wedla i teraz to ona utrzymywała rodzinę swoich dotychczasowych chlebodawców. Służące, bez których mieszczańskie

domy przed wojną nie mogłyby istnieć, podczas wojny naprawdę stały się nie do zastąpienia, niepraktyczne panie nie potrafiły się bez nich obyć.

Po wojnie Władzia trafi na Ziemie Odzyskane, do tkalni w Bielawie. Za mąż nie wyjdzie. – Po służbie w Warszawie nie potrafiła się już odnaleźć w swoim środowisku. Państwo mieli swoją lożę w teatrze i w cyrku, oddawali Władzi swoje bilety, wypożyczała książki z biblioteki Akcji Katolickiej, była bardzo oczytana. Wybiła się ponad swoje otoczenie i trudno było jej znaleźć kogoś dla siebie – wyjaśnia siostrzenica Władzi, Alicja, pokazując fotografię cioci z okresu warszawskiego, i pyta, czy domyślam się, która to pani, a która służąca. Obie mają na sobie czarne futra. Strzelam i nie trafiam.

Choć powinnam: pani wygląda jednak na bardziej najedzoną.

Jadwinia Popiołkiewiczówna, która wyszła za mąż za Kazimierza i zakończyła służbę u hrabiów, do końca okupacji mieszkała na Pradze w dwunastometrowym mieszkaniu. W marcu 1939 roku urodziła córkę, a gdy hrabina Żółtowska się o tym dowiedziała, przysłała jej wyprawkę dla dziecka. Hrabina zmarła krótko przed wojną.

Cztery lata później urodził się syn Jadwigi. Dzieci nie zapamiętały swojego ojca, Kazimierza, który „miał w sobie więcej dobra, niż sam ważył”. Gestapo złapało go podczas powstania warszawskiego i wywiozło w nieznanym kierunku.

Jadwinia pozostała do końca życia warszawianką, zarabiała jako urzędniczka, przeżyła osiemdziesiąt lat. Czas, gdy pracowała w pałacu u hrabiów, należał do najszczęśliwszych w jej życiu. Gdy po latach odwiedziła swojego ojca w wielkopolskich Księginkach, bardzo się ucieszył, ale gdy zobaczył, że córka ma na sobie letnie buty na koturnach, bez pięt, ówczesny krzyk mody, zapytał zmartwiony: „Nie stać cię, dziecko, nawet na kryte buty?”.

Cecylia Kubiakówna, służąca u poznańskich piekarzy, wyszła za mąż za Jana. Małżeństwo wykluczało na ogół służbę, służąca musiała być

dyspozycyjna od rana do nocy. Wrócili do wielkopolskiego Margonina i do końca życia wiedli życie robotniczo-chłopskie, jak wielu przedwojennych gospodarzy.

– Dziadek pracował najemnie, a przy tym miał kawałek ziemi. Aby go obrobić, wypożyczał maszyny i konie od bogatego sąsiada w zamian za nigdy się niekończący „odrobek", na który oczywiście chodzili oboje z babcią. Babcia tego nienawidziła. Chciała po wojnie iść do pracy jako sprzątaczka w szkole, ale dziadek jej nie pozwolił. Zajmowała się przydomowym gospodarstwem – duży ogród warzywny, w którym zawsze było też jakieś zboże, mak albo ziemniaki, poza tym zwierzęta: owce, dużo drobiu – wspomina Eliza Szybowicz.

Cecylia Kubiakówna, teraz po mężu Kantorska, nie miała sentymentu do swojej młodości, za to zostało jej wiele żalu do matki, przez którą czuła się wykorzystywana w dzieciństwie i jako nastolatka. Służba u piekarzy także kojarzyła jej się z harówką, nieustającym sprzątaniem i praniem. Do końca życia nie uwolniła się od konieczności pracy ponad swoje siły.

Jadwiga Szkraba pozostanie w Odernem do końca swojego życia. Podobnie jak jej matka, wyjdzie za mąż bez miłości. Wcześniej chłopakowi, w którym była z wzajemnością zakochana, rodzina zabrania się z nią zadawać, jest przecież biedaczką.

Rodzi cztery córki, ale dwie najstarsze umrą na krztusiec w odstępie dwóch tygodni – jedna mając trzy miesiące, druga trzy lata. Kolejna zginie w wypadku w wieku dwudziestu czterech lata. Ostatniej Jadwiga pomoże wychowywać dzieci, gdy przedwcześnie umrze jej mąż.



Jadwiga Szkraba pozostała przez całe życie silna i zdeterminowana

Lucy Davis, wnuczka Jadwigi, która od dwudziestu lat mieszka w USA, opowiada: – To babcia trzymała wszystko w garści. Nie wyobrażam sobie siebie bez babci, bez jej siły, hartu ducha i ciepła.

W latach sześćdziesiątych Jadwiga pisze: „Jaka ja jestem wdzięczna Państwu naszemu za ziemię, jaką posiadam i pracuję na swoim, za dach nad głową, za kawałek chleba, którego mi już od końca wojny nie brakuje. Za lekarza, za dentystę, który się opiekuje bezpłatnie moimi dziećmi, za filmy tanie, biblioteki wspaniałe, od których mi się oderwać trudno".

Cieszy się, że udało im się z mężem wyremontować gospodarstwo, które dostali po wysiedlonych Ukraińcach, że hodują konia, krowy, cztery

świnie, owce, gęsi i kury. Ale najbardziej zadowolona jest z tego, że córki mogą się uczyć. „Dwie dziewczynki, które mi żyją, i chodzą do szkoły, to jedna już ukończyła siódmą, a druga chodzi do szóstej klasy. Moje dzieci miały dotychczas więcej butów, niżeli ja przez całe dotychczasowe życie" – notuje.

Do końca pozostaje zdeterminowana, jak wtedy, gdy uparła się, żeby chodzić do szkoły, nawet bez butów, i dzięki pomysłowości mamy była noszona przez brata w tobołku. – W czasie okupacji babcia dziesięć razy uciekła z wywózki na roboty do Niemiec. Ostatnim razem, w Płaszowie, udało jej się przekonać lekarza, aby dał jej zaświadczenie, że jest zakaźnie chora i nie może pracować – relacjonuje wnuczka. – Całe życie mojej babci to wielki dowód na to, jak niesamowicie silne potrafią być kobiety. Holowała przez życie dziadka, schorowanego na astmę, który nie miał siły fizycznie pracować. Sadzała go na konia, żeby chociaż mógł powozić podczas orki czy bronowania, a ona prowadziła pług i orała.

Lucy Davis spośród pamiątek z Polski zabrała na emigrację sukienkę babci Jadwigi z ciemnego, błyszczącego materiału w kolorowe kwiatki. – Sama ją uszyła i ogromnie lubiła, więc wzięłam ją ze sobą, żeby od czasu do czasu na nią popatrzeć – wyznaje. Trafiła do Ameryki, jak mówi, w poszukiwaniu szczęśliwszego miejsca na ziemi niż to, w którym przepłakały większość życia jej prababcia, babcia i mama.

– Może my, kobiety w mojej rodzinie, dopiero w czwartym pokoleniu znalazłyśmy lepsze miejsce dla siebie?

ROZDZIAŁ 12

JA NIE LIKORZ, PAN BÓG LIKORZ

Nie wiem, czy na sto znalazłby jedną zdrową, są to po prostu chodzące wychudłe widma. Dośą spojrzeą w niedzielę w pierwszym – lepszym kościele wiejskim, a każdy może się przekonaą. Klęczą istoty o zapadłych policzkach i przygasłych oczach, to są właśnie gospodynie wiejskie.

Pamiętniki chłopów, 1935 rok

Wiosną 1925 roku we wsi Wieliszew choruje żona Stanisława Stachnika. Początkowo czuła się słabo i z czasem traciła siły, aż w końcu nie wstaje już z łóżka. „Zaczęła opowiadać niestworzone historie” – relacjonuje „Ilustrowana Republika”. Przerażony mąż próbuje ją leczyć u lekarzy warszawskich, ale poprawa nie następuje, za namową niejakiej Ściechowej mężczyzna udaje się więc do znachora.

Znachor Ludwik Organowski, lat siedemdziesiąt pięć, bada mocz chorej przez szkiełko, wypytuje o objawy i ma już jasność: cierpienie Stachnikowej to skutek działania kobiety – czarownicy. Ponieważ nie wie, kim jest owa czarownica, najpierw ordynuje pacjentce przygotowany przez siebie płyn z mchu zeskrobanego z trzech przydrożnych krzyży i wody święconej. „Na drugiej konsultacji zapisał jakieś mocno skomplikowane słone kąpiele i zapowiedział, że Stachnikowa sama powie podczas pierwszej kąpieli, kto ją o chorobę przyprawił. Tak się też stało” – opisuje korespondent gazety.

Mąż chorej zezna potem, że istotnie, podczas kąpieli żona go zawołała i powiedziała:

– Józku, Zdankowa mi to zrobiła.

Zdankowa to żona sołtysa. A mężowi chorej przypomina się, że wiosną sołtysowa wpadła do ich domu, podczas gdy zmawiali pacierz. Tłumaczyła się, że uciekła przed sąsiadem, który ją gonił i chciał pobić. A przecież, uświadamia sobie Stachnik, od tego właśnie czasu zaczęła się choroba żony. Krótko mówiąc, wszystko się zgadza.

Skoro tak, orzeka znachor, nie ma rady, trzeba zdobyć krew sołtysowej i wymazać nią piersi chorej.

– Ale jak zdobyć tę krew? – pyta rodzina chorej.

– Bić po twarzy, aż pójdzie z nosa – doradza znachor.

29 grudnia Stachnik z teściową idą do sołtysowej i grożą: albo odczynisz urok i żona wyzdrowieje, albo przyjdę po ciebie ze szwagrami. Przerażona Zdankowa biegnie ze skargą najpierw do księdza, potem na policję. Wieś już huczy o strasznej wiedźmie sołtysowej. Efektów zdrowotnych nie widać, policja nie interweniuje.

1 stycznia 1926 roku Stachnik z siedmioma chłopami zjawia się w chałupie Zdankowej, a ta ze strachu zgadza się pójść do Stachników. Nie ma pojęcia, co ją czeka. „Kiedy przyszli do mieszkania, zaraz Staszek Stachurka uderzył ją w piersi tak mocno, że padła nieprzytomna na ziemię. Ukląkł i jeszcze trzy razy okrutną bił pięścią. Podbił jej oko, rozciął wargi i wybił dwa zęby. Trysnęła krew, a Stachnik zawołał do teściowej: Podaj miskę! Stara Katarzyna jedną ręką podsunęła jej głowę i zaczęła zbierać krew” – relacjonuje „Ilustrowana Republika”.

Podczas gdy rodzina naciera umoczonymi w krwi sołtysowej szmatami piersi chorej, ona sama zmawia pacierz. Mąż następnie kropi wodą święconą zebranych, a teściowa okadza izbę. Sołtysowa nie jest już potrzebna. Gdy zawiadamia policję, chłopi zostają aresztowani, a czternastu z nich staje przed sądem. W październiku 1926 roku główny oskarżony – znachor Organowski – zostaje skazany na pół roku więzienia, mąż chorej na trzy miesiące, trzy osoby uniewinniono, a pozostali trafiają na miesiąc do więzienia.

„Tak się zakończył sensacyjny proces, który świadczy o ponurych mrokach ciemnoty, w jakiej u wrót samej stolicy są pogrążeni nasi

chłopi” – komentuje „Łódzkie Echo Wieczorne”.

To jedna z wielu spraw związanych z działalnością znachorów, które co jakiś czas wstrząsają opinią publiczną. Kto to widział takie rzeczy w erze samolotów? Któż dzisiaj wierzy w czarownice i ich złe moce? Takie pytania mogą sobie stawiać miastowi, ale nie wieśniacy. Oni dobrze wiedzą, do czego czarownice są zdolne. Psują mleko albo je całkiem zabierają. Potrafią też przewrócić wóz, a nawet konia, kto był tego świadkiem, ten wie. Poza tym nie raz, nie dwa widziano, jak podrzucają pod czyjś dom masło, ale nie takie, jakie jemy, lecz specjalne masło czarownicy, obrzydliwy niby-grzyb, który należy natychmiast spalić w piecu. Powstaje ono w ten sposób: „W wigilię św. Jana udaje się czarownica w nocy na łąki i bierze ze sobą stołek o 4 nogach. Zbiera na wszystkich łąkach trawę pastewną różnego gatunku i kładzie ją na stołku. Potem przystępuje do dojenia stołka pociągając za nogi jego jak za cycki krowy i otrzymuje wielką ilość mleka. Z tego mleka robi masło. Jeżeli chce czarownica zaczarować krowy któryś gospodyni, kładzie pod przycieś stajni trochę masła. Zaczarowanie to trwa tak długo, dopóki to masło nie zostanie odszukane i wyrzucone” – opisuje Jan Cichoń.

Czarownice należą do krajobrazu wiejskiego jak rzeka i pastwiska, istniały od zawsze, a ich tajemnych mocy bali się nawet dziedzice.

„Czarownicami u nas są zwyczajnie stare baby, brzydkie, niemiłe, które więcej samotnie żyją. Ich działanie rozciąga się na czarowanie krów. Krowa zaczarowana gubi powoli mleko, a jeżeli je daje, to takowe jest pomieszane z małą ilością krwi, jak sam widziałem. Z takiego mleka nie będzie masła, bo się nawet zsiąść nie chce” – opisywał Jan Cichoń wprawdzie u schyłku XIX wieku, ale przez następne pół wieku polska wieś aż tak się nie zmieniła, aby stracić czarownice.

Jak w takim razie rozpoznać wiedźmę?

Wieś miała rozmaite teorie, na przykład że czarownica ma „silne oczy”, bo rzuca urok spojrzeniem. Albo czerwone plamy na twarzy i zachowuje się podejrzanie, na przykład nasuwa chustkę na oczy, epatuje nagością lub załatwia się w sposób demonstracyjny.

Tak naprawdę czarownicą mogła jednak okazać się każda. Nawet nasza własna babka, co wcale nie znaczy, że nie były potrzebne żadne zasługi lub talenty. Zwykła, miła dziewczyna, taka, która nie podpada i stara się nie wyróżniać, nie musiała się obawiać.

Babcia Stefana Bajera, czyli starka, jak się nazywa na Śląsku babki, prezentowała się tak jak inne Ślązaczki z początków XX wieku. Może jedynie wyglądała na trochę starszą. – Nie tylko z powodu trudów życia. Postarzały ją też stroje, które nosiła, u nas na Śląsku nazywane wiejskimi: długa ciemna spódnica, bluza z bufiastymi rękawami zapinana pod szyję, na głowie szal, a wszystko ciemnobure – opowiada wnuk, Stefan Bajer, inżynier.

W losach jego starki Marii odbiły się wszystkie perypetie i biedy typowe dla tych ziem i tamtych czasów. Najpierw bała się o męża Janka, który walczył w pierwszej wojnie światowej, na szczęście wrócił szczęśliwie. Udało im się własnymi rękami zbudować na trzech morgach, które dostała w posagu, dom w Ornontowicach – z żużlu, gliny i wapna. Janek dostał pracę w kopalni, całe szczęście – nie da się bowiem wyżywić dziesięcioosobowej rodziny z trzech morgów. Ale zginął w wypadku pod ziemią i odtąd Maria wychowywała dzieci sama.

Maria zasłużyła sobie na pamięć następnych pokoleń tak zwanym patriotycznym czynem – podczas drugiej wojny światowej przechowała sztandar Stowarzyszenia Matek Polek i została ogłoszona bohaterką. Dla wnuka bohaterką została z innego powodu.

– Całe życie zastanawiałem się, jak ona sobie radziła samotnie z ósemką dzieci w tak wielkim niedostatku. I nie wiem – przyznaje.

Amatorsko pisuje opowiadania i wspomnienia. Jedno z nich poświęcił starce Marii, która nie należała do „cichych, pokornych służek". Czy w innym przypadku mogłaby samotnie odchować: Annę, Jorga, Józefa, Trudę, Franciszka, Augusta, Agnieszkę, Martę?

– Staje się wtedy twarda i nieustępliwa – opowiada wnuk, który ze swojego dzieciństwa pamięta, że to do starki Marii należało ostatnie słowo. Stefan Bajer jest przekonany, że to właśnie charakter starki

ściągnął na nią kłopoty z sąsiadką. – Oskarżyła ją o rzucanie uroku. Twierdziła, że gdy jej krowa przejdzie przez graniczny strumyk na pastwisko Marii, to od razu traci mleko. Niewiele brakowało, a doszłoby do samosądu. Gdyby nie ksiądz, który usłyszał plotki o konflikcie, babcia mogła stracić życie. Ksiądz wybijał im z głowy zabobony – opowiada Stefan Bajer i dodaje, że jego starka, choć głęboko religijna, też wierzyła w zabobony. Światy czarów i religii świetnie się uzupełniały.



Stowarzyszenie Matek Polek w Ornontowicach, na dole druga od prawej to Maria Bajer, lata 40.

„Ochrona przed czarownicą polegała głównie na jej zidentyfikowaniu, tak by jej następnie unikać, bądź sprowadzić w celu odczynienia czarów. Rolę w rozpoznawaniu czarownicy odgrywały zwierzęta. Krowa, która przeszła obok czarownicy lub jej domu i nagle «zaryczała okropnie», wskazywała miejsce lub osobę. Czarownica pojawiała się w postaci kota, psa, a najczęściej żaby ropuchy. Złamanie nogi zwierzęciu powodowało, że czarownica-kobieta okulała i można ją przez to

rozpoznać. Wrogi stosunek do żaby ropuchy, w której widziano czarownicę, wyraża powiedzenie: «Bij żabę, bo czarownica idzie». W tym samym celu oblewano żabę wrzątkiem. Czarownica jako ropucha siadała na lipie i darła się podczas dojenia krowy, należało złapać ją i zabić" – czytamy w katalogu do wystawy etnograficznej *Topiec, błąd, liziboże*k *i dziko*. Znane są też inne sposoby: należy wywiercić dziurę w rogu krowim, zawiązać na nim czerwoną wstążeczkę lub kredą poświęconą w Trzech Króli narysować krzyż na głowie krowy.

Czasem trzeba działać szybko i najważniejsze: nie wolno tracić głowy. „Mój mąż Kazik opowiadał, że był świadkiem, jak sąsiadka na Zamłyniu zauroczyła konia – wspomina Lucyna Bogus. – Normalnie jechali razem z ojcem na pole i jak sąsiadka im wyszła na drogę, to koń się przewrócił i cały zrobił się spocony, nie mógł w ogóle wstać. Wtedy ojciec Kazika zdjął but i skarpetą czy onucą potarł nozdrza konia, który za chwilę otrzepał się, wstał i pojechał dalej".

Tu się udało bez ofiar. Gorzej, jeśli tego typu niewinne patenty nie działają, a fiksacja na czarownicy nie mija. W 1934 roku gazeta „Echo" informuje, że we wsi Wysokie koło Strzyżowa na Rzeszowszczyźnie dwudziestoczteroletni parobek Józef Baran zabił siedemdziesięcioletnią Zofię Boroniową. Nie wiadomo, kto i kiedy rozpuścił plotkę, że Boroniowa to czarownica: „Staruszka broniła się, jak mogła. Zaklinała się na wszystkie świętości, że z czarami nic nie ma wspólnego, ale to nie pomagało. Boroniowa była stale nazywana «czarownicą» i mieszkańcy tej wsi unikali jej. Jeśli komuś we wsi zachorowała krowa lub okulał koń, wówczas na głowę staruszki spadał grad przekleństw". Również parobek Józef Baran, który jak twierdzi gazeta, „był niespełna rozumu", gdy mu się pogorszyło, uznał, że to właśnie Boroniowa rzuciła na niego urok. Kilkakrotnie napadał na staruszkę, ale tej za każdym razem udawało się ujść z życiem. „Wreszcie umysłowo chory postanowił definitywnie skończyć z rzekomą czarownicą. Od sąsiada wziął ucięty karabin i poszedł z nim do mieszkania Boroniowej. Staruszka, widząc parobka uzbrojonego w karabin, uciekła w pole i schowała się za stogiem słomy.

Prześladowca jej pobiegł za nią. Odszukał ją pod stogiem i oddał do niej 2 strzały, raniąc ją śmiertelnie w pierś. Od strzałów zajął się stóg słomy, a następnie drugi, stojący opodal, i oba stogi doszczętnie spłonęły".

Jak informuje gazeta, Boroniowa została przewieziona do szpitala, ale nie udało się jej już uratować. To, co szokuje prasę i miasto, dla lekarzy wiejskich jest chlebem powszednim. Doktor Tadeusz Skorecki, jeden z autorów *Pamiętników lekarzy*, pisze w 1938 roku, że zabobon na polskiej wsi tak silnie wciąż tkwi korzeniami, że „lekarz musi nieraz machnąć ręką i zostawić chorego z jego wiarą w nonsens, bo gdyby tracił czas na długie perswazje, straciłby nieraz okazję do uratowania chorego". Zresztą, przekonuje, w każdych sferach przesądy i magia są obecne, tylko na inny sposób. „Chłop będzie zarzynał czarną kurę w czasie nowiu księżyca o dwunastej w nocy, profesor będzie robił okłady z magnetyzowanej wody" – twierdzi.

Wieś wciąż słyszy zewsząd, że zacofana, ciemna, brudna i niekulturalna. „Nie ma prawie podwórza na wsi, na którem nie leżałyby rozbite miski, dzbanki, rondelki, imbryki blaszane i emaljowane, szczątki zardzewiałych kubłów i kwart. Instruktorki organizując kursy nieraz w całej wsi poszukują na próżno blach do ciasta, lejka albo tarki, a gdy jedna z gospodyń nabędzie jakiś sprzęt, to cała wieś pożycza go od niej" – pisze Maria Karczewska w 1934 roku w „Przodownicy".



Wieś Ostrów Szlachecki w Małopolsce, rok 1930

Ale najgorzej, gdy inteligentka wyjedzie za granicę. Wraca do Polski i nie może się pozbierać. Doświadczyła tego Irena Szumlakowska, współpracowniczka „Przodownicy", która wyruszyła do Szwajcarii i powróciła olśniona: „Pierwsze wrażenie, gdy się przekracza naszą granicę, to ta dziwna nieuprzejmość i niegrzeczność jednych, względem drugich. Po prostu jeden człowiek patrzy wilkiem na drugiego, nikt się do drugiego nie uśmiechnie, nikt nikomu ani nie ustąpi, ani w niczem nie pomoże. [...] Jakżeż inaczej zachowuje się ludność innych krajów, a zwłaszcza Szwajcarii. Czuje się tam otoczonym życzliwością i chęcią przyjścia z pomocą. W sklepie nie wypuszczą kupującego bez otworzenia mu drzwi i pożegnania. [...] Jeśli więc kobiety polskie nie będą się starały wśród swego otoczenia i swych dzieci wyrabiać grzeczność, uczciwość, uprzejmość dla ludzi i życzliwość dla zwierząt i roślin to nie przyczynią się do tego, by nasz naród mógł zaliczać się do najkulturalniejszych".

Czytelniczki pism dla kobiet wiejskich nie bardzo wiedzą, o co tym paniom chodzi. Estetyka czy savoir-vivre nie należą do ich największych problemów. Oczywiście, rozumieją, że powinny być lepiej zorganizowane, zadbane i uśmiechnięte i że to na nich spoczywa odpowiedzialność za wychowanie narodu. Mają jednak trochę większe zmartwienia. Po kolejnych pouczeniach rada kobiet ze wsi Gidle pod Radomskiem przysyła do „Przodownicy" list, w którym tłumaczą:

„Redebyśmy mieć kurki, a kurka, żeby zniosła 130 jajek na rok, radebyśmy mieć ogródki warzywne, owocowe i kwiatowe, a w chacie, aby było schludnie i miło. Ale taka to dola i niedola gospodyni wiejskiej – że pracuje ona od świtu do późnej nocy, i aż serce się ściska, patrząc na nasze dzieci przez te roboty zaniedbane. Dziecko, które chodzi do szkoły, samo sobie da radę, a często pracą i w polu zajęte. Maleństwo bierze się w chustkę i w polu na drążkach wiesza, jak zdrowe, to śpi, albo sobie w niebo spoziera i robota idzie raźno. Ale największa bieda to z tymi średniakami, co to za głupie, żeby zostało same, a za mądre, żeby usiedziało na miejscu. Dlatego wołamy: chcemy ochronek. Choćby takich na lato, na czas najgorętszych robót".

Druga ich bolączka, piszą, to brak możliwości kąpieli podczas zimowych miesięcy. „W lecie wypluskamy się do syta w rzece, ale za to w zimie markotno. Prysznice nam się nie bardzo nadają, bo często bywa 1 izba, a ludzi kilkoro. Zdałyby się nam łaźnie po wsiach, a choćby i jedna wanna przy Kole [kole gospodyń wiejskich – przyp. J.K.-F.]".

Na razie zostaje rzeka, jeśli płynie w pobliżu, a jeśli nie, to balia lub misa do polewania wodą. Brakuje również toalet, wciąż praktykuje się „zastodole". Aż w końcu władza w osobie Felicjana Sławoja Składkowskiego, lekarza i ministra spraw wewnętrznych, mówi: basta. Wychodek od 1928 roku staje się obowiązkowy. Jedni się przejmują i wystawiają piękne budki z dziurą, inni coś klecą, byleby się władza odczepiła, ale wszyscy nazywają wychodek sławojką, na cześć pana ministra.



Pranie w rzekach i stawach to nie tylko mordęga kobiet, ale też przyczyna wielu chorób. 1937 rok

Polska regionalnie różni się znacznie. Pod koniec lat trzydziestych rząd ogłasza, że nasz kraj jest trzyliterowy. Kto jest mieszkańcem Polski A, czyli tej bardziej rozwiniętej, zwłaszcza na zachodzie, ten głodny raczej nie chodzi, a i lepiej mieszka. Tutaj 70 procent budynków to domy murowane. W centralnej Polsce to tylko 11 procent, a na wschodzie zaledwie 1,4 procent. Elektryczność do 1939 roku ma zaledwie 3 procent wszystkich gmin i z tego większość na zachodzie, ale i tu niewiele, dziesięć wsi. Lampa naftowa to podstawowe źródło światła w chłopskich chatach. „Dobrze paląca się, jasna lampa, to konieczność każdego domu. Dbać o to winna każda gospodyni, każda matka; w oświetlonym mieszkaniu wytwarza się nastrój, w którym wszyscy dobrze się czują, łatwo przychodzi chęć do pracy i nauki. W mroku zaś rodzi się lenistwo, ciemność i zło – przekonuje «Przodownica». – Te więc kilkanaście złotych, wydane w ciągu zimy na naftę, to kapitał włożony do umysłu i duszy rodziny – na wysoki procent. Ażeby widno było w izbie, lampa

choć nr. 7 lub 10 winna być umieszczona na środku pokoju, nad stołem, przy którym miejsce znaleźć by mogła cała rodzina”.

Nieporęt, szesnaście kilometrów w linii prostej na północ od Warszawy, w roku 1930 należy do wsi bogatych. Mają tu szkołę, kościół, ajencję pocztową, ośrodek zdrowia, remizę, karczmę, piekarnię i kilka sklepów spożywczych. Mieszkańcy w czasie deszczu brodzą między tym wszystkim w głębokich kałużach. Niebrukowane drogi są w stanie fatalnym, większość bez ogrodzenia, a podwórza zalane gnojówką. Żadnej z zagród nie zdobią kwiaty ani drzewa.

224 rodziny, które tu mieszkają, posiadają:

193 książki (w tym 93 książeczki do nabożeł stwa i 15 książek rolniczych)
27 maszyn do szycia
7 rowerów
93 zegary

Dodatkowo 55 rodzin ma papier, atrament, obsadkę i ołówek, a 3 rodziny prenumerują gazety.

Ponadto mniej niż połowa rodzin posiada mydło, a co czwarta rodzina nie ma ustępu. Ci z kolei, którzy wychodek postawili, zrobili go z byle czego i jest on tak mały, że aż trudno uwierzyć, że ktokolwiek z niego korzysta.

Zaniedbań na wsi jest tyle, że higieniści nie wiedzą, od czego zacząć. Może więc niech lud najpierw się wykąpie? W Nieporęcie łaźni nie ma ani jednej, więc młodzi myją się latem w pobliskim Kanale Królewskim, ale starzy tylko dwa razy do roku w domu, przy użyciu balii.

„Kąpiel nikogo nie hańbi, choćby miał lat 50 i więcej, dlatego też każdy człowiek przynajmniej w lecie powinien się kąpać, a jak dotąd na wsi jest to jedyny sposób wymycia się porządnie (trzeba tylko używać mydła) – czytamy w *Książce gospodyni wiejskiej*. – Przynajmniej parę razy do roku może to zrobić każdy: i dziecko i człowiek dorosły i mężczyzna i kobieta, tylko w różnych miejscach stawu lub rzeczułki i o różnych porach dnia”.

Kolejna batalia higienistów toczy się o kołtuna. Znany od wieków potwór ze splątanych włosów, przypominający korzeń, przysparza niemałych problemów. Mówią bowiem starzy ludzie, że obcięty przez przypadkową osobę potrafi sprowadzić na jego właściciela ślepotę albo może też niewinnego człowieka pokręcić. Kołtun to choroba, której trzeba się bać i najlepiej go nie dotykać. Chyba że trafi się na kogoś właściwego, kto kołtun zetnie, ale tragedii na chorą, bo najczęściej chorują na kołtuna kobiety, nie sprowadzi.

Mieszkańcy Krzyżewa na Podlasiu mają szczęście. Trafiła im się ekscentryczna dziedziczka Stefania Karpowiczówna, stara panna samotnie zarządzająca majątkiem, która po malarskich studiach w Monachium wróciła na Podlasie, ponieważ jak mówiła, postanowiła stać się malarką innego rodzaju, taką, „która by choć odrobinę przemalowała własny kraj na jaśniejsze barwy". Założy szkołę rolniczą dla chłopów na wzór duński, lecz być może większą jej zasługą było dosłowne wzięcie w swoje ręce kołtunów polskich, a dokładnie podlaskich. Rozniosła się wieść, że po energicznym i bezdyskusyjnym wyrżnięciu kołtuna przez hrabinę wszyscy zdrowi. Do dworu dziedziczki Karpowiczówny zjeżdżały tłumy, więc by ściąć kołtun, trzeba było odstać swoje w kolejce, o czym do dziś się pamięta.

„Z chorobą kołtun nie ma nic wspólnego, tylko z brudem i niechlujstwem" – twierdzi doktor Marcin Kacprzak, jeden z najsłynniejszych higienistów II RP.

Z kolei anonimowy lekarz podpisany „Przyjaciel zdrowia ludu" w czasopiśmie „Gospodyni Wiejska" tłumaczy: „Niechętni nam obcokrajowcy, szczególnie Niemcy uważają kołtun jako właściwą cechę niechlujstwa Polaków, szydzą z nas i mianują chorobę tę jako kołtun polski (*plica polonica*). Nie potrzebuję was zachęcać, aby ten upokarzający nas przesąd zwalczać i tępić jak najenergiczniej. Cel ten można osiągnąć przez uświadomienie i podniesienie ludu naszego do wyższej kultury". Ale nie jest to proste. Lud czuje się bowiem rozdarty między nową, naukową wiedzą a tradycją i tym, o czym dziadowie

mówili, a nawet czego doświadczyli. Wielu wciąż kołtuna nie ruszy, póki nie znajdzie właściwej osoby, która go zetnie, nie powodując tragedii.

Kacper Pobłocki w eseju historycznym *Chamstwo* pisze o kołtunie, że był on chorobą zupełnej podległości, a jednocześnie metodą stawiania oporu, i że w XVIII wieku dwie trzecie mazowieckich chłopów było kołtunowatych. „Dla państwa kołtun stał się ucieleśnieniem niedbalstwa i zbydlęcenia. To był ten brud, który odstręczał, który stanowił namacalny dowód na to, że chamstwo śmierdzi, że to są całkiem inne istoty. W dodatku same sobie winne: przecież umyć się, zadbać o podstawową higienę może każdy. Z punktu widzenia dworu kołtun był chorobą, podobnie jak plaga pijaństwa. W rzeczywistości kołtun był lekarstwem, podobnie jak ludowe muzykowanie i taniec. Pozwalał uporać się z upodleniem, jakiego doświadczano na co dzień w Polszczy" – twierdzi Pobłocki.

Doktor Stefan Giebocki, lekarz praktykujący długie lata wśród ludności wiejskiej i robotniczej w II RP, różnił się w opinii na temat kołtuna z lekarzami, którzy wyśmiewali lud i uważali, że kołtun równa się brud i niechlujstwo.

„Nie jest to prawdą – zapewnia w *Pamiętniku* na konkurs lekarzy – gdyż widziałem tworzenie się kołtuna u kobiet bardzo czystych, u których mowy nie było o wszawicy". Zdaniem doktora kołtun powstawał pod wpływem długotrwałych chorób, w czasie których skóra wydziela tłusty pot i łupież, które sklejają włosy i tworzą coś w rodzaju filcowego czepka. Według Giebockiego jedną z takich chorób skutkujących kołtunem jest neurastenia, czyli choroba nerwów, na którą chorują kobiety. „Chora taka – tłumaczy – aczkolwiek ma organy wewnętrzne zdrowe, ma jednak tak osłabioną wolę i nerwy, iż gdy wstanie z łóżka – to wydaje jej się, że lada chwila upadnie, ze strachu dostaje zawrotu głowy, a skóra przyzwyczajona do ciepła od leżenia pod pierzyną – marznie, gdy chora próbuje łóżko opuścić".

To dlatego, dowodzi lekarz, gdy chorej obcina się kołtun, rzeczywiście może ona marznąć i odczuwać ból głowy.

– Moja babcia ze strony ojca, której nigdy nie poznałam, umarła młodo podobno na tajemniczą chorobę, o której mówili: kołtun. Miała bujne, czarne, kręcone włosy i one jej się zbiły, tworząc coś takiego, co dzisiaj młodzi noszą. Dredy czy jakoś tak. Podobno, kiedy babci się to zrobiło, leżała, bladła, marniała, aż umarła – opowiada Danuta Makowska, której rodzina pochodziła z okolic Gostynia na Mazowszu.

Być może doktor Giebocki lepiej rozumiał lud od innych lekarzy, a kołtun miał mniej tajemne pochodzenie, niż się chłopom wydawało? Może owa neurastenia, o której mówił doktor, to po prostu odmowa życia? Niewerbalizowane nigdy poczucie beznadziei? Skutek przeciążenia bezowocną często pracą i lęku o przyszłość swojej rodziny? Może kołtun manifestował niezgodę na życie, na które właściwie nie miało się wpływu? Można było jedynie stracić do niego siłę, wyzbyć się wszystkich czynności życiowych, a więc również mycia. Wyhodować kołtun. I po prostu czekać na śmierć.

Higieniści nie mają chwili wytchnienia. Może już czas, by wiejska kobieta zaczęła nosić majtki? „Bieliznę trzeba nosić tak w lecie, jak i w zimie – to znowu porada z *Książki gospodyni wiejskiej*. – Na wsi u nas często, szczególnie w lecie, nosi się tylko koszule. Dolna bielizna nie jest zbytkiem, a w zimie staje się koniecznością. Dotyczy to tak samo mężczyzn, jak i kobiet. Bardzo być może, że często choroby kobiece wśród naszych gospodyń wiejskich tłumaczą się przeziębieniami. Trudno się nie przeziębić, jeśli dolna połowa ciała jest od dołu zupełnie odkryta, bo całe ubranie składa się tylko z koszuli i spódnicy”.

Autorzy poradnika zachęcają, żeby zmieniać bieliznę i onuce raz w tygodniu, a także dbać o odzież, nie rzucać jej w kąt, ale wieszać na kołku lub gwoździu, zwłaszcza ubrania na niedzielę i święta. Co do majtek, ich brak niekoniecznie wiązał się z oszczędzaniem. Część kobiet uważała, że to jeden z tych pańskich do niczego niepotrzebnych wymysłów.

Jerzy Fierich, ekonomista i autor monografii podkarpackiej wsi Broniszów, pisał w 1933 roku, że tamtejsze kobiety zaczęły nosić majtki na początku XX wieku, ale wciąż jeszcze w lecie żadna kobieta ich nie wkłada, a wiele nie używa ich nawet zimą.

Działaczka społeczna Sylwia Bujak-Boguska w 1928 roku wraca ze wsi i jest wstrząśnięta. O kobietach wiejskich pisze, że z przemęczenia żyją na granicy męczeństwa i że trzeba pomóc tym „nieszczęśliwym matkom". Równie mocno współczuje dzieciom. Niemowlaki – alarmuje Bujak-Boguska – niedożywione, karmione niesystematycznie i zaniedbane, poddawane są wciąż praktykom rodem ze średniowiecza.

„Gdy dziecko wymiotuje, matka uznaje, że z pewnością «miesięcznik je złapał», czyli na kołyskę padł promień księżyca. Wtedy matka przesadza dziecko: przez kołyskę, drabinę, albo chomąto[55]".

Gdy dziecko choruje ciężej, kobieta wzywa babkę, która nalewa wosk z roztopionej gromnicy do talerzyka z wodą nad główką dziecka. „Czasem wychodzi coś w rodzaju psa, innym razem kot, albo coś strasznego. Wtedy znająca kobieta trzymająca ów kształt z wosku i mrucząc zaklęcia obchodzi wkoło kołyskę – trzy razy. Teraz kreśli koło nad i pod kołyską. Rzuca wosk na węgle, a na to garść ziół poświęconych w dniu Matki Boskiej Zielnej i tym wszystkim okadza niemowlaka wygłaszając:

> Nie ja likorz – Pan Bóg likorz
> ciebie boli – ty narzykosz
> pomoże cy nie pomoże – zapłaą nieboże".

Dzieci i kobiety chorują najczęściej i najpilniej potrzebują opieki. Lekarze i higieniści w morzu zaniedbań nie wiedzą, od czego zacząć. Stan higieny i zdrowia na wsi pozostaje nieporównywalnie gorszy niż w miastach. „Nie możemy się zgodzić na stały wzrost przepaści w dziedzinie zdrowia między miastem a wsią, bo to bije w całokształt naszego organizmu państwowego – alarmuje czasopismo «Zdrowie» pod redakcją słynnego doktora Marcina Kacprzaka, walczącego o higienę na

polskiej wsi. – Nie można patrzeć spokojnie, aby w okresie Edisona i Marconiego, w wieku radia i awiacji masy, warunkami życia, przyzwyczajeniami, higieną, ustosunkowaniem się do spraw zdrowotnych, wsie przypominały epokę Piasta”.

Najważniejsze to ustrzec dzieci od przedwczesnej śmierci, a więc zakażeń. Nakazują więc lekarze raz na zawsze skończyć z obrzydliwą mojdą, czyli lnianym gałgankiem. To brudne często zawiniątko z ziemniakami albo kaszą maczaną w barszczu matka daje dziecku do ssania, gdy ono płacze.

Po drugie, proszą matki lekarze, przestańcie dawać dziecku przeżuty przez siebie pokarm. Po trzecie, nie krępujcie dzieci powijakami[56].

Polskie Towarzystwo Higieniczne publikuje ulotki, w których zwraca się do kobiet wiejskich:

> Jeżeli dziecko ma obrzęknięte piersi, nie wyciskaj z nich mleka, tzw. mleka czarownicy, bo od wyciskania może powstaą wrzód na piersiach.
>
> Nie myśl, że kąpanie w piątek szkodzi.
>
> Zmywaj dziecku ciemieniuchę, nie bój się, że to wpędzi chorobę do wewnątrz.
>
> Obcinaj kołtunki na główce dziecka bez obawy, że to padnie na oczki lub go pokręci.
>
> Nie wycieraj dziecku pleśniawek w ustach ani moczem, ani atramentem, ani czerwonym suknem.
>
> Nie zawiązuj dziecku koralików lub czerwonej tasiemki od uroku.
>
> Dawaj dziecku jarzyny od szóstego miesiąca życia, nie wierz, że od kartofli dziecko dostanie angielskiej choroby.
>
> Nie wierz, że dziecko może byą usunięte lub złamane, takiej choroby nie ma wcale.
>
> Szczepią ospę można w każdym miesiącu, niekoniecznie w maju.

Lekarzy szczególnie martwi, że wiejskie dziecko ma wypchany ziemniakami brzuch, je za mało białka. Choruje na krzywicę, tak zwaną angielkę, która wśród ubogich rodzin stanowi prawdziwą plagę, więc zamiast chodzić, kilkuletnie dziecko pełza. Zimą natomiast prawie wszystkie wiejskie dzieci kaszlą, nikt na to nie zwraca uwagi.

Korespondent czasopisma „Przodownik Wiejski” po powrocie z Wileńszczyzny opisuje swoje wrażenia: „W każdej chałupie, w każdej izbie dworskiej jest ich kilkoro, najczęściej koło pięciorga, rzadko mniej, a najczęściej więcej. Wszy i najróżniejsze choroby wynikające z brudu i głodu to nieodłączni towarzysze od pierwszych dni istnienia tych małych niezaradnych istot. Dziecko 6-letnie wygląda na 3-letnie, jest małe, blade, na krzywych nogach, wystraszone, półnagie, a nade wszystko głodne. Widziałem nieziemski wprost blask radości w oczach 9-letniej dziewczynki beznadziejnie chorej na zakażenie krwi, gdy jadła kawałek suchej, miejskiej bułki”.

Doktor Sabina Skopińska rozpoczęła pracę lekarki na poznańskiej wsi w 1925 roku i nie mogła się otrząsnąć z tego, co tam zobaczyła. Szczególnie poruszały ją „płowe główki pełzające wśród gnojówek – jak wspominała – jedzące kartofle nieomal od urodzenia i rzadko kiedy co innego”.

Podjęła się badania szkolnych dzieci w Starołęce, dziś dzielnicy Poznania, i szybko wykryła prawie u wszystkich skutki krzywicy – powiększone węzły chłonne pod szczęką na szyi i znaczne deformacje klatki piersiowej. „Angielska choroba! Jak to wytwornie się nazywa – pisała. – Dziewięćdziesiąt procent dzieci szkolnych na wsi cierpi na nią i na całe życie pozostawia ona ślady w budowie kośćca ludzkiego”.

Wieś, jak długo się da, odwleka wizytę u lekarza. Leczy się u babek, felczerów i samemu, korzystając ze starych, wypróbowanych metod. Lekarza do skrętu kiszek wzywa się rzadko, bo prawie w każdej rodzinie ktoś umie zrobić lewatywę.

Anna Szopowa wspomina, że gdy w Zagórowej w Małopolsce zawiązało się koło gospodyń wiejskich, zarząd główny podarował mieszkańcom apteczkę podręczną, w której znajdowały się najpopularniejsze leki stosowane przez ludność wiejską: krople, bańki do stawiania na plecach, krople Inoziemcowa (na bóle brzucha), środki opatrunkowe, polopiryna. A także irygator, specjalnie dla ludzi.

Dotychczas w całej parafii był tylko jeden ręczny irygator, zwierzęcy, który jej mąż Janek kupił razem z podręcznikiem weterynarii. Chłopi pożyczali go czasami, by zrobić sobie lewatywę, ale nie potrafili zapamiętać słowa irygator.

„Przypominam sobie, jak pewnego razu przyszedł z Imbramowic piętnastoletni chłopak i poprosił: «Dajcie mi tego, co się koniowi daje lewatywę». Zapytałam go więc: «Koń wam choruje?». «Nie, ino tatuś»" – wspomina Anna Szopowa.

Tyfus, gruźlica, jaglica (choroba oczu powodująca ślepotę) i dyzenteria (czerwonka) zbierają obfite plony na polskiej wsi, wielu chorych można by uratować, gdyby leczenie zaczęło się na czas, medycyna robi przecież postępy.

„Zastrzyki u nas to rzecz śliska, ludzie się boją. Zwłaszcza starzy ludzie. Za ich czasów tego nie bywało, za śp. Franciszka Józefa, a było dobrze" – pisze doktor Zofia Karasiówna, lecząca mieszkańców podbeskidzkich wsi. Wspomina, że gdy przyjechała do pięcioletniego chorego dziecka i zaordynowała zastrzyk, ojciec dziecka natychmiast się sprzeciwił: „Co, pani, chce dziecku zastrzyk robić? Nigdy na to nie pozwolę, zastrzykami truje się ludzi. Nie chcę, żeby moje dziecko umarło".



Przeciwgruźlicza i przeciwjaglicza poradnia w Jarosławiu, rok 1930

Gdy lekarka tłumaczy, że dziecku nic nie będzie, chłop wie swoje: „Zdrowemu można zastrzyki dawać, chory tego nie wytrzyma”. Po półtorej godzinie tłumaczenia lekarka poddaje się. Po pewnym czasie dociera do niej, że jeśli lekarz na wsi chce być skuteczny, musi nie tylko stać się dobrym psychologiem, ale powinien używać właściwego języka, porzucając inteligencką, subtelną komunikację. Kiedy zostaje wezwana do dziecka chłopów ze wsi Stryszawa, jedzie z Suchej Beskidzkiej, gdzie przyjmuje na co dzień, jakieś siedem kilometrów. „Jedzie się najpierw gościńcem, potem zwykłą drogą, wreszcie coraz bardziej stromymi i kamienistymi ścieżkami. Odsłania się śliczny widok na góry. Przyjemnie by tu było przyjeżdżać na wycieczkę letnią lub zimową. Mniej miło jest tu pracować” – relacjonuje.

Pacjentem okazuje się trzynastoletni chłopiec z czterdziestostopniową gorączką. Leży w dusznej i ciasnej izbie, w której mieszka osiem osób. Kiedy lekarka stwierdza zapalenie szpiku kostnego i wyjaśnia, że

konieczna jest operacja, rodzice chłopca kiwają głowami, ale się nie odzywają. Wkrótce schodzą się wszyscy sąsiedzi.

„Warto mówić i tłumaczyć – myśli pani doktor. – Niech się czegoś dowiedzą o chorobach. Szerzymy oświatę na wsi".

Tłumaczy, bezskutecznie.

Po trzech tygodniach pod dom lekarki zajeżdża furmanka. „Na furmance blady szkielet dziecka. Noga czy nie noga? Z kości niewiele pozostało, balon okostnej rozdęty ropą".

Lekarka znów tłumaczy, że operacja konieczna. Rodzice znowu kiwają głowami, aż w końcu ojciec mówi:

– Do szpitala dziecka nie dam, lepiej niech umrze w domu.

– Świnie jesteście nie ludzie – wybucha lekarka. – Po mordzie was prać, a nie mówić z wami. Prędzej by wół zrozumiał i krowa niż taki ojciec i matka.

– A no to jedziemy do szpitala – mówi chłop – widocznie trzeba.

„Kiedy mu dokładnie wytłumaczyłam, od razu zrozumiał. Trzeba było tak tłumaczyć o trzy tygodnie wcześniej. Człowiek się całe życie uczy" – kończy relację z wizyty doktor Karasiówna.

Nie znaczy to, że na chłopów działa wyłącznie bicie po pysku, jak lubi sobie wyobrażać część inteligencji. Czasem wystarczy wzbudzić zaufanie i zbudować swój autorytet.

Kiedy w 1928 roku we wsi Radomyśl, na granicy Podlasia i Mazowsza, pojawia się nauczycielka Salomea Frącka, mieszkańcy zyskują w niej także troskliwą opiekunkę. Poza tym, że uczy dzieci, ma też rękę do robienia opatrunków, a przede wszystkim ogromną siłę perswazji. Gdy zjawia się u niej chory, ponieważ wiadomo, że w chorobie najpierw się idzie do pani nauczycielki, pomaga mu, na ile umie, ale także potrafi go przekonać, by wybrał się do lekarza, czego dotąd unikano jak ognia. Bogata apteczka Salomei Frąckiej stoi otworem dla wszystkich, a pokój, w którym mieszka, pachnie kroplami. Elżbieta Orzyłowska-Łęczycka, autorka monografii Radomyśli, podejrzewa, że dzięki działalności

Frąckiej w ich wsi nie pojawiali się ani znachorzy, ani zamawiaczki, którzy w okolicznych wioskach zastępowali lekarzy. Tu ludzie naprawdę podejmowali leczenie, zachęcani przez panią Salomeę, tamtejszą Siłaczkę.



Pacjenci w poczekalni w Ośrodku Zdrowia w Liszkach

Jednak zabobon i ciemnota, choć to istotne bariery w leczeniu, wcale nie stanowią największego problemu wsi. Lekarze pracujący na prowincji i społecznicy nie mają wątpliwości, że chłopi nie leczą się głównie z biedy. Choć II RP zreformowała służbę zdrowia, powołała kasy chorych i zakład ubezpieczeń społecznych, chłopi mają utrudniony dostęp do leczenia i w większości przypadków muszą za nie płacić, a ponieważ nie mają czym, po prostu się nie leczą. „Są niby to po niektórych gminach tak zw. ośrodki zdrowia. Siedzą tam dobrze płatni doktorzy i higienistki, ale na co to się chłopom zdało? Wizytują też niby co jakiś czas dzieci szkolne i przysyłają kartki rodzicom, że dziecko źle odżywiane, ale czyż ta matka

ma to dziecko czem odżywić?” – pisze jedna z autorek *Pamiętników chłopów*.

Gdy w 1938 roku Zakład Ubezpieczeń Społecznych rozpisuje konkurs na pamiętniki lekarzy, przynosi on wstrząsające opisy przerastające najgorsze wyobrażenia o nędzy i zaniedbaniu zdrowotnym wsi. Autorzy prac, przede wszystkim lekarze wiejscy, nie pozostawiają złudzeń co do tego, że biedota umiera z braku dostępu do leczenia.

„Zdrowie ludzkie w Polsce oglądane ich oczami, całkiem z bliska, daje obraz przerażający. Cały świat zmienił oblicze, ale na wsi polskiej nadal jak przed wiekami «chrosty wywalają na wontrubę i poratowania na to ni ma»” – pisze we wstępie do *Pamiętników lekarzy* jeden z jurorów konkursu, popularny pisarz Melchior Wańkowicz. I dodaje: „Lekarz jest niedostępnym luksusem. Przywozi się go w ostatniej chwili – razem z księdzem. [...] Cóż dziwnego, że rozwija się znachorstwo?”.

Dwie córki Michaliny C. z Kielecczyzny, tej, która wciąż nie ma studni i której rodzina pije wodę z rzeki, rozchorowały się na tyfus, a wkrótce zachorowała również sama Michalina. „Nie mieliśmy pieniędzy, nie było mleka, więc i na doktora też nie było – tylko dwa razy felczer przychodził, a choroba była bardzo ciężka. Do tego nieszczęścia ja byłam w stanie odmiennym, już w piątym miesiącu. Mąż się nami opiekował i widać od zmartwienia głowę tracił, bo jak mu felczer powiedział, że ze mną źle, to co mu kto doradził, tak nas leczył. Poradzili więc, że dobrze będzie i mnie wyleczy, jeśli będzie mi dawał spirytus do picia. Pieniędzy pożyczył, kupił i dał mi jeden kieliszek, po którym o mało nie umarłam, bo mi się pogorszyło”.

Wciąż umierają kobiety w połogu, bo porody przyjmują babki. Babkarstwa nie da się jednak zwalczyć mimo ostrej kampanii, ponieważ nie ma kim ich zastąpić, akuszerek dramatycznie brakuje.

Lekarz powiatowy z Grójca Czesław Borawski sprawozdaje w 1928 roku, że każda gmina ma tylko jedną położną, „lecz pomimo, że lekarz powiatowy prowadzi usilną walkę z babkami wiejskimi, których w 1928 roku ukarano grzywnymi i aresztem 56, to byt akuszerek niestety jest

bardzo słaby i otrzymują one w pierwszym roku osiedlenia zapomogowego 300 złotych. W najbliższym roku akuszerek sprowadzić nie wolno, gdyż nie utrzymają się".

Babki więc mają pełne ręce roboty. Wzburzona czytelniczka pisze list do „Przodownicy": „Dziś znowu w naszej okolicy zaszedł smutny wypadek: żona jednego małorolnego gospodarza, skutkiem zbyt późnej opieki lekarskiej umarła przy porodzie. Cóż warta spóźniona pomoc lekarska? Czyż życie kobiety wiejskiej mniejszą ma wartość niż życie jakiegokolwiek zwierzęcia w gospodarstwie? Gdy zachoruje zwierzę, to telefonuje się po lekarza weterynarii i ten przyjeżdża bez uprzedniego składania pieniędzy po 15 złotych. Więc inwentarz ma zapewnioną pomoc. W miastach są «Kasy Chorych», opieka społeczna, szpitale, «Pogotowie Ratunkowe». A co ma drobny rolnik na wsi? Jeżeli jest biedakiem, to zapłaci za niego gmina. Jeżeli ma gospodarstwo, to powinien sam zapłacić. [...] Jak wam nie wstyd mężowie, umiecie starać się o pomoc dla inwentarza, a jesteście bezradni, jeśli chodzi o zdrowie i życie matki waszych dzieci. Musimy wszystkie kobiety walczyć o należne nam prawo [do] dostępnej pomocy lekarskiej".

Ta nierówna walka nie może być wygrana. Wieś to miejsce przeklęte. Lekarze też tak uważają, dlatego tak trudno zorganizować spółdzielnię lekarską, o co walczą mieszkańcy Markowej na Podkarpaciu. Pomysł zaczerpnęli z doświadczeń Jugosławii, w której z powodzeniem działały tego rodzaju spółdzielnie. „W warunkach, kiedy wezwanie lekarza do chorego na wieś nierzadko kosztowało krowę, a lekarstwo w odległej aptece – cielaka, lekarz opłacany ze świadczeń członków spółdzielni i drobnych opłat za wizyty, stawał się prawdziwym przyjacielem chorego. On leczył, a nie był materialnie zainteresowany w cudzym nieszczęściu" – pisał Kazimierz Wyszomirski, propagujący ideę spółdzielczości w Polsce, który właśnie z Jugosławii przywiózł ten pomysł. Zapala się do niego Ignacy Solarz, twórca słynnego Uniwersytetu Ludowego w Gaci na Podkarpaciu, podchwytują go także mieszkańcy Markowej, deklarują płacenie składek, rejestrują spółdzielnię i rozpisują konkurs na

stanowisko lekarza. Lekarz ma dostać niewielkie (jak na lekarza) wynagrodzenie – 200 złotych miesięcznie i 15 procent od wszystkich wpływów za pomoc, ale może też przyjmować pacjentów spoza spółdzielni, dostanie również dwuizbowe mieszkanie i opał. Głucha cisza. Chętnych nie widać. Chociaż bezrobotnych lekarzy nie brakuje, nikomu się na wieś nie pali. Poszukiwania trwają miesiącami, w prasie, przez rozmaite towarzystwa i organizacje społeczne oraz urzędy. Zarząd spółdzielni bezpośrednio też składa oferty lekarzom. „Biorąc pod uwagę materialny stan wsi, piękny i szlachetny plan Panów nie wróży powodzenia" – odpisuje jeden z nich. A drugi tłumaczy: „Nie można wymagać od lekarza ofiarnictwa, apostolstwa, niewygód". Co się właściwie dzieje? Dlaczego medycy tak bardzo wzbraniają się przed przeprowadzką na wieś?

Objaśnia to w liście urzędnik, do którego spółdzielnia zwróciła się o pomoc w znalezieniu doktora: „Taki lekarz musi mieć za sobą przynajmniej trzyletnią praktykę, musi mieć zapał do pracy higieniczno-społecznej, musi się nie bać chłopa, a nie mieć dużych wymagań, no i nie mieć dzieci, bo się w tej dwuizbowej chałupie nie urządzi z rodziną. Lekarze-synowie chłopscy będą się takiej perspektywy bali, a o pomylonych inteligentów coraz trudniej".

Solarz komentuje: „Przygnębieni byliśmy rodzajem odpowiedzi. Bo naprawdę byliśmy jako ludzie trzeźwi dalecy od żądań ofiarnictwa i stosowania wyzysku wobec lekarza. Wynagrodzenie przez nas na początku ofiarowane przekraczało przeciętne płace prawników, nauczycieli gimnazjalnych i tym podobnych z wykształceniem uniwersyteckim i po praktyce. Jest w tym coś nienormalnego, ale i niemoralnego".

Kazimierz Wyszomirski potwierdza, że opór wśród lekarzy wobec tworzenia spółdzielni lekarskich okazał się zaskakująco silny. „Na służbę do chłopa nie pójdziemy – mówili ci lekarze, którym nie w smak poszło zorganizowanie społecznej placówki lekarskiej i którzy obawiali się o własną kieszeń. A nawet ci, którzy w głębi ducha przekonani byli

o słuszności powstania takiej spółdzielni na wsi, obawiali się «narazić» swoim starszym i na ogół poważanym kolegom".

Solarz, chłopski syn, nie może się pogodzić z wykluczeniem podstawowej i największej grupy społecznej. „Nawet, gdyby wieś była jednoprocentową grupą społeczną, dotkniętą trądem, nie mogłoby jej społeczeństwo zostawić na pastwę powolnego konania bez niesienia ulgi. A cóż dopiero, gdy wieś stanowi trzy czwarte społeczeństwa. Dysproporcja między przymusowym poziomem mas robotniczych stanowiących 80 proc. naszego państwa, a uprzywilejowanym życiem drobnej grupy jest zbyt rażąca i krzywdząca, by mogła być utrzymana. Człowiek musi być podniesiony" – pisze Ignacy Solarz.

Jego entuzjazm i wiara w powodzenie spółdzielni zostają wynagrodzone. Znajduje się wspaniały młody lekarz, bynajmniej nie pomylony inteligent. Władysław Ciekot będzie leczył w Markowej do 1939 roku, a jego żona Hanna poprowadzi gazetę dla włościanek „Kobieta Wiejska", pierwszą tego typu, która powstała na wsi i zupełnie bez dotacji, za to z udziałem mieszkanek Markowej i okolic, głównie działaczek Wici. Przychodnia działa pełną parą, doktorowi Ciekotowi udaje się też objąć 1500 osób opieką poradni przeciwgruźliczej i snują z Solarzem plany: mają zamiar utworzyć sanatorium dla chłopów oraz nowoczesną przychodnię z porodówką i gabinetem dentystycznym.

Wojna niweczy te plany. Ciekot we wrześniu 1939 zostaje powołany do rezerwy, żegnają go tłumy markowian. Solarza w lutym 1940 roku wzywa gestapo. Ciekot trafił do Kozielska, został rozstrzelany w Katyniu. Po Solarzu ślad zaginął, prawdopodobnie zginął w Palmirach, razem z innymi przedstawicielami polskiej inteligencji.

W 1933 roku dostęp do leczenia robotników rolnych (czyli zatrudnionych w folwarkach i w dużych gospodarstwach) jeszcze się pogarsza. Stało się to, o co od dłuższego czasu zabiegali obszarnicy. Do tej pory na terenie byłego zaboru pruskiego, w Wielkopolsce i na Pomorzu, wyrobnikom rolnym na mocy przejętego po zaborcach prawa ubezpieczenie zdrowotne

opłacali właściciele majątków, a więc przysługiwało im prawo do leczenia. I to właśnie się kończy, obszarnikom udało się wylobbować zwolnienie z obowiązku ubezpieczenia wyrobników, którzy dla nich pracują. Teraz ziemianie mają ich leczyć na własny koszt. Medycy są przerażeni, obawiają się, że leczenie tej grupy okaże się fikcją. I tak właśnie się dzieje.

Doktor Stefan Giebocki opowiada historię swojej pacjentki, dwudziestosiedmioletniej Zofii W., robotnicy rolnej, którą miał leczyć z gruźlicy na koszt pracodawcy.

„O wysłaniu dziewczyny do sanatorium, jakbym to uczynił w przypadku, gdyby była członkinią Ubezpieczalni, mowy być nie mogło. Pozostało leczenie domowe. Zapisałem dziewczynie syrop kreozotowy i poleciłem dobrze się odżywiać. Już to samo polecenie dobrego odżywiania zakrawało właściwie na ironię. Dziewczyna za całodzienną ciężką pracę zarabiała bowiem, już łącznie z wartością otrzymywanych kartofli, zboża itd., coś niecałą złotówkę dziennie, za co utrzymywała jeszcze matkę”.

Pacjentka oczywiście nie chce słyszeć, że miałaby nie chodzić do pracy. Nie może stracić tej złotówki dziennie, poza tym boi się narazić dziedzicowi. Ale ponieważ teraz dziedzic dostaje rachunki aptekarskie, wie doskonale, że dziewczyna jest chora i na co. Zostaje zwolniona, gdy nadchodzi 1 stycznia, czyli czarny dzień w folwarkach, bo wtedy dostaje się tak zwane terminatki i wylatuje się na bruk. Dziewczyna nie ma siły szukać nowej pracy i nie wyprowadza się, jak żądał dziedzic, więc on wszczyna postępowanie komornicze i eksmituje rodzinę, a chorą umieszcza w zimnej szopie, skąd dziewczyna ucieka po kilku dniach, by nie zamarznąć. „Od tego czasu minęło sześć miesięcy, dziewczyna pozbawiona leczenia, mieszkania i zarobku zakończyła życie w ciemnej izdebce, gdzie zarząd gminy ulokował chorą wraz z matką i rodzeństwem” – relacjonuje doktor Giebocki.

Takich historii po zmianie prawa lekarze chłopów znają dziesiątki, uważając to za zgrozę. Oceniają, że liczba leczonych pacjentów

z folwarków spadła wówczas o 90 procent.

„Mieszkańcy wsi odzwyczaili się od leczenia i wolą umierać” – stwierdza ponuro doktor Marcin Kacprzak.

Doktor Jerzy Babecki pisze w 1939 roku, że pomoc lekarska dla ludności wiejskiej jest jedyną dziedziną życia publicznego, „w której stoimy dziś gorzej, niż przed wojną, i winę tego stanu rzeczy ponosi w dużej mierze świat lekarski, który nie umiał obronić praw chorego do publicznej opieki zdrowotnej. Przed wojną światową ludność całego kraju, choć na różnych podstawach, miała prawo do bezpłatnego leczenia szpitalnego, które jest niewątpliwie najważniejsze dla ludności ubogiej i najbardziej zarazem rujnujące”.

Teraz opłaty za szpital praktycznie uniemożliwiają leczenie najbiedniejszych. Lekarze nie są w stanie uratować ciężej chorych, mimo że dobrze potrafią zdiagnozować chorobę i że jest ona uleczalna.

Pracujący w okolicy Lwowa doktor Tadeusz Skworecki jako młody lekarz miał wiele złudzeń, ale szybko się z nich wyleczył. „Pracowałem w małej miejscowości, dookoła której w promieniu około piętnastu kilometrów nie było innego lekarza, pracą byłem zamęczany. Wieczorami, z głową ociężałą, pełną nie wrażeń, lecz przemęczenia, rzucałem się na niezbyt wygodne, pożyczone łóżko” – wspomina. Doktorowi brakowało nie tylko wypoczynku, ale także pieniędzy, bo instytucje płaciły „z dołu”, a pacjenci prywatni zwykle zalegali z długami. Pacjentów nigdy jednak nie brakowało, więc co chwilę ktoś pukał do jego drzwi. Tego dnia przybyła ze wsi furmanką cała rodzina. Dwóch synów i matka przywieźli ciężko chorego ojca. Lekarz zdiagnozował niedrożność jelit i zarządził: „Natychmiast do szpitala”. Okazało się, że po pierwsze chłop nie ma 3 złotych na pociąg, a po drugie, co gorsza, nie jest ubezpieczony, nie stać go więc na szpital. Furmanka z chorym wyruszyła w stronę domu.

Lekarz kończy swoją opowieść:

„Ze smutkiem odprowadziłem wzrokiem żywy jeszcze karawan w kierunku wprost przeciwnym do stacji kolejowej”.

ROZDZIAŁ 13

RADIO I INNE DIABELSTWA

4 maja 1927 roku „Łódzkie Echo Wieczorne” donosi:

> W powiecie sokołowskim, w osadzie Ołożew[57] wskutek trwających od dłuższego czasu deszczów, ciemne chłopstwo miejscowe doszło do przekonania, że jest temu winien radioaparat, który zainstalował niedawno u siebie nauczyciel wiejski Sawicki. Wczoraj po nabożeł stwie kilkudziesięciu wieśniaków uzbrojonych w kłonice wtargnęło do mieszkania Sawickiego. Chłopi pobili go do nieprzytomności, poczem zniszczyli antenę i aparat. Zawiadomiona o wypadku policja aresztowała kilkunastu gospodarzy z Ołożewa.

Koncepcja, że za ulewy odpowiedzialne jest radio, nie powstała jedynie w głowach podlaskich chłopów. Szczepan Ciekot, spółdzielca i działacz społeczny, wspominał, że gdy w latach dwudziestych mieszkał we wsi Chodów na Mazowszu i kupił odbiornik radiowy, wielu sąsiadów odwiedzało go, by wysłuchać pogadanek, a inni przychodzili na wiadomości. Drugie radio we wsi należało do kierownika szkoły. Nikomu to nie przeszkadzało do czasu, gdy wiosną na dobre się rozpadało i zanosiło się na klęskę żywiołową. „Zebrali się chłopi pewnego wieczoru na winku, obgadują sprawy gospodarcze, złorzeczą na pogodę i debatują, co za przyczyna tego nieustannego deszczu. Doszli do wniosku, że «radyjo» winne. Poderwał się Adam Zarzycki z bosakiem i leci zerwać antenę kierownikowi szkoły. W ostatniej chwili ktoś zawołał: «Adamie, nie róbcie tego, bo będziecie ukarani». Zreflektował się chłopisko i dał spokój” – pisze Szczepan Ciekot.



Radio w domu sołtysa wsi Osędowice (Łódzkie) K. Borowskiego. W II RP około 4 procent chłopów miało radioodbiorniki

Radio w Polsce zaczęło nadawać w 1926 roku. Dokładnie 18 kwietnia o godzinie 17.45 prezenterka Halina Sztompkówna przemówiła do słuchaczy: „Halo, halo, Polskie Radio Warszawa, fale czterysta osiemdziesiąt". Światowa radiofonia rozpoczęła nową erę w dziejach ludzkości zaledwie sześć lat wcześniej, w Ameryce, a dwa lata później wystartowało BBC. Posiadacze kryształkowych radioodbiorników w końcówce lat dwudziestych na polskiej wsi należeli więc do awangardy. Chłopu starszej generacji, który rozumiał zjawiska meteorologiczne jako znak działania Bożej opatrzności i którego ksiądz straszył burzą za popełnione grzechy, korzystanie z dziwacznego urządzenia, z którego rozlegał się ludzki głos, mogło się wydawać bezczelną próbą ingerencji w boski porządek, a skoro tak, kara w postaci ulewy niweczącej zbiory rolników jawiła się jako logiczna konsekwencja zuchwalej działalności człowieka.

Radio staje się przekleństwem starych, a marzeniem młodych. „Nabyłem po kryjomu bez wiedzy rodziców radioodbiornik kryształkowy i schowałem go do swego kuferka. Zdecydowany byłem na wszystko, pozwolą, czy nie, zainstaluję wbrew ich woli. Będę chodził w starych butach, ograniczę swoje wydatki, a radio mieć muszę" – wspominał chłopak z Podlasia, autor jednej z prac opublikowanych w zbiorze *Młode pokolenie chłopów*. Tak jak się spodziewał, gdy jego ojciec zobaczył w domu radio, wzniósł oczy do nieba. „O, widzisz, co mu do głowy wbiło się. Mało jeszcze tych książek i gazet, jeszcze on radio założy. Pan jaki... To zabawa nie dla chłopów. Panowie wymyślili sobie rozrywkę, niech se korzystają z niego" – powiedział synowi. Ale gdy posłuchał przez chwilę audycji, spodobało mu się. Ponieważ tego typu radia można było słuchać jedynie przez słuchawki, kupił je sobie i stał się wiernym słuchaczem. Niedługo potem w innym domu w tej wsi rozegrała się całkiem podobna scena. Gdy syn przyniósł radio, matka od razu mu zagroziła: „Co ty wyrabiasz? Ty! Co ty sobie myślisz. Nie śmiesz ludzi. Jej Bohu! Ja ci go wyrzucę z chaty i słupy sama w nocy zerżnę piłką". Ponieważ chłopak znał matkę i jej burzliwe reakcje, liczył na to, że trochę pokrzyczy i wkrótce jej przejdzie. I tak się stało. Niedługo potem mógł już słuchać radia, a słupy ocalały.

Marzy o nim wtedy także młoda gospodyni z Krotoszyna, która przekonała się, że radiofonia może zrewolucjonizować sposób zarządzania gospodarstwem, i jest nią zafascynowana. Z kartką i ołówkiem odwiedza miejscowego kierownika, aby słuchać w radiu pogadanek dla rolników, i zapisuje najcenniejsze rady (nie precyzuje, czym zarządzał ów kierownik, może szkołą lub kółkiem rolniczym?). „Dzięki właśnie radiu wprowadziłam w swoim gospodarstwie ołówek i zeszyt, aby prowadzić rachunkowość z dochodu i rozchodu. Daje mi to możność przekonać się o opłacalności – pisze ta młoda rolniczka, laureatka konkursu dla kobiet organizowanego przez Związek Izb Rolniczych. – Po cichu tylko marzę o założeniu radia, nie zdradzając się nawet przed rodzicami, gdyż rodzina dość liczna, a przy tym dość wielkie wydatki". Dwudziestodwulatka objęła gospodarstwo, kiedy zachorowała

jej matka, i świetnie sobie radzi na pięciu i pół hektarach, dlatego chciałaby dawać przykład koleżankom i zapraszać je na wspólne słuchanie pogadanek. „I tak, przychodzące słuchać radia dziewczęta czy gospodynie zobaczą mieszkanie czysto sprzątnięte, kurze pościerane, podłogę umytą, a nie wysypaną piaskiem (gdzie mogą się mieścić miliony zarazków). Zobaczą dzieci nieobdarte i czyste i będą się starały zrobić u siebie w domu tak samo" – marzy.

Nie tylko ta dziewczyna łaknie wiedzy. Wiejskie kobiety widzą, że świat się zmienia, i aby ruszyć z miejsca, potrzebują drogowskazów i fachowej wiedzy. Pragną nauczyć się gotować, przetwarzać mięso, dowiedzieć się, jak używać sztucznych nawozów oraz sadzić kalarepę. Najbardziej ambitne i tak zwane uczone prenumerują „Hasło Ogrodniczo-Rolnicze", „Głos do Kobiet Wiejskich" i „Przodownicę" oraz patrzą zazdrośnie na bogate koleżanki, które wysłały dzieci do szkół rolniczych i którym teraz wszystko kwitnie.

Ich matki do tego wszystkiego nie miały dostępu. Gdy na początku XX wieku Anna Seweryn (po mężu Szopa), wnuczka pańszczyźnianego chłopa z małopolskiej Porąbki, prowadziła krowę na pastwisko, musiała przejść przez całą wieś, więc dzień w dzień przyglądała się domom na swojej trasie. Najpierw z lewej strony mijała chałupę Galickich, krewnych swojej matki. „Pamiętano, że gdy stryj zmarł, to leżał w trumnie z otwartymi oczyma, a zgromadzeni przy nim sąsiedzi mówili do siebie: «Kogo on teraz wypatrzy?»".

Potem przechodziła obok domu niejakiego Kubika. „Z Kubikiem to było tak, że był chłopem strasznie upartym, a za czasów pańszczyzny za różne uchybienia kładli chłopa na specjalnej ławie i odliczali baty, na ile «zasłużył». Po egzekucji pobity, jak wstał z ławy, to musiał podziękować, a Kubik nie chciał tego uczynić. Chwalił się: «Co mi dobił, to mi dobił, ale com mu nie podziękował, tom mu nie podziękował!»".

Następna chałupa, którą mijała Anna podczas codziennej wędrówki, należała do Siemińskich. „O tej rodzinie mówiło się, że się mają od waszecia" – wspomina.

Kto wie? Może faktycznie Siemińscy mieli się „od waszecia”, skoro ich dom okalał kwiatowy ogródek, typowy dla szlacheckich dworków, a nie chłopskich chałup. Kwiatowe i warzywne przydomowe ogródki to wtedy rzadkość. Zaczynają być popularne u chłopów dopiero w latach dwudziestych XX wieku. Ale jeszcze wtedy chłopi na widok pomidora się krzywią. Gdy Szczepan Ciekot w 1922 roku założył pod Siedlcami pierwszą plantację warzyw i częstował mieszkańców wsi świeżo zebranymi pomidorami, próbowali i z grymasem niesmaku mówili: „To jakaś bzianka”. Twierdzili, że pomidory śmierdzą, i jeśli decydowali się wówczas na ich uprawę, to głównie, aby sprzedać je w miastach. Wciąż największą popularnością cieszą się te warzywa, które rosną na polu – groch i kapusta. „Inne jarzyny są nowością, mówią gospodynie, że dużo z nimi kłopotu, długie gotowanie. A pyszne jarzyny, jak ogórki, pomidory, groszek cukrowy, sałata, rzodkiewka, to jeszcze rzadkość; ale Bogu dzięki już zaczęto je na wsi zajadać, niedługo nastąpi ich rozpowszechnianie” – oznajmia w 1931 roku „Przodownica”.

I faktycznie. Gospodyni spod Lubartowa chwali się w 1937 roku: „Wprowadziłam uprawę pomidorów, których na naszej wsi prawie nie znano, obecnie prawie wszyscy sadzą, a co ważniejsze spożywają, gdy przed tym z obrzydzeniem patrzyły na nas, gdy jedliśmy pomidorową sałatkę”.

Etnografowie czują przez skórę nadchodzące zmiany. Podziały ojcowizny i parcelacje powodują, że we wsiach pojawiają się nowe domy, niestety coraz brzydsze. I w dodatku kobiety zrzucają swoje piękne kolorowe kiecki.

W Broniszewie jeszcze starsze kobiety noszą się tradycyjnie: długie spódnice, zapaski, pończochy bawełniane, trzewiki sznurowane. Młode już inaczej – chcą być jak panie. „Koło domu – sprawozdaje Jerzy Fierich – chodzą ubrane jak starsze. W święta jednak w lecie ubierają półbuciki nieznane jeszcze przed samą wojną [pierwszą wojną światową – przyp. J.K.-F.], w zimie trzewiki i sukienki skrojone po miejsku, przed wojną rzadko spotykane”.

Zmiany zachodzą równie niepostrzeżenie, jak nieodwracalnie. Za wieś biorą się działaczki i działacze społeczni, instruktorki gospodarstwa domowego i instruktorzy rolni, a także inżynierowie. Ogłaszają w czasopismach konkursy zdrowia, uczą, jak zaimprowizować sałatkę pomidorową oraz łazienkę, a konstruktorzy na łamach gazet instruują, w jaki sposób zbudować sławojkę. Wielką popularnością cieszą się konkursy na najpiękniejszy ogródek i chętnych nie brakuje, ale głównie zgłaszają się gospodynie bogatsze, elita wsi, te umiejące czytać, a przede wszystkim otwarte na zmiany.

Pod wpływem gazet, instruktorek, a także powracających ze służby w mieście służących zmienia się wystrój wiejskich chat. Papierowe kwiaty w wazonikach lądują w koszu, zastępują je żywe bukiety, a na ścianach zamiast malowideł na szkle pojawiają się ślubne monidła.

Trzydziestodwuletnia Anna Holak ze wsi Artasów koło Lwowa porównuje swoje warunki z tymi, w których żyli jej rodzice, i cieszy się ze zmian. „U moich rodziców nie było podłogi w chacie, chata była o pół mniejsza, okna nie były nigdy otwierane, komina nie było. Używam żelazka do prasowania, tego u mojej matki nie było, do prania cienkiej bielizny używam sody i mydła. Łyżki są u mnie żelazne, nie drewniane, garnki i miski blaszane, a nie gliniane, jak dawniej”.

Inna gospodyni nie może się nachwalić, jak wiele dała jej gazeta „Głos do Kobiet Wiejskich”: „«Głos» zachęcił mnie do tego, że mam w domu miednicę, zlew, maszynkę do mięsa, łapki do garnków, a szykuję dogotowywacz” – pisze. Z kolei trzydziestodwuletnia rolniczka spod Kutna, która ukończyła trzy klasy szkoły powszechnej, wciąż się doucza i przynosi to wspaniałe plony. „Wprowadziłam w domu zmiany: przestawiłam kuchnię, urządziłam umywalnię stałą, wałek do ręcznika, wieszaki do ubrań lepszych i roboczych, siatki w oknach, ogródek warzywny i krzewy owocowe. Pragnę jeszcze wprowadzić podwójne okna, zbudować nową studnię, urządzić śpiżarnię, ogrodzić ogródek i inspekty założyć. Przeszkoda brak pieniędzy” – tłumaczy. Wszystkie zmiany zawdzięcza swojemu zaangażowaniu. Skończyła tylko trzy klasy,

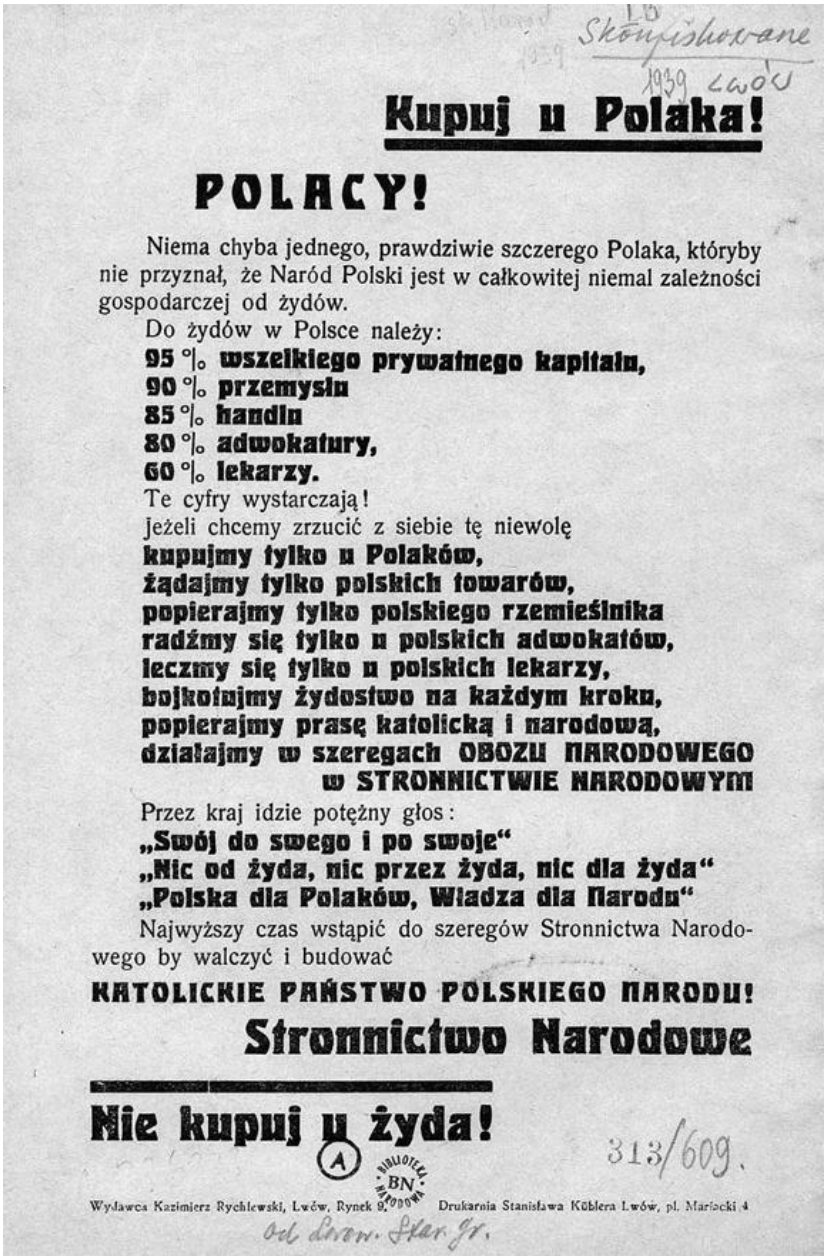
ale brała udział w kursie kroju, szycia i robót ręcznych, zrobiła dwa kursy przetworów owocowych i warzywnych, kurs oświatowo-gospodarczy i gotowania, kurs higieny i dwa kursy gotowania dla niemowląt. Ponadto należy do koła gospodyń, do Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet oraz Ligi Obrony Powietrznej Państwa.

Ale niełatwo być pionierką, wyróżniać się, świecić przykładem albo i wyprzedzać tych, z którymi jeszcze przed chwilą jechaliśmy na jednym wózku. „W początkowych moich poczynaniach byłam nawet prześladowana przez moje sąsiadki i nazywana złośliwie szlachcianką. Z odmiennym od swego otoczenia wychowaniem, ubieraniem czy odżywianiem dzieci, jak również prowadzeniem domu musiałam się kryć, aby uniknąć szykan ze strony złośliwych i uprzedzonych do wszelkiego postępu ludzi. Dzisiaj, przeciwnie, moje gospodarowanie wzbudza uznanie a nawet zazdrość w niejednym" – pisze kolejna z uczestniczek konkursu. Jeszcze inna podkreśla, że kobiety wiejskie wciąż dostają za mało wsparcia od kobiet miejskich, które mogłyby nauczyć rolniczki, jak dbać o higienę, a także „wskazać miejsce zakupów i sprzedaży produktów, rozbudzić zamiłowanie do ubierania się w wyroby lniane, bowiem nasze gospodynie wolą najlichszą szmatę bawełnianą, a lniana sukienka lub fartuszek zasługują w naszej wiosce na pogardę; zwrócić uwagę na wychowanie dzieci, które u nas, z małymi wyjątkami, jest niżej krytyki".

Wieś zmienia się powoli i z oporami, ale metamorfozę widać gołym okiem i kobiety zaczynają być z siebie dumne. Elżbieta Klajn porównuje gospodarstwo swoich rodziców do swojego – oni mieli dwa i pół raza więcej ziemi niż ona, ale gospodarstwo było dużo mniej efektywne – nie używali nawozów sztucznych, orali płytko, ich kury niosły jajka tylko latem, choć zimą cena jajek jest najwyższa, a co gorsze, nie wykształcili dzieci. Elżbieta Klajn każdą wolną chwilę poświęca na pracę lub na douczanie, głównie dzięki gazetom, czyta „Przewodnik Katolicki", „Niedzielę", „Rycerza Niepokalanej", „Hasło Ogrodniczo-Rolnicze", „Gazetę Świąteczną", „Rolnika Wielkopolskiego". Ta pracująca fizycznie

od rana do wieczora gospodyni rozumie, że dobre samopoczucie wymaga też pracy nad sobą: „Czytać bardzo lubię i zachęcam do tego dzieci, mimo że nie jestem wykształcona. Znam wszystkie najgłówniejsze powieści najgłówniejszych powieściopisarzy polskich. Zwłaszcza w długie zimowe wieczory cerując lub szyjąc wsłuchuję się w czytane przez męża książki i gazety, a w każdą wolną chwilę staram się coś pisać, aby ręka przywykła do fizycznej pracy nie straciła władzy nad piórem. Toteż choć jest u nas biednie i każdy musi u nas pracować, jednak czujemy się wszyscy zdrowo i pogodnie i staramy się ulepszyć i upiększyć swój dom i całe gospodarstwo" – pisze w 1937 roku.

Wiejskie kobiety chłoną wiedzę, a wraz z nią ideologię. Radiosłuchaczka spod Krotoszyna, ta, która z ołówkiem i kartką słucha pogadanek dla rolników i marzy, aby mieć własne radio, z audycji dowiedziała się, u kogo powinna kupować i komu sprzedawać swoje plony. „Na wsi bywa, że każda gosposia zbiera grosze i dopiero, jak nadejdzie jarmark, kupuje u żyda, bo taniej. Myli się każda myśląc w ten sposób. Do niedawna i ja myślałam w ten sposób, lecz dzięki radiu zmieniłam swoje przekonanie. A więc kupuję w mieście u kupca polskiego i stale w jednym składzie".



Kupuj u Polaka!

POLACY!

Niema chyba jednego, prawdziwie szczerego Polaka, któryby nie przyznał, że Naród Polski jest w całkowitej niemal zależności gospodarczej od żydów.

Do żydów w Polsce należy:

95 % wszelkiego prywatnego kapitału,
90 % przemysłu
85 % handlu
80 % adwokatury,
60 % lekarzy.

Te cyfry wystarczają!

Jeżeli chcemy zrzucić z siebie tę niewolę

kupujmy tylko u Polaków,
żądajmy tylko polskich towarów,
popierajmy tylko polskiego rzemieślnika
radźmy się tylko u polskich adwokatów,
leczmy się tylko u polskich lekarzy,
bojkotujmy żydostwo na każdym kroku,
popierajmy prasę katolicką i narodową,
działajmy w szeregach OBOZU NARODOWEGO w STRONNICTWIE NARODOWYM

Przez kraj idzie potężny głos:

„Swój do swego i po swoje"
„Nic od żyda, nic przez żyda, nic dla żyda"
„Polska dla Polaków, Władza dla Narodu"

Najwyższy czas wstąpić do szeregów Stronnictwa Narodowego by walczyć i budować

KATOLICKIE PAŃSTWO POLSKIEGO NARODU!

Stronnictwo Narodowe

Nie kupuj u żyda!

Skonfiskowane 1939 Lwów
313/609.
A BIBLIOTEKA NARODOWA BN
od Drow. Star. Gr.

Wydawca Kazimierz Rychlewski, Lwów, Rynek 9. Drukarnia Stanisława Küblera Lwów, pl. Mariacki 4

Plakat propagandowy Stronnictwa Narodowego zachęcający do bojkotu żydowskich sklepów

W relacjach pisanych na konkursy organizowane przez izby rolnicze wiele autorek podkreśla, że unikają żydowskich sklepów i kupują tylko u Polaków, przy czym oznajmiają to w sposób, w jaki się mówi o swoich osiągnięciach, sukcesach czy dobrze spełnionym obowiązku. W istocie dla wiejskiej gospodyni bojkotowanie żydowskich sklepów nie oznacza wcale obrony własnego interesu, ponieważ w sklepach żydowskich często jest taniej i one dominują. Ale gdy mówi, że kupuje w sklepie

polskim, ma poczucie, że spełnia obowiązek polegający na solidarności ze swoimi poprzez wykluczanie obcego. Wybieranie sklepu katolickiego zamiast żydowskiego, sprzedaż polskiej spółdzielni mleka czy sera, wszystko to są, jak się zorientowały, czyny godne pochwały, toteż autorki prac konkursowych w typie ambitnych prymusek zdają sobie sprawę, że walcząc o nagrodę, muszą wykazać, że na nią zasłużyły. Jeśli zaś kupują u Żydów, uzasadniają w swoich pracach konkursowych, dlaczego to robią: zwykle z braku alternatywy.

„Produkty z własnego gospodarstwa sprzedaję na rynku lub targowicy w najbliższym miasteczku powiatowym to jest w Dąbrowie. Grubsze sztuki sprzedaję w targowicy na wagę a drobniejsze w rynku, jak kury, gęsi i jajka. Kupują to przeważnie Żydzi, bo oni przeważają w miasteczku, co jest naszym nieszczęściem. Zakupy robię w miejscowych sklepikach, są trzy katolickie a dwa żydowskie tylko drożej, płacę jak w mieście i na tym tracę" – pisze w ankiecie Katarzyna R. z Zalipia w gminie Olesno pod Tarnowem, gospodarująca na sześciu morgach, z jednym dzieckiem i mężem pracującym we Francji.

Trzydziestopięcioletnia Maria R. ze wsi Sokolniki pod Lwowem, z niedużego gospodarstwa, uzasadnia, dlaczego unika żydowskich sklepów: „Produkty z własnego gospodarstwa t.j. nabiał, ser, śmietanę sprzedaję we Lwowie po domach prywatnych, ciesząc się poważaniem za sumienność i czystość pod względem higienicznym. Zakupy zaś czynię przeważnie w sklepie kółka rolniczego, które jest w naszej wsi lub też w innym sklepie katolickim kierując się hasłem swój do swego. Otrzymując lepszy towar i sprawiedliwszą wagę, a tem przysparza się dochód w gospodarstwie".

Maria M. z Łącka, córka bezrolnych chłopów, która przez pięć lat pracowała w Ameryce, a po powrocie kupiła dwie morgi ziemi, nabiał kupuje tylko w spółdzielniach. Przekonuje: „I tak powinni ludzie robić, aby nie puszczać w żydowskie ręce i gdyby się wszyscy do kupy wzięli i nie puszczali handlu żydom to by nam dużo lepiej się powodziło niech żyją spółdzielnie i katolickie związki".

Chłopki dobrze wiedzą, że powinny w Żydach widzieć wroga. Księża Kościoła katolickiego, zgodnie z jego ówczesną doktryną zawierającą antysemickie elementy, nauczają je tego na mszach. Wiejskie dziewczyny słyszą z ambony, że nie powinny iść na służbę do Żydów, bo zgrzeszą. Dobra katoliczka i Polka nie powinna też u Żydów kupować. Akcję bojkotu żydowskiego handlu pod hasłem „Swój do swego po swoje”[58] rozpoczęła Narodowa Demokracja, ale Kościół katolicki ją wspiera. W 1936 roku kardynał August Hlond w liście pasterskim tłumaczy wiernym wprawdzie, że „nikogo nie wolno nienawidzić, ani Żydów”, ale jednocześnie stwierdza, że „w stosunkach kupieckich dobrze jest swoich uwzględniać przed innymi, omijać sklepy żydowskie i żydowskie stragany na jarmarku”. W tym samym roku poparcie dla bojkotu deklaruje rząd głosem premiera Składkowskiego: „Walka ekonomiczna owszem, ale krzywdy żadnej”.

Środowiska narodowe i kler przekonują, że jedną z podstawowych recept na przeludnienie wsi i bezrobocie w miastach powinno być przejęcie stanowisk pracy od Żydów, których należy się pozbyć. W tym celu Polacy powinni zakładać sklepy, a docelowo, gdy uda się „odżydzić” kraj, będzie można zająć ich stanowiska pracy w miastach.

Wśród ludności rolniczej Żydzi stanowią znikomy procent, chłopi najczęściej stykają się z nimi w sklepach, na jarmarkach lub pożyczając od nich pieniądze. Ponieważ, jak głosi propaganda, ekonomicznie radzą sobie lepiej niż Polacy, oskarżani są o nieuczciwość, ale na wsiach również często można spotkać żydowską biedotę: nędzarza z wiaderkiem śledzi, które próbuje sprzedać, lub Żyda skupującego stare ubrania, który swoje przybycie ogłasza, głośno krzycząc: „Szmaty skupuję!”.

Chłopi, korzystając z pożyczek żydowskich, czują się przez Żydów ograbiani, ale lichwa, pożyczanie na zawyżony procent, stosowana jest także przez polskich kupców, a nawet bogatych chłopów. Żydzi mają jednak w sektorze udzielających pożyczek przewagę liczebną, stąd stają się obiektem gniewu i niechęci, podsycanych przez narodowców.

Wizerunek Żyda krwiopijcy i wyzyskiwacza nie jest polskim wynalazkiem, w całej Europie antysemityzm karmi się podobnymi hasłami, kreśląc obraz Żydów w sposób karykaturalny, aby wzbudzić wobec nich nie tylko nienawiść, ale również pogardę, umniejszyć im i ich upokorzyć.

Prasa katolicka i narodowa intensywnie nawołuje do bojkotu Żydów, a skargi żydowskich kupców wpływające do sądów są oddalane. Bojkotującym nic nie grozi, więc pozwalają sobie na coraz więcej. Katolicki „Orędownik" prowadzi specjalną rubrykę zatytułowaną *Pod pręgierzem*, aby stawiać pod nim tych, którzy łamią bojkot. To właściwie lista zdrajców.

21 marca 1936 roku gazeta informuje swoich czytelników, że w Aleksandrowie pod Łodzią u Żyda Pomeranca ostatnio zakupy zrobili:

> Wyderkiewicz ze wsi Krasnodęby
> Jan Mendel ze wsi Sobienia
> Julian Pieniążek z Sobienia
> Budny z Prawęcic
> Sobaszkowa z Krasnodębów

Z kolei w Strykowie pod Łodzią, pisze gazeta, „p. Franciszek Kucharski z Koźla pod Strykowem w dniu 5 bm. ominął polskie stragany, by kupić u Żyda cukierki dla swych dzieci", z kolei w Barze Mieszczańskim przy placu Reymonta „dalej grają muzykanci Żydzi".

Taka lista może powstać tylko dzięki czujności mieszkańców, „prawdziwych patriotów" tropiących tych, którzy bojkotować Żydów nie zamierzają, i przekazujących swoje donosy redakcji. Z drugiej strony jest dowodem na to, że wielu wciąż korzysta z usług żydowskich kupców, nie obawiając się tego, że jest to źle widziane, i ryzykując, że spotkają się z agresją.

W podgrzewaniu antyżydowskich nastrojów przoduje „Przewodnik Katolicki", przekonując, że bojkot jest obroną, a nie atakiem, i że nie

wchodzi w konflikt z naukami Kościoła katolickiego. Ponieważ to kobiety zaopatrują na ogół dom, narodowe czasopisma dobrze wiedzą, że do nich powinny adresować swoją propagandę, używając właściwych argumentów. Profesor Anna Landau-Czajka podkreśla, że „Przewodnik Katolicki" w szczególny sposób zwraca się do gospodyń domowych: „A jeśli się jednak pomiędzy niewiastami polskimi i katolickimi taka znajdzie, co ciężko zapracowany grosz utopi u Żyda, to pewne, że kiedy drzewko w jej chacie zapłonie lub popłynie pierwsza zwrotka kolędy [...] to wtedy wstyd zapali jej lica rumieńcem [...], że sprzeniewierzyła się swej ojczyźnie i grosz polski zaniosła do cudzej kieszeni, a barchanik lub zabawka dziecka będzie jej żydem trąciła przez całe święta".



POD PRĘGIERZ

Żydofile defilują. P. Dembczyński Lucjan, zam. na Polesiu Konstantynowskiem ul. Srebrzyńska 75, b. czynny członek Chrześcijańskiej Demokracji, a obecnie członek zarządu Zjednoczenia Chrześcijańsko-Społecznego, nie tylko, że czyta, ale kupuje żydowski „Głos Poranny".

Miasteczko Aleksandrów pod Łodzią wzięło się energicznie do walki nad odżydzeniem handlu polskiego, ogłaszając nazwiska tych, którzy wyłamują się od propagowania hasła: swój do swego, kupując wszystko u Żydów. Z radością stwierdzić należy, że spis żydofilów aleksandrowskich zmniejsza się z dnia na dzień, gdyż społeczeństwo aleksandrowskie coraz więcej rozumie w jaki sposób należy uniezależnić od Żydów polski handel i przemysł. Oto nazwiska „ostatnich Mohikanów" z Aleksandrowa, którzy artykuły spożywcze kupują u Żyda Pomeranca: Wyderkiewicz, ze wsi Krasnodęby, Jan Mendel ze wsi Sobienia, Julian Pieniążek z Sobienia, Juras Budny z Prawęcic, Sobaszkowa z Krasnodębów.

I Stryków pod Łodzią ma jeszcze niedobitki żydofilów, którzym tak bardzo trudno zerwać z Żydami wszelkie kontakty handlowe. I tak p. Franciszek Kucharski z Koźla pod Strykowem w dniu 5 bm ominął polskie stragany, by kupić u Żyda cukierki dla swych dzieci. Również w tym samym dniu p. Zofja Gawrychówna kupowała od jakiegoś żydziaka cukierki, pomimo, iż młodociany sprzedawca był brudny i niechlujny; p. Bronisław Piotrowski z Gozdowa kupił sztuczne nawozy u Samsona Kutasa Żyda pomimo, iż w mieście są dwa składy polskie z nawozami sztucznemi. Sąsiedzi p. Piotrowski bardzo wątpią czy na nawozie żydowskim wyrośnie coś na jego ziemi.

W Barze Mieszczańskim przy Placu Reymonta w dalszym ciągu grają muzykanci Żydzi; p. Sakwa ul. Wysoka 16 najął żydowskich malarzy do odświerzenia swego domu, pomimo, iż zna malarzy polskich; p. Antoni Borkowski, właściciel składu wędlin przy ul. Rokicińskiej 11, goli się u Żyda Moszkowicza ul. Rokicińska 24; p. Rogoziński, ul. Rokicińska 11, właściciel sklepu spożywczo-kolonjalnego w podwórzu kupuje wszelkie artykuły u Żyda Bornsztajna; p. Omenceter, właściciel piekarni przy ul Rokicińskiej 11 kupuje hurtowo mąkę od Żydów z Sieradza; p. Budkowska, właścicielka sklepu przy ul. Rokicińskiej 16 niemal wszystkie artykuły spożywcze kupuje od Żydów; p. Wachowiczowa i Marja Dygas ul. Rokicińska onduluje się u Żyda przy ul. Przędzalnianej 38; p. Magadzińska, właścicielka budki ze słodyczami przy ul P. O. W. kupuje ciastka u Żyda M. Kupferminca z ul. Składowej 13. Właściciel apteki przy ul. Głównej 50 „St. Hamburg i S-ka" kazał robić sobie reklamę świetlną przez Żyda. „Łódzko-Warszawskie Towarzystwo Transportowe" pomimo, że ogłasza się jako firma chrześcijańska wszelkie towary przesyła przez żydowską firmę transportową „Centralę Zbiorowych Ładunków", mieszczącą się przy dworcu Fabrycznym; p. Jankowski, właściciel sklepu spożywczego przy ul. Lutomierskiej 13 kupuje wszelkie artykuły spożywcze u Fajtlowicza z ul. Kościelnej; p. Józefa Krüger, ul. Nowo-Pańska 144 mimo zakazu męża, kupuje stale u Żydów, a ostatnio kupiła płaszcz dla syna u Żyda na Starem Mieście.

W 1937 roku popularna na wsiach „Gazeta Świąteczna" przytacza słowa księdza Stanisława Trzeciaka, jednego z największych żydożerców wśród kleru: „Dobro państwa polskiego wymaga, aby spolszczyć zażydzone miasta i miasteczka, a handel, przemysł i rzemiosło ująć w polskie ręce. Stać się to tylko może przy ogólnym uświadomieniu i «spolszczeniu» umysłów Polaków. [...] Nauka Chrystusa nie pozwala nam źle czynić Żydom, musimy jednak dać zarobek Polakom bez pracy i dlatego musimy Żydów wyprzeć z handlu. Musimy silnie trzymać się

razem, a zwyciężymy nie obciążając swojego sumienia. Polska jest niby wolna, ale pod względem gospodarczym jest w niewoli żydowskiej. Wszyscy, którzy walczyli za wolność Polski, niech dołożą wszelkich sił, by wyzwolić ją także gospodarczo. Nie oddawajmy Żydowi ani kawałka ziemi, a nie będzie się mógł osiedlić w naszym kraju".

W popularnych katolickich i narodowych czasopismach szpalty zapełniane są nie tylko antysemickimi artykułami, ale też listami czytelników. Kto chce napluć na Żyda, może to zrobić bez problemu i żadnych konsekwencji. Każdy pretekst jest dobry, aby wyrazić swoją pogardę, umniejszyć Żydowi.

W 1935 roku czytelnik Franciszek Jędrych w liście do „Gazety Świątecznej" ubolewa, że zamiast krakowiaków i oberków nawet mieszkańcy wsi wolą tańczyć fokstroty. „Dawniej młodzież polska szczyciła się swoimi tańcami w Europie i wzbudzała podziw. Gdy Szwedzi najechali Polskę, złupili nam wielkie skarby, to przywieźli z niemi do swego kraju i nasze tańce" – pisze i woła o pomstę do nieba, ponieważ owe fokstroty „to zaraza, zgnilizna i zgorszenie, prawdziwy bezbożniczy taniec żydowski. Związki prawdziwie katolickie powinny zwrócić na to baczną uwagę. Radjo Polskie, jeśli chce swe zadanie spełnić należycie, nie powinno na swych falach rozgłaszać tych plugawych tańców".

Czytelnicy przysyłają do „Gazety Świątecznej" rymowanki-zgadywanki, a ta je publikuje, zabawa jest przednia. Pisze czytelnik w 1936 roku:

> Niech polska całością mądrzejsza będzie
> Niech takie hasło słynie dziś wszędzie:
> Zawsze swój do swego i po swoje
> – to zadanie wielu, nie tylko moje!

Katolickie czasopismo „Młoda Polka" publikuje rozmowę z krawcową, która z powodzeniem pracuje w mieście i dzieli się swoimi wrażeniami. Dziennikarka chciałaby przy okazji dowiedzieć się, dlaczego

Żydzi zatrudniają w zakładach krawieckich Polki, a nie swoje? I dziewczyna odpowiada: „Krawcowych żydówek jest niewiele, a te co są – szyją kiepsko. Widzi pani, aby uszyć sukienkę dobrze i ładnie, trzeba mieć cierpliwość i trochę gustu a tego żydówkom brak. Oh, żydzi są sprytni i chytrzy, nade wszystko chytrzy. Jakże płaciłby żyd krawcowej, która by psuła mu materiał, nawet gdyby to była jego rodaczka! Pieniądz ważniejszy. Żydówka nadaje się doskonale na ekspedientkę, a Polka na krawcową, niech więc pracują razem, byle interes szedł”.

Zgodnie z łatwym do przewidzenia prawdopodobieństwem bojkot z akcji ulotkowej i prasowej coraz częściej przeradza się w akty bezpośredniej fizycznej przemocy. Żydzi, ale też ich klienci na jarmarkach i w sklepach nie mogą czuć się bezpieczni. Przed ich stoiskami wyrastają pałkarze.

5 marca 1936 roku w miasteczku Przysucha endeccy bojówkarze uzbrojeni w kije pojawiają się w sklepach żydowskich i wyganiają z nich robiących zakupy klientów. Kto nie chce wyjść, obrywa kijem. Na miejscu pojawia się policja, która słyszy od jednego z napastników: „My jesteśmy z Narodowej Demokracji. My możemy wszystko”.

Kilka dni później w Przytyku, osiemnaście kilometrów od Radomia, podczas antyżydowskich zajść na jarmarku giną trzy osoby, a siedemnaście zostaje ciężko poturbowanych. Liczące trzy tysiące mieszkańców miasteczko, z czego 87 procent stanowią Żydzi, żyje głównie z handlu. Dwa razy w tygodniu zjeżdżają tutaj na targ okoliczni włościanie, by sprzedać zboże i artykuły gospodarcze.

Jak podaje „Ilustrowana Republika”, współżycie chrześcijan i Żydów układało się zupełnie harmonijnie do czasu, gdy nie zaczęli działać na tym terenie endecy, wzywając do bojkotu żydowskich kupców. „W dwu młynach własności Żydów Łęgi Cukra, zatrudnieni byli tylko Polacy. Zarówno lekarz i aptekarz są chrześcijanami. O księdzu z Przytyka wyrażają się Żydzi stale w słowach pełnych uznania i czci” – relacjonuje dziennikarz „Ilustrowanej Republiki”. Jak twierdzi, ci sami narodowcy, którzy wzywali do bojkotu, sami stali się handlarzami, zmuszając

chłopów do sprzedania im towarów po połowie ceny rynkowej. Przewodniczący gminy wyznaniowej mówi dziennikarzowi, że choć położenie Żydów jest złe, „ale godny politowania jest także chłop, który jest niemiłosiernie terroryzowany i wyzyskiwany przez narodowego kupca”.

W ostatnich tygodniach przed pogromem już wszystko wskazuje na to, że do niego dojdzie. W dniu targowym, 9 marca, na miejsce przyjeżdża policja – szesnastu policjantów. „Na sześciuset furmankach zjechało dwa tysiące wieśniaków. U Żydów nie kupowano” – sprawozdaje „Ilustrowana Republika”. Młody narodowiec nawołuje do bojkotu, a gdy podchodzi do niego policja, krzyczy: „«Koledzy nie ma was tu?». Schodzą się następni agitatorzy, powstaje zbiegowisko. Chłopi zaprzęgają konie, zaczynają uciekać, Żydzi zamykają sklepy, wychodzą przed domy na chodnik”. Ktoś rzuca hasło: „Chłopcy, do roboty!”. Tłum rzuca się na stragany żydowskich krawców, rozrzuca i niszczy towar, chłopi biją się z Żydami, padają strzały. Ktoś strzela z okna. Na chodnik pada martwy Stanisław Wieśniak. Grupy chłopów rozbiegają się po miasteczku, wbiegają do żydowskich mieszkań i demolują je. W jednym z nich, już po zajściach, policja znajdzie czterdzieści osiem kamieni różnej wielkości. Tłum wpada też do mieszkania rodziny Minkowskich, drągami i kijami tłucze na śmierć Joska Minkowskiego i jego żonę Chaję.

Na ławę oskarżonych trafia pięćdziesiąt siedem osób: czterdziestu trzech Polaków i czternastu Żydów.

Podczas procesu jeden ze świadków zeznaje:

– Wiedzieliśmy, że tak będzie, zgłaszaliśmy staroście, że obawiamy się zajść.

– My nie sądzimy tu starosty – odpowiada sędzia.

Władza zdawała sobie sprawę z atmosfery w Przytyku. „Podkreślić należy wyraźnie, że rzucone przez Stronnictwo hasło bojkotu ekonomicznego Żydów podjęte zostało wsposób żywiołowy przez całe miejscowe chłopstwo, atawistycznie wrogo ustosunkowane do Żydów” – pisał w sprawozdaniu wojewoda kielecki.

Sąd pierwszej instancji uznaje, że to Żydzi sprowokowali zajścia i skazuje trzech z nich na kary od sześciu do ośmiu lat więzienia, a trzydzieści osób na kilkumiesięczne kary więzienia. Wyrok cieszy prasę nacjonalistyczną, przerażając tych, którzy obawiają się nakręcającej się spirali nienawiści. Sąd apelacyjny podwyższa kary polskim uczestnikom zajść.

Pogrom w Przytyku należy do najbardziej dramatycznych antyżydowskich zajść w II RP. Do jednego z najgłośniejszych antysemickich wystąpień, znanego jako wyprawa myślenicka, doszło w tym samym 1936 roku. W nocy z 22 na 23 czerwca narodowiec, trzydziestodwuletni Adam Doboszyński i jego bojówka – około siedemdziesięciu działaczy Stronnictwa Narodowego – zdemolowali żydowskie sklepy w Myślenicach i podpalili tam synagogę.

W prasie co kilka tygodni pojawiają się notatki o zamieszkach, takich jak te w Czyżewie koło Łomży, do których doszło 3 stycznia 1937 roku. Jak informuje „Gazeta Świąteczna", na tamtejszym jarmarku doszło do „zaburzenia" między ludnością polską a żydowską, ponad dwadzieścia osób zostało rannych, a żydowski rzeźnik Zelik Jeleń na skutek obrażeń zmarł w szpitalu w Warszawie.

W tej atmosferze część autorek prac konkursowych demonstruje wrogość, używając retoryki najbardziej żydożerczych czasopism.

Maryjanna H. ze wsi Krzywanice w ówczesnym województwie lwowskim, której rodzina składa się z pięciu osób, zmaga się z trudną sytuacją w swoim małym gospodarstwie. Jej rodzina mieszka w drewnianym domu razem z trzema innymi. W pracy konkursowej dokładnie wyjaśnia, na czym polegają jej problemy i jak sobie z nimi radzi: „Gospodarowanie moje jest bardzo ciężkie, do czego przystąpię, nie udaje mi się. Przystąpiłam do chodowli gęsi, nie dosłapalam i niemiałam nawet czasu zjeść bo wciąsz były urągania że gęsi w szkodzie i męczyłam się z nimi całe Borze lato zdjęłam pierze powiesiłam na górze przyszedł złodziej i zabrał przyszedł pora do sprzedania, a tu nie ma kto

kupić nareszcie się zjawia ten wstętny żyd wy chcecie po złoty 50 a jak nie to sobie trzymajcie w końcu trzeba sprzedać za tyle ile żydowi się podoba i tak i kaczkami i kórami za bescen za kórę u nas płacą 60 groszy, za kaczkę 80 groszy, a w końcu nie ma kto kupić cuz ja tu pocznę biedna gospodyni kiedy zmuszona jezdem ją sprzedać i soli kupić piszę tu ze łzami w oczach nad takim powodzeniem w gospodarstwie. [...]

Produkty własnego gospodarstwa kupują przeważnie Żydzi, bo w ich rękach jest cały chandel i robiom co im się podoba jak chca tak płacą zakupy staram się robić w Polskich sklepach bo brzydzę się tą żydowską brodą".

Nie potrafimy ocenić, w jakim stopniu tego typu wrogie deklaracje powstałe pod wpływem katolickiej edukacji i poglądów narodowców stawały się integralną częścią światopoglądu tych kobiet i determinowały ich zachowanie.

Maria Macieszyna, żona lekarza z Płocka, w pamiętniku, który prowadzi w latach dwudziestych, pisze o swojej służącej Maryni, należącej do Stowarzyszenia Sług Katolickich pod wezwaniem św. Zyty. Marynia, wzorowa zytka, zgodnie z naukami, które tam otrzymuje, nie znosi komunistów, socjalistów ani Żydów. A kiedy na ulicach pojawiają się plakaty zapowiadające manifestację socjalistów, w poczuciu zagrożenia chce spakować wszystkie rzeczy i wynieść do piwnicy, a także robi zapasy. Gdy pani próbuje ją uspokoić, mówiąc, że socjalistów w Polsce nie jest tak wielu, Marysia odpowiada:

– Może nie jest ich dużo, ale to są straszne chamy, a jeszcze i Żydzi się do nich przyłączą.

Doktorowa jednak macha ręką na to, co mówi Marynia. Zna ją i wie, że jej wrogość jest wyuczona i powierzchowna. „Często widzę ją, jak pasie dzieciaki, nawet żydowskie, pomimo że jest antysemitką" – zapisuje w pamiętniku.

Czy więc rzeczywiście z powodu deklarowanej wrogości należy uznawać te kobiety za antysemitki? Czy za zmanipulowane biedaczki,

które wierzyły, że Żydzi mają na sumieniu nie tylko śmierć Chrystusa, ale i gospodarczą zapaść Polski, a więc także ich nędzę? Czy wobec tego można traktować je z wyrozumiałością i przenieść odpowiedzialność za ich postawy na tych, którzy robili wszystko, by sprawować władzę nad ich umysłami i duszami? A jeśli tak, to czy myśląc w ten sposób, nie udajemy się w ślady ówczesnych paternalistycznych klas wyższych odmawiających klasom ludowym rozumu, a czasem wręcz prawa do samostanowienia?

Ta opowieść ma swój ciąg dalszy. Biedzą się nad nim badacze Holocaustu, opisując motywy osób udzielających pomocy ukrywającym się w czasie wojny Żydom, jak również przyczyny, dla których tejże pomocy odmawiano.

„Wymowa liczb jest nieubłagana: dwóch spośród każdych trzech Żydów poszukujących ratunku – zginęło" – piszą Barbara Engelking i Jan Grabowski we wstrząsającej publikacji *Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski*.

Wśród ratujących znalazły się jednak i te, które ksiądz straszył piekłem, jeśli zadawać się będą z Żydami. Niektóre z nich nie tylko wbrew katolickiemu nauczaniu podjęły pracę służącej w żydowskich domach, ale także podczas okupacji z narażeniem życia pomagały swoim chlebodawcom, a ich postawy, zwłaszcza gdy chroniły dzieci, z którymi czuły się szczególnie związane, bywały heroiczne[59].

Opowieść zakorzeniona w stosunku wielu mieszkańców wsi (i nie tylko) do Żydów przed wojną wybrzmiewa współcześnie, jakby zahibernowana w PRL-u czekała na swoje oficjalne media, księży i nacjonalistów, by się wskrzesić i wrócić na właściwe sobie tory.

Otrzymaliśmy ją w spuściźnie, z którą radzimy sobie na różne sposoby: czyniąc z przedwojennego antysemityzmu tabu lub uznając, że nie dotyczy naszych rodzin. Lecz on się nie ulotnił, jego zapach wciąż się unosi, nawet jeśli pozostał plamą wstydu, od którego się ucieka, ewentualnie bagatelizuje, bo to przecież tylko takie gadanie babci. „Przecież ona taka

nie była, znałem ją. Nie lubiła Żydów, zgoda, ale nie nazwałbym jej antysemitką” – wielu potomków niepodzielających poglądów swoich dziadków prowadzi prawdopodobnie tego typu wewnętrzne monologi, by zachować dobrą opinię o swoich bliskich, ponieważ trudno zrozumieć sprzeczności, które te przyzwoite i bezgranicznie oddane swoim bliskim osoby mieściły w swoim charakterze.

„Największą tragedią Żydów jest nie to, że ich antysemita nienawidzi, ale to, że łagodni i dobrzy ludzie mówią: «porządny człowiek, chociaż Żyd»” – pisał Ludwik Hirszfeld, światowej sławy mikrobiolog żydowskiego pochodzenia.

Wiejskie kobiety, łagodne i dobre, a jednak niektórych z nich ich jasna strona nie ochroniła przed uczuciem pogardy czy nienawiści, choć potomkom trudno przyjąć to do wiadomości, stąd system wyparć i zaprzeczania, pomniejszanie zjawiska przedwojennego antysemityzmu lub niedostrzeganie niebezpieczeństwa, jakie w sobie krył.

W latach dziewięćdziesiątych, gdy wraz z końcem komunizmu antysemityzm w Polsce zaczął się „rozmrażać”, Wojciech Banaszak, wnuk dobiegającej już setki Anny Szopowej, zapytał ją o jej stosunek do Żydów. Sam nie znał Żydów, wyznaniowe gminy żydowskie dopiero zaczną się odradzać, babcia była właściwie jedyną osobą z bliskiego otoczenia, która miała z nimi bliski kontakt.

„– Ja nigdy nie lubiłam Żydów – odpowiedziała.

– Czy Żydzi rzeczywiście nie dopuszczali Polaków do handlu i urzędów? – drążyłem.

Babcia zastanowiła się przez kilka chwil, aż w końcu odparła:

– Wiesz, to nie do końca jest tak... Żydzi byli prawie jedynymi handlarzami, którzy docierali do wsi i handlowali z chłopami. Zawsze płacili za towar mniej, niż potem odsprzedawali na targu...

– No, ależ to chyba jest normalne, że chcieli na tym handlu zarobić. Tanio kupić, drogo sprzedać, to przecież podstawowa zasada handlu – przekonywał wnuk.

– No, tak... Ale ludzie nie chcieli tego rozumieć i mieli o to do Żydów pretensje.

– No dobrze, ale czy oni rzeczywiście kradli i oszukiwali?

– Hmmm... – Babcia zastanawiała się dłuższą chwilę. – Wiesz, tak po prawdzie, to Polacy byli jeszcze gorsi, bo okradali nawet siebie nawzajem. Pamiętam, że kiedyś w naszej okolicy założyli spółdzielnię i zaczęli skupować kurze jaja. Na początku szło dobrze, a chłopi woleli nawet sprzedać im taniej, bo to byli przecież polscy kupcy. Jednak po krótkim czasie ci spółdzielcy coraz bardziej zalegali z zapłatą za oddane im jaja, a w końcu okazało się, że ci wspólnicy okradają jeden drugiego. I tak znów Żydzi od chłopów skupowali jaja.

– Rozumiem, że Żydzi po prostu dotrzymywali umów? – Babcia nie odpowiedziała.

[...]

– W Wolbromiu było dwóch adwokatów – babcia wspomniała stare czasy. – Najpierw był prawnik Żyd, a po nim przyszedł Polak i też otworzył kancelarię. Więc jak on otworzył, to wtedy Polacy zaczęli zgłaszać się do niego. Jednak szybko okazało się, że on nie pracuje tak, jak robił to Żyd. Polak wyznaczył godziny urzędowania i nie chciał jeździć na wieś, Żyd natomiast przyjmował nawet w nocy i nieraz pojechał do gospodarza, kazał tylko podstawić sobie furkę. Nie dłużej jak dwa lata trwało, a prawnik Polak musiał zamknąć kancelarię, bo wszyscy znów chodzili do Żyda".

Na koniec rozmowy wnuk zaryzykował pytanie mające stanowić podsumowanie wywodu babci:

– Rozumiem, że Żyd był bardziej pracowity i wygrał konkurencję? To chyba raczej nie najlepiej świadczy o nas, o Polakach? – dopytywał.

„Babcia pokiwała smutno głową i zmieniliśmy temat" – kończy swoją opowieść Wojciech Banaszak. Jak się jednak okaże, Anna Szopowa nie powiedziała wnukowi wszystkiego. Kilka lat po tej rozmowie krewni Wojciecha Banaszaka w rodzinnych dokumentach odnaleźli zaświadczenie wystawione przez notariusza w 1947 roku, w którym Laura

Kaufman, wybitna genetyczka, profesorka Uniwersytetu UMCS w Lublinie (przed wojną pracowała w Państwowym Instytucie Naukowym Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach), oświadczyła, że podczas okupacji, gdy musiała się ukrywać „ze względu na niearyjskie pochodzenie", znalazła schronienie u rodziny Jana Szopy [i jego żony Anny – przyp. J.K-F.] w Zagórowej.

„Zwłaszcza syn jego, Michał Szopa, okazał mi pomoc, mimo że zdawał sobie sprawę, na jakie naraża się niebezpieczeństwo z powodu mojego pochodzenia. Ta pomoc zupełnie bezinteresowna umożliwiła mi przetrwanie w najcięższym dla mnie czasie okupacji" – poświadczała profesor Kaufman.

Zaświadczenie wywołało konsternację potomków Anny i Jana. Dotychczas nikt z rodziny nie miał pojęcia o tym, że nieśli podczas okupacji jakąkolwiek pomoc Żydom. Dlaczego nigdy o tym nie rozmawiano?

– Po wojnie, aż do lat nawet dziewięćdziesiątych, nie o wszystkim się mówiło. A w sprawach ratowania Żydów nieraz i do dzisiaj rodziny ukrywają swój udział, obawiając się przykrej reakcji sąsiadów – komentuje wnuk Anny i Jana Szopów.

Wojciech Banaszak, choć zaskoczony milczeniem swojej rodziny, na tyle zna realia, że potrafi sobie wyobrazić motywy, dla których ten temat stał się w rodzinie tabu. To nierzadkie doświadczenie wiejskich rodzin.

Ceniona socjolożka, profesor Jadwiga Staniszkis, w 1995 roku pojechała wraz z mężem na Podlasie do przysiółka Konne pod malowniczym Supraślem. Tam właśnie podczas okupacji ukrywała się rodzina jej męża, dzięki czemu udało im się przetrwać. „Odnaleźliśmy kilka starszych dziś osób, które wtedy, jako młodzi ludzie, były na miejscu i pamiętają. Na przykład – jak ich rodzice wysieli zboże aż do brzegu lasu, aby ukrywającym łatwiej było podczołgiwać się po chleb; jak pasające się na polanie krowy ostrzegały, nagle nieruchomiejąc, bo na skraju lasu są obcy". Ale kiedy profesor Staniszkis i jej mąż zapytali tych ludzi, czy chcieliby dostać medal Sprawiedliwego wśród Narodów

Świata, „błagali, żeby nikomu nie mówić o tym, co zrobili: w Białymstoku silny był wtedy ZChN" – pisze Jadwiga Staniszkis w swojej autobiograficznej książce *Ja, próba rekonstrukcji*.

Analizowanie postaw i konfrontacje nie zawsze pozwalają zrozumieć nastawienie naszych przodków, a czasem wręcz potwierdzają nasze najgorsze obawy. – Moja rodzina na małopolskiej wsi po wojnie, remontując swój dom, zdjęła strzechę ze swojego dachu i ułożyła dachówki z żydowskiej karczmy – opowiada Agnieszka Jędrzejczyk, dziennikarka o chłopsko-inteligenckim rodowodzie, w której ten temat zawsze budził niepokój. Fakt korzystania z pożydowskiego mienia wielu uznałoby za normalny, wiemy przecież, że majątki Żydów nie czekały na nich po wojnie. Agnieszce Jędrzejczyk, historyczce z wykształcenia, nie dawało to spokoju, chciała też wiedzieć, w jaki sposób jej krewni traktowali możliwość korzystania z żydowskiej własności, więc zapytała wprost: „Dlaczego to zrobili?", a także o to, czy coś wiadomo o losie właścicieli tej karczmy, z której pochodzi dach kryjący teraz dom jej rodziny.

– A, bo oni wyjechali. Nie wiadomo gdzie – usłyszała.

– No to przecież mogli wrócić?

– A, nie, wiadomo było, że nie wrócą.

Była jedyną osobą w rodzinie, którą ten temat absorbował. Reszty to po prostu nie ciekawiło.

ROZDZIAŁ 14

CZY TUTAJ NIE MA WCALE POLSKICH LUDZI?

Moja madam jest dobra, do kościoła pójść pozwala, stołowania bardzo dobra i widaą, że służba utrzymuji dobrza, ja dlatego jestem zadowolniona, dziękujem pani.

Jadwiga Juchniewiczowa w liście do Julie Duval

Podczas gdy w kryzysie coraz więcej krajów ogranicza przyjazdy emigrantów, kobiety wciąż mogą wyjeżdżać na saksy do Francji. Powinny mieć ukończone dwadzieścia jeden lat i – najlepiej – doświadczenie w dojeniu krów. Na fermach czeka też praca służącej, czyli jak to się w Polsce wówczas mówi, dziewki. Zaprasza między innymi departament Indre i Loara, około 250 kilometrów na południowy zachód od Paryża.

Szkolne lekcje historii pozwoliły nam myśleć, że dawna polska emigracja we Francji ma twarz najszlachetniejszych i największych: Mickiewicza, Chopina i Norwida, a nie górnika i krowiarki, których w tym kraju pracowały tysiące, by uciec od głodu w ojczyźnie. Polonia w okresie międzywojennym staje się we Francji największą emigracyjną wspólnotą, zaraz po uchodźcach z Włoch. Polacy pracują głównie w kopalniach na północy Francji, gdzie do dziś mieszka wielu ich potomków. Zaledwie 28 procent pracowników z Polski to kobiety, ale na fermach w departamencie Indre i Loara przeważają: w samym 1934 roku 900 Polek doi tutaj krowy i pieli w polu.

Francuskie saksy to doświadczenie wielu naszych przodkiń, choć nie zawsze wiemy, na czym ono polegało. Do Francji na roboty wyjechała także matka Henryka Wujca, urodzonego na wsi pod Biłgorajem. Z zawodu fizyk, działacz opozycji w PRL-u, potem senator i polityk,

cieszący się szacunkiem i zaufaniem, należał do nielicznych w polskim życiu publicznym, którzy otwarcie mówili o swoim chłopskim pochodzeniu. Dobre wykształcenie zawdzięczał uporowi matki, co zawsze podkreślał, pamiętając, że ona sama nie mogła się uczyć. Zamiast chodzić do szkoły, w latach trzydziestych wyjechała do Francji, żeby po śmierci ojca pomóc swojej rodzinie. „Mama poznaje tam inny świat, wiele się uczy, to są jej uniwersytety. Samotna dziewczyna w obcym kraju, bez wsparcia rodziców, czy ma tam zostać, tam zawrzeć małżeństwo i stamtąd pomagać rodzinie, czy wracać?" – pisał Wujec w jednym z felietonów.

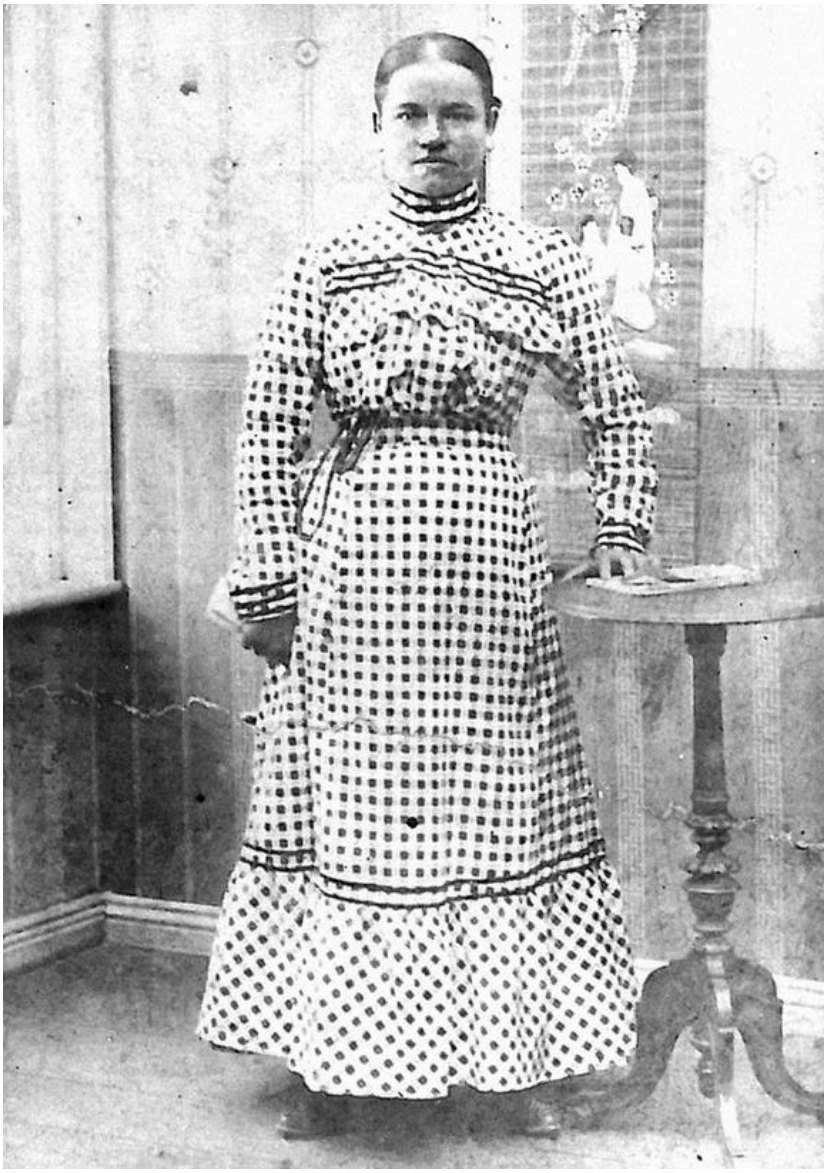
Pisarz Michał Paweł Urbaniak, będąc dzieckiem, któregoś dnia usłyszał od swojego dziadka: „Gdy byłem w twoim wieku, moja mamusia mnie zostawiła i wyjechała do Francji". Nie tylko nie wiedział, co to znaczy, ale nie miał także pojęcia, gdzie leży Francja. Zapamiętał jednak z tej rozmowy głęboki smutek dziadka, dlatego, już w dorosłości, postanowił sprawdzić, z jakich powodów jego prababcia zostawiła swojego syna i wyjechała.

– Kiedy zacząłem badać historię wyjazdu mojej prababki Teofili Poniewiery do Francji, musiałem przedzierać się przez legendy i snuć domysły, pojawiały się sprzeczne wersje. Oczywiście na początku mowa była o utracie dworu – szybko ustaliłem, że Poniewierowie żadnego dworu nie mieli – wspomina Michał Paweł Urbaniak.

„Oczywiście [...] mowa była o utracie dworu" oznaczać ma pewnie, że wiele rodzin chętnie sobie wyobraża, że skoro ich przodkowie byli biedni, to znaczy, że coś utracili. Łatwiej myśleć, że dziadek przegrał w karty majątek, niż że nigdy niczego nie posiadał. Michał Paweł Urbaniak nie tylko musiał przyjąć do wiadomości, że jego rodzina nie należała do majętnych, ale potrzebował także zmierzyć się z prawdą o tym, że była nieszczęśliwa. Genealogiczne śledztwa często kończą się melancholią.

– Poniewierowie mieszkali w przysiółku Borlocha nieopodal Przystajni. Walenty był szewcem, Teofila zajmowała się szyciem. Ponadto

Walenty w aktach określany jest jako podienszczik, czyli robotnik dniówkowy o bardzo niskim statusie społecznym, wykonujący najcięższe prace. Co gorsza, nie stronił od alkoholu i zarobek często zostawiał w karczmie. Ustaliłem, że Teofila wyjechała do Francji, aby zarobić pieniądze i spłacać długi. Musiała zostawić dzieci na kilka lat. Często myślę o tym, z jak ogromną tęsknotą moja prababka musiała się zmagać na obczyźnie. Kochała czytać książki, były jej nieodłącznymi towarzyszkami. Może i we Francji przyniosły jej pocieszenie? Synowa Teofili żartobliwie mówiła o francuskim rozdziale jej życia: „Wzięła książki i ruszyła na Paryż!", ja widziałem w tym jedynie dramat dobrej kobiety, skazanej nie ze swojej winy na ciężki los. A przecież nie tylko ona padła ofiarą tej sytuacji. Po jej wyjeździe dzieci, wówczas przecież bardzo małe, rozdano na służbę. Mój dziadek Józef wypasał krowy. Dominika – najstarsza siostra – starała się opiekować młodszym rodzeństwem, ale ona również mieszkała w obcym gospodarstwie i wypasała krowy. Najmłodsza, Marta, zajmowała się kurami. Opowiadała swojej wnuczce, że nie miała butów, głodowała i że było jej ciągle zimno, więc aby się ogrzać, kucała przy ziemi i oddawała mocz na stopy. Podobno nawet nie mieli wstępu do domu gospodarza, u którego pracowali. Najstarsza z sióstr wspominała, że czasami podkradała gospodarzowi odrobinę mąki i biegła do piekarza, aby upiekł choć malutki chleb. Sam Walenty po wyjeździe żony znalazł sobie inną kobietę, która bardzo źle traktowała jego dzieci. Gdy robiła pasztet i smalec, zaznaczała krzyżykiem jego skraj i jeśli jakieś dziecko połakomiło się na trochę pasztetu, kończyło się to biciem. Wiem, że prababcia Teofila przesyłała z Francji nie tylko pieniądze, ale i paczki z owocami czy innym jedzeniem, ale one rzadko docierały do dzieci. Podobno, gdy przyjechała z Francji, miała zamiar jeszcze tam wrócić – ale kiedy zobaczyła, jak Walenty traktuje dzieci, została – relacjonuje prawnuk Teofili Poniewiery.

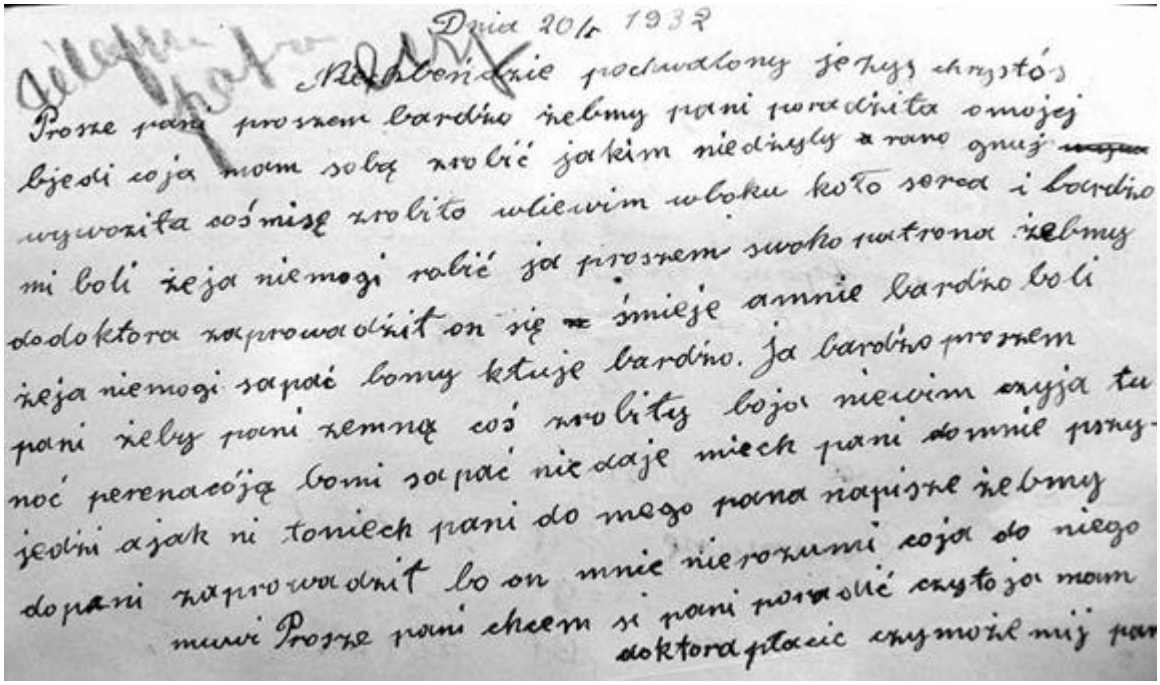


Teofila Poniewiera, wyjeżdżając do Francji, musiała zostawią dzieci na kilka lat. Kochała czytaą książki, były jej nieodłącznymi towarzyszkami. Może i we Francji przyniosły jej pocieszenie?

Teofila mogła być jedną z nich. Przyjeżdżają spod Krakowa, Lwowa, Kalisza, rzadziej spod Wilna. Panny, wdowy i mężatki, niektóre, jak ona, zostawiły w domu dzieci, bo to dla nich wybrały się na zarobek do odległego świata, o którym nie mają pojęcia. Teraz w tym w rolniczym, płaskim, zielonym i wyludnionym regionie w centralnej Francji muszą wytrwać co najmniej rok, bo na taki czas jeszcze w Polsce zawarły kontrakt i jeśli go wcześniej zerwą, zapłacą karę, a gospodarz zażąda, żeby zwróciły mu pieniądze za podróż.

Na Annę Lewicką w domu pod Kołomyją czeka siedmioro dzieci, pięciu chłopców i dwie córki, najmłodsze ma cztery lata. Czterdziestoczteroletnia Anna niemal od razu po przyjeździe zaczyna chorować, zadania wyznaczone jej przez francuskich pracodawców okazują się zbyt ciężkie. Nie ona jedna, dużo młodsze dziewczęta czują się przytłoczone obowiązkami na fermach. Raczej miały inne wyobrażenia o tym, co je tutaj spotka.

> Kochana mamusiu, donoszę jak tylko przyjechałam tam do tego gospodarza, a co do mojej pracy, mam krów do dojenia dziewieą, jest byk taki duży, Kochana mamusiu, i muszę wyzucaą gnój od tych krów co rana. Kochana mamusiu, muszę wodę ciagnąą ze studni dla tych krów, a jeszcze mam świł tak duźo, źe ani nie wiem jle ich jest prac, muszę teź. Kochana mamusiu, recę mnie strasznie bolam, źe ani w nocy nie mogę spaą po takiej cieźkej pracy, Kochana mamusiu i jesze muszę ciągnąą wodę ze studni dla tych krów, przesło ze trzydzieści wiader wody dla koni, tez musze ciagnąą wode, takie duźe te wiadra. Kochana mamusiu, jak tak była francuska dziewczyna, to ona ani przez połowy nie robiła tej roboty, co ja. Kochana mamusiu, ten gospodarz jest wcale niewymiarowany i gospodyni taka sama jak i on. Kochana mamusiu, proszę bardzo pokornie, źeby mi mamusia przyjechała z pomocąm. I moja siostra jemu tez mówiła, źe to jest za duza praca, a on sobie z tego nic nie robi, tyko źe polska dziewczyna jest mocna, ale jej potrzeba zawsze siły.
>
> Leonora Adamus



Dla wielu dziewcząt praca na francuskich fermach kończy się załamaniem nerwowym

Wszystko wskazuje na to, że i francuscy farmerzy inaczej wyobrażali sobie swoje nowe pracownice z odległego, zimnego kraju. Polki mają opinię silnych, odpornych i posłusznych, dlatego tamtejsi chłopi sądzą, że można wrzucić na ich barki, co tylko się chce: dziewięć krów do dojenia, trzydzieści wiader wody do ciągnięcia ze studni, gnój do wyrzucania. Zadania, którym jedna osoba nie jest w stanie podołać, a zwłaszcza młoda, niedożywiona dziewczyna z polskiej wsi. Ich kontrakty – opiewające na 280 franków[60] plus wyżywienie i opierunek o wartości 250 franków – co do obowiązków zawierają bardzo ogólne zapisy. „Robotnik zobowiązuje się zastosować do pracy i wypoczynku stosownie do przyjętych zwyczajów na miejscu zajęcia”, głosi umowa po polsku i po francusku, toteż wsiadając w Polsce do pociągu, nie wiedzą, co je może spotkać na fermach u francuskich chłopów.

Pisę dnia kwietnia 23.

Piersze słowa mojego listu niech będzie pochwalony jezusz hrystus, a spodziewam sie, ze mi odpowiecie na wieki ament. Terasz pozdrawiam Paniom mile i serdecznie. Terasz donosze Pani o swoie powodzeniu, jest mi bardzo czeszko i 2

> wiader wody sama, studnia 165 metrom, a oni [gospodarze] się szmiejo ze mnie i prosze Pani o odpisz, bo jek Pani nie odpiszesz, to mie wariacya do gowy przyjdz
>
> Stefania Antczak

Listy pełne próśb i skarg wysyłane są przez Polki z różnych miejsc departamentu Indre i Loara. Trafiają do miasta Tours, stolicy regionu. Kim jest ich adresatka, nazywana przez dziewczyny w listach „mamusią", „kochaną" lub „wielmożną panią", „dobrą opiekunką", „derektorką", a nawet „przewodniczącym aniołem"?

Tę zagadkę rozwiązały francuskie i polskie badaczki, które zajęły się listami Polek zachowanymi w archiwum miasta Tours[61].

– To Julie Duval[62], opiekunka społeczna powołana przez rząd[63] do nadzorowania warunków pracy emigrantek i interweniowania w razie problemów. Kiedy pracowałyśmy nad listami Polek do niej, francuscy historycy nie mogli zrozumieć, dlaczego one zwracają się do niej w tak zaskakujący sposób, prawie jak do Matki Boskiej. Niektóre listy przypominają wręcz litanię – mówi Maryla Laurent, profesorka języka i literatury polskiej, tłumaczka, która nie tylko przełożyła listy Polek na francuski, ale też ustaliła wiele szczegółów dotyczących biografii Julie Duval. – Gdy analizowałam listy, które wysyłała w sprawie polskich pracownic do różnych instytucji, początkowo nie domyśliłam się, że ich autorka to Polka, ponieważ pisze doskonałym francuskim. Ale kiedy się dowiedziałam, że urodziła się w Polsce, jasne się stało, dlaczego jej relacja z dziewczętami jest tak wyjątkowa. Francuzka nie byłaby w stanie z nimi nawiązać tak bliskiego, a jednocześnie bardzo specyficznego kontaktu – tłumaczy profesor Laurent.

Spośród 1300 listów Polek, które Julie Duval złożyła w archiwum w Tours, badaczki opracowały 130 i opublikowały w książce *Polonaises aux champs* [Polki w polu].

Ton tych listów świadczy o wielkim zaufaniu dziewcząt i ich sympatii do Julie Duval, jednocześnie pojawiają się w nich zwroty typowe dla polskiej klasy ludowej, używane wobec przedstawicieli klas wyższych. Na polskiej wsi, gdzie wciąż panują półfeudalne stosunki, tego typu

sformułowania nie tylko nie rażą, ale wciąż wydają się obowiązkowe, ale we Francji ten typ relacji nie istnieje. Wprawdzie Polki w 1918 roku zyskały prawa wyborcze, na co Francuzki muszą jeszcze poczekać do 1944 roku, francuskie społeczeństwo w okresie międzywojennym należy jednak do dużo bardziej egalitarnych. Całowanie pańskich rączek przez klasy niższe może budzić jedynie uśmiech zakłopotania.

– Przyznam, że te wszystkie sformułowania „wielmożna pani", „całuję rączki", „niskie ukłony" przysparzają tłumaczowi kłopotów i nie mają odniesienia we francuskim, trudno właściwie wyjaśnić znaczenie tych sformułowań, przez Francuzów odbierane są jako nienaturalne, a wręcz dziwaczne – tłumaczy Maryla Laurent.

Dnia 29/3 1931

Najserdeczniej dziękuję czcigodny Pani derektorce, źe Pani mnie była jak przewodniczącym aniołem, gdyź ten pan co przyszedł i kazał mi siadaą do pociągu i takem się dowlokła na miejsce gdyź mój Pan miał depeszę, źe przyjadę na drugi dzieł i jeszcze raz dziękuję czcigodny Pani.

Serdeczne Bóg zapłaą.

Stefania Bądkówna

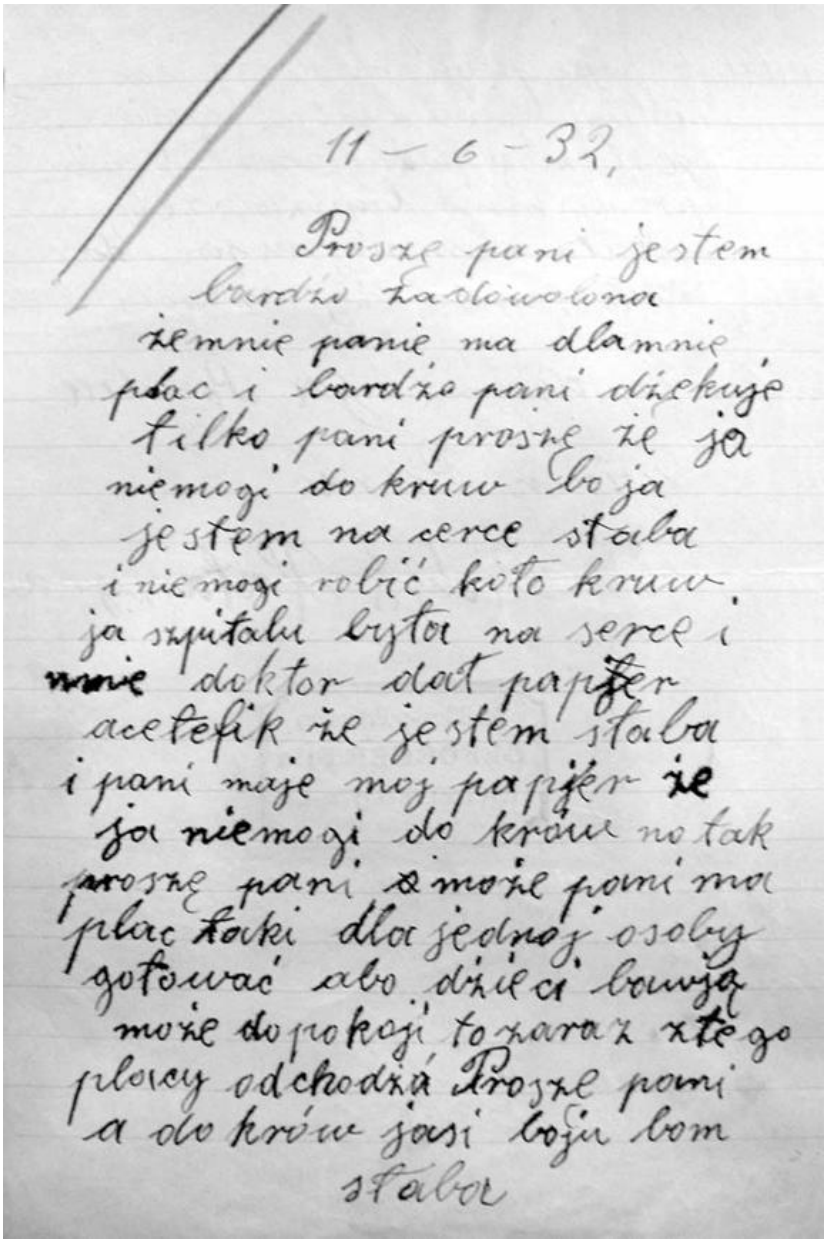
Kiedy Julie Duval dostaje list od polskiej wyrobnicy, czerwoną kreską w rogu zaznacza, że go przeczytała. Gdy odpisze na list, wtedy obok czerwonej rysuje kreskę niebieską. Często wsiada w samochód, by zbadać sytuację już na miejscu, na fermie, a kiedy trzeba, ostro się rozprawia z gospodarzami.

– Wiem od jej wnuka, że była bardzo stanowcza. Z listów wynika, że także bardzo skuteczna. Do tego stopnia dawała się francuskim pracodawcom we znaki, że zrobili wszystko, aby się jej pozbyć, i rzeczywiście, w końcu musiała odejść – opowiada tłumaczka listów.

Wcześniej przez pięć lat Julie pełni jednak funkcję anioła stróża polskich pracownic. Zawzięcie walczy o poprawę warunków ich pracy, koresponduje z lekarzami, w imieniu analfabetek pisze listy do ich rodzin w Polsce, pożycza im książki, żeby uczyły się czytać, i przeżywa razem

z nimi ich upokorzenia. „W naturze ludzkiej jest tłamszenie słabszych” – notuje.

– Kiedy decyduje się zostać opiekunką, ma pięćdziesiąt pięć lat, pracuje w ambasadzie w Paryżu. Wymaga to od niej dużego wysiłku: musi zdać egzamin, ale też zrobić prawo jazdy, którego dotąd nie miała. Robi to wszystko, bo pomoc tym bezbronnym dziewczynom uważa za swój obowiązek. Jej ogromna praca społeczna to misja inteligentki w najlepszym wydaniu. Moim zdaniem stawia ją to w rzędzie najbardziej zasłużonych na emigracji Polaków – mówi Maryla Laurent.



11 – 6 – 32,

Proszę pani jestem
bardzo zadowolona
że mnie pani ma dla mnie
pisać i bardzo pani dziękuje
tylko pani proszę że ja
niemogi do krow bo ja
jestem na serce słaba
i niemogi robić koło krow.
ja szpitalu bryła na serce i
mnie doktor dał papjer
acetefik że jestem słaba
i pani maje mój papjer że
ja niemogi do krow no tak
proszę pani a może pani ma
plac taki dla jednoj osoby
gotować albo dzieci bawją
może do pokoji to zaraz z tego
placu odchodzą Proszę pani
a do krów zasi boju bom
słabo

Kiedy Julie Duval dostaje list od polskiej wyrobnicy, czerwoną kreską w rogu zaznacza, że go przeczytała



Jedna z Polek, które trafiły na saksy do Francji

W samym 1934 roku Julie Duval opiekowała się 900 Polkami, od których dostała 1592 listy, a sama w sprawie podopiecznych napisała ich 1600. Tego samego roku w szpitalach odwiedziła aż 239 kobiet. Choroby to kolejny problem polskich wyrobnic. Dwie z nich zmarły w szpitalu psychiatrycznym.

– Są wyczerpane pracą, a do tego czują się bardzo samotne. Dotąd mieszkały najczęściej w rodzinach wielopokoleniowych. We Francji są wyizolowane, nie mają prawie z nikim kontaktu poza pracownikami gospodarstwa, bo fermy położone są w dużych odległościach od siebie

i możliwość prowadzenia życia towarzyskiego jest bardzo ograniczona. Całymi dniami milczą, mając poczucie, że są nierozumiane lub wyśmiewane. Atrakcyjniejsze narażone są na zaczepki seksualne. To wszystko powoduje, że cierpią na depresje, załamania nerwowe. Jedna z nich została odnaleziona, gdy szła wzdłuż torów, bo miała nadzieję, że dojdzie do swojego domu w Polsce – mówi Monika Siama z Uniwersytetu w Rennes, jedna z autorek książki, ekspertka do spraw dziedzictwa kulturowego polskiej emigracji zarobkowej we Francji.

Wiktoria Klisz z Czernichowa koło Żywca niemal umarła z przepracowania. Przyjechała do Francji 23 września 1930 roku i trafiła do pracy w miejscowości Le Bois Saint-Maurice koło Sorigny. Jej relacja to dowód jawnego znęcania się gospodarzy nad pracownicami.

> Otóż mam zaszczyt zawiadomią szanowną pania o swojem odejściu z kontrachtu.
>
> Otóż piersze, ze jak szanownej pani wiadome i znane jest dobrze, to miejsce źa tam żaden robotnik nie może dłużej wybyą jak jeden miesiądz, a ja jednak pszecierpiałam 9 miesięcy pomimo wszystkiego. W piątek to jest 19 czerwca doiłam krowy jak w każdy dzieł , to jest rano, w południe i wieczór. Do godziny 9-30 wydoiłam 14 krów, to juź z sił opadłam, bo ona [gospodyni] kazała mi podoią kozy, ja jej powiedziałam, źe juź nie mogę, bo mnie ręce bolą i na nogach stoią nie mogę. To ona złapała mnie z tyły i wypchnneła. To była godzina 10 wieczór. To ten Polak co szanowna pani go tu pszysłała podniósł się i powiedział, źe tak się nie należy robią, źe trzeba daą wpierw jeśą, a później robią. To on sam gaspodarz podniósł się od stołu do tego polaka i chciał go bią i kazał mnie iśą zaraz wieczór [...].
>
> jak szanownej pani wiadomi, źe w każdy dzieł musiałm wyrzucią od 27 krów gnój i od świł . Daą świniom źryą i doią od 10 do 15 krów 3 razy dziennie. To niech szanowno pani wejrzy w moje pooźenie, źe juź chodzią nie mam zdrowia, bo dostałam krwotoku i krew mi uderzała nosem i ustami, to aź w nocy doktora wzywał do mnie. To doktor powiedział, źe za ciężko pracuje. Otóż postanowiłam kontrakt ukoł czyą bo juź nie mogę dalej wytrzymaą. Jak poszłam razem z tym Polakiem do Toksyni[64] to tam był ten pan i zaraz się zgodził i obecnie czuje się lepiej jak na kotrachcie, bo roboty dużo mniej i życie lepsze.
>
> Zasylam pani pozdrowienie.
>
> Viktora Klisz[65]



CONTRAT DE TRAVAIL
UMOWA NAJMU DO PRACY

ARTICLE PREMIER. — Le soussigné Czuba Stanisława déclare s'engager au service de Baranger Bonsay, cultivateur, en qualité de femme de chambre pour effectuer tous les travaux agricoles qui lui seront demandés, et aux conditions de salaire fixées par l'employeur.

ART. 2. — Cet engagement est fait pour une durée de 1 mois, à dater du 2-12-32

ART. 3. — L'employeur effectuera des retenues mensuelles de 1/10 du salaire global (argent et nature totalisés) versé à l'ouvrier, jusqu'à concurrence d'une somme maxima de
en conformité avec les dispositions de l'art. 62, Livre Ier du Code du Travail ; il est convenu que la nourriture et le blanchissage fournis par l'employeur seront évalués forfaitairement à 250 francs par mois.

L'employeur remboursera à l'ouvrier, lors de l'expiration de son engagement, le total des retenues qu'il aura effectuées.

Si l'ouvrier rompt son contrat avant la date fixée pour son expiration, les retenues seront acquises à l'employeur. Si elles n'atteignent pas la somme maxima fixée ci-dessus, l'ouvrier devra, en outre, verser la différence à l'employeur pour compléter ladite somme.

De plus, toute rupture d'engagement, qu'elle soit le fait de l'une ou l'autre des parties, pourra entraîner des dommages-intérêts alloués par les tribunaux.

ART. 4. — L'ouvrier déclare se conformer, au point de vue travail et repos, aux habitudes locales.

Fait à l'Office de M. O. A., le 12 NOV. 1932

Pour l'employeur,
Le Directeur de l'Office :
Baranger Victor

ART. 1- szy. — Niżej podpisany robotnik Czuba Stanisława zobowiązuje się służyć u gospodarza p Baranger Bonzay w charakterze robotnicy roliej do wykonywania wszelkich robót rolniczych stosownie do wymagań na następujących warunkach płacy 280 fr. miesięcznie wyznaczonych przez pracodawcę

ART. 2. — Umowa niniejsza ważna jest na przeciąg 1 miesięcy, licząc od dnia 2 grudnia 1932 - do 2-12-1933 r.

ART. 3. — Pracodawca będzie strącać co miesiąc 1/10 część wynagrodzenia całkowitego (to jest płacy w gotówce i w naturze razem wziętych) dawanego robotnikowi do czasu spłacenia sumy maksymalnej stosownie do przepisów zawartych w art. 62 Księgi 1-szej Kodeksu Pracy, przytem ustala się że pożywienie dostarczane przez pracodawcę i pranie bielizny oceniane jest zazwyczaj na 250 frs. miesięcznie.

Pracodawca zobowiązuje się zwrócić robotnikowi całą należność strąconą z chwilą gdy umowa zostanie całkowicie wypełniona.

O ile jednak robotnik zerwie, umowę przed upłynięciem terminu tejże, wówczas należność strącona, pozostaje u właściciela na korzyść tegoż.

O ile należność nie dosięgnie sumy maksymalnej wyznaczonej powyżej, robotnik wpłaca różnicę pracodawcy aż do uzupełnienia wymienionej sumy.

Ponadto każde zerwanie niniejszego zobowiązania niezależnie z czyjej winy nastąpiło, tak z jednej jak z drugiej strony, pociąga za sobą przyznanie odszkodowania przez Sądy.

ART. 4. — Robotnik zobowiązuje się zastosować do pracy i do wypoczynku stosownie do przyjętych zwyczajów na miejscu zajęcia,

Spisano w Urzędzie
L'Office de M. O. A., dnia 12 NOV. 1932

Signature de l'ouvrier.
Podpis robotnika :
Czuba Stanisława

Imp. Abrogimake. — 19.084.

Polskie służące zawierają kontrakty ze swoimi pracodawcami. Jeśli są one łamane i kobiety spotyka krzywda, mogą poprosią o pomoc swoją opiekunkę społeczną – i robią to z gorliwą wiarą, że ona rozwiąże ich problemy

Na francuskich fermach spotyka dziewczyny to samo, co służące w polskich, mieszczańskich domach i wyrobnice w folwarkach: wykorzystywanie i poniżanie. Doświadczają sytuacji typowych dla najemników będących w półniewolniczej zależności, niezorientowanych w prawnych możliwościach, a przede wszystkim pozbawionych alternatywy, a więc skazanych na znoszenie krzywd i upokorzeń. Tu jednak, inaczej niż w polskim folwarku czy w gospodarstwie kmiecia albo mieszczańskim domu, służące mogą poprosić o pomoc swoją opiekunkę społeczną i robią to z gorliwą wiarą, że ona rozwiąże ich problemy. Emocjonalne listy dziewcząt, pełne błagań, czasami natarczywe, pokazują ich wielką determinację, by zmienić swoją sytuację.

Nie pozostają bierne, choć czasem przypominają dzieci, które wierzą, że jeśli w kółko będą powtarzać mamusi swoje prośby, zostaną one spełnione. Wtajemniczają Julie Duval w najbardziej intymne sprawy i problemy, a wśród nich w najpowszechniejszy: molestowanie seksualne, którego doświadczają ze strony gospodarzy, ich synów lub pracujących w tym samym gospodarstwie parobków.

– Dziewczyny z Polski mogły się wydawać Francuzom atrakcyjne, ich sposób czesania czy spontaniczne zachowania, tak inne od stylu bycia Francuzów, którzy są dużo bardziej zamknięci, prawdopodobnie bardzo ich pociągały. Wciąż były narażone na zaczepki – mówi Monika Siama.



Ostrzegamy samotne kobiety

przed wyjazdem do Francji.

Warszawa, 3 lipca. Syndykat Emigracyjny ostrzega samotne kobiety, zamierzające wyjechać zagranicę w celach zarobkowych, aby nie korzystały z usług

pokątnych doradców emigracyjnych,

którzy występują jako przedstawiciele firm francuskich i angażują młode kobiety do wyjazdu w charakterze służących.

Osobnicy ci są zwykłymi oszustami i handlarzami żywym towarem. Ostatnio np. ujęto w Katowicach naskutek interwencji misji dworcowej handlarza żywym towarem, usiłującego wywieźć do Francji kilka dziewcząt.

Weronika Kapusta, która przyjechała ze wsi Wola Gręboszowska pod Tarnowem, w liście do Julie Duval opisuje nie tyle zaczepki, ile napastowanie:

> Z moją Siostrą Józią tojest bardzo źle, roboty ma aź zanadto, trzynaście krów, bardzo rzadko jej co pomoże wydoią, tylko sama doi. [...] A ona pise do mnie co ona będzie dali robią, już jej oczy krwią zachodzo, a on jeszcze jej mówi, źe mało robi. I pisze, i płacze, źe ona tak długo nie wytrzyma. Jak jest dobry, to się mu chce z nią figlowaą, a jak się zgniewa, to bądziuje i szamaje[66]. I jest teź trzech parobków, i od nich teź spokoju nie ma. Jak idzie z niemi w pole, to musi się nawet bardzo bronią i raz jeden wpolu chciał ją koniecznie dostaą, ale się broniła. Zdjęła sobo[67] z nogi, jak udeźyła, przecięła mu głowę, odeszedł od ni, ale ją za to spopychał i przeklinał, a gospodarz na to mało zwraco uwagi, jeszcze się śmiał i pokazywał jak i co on jej robił.

Po jakimś czasie do Julie Duval pisze sama Józia:

O droga mi Pani i matko, jestem [w] bardzo przykrem powodzeniu, bo juz mnie biją i katują jak psa. Ja do pani pisała, a znaczy siostra, list jak oni ze mną robili i sługi, i gospodarz chcieli mie koniecznie zmusią, wiec pisała siostra i trochę uśtało. Siostra odeszła dali, a stary ojciec zaczynał się do mnie jak pognałam krowy. On przyszedł i wołał mię, więc ja poszła, a po co, to ja nie wiedziała, bo ja nie rozumie. I złapał mię wpół, chciał mię całowaą, ja się wydzierała, a źona jego przyleciała i biła mię w głowę patykiem, i po nogach. Pokrwawiła mię całą, głowa mię straśnie bolała, nogi mi poprzecinała, a ja wcale niewinna, bo ja się kurwią nie chcę i do Francyi przyjechałam zarobią pieniędzy na życie, nie na kurwy.

Bardzo trudno ochronić kobietę przed seksualnym napastowaniem chlebodawcy. To sytuacja na ogół rozgrywająca się bez świadków. Albo, jak w przypadku Józefy Kapusty, żona mężczyzny, który próbuje zgwałcić dziewczynę, obwinia ją, a nie jego. Ten wzór zachowania zdradzanej żony jest dobrze znany polskim służącym, których panie wpisywały im do książeczek służbowych adnotację: „Niemoralnie się prowadzi”, ponieważ przyłapały męża na tym, że zaleca się do służącej. Gdy seksualne napastowanie kończy się ciążą, staje się ona wyłącznym problemem dziewczyny, pracodawcy zwykle pokazują jej wtedy drzwi. Tylko wielmożna pani Duval może coś zaradzić.

Saint-Laurent-de-Lin, listopad 1933

Wielmoźna Pani,

skreślam parę słów do Pani i donoszę, źe ja miejsce zminiła i jestem u Selova. Jestem 10 kilometry od mojej siostry i trafiłam na dobryk ludzi i jest mi dobrze, alie w nieszczęście na mnie, bo jestem w ciąźy, a to juź jest 7 miesięcy. A to zrobiłos z jech synym, com była w Floro. To ja proszę i zaradzam się pani, jak i co mam zrobią, bo mój gospodarz mówi, źe musze jehaą do śpitala do Tór. To ja nie wiem, jak to będzie, a ja jakgem miejśce zmieniła, tom się zapisała na kasę chorych. To ja proszę Pani jako opiekunki, co i jak ja mam zrobią, bo ja to nie zrobiła z mojech zachcianków, tylko on mnie zmusił do tego, alie ja Pani nie powiedziała, bom się wstydziła, alie pszychodzi ten czas to do kogósz się mam uciekaą w nieszczęściu, jedynie Pani opiekunki biednych dziewcząt. Zakoł czam i bardzo prosze odpowiec zaraz.

Do widzenia

Zofia Dubiel

Nieślubna ciąża zwykle oznacza, podobnie jak w przypadku służących w polskich domach, dramatyczny wybór: utratę pracy lub pozbycie się dziecka – gospodarze nie godzą się, by pracownice zachowały je przy sobie. Przyjechały tu do pracy i powinny być dyspozycyjne od rana do wieczora. Z tego powodu ciąża staje się jeszcze większym dramatem. Zwłaszcza że niektóre z kobiet są już matkami. Powrót na polską wieś z dzieckiem nie wchodzi w rachubę.

Lublen, dnia 21 września [...]

Otóż, proszę pani, jest tu nieporozumienie niewielgie między mnom a tem Patrona synym. Otóż pracuje tutaj 7 miesięcy i jest tu syn tego mojego Patrona, co ma 21 lat i w somy rzecy, że w ogóle nie dał mi spokoju, tylko szet do mnie, a ja sobie rady nie dała, żebym mogła jo odrzucią od siebie, tylko mnie wział przez przymus i schwacił mnie.

Teraz, co sobie ja biedna poradzę, mi się powiesią ni utopią, bo innego wyjścia pewno nie ma, gdzie się mam podzieą, a on sie z tego śmieje, jak gem mu mowiła i do wojska mu iśą juź 20 października, a ja sie zostanę, co sobie pocznę. O to proszę Pani serdecznie, o to upraszam, niech pani tak dobra będzie, żeby tu jeszcze przyjechała i coś porozmawiała z niemi.

Odaje Pani niskie ukłony, całuję raczki z poważaniem

Maria Bistuła

Dzieci polskich pracownic trafiają głównie do sierocińca w Monnaie, niedaleko Tours. Skalę problemu pokazują liczby. Gdy w 1924 roku powstał dom dziecka, przebywało tam trzydzieścioro dzieci, dziesięć lat później mieszkało tam trzystu podopiecznych. To dzieci Polek, ale także Czeszek i Jugosłowianek pracujących na podobnych warunkach jak polskie wyrobnice. Czasem dziewczyny walczą o to, by móc wychowywać swoje dziecko, i oddają je opiekunkom, którym płacą, mając nadzieję, że po zakończeniu kontraktu będą mogły je odebrać. Zofia Dubiel, ta, która „nie zrobiła tego z zachcianków”, a zmusił ją „do tego” syn gospodarza, nie straciła kontaktu z dzieckiem. Po pewnym czasie pisze do Julie Duval: „I córka moja zdrowa i ładnie się chowa i mnie dobrze jest, kupiłam sobie rower i co niedzielę jadę do córki zobaczyć i [mamka] biere sto f miesięcznie Afes[68] daje 80 f. Jak [córka] bedzie wieksza zrobię fotografije, to ja Pani przyslie zobaczyc moje córkę”.



Dzieci polskich pracownic trafiają głównie do sierocił ca w Monnaie, niedaleko Tours. Tylko niektóre z matek mogą wychowywaą swoje potomstwo

Nie wszystkie ciąże to skutek seksualnego wykorzystania – choć badaczki podejrzewają, że większość. Czasami to owoc romantycznych relacji, które dziewczyny nawiązują z miłości lub z samotności. Albo po prostu, by ułożyć sobie życie. To przypadek Władysławy Idczak, która decyduje się na związek z chłopakiem z poprawczaka pracującym w ramach resocjalizacji na tej samej fermie co ona. Madame Duval, wtajemniczona i w tę sprawę, pełna złych przeczuć odradza Władysławie związek. Ale wkrótce jest już za późno, dziewczyna spodziewa się dziecka.

– Podejrzewam, że na początku angażuje się w tę relację, bo chce zostać we Francji. Pisze w liście: „Chcę być Francuzką”, i wydaje się, że jej i chłopaka nie łączy żadne uczucie. Ma jednak nadzieję, że jako Francuzce będą jej przysługiwać większe prawa także jako pracownicy. Będąc w ciąży i potem, gdy rodzi córkę, dojrzewa i zmienia się. Początkowo zostawia dziecko w przytułku, ale zaczyna jej zależeć na córce, chce mieć rodzinę. Chłopak się opiera, ale do ślubu w końcu dochodzi. Niestety, mąż okazuje się nieodpowiedzialny i do Władysławy dociera, że nic z tego nie będzie. W ostatnich listach, jakie się zachowały, prosi Julie Duval o znalezienie pracy, planuje wrócić do zarobkowania – opowiada Monika Siama, która analizowała listy Władysławy Idczak.

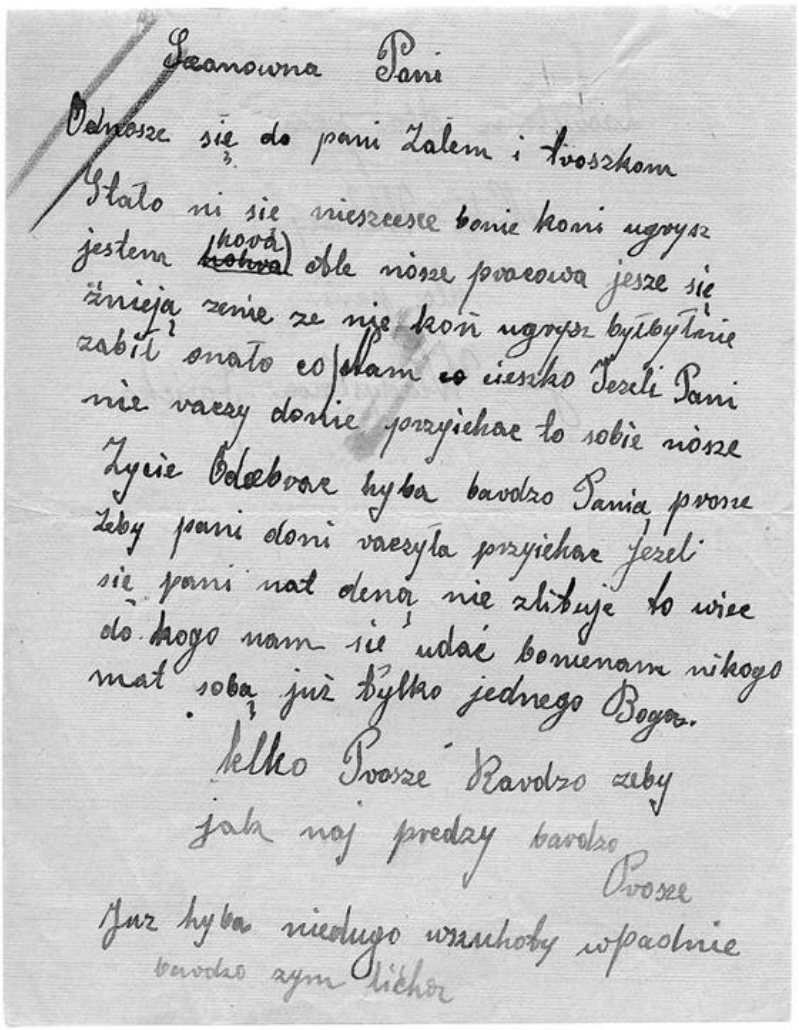
Dziewczyny piszą do Julie Duval nie tylko o wielkich problemach i bolączkach. Szukają polskiego kościoła i księdza, bo chciałyby się wyspowiadać, zwierzają się także z tęsknoty za zapachem makowca i z tego, że marzą o zjedzeniu pączka. A niektóre chciałyby się po prostu zabawić, a nie wiedzą gdzie.

> Szanowna pani, pise do pani te parę słów. Najpierw się odzewam do pani temi słowami: niech bendzie pochwalony jezós chrystós, a spodziewam się, źe mi pani odpowie „na wieki wieków, amen”. Teraz pisze do pani jak mi jest. Jest praca cienszka, ale to by jeszcze obeszła, jak bym się mogła z kiem rozweselią na niedziele, z ludźmi polskiemi. Ja jezdem juź tak długo i jeszcze się nie widziałam z polskiemi ludźmi, jest mi bardzo przykro i smutno, źe nie moge porozmawiaą po polsku, nie mam tu nikogo, tylko jeden Pan, który jest nade mną i czy tutaj nie ma wcale polskich ludzi?
>
> Szanowna pani, proszę panią serdecznie, źeby mi pani przysłała adres do polskich ludzi gdzie niedaleko, źebym mogła iś do nich się rozweselią. Prosze panią jeszcze raz, niech pani mi to uczyni i posyłam dla pani niskie ukłony i prosze o prentki odpis.
>
> Paulina Jerat

Kolejne listy wskazują na to, że Paulina Jerat się rozweseliła, mimo że prawdopodobnie nie znalazła w pobliżu Polaków. Po kilku miesiącach pisze do Julii Duval:

> Jest chłopak francuski i on się chce ženicz ze mną i mówi, ze bendziemy braą ślub na *Mairie*. Ja nie wiem, co znaczy *mery*. Teras nie mam co do pisania, jak pania pozdrawiam i ten list koł cze z panią się [nieczyt. słowo] co daj Boże Amen. Prosze panią o prentki odpis Do widzenia.

Słowo *mairie*, o które pyta Paulina Jerat, oznacza merostwo, odpowiednik naszego urzędu miejskiego. Czyli francuski narzeczony zapowiedział ślub cywilny. Nie wiemy, jak zareagowała Paulina, gdy poznała znaczenie tego słowa – w Polsce śluby zawierane były w kościele, katolickiej wiejskiej dziewczynie mogło się to więc nie podobać, z następnych listów wynika jednak, że zamierzała wyjść za tego chłopaka, prawdopodobnie francuskiego parobka. Poprosiła także Julię Duval o pomoc w ściągnięciu siostry, która twierdziła, że nie stać jej, by przyjechać na ślub, ale chętnie by przyjechała na dobre.



Francuscy pracodawcy są bardzo niezadowoleni, że polskie dziewczyny znalazły troskliwą obroł czynię

Dziewczyny, zwłaszcza po pewnym czasie, wydają się dobrze zorientowane, dokąd można czmychnąć, by poprawić swój los. Najlepiej do miasta, tam zawsze lepiej, ale jeśli nie, to może przynajmniej z mniejszego gospodarstwa do większego. W większych gospodarstwach zatrudnionych jest więcej osób, w małych często tylko ona i parobek. Wcześniej, przed pierwszą wojną światową, te prace wykonywali synowie, a synom przecież się nie płaciło, teraz gospodarze muszą pracowników wynagradzać, więc stosują rozmaite fortele – zatrudniają pracownicę jako dojarkę, a wymagają od niej, żeby była też służącą, czyli dokładają jej dużo więcej obowiązków.

Dnia 9 marczu [1935]

Szanowna Pani inspektorka,

prosze Pani bardzo gzecznie o miejsce dobre, jak by było miejsce do kuchni, bardzo bem chciała, jak by nie było do kuchni, to na dobrom ferme duzom, zeby beł Pan bogaty, bo tam u tego biednego to jus bardzo niedobze mam, jus tam ni moge słuzyą, bo bardzo niedobze. 24 kwietnia bem chciała odes. Prosze bardzo Paniom Inspektorke o dobre miejsce na 24 kwietnia i kiedy Ksiądz polski bedze i do spowiedzi.

Prosze odpis serdecznie pozdrawiam

Antonina Jasczak

Ponieważ listy do Julie Duval piszą przede wszystkie dziewczyny, które są w potrzebie i oczekują pomocy, nie jesteśmy w stanie zbudować sobie pełnego obrazu warunków, w jakich pracowały Polki. Brakuje opinii tych, które nie miały powodów do narzekań albo wręcz były zadowolone. Jadwiga Juchniewiczowa pisała: „Moja madam jest dobra, do kościoła pójść pozwala, stołowania bardzo dobra".

Ale tego typu komentarze pojawiają się w listach rzadko i najczęściej w sytuacji, gdy po interwencji Julie Duval dziewczyna znajduje nowe miejsce i tam jej los się poprawia.

Tera donoszę pani, ze do tego czasu to nie mogę nazekac na gospodazow, bo som bardzo dobrzy, a dalej to nie wiem jak beł dzie, to mi jescze nic do tego czasu nie powiedzieli, teraz nie wiem czy sie zostanę, czy nie, to jeszcze nie wiem, bo jeszcze i 4 miesiocze, to nie wiem jak mi bendzie dalej, tak jak mi teraz jest to się pewno zostanę, Proszę Pani, gospodarz dziś będzie u pani się zapytaą czy się u niego zostanę, bo płatnia nie jest taka duźa, ale ludzie dobrzy, to ja nie stoję o duźa płatnie, bo teraz wszystko jest tał sze, to i oni nie mogą daą duźej pensij

Maria Burak

Mimo wyzysku, osamotnienia i upokorzeń wiele kobiet decyduje się na pozostanie we Francji. Powrót do rodzinnego domu oznaczałby, poza biedą, ponowne i bezwzględne podporządkowanie się woli rodziców, utratę własnych pieniędzy i możliwości stanowienia o sobie i swojej przyszłości.

W 2018 roku „L'Écho de Monnaie", regionalne czasopismo wydawane w departamencie Indre i Loara, dotarło do dwóch potomkiń pracujących w okolicznych gospodarstwach Polek. Jedna z nich to Anna Skupień z tatrzańskiej wsi Odrowąż, która przyjechała do Francji, prawdopodobnie mając dziewiętnaście lat. Nie wróciła do Polski. Wyszła za mąż za syna miejscowego rolnika i urodziła ośmioro dzieci. Nie uchroniło jej to przed koniecznością ciężkiej pracy. Zamieszkali z rodziną w Monnaie, gdzie Anna sprzątała i myła naczynia w restauracji o nazwie Wschodzące Słońce. Czy zaznała szczęścia? „Niekoniecznie" – odpowiada „L'Écho de Monnaie", któremu jej córki Mauricette i Annick opowiedziały o nieukojonej tęsknocie mamy do kraju urodzenia. Anna nigdy już Polski nie zobaczyła. Jej córki zachowały o swojej mamie, polskiej góralce, bardzo ciepłe wspomnienia. „Była matką bardzo kochającą" – mówiły gazecie.

Druga z kobiet, jak ustalili dziennikarze czasopisma, to Aniela Blicharz, która pozostała przez całe życie wyrobnicą rolną, pracując bezustannie w tym samym gospodarstwie i nigdy nie korzystając z wakacji. Urodziła nieślubną córkę, którą oddała na wychowanie, widywała ją jednak co jakiś czas i przekazywała pieniądze na jej edukację. Żyła w wielkiej samotności, nie nauczyła się nigdy francuskiego ani nigdy nie pojechała do Polski. Zmarła w 1966 roku.

– Niektóre z dziewcząt, gdy skończył im się kontrakt na fermie, przenosiły się do departamentów bardziej przemysłowych, do miast, na służbę. Albo zatrudniały się w kopalniach do sortowania, tam, gdzie pracowali Polacy, ponieważ uważały, że wśród Polonii będą bezpieczniejsze i przestaną być wreszcie wyzyskiwane – wyjaśnia Monika Siama.

Inne, które postanowiły zostać, walczą o swoją przyszłość. Być może we Francji, pozbawione rodzinnej i społecznej kontroli, jakiej ciągle są poddawane na swoich wsiach, nauczyły się wykazywać inicjatywę. Wiedzą, że najlepszym wyjściem byłoby znalezienie sobie męża, jeśli to

możliwe, Polaka, ogłaszają się więc w polskich gazetach, nie zapominając, jak ważnym atutem kobiety jest jej posag.

„Indre i Loara. Panna, 25 lat, wzrost średni, szatyna, miłego usposobienia, zajęcie na roli, oszczędność 1500 franków, 8 mórg ziemi w Polsce” – czytamy w gazecie madame Mrożek wydawanej w departamencie Eure (Normandia), w rubryce *Oferty niewieście*.

„Pas de Calais, panna, lat 22, wzrostu średniego, ciemna szatyna przystojna, zajęcie na fermie, piśmienna, oszczędności 3000 franków” – pisze kolejna kandydatka na żonę.

A jeśli któraś nie ma się czym pochwalić, może przynajmniej pozostać szczerą, jak ta:

„Aveyron, panna, 23 lata, wzrostu średniego, przystojna, pracuje na fermie, piśmienna, biedna”.

ROZDZIAŁ 15

SZATAN NA GACKIEJ GÓRCE

Filozofia jej kształtuje się przeważnie na niedzielnych kazaniach, w rozlicznych bractwach różał cowych i tłumnem uczęszczaniu na odpusty. Czy dziwią się należy, że jest denatką, czy ślepym narzędziem w rękach kleru? Że często gęsto dom urządza tak, jak w epoce „pieczonej rzepy”?

Władysław Fołta, *Chłopskie życie gospodarcze*

W 1936 roku na Gackiej Górce kłębi się tłum. Od strony Gaci, Markowej i Białobok ciągną wozy z materiałami budowlanymi, kto nie ma konia, wiezie na krowie. Kobiety w chustkach podają cegły, ale są i takie, które biegną za wozem, wygrażając swoim mężom: „Boją się pierunów i nieurodzaju, którymi grożą księża za budowę gniazda zgorszenia” – zapisuje w kronice Ignacy Solarz, działacz Wici i współtwórca, razem z żoną Zofią, najsłynniejszego polskiego uniwersytetu ludowego[69].

Solarzowie od lat znajdują się na rozmaitych zakazanych indeksach Kościoła katolickiego i sanacji, nazywani komunistami, choć to nieprawda, ale tak mówi się o wszystkich, którzy krytykują kapitalizm oraz kler i mają odmienną koncepcję porządków społecznych.

„Uniwersytety ludowe – pisze Zofia Solarzowa we wspomnieniach *Mój pamiętnik* – zrodziły się w protestanckiej Danii. Wyznanie Duńczyków pozwalało im dyskutować, rozważać i swobodnie stosować w życiu prawdy podawane przez ich Kościół. Katolicyzm takiej dowolności w przyjmowaniu swoich prawd nie tolerował”.



Zofia Solarzowa z „gacakami” na wigilii, Gacka Górka, rok 1934

Księża słusznie przeczuwają, że Solarzowie ze swoimi uniwersytetami to dla nich prawdziwa konkurencja. Kiedy sanacyjna władza w 1931 roku z dnia na dzień zamyka z hukiem pierwszy uniwersytet powołany przez Solarzów w małopolskich Szycach, słuchacze z okolic Przeworska na Podkarpaciu przyjmują ich do siebie. Kursy prowadzone są w chłopskich izbach, głównie w dużej wsi Markowa i malutkiej Gaci Przeworskiej. Solarzowie stają się dla chłopskiej młodzieży, którą uczą i wychowują, bliscy jak rodzina, dlatego dostają od nich pseudonimy „Chrzestna” i „Chrzestny”. Wkrótce, w euforii, że ktoś widzi w nich kogoś więcej niż robocze woły, młodzi chłopi postanawiają własnymi siłami wybudować na tak zwanej Gackiej Górce dom, który stałby się siedzibą nowego uniwersytetu ludowego. Ignacy Solarz ze znanym architektem Janem Witkiewiczem (bratankiem Stanisława i projektantem między innymi Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie) spacerują po okolicy

i przypatrują się ciekawym, starym chałupom. Tak powstaje projekt, a wraz z nim nazwa: Świetlisty Dom. Wiciowcy ogłaszają wielką zbiórkę na rzecz budowy uniwersytetu, okoliczni chłopi wożą cegły, kamień, wapno. Chłopki, śpiewając, murują. „Ofiarność, gniew na sanację powodują, że 1255 wozów jedzie na Górkę bezpłatnie, ochotniczo" – zapisuje Ignacy Solarz w swoich notatkach. Po roku przed okazałym budynkiem w góralskim stylu sadzi lipę.

Kościół odpowiada własnym cudem.

„Był upał, ludziom ze zmęczenia i gorąca kręciło się w głowach. Jedna z kobiet, słabsza od innych, podeszła do rowka z drenem, z którego sączyła się woda, schyliła się, zaczerpnęła wody, która się zmąciła, nagle – w oczach kobiety stanęła jasność a w tej jasności... sama Matka Boska. Kobieta padła na twarz, zbiegli się ludzie. Nie mieli najmniejszych wątpliwości: stał się cud. Księża postanowili w tym miejscu postawić na razie krzyż, potem kaplicę. Tymczasem ludzie schodzili się tłumnie przez kilka miesięcy, potem coraz mniej licznie, wreszcie «cudowne miejsce» przestało ich przyciągać. Jakoś to się samo rozeszło. Okazało się, że i cud nie dał rady Gackiej Górce" – relacjonuje Zofia Solarzowa.

Księża nie składają jednak broni. Sprowadzają do Gaci na rekolekcje inteligentnego, umiejącego wzruszająco przemawiać jezuitę. Ludzie płaczą, gdy go słuchają. Ksiądz naucza osobno dzieci, osobno kobiety i mężczyzn. Ostrzega, aby nie dać się zwieść, pod pozorami dobra na Gackiej Górce działa bowiem sam szatan. Między wsią a uniwersytetem zapada cisza.

„W czasie tych rekolekcji – pisze Solarzowa – nie chcieliśmy się ludziom narzucać. Czekaliśmy, jak sobie sami poradzą z tym trudnym do zgryzienia orzechem".

Ostatniego dnia pewny swego sukcesu i utalentowany oratorsko ksiądz postanawia zakpić z tego, że chłopi nazywają Solarzów chrzestnymi.

– Kogo wy nazywacie chrzestnymi? Kogo oni trzymali do chrztu? Chyba cielę, psa albo kota? – rzuca.

„I tu przegrał. W kościele zaszumiało – wspomina Zofia Solarzowa. – Ta brutalna wycieczka pod adresem ludzi, których dotąd wieś szanowała, stała się zgrzytem i uraziła ludzkie uczucia. Kapłan okazał się zwyczajnym, mało kulturalnym człowiekiem. I znów ludzie podnosili głowy ku Gackiej Górce. Wieczorami jaśniały w ciemności okna Świetlistego Domu – jak latarnia morska, zwiastująca bezpieczeństwo, wskazująca kierunek drogi".

Solarzowie wygrali także z innego powodu. Zarówno Ignacy, obdarzony silną charyzmą chłop z rodowodu, jak i Zofia, przybrana córka ziemianina i działacza chłopskiego, tak zwanego zaraniarza[70], doskonale czują, czego potrzebuje znękana głodem i poczuciem beznadziei polska wieś. Proponują coś, czego dotąd chłopi nie znali: nie sposobu, jak ze wsi uciec, by zostać panią i panem, ale jak ją zmieniać i unowocześniać, pozostając z niej dumnym.

Gać Przeworską położoną wśród pagórków, w cieniu większej i bogatszej Markowej, od Rzeszowa dzieli 26 kilometrów. „Ziemia tu bogata, pachnąca soczystymi trawami, macierzanką, pszenicą i koniczyną" – notuje Zofia Solarzowa. Kiedy tu trafiają z mężem po raz pierwszy, zauważa, że okoliczni chłopi są trochę inni, „uświadomieni i twardzi", a kobiety znane są z urody, dostojeństwa, gospodarności i z tego, że „swoimi mądrymi mężami rządzą". „Gacanie mówią z ruska. Ich twarde, pochyłe głoski «sz» i «cz» wymawiane dobitnie, dziwią, zaś niektóre słowa śmieszą. Szczególnie zwroty takie jak: «to już my stąd idź», albo «to my się teraz do roboty weź»" – opisuje Zofia Solarzowa i chwali mieszkańców za to, jak wspaniale dbają o krowy. Bo głównie z krów tutaj żyją. „Krowy są pielęgnowane, myte, nieomal pieszczone, żywione racjonalnie" – cieszy się założycielka gackiego uniwersytetu. Wielu z gospodarzy pracuje też „na pańskim" w pobliskich majątkach, u Potockich w Łańcucie i u Lubomirskich w Przeworsku. „Książę pan płaci ludziom po 80, a nawet po 60 groszy za dzień pracy, a do tego nie chce dawać tak pożądanych przez gospodarzy liści (dla krów). Więc co

śmielsi strajkują, czasem dostają w końcu liście, częściej przegrywają” – podkreśla Solarzowa.

Zanim trafi do pracy w uniwersytecie ludowym, pracuje jako nauczycielka w szkole rolniczej w Gołotczyźnie i przeżywa rodzaj zawodowego olśnienia, gdy na zakończenie roku szkolnego zewsząd słychać pochlipywanie i ciężkie westchnienia. „Wszystkie byłyśmy lekko zamroczone szlochami, łzami, pocałunkami dziewcząt mających odjeżdżać wieczorem. Zdawało się, że idą na katorgę”. Kiedy usłyszała, jak jedna z dziewcząt mówi, że nie wie, jak teraz będzie mogła rozmawiać z matką, która nie rozumie postępu, dotarło do niej, że podczas nauczania coś zostało przeoczone, że ona i inne nauczycielki nie wyczuły zagrożenia. W ostatniej chwili próbuje uratować sytuację. „Bardzo długo wtedy do nich mówiłam. Mówiłam siedząc na podłodze zasłanej kocem, z kolanami pod brodą, ale zdawało mi się, że przemawiam z trybuny. Powiedziałam dziewczętom, że zapomniałyśmy nauczyć je miłości i szacunku do wsi, do domów rodzinnych, do matek kochających i zapracowanych, i do ojców zatroskanych o ich przyszłość. Zapomniałyśmy nauczyć je miłości i szacunku do tradycji i kultury chłopskiej, która jest źródłem wszystkich kultur. Nie o kujawiaczki chodzi i nie o pawie pióra, ale o kulturę obyczajów, o sztukę, o jej treści głębokie, o mądrość życiową, naukę wszystkich nauk” – notuje w *Moim pamiętniku*. Już jako nauczycielka uniwersytetów ludowych nie zapomni o lekcjach miłości i szacunku do wsi.

Uniwersytet w Gaci Przeworskiej to zaledwie trzymiesięczne kursy, ale kto je ukończył, odkrywa świat, o istnieniu którego nie miał pojęcia, toteż sława Gackiej Górki obiega cały kraj, a chętnych jest mnóstwo. Aby móc się tu uczyć, trzeba mieć ukończone osiemnaście lat. Dla wiejskiej młodzieży, która nie może marzyć o szkole średniej, możliwość dostania się na Gacką Górkę to szansa na rozwój, o jaki w inny sposób byłoby im trudno. Dla wielu z nich stanie się to formacyjnym wydarzeniem, które zmieni kierunek ich życia. Wyrwanie się ze wsi, której dotąd się nie opuszczało, to zrobienie milowego kroku.

„Być we wsi odległej od Grzęski o dziesięć kilometrów – to nie byle co. Bracia moi i siostry, choć starsi jeszcze tak daleko nie byli. Ich dotychczasowy świat zamykał się w promieniu trzech–czterech kilometrów” – wspomina Maria Jędrzejec ze wsi Grzęska koło Przeworska, która przyjechała do Gaci w 1931 roku. Ale gdy tu trafia, zajęcia i wykłady Solarzów na temat wartości wsi na początku nie robią na niej wrażenia. „Pragnęłam iść do gimnazjum, czy w ogóle gdzieś do szkoły właśnie po to, żeby się wyrwać ze wsi, żeby zostać, jak się to wówczas mówiło, panią” – tłumaczy. Mimo to słucha z uwagą wykładów o uprawie warzyw i zakładaniu ogródków kwiatowych, ale kiedy kursanci zwracają się do wykładowcy przez wy lub kolego, czuje się zgorszona.

„Rozumiałam – wyjaśnia – że tak można się odnosić do podobnych mi czy trochę starszych we wsi, ale nie do osób wykształconych, to znaczy panów”.

Solarzowie starają się prowadzić uniwersytet w duchu równościowym, młodzież traktują jak partnerów. Nie prowadzą placówki, jedzą razem z nimi w stołówce suchy żytni chleb, chcą tworzyć chłopską rodzinę, opartą na otwartości, prostocie, bezpośredniości i cieple, które jak pisze Solarz, „zbliża ludzi, oswaja, wyzwala swobodę i naturalność, a łamie konwencjonalność, maskę, sztywność”. Chłopski syn z Ołpin świetnie zna wieś, jej mocne i słabe strony. Za wielką siłę chłopów uważa ich współdziałanie. Sąsiedzką pomoc i energię grupy stara się tutaj pokazać jako wielką wartość, którą chłopi powinni się dzielić z resztą społeczeństwa. Ale chce też rozbudzić empatię, nauczyć dbania o starych rodziców, o potrzeby innych, bez rywalizacji, którą Solarzowie w pracy pedagogicznej odrzucają. Gacka Górka ma być szkołą życia bez stopni i oceniania. Solarzowie chcą wzmocnić chłopską duchowość, na której piętno odcisnęła hańba poniżenia z czasów pańszczyzny i uwolnić ją od poczucia krzywdy. „Życie chłopa wlokące się pod znakiem woli i samowoli pana, żłobiło w duszy poczucie bezsiły moralnej, spalało wolę własną, gruntowało silnie bierność psychiczną. Twardsza dusza

broniła się wzbudzaniem nienawiści, ogół zaś słabszych ulegał, pokorniał, poniżał się, uczył się służalczości, stwarzał filozofię niewolniczą o cielęciu pokornym, co dwie krowy ssie" – tłumaczył Ignacy Solarz.

Gać okazuje się fenomenem. Dotąd jedynie ksiądz był w stanie aktywizować mieszkańców wsi. W początkach XX wieku księdzu i politykowi Wacławowi Blizińskiemu[71] udało się przeobrazić podkaliską wieś Lisków z prymitywnej i ubogiej w nowoczesną, z trzema spółdzielniami, szkołami, domem ludowym, a nawet z kanalizacją. Stała się wsią wzorcową, oczkiem w głowie sanacyjnej władzy, w 1937 roku 100 tysięcy osób odwiedziło ją podczas wystawy zorganizowanej przez rządzących. Lisków znany i wspierany dotacjami i wpłatami zza granicy rozwija się w myśl zasady: kto ma, temu będzie dane.

Solarzowie startują w skrajnie odmiennych, niesprzyjających warunkach, ich działalność jest tępiona, a każdy, kto ma jakikolwiek z nimi związek, musi się liczyć z szykanami. Mimo to udaje im się uruchomić społeczną energię na niespotykaną dotąd skalę. O Gackiej Górce pisze ogólnopolska prasa, a kto zajrzy do Świetlistego Domu, wyjeżdża stamtąd na haju. „Ci nędzarze – pisze o mieszkańcach Gaci i okolic dziennikarka Halina Górska – ufundowali z rozrzutnością magnatów uniwersytet, z którego korzystają chłopi z całej Polski i który stał się płomieniem i najczystszą krynicą ruchu ludowego".

To, co Solarzowie robią najpierw w Szycach, a potem w Gaci, w inny sposób próbuje osiągnąć Jan Zieja. Zdążył się już wykształcić na księdza i od 1929 roku pełni funkcję proboszcza w Łohiszynie na Polesiu, a jego matka, która przesyłała krawcowej nabiał, by Janek mógł się uczyć, teraz prowadzi mu dom zamiast księżej gospodyni.

Zieja w Łohiszynie rządzi według własnych, niekonwencjonalnych zasad. Próbuje tę bardzo ubogą ludność mówiącą mieszanką rosyjskiego, polskiego, ukraińskiego i białoruskiego połączyć w prawdziwą wspólnotę. Przede wszystkim likwiduje zwyczaj zbierania podczas mszy na tacę, nie stosuje taryfikatora przy posługach kapłańskich i żyje

wyłącznie z dobrowolnych datków parafian, z czego niezadowolona jest jego matka. Zieja okazuje się jednak bardzo skuteczny w zabiegach o powrót wiernych do kościoła. Nie krytykuje popularnych na tamtym terenie baptystów, unika otwartej rywalizacji o wiernych, naucza poprzez Ewangelię, którą czyta razem z wiernymi, i ją im objaśnia. Ale kiedy likwiduje zwyczaj tacy, jednocześnie prosi swoich parafian, by dobrowolnie wpłacali datki do skarbony przy drzwiach i z każdym tygodniem, wraz ze wzrostem liczby wiernych, kwoty w skarbonce rosną. Którejś niedzieli postanawia zachęcić mieszkańców do działań charytatywnych i ogłasza, że wpłaty nie będą już przeznaczane wyłącznie na potrzeby kościoła, a trafią do najbardziej potrzebujących mieszkańców Łohiszyna. I wtedy wysokość ofiar zaczyna znacznie spadać. „Przegrałem – wspomina Zieja po latach – zacząłem pytać, dlaczego tak się dzieje, a ludzie na to: «My wszyscy jesteśmy biedni, chętnie dajemy na naprawę, czy ozdobienie kościoła, ale nie chcemy zbierać na sąsiadów»".

Ich rodziny od pokoleń nawykły do płacenia daniny na kościół i teraz chłopi również są gotowi oddać swój ostatni grosz, oszczędzając na soli i zapałkach, ale nie na pomoc tym, którzy nie mają co jeść. Poczucie, że są biedni, zwalnia ich z odruchu solidarności oraz refleksji, że bieda osiąga różne poziomy. Płacąc na kościół, mogą liczyć na „łaskę", widocznie uważają, że dzieląc się z biedniejszym od siebie, nagrody nie posiądą. „Nie byli przygotowani, aby podczas nabożeństw swoich myśleć o człowieku potrzebującym" – konkludował zmartwiony Zieja. Wkrótce zostanie dyrektorem Akcji Katolickiej[72] na tym terenie, będącej odpowiedzią na coraz większe wpływy stowarzyszeń i związków lewicowych, zwalcza więc wiciarzy. Zieja jest teraz w kłopocie; podziwia Solarzy, przyjaźni się z nimi, a nawet chrzci ich syna, ale jest wyjątkiem wśród kleru. Z ambony na Wici lecą gromy, a prymas August Hlond w 1936 roku wydaje sąd, który stanie się obowiązującą opinią wśród księży: „«Wici» zwiastujące mobilizację radykalizmu i rewolucję – to głosy fałszywych proroków. Uniwersytety ludowe

wychowujące fanatyków wsi bezbożnej stanowią wielką ujmę dla ducha i honoru wiejskiego".

Kościół katolicki od XIX wieku poprzez rozmaite praktyki religijne przywiązał wiernych do siebie jeszcze mocniej, popularne stały się pielgrzymki i odpusty, kobiety zaczęły organizować przyjęcia z okazji komunii świętych dzieci, a wierni brali udział w mszach już nie tylko w niedziele, ale i w dni powszednie. Na wsiach w początkach XX wieku spotyka się często ubrane na ciemno kobiety ślubujące ascezę, tak zwane tercjarki, należące do świeckiego Trzeciego Zakonu św. Franciszka, najpopularniejszego religijnego ruchu świeckich.

W latach trzydziestych na monolicie wiejskiej rodziny widać pęknięcia. Młodzież ma dosyć bycia pokorną i bierną. „A walka o każdą duszę na wsi trwała" – pisała Maria Kubicka-Burgielowa, która pracowała w UL w latach trzydziestych. Podczas jednej z jej wizyt w chłopskim domu na Podkarpaciu matka pięciorga dzieci rozpłakała się, opowiadając, jak bardzo skłóciła się jej rodzina. Najstarszy syn był prezesem koła Wici, dwie córki działały w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży, kolejny syn w sanacyjnym Strzelcu, a następny w Zielonych Koszulach, również sanacyjnym ugrupowaniu.

Dziewczyny, które zaczynają działać, muszą stać się szczególnie odporne na ataki, nie tylko ze strony Kościoła, ale też swoich kolegów z organizacji. Kiedy w 1933 roku Instytut Gospodarstwa Społecznego ogłasza konkurs na pamiętniki chłopów, setki z nich siadają do piór, żeby dać świadectwo swojej krzywdzie i biedzie. Ich relacje ścinają z nóg nawet tych, którzy znają wieś. Ale to głównie opowieść męska. Na blisko pięćset prac zaledwie siedemnaście napisały kobiety[73]. Jedna z nich, działająca w Kole Młodzieży Wiejskiej, wyznaje: „Po chwili namysłu odzywam się do kolegów – a spróbuję tego szczęścia, może mi się uda, a jeden z kolegów powiada – gdzie tam babom zabierać się do pisania pamiętnika, dużo baby zastanawiają się nad życiem, umią tylko przy kuchni rządzić i nic więcej! Aha! Pomyślałam, przez ciebie ptaszku przemawia zazdrość i chytrość, bo jestem pewna, że zaczniesz pisać, bo

nie na darmo tak oczy wytrzeszczasz i ucho nastawiasz do mówiącego kolegi, więc boisz się żebym nie napisała od ciebie lepiej. Gdy on powiedział, że baby nic nie wiedzą, tem ja większych chęci nabrałam, by postarać się że i «baby» coś umią. Między nim a mną był zawsze wyścig, a teraz mam być za jego plecami – nie! – na to nie pozwoli moja ambicja!".

Autorka nie obawia się rywalizacji z mężczyznami, ma już praktykę w udowadnianiu mężczyznom, co potrafią kobiety. Większość jednak ciągle wierzy, że nie powinny się wychylać ze swoich kuchni. Odizolowane od spraw uznawanych za męskie, jak polityka czy edukacja, nie odważają się konkurować. Ten sam świat, który zapędził je do kuchni, pogardza nimi za to, że nie mają o niczym pojęcia. „Warkocz długi, rozum krótki" – słyszą od mężczyzn.

Większość z nich ukształtowana została według zasad Kościoła katolickiego, a także przez konserwatywne organizacje patronackie, jak Związek Ziemianek, dbające o to, aby ani przez minutę kobiety nie zapomniały o tym, że ich miejsce jest w domu. Tymczasem one coraz częściej chcą żyć inaczej niż ich matki.

Patronackie organizacje, podobnie jak kościół kształtujące wiejskie kobiety według konserwatywnego wzorca, jeśli edukują i szkolą, to przede wszystkim po to, by im pomóc podnieść kwalifikacje kuchenno-gospodarcze, nie poszerzają horyzontów ani nie przemieszczają kobiety w stronę aktywności społecznej, a tym bardziej politycznej.

„Sekcje kobiece powstały jeszcze przed pierwszą wojną, ale cała działalność tej sekcji wyładowywała się w kursie gotowania, tego typu sekcje robiły z kobiet kucharki, to znów deklamujące patriotyczne wiersze obywatelki, albo ugrzecznione przewodniczące różańców" – zauważa Władysław Fołta w „Chłopskim Życiu Gospodarczym".

Z kolei Maria Maniakówna w roku 1933 w „Młodej Myśli Ludowej" zachęca, by kobieta „przestała być tylko czynnikiem dekoracyjnym w organizacji, a stała się rozumną współtowarzyszką pracy kolegi".



MARKOWA — KWIECIEŃ 1939

kobieta WIEJSKA

NR 1. WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU ROK 1

Nasza droga

Ważna i przełomowa w dziejach Polski i chłopów jest chwila, w której żyjemy. Są to czasy wyzwalania się chłopskiej duszy zdzierającej z siebie wszystek kostropaty ślad wielowiekowego niewolnictwa — pańszczyzny. Wre walka o samego siebie, o prawo człowieczę do wolności, do rozwoju, do życia, o lepszy świat.

Coraz mocniejsze idzie wołanie ode wsi.

Chłopi stanowią pewny i twardy trzon narodu.

Chłopi nie tylko żywią, ale dowiedli, że w potrzebie potrafią swoimi piersiami osłonić ojczyznę.

„Z chłopa przede wszystkim ma być Polska".

Nie idziemy ku Niej z pustymi rękami, ale niesiemy do skarbca kultury narodowej wyrosłe w twardym trudzie codziennego życia i miłości do ziemi, nasze chłopskie wartości.

Jesteśmy bogactwem i krynicą sił odrodzeńczych Narodu, które staną się odnową Jego Ducha a życiu zbiorowemu przywrócą rzetelność i prawdę i wypełnią je swoją, świeżą treścią.

Chcemy w Polsce współgospodarzyć, nie z chęci panowania nad bratem, bo ta zawsze była nam obca, ale w imię sprawiedliwości i równości społecznej. I o to słuszne prawo walczyć będziemy, aż do zwycięstwa.

Są w Polsce siły, które boją się chłopskiego przebudzenia starając się na wszelkie sposoby nasz pochód opóźnić, sieją zamieszania w chłopskich szeregach.

My kobiety musimy mieć świadomość rozgrywających się w naszych oczach zmagań i zdarzeń, wobec których nie wolno nam być biernym świadkiem i nie wolno pozwolić używać siebie jako ślepe narzędzie w walce przeciw swoim mężom, synom i braciom. Dlatego ważne jest abyśmy wiedziały jaka droga wiedzie do wyzwolenia chłopów, do wielkości Polski.

Ale za mało jest wiedzieć. Trzeba te sprawy dobrze poznać i rozumieć, bo tylko wtedy możemy o nich mądrze sprawiedliwie decydować. Nasz głos dużo znaczy. Kobiety przecież stanowią przeważającą część społeczeństwa. My więc możemy rozstrzygnąć o prawdziwym postępie życia społecznego, a wiele jest w tym i naszej winy, że ten postęp jest do dziś tak powolny.

My wychowujemy młode pokolenia. Od kierunku jaki nadamy naszym dzieciom, zależy ład społeczny, stanowisko chłopów w Polsce. Dlatego musimy wiedzieć jak wychowywać i jakiego człowieka chcemy wychować.

O jednym nie wolno nam zapominać. To co chcemy zaszczepić w naszym dziecku, musimy pierwej posiadać głęboko ugruntowane w swojej duszy.

Długie wieki poniżenia kobiety zostawiły w nas niestarte do dziś piętno. Niewiara w siebie, przykre uczucie niższości, brak szerszych zainteresowań i wiele przywar naszego charakteru ma swoje źródło w owych setkach lat upośledzenia kobiety.

Dziś zdolne jesteśmy to przemienić.

Nas stać na wysiłek, aby wyplenić w sobie wszystko co jest chwastem, a wyzwolić co w nas piękne, dobre i nasze kobiece. Twórczego, wolnego człowieka, mającego głębokie uczucie miłości społecznej i godności człowieczej, zdoła wychować ta matka, która te wartości umiłowała sama. To będzie nasze najniekniejsze wkład jakie wniesiemy do życia zbiorowego chłopów i Polski.

Nasz dom, nasza rodzina, nasze radości i troski nie mogą przesłaniać nam spraw innych. Poza progiem swojej chałupy musimy dojrzeć, nie tylko swoje podwórze, ale [illegible] człowieka, ludzkość, kraj i świat. Od tego co się dzieje w Polsce, czy we świecie, od tego jaki zapanuje stosunek człowieka do człowieka, zależy szczęście moje najbliższych.

Te sprawy będziemy rozważać i rozjaśniać sobie wspólnie w naszym piśmie po to, aby wyzwalać uśpione siły w duszy kobiety wiejskiej i budzić świadomą wolę działania społecznego, dopomagać kobiecie do stwarzania dobra i piękna w powszednim życiu ludzkim, wypracowy-

2

8642
III R

Artykuł z „Kobiety Wiejskiej" z 1939 roku

Maria Jędrzejec stała się taką właśnie zaangażowaną wiciarką. I choć nie stać jej na prenumeratę czasopisma „Wici", pożycza je od kolegów. Z czasem zauważa, że jej światopogląd zmienia się, ale niekiedy czuje się zakleszczona między swoimi nowymi poglądami a zakorzenionymi w tradycji zwyczajami, od których chciałaby się zdystansować, co nie jest proste.

Kiedy Koło Młodzieży w Grzęsce organizuje w czasie Wielkanocy święcone jajko, zgodnie ze zwyczajem trzeba pojechać do proboszcza,

aby ten je poświęcił. Maria jedzie do księdza z kolegą i całą drogę przeżywa, rozważając w duchu, jak ma się przywitać z księdzem: „Pocałować, czy nie pocałować w rękę? Całą drogę tylko o tym myślałam. Ostatecznie, choć miałam duszę na ramieniu, proboszcza w rękę nie pocałowałam. Potem jednak przez długi jeszcze czas bałam się, czy aby mnie nie wyzwie podczas kazania. Co by to było w domu! Ale nic takiego się nie stało”.

W połowie lat trzydziestych, gdy chłopskie strajki się nasilają, kobiety nie tylko przywożą swoim mężom paczki do więzienia. Stają i skandują obok nich na manifestacjach. Jedna z największych – w Nowosielcach, siedem kilometrów od Gaci – przyciąga tysiące chłopskich działaczy, w tym młode wiciarki. „O, cześć wam panowie magnaci”[74], śpiewają chłopki i chłopi.

Na Gackiej Górce oprócz okrzyków buntu słychać też śpiew. Zofia przygotowuje jeden ze słynnych spektakli, nazywanych przez nią „sztukami z głowy”, którym bliżej do teatru wyobraźni. Tworzywem są pieśni i poezja ludowa, ale też teksty literackie – Elizy Orzeszkowej, Władysława Orkana, Emila Zegadłowicza, Brunona Jasieńskiego.



Uczestnicy pierwszego kursu na Uniwersytecie Ludowym w Gaci

Wieś pokochała teatr amatorski. W domach ludowych i świetlicach spektakle z udziałem mieszkańców zwykle gromadzą więcej publiczności, niż mają krzeseł. Ponad połowa kół Wici powołuje stałe zespoły teatralne, ale ich spektakle to rzadko czysta rozrywka i z tego powodu teatr gacaków przeżywa problemy. Chcieliby wystawić w Przemyślu *Słowo o Jakóbie Szeli* Brunona Jasieńskiego o słynnym chłopskim rebeliancie, ale gdy przyjeżdżają do miasta, w którym od kilku dni wiszą plakaty zapowiadające ich spektakl, starosta go nagle odwołuje. Ktoś go nastraszył, że Szela, że bunt, że te radykały z Wici. „Uprosiłam, żeby sam obejrzał rzecz na próbie. Po długich targach zgodził się. W jakichś podziemiach graliśmy to dla niego i jeszcze kilku zainteresowanych panów z jakichś urzędów” – wspomina Zofia Solarzowa.

Na scenę wychodzą dziewczęta, Szelę gra Antek Miara. Ciszę występu przerywa szum podnoszących się zaciśniętych pięści, kiedy Szela w scenie w kościele unosi w czasie podniesienia ręce skute kajdanami. „Nie, nie były to wcale prawdziwe kajdany, właśnie grała tu

wyobraźnia” – tłumaczyła potem reżyserka. Gdy po finale zapadła cisza, zapytała starostę o werdykt. Ten odpowiedział: „Grajcie”. „I starosta dyskretnie otarł łzy chusteczką. Tak właśnie było. Bo to nie był bunt, aby już iść, bić, grabić... To był bunt dobra przeciw złu, prawdy przeciw kłamstwu i piękna przeciw brzydocie. To był bunt wyzwolonych, zbratanych ludzi przeciw wilczym prawom życia” – wspomina Solarzowa.

Teatr gacaków staje się wkrótce sławny. Wystawiają w Krakowie, a nawet na zaproszenie Stefana Jaracza w warszawskim teatrze Ateneum, między innymi *Budowę*, rytmiczną, żywą, z energią z czasów, gdy budowali Świetlisty Dom.

> Cóż tu będzie?
> Chłopska szkoła
> Na wsi? Szkoły w mieście?
> Wy się, panie, do roboty z nami lepiej weźcie
> Wy tu rodak, wy chłop z chłopa
> Jak kłos w snopie, jak snop w snopach
> Mają ludzie het, po miastach gmachy, kamienice
> A chłop sobie pobuduje szkoły i świetlice.

Kiedy cichną oklaski, ktoś staje na krześle i woła: „To jest prawdziwy teatr! To jest teatr ludowy!”. Solarzowa rozpoznaje w tej pełnej entuzjazmu kobiecie Marię Dąbrowską, pisarkę, która po chwili pyta ją, czy gacanie nie chcieliby wykorzystać jakiegoś jej tekstu. „Ta chłodna, zamknięta w sobie, nigdy nie ujawniająca uczuć pani Maria. Jesteśmy bardzo wzruszeni” – pisze Solarzowa.



Zofia Solarzowa wśród słuchaczek przed nowo wybudowaną siedzibą Uniwersytetu Ludowego w Gaci

Zajęcia w gackim uniwersytecie to nie tylko teatr i wykłady, ale także dyskusje, czasem wyglądające na błahe, ale w istocie to rozmowy światopoglądowe formujące być może na całe życie.

30 stycznia 1933 roku trzydziestu słuchaczy, w tym „siedem koleżanek", jak czytamy w zeszycie z kursu, bierze udział w dyskusji „Czy całować w rękę?". Głosy na tak i nie rozkładają się mniej więcej po połowie.

„Koledzy Fołta i Cynar oraz koleżanka Cyranówna – notuje protokolant – uważają: «Nie potrzeba takich zwyczajów wprowadzać na wieś, gdyż to jest kultura miejska, która dostaje się na wieś». Koleżanka Cyranówna dorzuca jeszcze, że nie ma potrzeby, by się w ten sposób wyróżniać i zwracać na siebie uwagę i że całowanie w rękę jest rażące".

Z kolei według kolegów Trojana, Adamiaka i Trejnera „całowanie kobiet w rękę nie przyniesie ujmy, gdyż tak wyraża się uczucie do kobiety".

Jak zwykle w dyskusji bywa, każdy zostaje przy swoim. Całowanie w rękę stanie się powszechne w PRL-u, a nawet rozkwitnie, by umrzeć śmiercią naturalną wraz z „cywilizowaniem się" Polski w latach dziewięćdziesiątych.

Tymczasem kolejna rozmowa na Gackiej Górce dotyczy tego, czym jest „chamstwo", a czym „inteligencja". Tutaj nie ma potrzeby toczyć poważniejszych sporów. Za inteligencję uznano „spryt rozumu", a „za hamstwo robaczywość duszy".

Pojawiają się i tak zwane tematy życiowe. Kobiety uczą się tego, czego matki im przekazać nie są w stanie: kalendarzyka małżeńskiego, a więc planowania rodziny, życia świadomego.

Kiedy dziennikarka Halina Górska odwiedza Gacką Górkę, akurat przybywają na zjazd absolwenci, a wśród nich małżeństwa, które poznały się dzięki kursom na UL. „Najbardziej znamienna i świadcząca o wyzwoleńczym charakterze ruchu chłopskiego jest zmiana w stosunku do kobiety i dziecka" – pisze dziennikarka w reportażu z Gaci. I przytacza rozmowy dziewcząt. Oto jedna opowiada ze śmiechem, jakie batalie musiała stoczyć, bo rodzice koniecznie chcieli ją ożenić z morgami. Drugiej się wyrzekli, bo wyszła za biedaka, ale choć bieda jej dokucza i żal jej rodziców, jest szczęśliwa, że może żyć „swoim własnym życiem". Kiedy Górska spotyka dziewczynę, do której mąż przyjechał w odwiedziny, nie powstrzymuje się od zdziwienia. Jak to możliwe, pyta, że zgodził się na wyjazd żony? Ale on nie rozumie pytania dziennikarki i odpowiada w sposób naturalny, że przecież da sobie sam radę przez te kilka miesięcy, a „żona bardzo odczuwała potrzebę tego uniwersytetu", czym w jeszcze większe zdumienie wprowadził Górską. W równym stopniu zaimponował jej stosunek młodych chłopów do dzieci, w których widzą dużo więcej niż siłę roboczą, to też efekt zajęć z wychowywania w rodzinie, prowadzonych na uniwersytecie. Dowiadują się tu między innymi, że bicie dzieci jest niegodne „prawdziwego demokraty".

Gacka Górka zmienia nie tylko tych, którzy się tu uczą. W Markowej po wielkich staraniach Ignacego Solarza powstają spółdzielnia zdrowia oraz

spółdzielnia koszykarska. Wyplatanie koszy to jeden z nielicznych sposobów, w jaki najbiedniejsze chłopki mogą sobie dorobić. W 1939 roku w Markowej wydawane jest czasopismo „Kobieta Wiejska", redagowane przez żonę lekarza, Hannę Ciekotową, ale teksty w niej publikują wiejskie gospodynie. To nie tylko pierwsze w Polsce medium powstające na wsi, ale też pierwsza gazeta dla wiejskich kobiet o prawdziwie feministycznym wydźwięku. Nie znajdziemy tu przepisów kulinarnych, ale rzetelne dyskusje o podziale pracy domowej, potrzebie angażowania kobiet do aktywności społecznej i wyciągania ich z kuchni, a także konieczności zapewniania opieki ich dzieciom poza domem, aby nie błąkały się samopas, gdy matki pracują. Hanna Ciekotowa postanawia rozprawić się z tym problemem i zakłada w Markowej i okolicach dziecińce, społeczne przedszkola, w których opiekunkami są córki miejscowych gospodarzy. Działają od maja do października, wtedy właśnie, gdy kobiety mają najwięcej pracy.

Na Gackiej Górce dzieją się też inne niestworzone rzeczy. Kto to widział, żeby chłopki i chłopi pracujący fizycznie jeszcze w dodatku się gimnastykowali? To dobre dla pań i panów. A właśnie że nie. Tak bardzo podziwiani Duńczycy rozpowszechniają gimnastykę dla pracujących w rolnictwie. I jedna ze słuchaczek, Aurelia Winklówna, nauczyła się jej właśnie w Danii i wprowadziła na Gacką Górkę. O tej córce tkacza z Lipiec Reymontowskich, zwanej Relką, „Chrzestna" pisała: „Była dorodna i piękna. Czarowała ludzi ze wsi i intelektualistów z Krakowa. Podobała się wielu ludziom i już w Lipcach mogła była wyjść za mąż do miasta, za człowieka na stanowisku, co było marzeniem przeciętnej dziewczyny ze wsi. Ale ona nie należała do przeciętnych".

Podczas podróży do Danii Relka prowadzi dziennik, w którym zapisuje swoje oczarowania i rozczarowania. Radykalna, o umyśle krytycznym, poszukuje świata idealnego, stąd częste zwątpienia, o których pisze:

„Vollrspo, 10. Marca 1932

Ohydna dziś jestem. Winien Żeromski, i Wici i mój Ojciec. Ja jestem na pół komunistka w codziennym życiu. Nie mogę się pogodzić

z respektem za pieniądzem i stanowiskiem. Nie ma demokracji i nie może być mowy w najbliższych wiekach”.

Jej życie różni się od tego, które jest udziałem zwykłej wiejskiej dziewczyny. Zanim wyjechała do Danii, zrobiła maturę. We wszystkim wspierał ją ojciec, tkacz zatrudniający w swojej manufakturze piętnaście osób. Ludowiec, szczególnie czuły dla swojej najmłodszej córki, jednej z siedmiorga dzieci, z którą ma świetne porozumienie, płaci za jej podróże i wierzy w nią.

„A już najbardziej to rodzicom wdzięczna jestem, że mi szkoły ździebko dali i świata zwiedzić nie bronili, i duszę taką mi dali, że nad złem i brzydkiem nie przystanęła nigdy”– pisze Relka w liście do Władysława Kojdera.

Poznali się dzięki „Chrzestnej”. On, jeden z siedmiorga dzieci chłopa z Grzęski, skończył tylko szkołę powszechną, ale ma spore ambicje, czyta, co tylko może. Piszą do siebie z Relką listy i rodzi się z tego miłość.

Z listu Władysława Kojdera, 27 czerwca 1932 roku:

„I przyszłaś Ty, Relka. To ona, to już ten mój człowiek. Relka, na którą tyle czekałem. I tak jakoś stałaś się bliska i moja. Potem na zimno, na rozum ważyłem i to samo rozum powiedział. Zaglądnęłaś do samego wnętrza, do środka duszy i tak bez reszty zabrałaś”.

Kiedy decydują się pobrać, dla Aurelii oznacza to konieczność skonfrontowania wszystkiego tego, czego się nauczyła, z twardymi warunkami wsi i patriarchalnym porządkiem panującym w chłopskich rodzinach. Okaże się, że to ona się zmieniła, a wieś pozostała taka, jaką była zawsze: z wyznaczonym dla kobiety miejscem, bardzo konkretnymi wobec niej oczekiwaniami i sankcjami w razie ich niespełnienia.

„Ojciec Władka oddany jest bez reszty pracy fizycznej i przez nią ocenia wartość pracy innych ludzi. Współżyć jest nam b. trudno, pozornie, owszem, wygląda zupełnie gładko, głębiej jest ciężko, czasem niemożliwie. Tak, w takich warunkach moralnych i materialnych życie jest naprawdę ciężkie. I często praca zamiast uszlachetniać, to poniża. Stanowczo nadmiernie praca poniża człowieka. W dużym stopniu to jest

przyczyną tego, że na wsi jest mało delikatności, subtelności, we współżyciu ludzi z sobą, trudniej ludziom nawet oświeconym i postępowym, inteligentnym o ukulturalnienie się wewnętrzne" – zapisuje Relka w swoim dzienniczku.

Mąż, Władysław Kojder, spółdzielca, autorytet i opoka dla wiciarzy, w domu wchodzi w tradycyjną rolę męża i ojca, być może nie jest w stanie przeciwstawić się swojemu ojcu albo chce pozostać „prawdziwym mężczyzną". Dla Aurelii szczególnie przykra jest krytyka przez męża jej metod wychowawczych. Stara się być nowoczesna, więc czule opiekuje się córką. „Za ciepło ubieram, za dużo czasu jej poświęcam, luksusowo ubieram. Rozumiem przyczynę takiego patrzenia, wiem, skąd ona wynika, bo sam od dziecka był przyzwyczajony i stale tylko takie wychowanie widział, że dziecko na ostatku, poza wiejskimi sprawami w gospodarstwie, i daje mu się byle co do odzienia i do zjedzenia, bo wszystkie dzieci są tak wychowywane, a przecież wyrastają na zdrowych chłopców i zdrowe dziewuchy [...]. Jest mi źle. Jestem tu dziwolągiem, człowiekiem, co z księżyca spadł. A wszystko to razem z biedy jedynie, no i ciemnoty po trochu [...]".

Żal do męża nie trawi Aurelii stale, opisuje też ich wyjątkowe wspólne chwile: „A przecież mimo to wszystko jest mi z nim dobrze, czasem nawet jestem szczęśliwa. Jak się uśmiechnie i zagada czulej, zapominam wszystko. Jest między nami jeden wielki spójnik – fizycznie sobie odpowiadamy, wtedy jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Naprawdę trudne jest życie chłopskie".

Gdy minie kilka lat, Aurelia napisze, że po pierwszych trudnościach udało im się przełamać kryzys. „Jesteśmy jedną myślą, jednym sercem. Jest między nami nie tylko przykładna zgoda, ale i gorąca, żywa miłość, szczera i głęboka".

Na zajęcia uniwersytetu Solarzów zagląda także Wiktoria Niemczakówna z Markowej. Lubi grać w „sztukach z głowy", a w jasełkach dostaje rolę Matki Boskiej. Ale podczas prób czuje się niespokojna. Siada, a po

chwili wstaje. Na spowiedzi zwierzyła się księdzu, że chce iść na kurs do Gaci. „Ojciec duchowny powiedział jej, że czeka ją piekło. On, proboszcz, nie będzie chciał jej widzieć w kościele. Dziewczynie groziła choroba nerwowa, dotychczas utajona, bo życie nie przynosiło jej większych wstrząsów. Nie mogła długo usiedzieć, chodziła po izbie, mówiła coś do nas i sama do siebie. Żałosny był widok tej dobrej, dorodnej dziewczyny, tak zmarnowanej przez ludzką tępotę i przez najgłupszy fanatyzm" – wspomina Zofia Solarzowa.

W 1935 roku Wiktoria wychodzi za mąż za sąsiada z Markowej, dwanaście lat starszego od niej Stanisława Ulmę. Prawdopodobnie poznali się bliżej właśnie podczas kursów uniwersyteckich. Ulma jest wiciarzem, zagra jedną z głównych ról w *Kordianie i chamie* Leona Kruczkowskiego, który przyjedzie w 1937 roku do Markowej na premierę. Podobnie jak inni wiciarze, Ulma popada w konflikt z miejscowym księdzem, ale pozostaje wierny Wiciom. Należy do chłopów wpływowych, wykształcił się w szkole rolniczej w Pilźnie, pasjonuje się fotografią. Ustawia przed domem rodzinę: Wikcię i sześcioro dzieci – Marysię, Stasię, Antosię, Basię, Władzia, Franusia. Fotografuje też rodzinę Goldmanów z Łańcuta, których zgodzili się przyjąć na strych. Dom Ulmów stoi na uboczu. Przez ponad rok ukrywać będą Goldmanów, a także trzy mieszkanki Markowej: Leę Didner i Gołdę Grunfeld oraz córkę jednej z nich.

24 marca 1944 zginą wszyscy. Tego dnia Niemcy, którzy dostają donos, że Ulmowie przechowują żydowską rodzinę, najpierw zabijają Goldmanów i trzy kobiety. Potem kolejne osiem osób: całą rodzinę Ulmów. Podobno Wiktoria zginęła jako druga, zaraz po mężu.

W lutym 1940 roku Ignacy Solarz zostaje wezwany na gestapo i już nie wraca. Zofia Solarzowa[75] po wojnie pracować będzie w Uniwersytecie Ludowym w Brusie pod Łodzią, potem w Białym Dunajcu, wciąż zajmując się teatrem ludowym. Władysław Kojder, który działa w opozycyjnym wobec rządu PSL-u, zostanie zamordowany w 1945 roku w nigdy niewyjaśnionych okolicznościach. Aurelia opuści Podkarpacie,

wróci do Lipiec, a potem wyjedzie do Łodzi, gdzie będzie pracować społecznie.

Marzenia wiciarzy o sprawiedliwej społecznie Polsce nigdy się nie spełniły. Wici zostały zlikwidowane przez komunistyczną władzę w 1948 roku[76].

Uniwersytety ludowe miały swoją kontynuację w PRL-u, inicjatorem jednego z nich, w Orzechowie na Pomorzu, był ks. Jan Zieja.

Na Gacką Górkę niełatwo jest trafić, GPS wśród pól wariuje, a młodzi mieszkańcy nowych domów pierwsze słyszą, że był tu jakiś uniwersytet. Świetlisty Dom łatwo przegapić, stoi na poboczu i wydaje się mniejszy niż na fotografii. Teraz pełni funkcję środowiskowego domu samopomocy wspierającego niepełnosprawnych. Na ostatnim piętrze Uniwersytet Orkanowy ma swoją małą izdebkę pamięci. Zaglądają do niej czasem potomkowie absolwentów z całej Polski, w których rodzinnej pamięci Świetlisty Dom pozostał miejscem kultowym. Najczęściej fotografują się przed frontowymi drzwiami z pięknym witrażem Witkiewicza, tymi samymi, przez które przechodzili ich dziadkowie, marzyciele z Gackiej Górki.

Gdy ich wnukowie jadą tam latem, mają okazję sprawdzić, czy wciąż pachnie macierzanką.

ROZDZIAŁ 16

BRZUCH I INNE DZIEDZICTWA

[...]
Prababkę
bili batem.

Ten bat
błyszczy nad nią w chmurze
zamiast słoł ca.

Anna Świrszczył ska, *Chłopka*

Ja – Helena Kita oświadczam, źe w czasie okupacji pisałam pamiętnik. Pamiętnik jest pisany atramentem, ołówkiem, a niektóre strony są powyrywane, zniszczone, a strony pisane ołówkiem zamazane-nieczytelne. Pamiętnik ma 55 kartek, jest bardzo naiwny, osobisty, ale wiele moźna się dowiedzieą o traktowaniu słuźącej jaką byłam. Myślę, źe to jest takźe dokument stwierdzający mój pobyt w Niemczech.

Helenę Kitę już poznaliśmy. Nosiła wtedy panieńskie nazwisko Rabenda, a gdy skończyła dziesięć lat, jej ukochana matka umarła i odtąd zajmowała się nią zła macocha, a ojciec pił. Jak wiele sierot i półsierot, trafiła do miasta na służbę, a potem do krewnych, którym usługiwała, marząc o własnym domu. Teraz ma lat siedemnaście i jako przymusowa robotnica służy w rodzinie leśniczego Hermana Schonera w Rogelmühle (dziś Młyńskie Stawy) w okolicach Namysłowa. Usługuje pięciu osobom: leśniczemu, jego żonie Gertrudzie, dzieciom Efi i Manfredowi, a także ich dziadkowi. Pamiętnik zaczęła pisać jeszcze u cioci i tu, w Rogelmühle, cały czas go prowadzi.

14 marca 1942 roku, środa

> Dziś prałam trochę i jestem bardzo, ale to bardzo zmęczona. [...] Dziś się dowiedziałam, źe pani me listy i ciebie pamiętniczku przeglądała. Nie bardzo to ładnie, ale przecież i tak nic nie zrozumiała. A choąby i nawet.

Ponieważ Helena pracowała jako służąca, między innymi w rodzinie handlarzy dewocjonaliami w Częstochowie, obyczaje panujące w niemieckiej leśniczówce nie są w stanie jej zaskoczyć. Na przykład takie, że jako służąca ma prawo do kąpieli – w tej samej wodzie co państwo, na samym końcu.

> 18 marca 1942, sobota
>
> Dziś znowu jest kąpiel. Juź Efi kąpała się i Manfred, a teraz pan i jeszcze pani i dopiero ja. Dziś wiele się narobiłam. To i teraz dobrze uczułam zmęczenie. I w mej skołatanej łepetynie po raz setny moźe powstaje pytanie kiedy wreszcie będę miała swój dom, swój własny kąt, gdzie nikt mi nie będzie rządził, jedynie ja.

Samopoczucie służącej w ogromnym stopniu zależy od tego, jak jest traktowana przez chlebodawców, a głównie od humoru pani, zdarzają się więc dni lepsze i gorsze. Znają ten schemat wszystkie służące. „Pani dobra, to i służba dobra” – mówią. Dla Heleny środa 8 marca 1942 roku okazała się dniem lepszym. Zapisuje: „Pani mi wczoraj podarowała bransoletkę nowiutką w ładnem pudełeczku, a dzisiaj pudełko kremu Nivea i stare chapcie na nogi, ale jeszcze całkiem możliwe”.



Helena Rabenda jako służąca (po prawej)

Dzień później notuje, że reperowała poduszki na powozie i bardzo zmarzła, więc gdy przyszła do mieszkania, dziękowała „gorąco Bogu za tę wielką łaskę, jaką otrzymałam, że pracuję w domu”.

Dobry humor pani nie trwa wiecznie, chociaż akurat wydaje się, że żona leśniczego należy do pań o stabilniejszej psychice. I, co bardzo miłe, czasem stać ją na wielki gest.

30 kwietnia 1942 roku, czwartek

Pani mi wczoraj kupiła biały pasek, karty imieninowe, rogi do albumu i podarowała mi śliczny łał cuszek z oczkiem wokół którego są trzy listki.

Niestety, po dwóch tygodniach dobry nastrój pryska.

17 maja 1942, niedziela

Pał stwo pojechali na przechadzkę. Pani dziś cały dzieł była zła jak osa. Garnek źle umyłam. Trzewików nie wyczyściłam. Ach, żeby najprędzej przyszły te chwile, gdy będę miała swój dom i gdy nie będę potrzebowała zważaą na czyjeś widzimisię.

Być może z powodu poczucia winy, albo by mieć towarzystwo, pani już wkrótce zabiera Helenę na wycieczkę do samego Wrocławia. A tam to dopiero Helena zobaczy.

31 maja 1942, niedziela

We wtorek prałam, w środę prasowałam, a w czwartek pojechałam z panią i Efi do Breslau. Kupiłam sobie kapelusz, a pani mi zafundowała podróż i zoo. I widziałam wszystkie zwierzęta. Krokodyle, węże, pytona boa, i małpy wszelkiego rodzaju i papugi kolorowe i czerwone i żółte, niebieskie i zielone. I ptaszki najrozmaitszej barwy i naprawdę nie wyobraźałam sobie, źe mogą byą tak śliczne barwy ptaków.

Kiedy Magda Piekarska, dziennikarka i krytyczka teatralna, po śmierci babci znalazła na strychu jej pamiętnik i zaczęła go przeglądać, nie przestawała się dziwić. Nie, pamiętnik nie ujawnił żadnego rodzinnego tabu. Niespodzianką nie okazała się również informacja o tym, że babcia podczas wojny służyła u Niemca, o tym rodzina wiedziała zawsze. – Język pamiętnika i aura, jaką babcia w nim wytwarza, całkowicie do niej nie pasują – mówi wnuczka Heleny.

17 października 1942 roku

Wczoraj myślałam dużo o Halućse i pomyślałam, źe gdyby wszystko i wszyscy mnie zawiedli, ona chyba by mnie nie zawiodła i widziałam już w wyobraźni przyszłość spędzoną z Haluśką. Po wojnie założyłybyśmy sobie sklepik, ja szyłabym i może jeszcze co dobrego mogłabym zrobią dla ludzi. Bo małżeł stwa to się boję, tyle ludzi nieszczęśliwych potem, niezgodnych, a świat tyle piękna w sobie ma, źe po co naprawdę byą komuś zawadą, jeśli można pożytecznie spędzią życie.

Magda Piekarska: – Nie miałam pojęcia o tej romantycznej części osobowości babci. Najwyraźniej szuka sposobu, żeby sobie poradzić

z samotnością i tym, czego doświadcza jako służąca. W tym pamiętniku jest jak Ania z Zielonego Wzgórza, która w wiejskim stawie widziała Jezioro Lśniących Wód. Czasem zachowuje pogodę ducha i optymizm, a kiedy indziej oddaje się marzeniom.

25 października 1942

Wspominam nieraz przeszłe lata jeszcze gdy matusia żyła, łzy staną w oku a potem spłyną po policzku. Hej, hej, gdzie owe lat dziecinne beztroskie, wesołe szkolne lata? I nigdy one nie wrócą juź jeno postaą, jeno cieł. A i teraz lata płyną, płyną i dokąd i gdzie? I gdzie staną, czy wyźłobionym i równym korytarzem? Bo dziwne me marzenia i sny, dziwne me życie. Marzę i myślę wciąź, a tak zmienne są te myśli me, źe sama nie wiem do której najwięcej się zbliźyą. Mam takie marzenia: zostaą zakonnicą, byą matką, pisaą ksiąźki, byą śpiewaczką i pracowaą społecznie jako siostra w szpitalu. I gdzie tu trochę rozsądku? Nie wiem sama.

Dla wnuczki, która poznaje swoją babcię jako dojrzałą, a następnie starzejącą się kobietę, możliwość wglądu w jej przemyślenia, tęsknoty i fantazje, gdy miała lat osiemnaście, to prezent od losu, jaki trudno sobie wymarzyć. Kobieta pięćdziesięcioletnia niewiele ma wspólnego ze sobą sprzed trzydziestu lat, zwłaszcza jeśli życie przyniosło jej wiele ciężkich doświadczeń. Czy możliwe, by w młodzieńczych rozważaniach Pollyanny rozpoznać własną babcię, która silną ręką zarządza rodziną i już dawno zapomniała o swoich licznych, niekiedy sprzecznych pragnieniach?

8 listopada 1942, niedziela

Wczoraj jednak pani mi kupiła płaszcz zimowy. Siwoniebieski kolor, imitacja futra. [...] I nieraz np. myślę o szczęściu rodzinnym, o dziecku, o ubiorze to przychodzi to natrętne pytanie zawsze. I co potem? Co potem? I nieraz siebie zrozumieą sama nie mogę. Charakter mój taki dziwny, a do zakonu trzeba byą poważną i skromną. A ja? Juź myślę jaki by tu kapelusik sprawią sobie do nowego płaszcza. A w jakim kolorze mi ładnie. I tego zrozumieą nie mogę i nie umiem. Przecież jest tyle dziewcząt na świecie i one nie mają takich myśli jak ja. Ach! I nieraz o Boźe Ty jeden wiesz jak mi ciężko samej borykaą się z tymi myślami, które jak nocne puszczyki królują w mej duszy. I gdyby nie Ty o Pamiętniczku nie wiem, gdzie bym mój ból umieściła.

Ostatni zapisek Heleny z leśniczówki w Rogelmühle pochodzi z 7 kwietnia 1944 roku: „Dziś Amerykany wylądowali we Francji”. A następny już z 28 października 1945 roku: „Dużo i wiele zmieniło się u mnie i w świecie. Ja jestem znów na Kuźnicy u stryjka. Ach, żeby to już długo nie trwało, żeby się skończyło. Utrzymuję bliższe stosunki z Jankiem”.

Po powrocie do stryjka zacznie prowadzić swoje dorosłe już życie, nie zostanie jednak zakonnicą, nie napisze książki ani nie założy wiejskiego sklepiku. W 1946 roku wyjdzie za Jana Kitę, owego Janka od bliższych stosunków. Pochodzący jak ona z chłopskiej rodziny, wykształci się na leśniczego, dzięki czemu teraz to ona zostanie panią w leśniczówce. – Nie byli dobranym małżeństwem. Babcia urodziła trójkę dzieci, ale chciała się kształcić i postanowiła zrobić kursy na księgową. To się dziadkowi nie podobało, chciał ją trzymać w kuchni przy garach i dzieciach, więc często się kłócili. A po dziesięciu latach małżeństwa dziadek zginął w wypadku motocyklowym – opowiada Magda Piekarska. O babci Lenie mówi, że bywała strofująca i apodyktyczna, ale kochająca. Typ aktywistki, która się nigdy nie poddaje. Kiedy Danuta, córka Heleny, a mama Magdy, pomimo zdanych egzaminów nie zostaje przyjęta na polonistykę na uniwersytecie w Poznaniu, Helena nie zamierza się z tym pogodzić.

Pisze list do „Kobiety i Życia”:

Bytomiec, 4 sierpnia 1967 roku

Kochana „Kobieto”!

Jestem Twą czytelniczką od chwili powstania Twego pisma. Kilka razy radziłam się Ciebie i dawałaś dobre rady. Teraz jestem mocno zdenerwowaną, ale chciałabym, aby ten list doszedł jak najprędzej i bym szybko dostała odpowiedź. Oto moja sprawa: jestem wdową z trojgiem dzieci i ojcem na utrzymaniu. Jestem samotna od 7 lat. Mąż zginął w wypadku. Najmłodszy synek ma 14 lat, następny niecałe 16, a najstarsza córka ukoł czyła maturę w tym roku. I to cały problem, nie dostała się na studia w Poznaniu. Dziś dostałam pismo, że egzamin zdała, ale nie dostała się z braku miejsc. Czytam uważnie Twe pismo i wnioskuję, że lubisz, gdy kobiety sobie radzą w życiu, że są energiczne. Ja chciałabym należeą do nich, ale tutaj nie umiem sobie poradzią. Dużo rzeczy nie rozumiem. Pisze się tyle o pierwszeł stwie dzieci wiejskich, ale życie przeczy temu stanowczo. [...] Ja ze swej strony bardzo

bym Cię prosiła o interwencję na uczelni. Nie byłoby mi łatwo, gdyby się dostała, ale podobno jestem trochę upartą i robię wszystko, aby dzieci nie odczuły sieroctwa, by miały wykształcenie. Za wiele chyba piszę. Ale to z goryczy. Odpisz mi szybko.

Smutna Czytelniczka

Po miesiącu Helena wysyła kolejny list:

Kochana „Kobieto".

Bardzo, bardzo Ci dziękuję za załatwienie mej sprawy na uczelni w Poznaniu. Córka moja dostała zawiadomienie, że została przyjęta. Radości nie było koł ca. Zachodziła obawa, że sufit zostanie uszkodzony od wysokich podskoków [...]. Jesteś wspaniałą „Kobietą" i bardzo dobrym człowiekiem.

Helena, jak wiele wiejskich matek, po pierwsze stara się zawsze kontrolować sytuację, a po drugie i najważniejsze: karmić. Oczywiście, jeśli dziecko wyjeżdża na studia, możliwość kontroli zostaje nieco utrudniona. Ale od czego jest Poczta Polska?

Danuta Kita w liście do mamy, 5 marca 1972:

Dziękuję za pieniądze i paczkę, a ściślej mówiąc za jajecznicę z ręcznikami i spodniami (jedno jajko całe). Długo wyrywałam sobie włosy z głowy, ale może niedługo już przyzwyczaję się i do tych jajek. W każdym razie w możliwością przekonania Mamy do niewysyłania jajek w paczce (zwłaszcza luźno) przestałam już wierzyą. Cytryny doszły cało.

Skoro jajka się stłukły, trzeba jak najszybciej wysłać nową paczkę.

Danuta Kita do mamy, 24 kwietnia 1972:

Paczkę dostałam – dziękuję – niestety, jajecznica. Ręczniki wyprałam, tylko czekolada doszła cało. Chyba mama zrezygnuje z tych jajek?

Magda Piekarska: – Nie zrezygnowała, wysyłała mamie paczki z jajkami przez całe pięć lat studiów.

Odnaleziony na strychu pamiętnik babci Leny stworzył wśród rodziny jej nowy wizerunek. Szczerość wyznań, melancholijne zwierzenia

przerywane westchnieniami, przybierającymi czasem formę modlitwy, innym razem rachunku sumienia, a wszystko to napisane bogatym, niemal literackim językiem („moje myśli jak nocne puszczyki królują w mej duszy") kazały rodzinie inaczej na nią spojrzeć i dostrzec to, czego za jej życia nigdy zobaczyć się nie udało.

– Większość rodziny zapamiętała ją jako tyrankę. Mama i wujkowie do babci zawsze zwracali się w trzeciej osobie: „Niech mama posłucha, mama pozwoli". A babcia do nas, dzieciaków: „Co robita? Nie przeszkadzajta! Nie skakajta mi po tych pierzynach", bo pierzyny na łóżkach musiały leżeć nietknięte, strzepnięte, aż do wieczora na łóżkach nie wolno było siadać ani kłaść się. W zeszycie z wypracowaniami, już pisanymi po wojnie, znalazłam jej pracę o Fryczu Modrzewskim, ale tak ją poniosło, że zakończyła je jakimś swoim poematem. „Poetka!", skwitowała nauczycielka. Kto wie, co by z niej wyrosło, gdyby nie wojna, bieda, pochodzenie wiejskie i małżeństwo, które uniemożliwiło jej dalszą edukację? Długo wydawała się niezniszczalna – nawet kiedy przeprowadziła się z Dankowa do bloku w Moczkowie, na działce uprawiała jakąś niestworzoną liczbę warzyw. Z jej zeszytu z przepisami wynika, że potrafiła zakisić wtedy pięćdziesiąt sześć główek kapusty w jednym sezonie. A miała już z siedemdziesiąt lat.

Pamiętnik Heleny Rabendy nie tylko dlatego jest niezwykły, że obdarował wnuczkę nowym obrazem babci, ale też z tego powodu, że jest relacją robotnicy przymusowej w sytuacji nietypowej. Przede wszystkim nie ma mowy o przymusie. Helena, mieszkając u krewnych, dowiedziała się, że Polacy z okolic Wielunia dobrowolnie zgłaszają się do pracy w Niemczech, i również postanowiła to zrobić, prawdopodobnie przedstawiając się jako służąca. Jej pamiętnik, pokazujący zależność od niemieckich chlebodawców, leśniczego i jego rodziny, przedstawia ich relację jako przyzwoitą. Helena narzeka czasem na niezadowolenie pani i tęskni za własnym domem, ale tak samo tęskniła za nim, usługując wcześniej swoim krewnym. Po latach, w swoim życiorysie, w ten sposób napisze o czasie spędzonym w leśniczówce na „przymusowych" robotach:

„Jadłam razem z nimi przy jednym stole i tu muszę podkreślić że Niemcy chociaż wróg, ale robotnika lepiej uszanowali niż nasi ziomkowie. Byłam przecież u kilku państwa, ale wszędzie były 2 stoły, tzn. dla państwa i służby".

Przymusowa, niewolnicza praca w III Rzeszy w czasie okupacji, w szczególności u bauera, to doświadczenie ponad półtora miliona mieszkańców wsi. Jej okoliczności i warunki, a także skutki w każdym przypadku były inne. W opowieściach o niej pojawia się, poza oczywistymi krzywdami i wyzyskiem, wątek słabo akcentowany: że część przymusowych pracowników, jak Helena Rabenda, znalazła pracę i zarobek, jakich w Polsce nie mieli, i że niektórzy u bauera wreszcie się najedli.

Dla babci Macieja Jakubowiaka, krytyka literackiego i pisarza, czas spędzony na tak zwanych przymusowych robotach okazał się jednym z istotniejszych okresów w jej życiu. Babcia Albina, jak wspomina wnuk, urodzona w latach dwudziestych w małopolskiej wsi pomiędzy Kętami a Oświęcimiem, wychowywana przez macochę wraz ze swoim ośmiorgiem rodzeństwa, skończyła dwie klasy szkoły ludowej, bo na dalszą naukę ojciec się nie godził. „Albina nie była z tych nadmiernie narzekających, ale opowiadała, że pierwszy raz najadła się do syta, kiedy trafiła na roboty przymusowe w gospodarstwie rolnym w III Rzeszy. Musiała mieć wtedy jakieś 17 lat. Gdy słuchałem tych historii jako mały chłopiec, wydawało mi się całkiem normalne, że babcia jako najlepszy okres w swoim życiu wspomina te kilka lat, kiedy Adolf Hitler uczynił z niej niewolnicę" – pisze Maciej Jakubowiak w felietonie *Historie ludowe: brzuch*, w którym przygląda się swojemu chłopskiemu dziedzictwu, a za międzypokoleniową spoinę uznaje stosunek do jedzenia. „Historię – nie tylko ludową, po prostu: ludzkości – można opowiadać na różne sposoby, ale ostatecznie chodzi o jedzenie i głód. Ostatecznie chodzi o brzuch" – stwierdza.

Jakubowiak próbuje odnaleźć przyczyny objadania się, jakiemu zawsze ulegał, w przeszłości swojej babci Albiny, która po raz pierwszy najadła się u Niemca, a następnie przekarmiała córkę Hankę, urodzoną w ostatnim roku wojny matkę autora. To tu zawiązał się łańcuszek tych, którzy lubią dobrze zjeść. „Tak, Hanka była gruba i wychowywała grube dzieci" – wyznaje Jakubowiak. To czasy PRL-u, dobrze zjeść oznacza zjeść tłusto i da się to zrobić mimo niedostatku, ale jednak trzeba znać granice. „W domu często słyszało się wykrzykiwane głośno: kto zjadł wszystkie kotlety? kto wypił całe mleko? To było zresztą pierwsze premedytowane kłamstwo, jakiego się nauczyłem: to nie ja! Przez sporą część życia myślałem, że to całkiem normalne. Dopiero niedawno, kiedy sobie o tym przypomniałem, zdałem sobie sprawę, o co chodziło: to była bieda".

Pozwala ona jednak, a nawet może nakazuje mocą kompensujących mechanizmów, aby wszystko kręciło się wokół jedzenia. Na babci Macieja Jakubowiaka peerelowska bieda, zwłaszcza w późniejszym okresie, mogła robić wrażenie luksusu. „Babcia uchodziła w naszej niewielkiej trzypokoleniowej rodzinie za mistrzynię kuchni. Wcale nie gotowała wykwintnie, raczej prosto, zdrowo, pożywnie. Tak się wtedy wszystkim wydawało, choć kiedy wspominam te obiady, widzę przede wszystkim wielką, kuszącą, połyskującą na żółto plamę tłuszczu, który pokrywał wszystko. Trzeba przyznać: porcje nie były wielkie. Za to dostawy były regularne i bez przerw. Nawet gdy już nic nie mogło się zmieścić, Albina podsuwała kolejne specjały, i trochę się naburmuszała, kiedy nie znikały ze stołu. Miłość babci manifestowała się jedzeniem".

Leszek Budrewicz, dziennikarz, poeta, działacz opozycji w PRL-u, wychowany przez matkę pochodzącą, jak mówi, ze „Szkieletczyzny", kiedy pojawił się jako dziecko w jej rodzinnej wsi pod Skarżyskiem-Kamienną, usłyszał wszystkie inwektywy, którymi był obrzucany na swoim wrocławskim podwórku: „Gruby", „Garcia", „Słonina", „Tłuścioch".

– Pamiętam swoje dziecięce zdziwienie: „Skąd oni wiedzą, że mam takie przezwiska?” – opowiada.

Toczył już wtedy z matką boje o to, by przestała zabijać karpia w ich wannie, a następnie karmić rodzinę galaretą z tej zaprzyjaźnionej ryby, jak również odmawiał zjadania siedmiu kromek ze zdobytą gdzieś cudem szynką na kolację. Budrewicz należy do przedstawicieli nowych generacji, dotychczas niemal niespotykanych, o szlachecko-chłopskim pochodzeniu. Ojciec wywodził się z herbowej szlachty, zubożałej już na początku lat dwudziestych, ale wciąż o wyższym statusie kulturowym, dziadek przed wojną pracował jako zarządca w majątku Potockich.

Matka, nim przyjechała do Wrocławia po typowym wiejskim dzieciństwie: pracy u krewnych w zamian za wikt i opierunek i sprzątaniu u żydowskiej rodziny, jako nastolatka trafiła na roboty do fabryki amunicji w Lipsku, z której uciekła. Wspominała je jednak dobrze, głównie dlatego, że korzystając z miasta, wiodła całkowicie inne życie niż na kieleckiej wsi: w weekendy chodziła na piwo i do kina. Budrewicz chowany był więc w domu, w którym musi być niańka, ale którego nigdy się nie zamyka, jak to na wsi.

– Mama zachowała w sobie wiejską oschłość, w rodzaju: „jak boli, to uciąć”, a jak coś się złego dzieje: „dobra, to zróbmy pierogi”. Nie przepraszała mnie nigdy, nawet gdy bywała wcześniej niesprawiedliwa, bo przecież dziecka się nie przeprasza, no, może doktor Kozak z trzeciego piętra, ale reszta nie. Ale była też dowcipna i potrafiła zachować dystans. Ostro pracowała, żeby mnie utrzymać, po pracy prała ludziom ciuchy, które ja zanosiłem w walizkach do magla, a potem siadała przed telewizorem, włączała na przykład *Dynastię* i mówiła: „No, a teraz sobie popatrzę, jak się bogaci żrą”. Miała umysł bardzo praktyczny. Wszystko mogło się przydać, i zresztą przydawało się. Jak zmarła, znalazłem całą szufladę gumek od weków. I przy całym pragmatycznym podejściu do życia, nawet jeśli wielu rzeczy nie rozumiała, była na nie otwarta. Pamiętam, ktoś mi kiedyś przywiózł z Czech płytę Boba Dylana i ona na początku cały czas mówiła, że nie może tego znieść. „Co on tak jęczy?” –

pytała, a po jakimś czasie przychodzi i mówi: „Wiesz co? W tym coś jest”. Była dumna z tego, że czytam, i ciągle mi coś podrzucała. Sama może nie czytała, ale oczywiście chętnie oglądała filmy w telewizji. Wzruszała się do łez *Nędznikami*, była bardzo czuła na krzywdę ludzką. Ale bała się polityki i zawsze mnie przestrzegała, żebym się trzymał od niej z daleka. Natomiast miałem jej studwudziestoprocentowe wsparcie nawet w sprawach, w których bym się nie spodziewał.

Gdy Budrewicz pierwszy raz trafił do aresztu, w KOR-owskich czasach, pod koniec lat siedemdziesiątych, sądził, że mama zmyje mu głowę: – A ona popatrzyła na mnie i powiedziała: „Wykąp się i pamiętaj, że tak jeszcze dużo razy teraz będzie”. Z kolei moja babcia Franciszka, o której mama zawsze wyrażała się ciepło, dla mnie była skorupą, nie poznałem jej uczuć. Mało komunikatywna, oschła kobieta, która nie potrafiła czytać i pisać. Była u nas, we Wrocławiu, tylko raz i źle się to skończyło. Czuła się tu fatalnie, próbowała żyć w taki sposób, jak u siebie na wiosce, ale to się nie mogło udać, wiedziała, że jak wyjdzie na podwórko, to się będą z niej śmiali. Ze mną nie rozmawiała, nie była przyzwyczajona, żeby z dzieckiem dyskutować. Któregoś dnia, gdy mama wróciła z pracy, ja się po prostu rozpłakałem. Mama zapytała, o co chodzi, i ja powiedziałem prawdę: że nie mogę znieść tego, że babcia śmierdzi. Bo babcia myła się raz w miesiącu pod studnią. I tutaj, u nas, trzymała się tego swojego wiejskiego pnia, bo przecież inaczej idziesz w zatratę. I kiedy ja to powiedziałem, to babcia wtedy też się rozpłakała. Wyjechała i nigdy już do nas nie przyjechała.

Podwórko Leszka Budrewicza, na które jego babcia wstydziła się wychodzić, w samym centrum Wrocławia, jak większość miejskich podwórek w Polsce lat sześćdziesiątych należało do dzieci byłych mieszkańców wsi, w większości robotników, plus kilku rodzin inteligenckich, lekarz, nauczyciel albo policjant czy taksówkarz, i kilku żydowskich rodzin.

Budrewicz: – Bywały dni, że i setka dzieci bawiła się na naszym podwórku. Ale nie latem. Wtedy były puchy. W wakacje wszyscy jechali

do babci.

Do tych, którzy latem w latach siedemdziesiątych znikali z miejskiego podwórka, należała Agnieszka Jędrzejczyk, historyczka i dziennikarka. Jej matka, nauczycielka, jedno z dwanaściorga dzieci masarza, wychowała się w drewnianym, bielonym na niebiesko domu z trzema izbami w małopolskiej wsi Siepraw.

– Przed wojną głodu nie zaznali, w domu było dużo mięsa, a babcia na potrzeby rodziny hodowała kury i krowę – opowiada Agnieszka Jędrzejczyk. – Nie mogę powiedzieć, że poznałam babcię, kontakt z nią był trudny. Mówiła gwarą, nie rozumiałam jej, mama musiała mi tłumaczyć. Babcia zmarła w 1984 roku.

O wakacyjnych wyprawach na wieś mówi, że przypominały wycieczki kolonizacyjne: jaśniepaństwo z Warszawy zjechali, by cywilizować rodzinę. – Mama wykładała swoje piękne miejskie sukienki, które jej siostry podziwiały, a następnie wydawała polecenia i zarządzenia: „ty źle gotujesz”, „przestawimy stół”. I siostry się słuchały, choć prawdopodobnie nie podobało im się to, co ona robi. Ale mama miała w sobie niesłychaną siłę i energię. Czasem myślę, ile mogłaby w życiu osiągnąć, gdyby nie musiała pokonywać tej przepaści między bielonym domem a życiem w wielkim mieście. Była pierwszą osobą w rodzinie, która skończyła szkołę średnią i studia. Po niej poszli następni. Według rodziny mama zrobiła oszałamiającą karierę: wyszła za mąż za inżyniera z Warszawy.

Dla Agnieszki Jędrzejczyk, która wyrosła w środowisku inteligenckim, świat, z którego przybyła jej matka, a który odkrywała podczas wakacyjnych eskapad, okazywał się pociągający, czasem niepokojący i prawie zawsze bardzo odległy od świata, który znała.

– Spaliśmy po kilkoro w łóżku, już samo to było dla mnie dziwne, u nas przecież każdy miał swoje łóżko. „A, bo ty nie znasz życia” – śmiała się mama. „No idź, zagrzej nam łóżko”. Czasami spałam z nią „na waleta”. Byłam dwunastolatką i czułam się z tym dziwnie. A kiedy gasły światła,

w nocy, w dużej izbie z trzema łóżkami zaczynały się opowieści sióstr. Zupełnie z innego świata. „A wiesz, tamtej umarło dziecko, bo spadła na nie poduszka i je przydusiła”. Kropka. Bez żadnych emocji i większego zdziwienia. A kogoś pobili, a ktoś był w więzieniu. Zupełnie egzotyczne dla mnie historie. I do tego wszystko opowiadane innym językiem niż ten, który znałam. Nie chodzi o gwarę. Chodzi o budowę wypowiedzi. Coś, czego inteligenci w ogóle nie czują i nie potrafią oddać. Na przykład Smarzowski w swoich filmach, on używa właściwych dla wsi słów, ale nie buduje z nich autentycznych sensów, tak jak to robią ludzie pochodzący ze wsi. Bo te wypowiedzi często nie mają żadnego ciągu wynikowego, opowieść się nie tłumaczy, nie łączy przyczyn i skutków. Tylko że coś się zdarzyło, a potem coś innego. Zdania są krótkie i proste. Że ktoś coś „miał”, że „dał” (czyli zapłacił) albo „wziął” (czyli sprzedał i dostał za to). I to jest opowiadane jak najcenniejszy sekret. A poza tym mądrości życiowe: „On musiał mieć dużo siły, bo dużo siły to się ma od mięsa”. To zdanie, jak się pomyśli, nie ma sensu, ale jest wypowiadane z taką mocą, że go nie kwestionujesz. Albo taki rodzaj przekonań: „On musi pić, bo takie geny ma”, właściwie to rodzaj opowieści magicznej. A pod tym wszystkim, pod spodem tkwiło przekonanie, że świat jest niesprawiedliwy i wrogi. Było to absolutnie niezgodne z tym, co ja wiedziałam skądinąd: że świat się zmienia, że na świat ma się wpływ, że trzeba się uczyć, bo od tego wiele zależy.

W miarę upływu czasu Agnieszka Jędrzejczyk dokonywała kolejnych odkryć we własnej genealogii: że matka za swój awans zapłaciła bardzo wysoką cenę – duży koszt psychiczny, który komuś z zewnątrz, a nawet jej samej, mógłby się wydać zupełnie niezrozumiały. – Część wakacji spędzaliśmy ze znajomymi mojego ojca i potem się dowiedziałam, że dla mojej mamy było ogromnym wyzwaniem grać przed nimi kobietę światową. A kiedy przygotowywała ojca imieniny dla jego znajomych, dwa tygodnie spać nie mogła, bo nie wiedziała, czy sobie poradzi – opowiada. Sama przyjaciół nie miała. Budowanie nowych, niehierarchicznych relacji było dla niej zbyt wyczerpujące. Zadowalała się znajomymi ojca.

Emancypacyjno-modernizacyjny impuls wyszedł od najstarszej siostry matki, silnej i upartej. – Urodziła się w 1920 roku. Jeszcze przed wojną skończyła szkołę gospodarczą, wbrew swojemu ojcu, który uważał, że dzieci nie powinny być bardziej wykształcone od rodziców, a sam skończył cztery klasy. Odrzuciła wiejski styl ubierania się, zmieniła uczesanie na miejskie. Babcia na zdjęciach sprzed wojny (kiedy nie ma czterdziestu lat) ma gładko uczesane włosy i upięty warkocz, a ciotka zawsze ładnie ułożone po miejsku włosy, fale albo dwa rożki z przodu. Dziadek, który jak wynika ze wszystkich świadectw, był brutalem, pewnego dnia niezadowolony z miejskiej fryzury córki po prostu uciął jej cały pukiel włosów znad czoła. To było opowiadane jako anegdota, ale zawsze, gdy tego słuchałam, cierpła mi skóra.

Ciotka Agnieszki Jędrzejczyk ma dwadzieścia lat, gdy trafia na roboty przymusowe do Niemiec, na które zgłasza się zamiast młodszej siostry. Być może czuła się silniejsza od tamtej? A może chciała uciec z domu? Wśród mrożących krew w żyłach „przygód", jakie przeżyła, były aresztowanie i trzymiesięczne uwięzienie. Po latach opowiadać będzie o tym z dumą. Bardzo chce, by wszyscy usłyszeli, że nie jest taka jak inni. Zresztą zadbała o to, żeby sobie u okupanta poradzić (Agnieszka Jędrzejczyk nagra relację ciotki, wtedy osiemdziesięcioletniej, i ta opowieść o jej kontakcie z okrutnymi Niemcami, ale też z nieznaną na polskiej wsi cywilizacją, zostanie w rodzinie jako pamiątka).

W Nadrenii u bauera z dwójką dzieci młoda Polka ma przerzucać gnój i doić krowy. Ale ona tego nigdy wcześniej nie robiła. Odmawiała takich prac w domu, choć matka próbowała ją nauczyć dojenia. Na szczęście zabrała ze sobą do Niemiec zeszyty ze szkoły gospodarczej, jak opowiadała, „pięknie prowadzone". Dowód na to, że nie jest „zwykłą dziewczyną ze wsi". „I gospodyni, Niemka Gertruda, kiedy te zeszyty zobaczyła, powiedziała: «Wiesz co? Ty będziesz gotować, a ja będę doiła krowy». I to było bardzo słynne w tej miejscowości potem, bo się bauerzy buntowali i mówią tak: jak to jest, że Polka podobno gotuje? Tak bauerowi mojemu mówili. A on mówi tak: a, bo ona studiowała, nie

nauczyła się krów. Tak mi to Polacy opowiadali, ci, co byli u tych" – opowiadała z dumą po latach i to właśnie jest na nagraniu.

Tymczasem bauer zostaje zmobilizowany, a ciotka co tydzień piecze ciasto, które Gertruda zawozi mężowi co niedzielę. „Ja piekłam zawsze te *kuchen*, taką babkę piaskową, pamiętam do dzisiaj, cztery filiżanki mąki, filiżankę masła, filiżankę mleka i filiżankę cukru – i ona z tym jechała do niego zawsze i wracała w poniedziałek wieczorem".

I kiedy pojechała z tą babką, wracała przez Kolonię, zaczął się nalot dywanowy, położyła się na ziemi, ale nie przeżyła. „Płakałam. Lubiłam ją bardzo. Jak odjeżdżała, to mówi, trzymaj się. Następnym razem ty upieczesz babkę" – zapamiętała.

– Praca w Niemczech ją zmieniła, ona tam widziała rzeczy, o których nie miała pojęcia, i myślę, że jej instynkt modernizacyjny przybrał na sile.

Po powrocie uczy siostry, że nie śpi się w dziennej bieliźnie, tylko w koszuli nocnej. Wprowadza do domu zwyczaj choinki. Uczy młodszą siostrę, matkę Agnieszki Jędrzejczyk, poprawnego miejskiego zachowania się.

– Ale tam, w Niemczech, stało się coś, co bardzo wpłynęło na jej życie. Poznała mężczyznę, zakochali się w sobie i planowali się pobrać. Ale najpierw musi ją zaakceptować jego rodzina w Polsce, a to właściciele dużego gospodarstwa towarowego pod Łowiczem. I ta rodzina ją odrzuca, bo uznaje, że wygląda z miejska i nie nadaje się do roboty – opowiada Agnieszka Jędrzejczyk.

To dramaty wielu emancypujących się kobiet – nie pasują już do świata, który próbowały opuścić, i ponoszą karę odrzucenia za swoje aspiracje, nawet jeśli są gotowe z nich zrezygnować i zawrócić z drogi lub są skłonne pójść na kompromis, ale nikt im nie wierzy, przede wszystkim budzą lęk i obawę jako nie dość podporządkowane.

– Ciotka wyjdzie za mąż późno, już po trzydziestce, za mądrego robotnika wykwalifikowanego, który ją zrozumie i pozwoli jej zostać głową rodziny. Siostry matki bardzo nie chciały powielić losu swojej matki, która ciężko pracowała w polu i co rano wstawała do krów.

Oczywiście, wiedziały, że głównym konkursem, w którym kobiety powinny w życiu wystartować, jest konkurs pod tytułem: dobrze wyjść za mąż. I one zgodziły się brać w nim udział, ale pod warunkiem że zdobędą nagrodę główną, księcia z bajki. Moja mama to zrobiła, bo mój tata w tych kategoriach rzeczywiście jest księciem z bajki. Dał jej miłość, szacunek i ogromny prestiż.

Miała więc szczęśliwe życie, ale poczucie zagrożenia nigdy jej nie opuściło. Nie uwolniła się od oka kontroli społecznej, wykazywania się, poddawania ocenie. Zawsze czuła, że musi więcej i lepiej. Najważniejsze, by wyglądać po miejsku i mówić jak miastowi.

– Moja mama mówi doskonale po miejsku, elokwentnie, inteligenckim językiem, ale w rozmowie z rodzeństwem potrafiła się też przełączyć na gwarę, wrócić do intonacji ze swojego rodzinnego domu. Moim zdaniem ubranie było ważniejsze, ubiór był jedyną rzeczą, która dawała namacalny dowód ich wartości, a przez to i radości. Dzisiaj to może jest samochód czy kombajny do trawy, takie rzeczy trzeba mieć, bo to wtedy znaczy, że jesteś kimś, że jesteś człowiekiem. Dla mamy i jej sióstr pół wieku temu ważne było, by ubierać się zawsze niezwykle elegancko, zwracały też uwagę, która kobieta co ma na sobie ładnego.

– W dzieciństwie chodziłam do szkoły muzycznej, bo „dziewczynka musi grać na fortepianie”. Mama pewnie usłyszała, że tak się robi w mieście, i wcieliła to w życie. Ale też, pomna swoich korzeni, nauczyła mnie, jak się posługiwać młotkiem i śrubokrętem, jak szyć (swoje piękne sukienki sama szyła, po nocach) oraz jak gotować. Ale już spotkania z przyjaciółmi uważała za zmarnowany czas. Mama nie była w stanie nauczyć mnie budowania relacji z ludźmi, tu miałam dziurę, którą musiałam sama nadrobić, bo moja mama nie zaznała skarbu relacji i nie wiedziała, że to one dają bezpieczeństwo i wsparcie, a także zwolnienie z oceny, bo w tym świecie nie jesteś oceniana, jesteś po prostu lubiana. Dla mamy (i dla jej sióstr) relacje z innymi to było nieustanne zdawanie egzaminu, poddawanie się ocenie. „Poznają nas, skąd jesteśmy, czy nam się uda?”

Kiedy w połowie lat sześćdziesiątych babcia Leszka Budrewicza wracała z ulgą na swoją Kielecczyznę, Róża Somla spędzała w Warszawie swoje najlepsze lata. Córka niewyedukowanego ojca i matki po czterech klasach szkoły powszechnej wkroczyła na drogę awansu społecznego i skończyła właśnie studia – filologię romańską na Uniwersytecie Warszawskim. Świat stał przed nią otworem. Wkrótce zrealizuje największe marzenie swojej matki: wyjdzie za miastowego.

– Mama, całkowicie uzależniona od ojca i jego humorów, prosiła mnie, abym zdobyła zawód, niezależność i miastowego na męża i nie musiała tak harować jak ona i babcia.

– Udało się?

– Tak. – Róża Somla uśmiecha się promiennie.

Jej mąż, Ireneusz Dembowski, to syn przedwojennego nauczyciela, wieloletni dziennikarz filmowy, redaktor i tłumacz korespondencji Mozarta. Takie oto czasy, że córka chłopa ze Stoku Lackiego może wyjść za nauczycielskiego syna i nikt już tego mezaliansem nie nazywa. Matka Róży Somli mogła być dumna i w dodatku lubiła zięcia. Od czasu do czasu pytała go tylko: „Kochany zięciu, kiedy zgolisz brodę, żebym mogła zobaczyć, jak wyglądasz?”.

Ale co z tym francuskim? Skąd u chłopskiej córki zainteresowanie ulubionym językiem panienek z ziemiańskich domów?

– Chciałam się dostać do liceum Żółkiewskiego w Siedlcach, ale ojciec miał za dużo hektarów i mnie nie przyjęli. Dzięki znajomościom ojca dostałam się do żeńskiego liceum św. Królowej Jadwigi, gdzie uczono francuskiego, który szedł mi ciężko. Toczyłam wojnę z nauczycielką. Działałam już w ZMP[77], więc wypaliłam któregoś dnia, że nie będę się uczyć języka imperialistów. Ale latem pojechałam na obóz, gdzie przyjechała piękna, pachnąca młodzież z Francji i z Belgii. Jak oni tańczyli! A jak oni całowali! Puknęłam się wtedy w głowę i powiedziałam sobie: ale ja jestem głupia, że się nie chciałam francuskiego uczyć. I wzięłam się do galopu – mówi.

Na pytanie, dlaczego działała w ZMP, odpowiada zdziwiona:

– A gdzie miałam działać? Niczego innego nie było. Chciałam coś robić, rozpierała mnie energia – mówi i dodaje, że jednak, w przeciwieństwie do swojego brata, do partii nigdy nie wstąpiła. – Pamiętam, że przyjeżdżał na wieś do rodziców i próbował nas agitować na komunizm. I mówił, że Matka Boska to Żydówka. Jak nasza mama wtedy płakała! Słuchać tego nie mogła.

W końcówce lat pięćdziesiątych, gdy Róża Somla studiuje romanistykę, jej koleżanki to głównie panny z tak zwanych dobrych domów, córki dyplomatów.

– One – ładnie ubrane, obyte, pewne siebie. Ja wyglądałam inaczej. Ani pieniędzy, ani gustu nie miałam – opowiada. – Jak się przyjechało w latach pięćdziesiątych do Warszawy, to wszędzie się słyszało: „O, wsiocha przyjechała, wykupują nam wszystko". Ale moim zdaniem mieszczuch by tak nigdy nie powiedział, tak mówili ci, którzy sami przeprowadzili się ze wsi. Pierwsze pokolenie bardzo się wstydziło swoich rodziców. Śmierdziało im na wsi. Ale ja się wstydziłam czego innego: panieńskiego nazwiska mojej matki – Gorzała.

Ta Gorzała, jak się Róża Somla doczyta po latach, gdy będzie pracować nad *Sagą rodu Somlów*, to właściwie przypadek. Przez pokolenia cała gałąź jej rodziny nazywała się Strus. I nagle, w połowie XIX wieku, hop: dziecko Strusa tuż po urodzeniu zostaje zapisane w księgach kościelnych jako Gorzała. Jak to możliwe?

– Praprapradziadek był pijakiem, więc na wsi nazywali go „Gorzała". Urodziła mu się córka, ksiądz zapisał w księgach: Gorzalanka. Co ciekawe, synów jakiś czas później zapisywano jako Strus. Potem dopiero wszyscy dostali jedno nazwisko Gorzała, bo widocznie ktoś postanowił raz na zawsze zrobić z tym nazwiskiem porządek. I tak zostaliśmy Gorzałami, a przestaliśmy być Strusami.

Kiedy *Saga rodu Somlów* z tą i tysiącem innych informacji z ostatnich czterech wieków została okazana światu podczas promocyjnego wieczoru w bibliotece w Stoku Lackim, Róża Somla usłyszała teatralny męski

szept: „Zły tytuł. Rody mogą być królewskie, arystokratyczne i szlacheckie. Ale nie chłopskie”. Odpowiedziała wtedy „panu wiem lepiej”: „Oczywiście. Prawo do rodowodu mają też psy i konie. Ale nie chłopi, prawda?”.

– Nie chciało mi się tłumaczyć temu człowiekowi, że skoro opisuję trzysta lat historii Somlów, to trudno mówić o rodzinie. To już jest po prostu ród – wyjaśnia.

Potem jeszcze raz była świadkiem zgrzytu. Tym razem z krytyką spotkał się tytuł jednego z rozdziałów: *Czyją byliśmy własnością przed uwłaszczeniem?* Pokazuje w nim, w jaki sposób ziemie obrabiane w ramach pańszczyzny przez jej przodków przechodziły w ręce kolejnych „panów” – głównie Czartoryskich (w tym Izabeli i Adama, których siedzibą rodową były Puławy).

– Na promocji książki w Klubie Inteligencji Katolickiej zwrócono mi dyskretnie uwagę, że ten tytuł jest niestosowny – mówi Róża Somla.

Jakie to uczucie, kiedy się poznaje nazwiska pańszczyźnianych przodków, uznawanych dziś za niemal niewolników? – Osobiście mnie to nie rusza – mówi Róża Somla. – Ale jeden z moich krewnych miał z tym naprawdę duży problem. Pierwotnie chciałam nadać książce tytuł: *Historia włościańskiego rodu Somlów*, więc zagroził, że jeśli nie usunę słowa „włościański”, nie będzie jej w ogóle chciał wziąć do ręki. „To jest hańba z takiej rodziny pochodzić, przecież to byli ludzie z najniższego szczebla hierarchii społecznej. Jak przyjdą do mnie goście, to ja na pewno nikomu takiej książki nie pokażę” – groził. I ja rzeczywiście w końcu zrezygnowałam z tego tytułu, ale z całkiem innego powodu. Uznałam, że moja rodzina do pewnego momentu była chłopska, ale teraz jesteśmy mieszczanami, a nawet inteligencją. Tego, że była chłopska, w ogóle się jednak nie wstydzę.

W 2011 roku Anna Tatarkiewicz, romanistka i tłumaczka, w wywiadzie *Chamofobia w kraju chamów* dla tygodnika „Przegląd” opowiedziała o sytuacji, która przydarzyła jej się na spotkaniu literatów, gdy

powiedziała, że należy do mieszanki stanowej, bo jej ojciec pochodził z chłopów, a matka z inteligencji o ziemiańskich korzeniach. „Potem jeden z uczestników spotkania, skądinąd znany pisarz, poprosił mnie o rozmowę w cztery oczy i powiedział, że jest też pochodzenia chłopskiego. A nie miał odwagi, gdy ja to mówiłam, przyznać się głośno" – opowiadała. Na pytanie dziennikarza, czy rozumie tego pisarza, Anna Tatarkiewicz przyznała, że rozumie: „Oto mamy polską chamofobię. Traktowanie chłopów i wszystkiego, co wiejskie, jako gorszego, wstydliwego! Jeżeli ludziom nieustannie daje się do zrozumienia, że są gorsi, że nawet gdy ktoś jest inteligentem najwyższego stopnia, profesorem, ale pochodzenia chłopskiego, to pozostaje inteligentem zza stodoły... Czy tacy ludzie nie mogą mieć kompleksów?".

Eliza Szybowicz, redaktorka i krytyczka literacka, po dwudziestu kilku latach od przeprowadzki do Poznania pamięta szok, na który nie była przygotowana: różnica pod względem kapitału społecznego i kulturowego między dziewczyną z wielkopolskiego Margonina a mieszkańcami miasta od pokoleń okazała się większa, niż się spodziewała. Prymuska liceum w Chodzieży przechodziła nieświadomy trening nowych zachowań, odruchów, a także języka.

– Pamiętam każde słowo wykładowcy, który publicznie piętnował poszczególnych studentów za językową niepoprawność, na przykład za nieprawidłową artykulację głosek w końcówkach wyrazów. Wyraźnie lubił się nad tym rozwodzić. Zwracał mi uwagę na zajęciach, że raz mówię „om", a raz „ą", i nazywał to rozchwianie moją cechą konstytutywną, a to pewnie wynikało z tego, że jak się postarałam, to wyszło mi ładne „ą", a innym razem, kiedy się mniej pilnowałam – „om". Oczywiście, wykładowca twierdził przy tym, że nie lubi się tak wypowiadać i zwraca nam uwagę dla naszego dobra, ale efekt był taki, że nikt nie chciał gęby przy nim otwierać.

To wówczas, jak mówi Eliza Szybowicz, zaczęła się borykać z syndromem „uzurpatora", którego czasem do dzisiaj doświadcza.

– Poczucie, które chyba szczególnie dręczy kobiety, nawet te, które mają osiągnięcia, dobrze sobie radzące czy zarabiające – że to im się właściwie nie należy, że zaraz się wyda, że tak naprawdę się nie znają i nie potrafią. Z okresu studiów pamiętam swoje obsesyjne notatki z każdej lektury i poczucie, że powinnam jeszcze więcej pracować. Pamiętam też, że zapożyczałam sposób mówienia na przykład od koleżanki z nauczycielskiego domu, która miała dużo wyższe kompetencje językowe i używała języka w niestandardowy sposób – opowiada.

Ten życiowy dla Elizy Szybowicz przełom przypadł na połowę lat dziewięćdziesiątych, czyli czas, gdy jak mówi, królujący wówczas neoliberalizm kształtował postawę: każdy jest kowalem swojego losu.

– Słuchałam tego i chłonęłam, więc z pozycji świeżo upieczonej, rozwijającej się studentki zaczęłam postrzegać moją rodzinę jako nienadążającą i do dziś mam poczucie winy z tym związane, choć na szczęście szybko mi to wyższościowe nastawienie przeszło. Wtedy jednak nie widziałam w doświadczeniach mojej rodziny niczego dla siebie, a dzisiaj uważam, że potępianie PRL-u w czambuł źle się przysłużyło nie tylko mnie, ale w ogóle nam jako społeczeństwu, i myślę, że można było uważniej słuchać świadków, czyli właśnie naszych dziadków, z ich doświadczeniami przedwojennej biedy, i nie odrzucać ich spostrzeżeń, które często okazywały się trafne.

Od lat dziewięćdziesiątych, a nawet od wywiadu udzielonego przez profesor Tatarkiewicz wiele się zmieniło. W ostatnich latach mamy do czynienia z tak zwanym zwrotem ludowym, który przyniósł wysyp literatury z cyklu „ludowa historia Polski”, a w konsekwencji zmianę świadomości i nastawienia. Prawdopodobnie już nikt poważny nie śmiałby nazywać kogokolwiek słoikiem, do wielu bowiem dotarło, że i oni w poprzednich pokoleniach nimi byli, natomiast powiedzenie, że „garnitur leży dobrze na mężczyźnie w drugim pokoleniu, a frak w trzecim”, wydaje się już nie tylko aroganckie, ale świadczące o ignorancji. Do tej zmiany przyczyniły się między innymi wspaniałe oddolne inicjatywy, w rodzaju przeprowadzonej w 2013 roku społecznej

akcji „Jestem ze wsi” Stowarzyszenia Folkowisko, które w internecie, na plakatach i ulotkach prezentowało sylwetki ludzi wywodzących się ze wsi i zachęcało do swoistego coming outu. Ta dyskusja stała się możliwa, ponieważ uczestniczą w niej już kolejne generacje, przeważnie inteligencka klasa średnia. Młode pokolenie, zwłaszcza lewicy, odrzuciło melodię lat dziewięćdziesiątych, z fałszywym i zawstydzającym refrenem „biednyś, boś głupi”, zniechęcającym do identyfikowania się z najbiedniejszą i najbardziej pogardzaną grupą społeczną, postrzeganą nie tyle jako ofiary losu, ile samych siebie. Również peerelowska historiografia z instrumentalnym i tendencyjnym podejściem „do ludu” pozostawiła niesmak i wzbudziła utrwalone przez długi czas *désintéressement*. I, wreszcie, musieliśmy się trochę wystawniej najeść i lepiej ubrać, by móc mówić o biedzie naszych rodzin bez lęku i wstydu. Symptomatyczne, ale też zrozumiałe, że podczas pracy nad tą książką dzieci moich bohaterek, chętnie przekazując informacje o swoich matkach, prosiły niekiedy o zachowanie anonimowości, ale już wnuki i prawnuki nie zgłaszały takiej potrzeby.

Zainteresowanie ludową historią przeprojektowało kierunek dyskusji z pytania o to, co jest naszym prawdziwym dziedzictwem: spuścizna chłopska czy szlachecka, na inne – co właściwie oznacza dla nas nasza chłopska lub ludowa tożsamość? Już nie tylko dla społeczeństwa jako ogółu, ale dla historii naszego prywatnego życia w następnych pokoleniach.

Piotr Kieżun, socjolog i krytyk literacki, którego rodzina w poprzednich generacjach związana była z wsią, w 2018 roku zarejestrował rozmowę rzekę ze swoją babcią, Marią Karpińską, i opublikował ją w formie tekstu. Pozwoliło mu to, jak pisze we wstępie do publikacji, „zadomowić się w przestrzeni i czasie – uświadomić sobie, że jestem częścią jakiejś większej wspólnoty losów”.

Podczas rozmowy z babcią pyta między innymi o jej ojca, Telesfora, piekarza z mazowieckiej wsi Popławy, a Maria Karpińska, emerytowana nauczycielka, opowiada mu o tym, jak jej ojciec się ubierał i że do

kościoła wkładał garnitur, a czasami krawat. „I kapelusz?” – dopytuje wnuk. „Nie – odpowiada Maria Karpińska – kapelusza nie miał. Tam na Popławach mało kto się tak nosił. Kapelusz to było pańskie nakrycie głowy, a mój ojciec panem nigdy nie był”.

– Podoba mi się to żachnięcie babci, ja też nie czuję się z panów. Mam bardzo równościowe podejście do ludzi i hierarchię znoszę tylko wtedy, gdy ktoś swoją pozycję zdobył ciężką pracą. Z drugiej strony pochodzenie ma dla mnie znaczenie głównie kulturowe. Miło wiedzieć, że jest się skądś. Znać historie rodzinne, styl życia przodków. Ale nie po to, żeby tworzyć jakieś klasowe dystynkcje. Mogę powiedzieć, że wywodzę się z chłopskiej rodziny, zarówno po mieczu, jak i po kądzieli, ale to niewiele o mnie mówi. Należę do wielkomiejskiej klasy średniej, i to do tej jej części, która wybrała wolny, „kreatywny”, powiedzielibyśmy dzisiaj, zawód. Nie potrzebuję „punktów za pochodzenie”, żeby dobrze się poczuć – zauważa Kieżun.



Babcia Magdaleny Szczygieł, Maria, z mężem Tadeuszem i synem Józefem. Lata 40.

Zastrzega jednak, że czuje się także dziedzicem kultury szlacheckiej i nie podoba mu się w dyskusjach ton odwetowy.

– Cieszy mnie nowy nurt w badaniach historycznych, który oddaje głos chłopom, ale irytuje rzutowanie tamtych relacji na współczesne podziały społeczne i wykorzystywanie tego do obecnych sporów ideowych. Na przykład w dyskusjach o współczesnych nierównościach czy relacjach feudalnych w środowisku pracy. Przede wszystkim dlatego, że zazwyczaj w geście społecznego odwetu wiktymizuje się całą bez wyjątku szlachtę

i stawia się pod znakiem zapytania kulturę, którą wytworzyła. Uważam, że jest to podejście ahistoryczne i grozi kulturowym puryzmem, a więc zubożeniem. Choć oczywiście rozumiem potępienie pańszczyzny i pogardy dla chłopów. Pochodzę z rodziny o korzeniach chłopskich, ale czuję się – dzięki temu, że nauczyłem się korzystać z tego dorobku – również dziedzicem polskiej kultury szlacheckiej czy – jak kto woli – wysokiej. Nie widzę w tym niczego złego. Poza tym w XX wieku doszło do takiego przetasowania na drabinie społecznej w Polsce, że trudno mi odszukać wokół mnie schemat jeden do jednego dworkowo-feudalno-szlachecki.

Perspektywa Magdaleny Szczygieł, ekonomistki z Rzeszowa, która literaturę ludową odbiera bardzo osobiście, jest inna niż przedstawiciela klasy średniej z dużego miasta, który w ogóle nie zna wsi lub zna ją wyłącznie z rodzinnych wizyt.

– Dla mnie historia mojej babci to bagaż, z którym się mierzę. Próbuję zrozumieć jej życie, a jednocześnie siebie i jej wpływ na to, kim jestem – przyznaje.

Wychowała się na wiejskich przedmieściach Biecza w wielopokoleniowej rodzinie, którą zarządzała babcia, usiłująca utrzymać tradycyjny model chłopskiej rodziny, w której najwyższą wartością jest ziemia i każdy członek rodziny musi być gotowy do najdalej idących poświęceń na rzecz gospodarstwa.

Babcię Magdaleny Szczygieł poznaliśmy już wcześniej, to Marysia ze wsi Szerzyny, którą jako dwunastolatkę oddano do rodziny lokaja, gdzie usługiwała w zamian za jedzenie, a potem służyła przez kolejne siedemnaście lat, aż do zamążpójścia. Podobny los spotkał jej ośmioro rodzeństwa. Po latach niechętnie wracała do przeszłości, więc wnuczka sama postanowiła zrekonstruować losy rodziny, korzystając z archiwów. Do dziś pamięta szok związany z odkryciem, że jej prababcia Apolonia urodziła swoje najmłodsze, dziewiąte dziecko, gdy miała czterdzieści sześć lat, a dwanaście lat później zmarła, prawdopodobnie wycieńczona porodami. Magdalena Szczygieł próbowała też wyobrazić sobie, jak

wyglądała droga do Ameryki przyrodnich sióstr mamy, które zostały tam wysłane po śmierci swojej matki. Ciekawość, która zaprowadziła ją do archiwów, stopniowo ustępowała smutkowi i współczuciu, a te, dzięki nowej wiedzy, przerodziły się w fascynację losem przodkiń. Ale nie tylko dlatego czyta książki opowiadające o ludowej historii. Robi to głównie po to, by zrozumieć presję, której ona, jako spadkobierczyni wiejskiego modelu wychowania, bezpośrednio doświadczyła.

Do połowy lat dziewięćdziesiątych Magdalena Szczygieł pracowała właściwie w podobny sposób jak jej babcia i jej rówieśniczki w młodości. – Moje wakacje polegały na nieustającej pracy, od dzieciństwa. Prawie wszystko robiliśmy ręcznie. Jak sobie dziś pomyślę, ile ja umiem niepotrzebnych rzeczy – śmieje się. I wylicza: – Sadzić i kopać ziemniaki, okopywać kapustę, suszyć siano, czyścić buraki, nawet rozrzucać gnój. Mój mąż się dziwił: „To nie mieliście rozrzutnika?”. Ja mówię: „Człowieku, gdzie na takim malutkim polu rozrzutnik”, bo pole miało wprawdzie tylko hektar, ale i tak pracy było mnóstwo.

Wpływ babci to także formowanie religijne, raczej typu obrzędowego. – W oktawie Bożego Ciała pilnowała, żebym chodziła sypać kwiatki, mój brat był ministrantem, więc doglądała, żeby nie zaspał na mszę. W czasie burzy paliła gromnicę, w święto Matki Boskiej Zielnej zawsze miała bukiet ziół, w Zielone Świątki dekorowała dom gałązkami brzozy. Pilnowała, żebyśmy z bratem chodzili w październiku na różaniec, a w maju na nowennę. I oczywiście najwyższym autorytetem był ksiądz. Świat pozostał dla niej niepewny i groźny, nie przestała się bać biedy. Chciała, żebyśmy trzymali się ziemi i na niej opierali swoje życie, pozostali razem, ściśle związani, w małym kręgu rodzinnym, i nie mogła się pogodzić ze zmianami ani z tym, że chcemy żyć inaczej – opowiada.

Dopiero wyjazd na studia do Krakowa, a potem praca w Rzeszowie pozwoliły Magdalenie Szczygieł na stopniowe pozbywanie się balastu, jaki wyniosła z domu, na czele z podstawowym: imperatywem poświęcania się i podporządkowania rodzinnej kontroli.

– Nawet nie chcę myśleć o tym, gdzie bym teraz była, gdybym się tego nie pozbyła – mówi.

Przede wszystkim ma na myśli religijne zakazy i nakazy, a także wzorzec kobiety pozbawionej własnych potrzeb i oczekiwań. Wciąż uczy się swojej nowej roli, już nie harowaczki, która musi wzorowo wypełniać wszystkie obowiązki i pozwalać innym, by ją nimi przygniatali. Przed domem nie założyła ani jednej grządki, jedynie trawnik, żeby pograć w badmintona. Potrafi też jednak docenić, co zawdzięcza swojemu wychowaniu w wielopokoleniowej wiejskiej rodzinie i co wydaje jej się wartością. – Obowiązkowość, dotrzymywanie obietnic, ogromny szacunek do pracy fizycznej i do człowieka, który tę pracę wykonuje, umiejętność poszukiwania sposobów, by rozwiązać problem. Zamiast płakać nad rozlanym mlekiem, staram się myśleć nad tym, w jaki sposób wybrnąć z trudnej sytuacji. Myślę, że to właśnie dostałam od mojej babci – wymienia.

A także sznur czerwonych korali. Prawdziwych. Wcześniej należał do prababci Apolonii, matki dziewięciorga dzieci, od której dla Magdaleny Szczygieł zaczyna się jej prywatna, własna historia.

Krakowianka Urszula Hoffmann należy do tych, którzy nie mogą odżałować, że zapragnęli słuchać rodzinnych historii, dopiero gdy prawie nie ma już kogo o nie pytać. Korzysta jednak z tego, że ciocia Teosia, najmłodsza siostra matki, wciąż ma dobrą pamięć, nagrywa więc, spisuje i na tej podstawie pisze wspomnieniową książkę, mając nadzieję, że okaże się ona wartościowym prezentem dla dzieci i wnuków. Dzięki cioci udało jej się ustalić detale dotyczące wydarzenia sprzed niemal dziewięćdziesięciu laty, które naznaczyło całą rodzinę, także w następnych pokoleniach.

– Moja babcia ze wsi Święcice w Kieleckiem urodziła swoje siódme dziecko we wrześniu 1932 roku, trzy tygodnie po tym, jak od uderzenia pioruna spaliła im się stodoła, gdzie były wszystkie zebrane latem z pola plony, które miały wyżywić rodzinę i zwierzęta. Babcia musiała sprzedać ostatnią poduszkę spod głowy, a dziadek z najstarszą córką jeździli po

okolicy żebrać. Czasami dostawali trochę zboża albo ziemniaków, siano dla konia, czasami jakieś jajka czy ser. Najchętniej dzielili się z nimi ludzie ubodzy, którzy sami doświadczali niedostatku, ci bardziej majętni odsyłali ich często z niczym. Dziadziuś mówił potem: „Tam, gdzie się dziad jałmużny spodziewa, nigdy jej nie dostanie” – opowiada Urszula Hoffmann. O tej historii lęku, zawstydzenia i głodu na przednówku w 1933 roku rodzina zawsze już będzie sobie opowiadać. To z tego właśnie czasu pochodzi wspomnienie o tym, jak prababcia Urszuli zakaże jej mamie myć nogi mydłem i zaproponuje jej, żeby sobie oklepała je „wiechciem”.

– Oszczędzanie stanie się moim przekleństwem. Zawsze słyszałam, że wydaje się tylko na to, co konieczne. Na pewno nie na przyjemności, coś takiego nie istniało – przyznaje.

Studiując dzieje swojej rodziny, ze zdumieniem odkryła to, co na wielu z nas robi wrażenie: jak gigantyczną transformację przeszły nasze rodziny w ciągu dwóch pokoleń.

– Moja kuzynka, a córka cioci Józi, tej, która z moim dziadkiem jeździła po okolicznych wsiach, prosząc o jałmużnę, skończyła psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, a do egzaminów uczyła się jeszcze przy lampie naftowej, bo prąd w naszej rodzinnej wsi pojawił się dopiero w 1971 roku. Jej syn z kolei jest dyrektorem generalnym największej firmy informatycznej w Polsce i członkiem kadry kierowniczej tej firmy w Europie Wschodniej. Prawnuczka cioci Józi studiuje informatykę w Londynie, wnuczka mojej mamy skończyła studia licencjackie w Londynie, a potem magisterskie z semiotyki kognitywnej w Danii. Jej inny wnuk jest jednym z czołowych współpracowników największej firmy geodezyjnej w Irlandii – opowiada, nie kryjąc dumy.

Sama też ma się czym pochwalić: wychowała i wykształciła czworo dzieci, prawie samotnie, prowadząc przez trzydzieści lat firmę, której produkty były eksportowane na cztery kontynenty.

– Nie było łatwo, zwłaszcza że moja mama wyznawała filozofię, którą formułowała w ten sposób: „Kto się pod ławą urodził, nigdy na nią nie

wejdzie”. Słyszała to pani? Nie? Ja też bardzo długo tylko od mojej mamy, za to często. Dopiero niedawno pan, który robił u mnie remont, powiedział mi: „Moja babcia zawsze powtarzała: «Kto się urodził pod ławą, ten na nią nie wejdzie»”. Bardzo to niewspierające. Co można w życiu osiągnąć, jak się tak myśli? – zastanawia się Urszula Hoffmann.

„Niewspierające” – Urszula Hoffmann mówi językiem terapii, bo przyznaje, że przez nią przeszła, aby się pozbyć tych hamujących drogowskazów, w które została wyposażona przez rodzinę. A przede wszystkim, by cieszyć się życiem. – Przestać chodzić w podarowanych przez kogoś ubraniach, umieć sobie sprawić przyjemność bez poczucia winy, być z siebie wreszcie zadowoloną – wylicza. – Mama pracowała jako sprzątaczka i wykształcenie niespecjalnie jej imponowało. Chciała, żebym została urzędniczką w biurze, w którym sprzątała, bo to był już w jej oczach ogromny awans społeczny. Natomiast ojciec bardzo w nas wierzył i tylko dzięki niemu skończyłyśmy z siostrą studia. Sam nie mógł się uczyć, bo jego ojciec nie widział powodu, aby go kształcić, chociaż wyróżniał się inteligencją i pracowitością. Chociaż sam dyrektor szkoły wielokrotnie przychodził do dziadka i mówił: „Panie Zioło, sprzedajcie morgę pola i dajcie syna do miasta do szkoły, będziecie mieli inżyniera, zobaczycie”. Dla dziadka morga pola miała jednak większą wartość niż dyplom inżyniera, więc ojciec został ślusarzem, a nie inżynierem. Sam dziadek chyba ledwie umiał się podpisać.

W rubrykę „życiowe osiągnięcia” wpisuje więc Urszula Hoffmann także certyfikat terapeuty oraz coacha. „Ważne jest to – tłumaczy – co myśmy z tym zrobili, co nam zrobiono”. I nadrabia to, co wcześniej wydawało jej się nieistotne: słucha cioci Teosi i rejestruje każde zdanie. Nie chodzi tylko o wnuki. Tak naprawdę o to, żeby nie myśleć o rodzinie tylko przez pryzmat biedy, klęski i pożaru, ale też o tym, że następnego roku po tym okropnym przednówku wybudowali już nową stodołę. I że kobiety w jej rodzinie wprawdzie kiedyś nie mogły używać mydła, ale okazały się nadzwyczaj silne i doskonale zorganizowane.

I że ona ma to po nich.

Agnieszka Jędrzejczyk twierdzi, że w przeciwieństwie do swojej mamy nie ma potrzeby ucieczki od wiejskości i wszystkiego tego, co ona wniosła do rodziny.

– Wydaje mi się – mówi – że dosyć szybko zrozumiałam, że to jest też wartość, druga kultura, do której mam dostęp. Zawsze czułam dumę z mojej mamy i jej sióstr, z ich siły, z tego, że stworzyły dla siebie nowe reguły życia. Przed laty, gdy rodzice wyjechali na wakacje, zrobiliśmy im z bratem malowanie mieszkania. I ten mały remont został zakończony symbolicznym aktem, którego nikt nie zakwestionował, i tak zostało do dzisiaj. Powiesiłam ślubny portret naszych dziadków, rodziców ojca, nauczycieli, a obok, w podobnej ramie zdjęcie z lat trzydziestych, fotografię rodziny mamy na tle bielonego na niebiesko domu. To zdjęcie z chrztu mojej mamy. Babcia ma na sobie czarną suknię i korale, niektórzy goście nie mają butów.

Powiesiłam obie fotografie na takiej ścianie, żeby było je widać na dzień dobry.

Dzień dobry, to my.



Rodzina Agnieszki Jędrzejczyk. Po lewej: rodzice ojca – Urszula i Kazimierz Jędrzejczykowie, nauczyciele w Zdunach pod Łowiczem, 1931/1932 rok. Po prawej: rodzina matki – babcia Stefania (pierwsza z prawej), dziadek (czwarty z prawej), mama (najmłodsze dziecko w drugim rzędzie po prawej), ciocia Genowefa (trzecia od prawej w tylnym rzędzie)

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim ogromnie dziękuję tym rodzinom, które zechciały się podzielić ze mną i czytelnikami zapiskami swoich przodkiń, a także opowieściami o ich losach: Magdzie Piekarskiej, Marioli Bogus, Małgorzacie Grądziel, Róży Somli-Dembowskiej, Aleksandrze Jasińskiej-Kani, Agnieszce Jędrzejczyk, Irenie Borowczak, Genowefie Chmielewskiej, Dominice Gruz, Betty Pryor i jej rodzeństwu: Frances, Walterowi, Marie, Aleksandrze Kołodyńskiej, Magdalenie Szczygieł, Elizie Szybowicz, Mirosławie Białek, Katarzynie Surmiak-Domańskiej, Urszuli Hoffmann, Elżbiecie Orzyłowskiej-Łęczyckiej, Jadwidze Krasuckiej, Janinie Krasuckiej, Danucie Makowskiej, Halinie Bińczak, Lidii Zielonce, Lucy Davis, Piotrowi Kieżunowi, Leszkowi Budrewiczowi, Marianowi Jaróżkowi, Michałowi Księżopolskiemu, Wojciechowi Banaszkiewiczowi, Stefanowi Bajerowi, Andrzejowi Kotyczce, Edmundowi Waszyńskiemu, Michałowi Pawłowi Urbaniakowi, Michałowi Rozenbergowi, Lidii M., Ilonie, córce Marianny Sekiety, Krystynie i Annie, córce i wnuczce Jadwigi Popiołkiewiczówny, Marianowi S., a także „Staremu Socjaliście”.

Dziękuję także tym moim rozmówcom, których wypowiedzi nie znalazły się w książce, ale których cenne informacje pozwoliły mi zbliżyć się do opisywanego przeze mnie świata.

Za udostępnienie bezcennych dokumentów jestem ogromnie wdzięczna Maryli Laurent i Monice Siamie. Lucjanowi Kołodziejskiemu składam wielkie podziękowania za arcyciekawe fotografie.

Za pomoc przy poszukiwaniach archiwalnych dziękuję Annie Barłóg-Mitmańskiej z Muzeum Narodowego Rolnictwa w Szreniawie, Annie Jaśkiewicz z Archiwum Państwowego w Przemyślu, Katarzynie Ignas

z Muzeum w Przeworsku, Andrzejowi Wronie z Muzeum Wsi Lubelskiej, Annie Bujnowskiej z Muzeum Etnograficznego w Krakowie, Marianowi Piórkowi, Agnieszce Grabowskiej z Muzeum Etnograficznego w Warszawie, Małgorzacie Plucie, kierowniczce środowiskowego domu samopomocy w Gaci Przeworskiej, Janowi Choroszemu i Annie Kurzycy.

Beacie Kęczkowskiej, redaktorce książki, dziękuję za serdeczne wsparcie, a Karolinie Wąsowskiej, redaktorce prowadzącej w Wydawnictwie Marginesy, za troskliwą opiekę nad książką.

Mojemu mężowi, Andrzejowi Frydryszakowi, pierwszemu czytelnikowi, za cenne rady i przemyślenia, przyjaciółkom Beacie Gigiel i Magdzie Skawińskiej za podnoszenie na duchu, zawsze, gdy tego potrzebuję, a mojej rodzinie za energiotwórczą miłość.

BIBLIOGRAFIA PODSTAWOWA

1. ZBĘDNE

Gospodarstwa karłowate w świetle ankiety losowej, oprac. W. Krysztofik, Warszawa 1939.

Informacje przekazane autorce przez Agnieszkę Grabowską, kustoszkę z Muzeum Etnograficznego w Warszawie.

Korespondencja z Marianem Piórkiem, nauczycielem z Dzikowca.

J. Ciepielewski, *Wieś polska w czasach kryzysu 1929–1935. Materiały i dokumenty*, Warszawa 1965.

J. Krok, *Wspomnienia z mojej wsi*, oprac. A. Baniak, Gorlice 2012.

J. Czarnecki, *Mieszkania rodzin wiejskich*, „Życie Dziecka" 1937, nr 6–7, s. 172.

Archiwum Akt Nowych, Towarzystwo Pamiętnikarstwa Polskiego w Warszawie; pamiętniki kobiet wiejskich, sygn. 11007, KW-92, pamiętnik Stefanii F., ps. Rudzia.

Sto lat mojego gospodarstwa. Pamiętniki mieszkał ców wsi, oprac. S. Michalska, M. Halamska, M. Kłodził ski, Poznał –Warszawa 2018.

2. PASIONKA

Archiwum Pał stwowe w Przemyślu, Rada Szkolna Powiatowa w Przeworsku, szkoła w Hucisku Jawornickim, sygn. 56/1524/0/-/5.

Wywiad z Kazimierą Długołęcką, www. klubnowodworski.pl, dostęp 18.06.2022.

J. Czarnecki, *Poglądy wychowawcze i psychologiczne rodziców wiejskich dzieci*, „Życie Dziecka" 1937, z. 7.

A. Fruchtman, *Higiena dziecka w wieku szkolnym*, „Higiena Życia Codziennego" 1927, z. 8.

Z. Lipina, *Jątrząca się rana*, „Kobieta Wiejska" 1939, nr 4.

Dziecko wsi polskiej – próba charakterystyki, oprac. M. Librachowa, Warszawa 1934.

P. Restorffowa, *Precz z pasionką*, „Głos do Kobiet Wiejskich" 1929, nr 6.

P. Restorffowa, *Pasionka*, „Głos do Kobiet Wiejskich" 1928, nr 15.

J. Chałasił ski, *Młode pokolenie chłopów*, t. 1, Warszawa 1984.

Pamiętnik nr 1034, w: *Byą matką. Wybór pamiętników*, oprac. D. Gałaj, Warszawa 1986.

Once My Mother, film dokumentalny, reż. S. Turkiewicz, Australia 2013.

W. Mędrzecki, *Młodzież wiejska na ziemiach Polski centralnej 1864–1939. Procesy socjalizacji*, Warszawa 2002.

Materiały przekazane autorce przez córkę Marianny Wujak.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Magdę Piekarską, wnuczkę Heleny Rabendy.

3. PANIOM NIE BĘDZIESZ

Antoszka (pseudonim Anieli Smiskowej), *Przy kądzieli. Pogadanki dla kobiet o ważnych sprawach*, Warszawa 1913.

Archiwum Akt Nowych, Towarzystwo Pamiętnikarstwa Polskiego w Warszawie, sygn. 11035, KW-916, pamiętnik Anieli Dobrowolskiej.

Archiwum Akt Nowych, Towarzystwo Pamiętnikarstwa Polskiego w Warszawie, sygn. 11030, KW-647, pamiętnik Heleny Dawidowicz.

Archiwum Akt Nowych, Towarzystwo Pamiętnikarstwa Polskiego w Warszawie, sygn. 11007, KW-92, pamiętnik Stefanii F., ps. Rudzia.

Archiwum Akt Nowych, Towarzystwo Pamiętnikarstwa Polskiego w Warszawie, sygn. 11007, KW-723, pamiętnik Marii Kozłowej.

Archiwum Akt Nowych, Prezydium Rady Ministrów w Warszawie 1917–1939, 25 stycznia 1925, sygn. III 2352/21.

Archiwum Akt Nowych, Centralne Towarzystwo Rolnicze, Janina Praszczyk, sygn 1143.

Archiwum Pał stwowe w Przemyślu, Rada Szkolna Powiatowa w Przeworsku, szkoła w Hucisku Jawornickim, sygn. 56/1524/0/-/5.

Archiwum Pał stwowe w Suwałkach, akta Aleksandry K., sygn. 208/4/10.840.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Elżbietę Jasił ską-Kanię, wnuczkę Marcjanny Fornalskiej.

Informacje przekazane autorce przez Michała Księżopolskiego.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Piotra Kieźuna.

Pamiętnik nr 865, w: *Byą matką. Wybór pamiętników*, oprac. D. Gałaj, Warszawa 1986.

Chłopi siłą narodu polskiego, „Dzieł Pomorza", 21.06.1937.

List czytelnika, „Gazeta Świąteczna" 1937, nr 10.

J. Durr, *Przed naradą na temat kultury wsi w Polsce*, „Pion" 1936, nr 14.

M. Fornalska, *Pamiętnik matki*, Warszawa 1960.

J. Zieja, *Życie Ewangelią*, spisane przez J. Moskwę, Kraków 2010.

M. Chorąży, *Z Janówki w świat*, Kraków 2016.

P. Restorffowa, *Wiosna a dziecko*, „Głos do Kobiet Wiejskich" 1928, nr 12.

F. Dziedzic, *Stan gospodarstw włościał skich w powiecie wadowickim*, Puławy 1928.

4. NIE ZADAWAJ SIĘ Z PLEWAMI, BO CIĘ ŚWINIE ZJEDZĄ

Archiwum Akt Nowych, Towarzystwo Pamiętnikarskie w Warszawie, Towarzystwo Pamiętnikarskie w Warszawie, sygn. 11021, KW-804, wspomnienie Eugenii L.

Archiwum Akt Nowych, Towarzystwo Pamiętnikarstwa Polskiego w Warszawie, sygn. 11007, KW-92, pamiętnik Stefanii F., ps. Rudzia.

Historie rodzinne spisane przez Lucynę Bogus, przekazane autorce przez Mariolę Bogus.

Informacje przekazane autorce przez Jadwigę Krasucką.

M. Burzył ska, *Szara przędza*, Olsztyn–Białystok 1977.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Elżbietę Orzyłowską-Łęczycką.

Informacje przekazane autorce przez Janinę Krasucką.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Aleksandrę Kołodył ską.

A. Kołodył ska, *Rodem z Małopolski* [...]. *Genealogia rodzinna*, Kłodzko 2017.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Piotra Kieźuna.

Pamiętniki chłopów, oprac. L. Krzywicki, Warszawa 1935.

Matki, nie wydawajcie córek za wcześnie, „Kobieta Wiejska" 1939, nr 1.

M. Kielarowa, *Przedślubne obiecanki*, „Kobieta Wiejska" 1939, nr 3.

Pamiętnik gospodyni z Lubelszczyzny. Nie pochwalam dawnego, w: *Rola przeorana, dom piękny*, oprac. E. Jagiełło-Łysiowa,Warszawa 1975.

G. Surmaczowa, *Najważniejsze te morgi...*, „Kobieta Wiejska" 1939, nr 4.

5. TAM LEPI W NOCY, JAK TU W DZIEŁ

Listy Wiktorii Kuliś, z archiwum rodziny Białek.

Informacje przekazane autorce przez Lucjana Kołodziejskiego.

Informacje przekazane autorce przez Mirosławę Białek.

K. Duda-Dziewierz,*Wieś małopolska a emigracja amerykał ska.Studium wsi Babica powiatu rzeszowskiego*, Warszawa–Poznał 1938.

Katalog Muzeum Emigracji, Gdynia 2016.

S. Klimaj, *Lichwa na wsi*, „Chłopskie Życie Gospodarcze" 1935, nr 9.

Żywy kapitał polski za granicą, „Republika", 2.08.1930.

List w języku angielskim przesłany autorce przez córkę Wiktorii Kuliś: Betty Pryor, w imieniu jej rodzeł stwa – Frances, Waltera i Marie, tłum. A. Frydryszak.

6. CNOTY NIEWIEŚCIE

Archiwum Pał stwowe w Suwałkach, sprawa Aleksandry K., sygn. 208/4/10.840.

Archiwum Pał stwowe w Suwałkach, sprawa Emilii P., sygn. 208/4/10.602.

Archiwum Pał stwowe w Suwałkach, sprawa Jadwigi T., sygn. 208/4/10/520.

Archiwum Pał stwowe w Suwałkach, sprawa Bolesława I., sygn. 208/9623.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Różę Somlę-Dembowską.

U. Janicka, *Normy moralne dotyczące kobiety na polskim Spiszu pod koniec XIX i w XX wieku*, Archiwum Etnograficzne Kraków, I/2510 MNP, sygn. m II 2162.

M. Sobków, *Historio, historio...*, Wrocław 2007.

A. Leder, *Prześniona rewolucja*, Warszawa 2014.

Wyrodny ojciec – zboczeniec, „Dziennik Piotrowski", 22.01.1939.

Kazirodztwo. Ojciec uwiódł 15-letnią córkę, „Express Wieczorny" 27.08.1926.

Upiór z Rudziszek, „Echo”, 25.07.1933.

S. Bross, *Miłością – małżeł stwo – rodzina*, Poznał 1935.

K. Mazurkiewicz, *Kwestia seksualna w wychowaniu*, Poznał 1931.

H. Sławił ski, *Wychowanie prorodzinne według pedagogów katolickich drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 2000.

A. Szopowa, W. Banaszak, *Opowieści z pamięci*, Szczecin 2006–2013.

Poqwiartowana kobieta w nurtach rzeki, „Express Wieczorny Ilustrowany”, 6.06.1927.

S. Kurkiewicz, *Słownik płciowy. Zbiór wyrażeł o płciowych właściwościach, przypadłościach i t.p.*, Kraków 1913.

Pamiętnik S. Giebockiego, w: *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1939.

Pamiętniki chłopów, oprac. L. Krzywicki, Warszawa 1935.

J. Chałasił ski, *Młode pokolenie chłopów*, t. 3, Warszawa 1984.

7. KOGO PAN STWORZY, TEGO NIE UMORZY

Archiwum Pał stwowe w Suwałkach, sprawa Jadwigi T., sygn. 208/4/10/520.

Archiwum Pał stwowe w Suwałkach, sprawa Marjanny K., sygn. 208 /546.

Archiwum Pał stwowe w Suwałkach, sprawa Zofii W., sygn. 208/4/10.571.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Magdalenę Szczygieł.

Informacje przekazane autorce przez Danutę Makowską.

Archiwum Akt Nowych, Polskie Towarzystwo Pamiętnikarskie w Warszawie, sygn. 11021, pamiętnik Emilii Bujnowskiej.

A. Hlond, *O znaczeniu rodziny dla pał stwa*, „Echo”, 8.01.1934.

F.S., *Reforma seksualna. Palące bolączki naszego życia*, „Głos Poranny”, 3.12.1934.

Święto rodziny w Poznaniu. Wzniosłe przemówienie ks. Prymasa Hlonda, „Echo”, 9.01.1933.

Poradnia dla kobiet w Łodzi, „Republika”, 6.02.1932.

I. Budził ska-Tylicka, *Powstanie i działalnosą I w Polsce poradni świadomego macierzył stwa*, „Życie Świadome”, marzec 1936.

L. Szczepał ski, *Jak ta pchła...*, „Życie Świadome”, czerwiec 1936.

W obronie życia, „Rycerz Niepokalanej” 1938, nr 9.

Trup dziecka pod warstwą słomy, „Łódzkie Słowo Wieczorne”, 3.10.1927.

R. Renz, *Kobieta w społeczności wiejskiej w świetle dokumentów kościelnych (na przykładzie diecezji kieleckiej)*, „Almanach Historyczny” 2018, t. 20.

E. Orzyłowska-Łęczycka, *Pod jednym niebem urodzeni*, Siedlce 2020.

M. Kacprzak, *Badania nad rozrodczością w Polsce*, „Warszawskie Czasopismo Lekarskie” 1933, nr 35–36.

M. Kacprzak, *Badania nad rozrodczością w Polsce (dokoł czenie)*, „Warszawskie Czasopismo Lekarskie” 1933, nr 37.

M. Gawin, *Planowanie rodziny – hasła i rzeczywistosą*, w: *Równe prawa i nierówne szanse. Kobiety w Polsce międzywojennej*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, Warszawa 2000.

D.K. Rembiszewska, *Nazwy nieślubnego dziecka w historii i dialektach polszczyzny*, „Studia Germanica Gedanensia” 2008, t. 17, s. 57–66.

U. Glensk, *Historia słabych. Reportaż i życie w dwudziestoleciu (1918–1939)*, Kraków 2014.

8. AŻ SIĘ SKÓRA PODRZE

Archiwum Akt Nowych, Polskie Towarzystwo Pamiętnikarskie w Warszawie, sygn. 11007, KW-723, pamiętnik Marii Kozłowej.

Archiwum Akt Nowych, Centralne Towarzystwo Rolnicze, sygn. 1149, ankieta Katarzyny Makowieckiej.

Archiwum Akt Nowych, Związek Izb i Organizacji Rolniczych, ankieta Janiny Praszczyk, sygn. 1143.

Archiwum sejmowe, 29. posiedzenie sejmu, stenogram, 1931, s. 14.

Informacje przekazane przez Janinę Krasucką.

Informacje przekazane autorce przez Mariana S.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Urszulę Hoffmann.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Mariana Jaróźka.

Informacje przekazane autorce przez Andrzeja Kotyczkę.

Materiały przekazane autorce przez Lidię M.

W. Mędrzecki, *Gospodarstwo chłopskie jako instytucja pracy*, Warszawa 2014.

W. Mędrzecki, *Kobieta w rodzinie i społeczności wiejskiej w Polsce w okresie międzywojennym*, w: A. Żarnowska, A. Szwarc, *Równe prawa, nierówne szanse. Kobiety w Polsce międzywojennej*, Warszawa 2000.

I. Szulakowska, *Gdy się wróci do kraju*, „Przodownica” 1931, nr 14.

Pamiętnik Cz. Piekarskiego, w: *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1939.

E. Kiewnarska (pani Elżbieta), *Dobra gospodyni wyjeżdża na lato*, Warszawa 1929.

Rozjeżdżamy się, „Przegląd Mody” 1931, nr 7.

Opis W. J., na 2 ha, w: *Opisy gospodarowania w gospodarstwach karłowatych*, Warszawa 1938.

Relacja Elżbiety Klajn, materiały przekazane przez Michała Rozenberga.

M. Chorąży, *Z Janówki w świat*, Kraków 2016.

J. Chałasiński, *Młode pokolenie chłopów*, t. 2, Warszawa 1984.

M. Karczewska, *Praca wśród kobiet wiejskich*, Warszawa 1934.

D. Wawrzychowska-Wierciochowa, *Z dziejów kobiety wiejskiej*, Warszawa 1961.

Z. Karaskowa, *Jak rozkładam swoje zajęcia, aby mieą czas na wszystko*, „Głos do Kobiet Wiejskich” 1929, nr 8.

J. Ladziński, *Dzień pracy kobiety i mężczyzny*, „Chłopskie Życie Gospodarcze”, 15.06.1935, nr 8.

A. Potoczna-Sietecz, *Dlaczego*, „Kobieta Wiejska” 1939, nr 4.

M. Halamska, *Wieś polska 1918–2018. W poszukiwaniu źródeł teraźniejszości*, Warszawa 2020.

Z. Kaczyłska, *Obowiązki przyszłej gospodyni domu*, „Głos do Kobiet Wiejskich” 1928, nr 5.

J. Ciepielewski, *Wieś polska w czasach kryzysu 1929–1935. Materiały i dokumenty*, Warszawa 1965.

A. Jezierski, C. Leszczyłska, *Historia gospodarcza Polski*, Warszawa 2006.

List Czytelniczki, „Wyzwolenie”, 5.04.1931.

Ziemia nasza powinna nas wyżywią i odziaą. Refleksje z wystawy „Len polski” w Warszawie, „Gazeta Podhalałska”, 24.06.1934.

S. Zaleski, *Bez bielizny i bez odzieży*, „Gospodarstwo”, dodatek do „Przewodnika Katolickiego”, 12.08.1928.

Z. Zaleska, *Uprawiajmy len*, „Młoda Polka” 1938, R. 19, nr 3.

A. Szopowa, W. Banaszak, *Opowieści z pamięci*, Szczecin 2006–2013.

P. Świetlik, *O sprawiedliwy podział pracy*, „Kobieta Wiejska” 1939, nr 1, s. 4.

Historia chłopów polskich, red. S. Inglot, Wrocław 1992.

M. Halamska, *Ciągłością i zmiana. Wieś polska 1918–2018. W poszukiwaniu źródeł teraźniejszości*, Warszawa 2020.

Kierat kobiecej pracy, w: *Rola przeorana, dom piękny*, oprac. E. Jagiełło-Łysiowa, Warszawa 1975.

Pamiętnik nr 817, w: *Byą matką. Wybór pamiętników*, oprac. D. Gałaj, Warszawa 1986.

9. FUSIER, PACIÓRKA, PRZECIERAKI

M. Czesnik, *Wieś jako konsument*, „Głos Gminy i Gromady Wiejskiej”, 15.07.1936, nr 13–14.

Archiwum Akt Nowych, sygn. CTR 1147, ankieta Julii Augustyn, k. 83.

Gospodarstwa karłowate w świetle ankiety losowej, oprac. W. Krysztofik, Warszawa 1939.

Opisy gospodarowania w gospodarstwach karłowatych, Warszawa 1938.

B. Szewczykówna, *Żywienie się ludu wiejskiego w Małopolsce Zachodniej*, „Zdrowie”, 1930, nr 9–10.

A. Szopowa, W. Banaszak, *Opowieści z pamięci*, Szczecin 2006–2013.

M. Czyłska, *Nie opuszczam rąk. Rozmowa z Leonem Tarasewiczem*, Czarne 2021.

J. Curzytek, F. Dziedzic, *Pomorskie gospodarstwa włościałskie na tle danych rachunkowości*, Toruł 1934.

Jak przyprawią starą kurę, „Przodownica” 1931, nr 2.

M. Chmielecka-Tuchorza, *Racjonalne odżywianie się ludności wiejskiej*, „Poradnik Gospodarski” 1937, R. 48.

Jak gotowaą w lecie, „Młoda Polka” 1930, nr 7.

Zarys historii gospodarstwa wiejskiego w Polsce, red. J. Leskiewiczowa, t. 3, Warszawa 1970.

W. Szewczyk, *Spożycie żywności w Polsce w okresie międzywojennym (na tle wydatków i dochodów na konsumpcję)*, Warszawa 1991.

S. Udziela, *Krakowiacy*, Kraków 2012.

J. Leżełski, *Wieś o sobie*, Poznał 1938.

Blog „Kuchnia u Poli”, dostęp: 18.06.2022.

Blog „Codziennik Kuchenny”, dostęp: 18.06.2022.

M. Burzył ska, *Szara przędza*, Olsztyn–Białystok 1977.

Informacje przekazane autorce przez Różę Somlę-Dembowską.

Informacje przekazane autorce przez Elizę Szybowicz.

Informacje przekazane autorce przez Lidię Zielonkę.

M. Tymochowicz, *Tradycyjne pożywienie chłopskie na Lubelszczyźnie*, Lublin 2019.

J. Krok, *Wspomnienia z mojej wsi*, oprac. A. Baniak, Gorlice 2012.

J. Zdzienicki, *Przygotowanie żywności na własne potrzeby*, „Przodownica” 1931, nr 3.

J. Curzytek, F. Dziedzic, *Pomorskie gospodarstwa włościał skie na tle danych rachunkowości*, Toruł 1934.

Etnografia Polski, t. *1: Przemiany kultury ludowej*, red. M. Biernacka, Wrocław 1976.

Kierat kobiecej pracy, w: *Rola przeorana, dom piękny*, oprac. E. Jagiełło-Łysiowa, Warszawa 1975.

10. „NA PAŁ SKIE”. ZACIĄŻNICE I BANDOSKI

A. Krusensternowa, *Ziemianka w kryzysie*, „Ziemianka Polska” 1934, nr 5.

Archiwum Akt Nowych, Ministerstwo Opieki Społecznej, sygn. 501.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Irenę Borowczak.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Edmunda Waszył skiego.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Lidię Zielonkę.

Niepublikowany wywiad z Heleną Szybki przeprowadzony przez Annę Dereł .

A. Ustyniak, *Zarys dziejów podwieluł skiej wsi*, „Rocznik Wieluł ski” 2003.

Archiwum Muzeum Rolnictwie w Szreniawie, sygn. 456/AD, *Awans córki fornala*, niepublikowane wspomnienia Wiktorii Hetmał skiej.

E. Waszył ski, *Droga do Asklepiejonu*, Leszno 2020.

Stan sanitarny mieszkał służby folwarcznej, referat wygłoszony przez dr L-W na Zjeździe Higieny Małych Miast i Wsi w 1918 roku.

Hrabina skazana na trzy lata więzienia za usiłowanie zabójstwa wieśniaka, „Dziennik Piotrkowski”, 9.11.1938.

Trzy lata więzienia za usiłowane zabójstwo, „Gazeta Powszechna”, 9.11.1938.

Chłopi pastwili się nad ciałem jeszcze wtedy, gdy do pałacu przybyła policja, P.J. Łaski, Lincz w Szynczycach, „Ale Historia”, dodatek do „Gazety Wyborczej”, 29.10.2018.

Samosąd chłopski przed sądem okręgowym, „Łodzianin”, 5.04.1938.

Krwawy samosąd pod Łodzią, „Orędownik”, 13.08.1938.

Opisy gospodarowania w gospodarstwach karłowatych, Warszawa 1938.

Powrót bandosów, „Chłopskie Życie Gospodarcze” 1937, nr 1.

J. Durka, *Wynagrodzenia pracowników w majątku ziemskim Nieborów Janusza Radziwiłła w latach 30. XX w.*, w: *Praca i społeczeł stwo Drugiej Rzeczypospolitej. Zbiór studiów*,

Warszawa 2014, s. 87–104.

F. Cieszyński, *Karmicielki*, „Gazeta dla Kobiet” 1927, nr 4.

Muzeum Wsi Lubelskiej, Dział Zbiorów Muzealnych, relacja Lucyny Sobeckiej, sygn. 1004.

Muzeum Wsi Lubelskiej, Dział Zbiorów Muzealnych, relacja Julii Hylak, sygn. 1435.

Muzeum Wsi Lubelskiej, Dział Zbiorów Muzealnych, relacja Stefanii Kołodziej, sygn. 1435.

M. Dąbrowska, *Rozdroże*, Warszawa 1927.

E. Domańska, *Stosunek dworu do społeczeństwa a w szczególności do wsi. Referat wygłoszony w Poznaniu dn. 25. XI. 1937 na I Ogólnopolskim Zjeździe Związkowych Sodalicji Pań Wiejskich*, Kraków 1938.

Pamiętnik nr 865, w: *Byą matką. Wybór pamiętników*, oprac. D. Gałaj, Warszawa 1986.

Kierat kobiecej pracy, w: *Rola przeorana, dom piękny*, oprac. E. Jagiełło-Łysiowa, Warszawa 1975.

Informacje przekazane autorce przez Dominikę Gruz.

D. Gucia, A. Pihan-Kijasowa, J. Wojtczak, *Koligacje rodzinne profesora Stanisława Kurnatowskiego*, „Slavia Antiqua”, LVI 2015.

F.M., *Czy słuszne zarzuty*, „Przebudzenie: Tygodnik Poświęcony Obronie Interesów Robotników Rolnych i Leśnych Z.P.P.” 1924, nr 38.

W. Gombrowicz, *Testament. Rozmowy z Dominique de Roux*, Kraków 2004.

11. UCIEKINIERKI

Archiwum Akt Nowych, Polskie Towarzystwo Pamiętnikarskie, sygn. 11008, KW-731, pamiętnik Bronisławy Kuc.

Archiwum Akt Nowych, Ministerstwo Opieki Społecznej, Komitet Walki z Handlem Dziećmi, sygn. 176.

Archiwum Akt Nowych, Ministerstwo Opieki Społecznej, sygn. 455.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Krystynę F., córkę Jadwigi Popiołkiewiczówny.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Małgorzatę Grądziel, wnuczkę Weroniki Gorzelniak.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Elizę Szybowicz, wnuczkę Cecylii Kubiakówny.

Informacje przekazane autorce przez Ilonę Srokę, córkę Marianny Wujak.

Informacje przekazane autorce przez Genowefę Chmielewską.

Informacje przekazane autorce przez Lucy Davis, wnuczkę Jadwigi Szkraby.

W. Żebrowska, *Książka gospodyni wiejskiej*, Warszawa 1938.

J. Krok, *Wspomnienia z mojej wsi*, oprac. A. Baniak, Gorlice 2012.

A. Stasiuk, *Wschód*, Czarne 2014.

M. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010.

M. Kuncewiczowa, *Dyliżans warszawski*, Warszawa 1958.

M. Piotrowska-Marchewa, *Projekty modernizacji ustawodawstwa dotyczącego służby domowej w Polsce międzywojennej. Przyczynek do dziejów służby domowej*, w: *Od*

Napoleona do Stalina. Studia z dziejów XIX i XX wieku, red. T. Kulak, Toruł 2007.

Od popychadła do pomocnicy domowej z dyplomem, „Bluszcz" 1932, nr 6.

Stenogram z posiedzenia Sejmu Ustawodawczego z 6.12.1921, Archiwum Sejmu, sygn. IP2809-2819.

M. Ulanicka, *Poradnik służby domowej*, Warszawa 1930.

J. Kuciel-Frydryszak, *Służące do wszystkiego*, Warszawa 2018.

12. JA NIE LIKORZ, PAN BÓG LIKORZ

Materiały i informacje przekazane autorce przez Stefana Bajera.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Danutę Makowską.

E. Orzyłowska-Łęczycka, *Pod jednym niebem urodzeni*, Siedlce 2010.

J. Gwardiak, *Dziedziczka o zasługach niepospolitych*, „Studia Łomżył skie" 1998, nr 9.

Pamiętnik S. Giebockiego, w: *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1939.

Historie rodzinne spisane przez Lucynę Bogus, przekazane autorce przez Mariolę Bogus.

W. Żebrowska, *Książka gospodyni wiejskiej*, Warszawa 1938.

Wyrok na krwawych znachorów, „Łódzkie Echo Wieczorne", 29.10.1926.

Straszna egzekucja nad „czarownicą" sprowadza na ławę oskarżonych chłopów z pod Warszawy, „Ilustrowana Republika", 29.10.1926.

M. Kulczył ska, *Co kobieta wiejska o macierzył stwie wiedzieą powinna*, Warszawa 1939.

Więcej porządku, mniej gruźlicy!, „Przodownica" 1931, nr 4.

L. Karaskowa, *Pomoc dla rodzących matek*, „Głos do Kobiet Wiejskich" 1929, nr 9.

Obłąkany zabił „czarownicę", „Echo", 12.03.1934.

Muzeum Etnograficzne w Krakowie, materiały etnograficzne z Borzęcina pow. Brzesko.

K. Ignas, *Topiec, błąd, lizibożek i dzidko. Relikty ludowych wierzeł demonologicznych z okolic Przeworska. Komentarz wystawy*, Przeworsk 2018.

K. Pobłocki, *Chamstwo*, Wołowiec 2021.

K. Prętki, *Spółdzielnia zdrowia jako koncepcja rozwoju opieki zdrowotnej na wsi w okresie II Rzeczypospolitej*, „Miscellanea Historico-Iuridica" 2011, t. X.

A. Szopowa, W. Banaszak, *Opowieści z pamięci*, Szczecin 2006–2013.

M. Posłuszna, *Świadomoś zdrowotna a troska o zdrowie kobiet wiejskich w Polsce międzywojennej*, „Nowiny Lekarskie" 2012.

Cz. Miłosz, *Wyprawa w dwudziestolecie*, Kraków 1999.

Pamiętnik Z. Karasiówny, w: *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1939.

Pamiętnik S. Giebockiego, w: *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1939.

Pamiętnik S. Skopił skiej, w: *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1939.

Pamiętnik J. Hozera, w: *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1939.

Dr K., *Jak się powinno zachowywaą w czystości głowę*, „Gospodyni Wiejska" 1921, R. 6, nr 24, [s. 2].

13. RADIO I INNE DIABELSTWA

Informacje i wiadomości przekazane autorce przez Wojciecha Banaszaka.

Archiwum Akt Nowych, Centralne Towarzystwo Rolnicze, sygn. 1147, ankieta Marii R. z Łącka.

Archiwum Akt Nowych, Centralne Towarzystwo Rolnicze, sygn. 1147, ankieta Katarzyny R. z Zalipia.

Archiwum Akt Nowych, Centralne Towarzystwo Rolnicze, sygn. 1149, ankieta Anny H. z Artasów.

Archiwum Akt Nowych, Centralne Towarzystwo Rolnicze, sygn. 1147, Ankieta Maryjanny H.

Opis B.H. na 5,5 ha, pow. Krotoszyn, w: *Opisy gospodarowania w gospodarstwach karłowatych*, Warszawa 1938.

Napad chłopów na nauczyciela. Ciemnota a wynalazki, „Łódzkie Echo Wieczorne", 4.05.1927.

Opis P.M. na 5,6 ha, pow. Lubartów, w: *Opisy gospodarowania w gospodarstwach karłowatych*, Warszawa 1938.

J. Chałasiński, *Młode pokolenie chłopów*, t. 3, Warszawa 1984.

M. Macieszyna, *Pamiętnik płocczanki*, Płock 1996.

M. Karczewska, *O otoczeniu domu*, „Głos do Kobiet Wiejskich" 1928, nr 9.

A. Szniolis, *Uzdrowotnienie wsi*, „Zdrowie" 1930, R. 45, nr 9–10.

List kółkowej, „Przodownica" 1930, nr 1.

A. Szniolis, *Przyczynek do poznania wsi polskiej. Wynik badania wsi Nieporęt*, „Zdrowie", 15.05.1930.

C. Zduniakowa, *Co robią kółkowe w Przytułach*, „Głos do Kobiet Wiejskich" 1929, nr 2.

Pod pręgierz, „Orędownik", 21.03.1936.

Jak żyją ludzie na wsi. Głos czytelnika, „Gazeta Świąteczna" 1936, nr 50.

W. Żebrowska, *Książka gospodyni wiejskiej*, Warszawa 1938.

Co się dzieje w tragicznym Przytyku, „Ilustrowana Republika", 15.04.1936.

Ostatnie dni procesu w Przytyku, „Express Wieczorny Ilustrowany", 23.06.1936.

Co podgryza potęgę Polski, „Gazeta Świąteczna" 1937, nr 8.

My, które szyjemy, „Młoda Polka" 1937, nr 3.

J. Staniszkis, *Ja. Próba rekonstrukcji*, Warszawa 2008.

A. Landau-Czajka, *Rozwiązanie kwestii żydowskiej w Polsce w świetle prasy katolickiej lat międzywojennych*, „Dzieje Najnowsze" 1993, R. XXV, nr 1.

A. Szopowa, W. Banaszak, *Opowieści z pamięci*, Szczecin 2006–2013.

Informacje przekazane autorce przez Agnieszkę Jędrzejczyk.

R. Modras, *Kościół katolicki i antysemityzm w Polsce w latach 1933–1939*, Kraków 2004.

14. CZY TUTAJ NIE MA WCALE POLSKICH LUDZI?

S. Aprile, M. Laurent, J. Ponty, E. Łątka, M. Salmon-Siama, *Polonaises aux champs. Lettres de femmes immigrçes dans les campagnes françaises (1930–1935)*, Collection: Le Rocher de Calliope, Numilog, Paris 2015.

Archiwum Miasta Tours, list Leonory Adamus do Julie Duval, bez daty.

Archiwum Miasta Tours, list Stefanii Antczak do Julie Duval, bez daty.

Archiwum Miasta Tours, list Stefanii Bądkówny do Julie Duval z 29.03.1931.

Archiwum Miasta Tours, list Wiktorii Klisz do Julie Duval, bez daty.

Archiwum Miasta Tours, list Zofii Dubiel do Julie Duval z listopada 1933.

Archiwum Miasta Tours, list Marii Bistuły do Julie Duval z 21 września (brak roku).

Archiwum Miasta Tours, list Pauliny Jerat do Julie Duval, bez daty.

Archiwum Miasta Tours, list Antoniny Jaszczak do Julie Duval z 9 marca 1935.

Archiwum Miasta Tours, list Marii Burak do Julie Duval, bez daty.

A. Kicinger, *Polityka emigracyjna II Rzeczpospolitej*, Warszawa 2005.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Marylę Laurent.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Monikę Siamę.

Informacje i materiały przekazane autorce przez Michała Pawła Urbaniaka.

Czasopismo madame Mrożek, „Charlevall'Ouest".

Destinçes de femmes Polonaises aux champs... et à Monnaie, „L'Écho de Monnaie" 2017/2018.

H. Wujec, *Nadaą sens temu światu*, Kraków 2021.

15. SZATAN NA GACKIEJ GÓRCE

F. Gil, *Rodzi się nowa wieś*, w: *Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych*, wybór J. Dąbrowski, Warszawa 1962.

H. Górska, *Powrót z Rzeczypospolitej przyszłości*, w: *Polskie drogi. Wybór reportaży z lat międzywojennych*, wybór J. Dąbrowski, Warszawa 1962.

Muzeum Historii Ruchu Ludowego w Warszawie, zeszyt z kursu Uniwersytetu Ludowego w Gaci, sygn. 5995.

Ignacy Solarz i jego Uniwersytet Ludowy 1924–1939, oprac. F. Popławski, S. Dyksił ski, Warszawa 1965.

I. Solarz, *Wiejski Uniwersytet Orkanowy. Cel i program*, Warszawa 1937.

I. Solarz, *Współżycie w uniwersytecie ludowym*, „Praca Oświatowa" 1936, nr 4.

Z. Solarzowa, *Mój pamiętnik*, Warszawa 1985.

Wspomnienia o Ignacym Solarzu „Chrzestnym", wybór i oprac. Z. Mierzwił ska-Szybka, Warszawa 1983.

Duch średniowiecza, „Życie Gromadzkie", 25.10.1936.

T. Maliszewski, *Gacka Górka – miejsce znaczące*, „Edukacja Dorosłych" 2011, nr 1.

L. Turos, *Uniwersytet Ludowy Ignacego Solarza i jego wychowankowie*, Warszawa 1970.

B. Matus, *Człowiek niezłomny. Władysław Kojder*, Warszawa 2015.

Infomacje przekazane autorce przez Małgorzatę Plutę, kierowniczkę środowiskowego domu samopomocy w Gaci Przeworskiej.

H. Ciekotowa, *Dziecił cowa izba*, „Kobieta Wiejska" 1939, nr 2.

K. Świątek-Balalowa, *Pragniemy wyjść z „zapiecka"*, „Kobieta Wiejska" 1939, nr 3.

A. Kołodziejczyk, *Ruch ludowy a Kościół rzymskokatolicki w latach II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2002.

A. Podbielska, *Święta rodzina z Markowej. Kult Ulmów i polityka historyczna*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2019.

W. Fołta, *Społeczno-polityczny ruch młodzieży wiejskiej regionu przemyskiego w latach 1918–1939*, Przemyśl 1988.

M. Szpytma, K. Przewrocka-Aderet, *Zmiana krajobrazu pamięci*, „Tygodnik Powszechny", 28.03.2016.

Pamiętniki chłopów, oprac. L. Krzywicki, Warszawa 1935.

16. BRZUCH I INNE DZIEDZICTWA

R. Walenciak, *Chamofobia w kraju chamów – rozmowa z Anną Tatarkiewicz*, „Tygodnik Przegląd", sierpień 2011.

M. Jakubowiak, *Historie ludowe: brzuch*, Dwutygodnik.com, [online:] https://www.dwutygodnik.com/artykul/9527-historie-ludowe-brzuch.html, dostęp: 18.06.2022.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Magdalenę Piekarską.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Magdalenę Szczygieł.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Urszulę Hoffmann.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Agnieszkę Jędrzejczyk.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Różę Somlę-Dembowską.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Elizę Szybowicz.

Materiały i informacje przekazane autorce przez Piotra Kieźuna.

Informacje przekazane autorce przez Leszka Budrewicza.

ŹRÓDŁA ZDJĘĆ

s. 10, 95: z archiwum Haliny Wojnickiej

s. 15, 18, 19, 22, 24, 28, 30, 77, 149, 167, 191, 199, 203, 208, 212, 214, 235, 273, 282, 289, 306, 331, 334, 344, 346, 356: ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

s. 26, 32, 39, 73, 133, 211: ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie

s. 37: ¨ Peter Kevin Solness / Fairfax Media via Getty Images

s. 41, 434: z archiwum Magdaleny Piekarskiej

s. 47, 56, 62: ze zbiorów Archiwum Pał stwowego w Przemyślu

s. 48, 160, 225: z archiwum Róży Somli-Dembowskiej

s. 51: z archiwum rodziny Księżopolskich

s. 67, 120, 244, 248: z archiwum Lucjana Kołodziejskiego

s. 70: z archiwum Ireny Bił czak

s. 81: ze zbiorów Centrum Archiwistyki Społecznej

s. 99: z archiwum Daniela Woźniaka

s. 101: z archiwum Elżbiety Orzyłowskiej-Łęczyckiej

s. 109: z archiwum Heleny Kołodył skiej

s. 113: z archiwum Lucyny Bogus

s. 124, 126, 128, 131: z archiwum Betty Pryor

s. 151, 196, 368, 396: ze zbiorów Biblioteki Cyfrowej Regionalia Ziemi Łódzkiej przy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Łodzi

s. 169: ze zbiorów Podkarpackiej Biblioteki Cyfrowej

s. 181: z archiwum Danuty Makowskiej

s. 187, 460: z archiwum Magdaleny Szczygieł

s. 194, 363: ze zbiorów Biblioteki Narodowej

s. 206, 409, 422, 424: ze zbiorów Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie

s. 218: z archiwum Andrzeja Kotyczki

s. 223: z archiwum Wojciecha Banaszaka

s. 227: z archiwum Janusza Nierzwickiego

s. 242: Gospodarstwa karłowate w świetle ankiety losowej, oprac. W. Krysztofik, Warszawa 1939

s. 258: z archiwum Przemysława Liczbika

s. 260: z archiwum Dominiki Gruz

s. 264: z archiwum Edmunda Waszył skiego

s. 278, 280: ze zbiorów Muzeum Rolnictwa w Szreniawie
s. 293, 295: z archiwum rodziny Jadwigi Popiołkiewicz
s. 301, 303: z archiwum Elizy Szybowicz
s. 309, 311: z archiwum Małgorzaty Grądziel
s. 322: z archiwum Lucy Davis
s. 329: z archiwum Stefana Bajera
s. 384: z archiwum Michała Pawła Urbaniaka
s. 386, 391, 392, 393, 400, 402: z archiwum Maryli Laurent
s. 420: ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej
s. 467: z archiwum Agnieszki Jędrzejczyk

PRZYPISY

[1] List Antoniny Jaszczak do inspektorki społecznej Julii Duval pisany podczas wyjazdu na saksy do francuskiego departamentu Indre i Loara; więcej w rozdziale *Czy tutaj nie ma wcale polskich ludzi?*.

[2] Jedna morga to 5755 metrów kwadratowych, czyli 0,57 hektara. Boisko do piłki nożnej to dwie trzecie hektara.

[3] Za gospodarstwa niesamodzielne, czyli niewystarczające, uznawano gospodarstwa nazywane karłowatymi (czyli do 2 hektarów), a także większe, małorolne, do 5 hektarów.

[4] Kijanka – deszczułka, najstarsze narzędzie do prania używane w Polsce. Prało się nim grubsze tkaniny, cieńsze w rękach.

[5] Sophia Turkiewicz – urodzona w 1946 roku reżyserka głównie filmów fabularnych i seriali, m.in. *Silver City* z udziałem polskiej aktorki Gosi Dobrowolskiej.

[6] Parcelacja – podział większych posiadłości ziemskich na działki i sprzedaż lub oddanie ich w użytkowanie mniejszym gospodarstwom.

[7] Ogółem wówczas w Polsce analfabeci stanowią 34 procent mieszkańców, we Francji 6 procent, w Belgii 5 procent, w Czechosłowacji 4 procent.

[8] Chodzi o tabliczki łupkowe używane w klasach początkowych; w niektórych regionach Polski korzystano z nich do lat pięćdziesiątych.

[9] Jan Zieja (1897–1991) – ksiądz katolicki, autorytet opozycji demokratycznej w latach siedemdziesiątych, zaprzyjaźniony m.in. z Jackiem Kuroniem. Pełnił funkcje proboszcza kościoła Wizytek w Warszawie, kapelana Szarych Szeregów, Batalionów Chłopskich i Komitetu Obrony Robotników (KOR-u). Popadał w liczne konflikty z hierarchią kościelną, poddając ją krytyce za sprzeniewierzenie się zasadom Ewangelii i za pazerność.

[10] Marcjanna Fornalska (1870–1963) – działaczka komunistyczna, matka sześciorga dzieci, z których troje zginęło podczas czystek stalinowskich. Córka, Małgorzata Fornalska, została rozstrzelana przez hitlerowców w 1944 roku, a najstarszy syn, Franciszek Fornalski, aresztowany przez Gestapo za pomoc partyzantom, zginął w obozie Gross-Rosen.

[11] Według spisu powszechnego z 1931 roku kmiecie, czyli bogaci chłopi, posiadający od 10 do 50 hektarów ziemi, stanowili 10,8 procent ludności chłopskiej.

[12] Autorka tej wypowiedzi prawdopodobnie mówiła po białorusku.

[13] Do 1924 roku w Polsce obowiązującą walutą była marka polska.

[14] *Jadą goście, jadą* – jedna z najpopularniejszych polskich piosenek ludowych.

[15] Czepiec wkładano pannie młodej w czasie zaślubin; pamiętnikarka używa tego terminu prawdopodobnie jako synonimu gotówki, którą dostali małżonkowie.

[16] Piosenka ludowa śpiewana na Bukowinie.

[17] Plewy – odpadki ze zbóż, powstałe podczas młócenia.

[18] Pieśń śpiewana na Bukowinie, cytat za: Joanna Gorzelana, *Językowy obraz kobiety w pieśniach ludowych polskich Bukowińczyków*, w: *Rumuni i Polacy w Europie. Historia i dzień dzisiejszy*, red. Stanislava Iachimovshi, Suceava 2006.

[19] Śluby cywilne można było zawierać jedynie na terenie byłego zaboru pruskiego.

[20] Niech kobiety będą uległe wobec swoich mężów (łac.).

[21] *Chcemy całego życia!* – hasło użyte przez pisarkę Zofię Nałkowską podczas Zjazdu Kobiet Polskich w 1907 roku, wyrażające pragnienie równouprawnienia w sferze obyczajowej i prawa do wyboru własnego stylu życia.

[22] Ściganie za gwałt małżeński stanie się możliwe od 1969 roku, gdy w życie wejdzie kodeks karny definiujący gwałt jako przestępstwo przeciw wolności.

[23] Dni sprzężajne – rodzaj pańszczyzny odrabianej przez chłopów własnym zaprzęgiem.

[24] Thomas Malthus (1766–1834) – pastor anglikański, twórca teorii głoszącej konieczność regulowania urodzeń. Na wsi od jego nazwiska nazywano prezerwatywy.

[25] W 1921 roku Polska liczy 27 milionów mieszkańców, w 1931 roku ponad 32 miliony, w 1939 roku 35 milionów.

[26] Prywatne, a więc płatne placówki tego typu, zainicjowane przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego, istnieją w Warszawie i Krakowie.

[27] „Rycerz Niepokalanej” – miesięcznik założony w 1922 roku przez Maksymiliana Kolbego.

[28] Według spisu powszechnego z 1931 roku Polska liczyła 32,1 miliona mieszkańców, z czego chłopów było 16,4 miliona, a robotników rolnych 1,6 miliona. Najliczniejszą grupę stanowili chłopi małorolni – 7,3 miliona, najmniej liczną kmiecie (najbogatsi, mający ponad 17 hektarów) – 1,9 miliona.

[29] *Toile de soie* – z jedwabiu (fr.).

[30] Koło Ziemianek – stowarzyszenie społeczne powstałe w 1907 roku, zrzeszające aktywne kobiety wywodzące się ze sfery posiadaczy ziemskich.

[31] Kramne – kupione; określenie używane w II RP w wiejskich rodzinach, jego przeciwieństwem było „zgrzebne”, czyli wykonane samemu.

[32] Dokładnie w roku gospodarczym 1932/33, czyli od końca czerwca 1932 roku do początku lipca roku następnego.

[33] Trzy razy K, czyli *Kinder, Küche, Kirche* (dzieci, kuchnia, kościół) – slogan z połowy XIX wieku, który pokazywał, w jakim duchu kształtowano postawy kobiet w okresie Cesarstwa Niemieckiego.

[34] Obrok – karma dla konia, słoma z dodatkiem owsa.

[35] Skubanie gęsi żywcem wciąż jest praktykowane przez polskich hodowców drobiu mimo sprzeciwu wielu środowisk, a także wbrew zaleceniom Rady Europy.

[36] Ludowa piosenka *Wyszłabym za dziada*.

[37] Wirówka do mleka – pozwala oddzielić tłuszcz z mleka.

[38] Wici – powstały w 1928 roku związek młodzieży wiejskiej uznawany za radykalny; stawiający sobie za cel przygotowanie chłopów do współrządzenia państwem, kształtujący postawę obywatelską i wspólnotową; Wici sprzeciwiały się sanacji, występowały przeciwko kapitalizmowi i klerowi, w 1939 roku liczyły 100 tysięcy członków.

[39] Dzieża – naczynie do rozczynu chleba, zwykle wykonane z drewnianych klepek.

[40] Modlitwa w dialekcie kurpiowskim.

[41] Lemiesze – placki ziemniaczane z kapustą i kiełbasą.

[42] Radio „na kryształki” – radioodbiornik z detektorem diodowym, odbierający sygnał radiowy. Najtańszy rodzaj radia, umożliwiał słuchanie programów radiowych wyłącznie przez słuchawki.

[43] Sztundy – nazywane też koromysłami, nosidła do wody, które zakładało się na ramiona, aby przenieść dwa wiadra.

[44] Niechędożna – nieporządna.

[45] Uniwersytety ludowe powstały na wzór tego typu szkół dla ludności wiejskiej działających w Danii, więcej w rozdziale: *Szatan na Gackiej Górce*.

[46] Pójdźka zwyczajna – gatunek sowy, obecnie rzadki w Polsce, objęty ścisłą ochroną.

[47] W niepublikowanym tekście Wiktoria Hetmańska podaje pełne nazwisko, twierdząc, że jest to syn dziedzica; należy uznać to za pomyłkę. Najprawdopodobniej był to syn zarządcy majątku. Ponieważ zarzutów, które Wiktoria Hetmańska wobec niego wysuwa, nie udało mi się zweryfikować, zdecydowałam się na podanie jedynie inicjału mężczyzny.

[48] Ordynaria – część wynagrodzenia, którą pracownicy folwarczni dostawali w formie zboża, krowy czy zagonu pod ziemniaki. Dójka (dojąca krowy) z dóbr Radziwiłłów w Nieborowie w 1935 roku ma prawo do mieszkania, dostaje dwa litry mleka dziennie, jedną jednostkę opału miesięcznie, 12 złotych wynagrodzenia i dodatkowo 8 złotych za mycie sześciu krów. Zarządca dostaje 120 złotych na miesiąc, a poza tym: rocznie 600 kilogramów pszenicy, 1200 kilogramów żyta, 400 kilogramów jęczmienia, 7000 kilogramów ziemniaków i do tego opał, naftę i mleko.

[49] O losie bandosów pisał Stefan Żeromski: „W pustych wioskach kieleckich zostaje jeno dziad strupieszały, oślepła, kudłata babka, koślawiec, niemowa, lub obłąkana latawica. Bywa wtedy, że

opuszczony stary człowiek prosi się z głodu i biedy o śmierć, jak o łaskę” (Stefan Żeromski, *Słowo o bandosie*).

[50] Solidacja Mariańska Ziemianek – organizacja katolicka świeckich zrzeszająca przedstawicielki klasy posiadaczy ziemskich.

[51] Linijka – jednokonny wóz czterokołowy z długim, tapicerowanym siedzeniem.

[52] Flower – małokalibrowa broń, zwykle używana do polowań na ptactwo.

[53] W dokumencie przechowywanym w Archiwum Akt Nowych nazwisko dziewczynki zostało podane, ale ze względu na charakter sprawy zdecydowałam się je utajnić.

[54] Ochmistrzyni – osoba nadzorująca służbę żeńską w dworach i majątkach.

[55] Chomąto – rodzaj uprzęży zakładanej koniowi na kark i pierś.

[56] Powijaki – pas płótna, którym szczelnie owijano niemowlęta.

[57] Błąd gazety, w rzeczywistości chodzi o wieś Mołożew na Podlasiu.

[58] Bojkot pod hasłem „Swój do swego” został zainicjowany w 1912 roku w zaborze pruskim i był zwrócony przeciwko niemieckiemu handlowi; z czasem środowiska narodowe rozpoczęły pod tym hasłem kampanię przeciwko handlarzom żydowskim.

[59] O pomocy żydowskim pracodawcom przez katolickie służące piszę w książce *Służące do wszystkiego*.

[60] W 1930 roku we Francji 1 kilogram chleba kosztował 2,15 franka.

[61] S. Aprile, M. Laurent, J. Ponty, E. Łątka, M. Salmon-Siama, *Polonaises aux champs. Lettres de femmes immigrées dans les campagnes françaises (1930–1935)*, Collection: Le Rocher de Calliope, Numilog, Paris 2015.

[62] Julie Duval (1875–1957) – urodziła się we Lwowie jako Julia Lachowicz, w rodzinie inżyniera, i tam ukończyła szkołę sióstr Sacré-Cœur, a potem wyjechała do Paryża, gdzie na Sorbonie studiowała literaturę. W 1905 roku wyszła za mąż za Maurice’a Laguirande-Duvala, lektora języka francuskiego na Politechnice Lwowskiej, trzy lata później urodził się im syn. Po pierwszej wojnie światowej Duvalowie zamieszkują w Maroku, gdzie Maurice Duval zostaje nauczycielem filozofii przyszłego króla Hasana II. W 1929 roku Julie Duval wydaje książkę *Contes et légendes de Pologne* [Polskie baśnie i legendy], pracuje w polskiej ambasadzie. W 1932 roku Duvalowie rozwodzą się. Przez pięć lat Julie Duval niesie pomoc emigrantkom z Polski w departamencie Indre i Loara. Umiera w Paryżu.

[63] Funkcja opiekunki społecznej została utworzona we Francji w czasie pierwszej wojny światowej, gdy kobiety zastąpiły mężczyzn w fabrykach i narażone były na nadużycia; polskie pracownice uzyskały nadzór opiekunek wskutek interwencji polskiego rządu, który po licznych skargach zawiesił możliwość wyjazdów do Francji na dwa lata.

[64] Zniekształcona nazwa miejscowości.

[65] Po tych wydarzeniach Ministerstwo Rolnictwa zdecydowało nie rozpatrywać próśb Quénarda, właściciela gospodarstwa, o przyznanie zagranicznego robotnika do pracy w gospodarstwie.

[66] Z francuskiego *chamailler* – szarpać, kłócić się.

[67] Z francuskiego *sabot* – chodak, sabot.

[68] Mowa o zasiłku, który wypłacano młodym matkom przez pierwszy rok po urodzeniu dziecka.

[69] Uniwersytety ludowe – pozaszkolne placówki edukacyjne, najczęściej z internatem. Idea uniwersytetów ludowych wykształciła się w Danii w XIX wieku według koncepcji Mikołaja Fryderyka Seweryna Grundtviga.

[70] Zaraniarze – społecznicy i aktywiści skupieni wokół tygodnika ludowego „Zaranie", walczyli o uwolnienie chłopów od wpływów szlachty i kleru.

[71] Wacław Bliziński (1870–1944) – działacz ludowy i ksiądz katolicki, objął parafię w Liskowie w 1900 roku, był również posłem na Sejm Ustawodawczy (1919–1922), a także senatorem (1938–1939).

[72] Akcja Katolicka – powstała w 1930 roku najprężniejsza organizacja kościelna stanowiąca apostolat świeckich, miała strukturę scentralizowaną i działała na podstawie statutu zatwierdzonego przez papieża Piusa XI; od 1934 roku w jej obrębie znalazły się cztery organizacje zwane kolumnami: Katolicki Związek Mężów z siedzibą w Warszawie, Katolicki Związek Kobiet z siedzibą w Krakowie, Katolicki Związek Młodzieży Męskiej i Katolicki Związek Młodzieży Żeńskiej z siedzibami w Poznaniu.

[73] Na fali sukcesu pierwszego konkursu ogłoszony zostaje kolejny i tym razem kobiecych pamiętników napływa dużo więcej – 381 (spośród 1163), a ich autorkami są już inne kobiety: działaczki, społeczniczki albo co najmniej te, który pragną zmian.

[74] Fragment wiersza *Gdy naród do boju wystąpił z orężem* napisanego przez Gustawa Ehrenberga w 1835 roku. Utwór uznany za nieformalny hymn socjalistów i ludowców.

[75] Wnuczka Zofii i Ignacego Solarzów, Magdalena Solarz, prowadzi w Chicago, dokąd wyemigrowała w latach siedemdziesiątych, zespół tańca pod nazwą Wici.

[76] Wici weszły w skład Związku Młodzieży Polskiej, który w 1957 roku przekształcił się w Związek Młodzieży Wiejskiej, a w 1976 roku stał się częścią Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej (ZSMP).

[77] Związek Młodzieży Polskiej – organizacja młodzieżowa działająca w PRL-u w latach 1948–1957, mająca służyć przebudowie społeczeństwa według zasad komunizmu.